

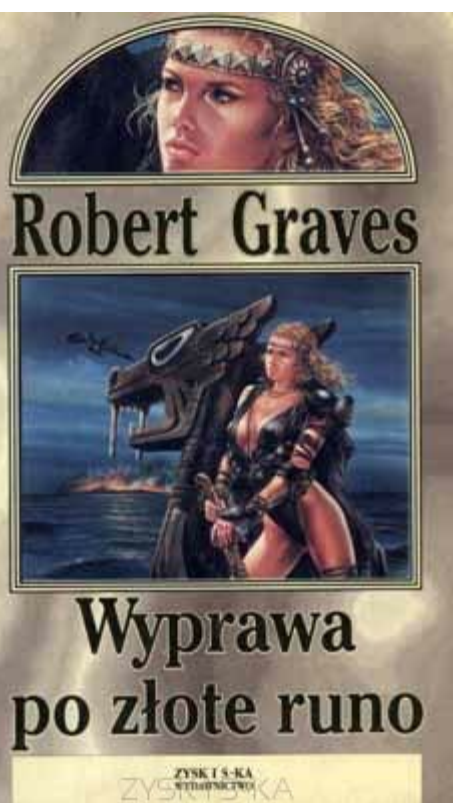


**Robert Graves**



**Wyprawa  
po złote runo**

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWA  
ZYSK I S-KA



**Robert Graves**

**Wyprawa po Złote Runo.**

*(The Golden Fleece).*

*Tłumaczyła Halina Sibera-Breitkopf.*

*Wiersze tłumaczyli Andrzej Nowicki i Halina Sibera-Breitkopf.*

## **INWOKACJA**

Ankajosie, Mały Ankajosie, wieszczy bohaterze, któryś (jak powiadają) odszedł

ostatni spośród wszystkich Argonautów, co płynęli z Jazonem do Kolchidy na poszukiwanie złotego runa – przemów do nas, pątników, przemów wyraźnie ze swego kamiennego grobowca opodal fontanny bogini u chłodnej hesperydzkiej Dei. Opowiedz najpierw, jakżeś się tu znalazł, tak daleko od domu, od kwietnego Samos; a potem, jeśli łaska, przypomnij nam dzieje tej słynnej podróży od samiotkiego początku. Pójdź, złożymy ci obiatę z wody z miodem, aby pomaścić twe gardło. Tylko pamiętaj, żadnych łgarstw! Umarli winni mówić wyłącznie prawdę, nawet jeśli im ujmę przynosi.

## **PROLOG**

### **ANKAJOS W GAJU POMARAŃCZOWYM**

Pewnego letniego wieczora fale wyrzuciły Ankajosa Lilajczyka, rodem z kwietnego Samos, na piaszczysty brzeg Majorki, największej z archipelagu Hesperyd lub – jak je niektórzy zowią – Wysp Procarzy czy Wysp Nagich Ludzi, skupionych na zachodnim krańcu morza, a odległych od Hiszpanii

nie więcej niż o dzień żeglugi przy sprzyjającym wietrze. Zdumieni jego pojawieniem się wyspiarze nie zabili go na razie, tylko zaprowadzili (nie ukrywając pogardy dla jego greckich sandałów, kusego, poplamionego w podróży chitonu i ciężkiej żeglarskiej opończy) do najwyższej kapłanki, pani na Majorce, zamieszkałej w jaskini Drache, tym najodleglejszym od Grecji wejściu do świata podziemi.

Ponieważ najwyższa kapłanka była właśnie zajęta jakimiś wróżbami, odesłała Ankajosa na drugi koniec wyspy, aby tam został osądzony i zgładzony przez jej córkę, nimfę świętego pomarańczowego gaju w Dei. Gromada nagich kozłarzy powiodła go równiną, a potem przez urwiste góry, ale z rozkazu najwyższej kapłanki nie wszczynali z nim rozmowy po drodze. Ani na chwilę nie przystanęli w pospiesznej wędrówce, raz tylko uderzyli czołem przed masywnym kromlechem, stojącym w poprzek dróżki, gdzie jako chłopcy zostali wtajemniczeni w obrzędy bractwa kozłów. Trzykrotnie mijali miejsca, gdzie spotkały się trzy ścieżki, i za każdym razem z daleka obchodzili trójkątną gęstwinię ogrodzoną kamieniami.

Ankajos rad był, widząc, że tyle czci okazują Trójbogini, której są poświęcone takie uroczyska.

Gdy dotarli do Dei, Ankajos, bardzo znużony i z poranionymi stopami, zastał

nimfę Pomarańczową siedzącą w dumnej postawie na kamieniu obok obfitego źródła, co tryskało z granitowej skały zraszając lasek. Góry, kosmate od dzikich oliwek i dębów kołacolistnych, tutaj spadały urwście ku morzu o pięćset stóp niżej, upstrzonemu teraz aż po horyzont kłakami mgły na kształt pasących się owiec.

Na pytania nimfy Ankajos odpowiedział z szacunkiem, w języku Pelazgów, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Każda kapłanka Trójbogini ma bowiem, jak wiedział Ankajos, trzecie oko, którym może obrócić duszę człowieka w wodę, ciało w kamień i unicestwić wszelkie zwierzę, które jej stanie na drodze. Wyroczone węże, hodowane przez te kapłanki, rozporządzają taką samą straszliwą władzą nad ptakami, myszami i królikami. Ankajos wiedział też, że bez pytania nie wolno mu odzywać się do nimfy, a odpowiadać winien krótko i jak najpokorniej.

Nimfa odprawiła kozły, którzy odeszli na bok i przykucnęli rzędem na krawędzi skały, gotowi na każde zawołanie. Byli to spokojni, prości ludzie o niebieskich oczach i krótkich muskularnych nogach. Zamiast chronić ciała odzieżą, namaszczeni je mastyksem zmieszany z świńskim sadłem. Każdy miał u boku sakwę z koziej skóry, pełną gładkich kamyków, w ręku jedną procę, drugą owiązaną wokół głowy, a trzecią jako pasek na biodrach. Przypuszczali, że nimfa na pewno za chwilę każe zgładzić obcego, i już się po przyjacielsku naradzali pomiędzy sobą, komu przypadnie pierwszy strzał, komu drugi i czy w tych łowach na człowieka powinni mu dać jakieś fory na zboczu górskim, czy raczej już gdy będzie się do nich zbliżał, rozbić go na miazgę, mierząc każdy w inną część ciała.

Gaj pomarańczowy złożony z pięćdziesięciu drzew otaczał kamienny przybytek zamieszkały przez ogromnych rozmiarów węża, którego inne nimfy, pięćdziesiąt Hesperyd, karmiły co dzień mąką jęczmienną roztartą z kozim mlekiem w rzadką papkę. Przybytek został wzniesiony ku czci starożytnego herosa, co przyniósł był

pomarańcze na Majorkę z jakiegoś kraju na odległych wybrzeżach Oceanu.

Zapomniano jego imienia i mówiło się o nim tylko jako o „dobroczyńcy”; wąż –

zrobiony z rdzenia pacierzowego herosa i ożywiony jego duchem – odziedziczył to samo miano. Pomarańcza to okrągły, wonny owoc nie znany nigdzie poza tym miejscem w cywilizowanym świecie, dojrzewa zaś wprzódzie zielona, potem złota, o gorącej skórce i chłodnym, słodkim, orzeźwiająjącym miąższu.

Rodzi ją łagodne drzewo o połyskliwych liściach i kolczastych gałęziach, które owocuje w środku zimy, inaczej niż wszystkie rośliny. Na Majorce nie jada się pomarańczy ot tak sobie, a tylko raz do roku, podczas zimowego przesilenia dnia z nocą, przedtem zaś rytuał każe żuć sakłak i różne oczyszczające zioła. Tak spożyte pomarańcze zapewniają długowieczność. O innej porze najmniejszy kąsek powoduje natychmiastową śmierć – tak święty to owoc, chyba że sama nimfa Pomarańczowa udzieli zezwolenia.

Dzięki przymiotom pomarańczy zarówno mężczyźni, jak kobiety na wyspach żyją, dopóki chcą: na ogół dopiero gdy uświadomią sobie, że stali się dla przyjaciół

ciężarem z racji powolności ruchów i nudnej mowy, postanawiają umrzeć. Ze względów grzecznościowych jednak nie żegnają swoich najbliższych ani nie robią w jaskini żadnego zamieszania (mieszka się tu bowiem w jaskiniach), tylko wymykają się chyłkiem i rzucają ze skały – co miłe jest bogini, która nie znosi zbytecznych żalów i skarg, wynagradza przeto takich samobójców hucznym i wesołym pogrzebem.

Nimfa pomarańczowa była rosła i piękna. Miała na sobie falbianiastą, dzwonowatą spódnicę kreteńskiego kroju, z płótna farbowanego wrzosem na pomarańczowo, od góry zaś tylko zielony kaftanik z krótkimi rękawami, który nie zapinał się z przodu, odsłaniając chwałę bujnych piersi. Odznaki jej urzędu stanowiły: pas z niezliczonych bryłek złota spojonych na kształt węża o ślepiach z drogich kamieni, naszyjnik z suszonych pomarańczy i wysoki czepiec haftowany perłami, a na czubku ozdobiony złotym kręgiem księżycy w pełni. Była już matką czterech dorosłych córek, z których najmłodsza miała pewnego dnia objąć jej urząd, gdy ona sama – także najmłodsza z sióstr – zastąpi swoją matkę, najwyższą kapłankę, w jaskini Drache. Te cztery córki, za małe jeszcze na nimfy, teraz jako dziewicze łowczynie i nader biegłe procarki wyruszały z mężczyznami, by im przynosić szczęście w polowaniu. Dziewica, nimfa i matka – to wiekuista królewska trójca wyspy; bogini tedy, czczona tu w tych wszystkich postaciach jako nowy księżyc, pełny księżyc i stary księżyc, jest panującym bóstwem. Ona to zsyła urodzaj na drzewa i uprawy, od których zawisło życie ludzkie. Któż nie wie, że cała zieleń kiełkuje, gdy księżyc rośnie, i obumiera, gdy go ubywa; że tylko buntownicza cebula nie jest posłuszna fazom miesięcznym? Atoli Słońce, męski potomek bogini, co rokrocznie się rodzi i rokrocznie kona, pomaga jej swoją ciepłą emanacją. Z tego właśnie powodu jedynego synka nimfy Pomarańczowej, jako wcielenie słońca, złożono według zwyczaju bogini w ofierze, a jego poszarpane szczątki zmieszano potem z ziarnem jęczmiennym, aby zapewnić obfite plony.

Nimfa zdziwiła się, słysząc, że język Pelazgów, jakiego używał Ankajos, bardzo przypomina mowę tutejszych wyspiarzy. Choć była rada, że może go wypytywać bez kłopotliwej gestykulacji i

rysowania patykami na ziemi obrazków, zaniepokoiła ją nieco myśl, że miał już przecie okazję rozmawiać z kozłami o sprawach, które zarówno ona, jak jej matka wołały utrzymywać w tajemnicy.

Przede wszystkim zapytała:

– Jesteś Kreteńczykiem?

– Nie, świątobliwa – odparł. – Jestem Pelazgiem z wyspy Samos na Morzu Egejskim, a zatem co najwyżej krewnym Kreteńczyków. Ale nam panują Grecy.

– Jesteś biedny, stary i brzydki – rzekła.

– Wybacz mi, świątobliwa – odpowiedział. – Wiodłem ciężkie życie.

Gdy spytała, czemu wylądował na Majorce, wyjaśnił, że wygnano go z Samos za uparte obstawanie przy starodawnym obrządku bogini – jego rodacy wprowadzili ostatnio nową religię olimpijską, która raziła jego pobożną duszę –

i przekonany, iż na Majorce bogini jest ciągle czczona z pierwotną niewinnością, poprosił szypra stateczku, by go tutaj wysadził na brzeg.

– Istotnie – zauważyła nimfa. – Twoja opowieść przypomniała mi o siłaczu imieniem Herkules, co odwiedził naszą wyspę wiele lat temu, gdy moja matka była nimfą tego gaju. Nie potrafię ci powtórzyć szczegółów tej historii, ponieważ matka dochowała sekretu, ja zaś byłam wtedy dzieckiem, ale wiem tyle: Herkules został

wysłany w podróż naokoło świata przez swego pana Eurysteusa z Myken (gdziekolwiek leżą te Mykeny) celem wykonania pewnej liczby pozornie niewykonalnych prac, a wszystko, jak twierdził, z tej racji, że uporczywie się trzymał odwiecznego rytuału bogini. Przyplłynął na naszą wyspę łódką i oznajmił

z zadziwiającą odwagą, że przybywa w imię bogini, by narwać koszyk pomarańczy z tego gaju. Jako lew bardzo rzucał się w oczy na Majorce, bo nie mamy tu bractwa ani siostrzanego związku lwów, a ponadto był obdarzony nadzwyczajną siłą i zdumiewającym apetytem zarówno na jadło oraz napitek, jak i uciechy miłosne.

Matka wykazała wobec niego pewną słabość, więc dobrowolnie dała mu pomarańczę, a oprócz tego zaszczyciła go swoim towarzystwem podczas wiosennych siewów. Czyś kiedy słyszał o Herkulesie?

– Byliśmy wioślarzami z tej samej załogi, jeśli masz na myśli Herkulesa z Tyryntu – odrzekł Ankajos. – Wówczas gdy płynąłem do stajen Słońca na pokładzie słynnej *Argo*. Z przykrością muszę ci oznajmić, że ten stary obwieś najpewniej oszukał twoją matkę. Nie miał prawa żądać owoców w imię bogini, której obmierzył doszczętnie.

Jego zapał rozbawił nimfę. Zapewniła, że już ją do siebie przekonał: wolno mu teraz podnieść wzrok na jej oblicze i gawędzić nieco poufalej, jeśli sobie tego życzy. Była jednak na tyle przewidująca, by go formalnie nie powierzać opiece bogini. Zapytała, do jakiej wspólnoty należy; oświadczył, że do

delfinów.

– Ach! – rzekła. – Gdy po raz pierwszy jako nimfa poznałam towarzystwo mężczyzn w bruzdzie zasianego pola, zdarzyło mi się to właśnie z dziewięcioma delfinami. Pierwszy mój wybraniec został zapaśnikiem Słońca, czyli wodzem wojennym na następny rok, jak każe tutejszy obyczaj. Nasze delfiny to bractwo małe i starożytne, a biegłością w muzyce przewyższają nawet foki.

– Delfin jest nadzwyczaj muzykalny – zgodził się Ankajos.

– Gdy jednak urodziłam dziecko – ciągnęła nimfa – nie była to dziewczynka, którą by można zachować przy życiu, tylko chłopak. I wrócił, jak był powinien, rozdarty na sztuki w bruzdę, co go wydała. Bogini darowała mi go i bogini wzięła.

Odtąd nie miałam już serca do delfinów, w przekonaniu, że ich towarzystwo nie przynosi mi szczęścia. Żadnemu męskiemu potomkowi naszej rodziny nie dano dożyć następnych siewów.

Ankajos miał dość odwagi, by zapytać:

– Czy ani jedna nimfa lub inna kapłanka (skoro kapłanki są na tej wyspie tak potężne) nigdy potajemnie nie oddała malca przybranej matce, biorąc w zamian jej córeczkę, aby oboje ocalić?

– Może na twojej wyspie uprawia się sztuczki tego rodzaju – odparła surowo –

ale nie tutaj. Tu żadna kobieta nie zwodzi Trójbogini.

– Istotnie, świątobliwa, nikt nie zdoła jej naprawdę oszukać – przystał Ankajos, ale pytał dalej: – Pewnie więc nie macie w zwyczaju, jeśli panująca nimfa żywi nadmierny afekt do swego męskiego potomka, składać zamiast niego w ofierze jagnięcia lub koziołka spowitego w niemowlęce szatki i z sandałami na kopytkach?

Na mojej wyspie sądzą, że bogini przymyka oko na zastępstwo i plony nie ponoszą na tym uszczerbku. Tylko jeśli się zdarzy zły rok, gdy zboże zmarnieje lub śnieć je zniszczy, przy następnych siewach składamy chłopca na ofiarę. I nawet wówczas jest to dziecko ubogich rodziców, a nie domu panującego.

– Nie na naszej wyspie – powtórzyła nimfa surowym tonem. – Tu żadna kobieta nie żartuje sobie z Trójbogini. Właśnie dlatego dobrze się nam powodzi. To wyspa niewinności i pokoju.

Ankajos potwierdził, że znajduje ją najmiłszą spośród setek wysp, jakie zwiedził w swoich podróżach, nie wyłączając jego rodzinnego Samos, zwanego kwietnym.

Wówczas nimfa rzekła: – Chętnie teraz posłucham opowieści, o ile się nie okaże nudna. Dlaczego twoi krewni Kreteńczycy przestali odwiedzać ten archipelag, jak czynili dawniej, za czasów mojej prababki, rozmawiając z nami uprzejmie językiem, który (choć nie całkiem jednaki) rozumieliśmy z łatwością?

Kim są ci twoi panowie Grecy, co przybywają na takich samych okrętach, jakich używali

Kreteńczycy, i mają te same towary na sprzedaż: naczynia, oliwę, barwniki, klejnoty, płótno, toczydła, znakomity oręż z brązu – ale byka na dziobach okrętów zastąpili podobizną barana, mówią niezrozumiałym językiem, targują się niegrzecznie i grubiańsko, bezwstydnie łypią na kobiety i ściągają wszystkie drobiazgi, jakie im się nawiną pod rękę? Niezbyt chętnie handlujemy z nimi i często odprawiamy ich z pustymi rękami, bez zębów – powybijanych z procy, w hełmach z brązu pogiętych od ciosów.

Ankajos wyjaśnił, że łąd stały na północ od Krety, niegdyś znany jako Pelazgia, nazwano teraz Grecją od imienia nowych władców. Zamieszkuje go ludność wybitnie mieszana. Najdawniej tu osiedli Pelazgowie, zrodzeni z ziemi, o których powiadają, że wyrosli z zębów węża Ofiona, wybitych, gdy Trójbogini rozszarpała go na strzępy. Doszli do nich najpierw kreteńscy osiedleńcy z Knossos; potem przybysze z Azji Mniejszej: Eneci skrzyżowani z egipskimi Etiopami, których możny król Pelops dał miano Peloponezu południowej części kraju oraz wybudował miasta otoczone potężnymi kamiennymi murami, a ponadto grobowce z białego marmuru o ulowatym kształcie chat afrykańskich; wreszcie Grecy, barbarzyńscy pasterze z północy, zza rzeki Danuby, którzy przywędrowali tu przez Tesalię w trzech zwycięskich najazdach i na koniec opanowali wszystkie warowne miasta Pelopsa. Ci Grecy zarządzili innymi ludami w sposób zuchwały i arbitralny. –

I niestety, świątobliwa – dodał Ankajos – nasi władcy czczą boga ojca jako bóstwo najwyższe, urągają zaś skrycie Trójbogini.

Nimfa, niepewna, czy się nie przesłyszała, wykazała zaciekawienie:

– Któż to taki bóg ojciec? Jak może jakiegokolwiek plemię czcić ojca? Czymże są ojcowie, jeśli nie chwilowym narzędziem, którego kobieta używa dla przyjemności i z potrzeby macierzyństwa? – Roześmiała się wzgardliwie i wykrzyknęła: – Na dobroczyńcę! Przysięgam, że to najgłupsza historia, jaką w życiu słyszałam.

Ojcowie, rzeczywiście! Pewnie ci greccy ojcowie karmią dzieci piersią i sieją jęczmień, i szczepią drzewa figowe, i ustanawiają prawa, krótko mówiąc –

podejmują się wszystkich odpowiedzialnych zadań przynależnych kobietom? –

Niecierpliwie tupnęła nogą i twarz jej pociemniała od napływu gorącej krwi.

Dostrzegłszy to, kozły w milczeniu dobyli kamyki z trzosów i umieścili je w skórzanych pętlach proc. Ale Ankajos odpowiedział łagodnie i uprzejmie, znowu spuszczaając oczy. Zauważył, że na tym świecie istnieje wiele dziwnych obyczajów i wiele plemion, które się sobie wzajem wydają niespełna rozumu.

– Chciałbym ci pokazać, świątobliwa, Mosynoików z wybrzeży Morza Czarnego – rzekł – ich drewniane twierdze i potwornie tłustych, tatuowanych chłopców, których tuczą ciastkami kokosowymi. Ich ziemie graniczą z krajem Amazonek, równie dziwacznych jak oni... Grecy zaś rozumują tak: skoro macierzyństwo zależy od mężczyzn (bo przecież sam wiatr nie zdoła wydać brzucha kobiecie, jak to bywa z klaczami iberyjskimi), mężczyźni siłą rzeczy są od nich ważniejsi.

– Ależ to wariacki argument! – wykrzyknęła. – Równie dobrze mógłbyś dowodzić, że ta drzazga sosnowa jest ważniejsza niż ja, bo jej używam do dłubania w zębach. Kobieta, a nie mężczyzna, jest zawsze ważniejsza: ona jest ręką, on tylko narzędziem. Ona rozkazuje, on słucha. Któż jak nie kobieta wybiera mężczyznę i podbija go słodyczą swej wonnej urody, i każe mu w polnej bruździe leć na grzbiecie, by dosiadając go jak dzikiego rumaka posłusznego jej woli, brać zeń rozkosz, a gdy rzecz się dokona, zostawia leżącego bezsilnie? Któż jak nie kobieta rządzi w jaskini i jeśli którykolwiek z kochanków dokuczy jej zbyt zuchwałym lub leniwym zachowaniem, daje mu trzykrotne ostrzeżenie, po czym musi on zbierać manatki i wynosić się z powrotem do swego bractwa?

– U Greków – rzekł Ankajos cicho i pospiesznie – panują wcale odmienne zwyczaje. Mężczyzna wybiera kobietę, którą chce uczynić matką swoich dzieci (jak oni to nazywają), i podbija ją mocą swoich pragnień, i każe jej kłaść się na wznak, gdzie tylko zechce, i wtedy, górując, czerpie z niej rozkosz. W domu on jest panem, a jeśli kobieta znuży go gderliwym lub rozpustnym usposobieniem, bije ją; jeśli się mimo to nie poprawi, odsyła ją do domu ojca z całym dobytkiem, jaki wniosła, dzieci zaś oddaje na wychowanie niewolnicy. Ale nie gniewaj się, świątobliwa, zaklinam cię na boginię! Jestem Pelazgiem i obrzydli mi Grecy, a także ich obyczaje, zaś odpowiadając na te pytania, spełniam tylko posłusznie twoją wolę.

Nimfa poprzestała na uwadze, że Grecy to z pewnością najbardziej bezbożny i obmierzły naród na świecie, gorszy od małych afrykańskich – jeśli oczywiście Ankajos jej nie zwodzi. Zapytała go powtórnie o zasiewy jęczmienia i kapryfikację fig: skąd mężczyźni greccy biorą chleb i figi bez pomocy bogini?

– Świątobliwa – odrzekł – kiedy Grecy po raz pierwszy przybyli do Pelazgii, było to plemię pasterskie żywiące się tylko pieczenią, serem, mlekiem, miodem i dziko rosnącymi warzywami. Nic przeto nie wiedzieli o rytualnej uprawie jęczmienia ani o sadownictwie.

Przerwała mu pytaniem: – Przypuszczam, że ci szaleni Grecy przywędrowali z północy bez własnych kobiet, jak niekiedy trutnie, próżniaczy ojcowie rodu pszczół, porzucają ul, z dala od królowej zakładają kolonię i żywią się odpadkami zamiast miodu?

– Nie – odparł Ankajos. – Przywiedli z sobą własne kobiety, ale kobiety te nawykłe do życia, jakie tobie się wydaje niedorzeczne i nieprzyzwoite. Mężczyźni kupowali je i sprzedawali niczym bydło, które im obrządzały.

– Wierzyć mi się nie chce, aby mężczyzna mógł kupić lub sprzedać kobietę! –

zawołała nimfa. – Najwidoczniej jesteś co do tego mylnie poinformowany. Ale czy ci nieczyści Grecy nadal żyli w ten sposób, osiedliwszy się już w Pelazgii?

Ankajos wyjaśnił: – Dwa pierwsze plemiona najeźdźców, Jonowie i Ajolowie, uzbrojone w oręż z brązu, wkrótce uznały potęgę bogini, skoro zgodziła się usynowić ich bogów. Ci w dużej mierze porzucili barbarzyńskie obyczaje. A kiedy Pelazgowie namówili ich do skosztowania swego chleba, zagustowali w jego miłym smaku oraz świętych przymiotach, jeden zaś z nich, imieniem Tryptolemos, poprosił boginię, by mu pozwoliła samodzielnie uprawiać jęczmień, przeświadczony, że mężczyzna może to robić z równym powodzeniem jak kobiety.



Oświadczył, że pragnie w miarę możliwości oszczędzić kobietom zbędnego trudu i troski, a bogini przystała na to pobłażliwie.

Nimfa roześmiała się, aż zbocza góry zawtórowały echem, a kozły przyłączyli się do niej na swoim urwisku, tarzając się z uciechy, choć nie mieli pojęcia, czemu ona się śmieje. Wreszcie rzekła do Ankajosa:

– Piękne doprawdy żniwo musiał zebrać ten Tryptolemos: czysty mak, blekot i oset!

Ankajos miał dość rozsądku, żeby jej nie zaprzeczać. Zaczął teraz opowieść o trzecim plemienu greckim, zbrojnych w żelazo Achajach, o ich zuchwalstwie wobec bogini i o tym, jak powołali do życia boską rodzinę na Olimpie; zauważył

jednak, że nie słucha, i urwał. Zapytała drwiąco:

– Czekaj no, Ankajosie, powiedz, jak się u Greków rozróżnia rody? Przecie nie będziesz twierdził, że oni mają rody męskie, a nie żeńskie, licząc pokolenia po ojcach zamiast po matkach?

Ankajos wolno pokiwał głową, jakby przebiegłość krzyżowych pytań nimfy zmuszała go do przyznania, że to nedorzeczne.

– Tak – odparł. – Od nadejścia zbrojnych w żelazo Achajów, a było to wiele lat temu, w przeważającej części Grecji męskie rody zajęły miejsce kobiecych. Już Jonowie i Ajolowie wprowadzili poważne zmiany; przybycie Achajów wywróciło wszystko do góry nogami. Jonowie i Ajolowie nauczyli się już wówczas wywodzić pochodzenie od matki, ale dla Achajów ojcostwo było i jest jedynym czynnikiem brany pod uwagę przy ustalaniu genealogii. Stopniowo zdołali o tym przekonać większość Ajolów i po części Jonów.

– Nie, nie! – zawołała nimfa. – Oczywiście bzdury! Choć to jasne i niezbite na przykład, że mała Kore jest moją córką, skoro położna dobyła ją z mego ciała, skądże można na pewno wiedzieć, kto był jej ojcem? Przecież nie musi mnie koniecznie zapłodnić pierwszy mężczyzna, z którym się zabawię podczas świętej orgii. Można począć z pierwszym, a można i z dziewiątym.

– Grecy postarali się uniknąć tej niepewności – tłumaczył Ankajos – dzięki temu, że każdy mężczyzna wybiera sobie tak zwaną żonę: kobietę, której nie wolno się zadawać z nikim oprócz niego. Jeśli więc zajdzie w ciążę, ojcostwo nie ulega wątpliwości.

Nimfa przyjrzała się Ankajosowi z powagą i rzekła: – Masz na wszystko odpowiedź. Ale czy doprawdy chcesz mnie przekonać, że da się tak ujarzmić, opanować i upilnować kobietę, aby ją ustrzec od obcowania z tym, którego sobie upodobała? Przypuśćmy, że młoda dziewczyna zostaje żoną starego, szpetnego, zużytego mężczyzny jak ty. Czyż się wtedy w ogóle pozwoli skłonić do współżycia?

Ankajos wytrzymał jej wzrok. – Grecy głoszą, że są w stanie upilnować swoje żony. Ale, muszę przyznać, często się to nie udaje i kobieta sekretnie się wiąże z mężczyzną, któremu nie jest żoną. Wtedy zazdrosny mąż usiłuje zabić oboje: żonę i kochankę, jeśli zaś ci mężczyźni przypadkiem są

królami, wciągają w wojnę poddanych i wynika z tego wielki rozlew krwi.

– Wyobrażam to sobie! – powiedziała nimfa. – Przede wszystkim nie powinni kłamać, a po drugie podejmować się zadań nad siły, co stwarza okazję do zazdrości. Już nieraz zauważyłam, że mężczyźni są absurdalnie zazdrośni: doprawdy, okazuje się, że obok gadatliwości i nieuczciwości to stanowi ich trzecią cechę charakterystyczną. Ale opowiedz mi, co się przytrafiło Kreteńczykom?

– Zostali podbici przez Greka Tezeusza, który zwyciężył dzięki niejakiemu Dedalowi, a był to sławny rzemieślnik i wynalazca.

– Cóż on wynalazł? – spytała.

– Między innymi – odparł Ankajos – zmajstrował byki z brązu, które sztucznie ryczały, kiedy im pod brzuchem rozpalono ogień; a także drewniany posąg bogini jak żywy, z łączonymi członkami, które dały się zginać we wszystkie strony, co wyglądało na cud, zwłaszcza że można było otwierać i zamykać oczy, pociągając za ukryty sznurek.

– Czy ten Dedal jeszcze żyje? – spytała nimfa. – Chętnie bym go poznała.

– Niestety nie – wyjaśnił Ankajos. – Wszystko to wydarzyło się na długo przed moim urodzeniem.

– Ale może mógłbyś mi opowiedzieć – nalegała – w jaki sposób skonstruowano stawy posągu, aby mógł poruszać członkami we wszystkie strony?

– Zapewne obracały się w przegubach kulistych – odparł, obracając zaciśniętą pięścią w zagłębieniu drugiej dłoni, tak że z łatwością pojęła, co miał na myśli. –

Ponieważ Dedal wynalazł przeguby kuliste. W każdym razie właśnie dzięki pomysłowości Dedala flota Kreteńczyków uległa zniszczeniu i nie odwiedzali już więcej naszej wyspy. Czynili to tylko Grecy i parokrotnie Pelazgowie, Trakowie czy Frygijczycy.

Słyszałam od babki mojej babki – rzekła nimfa – że choć Kreteńczycy czcili boginię niemal tak wiernie jak my, ich obrządek w wielu punktach różnił się od naszego. Na przykład, najwyższa kapłanka nie wyznaczała zapaśnika Słońca na jeden tylko rok. Jej wybraniec panował niekiedy dziewięć lat i więcej, odmawiając ustąpienia z tronu pod pozorem, że doświadczenie przydaje roztropności. Zwano go kapłanem Minosa albo królem-bykiem. Ponieważ bractwo byków zdobyło na wyspie przewagę, jelenie, konie, barany i inni nigdy nawet nie usiłowali sięgnąć po dowództwo wojskowe, a najwyższa kapłanka obcowała tylko z bykami. Tutaj moja matka i ja darzymy względami wszystkie wspólnoty na równi. Nie jest rozsądnie pozwalać, aby jedna z nich zyskała przywileje ani by król rządził dłużej niż dwa lub najwyżej trzy lata: jeśli mężczyźni się nie trzymają krótko, mają wyraźną skłonność do zuchwalstwa i mniemania, że niemal dorównują kobietom.

Zuchwalstwem gubią się sami i w dodatku nam przyczyniają utrapień. Nie wątpię, że to właśnie zdarzyło się na Krecie.

Gawędząc jeszcze, ukradkiem dała znak kozłom, aby zabrali Ankajosa sprzed jej oblicza i zaszczuli go na śmierć. Zdecydowała bowiem, że ktoś, kto potrafi opowiadać tak niepokojące i nieprzyzwoite

historie, nie powinien ani chwili dłużej żywy pozostawać na wyspie, zwłaszcza że już jej wyjaśnił, co chciała wiedzieć o zasadach konstrukcji drewnianych posągów. Obawiała się szkód, jakie mógłby wyrządzić, podburzając umysły tutejszych mężczyzn. Poza tym był to człek zgarbiony, łysy, brzydki i stary, wygnaniec, a w dodatku członek bractwa delfinów, który by jej na pewno nie przyniósł szczęścia.

Kozły kornie uderzyli czołem przed nimfą Pomarańczową i zerwali się, by z radością wykonać jej rozkaz. Łowy nie trwały długo.

## **WYSUSZONY JĘCZMIEN**

Kiedy pierwsza faza greckich najeźdźców, plemię jońskie, posuwając się od pierwotnych siedzib w górnym biegu Danuby przez Istrię i Ilirię, dotarła na koniec do Tesalii, wszyscy tubylcy: satyrowie, Lapici, Etolowie, Flegowie i centaurowie, wycofali się do górskich kryjówek. Przybysze, bardzo silni liczebnie, przynieśli z sobą własnych bogów i wszystkie święte przedmioty kultu. Centaurowie, pierwotni mieszkańcy góry Pelion, śledzili ich powolny pochód z trzodami i stadami ku nizinie Pagazy daleko na zachód, gdzie stanęli obozem na parę dni; wkrótce jednak znęcani wieścią o jeszcze bogatszych pastwiskach dalej na południe, Jonowie podjęli wędrówkę w kierunku warownej Ftyi i zniknęli centaurom z oczu. W Jolkos u stóp Pelionu znajdowało się starodawne kolegium nimf-ryb, których najwyższa kapłanka ferowała wyroki w sprawach religijnych na użytek całej Ftiotis. Nimfy nie uciekły w chwili nadejścia Jonów, tylko robiły do nich przeraźliwe miny, pokazując języki i sycząc; rozważni Jonowie ominęli je i poszli do Beocji.

W Pelazgii, jak wówczas zwano Grecję, zastali lud gościnnie: rodowitych Pelazgów skrzyżowanych z Enetami oraz kreteńskimi i egipskimi osiedleńcami.

Wszyscy oni pod takim czy innym mianem czcili Trójboginię księżycy.

W czcigodnym przybytku bogini w Olimpii polecono posłom z Myken, Argos, Tyryntu i innych miast powitać Jonów uprzejmie pod warunkiem, że będą ściśle przestrzegali obyczajów religijnych panujących w jej włościach. Na Jonach wywarła wielkie wrażenie ogłada i stanowczość emisariuszy oraz potężne mury miast, które ich wysłały. Nieradzi wracać do Tesalii, a już bez nadziei na dalsze podboje, roztropnie pozwolili swym bogom poddać się bogini i zostać jej synami przez adopcję. Pierwszy przywódca joński, który namawiał do poddania, nazywał

się Minias i jego to odtąd bogini wyróżniała ponad innych; ojciec przywódcy, Chryzes, założył osadę Ajaję na wyspie tejże nazwy naprzeciw Poli na północy Adriatyku. Gdy Minias umarł, bogini nadała mu tytuł herosa i pięćdziesięciu nimfom poleciła dbać o jego wielką, białą świątynię w beockim mieście Orchomenos nad Jeziorem Kopajskim oraz w kwestiach obrzędowych sprawować sądy na użytek całej okolicy. Nimfy te nie wychodziły za mąż, tylko w dni świąteczne brały sobie kochanków na wzór pelazgijski. Egipcjanin Kekrops wprowadził już był do Attyki instytucję małżeństwa, a bogini wybaczyła te nowinki tylko o tyle, o ile dało się je praktykować bez ujmy dla niej ani obrazy dla jej pelazgijskiego ludu. Jonowie także znali małżeństwo, znajdując jednak, że najczcigodniejsze nacje uważają ten obyczaj za nieprzyzwoity, w większości zaniechali go ze wstydu.

Teraz nastąpiła druga inwazja grecka; tym razem dokonało jej plemię Ajolów, znacznie bardziej

krewkie niż Jonowie, przybyłe z Tracji. Ominęli Jolkos jak ich poprzednicy, ale zawładnęli beockim miastem Orchomenos, które zastali nie strzeżone podczas festynu. Ich dowódcy zdobyli prawo do tytułu wojskowych strażników kraju, skłoniwszy nimfy z przybytku Miniasa, żeby ich wzięły za mężów, a potem mianowali się Minijczykami. Stanowili arystokrację tej części Grecji wschodniej, nie zdołali jednak wywrzeć wpływu na Attykę czy Peloponez, ponieważ zagrażało im drogę warowne miasto: Teby kadmejskie. Ajolos, ich wielki przodek, również uzyskał tytuł herosa i z trackiej jaskini czy raczej rozpadliny w ziemi, gdzie pochowano jego kości, na prośbę pątników dobrotliwie rozsyłał wiatry o węzowych ogonach. Tę władzę nad wiatrami nadała mu Trójbogini.

Kiedy Tezeusz, król jońskich Aten, potajemnie zbudował flotę i złupił Knossos na Krecie, Minijczycy także zainteresowali się morzem. Wyekwipowali chyba ze sto okrętów, sporządzonych koło Aulidy na bezpiecznych brzegach Zatoki Eubejskiej. Tezeusz, chcąc uniknąć wojny morskiej, zawarł z nimi układ, na podstawie którego oba państwa zgodnie prowadziły handel wydarty z rąk Kreteńczykom i społeczeństwu piratów. Ateńczycy handlowali z południem i wschodem: z miastami Egiptu, Afryki, Fenicji, Azji Mniejszej i z frygijską Troją, najlepszym rynkiem Dalekiego Wschodu; Minijczycy – z Tesalią i Tracją na północy oraz Sycylią, Korkyrą, Italią i Galią na zachodzie. Dla ułatwienia kontaktów z zachodem Minijczycy trzymali część floty w piaszczystym Pylos, swoim porcie na zachodnim wybrzeżu Peloponezu, unikając w ten sposób trudnego kursu naokoło przylądka Malea. Wiatry zsyłane przez Ajolosa (a nimfy strzegące jego przybytku potrafiły je wzięć w świńskich pęcherzach) oddawały wielkie usługi szyptom okrętów minijskich.

Minijczycy się bogacili i z początku nikt nie zakłócał im uciech panowania, głównie dlatego, że czynili wszystko, by zadowolić boginię. Ich bóg nieba, Dionizos, którego na górze Lafistion czcili pod postacią barana, został publicznie uznany za syna bogini matki. Zmieniła mu z tej racji imię na Dzagreus lub Zeus, po dziecku, które, jak powiadano, w dowód swej płodności rodziła co rok w Grocie Diktyjskiej na Krecie, które jednak niezwłocznie składano w ofierze dla dobra kraju. Zwyczaj ten został zniesiony i Zeus korzystał z przywilejów boskiej dojrzałości. Choć w pewnych materiach przysługiwało mu pierwszeństwo przed boginią nimfą i boginią dziewicą, jej córkami, bogini matka pozostała bóstwem panującym.

Następnym wydarzeniem w historii Minijczyków, o ile dotyczy ona opowieści o Argonautach, było to, że rozszerzyli swoje włości aż do Zatoki Pagazyjskiej i daleko na północ do Larysy w Tesalii. Pyszny król minijski Atamas zaproponował

Ino, najwyższej kapłance kolegium w Jolkos, aby wyszła za niego, nimfy zaś wydała za jego dowódców. Ino nie bardzo mogła odmówić Atamasowi, wysokiemu, urodziwemu, jasnowłosemu mężczyźnie, ponieważ przyniósł bogate dary dla niej oraz pozostałych kobiet, a ponadto Minijczycy byli liczniejsi i lepiej uzbrojeni niż jej własny lud z Ftiotis. Jeśliby atoli przystała na małżeństwo, uszczupliłoby to prawa centaurów z Pelionu: centaurowie ze wspólnoty koni zawsze byli wybrańcami nimf-ryb z Jolkos, podobnie jak centauryjskie kolegium ptaka Krętogłowa – nimf, które miały pieczę nad świątynią herosa Iksjona – brało kochanków wyłącznie spośród magnezyjskiego bractwa lampartów. Ino zasięgnęła rady bogini, pytając, czy ona i jej nimfy mają zgładzić mężów w noc poślubną, jak w podobnej sytuacji niegdyś Danaidy z Argos, czy też mają same się zabić, skacząc w morze wzorem Pallantyd z Aten. A może bogini wskaże inne wyjście? Bogini odpowiedziała jej we śnie:

– Urać centaurów czystym winem, resztę mnie pozostaw.

Zaślubiny obchodzono z wielkim przepychem, a pod wpływem nalegań Ino bractwo koni zostało zaproszone ze swoich górskich jaskiń do wzięcia udziału w uroczystości. Kiedy przybyli, podano im nalane po brzegi puchary lemnijskiego wina. Centaury czczą tesalskiego herosa imieniem Sabazjos jako wynalazcę jęczmiennego piwa, ich rytualnego napoju, który z początku wywołuje wielką wesołość, a potem morzy wyznawców twardym snem. Teraz wzięli ten nie znany trunk za rodzaj piwa, widząc, że ma barwę bladożółtą, choć zapach ostrzejszy i nie trzeba do niego słomki, jak zwykli pić piwo, ponieważ go nie okrywa gruba warstwa piany. Prostodusznie wychylili wino z okrzykiem: „Io, Sabazjos! Io! Io!”

– stwierdzili, że jest słodkie w smaku i poprosili o jeszcze. Zamiast jednak uśpić, wino ich teraz rozpało, tak że miotali się nieopanowanie, wywracając oczyma i rżąc z pożądlivosti. Nimfy w porywie współczucia porzuciły nagle trzeźwych Minijczyków, co dolewali do wina cztery razy tyle wody, i pognały w las, by miłośnie obcować z centaurami.

To kapryśne zachowanie rozłościło Minijczyków, dopędzili więc żony i mieczami z brązu zarabali z tuzin centaurów. Na drugi dzień Atamas poprowadził

natarcie na ich górską twierdzę. Bronili się, jak umieli, sosnowymi włóczniami i głazami spychanymi po zboczu, ale pobił i przegonił ich precz na północ. Aby odebrać im chęć do powrotu, usunął ze świątyni kobylogłowy posąg Białej Bogini i zabrawszy go do kolegium ryb w Jolkos, zuchwale przekazał świątynię peliońską Zeusowi-baranowi, czyli Zeusowi – dawcy deszczu. Na pewien czas centaury upadli na duchu, ale Ino (za pośrednictwem jednej z nimf) potajemnie przeniosła kobylogłowy posąg do jaskini w lesistej dolinie na połowie drogi do góry Ossa, gdzie znów gromadzili się centaury, śląc modły o pomstę.

Król Atamas był nieświadom, że Ino zwróciła posąg centaurom; inaczej przemówiłby do niej pewno jeszcze zuchwalej, niż to uczynił.

– Żono – rzekł – przegnałem tych waszych kochliwych koniuchów z Pelionu, ponieważ zbezczęścili naszą noc poślubną. Jeśliby który z nich w poszukiwaniu posągu bogini ośmielił się pojawić na równinach Jolkos, zostanie ubity bez litości.

Pelion ma być odtąd mieszkaniem boga Ajolów Zeusa; bardziej się dlań nadaje niż znacznie niższa góra Lafistion.

– Bacz, co mówisz mężu – odrzekła Ino – skoro już muszę cię tak nazywać.

Jakże bogini przyjmie to, żeś ją usunął z Pelionu? I jak twoim zdaniem obrodzi jęczmień, jeśli bractwo koni nie przybędzie na uroczystości siewne, aby obcować ze mną i moimi rybami pod okiem Białej Bogini?

– Bogini nie pożałuje Pelionu synowi – odparł Atamas ze śmiechem. – A teraz, gdy wszystkie kobiety dostały mężów spośród mojej świty, ty zaś masz mnie, czego możesz jeszcze pragnąć? Wysokie, mocne chłopcy jesteśmy, pod każdym względem nieporównanie lepsi od tych zwariowanych gołych

centaurów.

I będziemy z całym ukontentowaniem zabawiali się z wami na polu, jeśli o tej porze roku zwykle was bierze chęćka.

– Czy jesteście dostatecznie głupi, by uważać, że bogini nam pozwoli przyjąć uściski twoich baranów w tak świętej chwili? Na pewno nie pobłogosławi zbiorów, jeśli to zrobimy. Nie, nie! Chętnie będziemy wam żonami przez większość dni w roku, ale jeśli rzeczy mają przybrać obrót pomyślny, musimy zadawać się nie tylko z centaurami w porze siewów, lecz także z wędrownymi kozłami-satyrami podczas uroczystej kapryfikacji, kiedy się przyspiesza dojrzewanie fig ukłuciami gąsienic galasówki; oraz z kochankami z innych bractw przy stosownych okazjach, jakie od czasu do czasu może mi wskazać bogini.

– Czy jesteś aż tak głupia, by uważać, że choć jeden zdrowy na umyśle Grek pozwoli swojej żonie zażywać uścisków innego mężczyzny, czy to podczas festynów siewnych, czy jakich bądź innych? Bzdury pleciesz. Figi dojrzewają same bez sztucznych zabiegów, o czym możesz się przekonać w opuszczonych sadach, gdzie odbywa się to bez obrzędu. A nawet przy zasiewach jęczmienia po cóż nam, Minijczykom, potrzebne kobiety? Bohater Tryptolemos dowiódł, że mężczyźni mogą siać jęczmień z równym jak baby powodzeniem.

– Dokonał tego za specjalnym pozwoleniem bogini – powiedziała Ino – której latarnia-księżyc jest źródłem siły, co każe kiełkować nasionom i dojrzewać owocom.

– Wcale bogini nie trzeba było prosić o pozwolenie – odrzekł Atamas. – Ona nie ma istotnej władzy nad zbożem ani owocami. Wystarczy troskliwie zasiać ziarno jęczmienia, kiedy moc słońca omdlewa, w bruzdy należycie zaoranego pola, a potem zabronować broną z tarniny i już tylko zraszać deszczem w odpowiedniej porze. Zeus za moim wstawiennictwem dostarczy deszczu, a odrodzone słońce wspaniale rozwinie kłosa. Księżyc jest zimny i martwy. W ogóle nie ma mocy twórczej.

– A co ze świętą rosą? – spytała Ino. – Pewnie rosa jest także darem słońca?

– W każdym razie nie darem księżycy – odparł – który, bywa, nie wzeszedł

jeszcze, gdy trawa jest już siwa od rosy.

– Dziwię się – rzekła Ino – że śmiesz w ten sposób mówić o bogini. Równie się dziwię, że nie pytając mnie o zdanie, usunąłeś jej czcigodny posąg ze świątyni i zastąpiłeś go podobizną jej przybranego syna. Straszliwy los czeka cię, Atamasie, o ile się nie poprawisz, nim dzień minie, i nie zwrócisz ze skruchą do bogini. Jeśli nawet siew Tryptolemosa wydał dobre żniwo, bądź pewien: to dlatego, że on zjednął sobie przedtem łaskę bogini pokorą i nie zaniechał żadnego ze zwykłych obrzędów miłosnych podczas siewu. Poza tym to nieprawda, że w opuszczonych sadach figi dojrzewają bez kapryfikacji. Istnieje pełny wykaz drzew figowych w tym kraju i każde drzewo pielęgnuje jedna z moich nimf, choćby rosło najbardziej samotnie i daleko.

– Nie przywykłem, żeby mną rządziły kobiety – odparł zapalczywie Atamas. –

Moją beocką żoną Nefele, co wyglądała mnie w Orchomenos, doświadczenie nauczyło unikać mojego gniewu i zajmować się własnymi sprawami, mnie zostawiając moje. Byłbym doprawdy głupcem, gdybym przyszedł do świątyni, gdzie jesteś najwyższą kapłanką, i właśnie ciebie prosił o wstawiennictwo u bogini.

Ino udała, że ją napęła lękiem męska gwałtowność Atamasa. Pieszcząc jego głowę i gładząc go po brodzie, zawołała:

– Przebac, mężu, że zwierzyłam ci się ze swych religijnych skrupułów! Będę posłuszna we wszystkim. Ale zgódź się w zamian, aby twoi poddani wzorem Tryptolemosa sami siali zboże, bez pomocy moich kobiet. Boimy się gniewu naszej bogini, gdybyśmy uprawiały jęczmień z pominięciem zwykłych obrzędów użyźniających, do jakich miłosne obcowanie z centaurami wydaje się nam niezbędne.

W ten sposób ułagodziła Atamasa. Nie bardzo poważał boginię, ufny raczej w moc Zeusa, który pod dawnym mianem Dios był najwyższym bóstwem jego rodaków, gdy po raz pierwszy przybyli do Tesalii. Do nowo poświęconego przybytku Zeusa – dawcy deszczu na Pelionie przeniósł z góry Lafistion obiekt szczególnie święty. Był to posąg boga-barana wyrzeźbiony z korzenia dębu i obciążony wielkim owczym runem barwionym morską purpurą na podobieństwo obłoków deszczowych. Potrafiło ono magicznie wywołać ulewę nawet u szczytu lata. Z racji przysłowia: „Deszcz jest złotem” – a także z przyczyny złocistego pyłku, co barwi żywe stada na zboczach Idy, gdzie, jak powiadają, pastusi wychowywali Zeusa, brzegi runa obszyto cenną frędzlą z cieniutkiego złotego drutu wijącego się kędzierzawo niby wełna; stąd powstała nazwa „złote runo”.

Potężne zakręcone złote rogi umocowano do łba okrywającego drewniany kikut rzeźbionej głowy. To złote runo wyglądało wspaniale i bez ochyby sprowadzało deszcz, ilekroć złożyło się bogu należytą ofiarę.

Kapłani twierdzili, że Zeus w takich chwilach unosił posąg: ulatywał on –

mówili – w dymie ofiarnym przez otwór w dachu świątyni, a potem zstępował

znowu, ociekając wilgocią pierwszych kropli deszczu.

W Jolkos zakończono żniwa i zbliżał się okres siewów jesiennych. Ino czekała na znak Białej Bogini, która rzeczywiście znowu pojawiła jej się we śnie i rzekła:

– Dobrze uczyniłaś, Ino, ale uczynisz jeszcze lepiej. Wydobądź całe ziarno siewne z dzbanów trzymanyh w moim świętym przybytku i potajemnie rozdaj kobietom Ftiotis. Każ im wysuszyć je przy domowych ogniskach, każda po dwa lub trzy pełne kosze, ale tak, by żaden z mężczyzn nie dowiedział się, co zrobiły, pod grozą mojej śmiertelnej niełaski.

Ino zadrżała przez sen i zapytała: – Matko, jak możesz prosić mnie o to? Czyż ogień nie wypali życia w świętym ziarnie?

– Uczyń to jednak – odparła bogini. – A równocześnie bedłkiem i plamistą cykutą zatruj wodę w

minijskich poidłach dla owiec. Mój syn Zeus zagarnął mój dom na Pelionie i ukarzę go, niszcząc mu stada.

Ino ściśle wysłuchała polecenia, choć z odrobiną niepokoju w sercu. Kobiety wykonały przeznaczone sobie zadania, i to bez niechęci, bo nienawidziły minijskich zdobywców. Gdy owce padły, Minińczycy nie podejrzewali w tym ręki kobiet, tylko narzekali pomiędzy sobą na Atamasa. Ponieważ prawo zabraniało w ogóle spożywania martwych zwierząt spoza rytualnego uboju, byli zmuszeni jeść więcej chleba, niż przywykli, i wszelką dziczyznę, jaką zdołali upolować w lesie; a nie celowali w łowach.

Ino oświadczyła Atamasowi: – Mam nadzieję, mężu, że się wam powiodą siewy. Tu masz ziarno jęczmienia, przechowywane w dzbanach. Spójrz i powąchaj, jakie suche: spleśniałe zboże, jak pewnie wiesz, nie daje pełnych kłosów.

Księżycyca ubywało. Jednak Minińczycy z Atamasem na czele zasiali ziarno w bruzdy zaoranej ziemi. Zrobili to bez żadnych obrzędów ani modłów, a nimfy Ino obserwowały ich z daleka i śmiały się cicho. Szczególnym trafem nastąpiła niezwykła susza i skoro jęczmień w przewidzianym czasie nie wyjrzał zielenią nad glebę, Atamas z paroma towarzyszami wspiął się na górę, gdzie wzywali Zeusa-dawcę deszczu.

Czynili to za pomocą deszczowych grzechotek i kołatek oraz ofiary z czarnego tryka, paląc święte kości udowe owinięte w słoninę i ochoczo zajadając mięso do ostatniego kęsa.

Tegoż wieczoru spadła przyjazna ulewa.

– To ożywi jęczmień, żono, nie ma strachu – powiedział Atamas do Ino.

Minęło dziesięć dni i wciąż nie było ani źdźbła zieleni. Ino powiedziała Atamasowi:

– Ulewa, którą zesłał Zeus, nie wystarczyła. Nie nasyciła gleby. Obawiam się, że zasiałeś ziarno zbyt głęboko. Musisz znowu wezwać Zeusa; a może by posłać do trackiej świątyni twego przodka Ajolosa po parę podmuchów niosącego deszcz wiatru północno-wschodniego?

Atamas, coraz bardziej zaniepokojony, powtórnie się wdrapał na Pelion. Tym razem przejednał boga ofiarą z sześćdziesięciu białych i jednego czarnego barana, paląc je na popiół na ognisku z kłód sosnowych i nie kosztując ani odrobiny, by okazać pokorę serca. Wymachiwał grzechotką i kołatał tykwą deszczową, aż go ramiona rozbolewały. Tej nocy punktualny Zeus grzmiał i błyskał, i spuścił istny potop, tak że Atamasa i jego ludzi omal nie zmyło w drodze powrotnej do Jolkos.

Potok Anauros wezbrał nagłą powodzią i zerwał kładkę, przez którą przechodzili, musieli więc czekać, aż wody opadną, by móc dotrzeć do miasta.

W tydzień później na polach, choć gęsto zarosły zielskiem, jakie wyhodował

deszcz, nie było widać ani kielka jęczmienia. Ino powiedziała Atamasowi:

– Ponieważ wytłumaczyłeś mi, że zaniechanie obrzędów użyźniających, o których mówiłam, nie



mogło spowodować nieurodzaju, dochodzę do wniosku, że Zeus zesłał niedobry deszcz. Jeśli do następnego nowiu jęczmień nie wykiełkuje, część z nas musi zginąć z głodu. Już za późno, żeby siać nowe ziarno, większość waszych stad padła, a twoi ludzie spustoszyli spichrze ze zbożem. Co do ryb, wszystkie opuściły zatokę od czasu przybycia twoich Minijczyków, czego zresztą należało się spodziewać: uważają, że nasze kolegium zostało sprofanowane.

Za podszeptem Ino jej nimfy, udając wciąż najwyższy szacunek dla mężów, skłoniły ich, aby zażądali od Atamasa złożenia trzeciej i ostatecznej ofiary.

Minijczycy wierzyli bowiem, że jeśli Zeus nie zechciał spuścić deszczu, gdy mu się dało tryka, a nawet gdy otrzymał ich pięćdziesiąt, to znak, że łakomie żąda czegoś jeszcze lepszego – własnych dzieci kapłana. Mężowie przyznali kobietom, że trzeba teraz dokonać tej ofiary, i pewnego dnia tłumnie przyszli do Atamasa, kiedy stał właśnie ponuro, grzebiąc łaską w jałowej glebie jęczmiennego pola. Najstarszy z gromady rzekł:

– Współczujemy ci, Atamasie, ale wzywamy do bezzwłocznego spełnienia obowiązku. Ofiaruj swego syna Fryksosa i swoją córkę Helle ojcu Zeusowi, a święty deszcz, który wówczas na pewno spadnie, obudzi ziarno jęczmienia i ocali nam życie.

Z początku Atamas nie chciał ich słuchać. Gdy zagrozili mu przemocą, zgodził

się złożyć dzieci w ofierze, jednak pod warunkiem, że tak rozkaże wyrocznia w Delfach. Delfy stanowiły wówczas dla Greków najwyższy sąd odwoławczy w sprawach religijnych. Wyrocznie sprawowała kapłanka Białej Bogini.

Początkowo wieszczę natchnienie zsyłał na nią święty pyton, duch zmarłego bohatera Dionizosa, który posiadał szczególne zaufanie bogini i którego pępowna oraz szczęka leżały w świątyni na stole za ogrodzeniem z włóczni. Ale ten pyton, kiedy Grecy po raz pierwszy przybyli do Tesalii, robił podobno jakieś lekceważące uwagi o ich nowym bogu, Apollonie-łuczniku. Apollo, dawniej demona myszy z wyspy Delos, co był w mocy budzić i uśmierzać zarazę, heneccy koloniści zanieśli jako boga do Tempe w Tasalii, gdzie ocalił Ajolów od moru. Gdy łucznicy Apollina usłyszeli, że Dionizos odmawia ich bogu boskości, a w dodatku zapewnia:

„Połknę tę myszkę” – wściekli pomaszerowali do Delf ze swej rodzinnej doliny w Tesalii, wkroczyli do przybytku Dionizosa i trzykroć zapukali do drzwi krągłego, białego grobowca. Pyton rzucił się na nich z furją, a łucznicy przeszli go strzałami. Potem spalili pępownię i szczękę herosa na ognisku z drzewców świętych włóczni i pędem wrócili do Tempe. Aby dać zadośćuczynienie za zbrodnię, Apollo zgodził się (acz niechętnie) iść w służbę Białej Bogini i wprowadziwszy się do pustego grobowca w Delfach, podjął pracę wykonywaną dawniej przez Dionizosa; na cześć Pytona zaś wprowadził igrzyska pytyjskie.

Dlatego to kapłanka, choć nadal nazywana Pytią, nie odczytywała i nie odkrywała już więcej przeszłości czy przyszłości ze znaczących skrętów węża. Zamiast tego żuła liście lauru, drzewa poświęconego Apollinowi, które wprowadzały ją w proroczy trans. Przywieziono do Delf pełen okręt młodych szczepów laurowych z Tempe i zasadzono je wokół świątyni, tak że teraz ich gałęzie zetknęły się, tworząc cienisty dach. Miejsce to wciąż zwano Pyto lub sanktuarium pępka, ale kapłani

Apollina tłumaczyli, że zawdzięcza ono nazwę swemu położeniu w środku Grecji. Pamięć o Dionizosie zaginęła i przez długi czas jej nie wskrzeszano.

Atamas oczekiwał od Pytii łaskawej odpowiedzi, ponieważ, jak mówił, „Apollo będzie mi współczuł w kłopotach. Zrozumie, że bogini spowodowała moje strapienie – ona to uparcie zabrania ziarnu kiełkować. Mimo udanej lojalności wobec niej, znajdzie chyba sposób uwolnienia mnie od tych okrutnych zobowiązań; nam, Ajolom, wiele zawdzięcza. Dlaczego miałbym poświęcić dzieci Zeusowi tylko z tej racji, że jego matka zachowuje się ze zwykłą babską przewrotnością?”

Ino równocześnie posłała do Delf beockich pasterza, co znał najkrótsze przejścia przez niedostępne góry i cierniem zarosłe doliny, i uprzedziła Pytię, że Atamas nie tylko odniósł się niegrzecznie do bogini, której zarówno Apollo, jak i ona winni są posłuszeństwa, ale nie chce przystojnie ułagodzić Zeusa i ten jego upór grozi zupełną nędzą całemu plemieniu, a w dodatku także centaurom. Dlatego kiedy przybył Atamas i próbował przebłagać Apollina, ofiarując mu złoty trójnóg, Pytia nie przyjęła podarku, poleciła mu natomiast na górze Pelion złożyć w ofierze Zeusowi-dawcy deszczu własnych dwoje dzieci, i to bez zwłoki.

Przez tego samego pasterza, swego emisariusza, Ino dostała w porę wiadomość o odpowiedzi Apollina, na cztery czy pięć dni przed powrotem męża.

## **RUNO UTRACONE**

Ino posłała po Helle i ostrzegła ją, że Atamas zamierza odebrać jej życie. –

Córko – spytała – i cóż ty na to? Czy twój ojciec ma po barbarzyńsku złożyć na ofiarę ciebie i twego drogiego brata Fryksosa, w kwiecie wieku tylko dlatego, że tak rozkazał Apollo? Apollo to intruz na Parnasie, przybłąda delijski, którego w złą godzinę wywyższył jego lud, już dawno po śmierci twego wielkiego przodka Ajolosa. Ani jedna godna zaufania przepowiednia nie wyszła ze świątyni pępka, odkąd pyton Dionizosa został przezeń zuchwale zabity. Apollo nie cieszy się zaufaniem bogini, choć tak utrzymuje, i zamiast prawdy daje zagadki albo dwuznaczniki.

Helle, cała drżąca i we łzach, odparła: – Apollo lęka się Zeusa, tak samo jak mój brat Fryksos i ja. Przyszło nam umrzeć, świątobliwa.

A na to Ino: – Jeśli ofiara jest potrzebna, czemu sam Zeus jej nie nakazał?

Zważ, córko, co twego ojca doprowadziło do tej okrutnej decyzji. Najpierw znieważył Białą Boginię, która jest bóstwem panującym zarówno we Ftiotis, jak i w Magnezji, usiłując pozbawić moje nimfy-ryby w Jolkos uświęconych jesiennych spotkań z centaurami z bractwa koni. Oczywiście poczuła się dotknięta i podszeptała centaurom, aby przeszkadzili w zaślubinach, do jakich nas zmusił

wraz ze swymi Minińczykami. W odwet twój ojciec brutalnie wygnał ją ze świątyni, którą przekazał jej chciwemu synowi Zeusowi. To było wtrącanie się do spraw boskich, do czego żaden śmiertelnik nie ma prawa. Bogini przeto rozgniewała się jeszcze bardziej i wytruła mu stada; a gdy pominięto obrzędy miłosne przy zasiewach jęczmienia, nie raczyła zapłodnić ziarna, tak że żadna ilość deszczu, jaką by Zeus zdołał zesłać, nie mogła pobudzić ziarna do kiełkowania.

Zeus wcale nie żądał, aby ciebie i Fryksosa poświęcono tak okrutnie, bo to nie jego gniew wyjąłowił pola, tylko gniew jego matki.

– Ale Apollo tak rozkazał – rzekła Helle łkając.

– Apollo zawsze tylko narobi kłopotu. Zaleca ofiarę w nadziei, że wystawi Zeusa na pośmiewisko mojego i twojego plemienia: wie, że choćby całą hekatombę dziewcząt i chłopców złożono w ofierze na urwistych zboczach Pelionu, nie zakiełkuje ani jedno źdźbło jęczmienia, dopóki twój ojciec nie ukorzy się przed boginią i nie przywróci odwiecznej czystości jej obrządkowi. – I zakończyła starodawną formułą: – To nie moje słowa, a słowa matki.

Mimo że Helle poszłaby na stos pogrzebowy bez cienia myśli o nieposłuszeństwie, skoro Zeus tak rozkazał, wyjaśnienia Ino napełniły ją nadzieją, że da się może uniknąć złego losu. Odszukała Fryksosa, który –

ogłuszony wieścią o grożącej ofierze – popadł w żalosaną apatię. Nigdy w najdrobniejszej sprawie nie okazał ojcu samowoli, a dla Zeusa żywił najgłębszą cześć: ilekroć nad wzgórzami przetoczył się grzmot czy zalśniła błyskawica, zatykał sobie uszy woskiem, zawiązywał oczy lnianą przepaską, wpełzał pod stertę kołder i tak siedział, dopóki go słudzy nie upewnili, że niebo jest znowu czyste.

Lecz Helle spytała go poufnie: – Bracie, dlaczego mamy dobrowolnie oddawać życie w ten niedorzeczny sposób? Albo dlaczego, skoro nasz ojciec Atamas popełnił świętokradztwo, mielibyśmy posłużyć jako narzędzie zaostrzania już istniejących pomiędzy nieśmiertelnymi bogami niesnasek?

Fryksos, blady i wychudły od postu, odparł: – Kimże jesteśmy, aby kwestionować nasz los? Możemy się tylko podporządkować, nic więcej.

Helle z uśmiechem poklepała go po policzku i rzekła: – Post osłabił twoją odwagę. Nasza kochająca macocha Ino obmyśli dla nas odpowiednie środki ocalenia. – Póty Helle nalegała, aż wreszcie Fryksos pozwolił jej sobą kierować, i dzięki temu uratował życie.

Ino nadal przekonywała ich oboje, że ani Zeus nie zalecił ofiary, ani Atamas nie pragnie jej składać.

– Do tej pory – mówiła – ojciec nie uprzedził żadnego z was o swych zamiarach. Nic go bardziej nie zdoła uradować, gdy powróci z Delf, podróżując możliwie najpowolniej, niż stwierdzenie, żeście oboje uciekli: mimo bowiem wszystkich swoich błędów jest najczulszym ojcem, to mu trzeba przyznać.

– Ale gdzież mamy uciec? – spytał Fryksos. – Nasz ojciec cieszy się w Grecji wielką powagą i, dokądkolwiek się udamy, z pewnością sprowadzi nas z powrotem. Musi słuchać wyroczni w Delfach, chce czy nie chce; i jeśli poszukamy schronienia w Atenach, Tebach lub Argos, wielkorządcy tych miast skwapliwie odeślą nas do Jolkos, skoro usłyszą, że Apollo domaga się naszej śmierci.

– Świat się nie kończy na Grecji – rzekła Ino. – Zarówno władza Apollina, jak Zeusa nie sięga poza

Grecję i jej kolonie. Tylko Trójbogini rządzi wszechświatem.

Jeśli zechcecie oddać się pod jej opiekę, znajdzie wam za morzami dom bezpieczny i miły. Ale, dzieci, pospieszcie się z decyzją, ponieważ ojciec, choćby podróżował

najpowolniej, musi się już znajdować niedaleko.

Traf chciał, że Nefele, beocka żona Atamasa, właśnie tego dnia przyjechała do Jolkos odwiedzić Fryksosa i Helle. Ino przyjęła ją wyjątkowo uprzejmie i udając przesadny niepokój o los dzieci, przekonała, że powinny zdać się na miłosierdzie bogini i słuchać bez zastrzeżeń jej boskich nakazów, jakiegokolwiek by były. Nefele nie wierzyła w prawdomówność wyroczni delfickiej i zgadzała się, że bogini, choć Atamas ją znieważył, może okazać litość jego dzieciom, jeśli uciekną się do niej z całym nabożeństwem. Ino ją namówiła do uczestnictwa wraz z nimfami-rybami w najbliższej orgii w noc księżycową koło Pelionu. Nefele uwieńczyła głowę girlandą z liści bluszczu, wzięła w dłoń gałązkę z szyszką jodłową i, okryta jedynie sarnią skórą, z całą gromadą jak szalona pomknęła po zboczu, dokonując niebywałych wyczynów. Zdawało się, że ma skrzydła u stóp, a nigdy do tej pory nie doznała takiej świętej ekstazy. Atamas zlekceważył ją, żeniąc się z Ino, i to była jej zemsta; znalazła bowiem wśród centaurów paru kochanków gorliwszych od niego.

Wszystkie razem, Ino, Nefele i Helle, rozwiały religijne skrupuły Fryksosa.

Mężczyzna w pojedynkę nie zdoła się długo opierać ponawianym namowom trzech kobiet, chyba żeby użył przemocy. Tego wieczora oboje z Helle oczyścili się, a Ino dała im odwaru ze świętych ziół, który ich uspił; we śnie głos, a wzięli go za głos samej bogini, przyobiecał im życie pod warunkiem, że usłuchają pewnych poleceń.

Gdy się zbudzili, powtórzyli sobie nawzajem, co głos powiedział, i oba nakazy zgadzały się co do słowa. Brzmiały zaś tak:

– Dzieci Atamasa, czemuż macie umierać za grzech waszego ojca? To ja i tylko ja przekleństwem wyjąłowiłam pola jęczmienia. Ani deszcz, ani słońce, ani rosa nie są w stanie powołać ich do życia. Obraziło mnie wtargnięcie mego syna Zeusa do starożytnej świątyni na Pelionie i usunięcie stamtąd mojej kobylogłowej podobizny. Jam jest Trojaka Matka Życia, pani wszystkich żywiołów, pierwotny Byt, Władczyni Światła i Ciemności, Królowa Umarłych, której podlega każdy bóg bez wyjątku. Rządzę na gwiazdzistym niebie, na burzliwych zielonych morzach, na różnobarwnej ziemi z wszystkimi jej mieszkańcami, rządzą w ciemnych grotach podziemnych. Noszę niepoliczone imiona. We Frygii zwą mnie Kybele; w Fenicji

– Astarte; w Egipcie – Izydą; na Cyprze – królową cypryjską; na Sycylii –

Prozerpiną; na Krecie – Reą; w Atenach – Palladą i Ateną; dla pobożnych Hiperborejczyków jestem Samoteą; Anu – dla ich nieoświeconych wyrobników.

Dla innych nazywam się Diana, Agdistis, Mariana, Dindymene, Hera, Juno, Muza, Hekate. A w stajniach Słońca w Kolchidzie, na najdalszym krańcu Morza Czarnego, w cieniu wyniosłego Kaukazu, gdzie zamierzam was wysłać, noszę imię Ptasiogłowej Matki albo Brimo, albo

Niewypowiedzianej. To ja właśnie natchnęłam wyrocznie w Delfach. Wasza matka niesłusznie wątpi w prawdziwość wyroku; ale wydano go, aby przywieść do zguby raczej waszego ojca niż was.

Dziś wieczór w blasku księżyca musicie oboje wspiąć się stromą ścieżką, która wije się po zboczu Pelionu aż do mego świętego przybytku. Fryksos wejdzie pierwszy, w rytualnej masce konia, a zastawszy strażników świątyni uśpionych, zawoła bez lęku: „W imię matki!” Następnie odczepi święte runo z posągu barana, owinie je ciemną derką i wyjdzie. Potem wkroczy Helle, w podobnej masce, znajdzie derkę i nie odwijając jej wyniesie toból ze świątyni. Później wrócicie tam oboje; razem wywleciecie strażników za nogi, pomazecie im włosy końskim łajnem i zostawicie ich na ziemi poza obrębem przybytku. Wrócicie ponownie, zabierzecie sam obnażony posąg i położycie go do góry brzuchem, z kopytami w powietrzu, wśród uśpionych strażników. Następnie wylejecie na posąg cały bukłak wina i okryjecie go opończą. Potem z ukrycia będziecie śledzić powrót kobylogłowej figury do świątyni, w uroczystej procesji moich centaurów wymachujących pochodniami, przy dźwiękach puszczalek i kobzy. Skoro drzwi przybytku zamkną się za nimi, spiesznie powrócicie do Jolkos, po kolei dźwigając runo.

Przed bramą miasta spotkacie posłańca z białą pałeczką, któremu należy tylko powiedzieć: „W imię matki!” Zaprowadzi was oboje na piaszczysty brzeg Pagazy, gdzie znajduje się stocznia, i wsadzi na pokład korynckiej galery, która ma płynąć do miasta Kyzikos nad Propontydą. Musicie zachować nabożne milczenie przez cały czas podróży, a gdy się już znajdziecie o dzień drogi od mojej świętej wyspy Samotraki, Fryksos rozwiesi błyszczące runo na dziobie okrętu. Z Kyzikos udacie się drogą lądową do królestwa Mariandynów na południowym brzegu Morza Czarnego i zażądacie w moim imieniu przewiezienia morzem do Kolchidy. Gdy wysiądziecie na koniec w kolchidzkiej Ai, macie ofiarować runo Ajetesowi, królowi Kolchów, i oświadczyć: „To dar od Matki, Niewypowiedzianej. Strzeż go pilnie”. Od tej chwili wolno wam żyć swobodnie i szczęśliwie, o ile nadal będziecie mi służyć. Gdyby przypadkiem Ajetes w obawie przed klątwą Zeusa zapytał: „Czyście ukradli runo ze świątyni?” – ty, Fryksosie, odpowiedz: „Na potęgę bogini przysięgam, że nie wykradłem runa z obrębu świątyni ani nikogo nie skłoniłem, aby to dla mnie uczynił” – ty zaś, Helle, dodaj: „Na potęgę bogini przysięgam, że wcale nawet nie widziałam runa, dopókiśmy się nie znaleźli o dzień drogi od Samotraki”. W ten sposób oszukacie go, mówiąc najczystsza prawdę.

Fryksos i Helle usłuchali tych wskazówek co do joty, choć nie bez lęku i niepokoju w sercu. To właśnie Chejron, mądry centaur, syn Filiry, kapłanki wyrocznego przybytku Iksjona, wiódł triumfalną procesję powracającej bogini.

Potem ukryty wśród skał czekał, aż się zbudzą oszołomieni strażnicy, i śledził ich pełne zgrozy twarze, gdy zastali pomiędzy sobą boga-barana nagiego i pijanego na kamiennej ławie poza obrębem świątyni. Zerwali się spiesznie, przynieśli wody i obmyli posąg. Wytarli go do sucha własnym ubraniem i już mieli wnieść z powrotem do środka; tam jednak, na swym dawnym miejscu, zasiadła kobylogłowa bogini, a z jej ust dobył się głos podobny do rżenia:

– Strażnicy – rzekła – zabierzcie stąd mego pijanego syna i niechaj nie wraca, dopóki nie będzie odziany i trzeźwy.

Kapłani, pełni zgrozy, ukorzyli się przed nią, wybiegli z lamentem i ponieśli posąg na dół do Jolkos na prostych noszach z sosnowych gałęzi okrytych opończą.

Tam wytłumaczyli minijskim dowódcą, że bóg ich zaprosił na wino, że z początku odmówili, zwykle bowiem pijał wodę, co najwyżej z miodem; ale póty nalegał, aż ich przymusił. Więcej nie pamiętają do momentu, gdy się ocknęli na jednym z nim barłogu z bólem głowy i odzieżą poplamioną winem.

Wszczął się zgiełk z powodu runa, jeszcze nim Atamas wrócił. Gdy się okazało, że Fryksos i Helle zniknęli mniej więcej równocześnie, rozgłoszono, iż poszli w góry oddawać cześć bogu (ponieważ jakiś pasterz widział, jak się wspinali ścieżyną), natknęli się na runo leżące na ziemi, gdzie je bóg porzucił w pijackim zamroczeniu, i zamierzali je oddać do przytułku; tam jednak bogini poleciła im załatwić to inaczej.

Późniejsze pogłoski, że ich widziano w drodze na północ, w stronę Ossy, rozpuściła Ino, aby skierować pościg na fałszywy trop. Naprawdę Fryksos i Helle zeszli z góry zaraz po zachodzie księżyca i przez nikogo nie zaczepieni spotkali męża z białą pałeczką. Zaprowadził ich do Pagazy i umieścił na korynckim okręcie, co odpływał o brzasku. Szyper przyjął ich w imię bogini, a oni zachowali święte milczenie; zaś trzeciego dnia, kiedy ze sprzyjającym wiatrem mijali górę Atos na półwyspie Akte, Fryksos wydobył złote runo z ciemnej derki, jaką było owinięte, i rozwiesił na dziobie ku osłupieniu szypra i załogi.

Żeglowali dalej i niebawem wpłynęli w wąski przesmyk, zwany niegdyś Cieśniną Dardajską, co wiedzie z Morza Egejskiego na Propontydę. Dzień był

bezwietrzny i z całej siły wiosłowali przeciw bystremu prądowi, który mimo wszystko znosił okręt z kursu. I tutaj Helle, usadowiona na dziobie, zapomniała o danych wskazówkach. Zerwała się i przerywając ciszę, wykrzyknęła: –

O Fryksosie, braciszku, jesteśmy zgubieni! – Ujrzała bowiem, że kierują się wprost na Skały Dardańskie. Nagły podmuch wiatru uderzył w okręt, odwrócił go i wydał

żagiel; odsunęło ich od skał – byli ocaleni. Lecz gwałtowny wstrząs zrzucił Helle z pokładu, przyplływ ją uniósł bez ratunku i utonął. Do dziś Grecy zwą ten przesmyk Hellespontem, czyli Wodami Helle.

Fryksos, dzięki ściślejszemu stosowaniu się do życzeń bogini, dotarł cało do Kolchidy, wręczył runo królowi Ajetesowi i w zalecony sposób odpowiedział na pytania. Ajetes zawiesił runo na cyprysie w świętym przybytku, mieszkaniu olbrzymiego wyrocznego pytona. W pytonie tym przebywał duch starożytnego herosa kreteńskiego, Prometeusza, który, powiadają, pierwszy odkrył i pokazał

rodzajowi ludzkiemu, jak się roznieca ogień krzesiwem obrotowym lub świdrowym, a co za tym idzie zapoczątkował rzemiosło garncarskie, metalurgię i inne, pominąwszy już, że był pierwszym kucharzem oraz pierwszym piekarzem.

W Attyce i Fokidzie cieszył się wielkim szacunkiem; ale jego pępowina, szczęka i pozostałe czyniące cuda relikwie przez wiele lat spoczywały w korynckiej Efirze, skąd uchodząc do Kolchidy, zabrał je jego potomek Ajetes. Pomiędzy czcicielami Zeusa i wyznawcami Prometeusza rozgorzał kiedyś długotrwały spór; Grecy bowiem uważali błyskawicę Zeusa za pierwotne źródło ognia i kapłani w

Dodonie oskarżyli Prometeusza, że ukradł jedną iskrę w jakimś sanktuarium Zeusa i kazał

jej się tlić niewidocznie w wydrążonej łądydze kopru. I rzeczywiście istnieje olbrzymia, wysokości człowieka odmiana kopru, w którego wysuszonej łądydze dziesięć stadiów z górą można nieść zarzewie, aby potem rozdmuchać je w płomień. Jakkolwiek prawda wyglądała, przekazanie złotego runa Zeusa pod opiekę kreteńskiego Prometeusza stanowiło następny dowód nieubłaganej postawy Białej Bogini. Lecz Ajetes przyjął Fryksosa gościnnie, pozwolił swej córce Chalkiopie wyjść za niego za mąż i wcale nie żądał wiana. Długie i pomyślne lata spędził Fryksos w Kolchidzie.

Kiedy Atamas wrócił do Jolkos i dowiedział się, co się stało podczas jego nieobecności, uznał, że najwidoczniej zniechęcili go wszyscy bogowie. Leżał na sofie, zakrył głowę skrajem szaty i jęczał. Ino przyszła go pocieszyć.

– Mężu – rzekła – jeden z centaurów, którzy nadal żartobliwie okupują Pelion na znak buntu przeciw twoim rozkazom, doniósł, że wczesnym rankiem tego fatalnego dnia widział twego syna i córkę, jak wspinali się z wolna ku świątyni boga-barana, skąd rozlegał się hałas pijackich awantur. Pozdrowił ich i odbiegł.

Któż wie, co się mogło wydarzyć, kiedy dotarli do przybytku i znaleźli hulaszczego syna leżącego nago wśród strażników, podczas gdy trzeźwa matka obejmowała w posiadanie świątynię? Być może zmieniła ich w skały lub drzewa za karę za jakieś nieprzemyślane słowa, jakie wymówili? Albo może dotknęli runa, co leżało na ziemi, i syn obrócił ich w nietoperze czy łasice? Może w ogóle oszaleli i za podszeptem matki porwali runo, zbiegli po przeciwnym zboczu Pelionu i wpadli z nim do morza? To zagadka, jak dotąd nie rozwiązana.

Atamas się nie odezwał, tylko lamentował dalej.

– Najdroższy – ciągnęła Ino – oto moja rada. Przede wszystkim pojednaj się z Białą Boginią, korząc się przed nią w świątyni na Pelionie i składając możliwie najbogatsze dary w nadziei uchylenia klątwy; a potem wróć do tej komnaty i zachowaj się jak umarły. O ile tego nie zrobisz, twoi ludzie są przekonani, żeś przemycił dzieci gdzieś daleko, zbuntowany przeciw wyroczni Apollina, zażądają, aby ciebie złożyć na ofiarę. Pozostań martwy aż do następnych siewów, kiedy wraz ze swoimi kobietami zasieję ocalałe resztki jęczmienia wśród przepisowych obrzędów i wszystko będzie w porządku. Tymczasem niech twój brat Kreteus decyduje za ciebie w sprawach wojskowych i morskich, podczas gdy ja zajmę się znowu, jak poprzednio, całym krajem. Choć możemy cierpieć niedostatek, bogini niewątpliwie ustrzeże nas od śmierci głodowej.

Atamas był zbyt przygnębiony, by się spierać. Kiedy się udał na Pelion i w pokorze zanosił modły do bogini, Ino zwołała dowódców minijskich na naradę i zapoznała ich z jego decyzjami. Niełaska, jaka spadła na ich boga-barana, tak bardzo ciążyła im na sercu, że cokolwiek Ino mówiła w imię bogini, zdawało się bezsporne. Przysięgli słuchać Kreteusa jako swego wodza oraz Zeusa na okres tymczasowej śmierci Atamasa, a także Ino jako prawodawczyni i wielkorządczyni.

Kreteus był słabowity i niczym się nie przejmował, Ino więc miała nad nim znakomitą przewagę.

Następnie zaproszono znowu centaurów na Pelion i obiecano im odszkodowanie za wymordowanych

krewniaków, a ponadto przywrócenie wszystkich przywilejów. Biała Bogini uśmiechnęła się do nich, szczerząc końskie zęby; ale goły posąg boga-barana został okryty zwykłym czarnym runem i po cichu odniesiony z powrotem do dawnej świątyni na górze Lafistion. Kreteus nie ukarał

strażników za niedbalstwo, ponieważ przysięgali, że po prostu byli posłuszni bogu, gdy ich zaprosił na wino, nie mogą tedy odpowiadać za jego wybryki.

Co do Atamasa, to kiedy już pod osłoną nocy powrócił do pałacu królewskiego, umarł i pozostał martwy przez cały rok, jedząc tylko czerwoną strawę umarłych, której żywym nie wolno tykać prócz pewnych uroczystych okazji, a to: homary, raki, krwawą kiszkę, gotowany boczek i szynkę, owoce granatu oraz jęczmienne placuszki maczane w soku jagodowym. Gdy znów powrócił do życia, już po siewach jesiennych dokonanych przez Ino z pełnym ceremoniałem, okazało się, że jest upośledzony na umyśle. W trzy lata później zabił Learchosa, jednego ze swych małych synków spłodzonych z Ino, strzelając doń z łuku z okna, które wychodziło na podwórze. Wtedy Minijczycy postanowili go zdetronizować, a panowanie i urząd najwyższego kapłana ofiarować Kreteusowi.

Ino wszakże już nie żyła. Szaleństwo Atamasa wstąpiło w nią, gdy ujrzała Learchosa konającego na dziedzińcu: porwała drugiego synka, Melikertesa, z kosza, który mu służył za kołyskę, i cała w bieli z triumfalnym krzykiem pomknęła po zboczach Pelionu. Tam, u stóp przybytku bogini, rozszarpała dziecko na sztuki i spiesznie pięła się dalej z białą pianą na ustach, aż przebyła grań szczytową i zbiegła po przeciwległym stoku. Wreszcie dotarła do nadmorskiego urwiska i rzuciła się do wody. Załoga korynckiego okrętu znalazła obydwa ciała unoszone przez fale i zabrała je do Koryntu, by tam pochować, zaś król Syzyf dla upamiętnienia Melikertesa ustanowił igrzyska istmijskie. Ino poprzez samobójstwo oraz zamordowanie własnego syna zjednoczyła się z boginią, której służyła, i czczono ją zarówno w Koryncie, jak w Megarze jako Białą Boginię Ino, dodając w ten sposób jeszcze jedno do niezliczonych imion, jakimi się nazywa Matkę Wszelkiego Stworzenia. Ale Atamasowi bogini kazała wędrować ku zachodzącemu słońcu i osiąść tam, gdzie go podejmą gościnnie dzikie zwierzęta. Dotarłszy do pasma górskiego za Halos, natknął się na stado wilków rozszarpujących kilka owiec. Pierzchły na jego widok i zostawiły mu mięso, aby jadł. Tu się więc osiedlił

i nazwał to miejsce Atamancja, i założył nową rodzinę; zmarł jednak na długo przedtem, nim Argo wyruszyła do Kolchidy.

Na ziemi ftiotyjskiej przez parę lat panował spokój, zaś Minijczycy i centaurowie zawarli trwałą przyjaźń. Gdy Kreteus zwrócił centaurom ich górskie jaskinie, wspomogli oni głodnych Minijczyków zbożem oraz jadalnymi żołądkami ze swych spichrzy, a ponadto dostarczali im dziczyznę. Tedy jeśli czasami nimfy-ryby z Jolkos wykradały się nocą z chat, by towarzyszyć bractwu koni w zwyczajowych orgiach miłosnych na Pelionie, ich minijscy mężowie nie śmieli okazać niezadowolenia; zaś w okresie uroczystości siewnych oraz obrzędu kapryfikacji Minijczycy udawali się nad morze na wypoczynek i wracali, gdy już było po wszystkim.

Kreteus umarł, a po nim objął władze Ajzon, którego żona Alkimeda była teraz kapłanką w miejsce Ino. Co prawda, podczas igrzysk pogrzebowych wydanych ku czci Kreteusa pijany centaur usiłował zabić Ajzona ogromnym glinianym kraterem na wino; Ajzon, broniąc się złotym dzbanem, roztrzaskał centaurovi czaszkę.



Mimo to jednak następne parę lat upłynęło pogodnie i bez zakłóceń, aż nagle nastąpił całkowity przewrót, bo przybyli zbrojni w żelazo Achaje pod wodzą Peliasa, syna Posejdona. Pewnego dnia wczesnym rankiem centaur Chejron dostrzegł ze swej jaskini na Pelionie wysoki słup dymu wznoszący się z miasta Jolkos, a jeden z dworzan przykuśtykał górską ścieżką, by ostrzec centaurów przed niebezpieczeństwem. W imię bogini powierzył pieczy Chejrona dwuletniego jasnowłosego chłopczyka, w chitonie z purpurowej tkaniny, którego przydzwigał

na barkach: był to Diomedes, jedyny ocalały syn Ajzona i Alkimedy.

Chejron, choć sam w strachu, nie mógł jednak dziecku odmówić opieki.

Oświadczył swoim ludziom, że mały Diomedes to Magnezyjczyk przysłany doń w celu wtajemniczenia w obrzędy bractwa koni; tego rodzaju wymiana uprzejmości była bowiem w zwyczaju pomiędzy wspólnotami lampartów i koni.

Nadał dziecku imię Jazon, co znaczy „dawca pokoju”, w nadziei, acz niezbyt o tym przekonany, że pewnego dnia malec przyczyni się do przywrócenia pokoju na Ftiotis.

Tak przynajmniej głosi opowieść o tych wypadkach przekazana nam z pokolenia na pokolenie przez godnych zaufania poetów, którzy spierają się tylko co do nieistotnych szczegółów. Niektórzy zaś powiadają, że podczas pobytu na Pelionie Jazon pracował przy wyrobie pochodni dla bogini: za jej zgodą kaleczył

sosnę tuż nad korzeniem, a po upływie trzynastu miesięcy odrąbywał, poczynając od dawnej szczyrby, kawałki drewna nasyczonego żywicą, po czym strugał z nich pochodnie w kształcie fallusa. Czynił tak przez okrągłe trzy lata, aż w końcu ścinał

całe drzewo, aby z niego zrobić ten sam użytek.

## **NARODZINY OLIMPIJCZYKÓW**

Kiedy w swej powolnej wędrówce na południe spoza rzeki Danuby – ostatni raz popasając w epińskiej Dodonie – krzepcy Achaje dotarli wreszcie do gęściej zamieszkałych okolic Grecji, zastali tam zarówno wiele rzeczy, które napełniły odrazą ich dzikie serca, jak i rzeczy, które ich zachwyciły. Piękne i wygodnie urządzone domy, warowne miasta, chyże i pojemne okręty rozbudziły w nich podziw, a bodaj nawet szacunek; radzi też urozmaicili swoje posiłki, złożone dotąd z pieczonego i gotowanego mięsa, mleka, sera, jagód oraz dziko rosnących warzyw

– suszonymi figami, chlebem jęczmiennym, rybami i skorupiakami morskimi, wreszcie oliwą. Ale byli zdumieni i oburzeni, gdy się przekonali, że ich krewniacy, Grecy jońscy i ajolscy, co wkroczyli przed nimi na te tereny, zniewieścili pod wpływem długiego obcowania z tubylcami. Nie tylko nosili niemal babskie stroje oraz klejnoty, lecz ponadto zdawali się uważać kobiety za płęć bardziej uświęconą i wyższą. One zagarnęły wszystkie prawie urzędy kapłańskie i nawet greccy plemienni bogowie uznali się za synów i poddanych Trójbogini. Zgorszeni tym odkryciem Achajowie poprzysięgli sobie, że nie popełnią tego błędu co ich kuzyni, nad którymi dawały im w boju przewagę rydwany i żelazna broń. Do tej pory w Grecji znano jedynie oręż z brązu, a koń, święte zwierzę,

rzadko służył do celów wojennych. Kolumny achajskich rydwanów nacierały z takim rozmachem, że udawało im się przez zaskoczenie zajmować warowne miasta jedno po drugim, zanim sąsiedzi zdążyli sobie uświadomić niebezpieczeństwo. Król Stenelos, nowy achajski władca Peloponezu, aby uzasadnić zagarnięcie mykeńskiego tronu, zaprzeczył, jakoby poprzedni władca miał w ogóle do niego prawo; poślubił

Nikippę, w linii żeńskiej prawnuczkę Andromedy, siostry Perseusza Kreteńczyka, założyciela miasta, i rządził w jej imieniu.

Otóż Trójbogini, która jako matka Rea adoptowała greckiego boga Niebios, Dios, i nadała mu imię Dzagreus lub Zeus, oddała go pod nadzór, podporządkowując Kronosowi, swemu leniwemu kreteńskiemu kochankowi, oraz paru starszym braciom, po większej części dawnym pelazgijskim herosom, którzy sprawowali wyrocznie po świątyniach. Teraz Stenelos i jego Achaje odrzucili zwierzchnictwo Kronosa nad Zeusem, a ze starszych bogów, jego niebiańskich braci, uznali jedynie Posejdona i Hadesa, odwiecznych, jak i sam Zeus, bogów greckiego plemienia. Zaprzeczyli też, jakoby Zeus był Dzagreusem, synem Trójbogini: nawiązując do starożytnego greckiego podania, które głosi, że zwał się Dios i zstąpił z nieba na nieczułą ziemię pod postacią piorunu, oświadczyli, iż ziemia nie była jego matką w tym sensie, aby kiedykolwiek jej podlegał, a przeciwnie, on jest najwyższym i pierwotnym panem wszelkiego stworzenia.

Pogląd ten wszakże nie został przyjęty przychylnie ani przez Jonów, ani przez Ajolów czy Pelazgów: upierali się, że doprawdy to tylko Dzagreus kreteński, najmłodsze z dzieci bogini, jakie miała urodzić w Grocie Diktyjskiej.

Najwyższa kapłanka bogini matki Rei, sprzymierzona z najwyższą kapłanką dziewiczej bogini Ateny, cichaczem skierowała posłów do najwyższych kapłanów Posejdona i Apollina, domagając się, aby bez zwłoki odebrali Zeusowi władzę, zanim obrzydły kult monoteistyczny (na wzór zaprowadzonego ostatnio przez faraona Akhenatona w Egipcie) zdoła zniszczyć bogate i złożone życie religijne Grecji: ręczyła, że gdy się usunie Zeusa nagłym najazdem na Dodonę, jego najświętszą siedzibę, bogini matka ustanowi republikę niebiańską dla bogów i bogiń, zrównanych ze sobą pod jej dobrotliwym przewodnictwem. Posejdon i Apollo przyjęli tę propozycję, ale wieść o spisku doszła na czas do Stenelosa i uwięziwszy najwyższych kapłanów oraz kapłanki, przywiózł ich w kajdanach do Myken. Nie ośmielił się jednak skazać ich na śmierć, tylko posłał do wyroczeni dodońskiej po wskazówki. Wyrocznia orzekła, że Posejdon i Apollina należy na cały rok wygnać z Grecji, aby pracowali u obcych jako najemni słudzy; na ten czas zaniecha się wszelkich obrzędów na ich cześć. Wykonano ten wyrok na osobach obu najwyższych kapłanów: Stenelos wysłał ich do swego sprzymierzeńca – króla Troi Laomedonta, który ich zatrudnił jako murarzy przy budowie swego pałacu, ale trojańskim obyczajem okpił potem przy wypłacie. Z rozkazu wyroczeni Reę i Atenę ukarano w inny sposób: ich najwyższe kapłanki zostały publicznie powieszane na dębie za włosy, każda z kowadłem uwiązany do nóg, i wisały tak dopóki dopóty, nie przysięgły, że się poprawią. Nie zaniedbano jednak ich kultu ze względu na żniwa.

Achaje przekonali się, że Trójbogini jest dla nich zbyt potężna, zarówno aby się jej wyprzeć, jak ją pognać, co pierwotnie zamierzali, i przez pewien czas nie mieli pojęcia, co począć. Postanowili wreszcie, w interesie Zeusa, pozbyć się jego pierwszej żony, Dione, i zmusić boginię, by go poślubiła, tak że miał teraz zostać Wielkim Ojcem, ona zaś po prostu matką jego dzieci, zamiast

## Wielką Macierzą.

Z decyzją tą powszechnie zgodzili się inni Grecy zastraszeni odwetem wziętym na Apollinie, Posejdonie, Rei i Atenie. Była to decyzja zasadniczej wagi, ponieważ upoważniała ojców do objęcia kierownictwa rodów oraz pozostawiała im ostateczne słowo we wszystkich materiach, które dotąd zależały całkowicie od uznania ich żon.

Trackiemu bogu wojny Aresowi i nowemu bogukowalowi Hefajstosowi z Lemnos kazano powtórnie się narodzić z tego wymuszonego związku Zeusa z Trójboginią. Potem ktoś doszedł do wniosku, że i bóg Apollo powinien się odrodzić w tym stadle, ale kapłani-lucznicy Apollina sprzeciwili się – zamierzając uniezależnić wyrocznie w Delfach od bogini – i oświadczyli, że to syn Zeusa z innej matki, członkini związku siostrzanego przepiórek z Kios, imieniem Latona.

Podobnie odmówili wyznawcy Hermesa, niegdyś herosa pelazgijskiego, co sprawował władzę nad duchami zmarłych, obecnie jednak awansował na olimpijskiego boga Herolda; głosili, że Hermes jest synem Zeusa i córki Tytanów z Arkadii, zwanej Mają. Achajowie uznali oba te roszczenia, nie uwzględnili jednak pretensji Aresa (który nienawdził Zeusa), jakoby Hera go urodziła partenogenetycznie; bo, upierali się, każdy bóg oprócz Zeusa musi mieć ojca.

Trójbogini rozaczała jednak opiekę nad świątyniami wielu innych herosów w całej Grecji, ponieważ okazało się, że się nie uda ich wszystkich zamknąć z przyczyny pobożności pelazgijskiego chłopstwa, i ona teraz, w roli małżonki Zeusa, znana wyłącznie jako Hera, została protektorką herosów. Aby ograniczyć jej władzę, wyznawcy Zeusa utrzymywali, że właśnie on, z innymi matkami, spłodził wielu spośród tych herosów. Sprzeczne pretensje wywołały w Grecji mnóstwo religijnych nieporozumień i poszły słuchy, że poniektórzy herosi, nadto pyszniący się ojcostwem Zeusa, wypadli z łask Hery. Grecy narzekali, że to zazdrosna żona i okrutna macocha.

Teraz Stenelos pchnął posłów do wszystkich państweczek Grecji z zawiadomieniem, iż zamierza zwołać wielką naradę religijną w nadziei, że da się pogodzić sprzeczne opinie czcicieli rozmaitych bóstw tego kraju. Wyznaczył

miejsce nie opodal Pisy na zachodnim Peloponezie, zwane Olimpią z powodu sąsiedniego pagórka, Niższego Olimpu; znajdowała się tam świątynia matki Rei, czyli Ge, najbardziej czczonej w Grecji. Na konferencję przybyli zgodnie greccy i pelazgijscy przywódcy religijni; ucztowali razem dużo przyjaźniej, niż można się było spodziewać, i dyskutowali zagadnienia teogonii i teologii. Przede wszystkim debatowano, które bóstwa zasługują na to, aby należeć do boskiej rodziny umieszczanej teraz na Górnym Olimpie pod berłem ojca Zeusa. Do bóstw najwyższych zaliczono także pełnego skruchy Posejdona. Pierwotnie był bogiem lasów, ale w zamieszkanym okolicach Grecji lasy stopniowo rzedyły, równie dobrze więc mogły przypaść mu rządy nad jakąś inną dziedziną. Został bogiem morza (co było oczywiste, skoro okręty robi się z drzewa i porusza drewnianymi wiosłami), a jego suwerenność utwierdzono, żeniąc go z Amfitrytą, Trójboginią w jej morskiej postaci; stała się więc matką wszystkich trytonów i nereid. Jednak zabrano mu piorun, w który niegdyś był uzbrojony, i dano trójząb, by nadziewał ryby; piorun zastrzegł sobie Zeus do wyłącznego użytku.

Bóg Apollo, choć nie znalazł się wśród kierownictwa, umocnił swoją pozycję, zagarniając prawie całą chwałę, jaką do tej pory cieszył się heros Prometeusz: przejął patronat nad prometejskimi

szkołami muzyki, astrologii i sztuki, które zostały założone w sąsiedztwie Delf na długo przed jego przybyciem, a krzesiwo Prometeusza uznał za jeden z własnych atrybutów.

Trójbogini pod wdzięczną postacią nimfy nie wypadało wykluczyć z rodziny olimpijskiej; lecz straciła odwieczne imię Mariany i zmuszono ją do poniżającego małżeństwa z Hefajstosem, kulawym, karłowatym, o twarzy uczernionej sadzą bogiem-kowalem, którego dotychczas uważano po prostu za lemnijskiego herosa.

Przezwaną ją Afrodytą, czyli „zrodzoną z morskiej piany”. Wielu twierdziło, że Trójbogini powinna zasiadać na Olimpie także i w swojej trzeciej najważniejszej osobie, jako dziewica. Po pewnej dyskusji uznano ją więc za dziewiczą łowczynię i nadano imię Artemidy Nowego Miesiąca, bo imię Artemis było najbardziej znanym wśród Pelazgów mianem Trójbogini; teraz jednak Artemida narodziła się na nowo w roli siostry Apollina z matki Latony. Ale to ustępstwo nie zadowoliło Beotów ani Ateńczyków, w których sercach dziewicza bogini zajmowała tak poczesne miejsce pod postacią Ateny, że trzeba było i dla niej postawić na Olimpie osobny tron. Po znacznie dłuższym sporze zostawiono jej imię Ateny, lecz tylko pod warunkiem, że również się podda powtórnym narodzinom i zaprzeczy, jakoby była córką bogini matki, przyzna zaś, że w pełnej zbroi wyskoczyła z głowy Zeusa: miało to dowodzić, że sam Zeus potrafi począć dziecię, nawet płci żeńskiej, nie uciekając się do pomocy kobiecego łona, wyłącznie aktem wolnej woli. Atena, pełna skruchy za swą próbę obalenia Zeusa, została najposłuszniejszą i najpracowitszą z jego córek, a ponadto bojowniczką przeciw wszelkiemu bezprawiu.

Gdy wypłynęła kwestia świata podziemi, w imieniu Trójbogini jako matki Hekate podjęto próbę przyznania go jej na własność wieczystą i niezbywalną; lecz wyznawcy Zeusa odrzucili te roszczenia w obawie, że mogłaby uczynić swoje włości bazą wypadową przeciwko Olimpowi. Przysądzili je więc posępnemu Hadesowi, bratu Zeusa. Jednak, ponieważ niepodobna było całkowicie usunąć stamtąd bogini, dopuszczono ją do piekieł jako dziewicę Persefonę, musiała wszakże przyjąć surowe zwierzchnictwo swego stryja Hadesa i miała nader niewiele do powiedzenia w rządach nad własną ongi dziedziną. Matkę Hekate potraktowano jeszcze sromotniej. Jako że według zwyczaju składało się jej w ofierze psy, zmieniła się w trzygłowego brytana, co zamieszkał w budzie u bram Hadesu, i otrzymała nowe imię: Cerber. Przyznanie świata podziemnemu Hadesowi wywołało w Grecji większe rozdwojenie niż wszystkie pozostałe decyzje, a Pelazgowie lamentowali nad jego związkiem z Persefoną, był to bowiem raczej gwałt niż małżeństwo.

Kiedy Jonowie po raz pierwszy zetknęli się z potęgą Trójbogini, wielu z nich pozwoliło swoim synom wstąpić do tajnych bractw pelazgijskich, jakie uczestniczyły w jej kulcie. Tak samo zrobili Ajolowie. Każde bractwo miało swego demona, wcielonego w jakieś zwierzę czy ptaka, którego nie wolno było jeść pod groźbą śmierci, chyba że przy szczególnie uroczystych okazjach; a członkowie regularnie zbierali się na uroczyste tańce ku czci demona, naśladując w nich chód i nawyki świętego zwierza lub ptaka, w przebraniu z jego skóry, futra albo piór.

Przywódcą uosabiał demona i zyskiwał odeń natchnienie. Wyboru bractwa niekiedy dokonywała dla dziecka matka jeszcze przed jego narodzeniem, jeśli dane zwierzę we śnie lub na jawie narzuciło się jej uwadze; na ogół jednak wspólnota obejmowała wszystkich mężczyzn plemienia. Tak to satyrowie z Tesalii i sylenowie z Fokidy byli kozłami; centaury z Pelionu należeli do bractwa koni; część Magnezyjczyków – do bractwa lampartów; Kreuzycy z Fokidy – do bractwa fok; a w Atenach

działało bractwo sów. Kobiety miały podobne stowarzyszenia, tak zwane związki siostrzane, i żadnej kobiecie bogini nie pozwalała wziąć kochanka ze wspólnoty, która odpowiadałaby jej własnej – w ten sposób lew mógł obcować z lamparcicą i lwica z lampartem, ale nigdy lew z lwicą ani lampart z lamparcicą – taką zasadę ustanowiono niewątpliwie po to, by rozproszone plemiona połączyły się w harmonijną całość dzięki rozstaniom i miłym powrotom, jakich wymagało prawo. Na dowód jednak, że demony wszystkich wspólnot podlegają Trójbogini, rokrocznie ku jej czci składano całopalne ofiary: każde bractwo przysyłało spętanego samca swego świętego gatunku do najbliższej z jej górskich świątyń, gdzie wszystkie razem palono żywcem na ogromnym ognisku.

Achajowie przejawiali oczywistą nieufność wobec tych demonów, z racji jej posłuszeństwa wobec Trójbogini i z racji wolnej miłości, jaką nakazywały wyznawcom. Zgodnie ze swoją polityką Stenelos zniósł, ile się dało, owe stowarzyszenia, a demony tych, co przetrwały, podporządkował poszczególnym członkom rodziny olimpijskiej. Ogłosił na przykład, że Zeus nie tylko wciela się w barana, na użytek kultu dla pasterzy, lecz można także oddawać mu cześć jako bykowi, orłu, łabędziowi, gołębiczy oraz wielkiemu wężowi. Herze pozwolono zachować władzę nad lwem, kukulką i krętogłowem. Apollo, dawny demon myszy, otrzymał dodatkowo postać wilka, pszczoły, delfina i jastrzębia. Atenie przypadły kruk, czapla i sowa, później zaś odebrała Herze kukulkę; Artemidzie przydzielono rybę, sarnę, psa i niedźwiedzia; Posejdonowi – konia i tuńczyka; Hermesowi –

jaszczurkę oraz Małego Węża; Aresowi – dzika i tak dalej. Pelazgowie wpadli w furję, kiedy Posejdon się kreował na boga konia, i w jednym z ich miast na znak protestu wzniesiono posąg Kobylogłowej Matki, zwanej Wściekłą Kobylą; konie bowiem jawnie świadczą na rzecz Trójbogini sierpowatym niby księżyc odciskiem podków.

Te i inne kłopotliwe zmiany w religii greckiej, w tym także nowy kalendarz, wyłożono zebranim w Olimpii gościom w formie uroczystego widowiska urządzonego przez heroldów boga Hermesa na zamknięcie obrad. Przedstawiono za pomocą pantomimy, jak Zeus okastrował swego domniemanego ojca Kronosa –

po czym sam został ukoronowany wieńcem z dzikiej oliwki i obsypany liśćmi jabłoni w dowód uznania – później odbyło się wesele Hery z Zeusem, Posejdona z Amfitrytą, Hefajstosa z Afrodytą; powtórne narodziny Aresa, Hefajstosa i Ateny; demony ptasie i zwierzęce kolejno się poddawały swoim nowym panom i paniom –

krótko mówiąc, delegaci obejrzeni wszystkie najświeższe ewenementy mitologiczne, które właśnie uzgodniono. Występy zakończyły się żywym obrazem: oto dwanaścioro Olimpiań zasiadło razem przy obiedzie, w strojach odpowiednich do swego charakteru, a także z nowymi atrybutami. Wszystkie bóstwa przedstawiali królowie, kapłani lub kapłanki, rolę Zeusa odgrywał Stenelos z Myken, dzierżąc w jednym ręku perseuszowe złote berło z ptasią głową, w drugim zaś tarczę z ohydą twarzą Gorgony.

Biesiada olimpijska dała asumpt do wspaniałych zawodów lekkoatletycznych pomiędzy młodzieńcami z poszczególnych miast i kolonii greckich: miały to być igrzyska pogrzebowe ku czci Kronosa. Zawody, znane odtąd jako igrzyska olimpijskie, zorganizował młody Alkajos z Tyrentu, główny wśród mężczyzn obrońca Trójbogini, potomek Andromedy po kądzieli. On to zwyciężył w

zapasach, zarówno regularnych, jak dowolnych. Alkajos, człowiek nieprzeciętnego wzrostu i siły, przywódca bractwa byków z Tyryntu, przybył do Olimpii, miotając groźby przeciwko wrogom bogini; ale jak wielu krzepkich i porywczych mężów łatwo został wyprowadzony w pole. Stronnicy Zeusa częstowali go jadłem i napitkiem, pozwalając mniemać, że ich zmusił do wielu poważnych ustępstw co do nowej pozycji bogini – doprawdy zresztą uczynił dla niej więcej niż ktokolwiek inny.

Groził, że rozwali salę obrad swoją spiżem okutą maczugą, dopóki się wszyscy nie zgodzili, że bogowie na Olimpie nie powinni górować liczebnie nad boginiami.

Gdy przeto Achajowie wprowadzili do rodziny olimpijskiej Aresa, Hefajstosa i Hermesa, Alkajos intronizował Trójboginię w dwóch jeszcze postaciach: jako Demeter, matkę zbóż, rodzicielkę Persefony, oraz jako Hestię, boginię domowego ogniska. W ten sposób w nowym panteonie zasiadło sześciu bogów i sześć bogiń\*.

Było jednak jasne dla każdego, że Alkajos dał się wystrychnąć na dudka, przyjmując w imieniu bogini dużo mniej, niż jej się Bóstwa olimpijskie: Bóstwa podziemne:

*Zeus (Jowisz) Hera (Junona) Hades (Pluton) Posejdon (Neptun) Atena (Minerwa) Persefona (Prozerpina) Apollin (Apollo) Demeter (Ceres)*

*Ares (Mars) Hestia (Westa)*

*Hermes (Merkury) Afrodyta (Wenus)*

*Hefajstos (Wulkan) Artemis (Diana)* (przypis autora) naprawdę należało: ponieważ zarówno na Niebie, jak w Morzu, w Piekło i na Ziemi znalazła się pod męską kuratelą; a kiedy kapłanka Trójbogini w Olimpii, siedząc z kukułczym berłem w dłoni na miejscu Hery podczas niebiańskiej uczty, spytała, czy kierowała nim zdrada czy głupota, przeszył na wylot strzałą jej obie piersi – niecny czyn, który nań ściągnął okropnego pecha. Później Alkajos zasłynął

pod nowym imieniem Herkulesa lub Heraklesa (co znaczy „chwała Hery”), jakie przybrał, porzucając bractwo byków i wstępując do wspólnoty lwów w nadziei, że przebłaga obrażoną boginię.

Powszechnie szemrano przeciw tej generalnej reformie religii, ale Achajowie postrachem stłumili narzekania i wyrocznie jednogłośnie zatwierdziły zmiany.

Najbardziej zaważyły wypowiedzi delfickiej wyroczeni Apollina, nad którą władza przestała go upokarzać, a przeobraziła się w źródło potęgi i chwały, oraz wyroczeni samego Zeusa w epirskiej Dodonie, gdzie odpowiedzi na pytania udzielało szeleszczące listowie świętego gaju dębowego, a także wróżby z czarnych gołębi.

Nie wybuchło w Grecji żadne powstanie jak wówczas, gdy parę pokoleń wstecz gromada kobiet pelazgijskich, uważanych odtąd mylnie za Amazonki, dokonała nagłego napadu z bronią w rękę na Ateny, ponieważ nie spodobały im się reformy religijne poczynione przez jońskiego króla Tezeusza; albo kiedy, za czasów eneckiego władcy Pelopsa, nimfy rzeczne Danaidy, zmuszone do małżeństwa z

jego egipskimi murarzami, wymordowały ich wszystkich, oprócz jednego, w noc poślubną. Tylko czterech monarchów odmówiło uznania nowego olimpijskiego porządku: Salmoneus z Elidy, brat króla Atamasa; Tantal, syn jońskiego herosa Tmolosa, który niedawno osiadł był za morzem w Lidii; Ajetes, król Kolchidy, przedtem zaś korynckiej Efiry, pochodzący z linii kreteńskiej; oraz Syzyf z Azopii, bratanek Ajetesesa.

Wszystkich czterech wyroczenia obłożyła klątwą. Tantalowi, co kpił z biesiady bogów, na całym świecie odmówiono ognia i wody, tak że umarł z głodu; Salmoneus, który na znak pogardy dla Zeusa-dawcy deszczu urządził własną ulewę za pomocą sztucznych piorunów, waląc w kotły z brązu, został ukamienowany.

Syzyfa zmuszono, by pracował jako robotnik w kamieniołomach Efiry, gdzie spędził długie lata, aż pewnego dnia zmiażdżył go spadający głaz. On zgrzeszył

tym, że złamał przysięgę tajemnicy, jakiej wymagano od wszystkich uczestników konferencji: wysłał na czas ostrzeżenie do kolegium nimf-ryb w Azopii, że mają być porwane przez Achajów i uroczyście skurwione na wyspie Ajginie. Zakuł

ponadto w kajdany kapłana Hadesa, który przyszedł odbierać świątynię piekielną kapłance Hekate; a gdy Stenelos, jego zwierzchnik, przysłał herolda, by uwolnił

kapłana i przypomniał Syzyfowi, że teraz Hades jest wyłącznym władcą świata podziemi, mążny Syzyf zabronił krewniakom pochować się po śmierci, wybierając, jak oświadczył, wolność wędrowania duchem po brzegach Azopu. Co do Ajetesesa w Kolchidzie, mieszkał dostatecznie daleko, aby kpić sobie z wyroczeni.

Niektórzy poeci utrzymują, że odbyło się kilka zjazdów w Olimpii i gdzie indziej, a nie tylko ten jeden, zanim zdołano przeprowadzić reformę, oraz że wiele wydarzeń przedstawionych w końcowej pantomimie weszło już do religii narodowej za czasów Ajolów i Jonów. Inni przeczą, jakoby w ogóle odbyła się jakakolwiek konferencja, przekonani, że wszelkie decyzje w sprawach boskiej rodziny na Olimpie podejmował sam Zeus osobiście bez żadnej ludzkiej porady.

Któż zdoła dociec, gdzie leży prawda? W każdym razie władza Zeusa umocniła się ostatecznie w całej Grecji i nie ceniono zbyt wiele przysięg publicznych, o ile nie było składane na jego imię.

Rządy nad prowincją Ftiotis, od Jolkos na północy do Halos na południu, przypadły Achajowi imieniem Pelias, który podczas biesiady niebian w Olimpii wystąpił w roli Posejdona, a na igrzyskach sędziował wyścigi konne. Wobec tutejszych Minijczyków zachowywał się lekceważąco, odkąd zabił kilku najniebezpieczniejszych; nie skazał jednak na śmierć Ajzona syna Kreteusa, ich króla, poprzestając na ożenku z córką Atamasa i Nefele i na pozycji regenta.

Ponieważ Ajzon nie miał żyjącego potomstwa (tak przynajmniej sądzono), Pelias został jego następcą i spodziewał się, że kiedyś jego własne dzieci obejmą po nim tron jako bezsporni władcy kraju.

Traf chciał, że Pelias osobiście mógł pretendować do tytułu Minijczyka i był

istotnie przyrodnym bratem Ajzona. Tyro, ich matka, żona króla Kreteusa, wiele lat odwiedzała kolegium tesalskich nimf-czapli nad Enipeusem, gdy porwała ją zbójcka banda Achajów. Zrobili z niej prostytutkę w świątyni Posejdona, a kiedy się okazało, że jest w ciąży, odesłali piechotą do domu do męża. Po drodze urodziła bliźniaki, ale wstydząc się przynieść Kreteusowi, porzuciła je; chłopców znalazł

koniuch przejeżdżający tamtędy na swojej kobyle, zabrał z sobą, oddał żonie i nazwał Peliasem i Neleusem – Pelias znaczy „brudny”, bo kobyła prysnęła błotem na buzię dziecka; Neleus znaczy „bezlitosny” z przyczyny nieruchomego wzroku.

Sidero, żona koniucha, przypadkiem straciła właśnie dziecko i zgodziła się przygarnąć bliźnięta. Nie miała jednak dosyć pokarmu dla dwojga. Fakt, że kolejno ssali pierś suki wilczyicy należącej do pasterza, poczytywano później za powód ich okrucieństwa.

W dwa dni potem Tyro wróciła, aby pochować synków i uniknąć w ten sposób ich mściwych dusz. Zastawszy żywych w domu koniucha, uradowała się, gorzko już bowiem pożałowała swego uczynku, i poprosiła, by jej zwrócono malców.

Sidero jednak odrzuciła wielkie wynagrodzenie ofiarowane przez Tyro, zabiła ją i przegnała. Kiedy Pelias i Neleus dorosli do wieku rozumu i wysłuchali tej całej historii, zabili przybraną matkę w odwet za jej okrucieństwo wobec Tyro. Potem uciekli do Achajów, którym się przedstawili jako rzekomi synowie Posejdona zrodzeni z prostytutki świątynnej, i nadano im wysokie stanowiska. Kiedy Achajowie napadli Helladę, Pelias dzięki minijskiemu pochodzeniu pomyślnie zagarnął królestwo Ftiotis, a Neleus inne minijskie królestwo – Pylos. Lecz bogini matka nienawidziła Peliasa, ponieważ pogwałcił był jedno z jej sanktuariów: zabił

Sidero, choć się w ucieczce wdrapała na sam wierzchołek księżycowego ołtarza.

## **JAZON PRETENDUJE DO TRONU**

Centaurom z góry Pelion znowu zabroniono obcować z żonami Minijszyków, bo Pelias uważał te praktyki za nieprzyzwoite i za nic by do nich nie dopuścił. Ale ponieważ, jak powiadał, „nawet tak żalosne dzikusy nie mogą żyć bez towarzystwa kobiet choćby od czasu do czasu”, zachęcał ich, by wykradali sobie oblubienice z plemiona swych odwiecznych nieprzyjaciół, Lapitów z Tesalli, którymi teraz rządziła minijska arystokracja. Pelias znalazł w Lapitach niespokojnych i zuchwałych sąsiadów i rad był poprzeć najazdy centaurów.

Pewnego dnia złożył centaurom oficjalną wizytę, spotykając się z Chejronem, ich przywódcą, w obrębie przybytku Kobylogłowej Białej Bogini na Pelionie.

Chejron namówił Peliasa, by wszedł do wnętrza i zasięgnął rady wyroczeni.

Peliasowi wydało się zabawne spytać, jaką śmiercią ma umrzeć; pobudką była mu, wyjaśnił kompanom, nie tyle żądza oświecenia, ile to, że pragnął wypróbować prawdomówność bogini. Otrzymał już dokładne informacje na temat swojej śmierci z ust wyroczeni ojca Zeusa w Dodonie; a któż by się odważył zaprzeczyć wszechmocnemu, wszechwiedzącemu Zeusowi?



Odpowiedź, której udzieliła bogini, brzmiała: „Jakże mam ci powtarzać, Peliasie, coś, co rzekomo usłyszałeś już od mego syna? Jednakże pozwól się ostrzec przed mężczyzną w jednym sandale: będzie cię nienawidził, a zanim zemsty dokona, posieka cię na drobne kawałki”.

Pelias nie zwrócił specjalnej uwagi na bredzenie tej „starowiny o trzech duszach”, tak ją bowiem bluźnierczo nazywał, której religia, jego zdaniem, była teraz powszechnie w pogardzie; zwłaszcza że nie mógł pogodzić jej przepowiedni z uroczystym zapewnieniem Zeusa, że nigdy żaden mąż nie podniesie nań ręki w przemocy, a na starość dane mu będzie dokonać wyboru godziny i sposobu własnej śmierci. Niemniej jednak z ostrożności wydał rozkaz, aby w żadnym razie i pod żadnym pretekstem nie pozwolono żadnemu Etołowi przekroczyć granic Ftiotis, gdyż oni, dla pomyślności w marszu czy w tańcu, chodzą tylko z lewą nogą obutą.

W parę dni później Pelias otrzymał dziwne przypomnienie o potędze Zeusa.

Najwyższy kapłan Apollina wędrował pieszo przez Jolkos, raz jeszcze w stroju najemnego sługi, i odmówił przyjęcia tłuszciejszej porcji pieczeni i lepszego trunku

– należnych jego dostojnemu stanowisku – jakimi Pelias go częstował; usiadł koło paleniska ze służbą i upokorzył się. Znajdował się w drodze do warownej Fery w Tesalli, gdzie mieszkał Admetos Minińczyk, zięć Peliasa; a dźwigał na własnych barkach brzemień drugiej kary, nałożonej na jego boskiego pana przez wyrocznię Zeusa. Było to tak:

Kapłani Hadesa poskarżyli się w Dodonie, że zrodzony z prostytutki świątynnej jeden z synów Apollina, nazwany Eskulapem, założył w Delfach nową szkołę medyczną. Zarzucali Apollinowi, że zachęca do studiów nad medycyną i chirurgią, aby zmniejszyć liczbę umarłych, zwłaszcza dzieci, i w ten sposób pozbawić sługi piekła datków i dochodów. Zdaje się, że Eskulap na prośbę ubogiej wdowy uczestniczył w pogrzebie jej syna jedynaka, który utonął. Kapłani Hadesa podnieśli już rozzwierający lament; aliście Eskulap nie zgodził się uznać chłopca za nieboszczyka i wylewając zeń wodę oraz wymachując jego ramionami, jakby żył

wciąż jeszcze, przywrócił mu oddech. Chłopak usiadł i kichnął, zaś Eskulap oddał

go odtąd w służbę Apollina.

Wyrocznia dodońska udzieliła odpowiedzi przychylniej dla oskarżycieli, polecając zamknąć szkołę, lecz Eskulap odmówił uznania tej decyzji za prawdziwie wyroczną. Upierał się, że Hades i tak w końcu porywa każdą duszę, im więcej zaś żywotów dziecięcych Apollo ocali, tym więcej dzieci się urodzi zwykłą koleją rzeczy: wszystkie i tak w końcu staną się łupem Hadesa. Ten argument rozwścieczył Zeusa, bo można było nań odpowiedzieć chyba tylko gwałtem. Bez zwłoki wysłano oddział strażników świątynnych z Dodony do Delf, gdzie zabili zarówno Eskulapa, jak i chłopca, którego zachował przy życiu. W odwet napadli na Dodonę łucznicy Apollina i wystrzelali wszystkich potomków Cyklopa, dodońskich kowali, którzy wyrabiali sprzęty sakralne do świątyń Zeusa, Posejdona i Hadesa; znani byli jako jednoocy, bo przy robocie zwykli zasłaniać jedno oko przed iskrami lecącymi z kowadła.

Wtedy wyrocznia Zeusa zagroziła Apollinowi unicestwieniem, jeśli się nie zechce ukorzyć i

ponownie iść w służbę na cały rok: tym razem miał pracować w najdalszej prowincji greckiej, za jaką najwyższy kapłan uznał minijskie królestwo Fery; podczas tego roku zamilkłaby wyrocznia i wszelkie ofiary, śluby oraz modły do Apollina zostałyby zaniechane. Najwyższemu kapłanowi pozostawało tylko się poddać. Możliwe, że na miejsce zesłania obrał sobie Ferę, ponieważ Admetos, tamtejszy król, miał wobec niego dług wdzięczności; kiedyś mianowicie niechcący obraził siostrę Apollina, dziewczyną boginię Artemis, zapomniał bowiem złożyć jej przebłagalną ofiarę, gdy się żenił z Alkestis, starszą córką króla Peliasa. Bogini ukarała Admetosa w ten sposób, że gdy wkroczył do lożnicy małżeńskiej, znalazł na pustym pościeliu tylko kosz pełen węży; i z początku w ogóle odmówiła zwrotu Alkestis. Wtedy Admetos udał się z bogatymi darami do Delf i błagał Apollina o wstawiennictwo u jego boskiej siostry, co ten w istocie uczynił. Teraz więc, w podzięce, Admetos dawał

najwyższemu kapłanowi możliwie miłą robotę, czym zasłużył na jego nieprzemijającą wdzięczność.

Było to na długo przedtem, zanim jakiegokolwiek inne bóstwo (oprócz Trójbogini, która pozostała nieprzejednana) ośmieliło się wątpić w autorytet Zeusa; lecz Apollo nigdy nie zapomniał zniewagi, jakiej doznał, i wśród barbarzyńców krążyła przepowiednia, że pewnego dnia sprzymierzy się z Trójboginią i okastruje swego ojca Zeusa równie bezlitośnie, jak niegdyś Zeus okastrował własnego ojca, Kronosa. Apollo, prorokowano, użyje przeciw niemu złotego sierpa przechowywanego w świątyni Zeusa w Hylos na Korkyrze, a jest to podobno to samo narzędzie, które posłużyło przeciw Kronosowi. Lecz Apollo nauczył się ostrożności i czeka na właściwy moment. U wejścia do świątyni pępka widnieją słowa: „Bez przesady”. Póki co, poświęcił się nauce.

Podczas następnego zimowego przesilenia dnia z nocą, kiedy Pelion był

pokryty śniegiem, podobnie jak góra Otrys daleko na południo-zachodzie po drugiej stronie zatoki, Pelias obchodził tradycyjne uroczystości na cześć miejscowych bóstw. Szczególny szacunek okazywał swemu ojcu Posejdonowi, a pierwszeństwo przed innymi dał dziewczęcej bogini Artemis. Ponieważ rybę poświęcono teraz Artemidzie, przekazał jej kolegium nimf-ryb w Jolkos, powierzając je kierownictwu starej Ifias, swojej ciotki, córki króla Argos. Pelias czuł się zobowiązany dokonać trzech osobliwych skreśleń na liście nieśmiertelnych gości, których zapraszał do wzięcia udziału we wspólnym poczęstunku, złożonym z pieczonej wołowiny, baraniny i dziczyzny. Pierwsze skreślenie dotyczyło samego Zeusa. A to dlatego, że parę lat przedtem, za czasów króla Atamasa, niefortunnie (jak ujmował to Pelias) przydybała go na Pelionie Kobylogłowa Matka, odsypiającego skutki miłej hulanki; zakłopotany swoją nagością – bo zrzucił złote runo, by ochłodzić zgrzane ciało – zwrócił jej świątynię i oddalił się, w nowym skromnym okryciu z czarnej wełny, na górę Lafistion.

Dopóki ojciec Zeus nie powróci oficjalnie na Pelion i nie każe kobylogłowej pakować tobołków – oświadczył Pelias – uważam, że rozsądniej będzie składać mu jedynie domowe ofiary.

Ponieważ jednak nie pragnął uchodzić za sprzymierzeńca matki w jej sporze z Zeusem, jako drugie i trzecie skreślił ze swej listy imiona bogini pod postacią Hery i Demeter. Poczynił te skreślenia – które były dziwniejsze nawet niż pominięcie Zeusa, ponieważ święta zimowe pierwotnie obchodzono wyłącznie ku czci bogini – nie ofiarowując jej nic na przebłaganie. Pragnął pokazać, że ani się nie lęka przepowiedni, ani nie zamierza zabiegać o łaskę. Przejednał wszakże Zeusa domową ofiarą złożoną w swojej sali jadalnej, przy czym spalił całą tuszę dorodnego wołu i sam nie zjadł ani kęsa.

Potem ufny, że uniknął niezadowolenia ojca, Pelias poszedł na rynek, gdzie już buzowały potężne ogniska z wyschłych kłód sosnowych, gotowe do pieczenia dorodnych bydła, jakie wybrał na ofiarę dla pozostałych Olimpijczyków. Pośród świętującego tłumu rzucił mu się w oczy cudzoziemiec – młody, wysoki i przystojny, o rysach, które niby przez sen Pelias sobie przypominał, uzbrojony w dwie włócznie o ostrzach z brązu. Sądząc po obcisłym chitonie z jeleniej skóry, skórzanych spodniach oraz kołpaku z futra lamparta, był to Magnezyjczyk z bractwa lampartów, przybyły z gór nad jeziorem Bojbeis; jednak długa grzywa jasnych włosów dowodziła, że należał do centauryjskiej wspólnoty koni. „Dziwne

– pomyślał Pelias. – Mógłbym go wziąć za Greka z tymi jasnymi włosami, pięknym prostym nosem i krzepką budową”. Obcy przyglądał mu się uważnie i wyzywająco, lecz Pelias nie raczył go pozdrowić.

Kazał teraz prowadzić uwieńczone ofiary do ołtarza, na którym uformował parę jednakowych kupek palonego jęczmienia i jedną dwa razy większą od reszty.

Posypał solą łby zwierząt, wzywając kolejno imienia każdego boga czy bogini; potem jego pomocnik powalił je rzeźniczym toporem; następnie król osobiście podrzynał im gardziele zakrzywionym kamiennym nożem. Czyniąc to, unosił im łby do góry, była to bowiem ofiara dla Olimpijczyków, nie dla żadnego herosa ani bóstwa piekieł. Wreszcie dokonał całopalnej ofiary z kości udowych owiniętych słoniną oraz części flaków; lecz każdy kęs mięsiva miał przypaść w udziale wyznawcom. Posypywanie zwierząt ofiarnych solą wprowadzili Achaje; zanim nastali, żadne bóstwo nie żądało tego, a Trójbogini i teraz odrzuca wszelkie posolone ofiary.

Gdy tylko zakończono te obrzędy, obcy śmiało zaczął Peliasa, pytając:

– Królu Peliasie, dlaczego składasz ofiary wszystkim bóstwom oprócz Wielkiej Bogini, skoro Pelazgowie oddają jej cześć?

– Chyba nie masz oczu – odparł tamten – czyś nie zauważył, że również ojcu Zeusowi nic nie ofiarowano? Czyżby wypadało zapraszać na ucztę jego żonę (bo wiesz zapewne, że Wielka Bogini jest teraz małżonką Zeusa), a męża pomijać? To ofiara dla mego ojca Posejdona i pomniejszych bogów olimpijskich, których imion wzywałem, jakieś słyszał.

– Masz zapewne rację – rzekł obcy – nie składając ofiar Zeusowi, jeśli prawdą jest, co słyszałem: że on nie ma ochoty pokazywać się w tych stronach, odkąd raz po pijanemu obnażył się w obecności matki.

Pelias zmierzył cudzoziemca od stóp do głów, bo te słowa były tak śmiałe, że niemal bezczelne, aż nagle utkwiał wzrok w jego nogach: zobaczył tylko jeden sandał.

Natychmiast spytał obcego o imię, ten zaś odrzekł:

– Pytaj mnie o wszystko prócz tego, Siwobrody, a z miłą chęcią ci odpowiem.

Peliasa zatkło ze zdumienia, po chwili dopiero wykrztusił: – Cudzoziemcze, co byś uczynił, będąc

na moim miejscu? – Nigdy w życiu nie czuł się jeszcze tak sprostponowany.

Obcy roześmiał się zuchwale, podrzucił swoje włócznie o drzewcach z jesionu, obie na raz, złapał je i odparł:

– Wysłałbym wyprawę po wełnę, rozkazując jej wodzowi, aby nie wracał, dopóki nie znajdzie złotej wełny, gdyby nawet miał po nią żeglować na koniec świata do Kolchidy, gdzie są stajnie zaprzęgu Słońca, czy zstąpić w najdalsze czeluście Ziemi, gdzie zgodnie z naszą nową teologią trzynaste bóstwo ma swe ciemne i straszliwe włóści.

– Mądra rada – powiedział Pelias pełen nadziei, że cudzoziemiec sam się zgubi niebaczną odpowiedzią na następne pytanie. – I pewnie byś powierzył dowództwo wyprawy najodważniejszemu mężowi w twoim państwie?

– Według mnie, musiałby być najodważniejszym mężem w całej Grecji –

odparł obcy tak samo zuchwale – aby się podjąć tego zadania.

– Tyś jest owym mężem! – wykrzyknął Pelias.

– Ja? – spytał tamten zaskoczony.

– Ty – wyjaśnił Pelias. – Przyjść zbrojno i samotnie, jakeś ty zrobił, na festyn, gdzie nikomu nie wolno nosić oręża, zwrócić się do władcy miasta per

„Siwobrody” i odmówić mu podania swego imienia, urągać ojcu Zeusowi, królowi niebios i najważniejszemu bogu Grecji... to dowodzi, że jesteś najodważniejszym mężem na świecie, a nie tylko w moim państwie Ftiotis.

– Nigdy w życiu nie wzdragałem się przed przygodą – odrzekł tamten zapalczywie. – Nie wyruszę jednak na poszukiwanie złotego runa, o ile nie przysięgniesz, że po powrocie (bo nie wrócę z pustymi rękami, możesz być pewien) oddasz mi rządy nad tym królestwem.

– Głupcze! – powiedział Pelias. – Nie mogę podejmować tak nedorzecznych zobowiązań. To królestwo z prawa może przypaść jedynie Minijskiemu, członkowi rodziny królewskiej. Kiedy umrze mój brat Ajzon, odziedziczę po nim zarówno tytuł, jak władzę monarszą, jestem bowiem teraz jego najbliższym spadkobiercą z krwi minijskiej: moi towarzysze zabili jego obu synów i dwóch braci, co stali bliżej tronu niż ja: a gdy ja umrę, królestwo, jak wypada, przejdzie na Akastosa, mego najstarszego syna.

Cudzoziemiec z wolna pokręcił głową.

– Myślę, że nie.

– Dlaczego kręcisz głową, mówiąc, że nie? Pelias zapytał – Nawet bóg nie może uchylić praw dziedziczenia.

Obcy wyjaśnił: – Kiedy miałem dwa latka, dworzanie ocalili mnie potajemnie podczas podboju miasta i oddał pod opiekę centaurów, którzy się mną troskliwie zajęli. Przez szesnaście lat byłem wychowankiem Chejrona, syna Filiry. Dziś przyszedłem do Jolkos na festyn, bom się spodziewał uczestniczyć w ofierze ku czci bogini. Wybacz mi, proszę, nieodpowiedni strój: w spiesznym marszu krzewy akantu poszarpały mój chiton z jeleniej skóry i zgubiłem sandał – zapewne przebywając w bród wezbraną mulistą Anauros. Jestem Diomedes, jedyny ocalały syn twego brata Ajzona; lecz Chejron mi nadał nowe imię: Jazon. Ja, a nie ty, jestem najbliższym dziedzicem minijskiego tronu.

– Nie obrażaj bogów tymi bredniami! – zawołał Pelias ostro. – Dobrze wiadomo, że Diomedes zginął podczas pożaru pałacu, został należycie oplakany i pochowany.

– To nie Diomedes zginął – powiedział Jazon – tylko synek niewolnicy, a tu, w sakwie, mam dziecinne szatki z purpurowej wełny, nie tknięte przez ogień, aby udowodnić prawdziwość mojego opowiadania.

W Peliasie serce upadło, ale bał się okazać gniew czy zrobić Jazonowi jakąkolwiek krzywdę w dzień tak święty. Zadowolił się suchym stwierdzeniem, że Jazon musi chyba nisko cenić jego odwagę, skoro się spodziewa dobrowolnej rezygnacji ze wszystkich bogactw w złocie, klejnotach, bydło i zbożu.

– Ano, stryju – odparł Jazon – nic nie mówiłem o zabieraniu ci bogactw.

Zatrzymaj je, możesz z nimi robić, co ci się podoba. Proszę tylko, byś uznał we mnie następcę mojego ojca. A ponieważ ojciec nie uważał za słusne mścić na tobie śmierć swych braci i synów, nie wypada i mnie kusić się o to. – Powiedział to z całą niewinnością, bo surowe życie w górach nie pouczyło go, że król bez majątku przypomina włóczęgę bez drzewca. Król musi mieć dochody, z których opłaca żołnierzy i sługi, podejmuje gościnnie odwiedzających go książąt, składa ofiary bogom i pokrywa tysiące innych wydatków.

Pelias nie wiedział, czy Jazon jest taki prostoduszny, czy taki cwany, więc milczał chwilę. Potem roześmiał się głośno i uściskał go nader przyjaźnie, z fałszywą wylewnością witając znów w rodzinnym mieście. Lecz gdy go ujął pod ramię i prowadził do domu, w którym leżał zniedołężniały Ajzon, zaczął ciężko wzdychać.

– Ech, Jazonie, Jazonie, czemuś mi się od razu nie zwierzył, czym jesteś synem? Nigdy bym wówczas nie zadawał ci pytań, na jakie, wyraźnie natchniony przez boga (zapewne przez samego Posejdona, mego ojca, najważniejszego gościa na naszej biesiadzie), udzieliłeś przy świadkach odpowiedzi nie do cofnięcia. Nie pozostaje ci nic innego, jak ruszać na poszukiwanie przepadłego runa, a skoro powrócisz, wiedziony nadzieją i modłami całego tego ludu, dobrowolnie zrzeknę się na twoją rzecz regencji Ftiotis i zostanę twoim wiernym i oddanym towarzyszem.

Wyraz trwogi zagościł na twarzy Jazona, gdy pojął, jaką cenę mu przyjdzie zapłacić za nieopatrzne słowa, a Pelias właśnie dowodził, jak dalece beznadziejne wydaje się całe przedsięwzięcie, opowiadając o królu Ajetesie i jego wrogości wobec Greków.

W dwa lata po ucieczce Fryksosa i Helle z Jolkos do regenta Kreteusa doszły wieści, że Helle

utonęła w Cieśninie Trojańskiej, lecz Fryksos ofiarował runo Ajetesowi, synowi Heliosa, królowi Kolchidy, który je oddał pod opiekę herosa Prometeusza. Na podstawie tych nowin Kreteus debatował ze swymi dowódcami, czy należy żądać od Ajetesa zwrotu runa czy nie, istniał bowiem powszechny pogląd, że pomyślność Minijczyków od niego zawisała; postanowili wszakże nie narażać się na gniew Białej Bogini, nic przeto nie zrobiono. Jednak w parę lat później Ajetes się dowiedział, że jego bratanek Syzyf, z którym go wiązały najuroczystsze zaklęcia przyjaźni, został zdetronizowany i oddany w niewolę, bo nie chciał uznać obecnego podporządkowania Trójbogini jej dawnym synom: Zeusowi, Posejdonowi i Hadesowi. Te nowiny wprawiły go w niesłychany gniew, ponieważ Syzyf władał Azopią, zachodnią częścią królestwa Koryntu, podczas gdy wschodnia połowa, czyli międzymorze oraz miasto Efira, należała do Ajetesa; zostawił swe ziemie pod zarządem przyjaciela, Bunosa, ale wobec ludności Syzyf występował jako regent. Ajetes przysiągł tedy wyrząć do nogi pierwszą załogę greckich żeglarzy, co się ośmielił wybrać do Kolchidy, chyba że przywiozą mu wieści o uwolnieniu i przywróceniu do władzy jego bratanka Syzyfa. Ale nieskory do uwalniania Syzyfa czy przywracania na Koryncie dawnej religii nowy wielkorządca achajski w publicznej proklamacji zaprzeczył, jakoby miasto miała, jak powszechnie sądzono, założyć kapłanka dziewiczej bogini Efiry. Upewniał

natomiast, że założył je wojownik imieniem Koryntos, czciciel Zeusa, którego Efira ograbiła z chwały, więc pierwotną nazwę Korynt, dotąd nadawaną całemu królestwu, należy teraz przywrócić miastu. Zagarnął ziemie Ajetesa na tej podstawie, że jego tytuł własności, wywodzący się od Efiry, nie ma mocy prawnej; Azopia zaś przeszła w posiadanie przyjaciela Kreteusa, Kreona, który poślubił był

wbrew jej woli Glaukę, córkę Syzyfa.

Od tej pory urwały się bezpośrednie kontakty pomiędzy Kolchidą a Grecją; w handlu pośredniczyli Trojanie. Okazało się to dla Greków wielce niedogodne, bo jeśli myto ściągane dawniej przez Trojan wynosiło jedną piątą stwierdzonej wartości ładunku, teraz sprzedawali greckim kapitanom towary kolchickie po cenie dwu lub trzykrotnie wyższej od tej, jaką za nie zapłacili. Troja była potężną twierdzą, zbudowaną przez egipskich murarzy z wielkich bloków kamienia, podobnie jak Mykeny i inne miasta greckie, i dobrze strzeżoną. Grecy grozili, że wyślą ekspedycję, by zburzyła fortecę, jeśli Trojanie nie zaczną postępować rozsądniej; lecz nie czuli się jeszcze na siłach spełnić tej pogroźki. Król Ajetes, powiadano, podpisał z Trojanami ugodę, obiecując nie handlować z żadnym państwem zachodu oprócz nich pod warunkiem, że dadzą mu uczciwe ceny za towar i upilnują cieśniny przed wszelkimi ekspedycjami karnymi, które by Grecy mogli wysłać do Kolchidy.

Pelias wyjaśnił Jazonowi wszystkie te szczegóły, wzdychając głęboko podczas opowieści. Miał nadzieję, że Jazon, odstraszonego trudnościami zadania, zemknie cichaczem na Pelion do swoich druhów centaurów; co by go w oczach Minijczyków okryło taką niesławą, że nigdy by już nie mógł się pokazać na placu targowym w Jolkos. Albo, jeszcze lepiej, wstyd go zmusi do wyprawy w celu odzyskania runa, wyprawy, która, uznał Pelias, może się skończyć jedynie zgubą.

Nawet gdyby się wymknął czujnym Trojanom, płynąc w tamtą stronę, czyż Ajetes da się namówić do oddania runa, skoro wciąż ma potężną armię i potężną flotę?

Jeśliby zaś, co było prawie nie do wiary, Jazon zdoła nagłym, śmiałym wypadem pomyślnie wykraść

runo, jakże zdoła powtórnie przebyć Hellespont? Trojanie będą już czekać i po kontroli ładunku zatrzymają go, dopóki nie nadpłynie ścigająca flota kolchidzka; a wówczas zostanie zabity. Nie ma bowiem innej znanej drogi z Morza Czarnego oprócz tej przez Bosfor i Hellespont.

„Wcale ładnie go przydybałem” – osądził Pelias. Jednak Jazon, nadrabiając miną, oświadczył:

– Drogi stryju, porzućmy posępne myśli i chodźmy razem do domu moich rodziców, których nie widziałem od czasu, gdym był dwuletnim dzieckiem. Pragnę ich uściskać i otrzymać ich błogosławieństwo.

Tak więc, gdy na rynku mięsiwa ofiarne z wolna obracane na rożnach wśród miłej woni i syku tłuszczu piekły się nadal nad ogniskami, Pelias powiódł Jazona do skromnego domostwa rodziców, których ten ze czcią pozdrowił. Alkimedą uradowała się, widząc znowu swego jedynaka i gorączkowo przytuliła go do piersi; lecz Ajzon, uniósłszy się do pozycji siedzącej z sofę, gdzie leżał w drzemce pod stertą kołder, zbladł, cofnął się i odwrócił twarzą do ściany. Gdy Jazon przebywał

daleko, wśród centaurów, Ajzon myślał o nim z rodzicielską czułością i nadzieją; teraz jednak, kiedy śmiało zstąpił z gór i dał się poznać Peliasowi, Ajzonom owładnął lęk, zwątpienie i niemal nienawiść. Spodziewał się, że Pelias porachuje się z nim za to, że nigdy mu nie zdradził oszustwa ze sfalszowanym pogrzebem, i bał się, że skorzysta z pierwszego lepszego pretekstu, by ich obu z Jazonem skazać na śmierć. No i Ajzon mamrotał coś niewyraźnie przez ramię, nie zwracając w ogóle uwagi na kwieciste zapewnienia lojalności, jakie wygłaszał Pelias, ani na jego gratulacje z okazji powrotu Jazona, jakby to było zmartwychwstanie. Gdy Pelias w oczy chwalił siłę, urodę i odwagę Jazona, Alkimedą cieszyła się, zapominając, że zachwyty przynoszą nieszczęście, zapominając, że demony nieustannie kręcą się wokoło, pod postacią much albo moli czy komarów, i lecą z nowinami do zawistnych bogów na Olimpie lub tych w świecie podziemi; ale Ajzon nie przestawał jęczeć.

Pelias zostawił Jazona z rodzicami i wrócił na rynek. Tam, gdy przywódca jego heroldów po trzykroć zadał w konchę żądając ciszy, donośnie rozkazał ludowi radować się wraz z nimi, albowiem Jazon, następca tronu minijskiego Ftiotis, nieoczekiwanie powrócił. – I okazał się nader mężnym i pełnym szacunku młodzieńcem – mówił Pelias – dzięki naukom pobieranym w jaskini zacnego centaura Chejrone, który ukrywał go przez te wszystkie lata (nie wiem dlaczego) pod fałszywym imieniem i rodowodem. Doprawdy, tak mężny i pełen szacunku jest ten Jazon, że nie chce na razie osiedlać się potulnie wśród nas. Musi najpierw dokonać wielkich czynów, jak oświadczył, i okazać głęboką cześć ojcu Zeusowi, władcy bogów, zwracając zaginione runo posągowi barana z góry Lafistion.

Niechaj wszyscy bogowie i boginie – ciągnął – sprzyjają jego iście książęcym zamiarom! I niech żaden minijski książę równy Jazonowi odwagą nie uchyla się od tak chwalebego przedsięwzięcia! – Bo Pelias miał nadzieję do zguby tego parweniusza, swego bratanka, dołożyć dwudziestu czy trzydziestu minijskich nobilów, przyrodzonych wrogów Achajów.

Ludziska, już podochoceni miodem i piwem, powitali mowę Peliasa przeciągłym rykiem, a gdy ujrzeli Jazona wchodzącego na rynek, by też skosztować pieczeni, pobiegli witać go okrzykami zachwyty. Ci, co nosili wieńce z zimowych kwiatów i jagód, wkładali mu je na głowę, inni pijacko całowali go po rękach lub klepali po ramieniu.

Jazon nic tu nie miał do gadania. I oto szedł niczym ogłupiałe, strojne w girlandy zwierzę ofiarne, które wiodą ku ołtarzowi, podczas gdy łakomi wyznawcy oblizują się i wykrzykują z uciechą: „Ach, jaki dorodny okaz! Cóż za smakowity kąsek dla bogów i dla nas!”

Pelias był w tak świetnym humorze, że wydał na cześć Jazona przyjęcie, które trwało pięć dni i pięć nocy.

## **BIAŁA BOGINI APROBUJE WYPRAWĘ**

Jazon wrócił na Pelion, by zasięgnąć rady Chejrona. Centaur się zdumiał, widząc go jeszcze przy życiu. Znał krewkość Jazona i błagał go, żeby nie podejmował podróży, z której na pewno nie wyniknie nic dobrego. Smutno potrząsnął głową, gdy Jazon opowiedział, co się zdarzyło na placu targowym w Jolkos, i rzekł:

– Dziecko, nowiny, jakie przynosisz, nie mogły chyba być gorsze. Albo wyprawa ci się nie powiedzie i zginiesz z rąk Kolchów czy ich trojańskich sprzymierzeńców, albo w przeciwnym razie (co jest jednakże daleko mniej prawdopodobne) odzyskasz runo i Zeus-baran wróci do świątyni, skąd powtórnie wygna naszą ukochaną matkę. Och, ten twój język! Ileż razy ci mówiłem, że człowiek, który w pojedynkę wybiera się pomiędzy nieprzyjaciół, musi mieć usta zamknięte, a otwarte uszy? Zhańbiłeś moją jaskinię.

Skruszony Jazon ubłagał Chejrona, żeby przynajmniej w jego imieniu poradził

się bogini, jaką drogę powinien obrać. Obiecał, że jeśli bogini każe mu zaniechać przedsięwzięcia i ośmieszyć się w ten sposób wobec minijskich pobratymców, usłucha jej mimo wszystko i zrzeknie się wszelkich pretensji do tronu Ftiotis.

Tej nocy Chejron oczyścił się, wkroczył do przybytku bogini i złożył głowę na poduszce wypchanej koniczyną, która z powodu trzech w jedno zrosniętych listków jest poświęcona Trójbogini i sprowadza wróżebne sny. O północy bogini, jak mu się zdawało, zstąpiła z tronu i rzekła, co następuje:

– Chejronie, tobie, jako memu zaufanemu słudze, mogę odsłonić więcej prawdy, niż uważam za dogodną wobec niewtajemniczonych. Przede wszystkim musisz zrozumieć, że władzę bogini warunkuje położenie jej czcicieli. Zbrojni w żelazo Achaje oddali na usługi mego buntowniczego syna Zeusa taką potęgę, że nie jestem już zdolna osiągnąć swych celów prostą drogą. Nawet w sporze z Ajolem Atamasem, przeciwnikiem daleko mniej groźnym niż ten suczy wychowanek, Achaj Pelias, musiałam zadzierzgnąć zawiłą intrygę i udawać uległość wobec jego religijnych nowinek. Jednakże Peliasowi zguba pisana, równie niezawodnie jak niegdyś Atamasowi, i zamierzam kolejno wziąć odwet na wszystkich pozostałych moich wrogach pośród ludzi; a także na moim mężu Zeusie. Jestem bardzo długowieczną, cierpliwą boginią i chętnie powściągam gniew, czekając na właściwą chwilę. Wiesz, jaka byłam nieubłagana w wypadku Tezeusza Ateńczyka. Miałam mało powodów do narzekania z początku, gdy podbił

dla mnie Knossos i ukarał Minosa, bo traktował mnie i moje kapłanki z należnym respektem. Lecz gdy później, w Attyce, zaczął zdradzać buntownicze zapędy i potajemnie usunął ze świątyni dwa



moje wizerunki jako dziewiczej bogini, jeden czczony pod imieniem Heleny, drugi – Persefony, podmówiłam jego ludzi, żeby go wygnali. Uciekł na wyspę Skiros, gdzie miał dziedziczną posiadłość; ale skłoniłam króla Skiros, by go zaprowadził na najwyższe urwisko na całej wyspie, rzekomo chcąc mu pokazać rozmiary owych włości, i zepchnął stamtąd na złamanie karku.

A Pejritoos, zaufany towarzysz Tezeusza, otrzymał jeszcze lepszą zapłatę z moich rąk.

Teraz dogadzało mi raczej wejść do rodziny olimpijskiej w roli żony Zeusa niż trzymać się na uboczu jako jego nieprzyjaciółka; mogę mu do szczętu obrzydzić życie gderaniem, szpiegowaniem i intrygami, ściśle tak, jak on postępował, stale mi przysparzając utrapień jako grubiański syn poddany mojej władzy. A to, że mnie rozmnożono w niebiańskie siostry i córki Zeusa, tylko zwiększa jego kłopoty.

Nie powinienes sądzić, że Jazon z własnego popędu zaczepił stryja na rynku w Jolkos. Jazon, jak wiesz, jest młodzieńcem dzikim i nierozumnym, mimo twego troskliwego wychowania, podatnym na moje nie przeczuwane podszepty. Czyś słyszał, w jaki sposób zgubił sandał? Podczas wędrówki z Pelionu, gdy przebywał

po kolei lasy sosnowe, zarośla głogu i akantu i szedł przez łąki porośnięte macierzanką, ukazałam mu się pod postacią zwiędłej Ifias, kapłanki Artemidy, którą darzę zaufaniem. Obiecałam mu pomyślność, jeżeli mnie przeniesie przez wezbraną Anauros. Z początku odmówił, lecz opamiętał się potem i wziął mnie na barki. Od razu wprawiłam go w trans i nauczyłam tych właśnie słów, jakie potem powtórzył Peliasowi. Skoro mnie zsadził na drugim brzegu, przerwałam czar i wykrzywiłam się do niego okropnie, wywracając oczami i pokazując język.

Natychmiast ściągnął sandał i cisnął nim we mnie, żeby uniknąć uroku. Uchyliłam się, sandał wpadł do potoku i odpłynął.

Temu porywczemu w mowie Jazonowi, choćby jego imię znaczyło „dawca pokoju”, przeznaczono być trucizną w trzewiach Grecji i zarzewiem nielicznych wojen, podobnym jak mój szalony sługa Herkules; ale niech się tym trapi Zeus, skoro zagarnął moją władzę. Wysyłam Jazona do Kolchidy tylko w jednym bezpośrednim celu: ma powierzyć ziemi ducha mego sługi Fryksosa, który wciąż szamocze się niepocieszony między szczękami jego nie pochowanej czaszki, aby mógł nareszcie zaznać wiekuistego spoczynku, jaki mu przyrzekłam. Jeśli Jazon pragnie zarazem odzyskać runo, nie dbam o to. Runo jest niczym samo w sobie –

zrzucony przyodziewek – jego zwrot pozwoli przypomnieć Zeusowi upokorzenie, jakie musiał niegdyś przyjąć z moich rąk. Strzeż dobrze tajemnic, które ci objawiłam. Jazonowi należy oświadczyć po prostu: może jechać do Kolchidy za moją zgodą, lecz pod jednym warunkiem – zanim pokusi się o runo, ma zażądać od Ajetesa kości swego krewniaka Fryksosa i pochować je przyzwoicie, gdziekolwiek mu raczę polecić.

Jazon dowiedział się z ulgą, że nie wypadł z łask bogini. Mimo niepowściągliwości w mowie był dosyć bojaźliwy, gdy w grę wchodziły fawory bogów czy bogiń. Uważał się teraz za wyjątkowego szczęściarza: mógł polegać na bogini, że nie będzie mu stawiała przeszkód w podróży, mimo że podejmował ją przede wszystkim w imieniu Zeusa. Teraz trzeba tylko skrupulatnie unikać wszelkich

posunięć, które by mogły wzbudzić niechęć lub zawiść innego bóstwa.

Ponieważ wypadnie mu zapewne powiadomić młodzieńców minijskich (co ułatwi namowy, by się doń przyłączyli), że bogini we śnie obiecała mu łaskę, roztropność nakazuje poradzić się także wyroczni Zeusa; w przeciwnym razie jego kapłani mogliby podejrzewać, że podróż została podjęta na mocy tajnych poleceń bogini w jakichś złośliwych zamiarach.

Kiedy Jazon oznajmił stryjowi Peliasowi, że bogini zaaprobowała wyprawę, ten zapytał zdumiony:

– Doprawdy? A cóż za cel w tym miała?

– Ano, tylko tyle – odparł Jazon – że duchowi mego krewniaka Fryksosa trzeba zapewnić spoczynek.

To stropiło Peliasa, który nie miał pojęcia, że Fryksos po śmierci nie zagnał

spoczynku ani nawet że w ogóle umarł. Lecz odpowiedział przebiegle:

– Tak, niestety, bogini słusznie ci przypomina o pobożnym obowiązku, jaki winienesz swemu nieszczęsnemu kuzynowi. Parę lat temu ten łotr Ajetes dodał

jeszcze jedną do swych licznych zbrodni, struł bowiem podczas uczty Fryksosa i bez ceregieli wyrzucił trupa w krzaki opodal królewskiej sali jadalnej. Czerwone maki wychylają się teraz z oczodołów czaszki naszego krewnego, a głogi opłotły jego kości. Duch będzie nadal nękał wszystkich członków jego rodu, dopóki go się nie pochowa z należnym rytuałem pogrzebowym. Już parokrotnie zakłócał mi sen.

Potem Jazon powiedział Peliasowi, że zamierza zasięgnąć rady wyroczni ojca Zeusa w Dodonie. Pelias pochwalił jego pobożność i spytał, którą z trzech możliwych dróg z Tesalii do Epiru chciałby obrać. Pierwsza idzie cały czas lądem, przez wysokie góry i głębokie doliny; druga jest po części lądowa, po części morska – trzeba wyruszyć traktem delfickim, następnie płynąć przez Zatokę Koryncką i w górę zachodniego wybrzeża Adriatyku aż do ujścia rzeki Tiamis w Epirze, skąd wygodny gościniec prowadzi na równinę Dodony; trzecia wiedzie prawie wyłącznie przez morze – należy opłynąć Grecję aż do ujścia Tiamis, a później skierować się szlakiem dodońskim. Pelias zalecał właśnie tę trzecią możliwość, obiecując bezpłatnie zaopatrzyć Jazona w okręt i załogę.

Jazon nigdy dotąd nie płynął okrętem, wolał trasę lądową niż obie tamte; lecz Pelias ostrzegał, że musiałyby przebyć terytorium Lapitów i niegościnne pasmo gór Pindu zamieszkane przez Dolopijczyków, Etolów i innych przeklętych dzikusów.

Nakłonił go do zaniechania zamiaru, zaznaczył jednak, że druga trasa także nie jest zanadto zachęcająca, bo mało prawdopodobne, aby o tej porze roku znalazł

w Zatoce Korynckiej okręt gotów do podróży do Dodony. Lato dobiegało już końca i zaczął się okres burz. – Ale – mówił Pelias – jeśli obierzesz trzecią drogę i odważysz się opłynąć Grecję, mogę ci przyrzec dobry okręt i doświadczonego kapitana.

Jazon odparł, że skoro sezon jest niepomyślny, uważa za rozsądniejsze pominąć także i trzecią drogę,

nawet gdyby miał żeglować na jednym z własnych okrętów Peliasa; słyszał bowiem straszne opowieści o zmiennych wiatrach koło skalistego wschodniego wybrzeża Peloponezu i o gwałtownych sztormach, jakie czyhają na statki opływające przylądek Malea i Tajnaron. Przypomniawszy Peliasowi przysłowie, że najkrótsza droga do świata podziemi prowadzi w jesienną pogodę naokoło półwyspu Tajnaron, i oświadczył, że zamierza wybrać drugą możliwość, przez Zatokę Koryncką – bez wątpienia jakiś bóg poszuka mu okrętu.

Pelias obiecał odprowadzić go lądem aż pod Delfy do Zatoki Kryzajskiej, w Zatoce Korynckiej, i tam, jeśli się uda, nająć dlań okręt na dalszą podróż do Epiru.

Wyruszyli obaj z Peliasem o tej porze roku, kiedy dojrzewają oliwki; Jazon u boku Peliasa na lśniącym wozie zaprzężonym w woły, w asyście zbrojnych Achajów jadących przed nimi na kucach. Zdążali wzdłuż rzeki Kefizos obok Daulis i przebyli wąwóz, gdzie wiele lat później tebańczyk Edyp zamordował przez omyłkę swego ojca, króla Lajosa. Niebawem musieli wysiąść z wozu i podróżować dalej na mułach, bo kamienna lawina zagroziła gościniec. Delfy leżą półkolem, wysoko na porośłym oliwkami południowym stoku Parnasu: góruje nad nimi błyszczące urwisko, skalna ściana olbrzymiej wysokości, a z przodu, po przeciwnej stronie doliny Plejstos, kosmaty od jodeł czub góry Kirfis zasłania widok na Zatokę Koryncką, latem zaś chroni miasto od przykrych wiatrów. Niedawno lunął rześisty deszcz i w pobliskim wąwozie waliła z sykiem zawrotna, biała od piany kaskada, mieszając się z nurtem, który brał początek z Kastalskiego Źródła daleko w dole –

źródła, gdzie myją włosy kapłani Apollina – a połączone wody następnym olbrzymim skokiem spadały w dolinę Plejstos.

W Delfach, mieścinie małej obszarem, lecz wielkiej swoim rozgłosem, kapłani ze świątyni pępka wygłaszali uprzejmie uwagi na temat urody Jazona i szlachetności Peliasa, który go uznał za prawego następcę tronu Ftiotis. Jazon okazywał Apollinowi pokorny szacunek, chcąc zjednać sobie możliwie najwięcej bóstw. Zapytał Pytii, skoro już ofiarował jej w przepisowym podarku trójnog z brązu (dostarczony przez jego ojca Ajetesa), jakiej rady może mu udzielić Apollo; a Pytia, popadłszy w wyroczny trans pod wpływem żucia liści laurowych –

wobec pospolitszych pątników pomijała ten przykry zabieg i poprzestawała na udzielaniu nie natchnionych wprawdzie, ale rozsądnych rad opartych na jej własnym rozumie i doświadczeniu – zaczęła wrzeszczeć i mamrotać niezrozumiałe słowa, siedząc na podarowanym trójnogu we wnęce okrągłego, białego grobowca.

Po chwili Jazon zrozumiał, co mówiła – że podróż, jaką musi podjąć, zasłynie w pieśni po wszystkie wieki, jeśli będzie dość przezorny, aby w dzień wodowania okrętu złożyć ofiarę Apollinowi, władcy Korabi; zaś Apollinowi, bogu powrotów –

w noc swego powrotu. Potem plotła coś, co wydawało się zupełnie bez sensu.

Jedynym powtarzającym się zdaniem, jakie zdołał uchwycić, było, że powinien

„wziąć ze sobą prawdziwego Jazona”. Lecz Pytia po wytrzeźwieniu nie potrafiła mu powiedzieć, kto by to mógł być taki.

Delfy słynęły z leczniczej gry na lirze, ale Jazon, kształcony tylko na żwawej muzyce piszczałki i kobzy, nie doceniał łagodnego brzdąkania na lirze z żółwiowej skorupy. Z trudem zachował przepisową ciszę, kiedy mu grali kapłani z kolegium muzycznego; a zasmucił się, ujrawszy skórę zdartą z Pelazga Marsjasza, którą kapłani Apollina wyprawili i przybili na pośmiewisko na drzwiach kolegium.

Marsjasz był sylenem, przywódcą bractwa kozłów, co grają na piszczałkach ku czci swego herosa Dionizosa; lecz łucznicy Apollina wygnali kozły, a tych, co uniknęli ich strzał, rzucili w przepaść. Kapłani głosili, że lira to najnowszy wynalazek boga Hermesa, podarowany przezeń Apollinowi. Jednak lirę, jaką oni mieli, różniło od liry używanej od niepamiętnych czasów przez kapłanki Trójbogini tylko to, że zaopatrzyli ją w cztery struny zamiast trzech i dodali parę rzeźbionych rogów sterczących z właściwej żółwiowej skorupy i połączonych u wierzchołków drewnianym jarzmem, do którego struny były uwiązane.

Inną specjalność Delf stanowiła astronomia, a kapłani dzielili już gwiazdy na konstelacje, ustalając pory ich pojawiania się nad horyzontem oraz późniejsze odchylenia. Szkoła rzeźbiarzy i malarzy waz, założona przez Prometeusza, także przeszła pod patronat Apollina, ale Ifitos Fokijczyk, słynny artysta, u którego wtedy zatrzymał się Jazon i który potem został Argonautą, powiedział mu, że w Delfach nie czci się już teraz imienia Prometeusza, tak samo jak Dionizosa.

Co do medycznej szkoły Eskulapa, doszło do kompromisu pomiędzy roszczeniami Apollina i Hadesa. Skoro już raz nad chorym wszczęto żałobny lament, lekarzom Apollina nie było wolno kusić się o jego uzdrowienie; ogółem biorąc, zresztą sztuka medyczna miała raczej koić niżli kurować. Ale doktorzy Apollina nie zawsze dotrzymywali warunków ugody, zwłaszcza ci, co zamieszkiwali wyspę Kos.

## **DZEUS APROBUJE WYPRAWĘ**

Z Delf była już droga niedaleka do błękitnych wód Zatoki Kryzajskiej, gdzie Pelias z Jazonem zastali na kotwicy koryncki okręt handlowy; wiózł ładunek fokijskiej ceramiki i malowanych ozdób dla króla Alkinoosa na Korkyrze, wyspie, która leży na wprost ujścia rzeki Tiamis, w odległości kilkudziesięciu stadiów.

Pelias ugodził się z szyprem o bezpieczny przejazd Jazona do Tiamis i przebiegle mu powiedział, rzekomo w zaufaniu: – Ten mój bratanek, Jazon syn Ajzona, pragnie wiosną popłynąć do Kolchidy w śmiałym zamiarze wydarcia złotego runa Zeusa podłemu królowi Ajetesowi, który nie chciał go zwrócić achajskim władcom Grecji. Jazon poradzi się teraz wyroczni Zeusa w Dodonie i ma nadzieję zyskać aprobatę boga dla tego przedsięwzięcia. Byłaby wielka szkoda, gdyby wypadł za burtę, nim dotrze do brzegów Epiru; nie będąc bowiem jeszcze pod opieką Zeusa, niechybnie by utonął, pozostawiając w ten sposób runo w rękach Ajetesa. – Potem Pelias zapłacił szyprowi więcej, niż ten zażądał, a także dał mu cenny złoty pierścień ze słowami: – Dbaj o mego bratanka, jak gdyby już wiózł runo do domu.

Szyper koryncki, zgodnie z przewidywaniami Peliasa, darzył swego rodaka Ajetesa szacunkiem jako szermierza starej religii przeciw nowej i czcił pamięć patrona, szlachetnego króla Azopii Syzyfa, któremu Zeus i Achaje zgotowali tak okrutny koniec. Słowa Peliasa: „Byłaby wielka szkoda, gdyby

wypadł za burtę”, snuły mu się po głowie, a wartość pierścienia dowodziła, że Pelias ufał, iż Jazon zdolny jest odzyskać runo, i odpowiednio do tego go cenił. Koryntczyk przeto postanowił zamordować Jazona; czyli postąpić dokładnie tak, jak sobie Pelias życzył, choć tamten był dość ostrożny, by nie ponosić tu bezpośredniej winy.

Morze w zatoce zastali dosyć spokojne i wiatr przychylny, ale trzeciego dnia, gdy koryncki okręt minął brzegi Leukady i przyjął na siebie całą furię Morza Jońskiego, Jazon zaczął chorować i leżał pod daszkiem na dziobie owinięty wełnianą opończą, zwlekając się od czasu do czasu, żeby wymiotować za burtę.

W takiej chwili szyper (który uprzedził o swych zamiarach brata, sternika) złapał

Jazona za nogi i wrzucił do morza. Nikt prócz sternika nie zauważył ani usłyszał, co się stało, bo odwróceniem tyłem wiosłarze pracowali ciężko, zaś szyper zagłuszył

słaby okrzyk Jazona ochoczą piosenką, podczas gdy sternik ze swego końca okrętu zaczął wymyślać jednemu z majtków, że wypada z rytmu.

Byłoby krucho z Jazonem, bo osłabł od częstych torsji, a uniósł go potężny nurt, gdyby nie nadprzyrodzona interwencja. Dzika oliwka, wyrwana z korzeniami przez silny prąd lub powódź ze zbocza pobliskiej góry i unoszona przez fale, przepływała obok niego. Jazon, który całe życie spędził w górach, więc nigdy nie uczył się pływać, uczepił się gałęzi i z wielkim wysiłkiem wdrapał na pień.

Trzymał się tego pnia aż do wieczora, kiedy wreszcie od północy zobaczył żagiel i niebawem ateński okręt, halsując pod wiatr, przepłynął mimo niego o dwa strzały z łuku. Sternik, zauważywszy sygnały Jazona, skierował okręt ku niemu, a załoga wciągnęła go na pokład. Gdy usłyszeli, kim jest i jakim sposobem znalazł się w wodzie, poczuli trwogę; nie dalej bowiem jak godzinę temu widzieli, jak okręt koryncki rozbił się bez ratunku z całą załogą na skałach wybrzeża po podwietrznej.

Szyper przekonany, że Jazon, którego zastali wśród wielkich drapieżnych ryb, musi się niechybnie znajdować pod opieką bogów, zgodził się zawrócić, bez żadnej zapłaty, i odstawić go bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Ten kapitan ateński miał na imię Hestor.

Jazon z serca podziękował Hestorowi i ukląkszy u stóp masztu, modlił się głośno do patronki statku, bogini Ateny. Zobowiązał się, z wdzięczności za ocalenie z rybich paszczek, wznieść dla niej ołtarz w Jolkos i spalić na nim w ofierze najwyborniejszą jałówkę. Było oczywiste, że nad ocaleniem od początku do końca czuwała Atena, bo jej właśnie jest poświęcona oliwka.

W parę dni później Jazon bezpiecznie osiągnął Dodonę w towarzystwie Argosa, najstarszego syna Hestora. Zdziwił się – słyszał bowiem mnóstwo przechwałek na temat tej miejscowości od Achajów, których ojcowie przebywali tu parę lat –

znajdując lichą, walącą się wioszczyznę nad jeziorem pełnym wrzaskliwego wodnego ptactwa. Brakło tu budynków pokaźnej wysokości czy składnej budowy, nawet sala obrad mieściła się w wielkiej zrujnowanej chałupie z torfowym dachem i klepiskiem zamiast podłogi. Jednakże Chejron go pouczał, a Jazon zaczął

wreszcie cenić jego rady, aby podczas swoich podróży udawał podziw choćby dla najędźniejszych budowli, strojów, oręża, bydła i innych rzeczy prezentowanych mu z dumą przez właścicieli, równocześnie zaś potępił wszystko, co zostawił

w domu, oprócz prostoty i zacności współobywateli. Za pomocą tych sztuczek pozyskał względy dodończyków i choć kapłani przybytku czuli się zawiedzeni, ponieważ dary, jakie zamierzał złożyć bogu – wielki miedziany kocioł i sierp ofiarny z rękojeścią z kości słoniowej – przepadły wraz z rozbitym korynckim okrętem, zadowolili się obietnicą przysłania innych podarków równej wartości, skoro tylko Jazon powróci do Jolkos. W zakład dobrej wiary obciął sobie dwa długie pasma jasnych włosów i złożył je przed ołtarzem; dawało to kapłanom władzę nad nim do czasu spełnienia przyrzeczeń.

Najwyższy kapłan, krewniak króla Peliasa, z zachwytem przyjął decyzję Jazona, żeby odzyskać runo z rąk cudzoziemców. Wytłumaczył mu, że król Ajetes dzięki długoletniemu obcowaniu z kędzierzawymi dzikusami oraz małżeństwu z dziką księżniczką tauryjską z Krymu sam stał się zwykłym dzikusiem i we własnej rodzinie toleruje obyczaje, których wstyd nawet napomykać w miejscu tak świętym jak Dodona.

– Czyż to nie okropna myśl – pytał – że runo Zeusa, jedną z najświętszych relikwii greckich, od której zawisły urodzaje całego Ftiotis, plugawe ręce tego łajdaka umieściły właśnie w świątyni Prometeusza, złodzieja ognia, zaprzysięgłego wroga Zeusa, utożsamianego obecnie przez Kolchów z ich narodowym bogiem wojny? Posłuchaj, opowiem ci więcej o tym Ajetesie. On pochodzi z linii kreteńskiej i ma się za królewskiego potomka tych kapłanek Pazyfae, co to chełpiły się, że „wszystkie są pępkiem”, czyli nienasycone w żądach miłosnych, i, powiadają, parzyły się ze świętymi bykami. Ajetes, mieszkając w Koryncie, uprawiał czary szczególnie bezbożne, wtajemniczony w tę sztukę przez swoją jasnowłosą siostrę Kirke. Dlaczego się nagle pożegnali i Kirke popłynęła na samotną wyspę opodal brzegów Istrii, Ajetes zaś na wschodnie wybrzeże Morza Czarnego to zagadka; można atoli podejrzewać, że Trójbogini za karę nakazała im rozstanie za kazirodztwo lub inną jakąś zbrodnię, której się społem dopuścili.

– Świątobliwy – rzekł Jazon – twoja opowieść budzi w mej duszy sprawiedliwy gniew. Zapytaj w moim imieniu boga o radę, jeśli łaska, i pozwól mi być pewnym jego przychylności.

– Oczyść się zuciem sakłaku – odparł kapłan – obmyj się w wodach jeziora, powstrzymaj od wszelkiego jadła, zrzuć całą wełnianą odzież, a jutro o zmroku spotkamy się w dąbrowie.

Jazon zrobił, jak kazano. Ubrany tylko w obcisłą skórzaną tunikę i rzemieńne sandały, przybył o wyznaczonej porze i stanął w cieniu dębów. Kapłan był już na miejscu w uroczej szacie z baraniej wełny, z parą złożonych zakrzywionych rogów uwiązanych nad czołem i z żółtą gałęzią w dłoni. Ujął Jazona za ramię i przykazał

nie lękać się niczego. Następnie zaczął pogwizdywać parę tonów melodii i machać gałęzią, dopóki nie zerwał się wietrzyk, szeleszcząc w listowiu dębu i zmuszając opadłe na ziemię liście do krążenia, jak gdyby w rytualnym tańcu na cześć boga.

Kapłan nadal wymachiwał gałęzią i gwizdał coraz głośniejsze. Niebawem w gałęziach drzew zawyła

wichura i Jazonowi się wydawało, że liście spodem śpiewają: „Spiesz, spiesz, spiesz z błogosławieństwem ojca Zeusa”. Gdy kapłan przerwał inwokację, nastąpiła nagła cisza, po niej zaś jeszcze jeden gwałtowny podmuch wiatru i daleki grzmot. Potem nad ich głowami rozległ się trzask i na ziemię spadła liściasta gałąź, z wielkości i kształtu podobna do ludzkiej nogi, prosto do stóp Jazona.

Rzadko który pątnik w tym gaju zostaje wyróżniony tak pomyślnym znakiem, zapewniał Jazona najwyższy kapłan. Po oskrobaniu gałęzi sierpem, gdy już usunął

wszystkie liście i pędy, dobrotliwie ją wręczał Jazonowi.

– Tu masz – oświadczył – świętość, abys ją wbudował w dziób okrętu, na którym popłyniesz do Kolchidy.

– Czy bóg będzie dostatecznie łaskawy – spytał Jazon – by mnie wyposażyć w okręt?

– Nie, nie – odrzekł najwyższy kapłan. – Skoro bogini Atena zadała sobie trud ocalenia cię z morza, niechaj ona się zajmie także budową okrętu. Ojciec Zeus ma inne troski. Powiedz jej to w modlitwie.

Kiedy Jazon z dumą wrócił do chałupy, gdzie go zakwaterowano, jego towarzysz Argos spytał, czy zamierza zimować w Dodonie, skoro ich okręt popłynął już do domu i nie mogą liczyć, że znajdą inny, czy też spróbowałby raczej dotrzeć do Jolkos przez góry.

Jazon oświadczył, że nie może sobie pozwolić na próżnowanie przez całą zimę, a święta gałąź Zeusa będzie dostateczną ochroną podczas każdej podróży. Argos ofiarował mu przeto swoje towarzystwo. Dwa dni później, dźwigając sakwy wypchane suszonym mięsem, pieczonymi żołądkami i innym prostym jadem, ruszyli w drogę wzdłuż doliny rwącej rzeki Arachtos, aż dotarli do skalistego przesmyku u podnóża góry Lakmos. Na tej wysokości panował kąśliwy chłód i śnieg już bielił szczyty; nocą kolejno czuwali u ogniska. Gdy zahukały sowy, Jazon nie uznał ich okrzyku za złą wróżbę, tylko za pokrzepiające nawoływanie ptaka samej bogini Ateny; będąc zaś członkiem bractwa lampartów, nie przejmował się także głosami lampartów, których wiele w paśmie Pindu. Lecz ryk lwów napełnił go lękiem.

Za przesmykiem spieszyli dalej na wschód aż do źródeł Penejosu. Penejos, choć to z początku mały strumyk, gromadzi dopływy w swym biegu ku żyznym równinom Tesalii, aż w końcu dostojna rzeka wpada do Morza Egejskiego opodal Tempe, pomiędzy Górnym Olimpem a Ossą. Zwierzyna w tym opustoszałym kraju stanowiła rzadkość, Jazon zaś, choć słynął jako myśliwy na stokach Pelionu, nie był obeznany z kryjówkami i obyczajami mieszkańców Pindu. Obaj z Argosem zacisnęli pasa i uznali się za szczęściarzy, skoro ósmego dnia udało im się celnymi kamieniami okuliwić zająca oraz ubić kuropatwę. Lecz podtrzymała ich świadomość, że są pod opieką aż tylu bóstw; wreszcie ujrzeli z dala szalas pasterski, owce pasące się opodal, i popędzili tam gorączkowo.

Wtem rozległo się wściekle ujadanie: niezwyklego rozmiarów pies moloski wybiegł im naprzeciw, szczerząc żółte kły, by bez namysłu rzucić się Jazonowi do gardła. Argos w skoku wbił włócznię w trzewia bestii, więc padła skomląc. Pasterz, który całe lata przemieszkał samotnie na tym pustkowiu, wybiegłszy z szalasu, ujrzawszy, jak Argos przeszywa zwierzę włócznią. Chwycił za oszczep i bez

wahania runął na Argosa żądny zemsty za śmierć psa, swego jedynego przyjaciela. Argos nie uwolnił jeszcze włóczni, utkwionej między żebrami zwierzęcia, i byłby on z kolei zginął, gdyby Jazon, co dźwigał świętą gałąź, nie palnął nią z trzaskiem w czerep tamtego i nie zwałił go na ziemię.

Przenieśli oszołomionego pasterza do szałasu, po czym próbowali cucić, pryskając mu w twarz zimną wodę oraz paląc pierze pod nosem. Lecz gdy jego oddech przeszedł w charczenie, poznali, że już prawie kona. Wielce zakłopotani zaczęli sobie wzajem czynić nieme wyrzuty, tylko wargami i wzrokiem, bo się bali, że duch zmarłego, skoro nie padł on w otwartym boju, mógłby ich ścigać uparcie, dopóki krewniacy go nie pomszczą; ale wina Jazona była cięższa. Natarli twarze sadzami z paleniska w nadziei, że duch ich potem nie rozpozna, biorąc za Etiopów; Argos zaś zmył w bieżącej wodzie krew psa, która mu trysnęła na ręce.

Gdy pasterz wreszcie wyzionął ducha, wykopali grób w miejscu, gdzie padł, i pochowali go tak, jak był, z pasem u boku, przez cały czas odwracając twarz, żeby duch nie mógł im się przyjrzeć nawet przez sadze; rozmawiali przy tym piskliwym głosem. Ułożyli na grobie stos kamieni i lali obiady z mleka i miodu (znaleźli je w szałasie), by ułagodzić ducha. Nie śmieli tknąć nic z pozostałego dobytku pasterza, żeby zaś okazać swoje przyjazne intencje, dla bezpieczeństwa zagnali jego stada do zagrody i poszli.

Wędrowali w milczeniu kilkanaście stają, aż nagle Jazona olśniła nowa myśl.

Odwrócił się do Argosa i rzekł:

– Dziękuję ci, drogi przyjacielu, żeś ocalił moje gardło od klów tego wściekłego psa.

Argos się zdumiał, że zabójca ośmiela się mówić tak niedługo po fakcie.

– A ja ci dziękuję, szlachetny książę – odparł – żeś się rozprawił z tym wściekłym pasterzem.

– Nic mi nie zawdzięczasz, synu Hestora – odrzekł potulnie Jazon. – Ani ty, ani ja nie zabiliśmy pasterza. To święta gałąź dębowa zadała cios. Niechże cała odpowiedzialność spada na ojca Zeusa. Ma on barki dość szerokie, by podźwignąć brzemień każdej winy.

Ten pomysł pocieszył Argosa. Uściskał Jazona i po obmyciu twarzy z sadzy w przydrożnym strumieniu ruszyli w drogę do najbliższego osiedla, złożonego z pięciu chałup i zamieszkanego przez zbójckie plemię Etołów. Na tubylcach –

a zastali głównie kobiety – wywarła wielkie wrażenie dziarska postawa Jazona i Argosa oraz ich zacnej roboty broń, więc poczęstowały ich czarką mleka. Po chwili Jazon oznajmił, że byli świadkami śmierci pasterza, którą, jak twierdził, spowodowała gałąź zrzucona z drzewa przez wiatr. Etołowie wierzyli w tę historię (do pewnego stopnia prawdziwą), ponieważ wiedzieli, że opodal szałasu rośnie parę dębów, uznali zaś, że gdyby ci cudzoziemcy zamordowali pasterza, ukrywaliby to wydarzenie, jak długo się da. Gdy zapytali, co się stało z owcami nieboszczyka, Jazon odparł:

– Dobrzy ludzie, nie jesteśmy złodziejami. Stada są bezpieczne w zagrodzie.

Rudy moloski pies pasterzy wziął nas za nieprzyjaciół i zaatakował, więc mój towarzysz musiał



zabić go włócznią. Ale pomyślałem, że to niedobre zostawiać owce na pastwę dzikich zwierząt, i bezpiecznie zapędziłem je do zagrody.

Etolowie przyklasnęli rozsądkowi Jazona i posłali chłopaka, aby sprowadził

stado do wsi, co też uczynił. Ponieważ tak się składało, że pasterz był wygnańcem z odległego rodu, pozbawionym tutaj krewnych, owce rozdzielono równo pomiędzy wszystkie gospodarstwa; dwie pozostałe, gdy już mieszkańcy każdej chaty otrzymali równą liczbę, złożono w ofierze bogu wojny Aresowi, którego Etolowie czczą najbardziej. Tego wieczoru wszyscy jedli do syta baranią pieczeń, pili piwo przez słomkę, tańczyli na cześć Aresa, mężczyźni razem z kobietami, i chwalili zmarłego pasterza. Jazon i Argos spodziewali się nad ranem zdradzieckiego napadu, bo Etolowie uchodzą za ludzi wyzutych z zasad moralnych. Kosztowali tego piwa oględnie i po kolei, jak zwykle, zbrojnie trzymali straż. Nic jednak nie nastąpiło, a rankiem jeden z gospodarzy odprowadził ich do domu swego krewniaka ze strony matki, zamieszkałego o sto osiemdziesiąt stadiów w dół biegu Penejosu; tam zaś podejmowano ich równie gościnnie.

Z kraju Etolów dalsza droga wiodła przez ziemie Lapitów, odwiecznych nieprzyjaciół centaurów. Lecz Argos podjął się przeprowadzić Jazona bezpiecznie, jeśli upnie włosy w inny sposób, niż noszą centaurowie, i będzie udawał służącego; na co się Jazon zgodził. Po przybyciu na terytorium Lapitów, gdzie ujrzeli pyszne stada bydła i koni pasące się na podmokłych łąkach, Argos natychmiast dał się poznać. Oznajmił, że jest spokrewniony w linii żeńskiej z Tezeuszem z Aten, którego sławią pieśniarze Lapitów dzięki przyjaźni z poprzednim ich królem, Pejritoosem; obaj ci bogowie byli sprzymierzeńcami w zwycięskiej wojnie przeciw centaurom, która wynikła, jak zwykle, z kłótni o kobiety.

Lapici przyjęli Argosa gościnnie i wszystko by dobrze poszło, gdyby się Jazon nie zniecierpliwił, że go traktują jak sługę: butnie oświadczył gospodarzom, iż oczekiwał lepszego jadła niż otręby i ochłapy. Wódz Lapitów był zgorzony i kazał

Jazona oćwiczyć za zuchwalstwo; wdał się w to Argos i wyjawiał, kim jest w istocie ten sługa, ostrzegając jednak, że znajduje się on pod opieką nie tylko Białej Bogini, lecz także Olimpijczyków: Apollina, Ateny, Posejdona i Zeusa. Wódz, którego imię brzmiało Mopsos Minińczyk, pojął, że Jazon żywy przedstawia dlań większą wartość niż umarły. Myślał z początku zażądać od Peliasa ogromnego okupu w złocie i bydle, ale Argos mu otwarcie powiedział, że nie ma co na Peliasa liczyć, bo on nie da nawet kościanego guzika. Podczas gdy Mopsos nadal z towarzyszami rozważał kwestię, Jazon się zobowiązał, że jeśli go puszczą wolno bez żadnych warunków, namówi centaurów, na których ma wpływ, do zawarcia pokoju z Lapitami. Mopsos wziął Jazona za słowo i uwolnił; tak się zaczęła ich przyjaźń.

Gdy Jazon bezpiecznie powrócił do Jolkos, szlakiem przez Ferę i chełpił się przygodą na Morzu Jońskim, Peliasa złościło nad wszelkie pojęcie to, że sam się przechytrył. Gdyby nie podsunął korynckiemu szyprowi pomysłu zbrodni, Jazon by z pewnością zginął podczas rozbicia okrętu. Lecz Pelias dobrze wiedział, jak ukrywać wzburzone serce pod opończą pochlebstwa czy zachwyty, i podejmował

Jazona nie mniej godnie niż przedtem.

Niebawem Jazon odwiedził Chejrona i przedłożył mu propozycje Mopsosa, w których powiedziano, że niesnaski pomiędzy Lapitami oraz centaurami winny ustać bezzwłocznie; że centaurowie mają powstrzymać Peliasa od prowadzenia na własną rękę wojny z Lapitami; i że centaurom należy się swobodne przejście przez ziemie Lapitów, ilekroć zapragną udać się w zaloty do etolskich kobiet w górach Pindu. Chejron przyjął te propozycje; a wkrótce, za pomocą darów ze skór i budulca, skłonił Peliasa do zawarcia podobnej ugody. Tak to Jazon się przyłożył

do zalecenia odwiecznej niechęci między centaurami a Lapitami i uzasadnił imię, jakie mu nadał Chejron.

## **BUDOWA ARGO**

Złożywszy już parę białych jałówek bogini Atenie, aby dopełnić obietnicy, Jazon rozesłał odzianych po królewsku heroldów do wszystkich ważniejszych miast Grecji. Każdy herold niósł w prawej dłoni cztery gałązki rozmaitych drzew i miniaturowy topór o dwu ostrzach, owiązane razem długim pasmem żółtej wełny; a w sakwie chował szyszkę jodłową. Wkraczając na podwórzec jakiegokolwiek możnego dworu, którego właściciel pochodził z krwi minijskiej, miał klaskać w dłonie, prosząc o uwagę i następnie pokazywać toporek oraz pęk gałązek. Mówił

przy tym:

– Niechaj błogosławieństwo Olimpu spłynie na ten dom! Przybywam w imieniu bóstw nieśmiertelnych. Popatrzcie na tę gałązkę jesionu: jesion jest świętym drzewem Posejdona, którego włócznie i wiosła wykonano z tego nieustępliwego drewna. Spójrzcie na gałązkę wawrzynu: to wyroczne drzewo stanowi własność Apollina. Ta różdżka oliwna należy do Ateny; nie potrzebuję wam przypominać o zaletach oliwki, co zapładnia krowy pasące się między drzewami. Obejrzyjcie na koniec gałązkę dębu, poświęconego samemu Zeusowi, którego królewski topór włączono do pęczka. A cóż, moi panowie, oznacza to pasmo żółtej wełny? Oznacza ono wspólne zamiary czterech bóstw greckich wobec złotego runa, stanowiącego odwieczną własność Zeusa i wydartego mu bezprawnie a zuchwale przez Koryntczyka Ajetesa, obecnie króla Kolchidy, co panuje w kaukaskiej Ai, gdzie mieszkają chyże rumaki Słońca, na najdalszych krańcach Morza Czarnego. Ten bezcenny przedmiot trzeba wydrzeć z rąk Ajetesa, czy to namową, czy podstępem, czy siłą, i zwrócić świętemu dębowemu posągowi ojca na górze Lafistion.

Jam jest herold Jazona Minijskiego, syna króla Ajzona, władcy Jolkos we Ftiotis, czyli (jak ją teraz niektórzy zowią) w Hajmonii. Niech jesion zaświadczy: na rynku w Jolkos, podczas tłumnych uroczystości ofiarnych ku czci boga Posejdona, ów Jazon w natchnieniu wpadł na myśl wyprawy do Kolchidy. Niechaj zaświadczy wawrzyn: bóg Apollo publicznie utwierdził potem Jazona w tym postanowieniu. Niech świadczy oliwka: bogini Atena, widząc, jak Jazon walczy ze wzburzonym morzem opodal wyspy Leukady, ocaliła go w nadprzyrodzony sposób i bezpiecznie wywiodła na ląd u bram swego ojca. Wreszcie niech świadczy dąb: wszechmocny Zeus przyjął ofiarowane sobie usługi Jazona i na znak łaski zrzucił

mu gałąź dębową z własnego świętego drzewa. Czyż to nie cudowne?

Jakże więc, mój panie, i ty, i ty, nie przyłączyć się wam do Jazona w tej świętej wyprawie, aby w ten

sposób zyskać chwałę – chwałę, co nie tylko promiennym wieńcem ozdobi was za życia, jakkolwiek długo by trwało, lecz kiedy pomrzecie, przysporzy dostojęstwa waszemu domowi i miastu, i najdalszemu potomstwu. Po śmierci, moi panowie, wszyscy na pewno zostaniecie herosami, a waszym duchom lud będzie znosił dary i lał obiaty, tak że nigdy wam nie przyjdzie głodnym i niepokieszonym błądzić po mrocznych pieczarach świata podziemi, jak wypadło czynić pospółstwu. Wy będziecie pijać z największych pucharów i dosiadać białych mar koni, i doglądać ziarna, które wasze dzieci zasieją w odziedziczonej po was roli, aby kiełkowało i niosło bogaty, obfity plon. Wszyscy błogosławieni Olimpijczycy sprzyjają tej wyprawie, nie może się więc ona skończyć inaczej niż zwycięstwem, choćby się zdawała nader hazardowa. Zeus już polecił swej posłusznej córce Atenie zbudować okręt i nakazał uległemu bratu Posejdonowi uciszyć fale morza; Apollo zaś, jego syn, niejasno przepowiedział inne znakomite rzeczy.

I na jakiegoż godniejszego niż Jazon wodza moglibyście liczyć, skoro Herkules z Turyntu zajęty jest swymi pracami i nie zdoła przybyć? Powiadają – a bez wątpienia to prawda, któż bowiem śmiałyby wymyślić tak nieprawdopodobną historię – że Jazon, nim go ocaliła dziewica Atena, siedem dni i siedem nocy przebywał w wodzie, walcząc w pojedynkę z rojem ostrożnych morskich potworów, z których największy runął nań z otwartą paszczą i połknął go; tak wszakże mężny jest ów Jazon, że swoim ostrym magnezyjskim nożem myśliwskim wykroił sobie wyjście przez zwałisty bok stwora.

Słuchajcie dalej: w Kolchidzie można zdobyć nie tylko nieprzemijającą chwałę, lecz także skarby. Czyż właśnie przez góry Kaukazu nie wiedzie szlak kupiecki strzeżony przez bezbożnego Ajetesa, który ściąga myto w wysokości jednej piątej lub więcej towaru od każdego kupca, co na wyładowanym koleśnym wozie przybywa z Persji, Chaldei, Baktirii, Sogdiany, Indii czy najdalszych krańców Azji?

Czyż komnaty i piwnice jego pałacu nie pękają od nadmiaru bogactw? Gdy Ajetes zostanie pobity, a runo odzyskane, cóż każdego z was powstrzyma od uniesienia takich ilości złotego piasku i tyłu sztab złota i srebra, zwojów dywanów, bukłaków z balsamem i szkatuł z klejnotami, na ile będzie miał ochotę?

I cóż, moi panowie, na to powiecie? Pozwólcie się wszakże ostrzec, że nikt prócz krzepkich młodych nobilów o niewątpliwie minijskim pochodzeniu nie zostanie dopuszczony do tej wyprawy, a i to tylko tyłu, ilu trzeba do załogi okrętu.

Wielu z konieczności wróci do domu z niczym. Spieszcie do Jolkos, moi panowie.

Przemówienie to rzadko chybiało celu, rozgrzewając serca Minijszczyków, co go słuchali, szczególnie tych, którym dojadły pokojowe prace i urąganie achajskich władców: Achajowie bowiem byli o nich kiepskiego zdania, twierdząc, że zgnuśniali wskutek jedwabnego życia, jakie wiodą w Grecji, i nie nadają się już do żadnych niebezpiecznych przedsięwzięć. Niektórzy spośród tych Minijszczyków od razu zgłaszali swój udział w wyprawie, inni jednak – oględniejsi – pytali:

– Nieprawda li to, miły heroldzie, że runo, o którym mówisz, zostało dawno temu ukradzione trykowi z góry Lafistion przez Kobylągłową Matkę w odwet za to, że przywłaszczył sobie jej świątynię na Pelionie? Czyżbyś nas zachęcał do wzięcia w tym sporze strony bogabarana, zwanego dziś ojcem Zeusem, przeciwko Wielkiej Trójbogini, zmuszonej przezeń tymczasem, by pod imieniem Hery została jego żoną? Jesteśmy Minińczykami, potomkami Miniasa, którego matka ukochała i wywyższała ponad wszystkich Greków, on to bowiem pierwszy orzekł, że bóg-baran ma jej podlegać. Czy nie znieważymy pamięci pradziada, do którego pełnego chwały grobowca o kształcie ula w Orchomenos nadal ślemy doroczne dary, próbując zniweczyć dzieło bogini? Czyż to nie z jej właśnie rozkazu runo trafiło do rąk króla Ajetesa?

Na to herold odpowiedział: – Pochwalam wasze niezmienne oddanie wobec bogini. Zważcie jednak na inne świadectwa prawdy, które przynoszę w sakwie. Jest to szyszka jodłowa z Pelionu, zawarta, jak widzicie, w białej siatce utkanej z włosia grzywy świętej klaczy bogini. Ten znak odpowiada na wszystkie wasze pytania: możecie jasno z niego odczytać, że bogini godzi się na wyprawę. Choć bowiem odzyskanie runa niezbyt ją pewno obchodzi, obiecuje swoje błogosławieństwo każdemu Minińczykowi, co popłynie z Jazonem do Kolchidy i tam zapewni odpoczynek duchowi jej sługi Fryksosa, który wciąż kołacze się niepocieszenie wśród nie pochowanych kości. Pozwólcie się ostrzec, szlachetni Minińczycy, że nie należy w zamierzonym sporze Trójbogini z tym, co był niegdyś jej synem, szukać powodu do rezygnacji z podróży do Kolchidy na poszukiwanie runa. Czynić tak –  
znaczy zapominać, jakie plagi spadły na wasz ród, odkąd runo zostało skradzione.

Atamas Minińczyk był strażnikiem cennej relikwi, a że ją stracił, ojciec Zeus pokarał go utratą rozumu, erynie zaś przywiodły do takiego szaleństwa, iż przeszył

strzałą własnego syna Learchosa, biorąc go za zwierzynę łowną pośrodku dziedzińca swojego pałacu. Odkąd Atamasa złożono z urzędu, podupadła potęga minijska. Najpierw siedmiu wojowników, którzy ruszyli przeciw Tebom, zginęło pod ich murami z ręki Herkulesa z Tyryntu. Później schorowany Ajzon nie był

w stanie utrzymać północno-wschodnich rubieży Grecji przeciw nacierającym Achajom; a niedługo potem jego wujowie, królowie minijscy: Perieres z Meseny i Salmoneus z Elidy, nędznie dokonali żywota. Lecz syn Ajzona, Jazon, powrócony ostatnio z ciemnej groty Centaura, jakoby z martwych, jest mężem niezwyklej odwagi i mądrości: jego właśnie zdaniem, dopóki nie odzyska się runa, Minińczycy nigdy nie wrócą do łask Zeusa i będą musieli w milczeniu, z usługnym uśmiechem, znosić docinki dumnych władców na temat swej nieudolności i tchórzostwa.

To przemówienie przekonało paru wahających, na pewno jednak nie wszystkich.

Tymczasem Jazon odwiedził znamienny gród ateński, przepłynąwszy przy wspaniałej pogodzie zaciszną Zatokę Eubejską. Tam złożył uszanowanie bogini Atenie i kornie przekazał jej rozkazy ojca Zeusa. Król archontów i królowa, co społem zarządzili religijnym życiem Attyki, powitali go życzliwie i okazali najwyższe zainteresowanie jego projektem. Po krótkiej naradzie ofiarowali mu wszelką pomoc, jaką rozporządzali; w zamian jednak wymusili na nim przyrzeczenie, że nie dopuści do żadnej zniewagi ani gwałtu wobec mieszkańców Troi, z którymi Ateńczycy byli w zażyłych stosunkach, usłucha natomiast każdej rozsądnej prośby trojańskiego króla. Gdy Jazon potwierdził obietnicę

przysięgami o takiej wadze, że tylko szaleniec ośmieliłby się je złamać, dowiedział się z przyjemnością, iż Atena akceptuje polecenie swego ojca i że budowa okrętu zostanie powierzona Argosowi, synowi Hestora, który nie tylko był potomkiem wynalazcy Dedala, lecz ponadto niemal mu dorównywał w sztuce skutniczej.

Jazon powrócił do Jolkos i opowiedział królowi Peliasowi o pomyślnych rezultatach rozmowy z archontami. Pelias, udając zadowolenie, ofiarował mu ociosane drzewo, ćwieki, liny i wszelkie zasoby swoich stoczni. Jazon podziękował

ceremonialnie, ale odesłał go z tym do Argosa, w którego rękach spoczywała całość budowy; a potem, po cichu, przypomniał Argosowi, że skoro Pelias jest w istocie nieżyczliwy wyprawie, żaden jego dar nie przyniesie im szczęścia –

i użycie bodaj paru splotów liny z Jolkos obarczyłoby okręt przekleństwem. Argos przeto odrzucił ofertę Peliasa, acz z udaną wdzięcznością, pod pozorem, że bogini Atena zastrzegła sobie, aby każda najdrobniejsza linka użyta na okręcie była skręcona przez powroźników ateńskich, zaś każda belka zrąbana w imię bogini.

Argos wyruszył na poszukiwanie sosnowego budulca i znalazł, czego potrzebował, u podnóża Pelionu, gdzie sztorm obalił szereg wysokich drzew; część ich korzeni mocno tkwiła w glebie, schły więc powoli i drewno miały jędrne. Było tu dość budulca na poszycie jednomasztowca, a smukły trzydziestowiosłowy okręt wojenny był jego zdaniem najodpowiedniejszym rodzajem statku na podróż do Kolchidy. Jego ludzie toporami ociosali sosny z gałęzi, a następnie obdarli je z resztek kory; pnie, z których żaden nie był ani trochę spróchniały, zwieziono na wybrzeże drewnianymi wozami zaprzężonymi w woły, potem zbito z nich tratwę i spławiono przez zatokę na drugi brzeg, na rozległą plażę Pagazy.

Nie opodal, w Metonie, Argos znalazł dębinę zdatną na żebra kadłuba, wybierając zakrzywione konary wielkich drzew i jeden prosty, wysoki dąb na kil.

Kiedy je również przeprawił wodą do Pagazy, można było zaczynać budowę. Paru jego cieśli toporkami ociosywało belki sosnowe na poszycie, inni piłami i siekierami cięli dębowe wręgi, potem je fugowali wzdłuż stępki i wiercili otwory na sworznie, aby je przymocować kołkami z oliwnego drzewa do masywnej dębowej burty. Niebawem szkielet okrętu zyskał właściwy kształt, a w chwili gdy dopasowano dziób i rufę, poszycie można już było przybijać do wręgów ćwiekami z brązu; wpierw jednak każdej desce przydawano giętkości, trzymając w parze nad kotłem pełnym wrzącej morskiej wody. Okręt mierzył sześćdziesiąt kroków wzdłuż na linii zanurzenia, a szeroki był na pięć kroków; niektórzy wytrawni marynarze sądzili, że powinien mieć większą szerokość do żeglugi przez Morze Czarne, znane z tego, że olbrzymie fale wałają tam jednocześnie ze wszystkich stron; Argos jednak uparcie twierdził, że szybkość zasługuje na baczniejszą uwagę niż wygoda załogi.

Maszt spoczywał jeszcze na widełkach, ale z łatwością go z nich ściągnięto i umocowano w gnieździe za pomocą masywnych klinów dębowych. Żagiel stanowił kwadrat grubego, białego płótna sprowadzonego z Egiptu, olinowanie zaś sporządzono z plecionego końskiego włosia w koszulce z konopi. Jesionowe wiosła, każde dwakroć wyższe od człowieka, miały wąskie pióra; lecz dwóm

rudlom sterowym, jednemu po prawej, drugiemu po lewej stronie sternika, dano pióra szerokie. Ławy sporządzono z dębu, ze szczelnymi skrytkami pod spodem, dulki zaś wyścielała bawola skóra.

Dziób, w który cieśle wbudowali świętą gałąź dębową z Dodony, był wygięty wdzięcznie na kształt szyi łabędzia, lecz kończył się rzeźbioną głową barana; rufa miała podobną linię, tak by sternik ze swego wysokiego siedziska mógł swobodnie spoglądać ponad głowami wiosłarzy. Krzepka wiklinowa osłona, obita na zewnątrz skórą”, została umocowana wzdłuż burty, by chronić załogę przed deszczem i wzburzonymi falami; żeby zaś użyć do budowy statku świętego drzewa każdego spośród bóstw, które poparły wyprawę, słupki do tej osłony wykonano z gałęzi lauru ściętych w gaju Apollina w Delfach.

Okręt był gotów w dziewięćdziesiąt dni i zanim ukończono robotę na rufie, zaczęło się już uszczelnianie i zdobienie dziobu oraz burty. Po zalaniu szpar gorącym woskiem, pociągnięto boki wewnątrz i na zewnątrz smołą wytapianą z peliońskich sosen, a policzki dziobu cieśle ubarwili cynobrem kupionym na letnich targach w Troi. Z obu stron dziobu, wysoko, wymalowali białą i zieloną glinką wielkie oczy, dodając pędzlem umaczanym w smole podwinięte, czarne rzęsy. Wyszukali też płaskie kamienie kotwiczne, przewiercili w nich otwory na liny i ociosali je na okrągło, żeby się dały bez trudu wtoczyć po desce i wywindować na pokład; wystrugali drągi, by móc odbić od skał lub zepchnąć okręt z mielizny, jeśli utknie; zrobili też dwie drabiny dla łatwiejszego wchodzenia na pokład i wysiadania. Rzemienie przytwierdzały wiosła do burt, tak że nie mogły wysliznąć się z dulek i wypaść.

Wszyscy, którzy oglądali okręt – a setki osób wędrowały z daleka i z bliska, by nań popatrzeć – stwierdzili, że nigdy w życiu nie widzieli czegoś tak pięknego.

Dano mu nazwę **Argo** na cześć Argosa, a ten był tak dumny ze swego dzieła, że oświadczył, iż nie zdołałby znieść rozstania i popłynię wszędzie, dokądkolwiek okręt się uda.

Tej zimy pałac w Jolkos pełen był żwawej młodzieży, co się zbiegła na zaproszenie heroldów. Znalazło się tam wielu Minińczyków, ale nie tylko; sądzono bowiem, że Jazon zgodzi się zapewne przyjąć również mężów, w których żyłach nie płynie krew minijska, jeśli zechcą zostać Minińczykami przez adopcję. Pelias nie mógł przybyszom odmówić gościny, lecz skarżył się Jazonowi, że obżerają go jak szarańcza i im prędzej podróż się rozpocznie, tym bardziej on będzie rad; jako dostojne osoby, trzeba ich było karmić odpowiednio do ich stanu, a wielu miało ze sobą liczną świtę. Ajzon, ojciec Jazona, choć niby piastował godność króla Ftiotis, żył w takim ubóstwie, że nie mógł gościć więcej niż sześciu ludzi, co uderzyło poszukiwaczy przygód jako fakt tak szczególny, że połowa zdecydowała się jednak nie uczestniczyć w wyprawie. Doszli do wniosku, że Pelias, nie zaś Ajzon, jest prawdziwym władcą królestwa i że to on, a nie żaden bóg, skusił Jazona do podróży w nadziei pozbycia się rywala. Mimo to nie zawrócili od razu do domu, bo czas im w Jolkos upływał mile na łowach, ciskaniu krążków, boksie, zapasach, grze w kości i wyścigach, zaś Pelias dla honoru domu nie skąpił jadła ani napitku.

Co energiczniejsi nagabywali Argosa, jak się powinni przygotowywać do podróży. Wyjaśniał, że nie ma potrzeby zadawać mu pytań, na które bez namysłu mogą odpowiedzieć sobie sami: muszą się zająć gorliwie nauką wiosłowania, chyba że sztukę tę już posiadli w stopniu doskonałym, w co wątpi. O ile bowiem wiatry nie okażą się łaskawsze, niż wolno im oczekiwać, jedynie usilnym

wiosłowaniem zdolają pokonać bystre prądy Hellespontu i Bosforu lub uniknąć pościgu floty kolchidzkiej, skoro już dotrą do celu i porwą runo. Przypadkiem paru kandydatów było już biegłymi wiosłarzami, podróżowało na Sycylię lub do Italii i zgłębiło prawie wszystkie tajniki obchodzenia się z okrętami; większość jednak знаła się lepiej na hodowli koni i wojacze niż na morskich podróżach i z rzadka lub wcale nie wstępowała na pokład okrętu, chyba że dla przejażdżki w pogodny dzień letni. Jazon pożyczył więc od Peliasa dwie dwudziestowiosłowe galery wojenne, wyciągnięte zimą na brzeg, i na zacisznych wodach zatoki i on, i jego nowi znajomi urządzali wyścigi pod kierunkiem dwóch znanych sterników, Ankajosa z Tegei i Tyfisa z Tyzbe. Uczyli się obracać wiosłami w dulkach niby kluczem w zamku i trzymać rytm do wtóru pieśni sternika. Ich dłonie twardniały, ramiona nabierały mięśni, a z tych ćwiczeń, co dzień społem podejmowanych, rodziły się więzi przyjaźni, które nocą, nad kubkiem wina i kośćmi, powstrzymywały ich od orężnych sporów.

Jednego wieczora Jazon przyszedł do Peliasa i powiedział mu na stronie:

– Stryju, pewna sprawa ciąży mi na sercu, wstyd mi się przyznać co.

– Niechże usłyszę najgorsze, mój chłopcze – odparł Pelias dobrotliwie.

Jazon wahał się chwilę, nim zaczął: – Po pałacu krążą kłamliwe wieści. Twoi goście mówią, że mnie nienawidzisz, boisz się i wysyłasz w tę podróż tylko po to, aby się mnie pozbyć; niektórzy nawet napomykają, że zamierzasz zatopić nasz okręt za pomocą jakiegoś mechanicznego czy magnetycznego urządzenia, skoro tylko wypłyniemy z Zatoki Pagazyjskiej. Jakże bezwstydnie łżą te łajdaki!

Obawiam się jednak, że o ile ich nie zapewnisz o swojej życzliwości dla mnie oraz dla *Argo*, czego w głębi serca jestem pewien, nie znajdziemy ochotników na wyprawę ani dostatecznej liczby załogi. Poniesiesz wtedy na darmo wszystkie koszty, *Argo* zaś stanie się przysłowiowa w całej Grecji. Co gorsza, kiedy królowie czy kapłani w pogawędce zapytają jeden drugiego: „Ale wytłumacz mi, czemu *Argo* w końcu nie wyruszyła? Tyle było przedtem przechwałek i tak rozrzutne przygotowania” – odpowiedź będzie brzmiała: „Wiadomo, że Pelias zamyślał

zdradę; to jest prawdziwy powód, dla którego *Argo* w ogóle nie popłynęła, nie zaś niepomyślne prognozy, jakie rzekomo odkryto podczas składania ofiar”. A zważ, stryju, czy bogowie będą radzi, gdy ta plotka dotrze na wysoki Olimp.

Zaniepokojony Pelias zwołał wszystkich śmiałków i oświadczył im:

– Jakiś pomylenieć, panowie, szarga moje dobre imię. Oby ojciec Zeus poraził

go gromem z jasnego nieba, a harpie rozniosły wijące się szczątki! Któryż z was, szanowni goście, ośmieli się powtórzyć mi w oczy nikczemne łgarstwa, jakie szepcze za moimi plecami? Ja coś majstruję w kadłubie *Argo* lub knuję zamach na życie załogi? Jak możecie przypuszczać, że tak nisko cenię bogów i własnych współobywateli. Och, bywają hultaje, co we wszystko uwierzą. Pozwólcie mi jednak teraz udowodnić szczerłość moich zamiarów wobec was. Tam siedzi mój syn jedynak, księżę Akastos, którego kocham gorąco. Choć potrzebuję go tutaj, by wiódł moje wojska do boju (dla mnie bowiem minęły już lata wojaczki, nawet na rydwanie), niniejszym ochoczo oddaję go na świętą

wyprawę po runo. Pojedzie z wami, będzie waszym towarzyszem i jakkolwiek wopot czy kłeska porazi *Argo*, porazi zarazem mego syna Akastosa, przez niego zaś uderzy we mnie.

Przemawiał podstępnie, zamierzając w ostatniej chwili pod takim czy innym pozorem zatrzymać Akastosa; jego słowa jednak przekonały wielu wątpiących.

Akastos, który właśnie po pijanemu narzekał, że niedobry ojciec wzbrania mu przygody, od jakiej żadnemu minijskiemu księciu nie przystoi się uchylać, wrzasnął z radości. Chwiejnie ruszył przez salę, by paść Peliasowi do nóg i prosić o błogosławieństwo. Pelias musiał go udzielić i ukryć niezadowolenie.

Wśród wodzów plemion we Ftiotis był sobie młody szlachcic z linii korynckiej, który uciekł do Jolkos z rodzinnej wyspy Ajginy, zabiwszy krążkiem przyrodniego brata; nie było wszakże jasne, czy to morderstwo, czy wypadek. Poślubił następnie córkę krewnego Peliasa, głowy rodu Myrmidonów, i we Ftyi poddał się rytualnemu oczyszczeniu, aby ujść duchowi przyrodniego brata. Po tej ceremonii przybrał imię Peleus – jego poprzednie imię uległo już dziś zapomnieniu – wstąpił do bractwa mrówek. A potem udał się z teściem do Arkadii, by wziąć udział w słynnych łowach na kalidońskiego dzika. Gdy odynec nagle przedarł się przez nagonkę, Peleus cisnął w niego oszczepem; oszczep jednak ześliznął się po barkach zwierza i przeszył teścia. Młodzian powędrował do Jolkos na następne oczyszczenie, którego dokonał Akastos, zatrzymał jednak imię Peleusa; później zaś wrócił do Ftyi, by objąć dziedzictwo po teściu oraz władzę nad rodem Myrmidonów. Kiedy jeszcze przebywał w Jolkos, zakochała się w nim żona Akastosa, tak przynajmniej on potem twierdził, i czyniła mu liczne awanse. Skoro nimi wzgardził, oskarżyła go sekretnie przed Akastosem, że to on się do niej zalecał, ale ona nim wzgardziła.

Akastos był z Peleusem w przyjaźni, lecz Achajowie przywiązywali taką wagę do cnoty żon, że czuł się zobowiązany pomścić swój honor. Wzdragał się jednakże przed otwartym zabójstwem, bo, jak wiedział, obrzęd oczyszczenia jest kłopotliwy i nie zawsze skuteczny. Zamiast tego więc wziął Peleusa na łowy na Pelion, w okolice zastrzeżone dla centaurów na mocy układu, i niebawem uśpił go, częstując paroma łykami piwa na pusty żołądek. Następnie zabrał mu miecz i opuścił go w nadziei, że go uśmiercą albo dzikie zwierzęta, albo centaurowie.

Centaurowie pierwsi znaleźli Peleusa, ale na szczęście stary Chejron nadszedł

w porę, by powstrzymać krewkich współplemieńców, przypominając im, że za życie jednego Achaja zapłaci głową dwudziestu centaurów. Peleus odgadł, kto i dlaczego pozbawił go miecza, i namówił Chejrona, aby przekazał do Jolkos wiadomość, jakoby znaleziono jego ciało poszarpane przez dzikie bestie. Wtedy żona Akastosa zaczęła się publicznie pyszczyć, że mąż pomścił jej honor; Akastos zaś, mocno zaniepokojony, zamknął się w komnacie, odmówił wszelkiej strawy, umazał twarz gnojem i poszarpał na sobie szaty, żeby się nie dać poznać gniewnemu duchowi przyjaciela. Gdy Peleus w parę dni później powrócił zdrów i cały i przedstawił własną wersję tej przygody, wszyscy kpili z Akastosa; lecz Akastos mógł przynajmniej śmiać się z własnej żony. Zawarli obaj z Peleusem braterstwo krwi i przysięgli sobie wieczystą przyjaźń. Skoro więc teraz Akastosowi pozwolono popłynąć na *Argo*, Peleus także postanowił się wybrać.

Nadchodziło wiosenne zrównanie dnia z nocą, a był to najwcześniejszy możliwy termin bezpiecznego



podjęcia podróży, i na koniec Jazon, który posyłał na górę Lafistion do świątyni Zeusa-barana, by zapytać o dzień pomyślny dla żeglugi, mógł oznajmić, że wyprawa się rozpocznie czwartego dnia po następnym nowiu.

Radosna wrzawa wybuchła na to w sali, zauważono jednak, że kilku najgorliwszych uczestników biesiad, gry w krążki i wyścigów milczało: niebawem zaczęli się tłumaczyć, dlaczego nie mogą pojechać. Niektórzy udawali, że nadwerężyli sobie mięśnie przy wiosłowaniu, inni poszli do łóżka, jakoby z wysoką gorączką, paru wymknęło się w nocy bez żadnego pożegnania ani uprzejmej wymówki. Nie wydawało się prawdopodobne, aby mimo wszystko można było skompletować potrzebną załogę; a Jazon snuł się po kątach z ponurą miną, co do reszty odbierało ducha jego towarzyszom.

## **PRZYBYCIE HERKULESA**

Właśnie wzeszedł księżyc na młodziku, gdy wpadł do pałacu posłaniec i oznajmił królowi Peliasowi:

– Odwieczny wróg Minijczyków nadchodzi traktem z Halos. Łatwo zgadniesz, o kim mowa, gdy ci wymienię spiżem okutą maczugę z oliwnego drzewa, którą niesie na ramieniu, olbrzymi łuk przytroczony na plecach, chiton z lwiej skóry i długą, rozczochraną, lwią nieomal grzywę. Jednakże oświadczył podróżnym spotkanym po drodze, że przybywa w celach pokojowych, a rzadko się zniża do kłamstwa.

W sali zawrzało. Erginos z Miletu (niegdyś z Orchomenos) położył dłoń na rękojeści miecza i byłby ruszył do boju, ale go powściągnęli towarzysze.

Posępolicy Melampus, syn Posejdona z Pylos, rzekł:

– Rozumiemy, Erginosie, że masz powody przeklinać imię Herkulesa z Tyryntu, odkąd walczył przeciw tobie pod Tebami, obciążwszy wpierw uszy i nosy twoim poborcom danin z Orchomenos. Ano cóż, haracz nie był

bezpodstawny: wszyscy wiemy, żeś go ściągał jako zadośćuczynienie za śmierć twego ojca z rąk Tebańczyków. Jeśli jednak, a tak mi się zdaje, Herkules usłyszał

o zamierzonej przez nas wyprawie i pragnie wziąć w niej udział, zyskasz chyba na koniec powód, by błogosławić jego imię. Nie ma na świecie wojownika mężniejszego i bardziej doświadczonego niż Herkules. Chodźcie, Minijczycy, wybiegnijmy z tej sali nie z mieczami zagrozić mu drogę, lecz z wieńcami i czarami wina, żeby go pozdrowić. Wiele lat temu broniąc Teb, udaremnił nam podbój Beocji, ale powinniśmy zapomnieć o tej starej krzywdzie teraz, gdy Achajowie są panami całej Grecji, a sam Herkules poszedł na służbę do króla Eurysteusa z Myken. Wszyscy znacie powiedzenie: „Nic bez Herkulesa”, i zaprawdę nie brakło go w żadnym wielkim zbrojnym wyczynie ubiegłego trzydziestolecia. Uważam jego przybycie za jak najlepszy znak. Załagodźmy dawny zatarg, obwołując go naszym wodzem.

Przyklasnęli tym słowom wszyscy obecni prócz Jazona, który mimo kompletnej ignorancji w

dziedzinie żeglarstwa i nawigacji liczył na zaszczyt kierowania wyprawą. Tylko on i Argos, co skaleczył się był w nogę siekierą, pozostali w pałacu, gdy reszta śmiazków pobiegła witać Herkulesa.

Zauważywszy to, Pelias zapytał Jazona kpiąco:

– Czemu tu siedzisz nadęty w swojej skórze lamparta, bratanku? Czy nie wiesz, że lew jest królem zwierząt? – A widząc, że Jazon milczy, dorzucił: – Radzę ci szybko pobiec za towarzyszami, przegonić ich i pierwszemu pozdrowić Herkulesa.

Jeśli tego nie zrobisz, oburzą się i popłyną bez ciebie, a wtedy zostaniesz pośmiewiskiem całej Grecji.

Pelias miał nadzieję, że Herkules zgodzi się objąć dowództwo wyprawy; Jazon by w ten sposób stracił swoją sławę. Poza tym Herkules, który ulegał napadom szału, miał opinię równie strasznego dla przyjaciół, jak dla wrogów. Z powodu wymaginowanej obrazy czy krzywdy był zdolny nagle wywinąć swoją masywną, spizem okutą maczugą, kładąc trupem pięciu czy sześciu towarzyszy; a potem chciałby wyć ze skruchy i walić o ścianę potężną głową.

Jazon usłuchał rady stryja i wybiegł. Po jego wyjściu Pelias nie mógł się wstrzymać, by nie powiedzieć Argosowi:

– Wątpię, czy wasz okręt, choćby o najmocniejszej więźbie, długo poniesie siłacza tej wagi co Herkules.

Jazon, który był szybki w nogach, wkrótce wyprzedził innych Minijczyków.

W godzinę później, zdyszany i samotny, dotarł do Pagazy, gdzie odnalazł

Herkulesa z młodym giermkim Hylasem pijących z cieślami i malarzami okrętowymi w chacie nieopodal świętej *Argo*.

– Najszlachetniejszy książę Herkulesie – wykrztusił. – Jestem Jazon z Jolkos, dokąd już doszły radosne wieści o twoim przybyciu w te strony. Przybiegłem przed wszystkimi towarzyszami, aby cię pierwszy pozdrowić. Z miłą ochotą składam dowództwo naszej wyprawy w twoje znakomite ręce.

Herkules – nadzwyczaj muskularny i wysoki (miał prawie siedem stóp wzrostu) drab o świńskich oczkach i byczym karku – siedział, ogryzając łopatkę baranią.

Zamruczał coś w odpowiedzi, oderwał jeszcze kawałek pieczeni wielką, brudną ręką i wepchnął do ust. Potem nagle cisnął kość przez otwarte drzwi, w których stał

Jazon, w nurkującą kaczkę, co się pluskała w wodzie parę kroków od brzegu.

Łopatka świsnęła Jazonowi koło ucha, przeleciała nad całą plażą i palnęła ptaka w łebek, zabijając go na miejscu.

– Zawsze trafiam! – zachichotał do siebie. Wytarł tłuste palce w bure, sterczące kudły, czknął donośnie i wreszcie zapytał: – He? Co to za wyprawa, chłoptysiu?

Mówisz tak, jakby cały świat znał plotki z twojego tesalskiego zaścianka. Czy wilki z góry Hajmon pokradły wam chude owce? A może centaurowie z Pelionu znów się wyroili i zaczęli całować wasze kościste baby?

To był jego ulubiony żarcik. Wiedział aż nadto dobrze, jaką wyprawę Jazon miał na myśli. Sam ukończył właśnie szóstą ze słynnych dwunastu prac, narzuconych mu przez króla Eurysteusa z Myken (syna i następcę króla Stenelosa), która polegała na schwytaniu żywca dzika, co pustoszył zbocza Erymantu.

Wieści o zamierzonej podróży Jazona dosięgły go na rynku w Mykenach, gdzie akurat wyładowywał odyńca, spętanego bezpiecznie, z ręcznego wózka, na jakim go wiozł całą drogę z posępnej, ocienionej cyprysami arkadyjskiej doliny opodal Psosis. Obywatele wykrzykiwali z podziwu nad straszliwymi szablami bestii, równymi bez mała kłom afrykańskiego słonia, i jej rozjarzonymi, krwawymi ślepiami. Młody Hylas wyjaśnił gapiom:

– Mój pan Herkules szybko się ze zwierzem uporał: zagonił go w głęboką zaspę i brodzącego złapał w sieć konopną.

Zdarzyło się właśnie, że jeden z heroldów Jazona przyszedł na plac targowy i zaczął wygłaszać mowę na temat różdżki, wełny i topora – symbolów urzędu herolda – do grupy napotkanych tam Minijczyków. Herkules wrzasnął:

– Ludzie dobrzy, zanieście do króla Eurysteusa tego dzika oraz pozdrowienia ode mnie i powiedzcie mu, że się stawiam po dalsze rozkazy po przejażdżce do Kolchidy i załatwieniu tej drobnostki z utraconym runem. Chodź, Hylasie, moje dziecko, podaj mi sakwę z wózka i ruszajmy swoją drogą.

Herkules przewlekał prace, wykonując wiele zadań dobrowolnych, często znacznie niezwyklejszych od tych, które mu narzucał Eurysteus. Czynił tak, aby okazać swemu panu lekceważenie. Może się wydać zadziwiające, że Eurysteus miał w ogóle jakąś władzę nad Herkulesem; ale to osobna historia. Po zwycięstwie nad Minijczykami w Orchomenos Herkules (znany wówczas pod imieniem Alkajosa) w nagrodę otrzymał od króla Teb rękę jego najstarszej córki Megary.

Jednak cztery lata później w jednym z pijackich napadów zabił dzieci, jakie z nią miał, i za jednym zamachem dwoje siostrzeńców, biorąc ich za węże czy jaszczurki. Duchy ich zaczęły go ścigać. Zwykłe obrzędy oczyszczalne nie dały rezultatów, bo nie łatwo człowiekowi zwieść dusze własnych dzieci; powędrował

tedy do Delf prosić Apollina o radę, skarżąc się na nagłe szarpnięcia za nogi i chiton oraz głosy dziecinne dźwięczące mu w głowie. Najwyższy kapłan nie zapomniał, ile wrogości Herkules okazał nowej religii, i polecił mu na przeciąg Wielkiego Roku iść na służbę do króla Eurysteusa, którego ojciec Stenelos zginął

był z ręki Hyllosa, syna Herkulesa. Miał robić wszystko, w granicach rozsądku, a także poza nimi,

czego zażąda Eurysteus; i obiecano, że po upływie roku te szarpnięcia oraz głosy mają ustąpić zupełnie. Na razie świątobliwi lekarze przepisali paliatywy. Wielki Rok trwa bez mała osiem lat i po jego upływie słońce, księżyc i gwiazdy wracają wszystkie tam, gdzie znajdowały się poprzednio.

Eurysteusa z początku ucieszył ten układ, bo schlebiał jego pragnieniu władzy i ludził go nadzieją pomsty na Herkulesie za sprowokowaną przezeń śmierć ojca; wkrótce jednak król uświadomił sobie liczne niewygodności posiadania tak niezwykłego sługi. Wykonawszy pomyślnie pierwsze zadanie – udusił mianowicie nemejskiego lwa – Herkules przeraził Eurysteusa prawie na śmierć, dla żartu kładąc mu ścierwo na kolana. Nierad go już więcej oglądać, Eurysteus wybudował

sobie pod tronem grobowiec-schron ze spiżu, gdzie mógł się wśliznąć, zatrzasnąwszy kłapę nad sobą, i udawać umarłego, gdyby Herkules znowu wdarł się kiedyś do pałacu. Następnie wymyślił serię zgoła niewykonalnych zadań, które jego herold Taltybios przekazywał Herkulesowi, a które miały na celu możliwie najdłużej utrzymać go z dala od Myken. Herkules zwykł witać Taltybiosa słowami: „Hej, gnojku, jakie nowe gówno przynosisz od swego pana?” Ale respekt wobec heroldów zawsze go powstrzymywał od dania mu w skórę lub wybicia zębów.

Chejron, wychowawca Jazon, dał mu kiedyś przestrożę, że zawsze mądrzej pić z Herkulesem niż się z nim sprzeczać. Potulnie tedy przyjął jego żarcik.

– Doprawdy? – rzekł. – Czyżbyś rzeczywiście nie słyszał jeszcze o tym, o czym szumi cała Grecja? Bez wątpienia przez ostatnie parę miesięcy byłeś za granicą albo w jakiejś niedostępnej części kraju.

Ale na cętki mego lamparta przysięgam, że ci cieśle i malarze okazali cudowną dyskrecję. Zastanawiam się, jakie skrupuły nie pozwoliły im opowiedzieć ci, co za okręt szykują i do jakich celów go przeznaczono.

Herkules mruknął: – Eh! Zaczęli jakąś nedorzeczną historię o bandzie młodych Minijszyków, którzy się chełpią, że popłyną do Scytii... a może to miały być Indie?... na poszukiwanie skarbu strzeżonego przez gryfy. Jeśli mam być szczerzy, przestałem słuchać, dowiedziawszy się, że to przedsięwzięcie minijskie. Nigdy mnie w najmniejszym stopniu nie ciekawiło, co mogą porabiać Minijszycy, od czasu jak parę lat temu sprawiłem im to lanie pod Tebami.

Jazon powściągnął gniew. – Obawiam się – powiedział – najszlachetniejszy Herkulesie, żeś nie poznał wówczas moich druhów Minijszyków od najlepszej strony.

– Ja też się obawiam, chłopcze – potwierdził Herkules. – Doprawdy żałośnie się przedstawili. Jestem przekonany, że mój Hylas mógłby ich rozpędzić swoją małą procą i sztylecikiem. Prawda, złotko?

Hylas się zaczerwienił, a Jazon rzekł: – Błagam, wybacz moją admirację na widok twego młodego towarzysza. Czuję się w obowiązku oświadczyć, że jest on najpiękniejszym dzieckiem, jakie dotąd widziałem.

Herkules przyciągnął do siebie Hylasa i cmoknął go w szyję i twarz trzy czy cztery razy. – On to cały mój świat! – zawołał. – A jak się dzielnie sprawnia w marszu! Zamierzam za rok lub dwa, jako że już

osiąga dojrzałość, wprowadzić go do bractwa lwów. Niewielu nas jest, ale, na święte węże, świat odczuwa naszą obecność!

Herkules pierwotnie był bykiem, lecz porzucił wspólnotę, gdy ogłoszono, że Zeus odebrał ją bogini matce. „Jeśli baran może się zmienić w byka – oświadczył –

byk może zostać lwem”. Następnie, by przebłagać boginię za krzywdę, jaką wyrządził jej najwyższej kapłance w Olimpii, a także za śmierć uduszonego przezeń jej nemejskiego lwa, odwiedził na Ajai królową Kirke, która załatwiała tego rodzaju sprawy, i wstąpił do bractwa lwów. Ona mu kazała odgryźć własny palec dla ułagodzenia ducha lwa, co uczynił bez lęku, ponadto zaś ustanowił ku jego czci igrzyska nemejskie.

Jazon rad był znaleźć słabą stronę szorstkiej natury Herkulesa. – Jestem pewien, że twój Hylas okaże się wart ciebie – rzekł. – Już teraz nosi głowę po królewsku.

W jaki sposób dostał się na służbę u ciebie? Nie jest chyba jednym z twoich niezliczonych bękartów?

Herkules westchnął gwałtownie. – Biedny dzieciak jest sierotą. Sam zabiłem mu ojca. Oto, jak się to stało. Wędrowałem przez wschodnią Tesalię podczas jakiejś tam wyprawy i zdarzyło się pewnego dnia, że poczułem głód. Natknąłem się na driopickiego rolnika orzącego ugór w zacisznej dolinie i wykrzykującego zwykle sprośności na szczęście. Pozdrowiłem go słowami: „Udały oraczu, jestem taki głodny, że zjadłbym wołu!” Odpowiedział z uśmiechem, ale nie przestając złorzeczyć, że w żadnym razie nie powinienem zjadać jego wołu, dopóki pole nie zostanie zaorane oraz zbronowane. „Święte węże! – wykrzyknąłem, tracąc cierpliwość. – Zrobię to, jeśli zechcę”. „Powstrzymaj się – rzekł. – Jestem Teodamas Driopita. Muszę cię prosić, żebyś nie zwracał się do mnie tak stanowczo”. Odparłem: „Ja jestem Herkules z Tyryntu i zawsze mówię, robię i dostaję, co mi się podoba. Pewnego dnia powiedziałem Pytii w Delfach to właśnie, co teraz tobie; ale nie chciała mi uwierzyć. Wyrwałem spod niej poświęcony trójnóg i zabrałem go z przybytku. «Teraz – rzekłem – jeśli zajdzie potrzeba, będę miał własną wyrocznię.» Ho, ho! To wkrótce przy wróciło jej rozum”. Jednak Teodamas albo o mnie dotąd nie słyszał, albo może nie uwierzył, że ja to ja. Groził mi ościeniem do poganiania wołu, więc dałem mu przyjacielskiego kuksańca maczugą i roztrzaskałem czaszkę jak skorupkę jajka.

Nieszczęsny! Wcale nie zamierzałem go zabijać. Stale zapominam o własnej sile, w tym moje przekleństwo. To samo mi się przydarzyło, gdy jako chłopiec brałem lekcje gry na lirze i mój nauczyciel, nadęty głupiec imieniem Linos, dał mi po łapach, że niby nieprawidłowo robię palcówki. Palnąłem go dla żartu lirą i mózg się rozprysnął. Czysty przypadek, przysięgam! Udowodniłem samoobronę i sprawa przycichła, ale nigdy odtąd nie tknąłem liry.

No więc, jak mówię, byłem tego dnia dziwnie głodny. Zabiłem wołu, obdarłem go ze skóry, roznieciłem ogień z drewnianego pługa i ościenia, zasilając go paroma suchymi kłodami znalezionymi opodal niedalekiej stodoły. Gdy mięso się piekło, pobożnie ofiarowałem zwłoki Teodamasa Matce Zbóż i rozrzuciłem go w kawałkach wzdłuż bruzd, by polepszyć plony; co było, jak sądziłem, sprytnym sposobem uniknięcia względów jego duszy. Już miałem siadać do obiadu, gdym usłyszał piskliwy głosik spod stodoły: uee, uee, uaa! Siedziało tam ładne dwuletnie dziecko, które spało przedtem w ciepłe słońca na ojcowskim płaszczu. Musiało je zbudzić moje głośne

chrupanie. Tak, dobrze zgadłeś: to właśnie Hylas. Od razu powziąłem do niego słabość. Dałem mu kość szpikową do ssania i przypiekłem na ognisku smaczny kąsek wołowego ozora. Wkrótce takeśmy się zaprzyjaźnili, że wsadziłem go do sakwy i wziąłem ze sobą. Od tej pory uczestniczył we wszystkich moich przygodach.

Powiadali, że jego matka umarła z żalu po podwójnej stracie. Jeśli tak, musiała być bardzo głupia: Teodamas się okazał uparty niczym muł, a powinna mieć dość rozsądku, by nie skąpić Hylasowi edukacji, bo większość matek nie wiem, co by dała, by zapewnić taką swoim synom. Nie przejmuj się najdroższy Hylasie.

Herkules jest ci teraz ojcem i matką. Herkules będzie się zawsze tobą opiekował.

Jazon zapytał: – Czy mógłbym się dowiedzieć, co robisz we Ftiotis, najszlachetniejszy Herkulesie? Zapewne jesteś zajęty którąś ze swych prac słynących na całym świecie?

– Nie, nie. Właśnie ukończyłem szóstą z rzędu (czy może siódmą?... nieważne), kiedy mi przyszło do głowy zrobić sobie małe wakacje w Tesalii, pokazać Hylasowi jego kraj ojczysty i po drodze odwiedzić mego starego przyjaciela centaura Chejrona. Któregoś dnia posadzę Hylasa na driopickim tronie, jeśli będzie miał ochotę. Co, kochaneczku? – Znowu złapał Hylasa i zaczął go ścisnąć. Kiedy chłopiec wrzasnął z bólu, Herkules natychmiast się uspokoił. – Ano widzisz –

powiedział – stale zapominam o własnej sile. Złamałem mu parę żeber kilka miesięcy temu i musiał to odleżeć. Naprawdę nie chciałem go skrzywdzić, po prostu, rozumiesz, mam gorącą naturę.

– Ponieważ jesteś teraz cokolwiek swobodniejszy – rzekł Jazon – my, Minijczycy, których zgoła niesłusznie bierzesz za degeneratów, poczytywalibyśmy sobie za najwyższy zaszczyt, gdybyś nam towarzyszył do Kolchidy jako kapitan tego okrętu. Zamierzamy bowiem odzyskać złote runo Zeusa!

Herkules zastanowił się chwilę. – Kolchida, mówisz, Kolchida? Wiem, gdzie to jest. Najpierw płynie się do Troi, gdzie oczywiście czeka cię spór z nadętymi Trojanami i przyjdzie rozłupić parę łbów. Potem należy się trzymać południowego wybrzeża Morza Czarnego, do znudzenia wędrować przez pagórki (parę plemion po drodze ma nader szczególne obyczaje), aż się dotrze do krainy Amazonek na północ od Armenii. Byłem tam nie tak dawno, z racji jednej z prac, aby zdobyć pas królowej Hipolity; to nie było wcale łatwe zadanie. Jednakże zyskałem, po com przybył. Za Amazonią, jeszcze osiemset czy coś koło tego stadiów dalej, widać wreszcie na horyzoncie góry Kaukazu i Morze Czarne się kończy. To Kolchida.

Pamiętam szeroką, zamuloną rzekę i festony dzikiego wina w lasach, i żabki drzewne szmaragdowej barwy, i paru kędzierzawych krajowców w porcie, i drzewa indyjskie o cudacznym wyglądzie. Wyruszyłem czółnem w górę rzeki, bo miałem coś do załatwienia w świątyni Prometeusza, nieco powyżej ujścia, ale oczywiście musiałem zawrócić, skoro dziecinne głosiki znowu mi zabręczały w głowie.

Chętnie bym raz jeszcze spróbował. Chętnie bym odwiedził krainę wiecznych śniegów na szczytach Kaukazu, gdzie jedzący czosnek Swanowie zjeżdżają z zaśnieżonych stoków na skórzanych saniach bystrzej niż szybująca jaskółka i wspinają się na śliskie lodowe stromizny w podkutych ćwiekami

butach z niewyprawnej skóry. Słyszałem, że śnieg tam pada w postaci płaskich tafelek, ostrych niby nożyki, a nie w formie gwiazdek i kwiatów jak u nas; ciekaw jestem, czy to możliwe? Dobrze, pojedę z wami do Kolchidy. Nasze wakacje w Tesalii mogą poczekać, co, Hylasie?

– Cóż za wielkoduszność, książę Herkulesie! – zawołał Jazon, pragnąc go raczej widzieć martwym i pogrzebionym bezpiecznie pod zwalistym kopcem z ziemi i kamienia.

Herkules go uciszył: – Słuchaj, chłopcze, jestem bardzo ostrożny w doborze załogi. Jeśli obejmę kierownictwo wyprawy, zażadam swobody decyzji co do tego, kto ze mną ma jechać, a kto zostanie.

– To mi zaoszczędzi mnóstwa kłopotów – rzekł Jazon – byleś się zgodził zaliczyć mnie do tych, co jadą.

– Nie mogę powiedzieć, żebyś mi się na oko podobał – odparł Herkules surowo. – Mienisz się Miniwczykiem, klniesz się na cętki lamparta niby Magnezyjczyk i nosisz grzywę, jak byś był centaurem. Przypominasz mi Chimere, lwiogłową kozicę z Karii o wężowym ogonie. Nigdy jej osobiście nie spotkałem.

Ani na to nie liczę. Jestem przekonany, że połowa historyjek, jakie się jej przypisuje, to błaga. Kim jesteś?

Jazon krótko opowiedział o sobie. Gdy Herkules usłyszał, że to jeden z uczniów Chejrona, zawołał: – Dobra, dobra! – i zaczął go traktować daleko uprzejmiej. –

Chejron jest ostatnim spośród moich starych przyjaciół – rzekł. – On i jego mądra matka Filira wyleczyli mnie raz z paskudnej rany. Nigdy im tego nie zapomnę.

Obawiałem się, że stracę rękę.

Nie rozmawiali więcej o wyprawie, tylko popijali sobie dobrodusznie, a wkrótce pędem wpadli do chaty pozostali Miniwczy i pozdrowili Herkulesa dzikimi okrzykami. Huknął, żeby wynosili się precz, twierdząc, że jest zajęty swoim winem, i zatrzaskał im drzwi przed nosem tak gwałtownie, że dach częściowo się zapadł. Rozżaleni poczłapali z powrotem do Jolkos.

Jazon schlebiał Herkulesowi i raczył go winem, którego świeży dzban przydźwigał z chłopskiej chaty opodal, aż w końcu poprosił nieopatrznie, by mu pozwolono wycisnąć niewinny pocałunek na policzku Hylasa.

Herkules ryknął gniewnym śmiechem i pogroził Jazonowi sękatym paluchem.

– Żadne takie! – warknął. – Ten chłopak jest mój, nie twój!

W kącie chaty wśród narzędzi ciesielskich leżał żelazny łom. Herkules wyciągnął go i zaczął zawiązywać w obrozę na szyi Jazona, ale Hylas wybłagał mu przebaczenie. Zamiast tego więc Herkules skrzył łom w kształt sprężonego węża z uniesionym do ataku łbem i położył go przed Jazonem na ziemi, sycząc w przerażający sposób. Wskutek wysiłku twarz mu ogniście

poczerwieniała, bo już dobiegał pięćdziesiątki, i jego krzepa malała po trosze. Wyglądał strasznie.

## WERBUNEK ARGONAUTÓW

Następnego rana Herkules odsypiał pijaństwo. Zbudził się koło południa w kiepskim humorze, ale Hylas naszykował już dla niego wielki puchar wina oraz parę befszytków przyrządzonych przez Jazona, więc niebawem zgodził się przeprowić do Jolkos. Byli w połowie drogi, gdy minęły ich dwie ścigające się galery i wzniesiona przez nie fala zakołysała łodzią. Herkules zaklął głośno, złapał

za łuk i zrywając się, tupnął wściekle. Byłby posłał za galerami całą zawartość kołczanu, lecz wybił nogą wielką dziurę w dnie łódki, która nabrała wody i zatonała. Hylas pływał jak ryba, więc ruszył do jolkańskiego brzegu i dobił tam bez trudu, Jazon jednak pożałował gorzko, że już po swojej poprzedniej przygodzie nie zabrał się do nauki pływania i wioślarstwa. Starał się za pomocą wiosła utrzymać usta nad wodą, wołając Herkulesa na ratunek. Przez dłuższy czas potem nic więcej nie wiedział. Herkules, jako że nie miał ochoty dać się wciągnąć w głąb wskutek szamotania z Jazonem, przezornie ogłuszył go pięścią. Szczęśliwie się złożyło, że cienką czaszkę Jazona ochraniał zwinięty warkocz i skórzany hełm.

Kiedy wreszcie przyszedł do siebie, z okropnym bólem głowy, usłyszał obok ciężkie kroki i uchyłając powieki dostrzegł Herkulesa, który stał nad nim i patrzył

nań z zakłopotaniem.

– Nie umarłeś, co? – spytał.

Jazon rozejrzał się z trudem i spostrzegł, że znajduje się znowu w pałacu Peliasa, a nie w świecie podziemi, jak się był spodziewał.

– Nie, jeszcze żyję – odparł. – Co mnie uderzyło?

Hylas zachichotał, Herkules zarechotał i cała sala zatrzęsała się od potężnego śmiechu. – Co go uderzyło? Ha, ha! Co go uderzyło? – Bo Herkules już zdążył dać im pokaz siły, gdy wyzwał na zapasy Augiasza, młodego króla Elidy, posiadacza słynnych stajni, a potem chwyciwszy go pod kolana, cisnął aż pod powałę; król zahaczył się pasem na sęku u krokwi i zawisł tam jak poćiec suszonego koziego mięsa. Herkules ponadto zostawił swój znak, jak wszędzie zwykł był czynić, walnąwszy kułakiem w wielki miedziany kocioł, aż kostki jego palców zrobiły głęboki wklęsły ślad. – Co go uderzyło? Ha, ha! Co go uderzyło? – król Augiasz z Elidy wtórował spod krokwi, winszując sobie, że jest żywy i cały. Nie śpieszyło triu się schodzić.

Wieczorem po kolacji Jazon, wciąż słaby, ale zdolny się poruszać o lasce, zapytał Herkulesa, czy już wybrał załogę *Argo*. Cała sprawa uciekła Herkulesowi z pamięci, lecz teraz wziął się do tego bez zwłoki. Kłaśnięciem w dłonie uciszył

salę i nawet król Pelias, który wydawał właśnie szczegółowe polecenia podczaszemu, uznał za stosowne zamilknąć. To Herkules był królem, gdziekolwiek się znalazł.



– Przede wszystkim – zaczął swym tubalnym głosem – żądam, aby wszyscy goście króla Peliasa, którzy pragną popłynąć za mną do Kolchidy na tej tam łódce, stanęli po mojej prawej ręce, a ci, co nie chcą płynąć, po lewej.

Po chwili wahania pięćdziesięciu mężów stanęło po prawej, w tym paru Minińczyków, trzydziestu zaś po lewej – prawie wyłącznie Minińczycy.

– Teraz – rzekł Herkules – rozkazuję, by tych trzydziestu tchórzy, co się uchylają od wyprawy, i to wiedząc, że będzie tam Herkules, złożyło broń i zdjęło cały przyodziewek. Macie to tu zostawić z uprzejmym podziękowaniem dla króla Peliasa za gościnność, jaką wam okazał, i natychmiast wynosić się do domu, nie zabierając z sobą nawet przepaski na biodra.

Pięćdziesiątka ryknęła śmiechem, tych trzydziestu podniosło krzyk oburzenia, potrząsnęło orężem i odmówiło spełnienia rozkazu Herkulesa. Gdy jednak sięgnął

po okutą spiżem pałę i popluł w garście, buntownicy zastanowili się chwilę, po czym zaczęli rzucać miecze, włócznie, oszczepy i rozpinać guziki. Córki i kobiety goszczące u króla Peliasa uciekły splonione bocznymi drzwiami; sam król był

poruszony, w strachu, że ten incydent może pociągnąć za sobą z tuzin wojen. Ale Herkules nie chciał zmięknąć i młodzieńcy wyszli z sali w zimną noc zupełnie nago, zostawiwszy odzież, broń i klejnoty. Pięćdziesięciu zuchów wykrzykiwało za nimi.

Wówczas Herkules zwrócił się przyjaźnie do Jazona: – Nie mam szczęścia, zawsze taki byłem. Powiadają, że źle sędzę ludzi, i chyba nie bez racji. Niech mój Hylas wybierze mi załogę. On wie lepiej niż ja, jakiego rodzaju towarzyszy mi potrzeba; to mądry chłopak ten Hylas. Ale wprzódy niech wszyscy ochotnicy z krwi minijskiej staną osobno, bo herold obiecał im pierwszeństwo na okręcie.

Śmiałkowie, co nie byli Minińczykami, poczuli się urażeni, że wyboru ma dokonać taki smarkacz, ale nikt nie śmiał się przeciwstawić życzeniu Herkulesa.

Czternastu Minińczyków (tylko tylu ich zostało) odeszło na bok. Wyróżniał się między nimi Mopsos Lapita, któremu stara bocianica niedawno przepowiedziała, że zginie na Pustyni Libijskiej, był więc głęboko przekonany, że wyjdzie cało z podróży skierowanej w zupełnie inne strony. Mopsos bowiem głosił, że rozumie język ptasi, acz dodawał, że niekiedy plotą one takie same głupstwa jak ludzie.

Nosił szpaczy czubek i koniuszek języka miał rozcięty nożem. Obok niego stał

sprawiedliwy Koronos Lapita z bractwa kruków; krewniak Jazona, posępny Melampus z Argos, co głowę przyozdobił piórami sroki; oraz popędliwy Erginos z Miletu, w opończy pasiastej jak skóra tuńczyka na cześć swego ojca Posejdona i w pasie z plecionego końskiego włosia. Za Erginosem stał inny syn Posejdona, czarownik Peryklimenos z piaszczystego Pylos; miał taki sam pas jak Erginos, ale urodził się w czasie zaćmienia słońca i z tej racji wolno mu było nosić odznaki, na jakie tylko miał ochotę – mógł nawet jeść strawę umarłych. Jego matka, Chloris, była teraz żoną Neleusa, okrutnego brata Peliasa. Obok Peryklimenosa stał

małomówny Askalafos, syn boga Aresa i Astiochy, o ramionach tatuowanych w jaszczurki. Tym trzem młodzieńcom przypadły boskie parantele, bo wysokie urodzenie ich matek przeznaczało je do roli prostytutek świątynnych. Pozostali Minińczycy to: Jazon syn Ajzona; Akastos syn Peliasa; Eurydamas Dolopijczyk znad jeziora Ksynias w Tesalii, krzepki hodowca koni; sternik Tyfis z Tyzbe w Beocji; dwu mężów z Halos, których imiona uległy już zapomnieniu; oraz dwaj bracia, wnuki Perieresa, byłego króla Mesenii, Idas i Linkeus. Ci ostatni nosili kołpaki z rysiej skóry, których nigdy nie zdejmowali z głowy; byli roslymi chłopakami w wiosnie życia i nie liczyli się z nikim.

Hylas przeszedł się parokrotnie wzdłuż szeregu ochotników nie należących do minińskiego szczepu. Najpierw zwróciło jego uwagę dwu niezwykle wysokich zuchów o węzlastych mięśniach, bliźniaków z wyglądu, ubranych w czapki z piór łabędzich i płaszcze obszyte łabędzim Puchem. Klepnął ich po ramieniu.

– Powiedzcie, jak wam na imię, jeśli łaska – spytał Herkules.

– Kastor i Polideukes – odparli jednym głosem. – Jesteśmy synami Ledy z ojca Zeusa i księżętami Sparty.

– Zdawało mi się, że was poznaję – rzekł Herkules – choć, na mą duszę, nigdy was nie mogę rozróżnić. Jeden ujeżdża konie i jest zapaśnikiem... i przerzuciłem go poza liny, daleko w tłum, w Olimpii, a potem próbował mnie uczyć szermierki...

Kastor uśmiechnął się. – To ja, Kastor. Byłem szalony, stając do walki z tobą.

Jednakże nikt przedtem mnie nie powalił i nie powalił mnie już nikt potem.

Doskonale pamiętam te lekcje szermierki. Na zakończenie poradziłem ci, żebyś pozostał przy swojej maczudze.

– Ja jestem Polideukes – odezwał się drugi. – Zwyciężyłem w boksie podczas igrzysk. Miałem szczęście, żeś w tych rozgrywkach nie brał udziału.

– Byłem zanadto pijany – rzekł Herkules – co się dobrze złożyło dla nas obu; kiedy staję na ringu, nie jestem w stanie pamiętać, że walczy się tu dla zabawy...

prawda, Hylasie, moje dziecko?

Kastor i Polideukes, choć nie Minińczycy, byli spokrewnieni z Idasem i Linkeusem i od dzieciństwa wychowywali się razem; między obu parami braci istniała zaciekle rywalizacja.

Potem Hylas wybrał dwu przedstawicieli Północy o dzikim wyglądzie, następnych bliźniaków, w puszystych czapkach z piór kani barwionych morską purpurą. Twarze mieli tatuowane w cienkie, błękitne, poszczepiane kółka.

– Podajcie swoje imiona – rzekł Herkules.

– Kalais i Dzetes – odparł Kalais. – Nasza matka, Orejtyja z Aten, w młodości została porwana przez

piratów trackich, gdy tańczyła ku czci Artemidy na brzegu Illissos. Zrobili z niej prostytutkę przy wyroczni Wichru Północnego nad rzeką Erginos i tam nas urodziła. Potem ślepy król z Tynii wziął Orejtyję za żonę i spłodził z nią jeszcze dwóch synów; stąd uchodzimy także za potomków Fineusa.

W istocie jednak jesteśmy dziećmi Wichru Północnego.

Z kolei Hylas wyznaczył Eufemosa, syna Europy z Tajnaron, które leży na najdalej wysuniętym na południe przylądku Peloponezu. Był to najlepszy pływak w całej Grecji. W porównaniu z innymi zdawał się zaledwie muskać powierzchnię wody niczym jaskółka; zresztą przypadkowo ona właśnie była jego totemem. Z tej racji poeci mienili go synem Posejdona; jego ojcem był wszakże Fokijczyk Ktymenos.

Prawdę rzekłszy, Hylas miał po prostu słabość do czapek z piór i wyznaczał

wszystkich mężów należących do wspólnot ptasich. Jego wybór padł jeszcze na Idmona z Argos, który nosił złocistą kity z piór dudka. Idmon był następcą tronu Argos, ale jego matka, Kaliopa, poczęła go dzięki miłym odwiedzinom u wyroczni w Delfach, uchodził tedy za syna Apollina. Ubrał się teraz w szkarłatne obuwie i chiton oraz białą opończę haftowaną w liście laurowe ku czci boskiego ojca. Jak Mopsos należał do adeptów sztuki wróżbiarskiej.

Kolejnym wybrańcem został Echion, syn boga Hermesa i Antianejry z Alope; nosił odznakę w kształcie węża ku czci swego ojca oraz barwną szatę haftowaną w gałązki mirtu. Był jednym z heroldów zatrudnionych przez Jazona i potęgą własnej elokwencji sam siebie skłonił do udziału w podróży.

Właśnie gdy Hylas wybierał Echiona, wkroczył Tesalczyk o wspaniałym wyglądzie, odziany w płaszcz i chiton ze skórek nienarodzonych jagniąt. Był to jeden z najdzielniejszych ochotników, ale właśnie udał się na pewien czas w odwiedziny do domu. Gdy tylko dostrzegł Herkulesa, krzyknął z radości i podbiegł, by go chwycić w objęcia. Okazało się, że to Admetos z Fery, król Tesalii, do którego z wyroku Zeusa poszedł kiedyś na służbę Apollo. Pewnego dnia, jakieś dwanaście lat temu, król przypadkowo pogwałcił uroczysko świeżo poświęcone bogu Hadesowi, gdzie ścigany przezeń rogacz szukał schronienia.

Kapłan Hadesa ostrzegł Admeta, że w ciągu siedmiu dni on lub ktoś spośród jego krewnych ma dobrowolnie zostać złożony w ofierze obrażonemu bogu; w przeciwnym razie klątwa spadnie na cały kraj. Jego żona Alkestis, jedna z córek Peliasa, natychmiast pospieszyła do świątyni i ofiarowała się zamiast Admeta, była bowiem najlepszą z żon. Jednakże Herkules, wędrujący przez Tesalię z małym Hylasem na barkach, przypadkowo się o tym dowiedział. Uragając, że Hades nie ma cienia praw do świątyni, która została dopiero co zrabowana bogini Persefonie, wpadł tam z maczugą, przeraził kapłanów piekła i w ostatniej chwili uwolnił

Alkestis. Herkules żywił dla niej głęboką cześć i zwykł był mawiać z żalem, że nigdy żadna kobieta nie kochała go tak mocno, by oddać za niego życie. Teraz klepnął przyjaźnie Admeta, aż ten się zatoczył na drugi koniec sali, i powiedział: –

Weź go też. – Bo Admetos był Miniwczykiem, synem Feresy, brata Ajzona.

Hylas wybierał dalej spośród pozostałych ochotników i kiedy do kompletu brakowało już tylko trzech ludzi, Herkules podniósł dłoń i rzekł:

– Dosyć! Teraz niech reszta rozbiera się do naga i dla naszej rozrywki walczy ze sobą na pięści lub w zapasach, bez ograniczeń. Ci trzej, co się najdłużej utrzymają na nogach, pojedają z nami.

I rozgorzała bitka, zarazem bardzo dzika i bardzo łagodna, bo nie wszyscy spośród dwudziestu współzawodników całym sercem pragnęli brać udział

w podróży; część zgłosiła się ze wstydu i niczego sobie nie życzyła więcej jak odmowy. Niektórzy upadli i leżeli jak kłody po pierwszym słabym kuksańcu, jaki ich dosięgnął; inni walczyli ze straszliwym wigorem, bijąc, kopiąc, dusząc i gryząc.

Widzowie zachęcali okrzykami swoich krewniaków, paru zaś zdołało się powstrzymać i sami ruszyli do boju. Hylas aż zakwiczał, a Herkules ryknął

śmiechem na widok dwu olbrzymów, co sobie nawzajem podbili oczy, przerwali walkę za obopólną zgodą i rozeszli się w poszukiwaniu łatwiejszego przeciwnika; a także obserwując wyczyny Małego Ankajosa z kwietnego Samos, strojnego w skórzany hełm (nie Długiego Ankajosa z Tegei, sternika, który miał na głowie szerokoskrzydły arkadyjski kapelusz). Mały Ankajos udawał, że walczy z najwyższą wściekłością, ale w gruncie rzeczy krążył wokół bijatyki, unikając ciosów i nie zadając ich, aby oszczędzić siły na rozstrzygającą utarczkę.

Sala stopniowo pustoszała. Już tylko siedmiu współzawodników trzymało się na nogach; czterech w walczącym kłębie; dwu razem – byli to Faleros i Bootes –

obaj przezornie na uboczu; i Mały Ankajos. Ten ostatni podbiegł teraz do Falerosa i Bootesa.

– Dalej na nich, Ateńczycy! – wrzasnął. – Wy, tak samo jak ja, jesteście wciąż rześcy i silni. Uderzmy we trzech na tych głupców z rozkrwawionymi nosami i zmiećmy ich niby rwący górski potok!

Faleros-łucznik i Bootes-pszczelarz byli istotnie szczwani, jak należy oczekiwać po Ateńczykach: wiedzieli, że najlepszym sposobem znalezienia się wśród wybranych jest prowadzić pozorowaną walkę, wymieniać hałaśliwie, a nieskutecznie ciosy i ufać, że ich ustalona reputacja pięściarska utrzyma z daleka innych wojaków. Pewien młody Arkadyjczyk, który miał z Atenami na pieńku, rzeczywiście próbował wtrącić się na trzeciego, ale Faleros wyrzwał go kolanem w pachwinę i Arkadyjczyk upadł z jękiem.

Na zaproszenie Ankajosa Ateńczycy zacisnęli pięści i popędzili razem w przeciwny koniec sali, gdzie trzech bohaterów usiłowało powalić czwartego.

Ankajos przykucnął za jednym z nich, Mykeńczykiem, którego Bootes chwycił za włosy i szarpnął do tyłu. Kiedy Mykeńczyk zachwiał się i padał, Faleros zadał mu potężny cios w dołek. Powtórzyli tę samą sztuczkę z jeszcze jednym z pozostałych obu Kadmejczyków z Teb; ostatniego zaś złapali wszyscy na raz i wyrzucili przez otwarte drzwi na błotnistą drogę. Tak więc Bootes, Faleros i Mały

Ankajos pozostali na placu boju.

Jednakże imiona trzydziestu wiosłarzy, sternika i rezerwowych, co ostatecznie popłynęli na *Argo*, nie odpowiadają ściśle liście załogi ustalonej przez Hylasa i Herkulesa. Dwu bowiem Minijczyków, tych z Halos, wymknęło się cichaczem ostatniej nocy przed wyjazdem i dwoje przybyszów z Etolii, mężczyzna i kobieta, nieoczekiwanie zajęło ich miejsca. Ponieważ tedy rzekomi Argonauci, którzy nawet nigdy nie oglądali *Argo* kołyszącej się na kotwicy w bezpiecznym porcie, wprowadzili tyle zamętu, podamy niebawem pełny i prawdziwy skład załogi.

Ale jeszcze nie teraz.

## **SPUSZCZENIE ARGO NA WODĘ**

Dzień wyznaczony przez wyrocznię na wodowanie okrętu był już za progiem i wybrana załoga ćwiczyła się, wiosłując zgodnie na jednej galerze – wszyscy oprócz Herkulesa, który poszedł z Hylasem odwiedzić swoich przyjaciół centaurów i spędził następne trzy dni oraz dwie noce na niesłychanej pijatyce z Chejronem. Ci spośród załogi, co nie byli Minijczykami z urodzenia, poddali się dla porządku ceremonii adopcji. Każdy po kolei wypełzał spomiędzy kolan matki Jazona, Alkimedya, a potem kwilił jak noworodek, póki go nie uciszyła smoczką z gałganka umoczonego w owczym mleku. Następnie uroczysto nadawano każdemu z powrotem jego własne imię i dorastał lat męskich w przeciągu godziny.

Jazon doglądał zaopatrzenia okrętu, ale wielu Argonautów było zamożnymi ludźmi skorymi zapłacić swój udział, a nawet więcej niż udział w kosztach. Za srebrne i złote ozdoby, klejnoty i haftowane szaty, które złożyli do wspólnego użytku, Jazon mógł zakupić od Peliasa worki ziarna, połcie marynowanej wołowiny, stożkowate bochny figowego chleba, suszone na słońcu winogrona, palone słone orzechy laskowe, dzbanki miodu, pierniki przyprawiane tymiankiem i posypane nasionkami z szyszek sosnowych oraz wielki wybór innych słodyczy w ogromnych ilościach. Doszedł do wniosku, że nie potrzeba obciążać statku kamieniami i piaskiem: zamiast tego ułożono w specjalnych kolebkach z obu stron nadstępki olbrzymie gliniane konwalie, wysokości dorosłego człowieka albo i większe, pełne słodkiego wina i mocno zakorkowane. Każdy Argonauta sam sobie sprawiał broń i posłanie, ale zapasowe olinowanie i żagle stanowiły dar archontów ateńskich.

Wreszcie zaświtał brzemienny los poranek. Niebo było bezchmurne i wiatr północy dał chłodem od Tesalii, lecz ustał po wschodzie słońca. W Jolkos rozległ

się wielki lament. Po trosze wywołał go szczery żal wobec odjazdu tylu wspaniałych młodzieńców w podróż tak niezwykle hazardową; w większości jednak podniosły krzyk płaczki najemne, które Argonauci opłacili, by zmylić wszelkie zazdrosne bóstwa czy demony, być może niechętnie usposobione do okrętu – podobnie jak się sadi ziarno wśród złorzeczeń, aby odstraszyć duchy, co ogryzają młode kielki. Pelias z uprzejmości płakał najgłośniej ze wszystkich i w kółko powtarzał:

– Gdybyż ciemna fala, która uniosła Helle w śmierć, zalała była także Fryksosa!

Albowiem wówczas runo nigdy by się nie znalazło w Kolchidzie i mój najdroższy bratanek Jazon w ogóle by nie musiał przedsiębrać tej podróży. Lękam się, iż okaże się ona zgubna dla wielu (jeśli nie

wszystkich) dzielnych mężów, jacy z nimi żeglują. Ajzon, gdy Jazon wczesnym rankiem przyszedł się pożegnać, zachowywał

się dostojnie i dał mu swoje błogosławieństwo. Podjął się także wysłać do Dodony obiecany kociołek oraz sierp ofiarny z rękojeścią z kości słoniowej, choć z trudem mógł pokryć taki wydatek. Alkimedea zawisła na szyi Jazona, płacząc bez opamiętania. Wreszcie spróbował się uwolnić mówiąc:

– Wstydz się, matko! Myślałby kto, że jesteś dręczoną okrutnie przez macochę sierotką, która łąka na ramieniu starej niańki, jedynej osoby w domu, co jeszcze się o nią troszczy. Królowej nie przystożą te krzyki.

Skulona na ziemi jęknęła: – Kiedy odjedziesz, cóż się stanie z twoim drogim ojcem i ze mną? Możesz być pewien, że nie zastaniesz nas przy życiu po powrocie... jeśli powrócisz kiedykolwiek. Pelias będzie naszym zabójcą. I któż się odważy nas pochować? Nasze zwłoki porzucą pod gołym niebem, gdzie rozdziobią je kanie i psy rozszarpią. Nie lękam się śmierci, która jest wspólnym losem człowieka rodu, ale wzdygam się na obrzydłą myśl o nędznej egzystencji ducha związanego z ziemią, skazanego na wieczną bezdomną wędrówkę, piszczącego niby nietoperz na chłodzie i deszczu.

Jazon poradził jej krótko i węzłowato, by była dobrej myśli, i poszedł

zamaszyście na plac targowy. Zebrany tłum powitał go okrzykami podziwu zmieszanymi z pełnym żalu zawozeniem. Usłali mu drogę szkarłatnym kwieciem zawilca, który symbolizuje młodość skazaną na śmierć. Cioteczna babka Ifias, najwyższa kapłanka, czekała na niego. Kochała się w nim, co się zdarza podstarzałym dziewicom wobec przystojnych młodzieńców. Chwyciła jego prawą rękę i ucałowała ją, lecz – choć tak bardzo pragnęła coś mu powiedzieć – nie mogła wykrztusić słowa, tak głośno jej serce waliło o żebra. Jazon przeszedł ścigany wrzaskiem tłumy, a ona pozostała na uboczu, mamrocząc gniewnie:

– Młodzik bez serca, bez szacunku dla wieku i cnoty! Może przypomni mnie sobie pewnego dnia, gdy włosy mu posiwieją i zrzedną, i zacznie go łamać w kościach; gdy świetny okręt, ku któremu kroczy teraz dumnie, obróci się w zbutwiały szkielet na piasku i kiedy zabraknie tłumów pozdrawiających go i klepiących po ramieniu! – W kurzu pod stopami nakreśliła tajemny znak.

Jazon spieszył dalej krętą drogą wzdłuż wybrzeża i w Pagazie zastał większość zgromadzonych już towarzyszy. Siedzieli na buchtach lin, belach żagli i innym sprzęcie zebrany na plaży. Argos w wysokim kołpaku z bawolej skóry, obróconej czarnym włosem na wierzch, stał, czekając niecierpliwie na sygnał do wodowania okrętu. Herkules nie zjawił się jeszcze, ale Jazon był zdania, że powinni zaczynać bez niego. Jazon ślubował ofiarę Apollinowi, władcy Korabi, a jego ojciec Ajzon, który dostarczył po parze wołów na trzy następne dni – na kolejne ofiary dla Zeusa, Posejdona i Ateny – obiecał mu dodatkowo jedną parę z małego stada, jakie mu jeszcze zostało; tak że kompania mogła ucztować do woli, z chwilą gdy tylko okręt spłynie na wodę. Kiedy im Jazon o tym powiedział, wszyscy zerwali się na równe nogi i zaczęli zbierać duże, płaskie kamienie, układając je jeden na drugim w ołtarz, obok zaś zgromadzili suche kłody wyrzucone przez fale.

Kiedy z tym skończyli, Jazon rozebrał się do naga, pozostając jedynie w skórzanej przepasce na biodrach, i położył przyodziewek na wielkiej skale poza zasięgiem fal. Inni poszli za jego przykładem. Potem na życzenie Argosa owiązali okręt wzdłuż, od dzioba do steru, poczwórną grubą liną, poprzednio namoczoną, i napięli ją mocno za pomocą kołowrotu. Gdy już wszystkie liny były należycie przewleczone i przytwierdzone, Jazon wezwał kolejno czworo bóstw olimpijskich, które poparły ich przedsięwzięcie, by strzegły całości tych lin.

Argos miał naszykowane motyki i zagonił teraz towarzyszy do kopania rowu, trochę szerszego niż *Argo*, przez całą plażę ku morzu, począwszy od dzioba okrętu.

W tym miejscu woda przy brzegu była głębsza niż gdziekolwiek indziej w promieniu czterech stająń. Za kopiącymi służba uzbrojona w ciężkie belki ubijała piasek w rowie, żeby wygładzić dno. *Argo* spoczywała na wałkach, które tam umieszczono, zanim jeszcze jej kil został umocowany. Pozostawało teraz kłaść przed nią w rowie następne, z krzepkich kłód sosnowych odartych z kory, i spychać ją po nich naprzód. Na zaostrojonej rufie było miejsce najwyżej dla dwóch lub trzech ludzi. Argos wetknął na odwrót wiosła w dulki, tak że ich rękojeści sterczały parę stóp ponad okrężnicą, a pióra opierały się na wręgach kadłuba po przeciwnej stronie. Potem postawił człowieka u każdego wiosła, wspiał się na dziób i krzyknął:

– Raz, dwa, trzy: pchać!

Argonaucci napięli ramiona i barki, zaparli się stopami, tłum zachował święte milczenie. *Argo* drgnęła, zaskrzypiała i z wolna zaczęła sunąć naprzód. Ludzie u wiosła i ci przy sterze wyteżali wszystkie siły, a Tyfis utrzymywał ją na kursie komenderując:

– Gracko, wy z prawej burty! Nie żałujcie mięśni, na lewej burcie! Okrągłaki zgrzytały i leciutki dymek wywołany tarciem unosił się spod statku. Tyfis wołał:

– Hoopop, hoopop! Dostyc pchania! Przytrzymać trochę! Ładnie, ładnie, razem!

Wreszcie dziób z pluskiem uderzył o wodę, za nim cały kadłub. Tyfis, który trzymał w pogotowiu dzban oliwy, wylał ją w fale, prysnąwszy wpierw na dziób –

jako obiadę dla Posejdona i prośbę o spokojne morze.

*Argo* wdzięcznie kołysała się na fali, a tłum trzykroć wzniósł okrzyk na szczęście. Załoga przycumowała okręt na płyciźnie i po odwróceniu wiosła

z powrotem oraz zamocowaniu ich w dulkach rzemiennymi pętlami zaczęła ładować sprzęt na pokład. Argos sprawdzał gniazdo masztu, poprawiał ucha i bloki unoszące reję oraz umocowanie osprzętu; nie postawił jednak żagla, bo nie było wiatru.

Robota już była na ukończeniu, gdy z brzegu rozległ się niespodziewany krzyk trwogi. Od strony Jolkos nadchodził Hylas obok zaprzęzonej w woły furki, na której leżał rozwalony Herkules, a za nimi ciągnął tłum płaczek.

– Nie żyje, nie żyje nasz wódz Herkules! – zawołali przerażeni Argonaucci, zaś paru dodało: – Nic

bez Herkulesa! Herkules umarł: nie możemy płynąć!

Okazało się jednak, że leży tylko w pijackim odurzeniu, a najemne płaczkę, odwilżywszy nieco gardła po drodze, przyszły do Pagazy, by życzyć *Argo* szczęśliwej podróży.

Kiedy Hylas ocucił Herkulesa, wylewając mu na głowę pełen hełm morskiej wody, ten usiadł wściekły, złapał maczugę i wyskoczył z furi, która się potoczyła aż pod nowo wybudowany ołtarz. Tłum rozprysnął się na wszystkie strony, Argonauci zaś wdrapali się po burtach okrętu i przycupnęli na dnie. Herkules raptownie wymierzył dwa złośliwe ciosy jeden po drugim w łby białych wołów, co ciągnęły wóz. Runęły martwe, ryjąc rogami ziemię. Jazon z miejsca sternika zerknął sponad rudła i krzyknął:

– Zaczyna cios, najszlachetniejszy Herkulesie! Rozłożyłeś ofiary w sposób nader dobrotliwy!

Herkules przetarł oczy i jakby ocknął się z transu. A potem zaczął się śmiać.

Tłum wypełził z kryjówek, Argonauci przez burty powyskakiwali do wody i wszyscy mu zawtórowali, nawet płaczkę najemne. Potem Jazon zawołał Długiego Ankajosa i dwu czy trzech innych, żeby mu pomogli wyprząc leżące woły i zawlec je pod ołtarz. Były to właśnie bydłeta, które Ajzon obiecał na ofiarę; Hylas zobaczył przypadkiem, jak je pędzono drogą do Pagazy, i pożyczył jako zaprzęg do przewozu Herkulesa.

Stojąc przed ołtarzem, Jazon zawołał wielkim głosem:

– Słońcu podobny bracie miesięcznej Artemis, delficki Apollinie, wilczy, laurem wieńczony Apollinie, władco Korabi, któremu ślubowałem tę ofiarę pół

roku temu, gdy odwiedził twój święty przybytek i miasto – wysłuchaj mnie! Za twoim podszeptem nie ja, a Herkules z Tyryntu na twoją część powalił te woły, i to nadspodziewanie szybko, albowiem nie polałem jeszcze rąk kryniczną wodą ani nie wsypałem należnej miary świętego jęczmienia we wgłębienie na ołtarzu. Ty wiesz, władco myszy, jak nagły jest Herkules w każdym przedsięwzięciu: spójrz miłościwie, zaklinam twój muzyczny majestat, na to odwrócenie porządku w ustalonym rytuale. Teraz, obmywając do czysta dłonie z wszelkiej zmazy, uroczycie ofiaruję ci te dorodne, nieskażone zwierzęta, o mówco prawdy, posypując dla przyprawy ich łby solą. Błagam: doprowadź nasz okręt bezpiecznie i zdrowo znów do wybrzeża Pagazy, skoro dokonamy już dzieła; i strzeż wszystkich, co na nim popłyną. Po powrocie każdy, kto cało uniesie głowę, złoży na tym ołtarzu nowe znakomite ofiary z wołowego mięsiwa; powieziemy także inne niezliczone i bezcenne dary do twych rojnych świątyń w Delfach, Tempe czy na Ortygii. Idmon, co niegdyś gościł u ciebie w Delfach, żegluj z nami; to samo dotyczy pobożnego Admeta, króla Fery, który okazał ci tyle szacunku, gdyś był mu sługą zmuszonym do wykonania najdrobniejszego bodaj rozkazu. Dbaj o własne dobro, Niebiański Łuczniku o niestrzyżonych włosach, i ześlij nam pomyślny znak, gdy już cumy zostaną oddane; wstaw się za nami do swego srogiemu stryja Posejdona, by jego konie morskie, fale, nie przebiegały głębiny zbyt niespokojnie.

Sypał przy tym czerpakiem kaszę jęczmienną na ołtarz, rad z siebie, bo zdołał



wymienić w przemówieniu większość świętych atrybutów boga.

Następnie Idmon jako kapłan Apollina poderznął gardziele wołów nożem ofiarnym z ciemnozielonego obsydianu. Krew trysnęła w rowek naokoło ołtarza: ciepła strawa na użytek czających się duchów.

Linkeus, który miał wzrok tak bystry, że mógł dojrzeć siedem Plejad na nocnym niebie, gdzie inni widzieli tylko sześć, i zawsze pierwszy wykrywał

obecność boga, ducha czy demona, teraz się zaczął uśmiechać. Przyciszonym głosem zwrócił się do Małego Ankajosa:

– Jak chciwie piją te duchy! Jest wśród nich okrutnooki pasterz, sądząc po ubiorze Etol Driopita, który przepchał się łokciami przez tłum do najgłębszego końca rowka i pije dużo więcej, niż mu się należy. Ma z sobą wielkiego wilczura i obaj chłepcą razem, głowa przy głowie, smakowitą krew, nim wsiąknie w piasek.

Jazon nie dosłyszał tych słów, lecz Mały Ankajos zachował je w pamięci.

Ankajosowi, jako członkowi bractwa byków, wolno było jeść wołowinę tylko raz do roku w dzień święta. Wybudował więc drugi ołtarz i ofiarował na nim piękną owcę bogini Atenie – jej tylko i sobie na strawę. Linkeus znów trącił

Małego Ankajosa i rzekł:

– Na nietoperze i sowy! Cóż za apetyt mają ten etolski pasterz i jego pies! Teraz dorwali się do krwi owczej, która zdaje im się bardziej przypadać do gustu. Jeśli jeszcze trochę wypiją, zabarwi ich dostatecznie mocno, abyś nawet ty ich dostrzegł.

Zastanawia mnie, z czym tu przybyli? Kosmaty, rudy wilczur szczyrzy kły na Jazona: patrz, o dziwo, z grzbietu mu sterczy cień ostrza spiżowej włóczni!

Ale Jazon i tych słów nie dosłyszał. Był zajęty zdzieraniem białej skóry z jednego z bawołów. Obecni przy tym nobile z pogardą śledzili jego biegłość, bo skórowanie było robotą, którą ludzie dostojnie urodzeni pozostawiają służbie. Tu naciąć, tam szarpnąć, ówdzie jeszcze raz naciąć – i wkrótce Jazon ściągnął całą skórę z kadłuba, przy czym ani jedna kropla nie splamiła białej sierści.

Gdy Jazon się tym parał, duch pasterza z wolna podpełzł ku niemu, a w oczach jego czaił się mord. Linkeus, szperając pospiesznie w sakwie, wydobyl trzy ziarnka, włożył je do ust i wypluł na ducha. – Sczeźnij! Sczeźnij! Sczeźnij! –

szepnął. Duch przepadł z bezgłośnym piskiem gniewu i bólu.

Pomału obracane na dębowych roznach wielkie połacie mięsa piekły się nad ogniskiem, podczas gdy święte kości udowe owinięte płatami tłuszczu płonęły, pachnąc smakowicie. Idmon obserwował dym wznoszący się z wyschłego drewna w ciemnych spiralach, na dobrą wróżbę, podczas gdy Jazon spełniał obiatę dla Apollina z mleka i wody z miodem; a kiedy tak patrzył, spłynęło na niego

apollinowe wieszczce natchnienie i zawołał:

– O Idmonie, Idmonie, co widzisz w płomieniach? – Po czym odparł sam sobie:

– Widzę maleńki, żółty kwiatek tojadu. Śmierć widzę dla ciebie, Idmonie, śmierć na kwiecistej łące, z dala od twego domu w lubyh Delfach, podczas gdy okręt żegluje na wschód bez ciebie, w rytmie skrzypiących wioseł, zaś twarze jego załogi opromienia chwała.

Towarzysze Idmona współczuli mu głęboko, choć z pewną ulgą, że nie dostrzegł w płomieniach zguby dla nich wszystkich. Próbowali odradzić mu podróż, Idmon wszakże odparł:

– Lęk przed przyszłością ujmę przynosi kapłanowi.

Do Mopsosa zbliżyły się dwie pliszki drepczące po plaży i stały chwilę, ćwierkając do niego nerwowo, po czym odfrunęły. Jazon wziął Mopsosa na stronę i spytał, co powiedziały. Mopsos wyjaśnił:

– Pliszki to roztropne stworzenia. Przypomniały mi, że należy wziąć na okręt balsamy, driakiew na rany, środki przeciwgorączkowe oraz inne medykamenty.

Ale ja już zapakowałem w płócienną torbę wszystko, czego możemy potrzebować.

Uczta była gotowa, nim słońce stanęło w zenicie, a równocześnie pod kierunkiem Argosa ukończono ostatnie przygotowania do podróży. Całe bractwo zasiadło kręgiem wokół ołtarza i zaczęło żarłocznie zajadać wysmienitą pieczeń, której syczące płaty odkrawali nożami, ile kto miał ochotę. Hylos mieszał dla nich wonne wino we wzorzystych pucharach z minijskiej glinki i roznosił je każdemu po kolei z uprzejmymi słowami zachęty...Było zaprawione dziką miętą.

Gdy już syci odpoczywali, Argos wstał i uniósł rękę, prosząc o ciszę. A oto, co powiedział:

– Moi panowie, stosownie do poleceń, jakie wydali mi król i królowa archontów w Atenach, a jakie sami z kolei otrzymali od bogini Ateny o kukułczym berle, miałem wybudować okręt dla Jazona Minijczyka, następcy tronu Ftiotis, aby on i jego wybrani towarzysze mogli popłynąć do Kolchidy, na najdalszy kraniec Morza Czarnego, i tam odzyskać utracone złote runo lafistańskiego tryka.

Zastosowałem się do tych poleceń, Jazon bowiem chwali moją robotę i ceni ją. Ale moje zainteresowanie okrętem nie kończy się z chwilą, gdy jest gotów. Chciałbym sam popłynąć na *Argo*, tak z niej jestem dumny. Nie przypuszczam, by którykolwiek z was poskąpił mi miejsca na pokładzie, choć nie byłem obecny przy wyborze; jeśli bowiem kiedykolwiek osiadzie rozbita na jakimś skalistym wybrzeżu, któż lepiej ode mnie będzie wiedział, jak ją załatać i znów ściągnąć na głębie? Powiedzcie mi tylko, moi panowie, kto wśród was jest kapitanem, któremu mam złożyć wymaganą przysięgę na wierność? Czy to Jazon Minijczyk, co – gdy wola bogów (jak niektórzy powiadają) wyznaczyła go dowódcą wyprawy –

rozesłał heroldów, by was tu zwołali? Czy to może Herkules, książę Tyryntu, który sławą i przymiotami nieskończenie przewyższa wszystkich żyjących mężów?

Słyszałem, jak paru z was mówiło, że Jazon lub ktokolwiek inny byłby zarozumiałym szaleńcem, kusząc się o dowództwo teraz, skoro Herkules (choć nie Minijczyk, bodaj przez obrzęd powtórnych narodzin) postanowił jechać z wami.

Aczkolwiek nikt nie lubi słuchać, gdy może rozkazywać, musimy zgodnie wybrać przywódcę, który będzie prowadził pertraktacje w naszym imieniu na każdym zagranicznym dworze, na jakim się znajdziemy, oraz będzie miał rozstrzygający głos w radzie wojennej. Co do mnie, jestem gotów słuchać zarówno Jazona, jak Herkulesa lub kogokolwiek, kogo zechcecie wybrać, z tym tylko zastrzeżeniem, że właśnie Jazonowi ojciec Zeus powierzył świętą gałąź; i że król Pelias, zapewne natchniony przez swego ojca Posejdona, wyraził wątpliwość, czy mój okręt, choćby o najmocniejszej więźbie, długo poniesie potężnej wagi Herkulesa.

Admetos, Peleus i Akastos wrzasnęli na to:

– Chcemy Herkulesa! – a wszyscy Argonauci podjęli okrzyk: – Herkules, Herkules!

Dowiodłby nie lada odwagi ten, kto by wołał inne imię, bo nie było jeszcze wiadomo, czy Herkules najadł się dosyć, by odzyskać zwykłą dobroduszość po pijatyce na górze Pelion. Herkules podniósł baranią łopatkę, którą dał mu Argos dla uzupełnienia wielkiego szpondra wołowego przydzielonego przez Jazona, odarł ją z resztek mięsa, wpakował to do ust, wytarł utłuszczone palce w grzywę i zaczął

sobie czyścić zęby sztyletem. Po chwili – dojrzawszy złowróbnego ptaka wodnego szybującego nad morzem z ostrym kwileniem, nagle cisnął weń ogryzioną łopatką i zabił w locie.

– Zawsze trafiam! – mruknął, gdy wokoło rozległ się ryk podziwu.

Znów rozbrzmiały okrzyki: – Herkules, Herkules! – On jednak uniósł dłoń i rzekł:

– Nie, towarzysze, na nic się nie zda mnie wybierać. Zbyt często pijaństwo odbiera mi rozum. Poza tym w każdej chwili może podkraść się do mnie przekłety cichostopy herold Taltybios, którego nazywam gnojkiem, i oznajmić: „Ukłony od króla Eurysteusa, najszlachetniejszy książę Herkulesie! Masz mu przynieść trójzab Posejdona, jeśli łaska”. I wtedy będę musiał was opuścić i ruszać do nowej pracy: bo jeśli okażę nieposłuszeństwo, dziecięce głosy rozdźwięczą mi się w głowie coraz głośniej i głośniej, rozsadzając prawie bębni w uszach, a niewidoczne ręce zaczną szarpać mnie w nos i szarpać za krótkie włoski na skroniach, gdzie skóra jest najdelikatniejsza. Wybierzcie kogo innego.

Po krótkim milczeniu ktoś krzyknął: – Admetos! – ktoś inny: – Długi Ankajos!

– jeszcze inny: – Kastor i Polideukes razem! – Nikt jednak nie wołał: „Jazon”.

Po chwili Herkules uciszył zgielki machnięciem ręki i oświadczył: – Mój nieszczęsny przyjaciel centaur Chejron ostatniej nocy wyraził przekonanie, że Jazon zdolny jest poprowadzić wyprawę, czy więc ja nie powinienem z tego zrezygnować? „Och – rzekłem – czy doprawdy masz na myśli Jazona syna Ajzona?” „Tak – odparłem – Olimpijczycy okazali mu niezwykłą przychylność, a co do mnie,

jestem mu wdzięczny za niedawną pomoc w zażegnaniu moich sporów z Lapitami. Poza tym to człowiek szczególnego rodzaju: większość mężczyzn zazdrości mu lub nim pogardza, ale większość kobiet zakochuje się w nim od pierwszego wejrzenia. Ponieważ kobiety wszędzie, zarówno wśród barbarzyńców, jak ludów bardziej cywilizowanych, dzierżą sekretne cugle władzy i zawsze w końcu swego dopną, dar udzielony Jazonowi przez boginię-nimfę nie jest bez znaczenia. On będzie lepszym wodzem nawet od ciebie, Herkulesie, którego wszyscy mężczyźni uwielbiają i żaden mu nie zawiści, a na którego widok każda kobieta przy zdrowych zmysłach zadziera kieckę i ucieka z wrzaskiem”.

Chejron nie darmo słynie z mądrości, chociaż przesadził z tym lękiem kobiet przede mną; dlatego też, odrzucając osobiście kierownictwo wyprawy, gotów jestem walczyć ze wszystkimi, pojedynczo lub w gromadzie, co by chcieli się sprzeciwić wyborowi Chejrona. Niech tylko nikt bezczelnie nie próbuje badać, czy sam pogardzam Jazonem, czy mu zazdroścę.

## **ARGO ŻEGLUJE**

Jazon wstał, by z całego serca podziękować Herkulesowi, zapewniając pokornie, że będzie pytał o zdanie, jeśli tylko powstaną jakieś trudności czy niepokoje, i zawsze rady usłucha.

– Bardzo pięknie – rzekł Herkules. – Ale gdybym przypadkiem spał lub był

pijany, poradź się Hylasa. Jego inteligencja dorównuje lub nawet (jeśli to w ogóle możliwe) przewyższa jego urodę, a ma on dwakroć większe doświadczenie w zagranicznych podróżach niż każdy z tu obecnych z wyjątkiem mnie.

Jazon raz jeszcze podziękował Herkulesowi tym samym pokornym tonem, po czym przemówił rażno:

– Moi panowie – oświadczył – teraz ciągnijmy losy o miejsca. Niech każdy z łaski swojej wręczy mi kamyk, który dałby się potem łatwo rozpoznać.

Pomieszam wszystkie w hełmie i Hylas będzie je wyjmował na chybił trafił, po dwa na raz. W ten sposób obsadzimy kolejno ławy, poczynając od najbliższej steru, kończąc na dziobowej. Oczywiście wykluczam Herkulesa: on musi próżnować, gdy reszta będzie wiosłowała.

Wkrótce Jazon zebrał już kamyki od wszystkich oprócz Herkulesa, Hylasa i Tyfisa-sternika, potrząśnięciem wymieszał je należycie, a Hylas nie patrząc wyjmował po dwa z hełmu. Za każdym razem podnosił je do góry pytając: – Czyje to kamyki? – Ale wywoławszy trzynastą parę stwierdził, że hełm jest pusty, czyli brakuje czterech ludzi. Okazało się, że dwaj to Minińczycy z Halos; opuścili pałac poprzedniego wieczora, chcąc rzekomo złożyć ofiary Artemidzie w trzecią noc miesięczną i już ich więcej nie widziano. Przypuszczalnie rozważyli dokładniej ryzyko i uciekli do domu, porzucając wszystkie manatki. Drugą brakującą parę stanowili Akastos, syn króla Peliasa, i jego przyjaciel Peleus, książę Myrmidonów.

Obaj brali udział w wodowaniu okrętu, ale wkrótce potem król przysłał Akastosowi polecenie (a ten nie mógł nie usłuchać), aby wracał do Jolkos i odpowiadał przed sędzią królewskim pozwany przez jakąś niewolnicę, która się skarży na złe traktowanie. Akastos dosiadł muła i pojechał. Nieco później podążył za nim Peleus.

Zacząła się debata, czy można odwlekać odjazd, dopóki tamci dwaj nie wrócą.

Hylas oświadczył zebranym, że gdy zmierzali tą furą do Pagazy, zatrzymała ich kompania straży pałacowej rozstawiona o dziesięć stadiów od miasta; odchyłili płachtę z twarzy Herkulesa i poznawszy go szybko zakryli z powrotem tłumacząc, że mają wyraźny rozkaz nie dopuścić do wyprawy księcia Akastosa na *Argo*.

Wówczas Argonauci pojęli, że historia z niewolnicą i sędzią królewskim stanowiła tylko pretekst wymyślony przez Peliasa, by ustrzec syna przed podróżą.

Idas, brat bystrookiego Linkeusa, rzekł:

– Akastos może być równie winien jak jego ojciec. W moim przekonaniu w głębi serca jest tchórzem. Nie sądzę jednak, żeby Peleus Myrmidon opuścił nas tak haniebnie; choć doprawdy to najbardziej niezdarny oszczepnik, jakiego w życiu widziałem, i we wszystkich swoich poczynaniach jest śliski jak węgorz.

Stary Nauplios odparł życzliwie:

– A jednak chyba lepiej mieć okręt bodaj tylko do połowy obsadzony przez gorliwych wioślarzy niż okręt pełen niechętnych.

Część kompanów mruklawie i niepewnie wyraziła zgodę.

Popołudnie upływało. Młodzieńcy zaczęli żartować i opowiadać dowcipne lub sprośne anegdoty, na jakie zwykle przychodzi kolej pod koniec uczty. Tylko Jazon zachował milczenie, otulony w płaszcz, nawet uśmiechem nie wyrażał

zainteresowania ogólną wesołością. Idas sięgnął za plecami Hylasa, napełnił puchar czystym winem, wychylił go do dna i powtórzył to samo jeszcze dwukrotnie. Teraz zaczął na plaży pijacki taniec wojenny. Przybierając pozę Jazona i wskazując go z boku kciukiem, zaczął deklamować kulawe wiersze, które brzmiały jak następuje: *Powiedz, Jazonie, synu Ajzona,*

*Czemu twa mina taka skwaszona?*

*Co to cię nagle dzisiaj opadło?*

*Jak nie chcesz szeptem, to powiedz na głos!*

*Może ci wstyd, że pod twą komendą*

*Najlepsi w świecie zapaśnicy będą,*

*A wśród nich Idas, syn Afareusa,*

*Co dzidę ceni wyżej niż Zeusa.*

(Tu groźnie potrząsała włócznią).

*Weźże się w kupę! Czy to ze strachu*

*Swą głowę trwożnie kryjesz pod pachą?*

(Tu zaczął przedrzeźniać Jazona).

*Sam Idas z tobą płynie – Idas, młodzieńców szczyt!*

*Najlepszy to artysta w sztuce ciskania dzid.*

*Idas z Arenę, który nie przegrał żadnej z walk.*

*Co gardzi mocą bogów, kiedy nadstawia kark,*

*Co o Apolla nie dba, którego ty tak czcisz!*

*Apollo raz Marpessę, Marpessę chciał skraść mi*

*I w prostytutkę zmienić w świątyni swej ją mógł –*

*Lecz nigdy nic mojego nie zabrał żaden bóg!*

*Natarłem więc na służki Apolla dzidą mą...*

W tym miejscu wtrącili się Mopsos i Idmon; ten ostatni chwycił poetę za nogi i obalił, podczas gdy Mopsos wyrwał mu z garści włócznię. Reszta gromady trzymała go, a Idom pouczał:

– Zuchwały pyszałku, sam się dopraszasz kłopotu. Widzę po twoim kubku, żeś pił czyste wino, ale nawet to nie powinno cię aż tak ogłupić, żebyś ubliżał jasnemu bogu, którego jesteś druhem i gościem. Przypomnij sobie tylko, co się pewnego razu zdarzyło dwóm wodzom Aloadów. Nie chcieli uznać jurysdykcji Apollina nad muzykalnymi nimfami-klaczami z góry Helikon upierając się, że te nimfy zamieszkały na Heliakonie jako służki Potrójnej Muzy na długo przedtem, nim nastał Apollo. Grozili wojną przeciw wszystkim Olimpijczykom na raz, gdyby Apollo próbował przywłaszczyć sobie Helikon; pletli banialuki, że spiętrzą Pelion na Ossę, jeśli zajdzie potrzeba, by móc sięgnąć wierzchołka Olimpu i zepchnąć z tronu ojca Zeusa. Ja jednak przepowiadałem im niepowodzenie; i jeszcze zanim mój ojciec Apollo zdążył wysłać łuczników, obaj samochwalcy już nie żyli.

Posprzeczali się o jelenia, na którego polowali, i potem każdy utrzymywał, że to on go ubił, i rozsiekali się nawzajem mieczami.

Idas roześmiał się, choć z wysiłkiem, bo bokser Polideukes siedział mu na piersi.

– Chodź, żabo argiwska – powiedział. – Wywróż mi coś złego, jeśli się ośmielisz, jak to zrobiłeś z Aloadami, a zobaczysz, co nastąpi. Okaże się, że jesteś fałszywym prorokiem, ty hultaju na koturnach, bo zapewniam cię, że twoje zwłoki będą leżeć i gnić tutaj, na wybrzeżu III Pagazy, a nie na żadnej

dalekiej kwiecistej łące (jak ci się zachciewa), podczas gdy okręt odpłynie bez ciebie.

Kłótnia doprowadziłaby niechybnie do przelewu krwi, bo Linkeus z mieczem w dłoni już spieszył na pomoc bratu, ale ją przerwał nagły brzęk i dzwonienie za ołtarzem – nad podziw pięknie grała czterostrunna lira. Na ten dźwięk ci, co zmagali się z Idasem, zwolnili chwyt. Zerwali się i zaczęli tańczyć w takt muzyki.

Idas też wstał i przyłączył się do nich, nie okazując żadnej urazy, jako że pijani mają krótką pamięć; a Linkeus rad był, że może schować miecz do pochwy i zrobić to samo. Po nim Jazon wyrwał się z ponurej zadumy i zawirował chwacko, unosząc ramiona i trzaskając w palce, bo Chejron był surowym i biegłym nauczycielem.

Wreszcie łomot stóp poruszył i Herkulesa. Podźwignął się i wskoczył na furę (już bez wołów), gdzie przytupywał w kółko w rytm muzyki, dopóki nie wydało się pewne, że oś nie wytrzyma. Obok niego korowód tańczących zwijał się i rozwijał

na kształt świętej cyfry osiem.

Nagłym grzmotnięciem w lirę muzyka urwała się równie raptownie, jak się zaczęła. Mopsos, Idmon i jeszcze paru skoczyło ścisnąć wychudłego dzikookiego Traka z tatuowaną twarzą, w białej lnianej szacie, którego interwencja w ostatniej chwili zapobiegła rozlewowi krwi.

– Orfeusz! – wołali. – Orfeuszu, więc wracasz do nas znowu ze swoich wędrówek po Egipcie i dobrowolnego wygnania wśród okrutnych Kikonów?

– We śnie polecono mi, abym popłynął z wami – odrzekł Orfeusz. – Wsiadajmy na pokład.

Przybycie Orfeusza przeciągnęło ucztę do wieczora, kiedy już było za późno wyruszać. Jazon więc kazał nakosić trawy i ułożyć z niej na plaży legowisko, po czym wraz z towarzyszami jadł i pił, póki księżyc nie stanął wysoko na niebie, Orfeusz zaś radował ich muzyką. Śpiewał balladę po balladzie o dawnych dobrych czasach Tezeusza i Pejritoosa, a oni wciąż wołali o jeszcze. Około północy wreszcie posnęli jeden po drugim; ale ich świta trzymała straż w obawie, że Pelias może zamyślać zdradę. Noc przeszła spokojnie i niebawem ranek wstał pogodny i jasny.

Kiedy zjedli śniadanie złożone z zimnej pieczeni i odrobiny wina, Jazon radośnie powiódł ich ku *Argo* i załoga wspięła się na pokład, zajmując wylosowane miejsca. Świta nadciągnęła tłumnie ze sprzętem pozbieranym na plaży, zaś ich panowie spieszenie wpychali wszystko do skrytek pod ławkami. Pilno im było do odjazdu, teraz, gdy Orfeusz grał uroczystą, powolną pieśń wioślarską: „Wyruszaj na morze, pobożny korabiu...” – odtąd sławną, w tej chwili pierwszy raz słyszaną.

Gdy Herkules wielkodusznie ofiarował się wziąć do wiosła z prawej burty na miejscu najbliższym sternika, Jazon rozkazał cięższemu z każdej pary wioślarzy z tyłu za masztem usiąść po lewej stronie, by zrównoważyć siłę straszliwego uderzenia; uczynił to z porady Argos. Kapryśny wiatr podmuchiwał z południa.

Tyfis zajął wysokie miejsce za sterem i Jazon krzyknął do zebranych na brzegu, żeby zdjęli cumy z

przedziurawionych kamieni kotwicznych. Zrobili to i rzucili końce lin Jazonowi na pokład. Lecz Argos skarcił Jazona, że chce zostawić kamienie, które murarze z takim mozołem ociosali i przewiercili. Mimo niecierpliwego szemrania załogi kamienie zabrano z plaży i po długiej desce wtoczono na okręt.

Wreszcie Jazon dał znak do odjazdu. Herkules zanurzył wiosło w wodę i pchnął. Pozostali uczynili to samo i po raptownym zrywie piękny okręt zaczął

sunąć w dół cieśniny, a wiosła opadały i wznosiły się w doskonałym rytmie. Tak się spełniła przepowiednia Apollina, że prawdziwy Jazon jeszcze się pojawi.

Albowiem na pokładzie *Argo* nie Jazon był tym, co godzi zwaśnionych, mimo swego imienia. To Orfeusz został powołany do łagodzenia ustawicznych kłótni zawistnej i niesfornej załogi.

Jazon, dostrzegłszy od Metony trzykrotny odbłysek słońca w polerowanym spiżu

– oczekiwany sygnał – powiedział do Tyfisa:

– Steruj do Metony, jeśli łaska. Spodziewam się tam uzupełnić obsadę.

Tyfis usłuchał i wkrótce lamenty z wybrzeży Pagazy przycichły uniesione przez wiatr.

Kiedy już Jolkos pozostało daleko za nimi, Linkeus, obejrzawszy się przez lewe ramię, przerwał muzykę.

– Widzę coś towarzysze! – zawołał. – Dwóch mężczyzn i kobieta zbiega po stoku Pelionu w stronę Metony, dębowy zagajnik na wpół ich przesłania.

Mężczyzn wszyscy znacie: to Akastos syn Peliasa i Peleus Myrmidon, jego przyjaciel. Wielu z was zna także kobietę: pędzi i przesadza zarośla posuwistymi skokami sarny; po warkoczach, krótkiej tunice i łuku każdy z łatwością rozpozna dziewczyną łowczynię bogini Artemis.

– Och, Linkeusie, Linkeusie, powiedz mi, jakiego koloru jest jej tunika? –

spytał skwapliwie Meleager. – Czy czasem nie szafranowa?

Szafranowa – odrzekł Linkeus. – A poza tym nosi naszyjnik z niedźwiedzych pazurów. Nie będę cię dłużej trzymał w niepewności, Meleagrze. To jest kobieta, którą kochasz nad życie: to Atalanta z Kalidonu.

Długi Ankajos wykrzyknął ze złością: – Niech lepiej nie próbuje stawiać stopy na pokład! Żadnemu okrętowi nie będzie się wiodło z babą w załodze.

– Pomału – rzekł Meleager. – To samo mówiłeś przed łowami w Kalidonie, a gdzie byś teraz był bez Atalanty? Może nie ona uratowała ci życie?

Długi Ankajos warknął coś niewyraźnie.



Gdy *Argo* mijala wielką skałę w Metonie służącą jako przystań, Atalanta zeskoczyła na pokład, nim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, z iglastą gałązką w dłoni.

– W imię dziewiczej bogini! – zawołała.

Jazon nie miał innego wyjścia, jak uznać ją za członkinię załogi. Srebrny świerk jest poświęcony Artemidzie, która – choć wyparła się wszelkich związków z Trójboginią i ogłosiła córką Zeusa – zachowała nadal większość dawnych atrybutów. Niebezpieczniej ją obrazić niż jakiegokolwiek bądź inne bóstwo i Jazon odetchnął widząc, że też jest przychylna wyprawie; obawiał się, czy nie dotknął jej może zeszłego rana opryskliwością wobec jej kapłanki Ifias.

Ale Meleager, zakochany w Atalancie, był gorzko rozczarowany, że przybywa w imię bogini, jest przeto nietykalna. Niedawno zaproponował, że odeśle swoją młodą żonę Kleopatę, córkę Idasa i Marpessy, i poślubi zamiast niej Atalantę, gdy tylko ta wystąpi ze służby Artemidy. Mogła to śmiało zrobić pod warunkiem złożenia pewnych nienazwanych ofiar w przybytku bogini; wyrocznia jednak ostrzegła, że małżeństwo nie przyniesie jej szczęścia, a poza tym nie miała ochoty prowokować Idasa, ojca rywalki, ani krzywdzić samej Kleopatry, swej towarzyszkę łowów. Odrzuciła więc oświadczenia kędzierzawego Meleagra, on zaś poprzysiął, że przynajmniej nie zdoła go zmusić do pozostania przy żonie: wyruszy do Jolkos, zgłosi się na wyprawę do Kolchidy i zapomni o nich obu.

Wydawało się teraz, że Atalanta w żadnym razie sobie nie życzy, aby Meleager o niej zapominał. Przyszła usiąść z nim na jednej ławie, zaś Linkeus ustąpił jej wiosła. Zauważono, że u paska Atalanty wiszą trzy zakrwawione skalpy, które wprawiły jej sąsiadów w przykry niepokój.

Niebawem Akastos i Peleus dobiegli do przystani i ze śmiechem skoczyli na pokład. Razem siedli na ławie dziobowej i umocowali wiosła w dulkach, podczas gdy Jazon i Linkeus drągami odpychali okręt od skały. Gdy wiosła poszły w ruch, Akastos opowiedział towarzyszom, co się zdarzyło. Zdaje się, że gdy dotarł do Jolkos, Pelias od razu mu oznajmił, iż żaden pozew przeciwko niemu nie istnieje, a strażę rozstawiono, by zapobiec jego powrotowi do Pagazy. Akastos odpowiadał

niechętnie i nawet nie udawał, że zamierza podporządkować się ojcowskiej woli, dopóki nie przybył Peleus. Peleus mianowicie wkroczył dosali i oświadczył, że pokłócił się z Jazonem o dowództwo wyprawy i poprzysiął, że on przynajmniej na pewno nie myśli wyruszać inaczej jak pod wodzą Herkulesa.

– Mądrześ postąpił – rzekł mu Pelias – bardzo mądrze, ponieważ (jeśli mam być z tobą szczerzy) nie spodziewam się już więcej ujrzeć okrętu, teraz gdy ci awanturnicy oddali władzę w ręce mego zarozumiałego bratanka.

Na to Akastos udając, że zmienił zdanie, powiedział:

– Skoro także wróciłeś, Peleusie, nie dbam już, czy pojedę, czy zostanę. Chodź, zasiądziemy teraz do uczyty, a jutro wczesnym rankiem wybierzemy się na Pelion pozdrowić Chejrona i namówić go, żeby z nami zapolował.

Co do tego Pelias nie miał zastrzeżeń. Następnego dnia więc wstali wczesnie i poszli kawałek w

góry, a potem skręcili w stronę Metony; Peleus bowiem uprzedził Jazona o swym zamiarze i spodziewał się zastać tam *Argo*. Niebawem spotkali Atalantę, która właśnie zabiła dwu centaurów i zajmowała się zdzieraniem skalpów.

– Centaurowie nie uznają olimpijskiej Artemis – wyjaśniła teraz. – Nienawidzą jej, odkąd objęła rządy w kolegium nimf-ryb w Jolkos, pozbawiając ich należnych przyjemności. Trzej czekali na mnie w zasadzce, gdy szłam z Ossy przez góry, i bez wątpienia próbowaliby mnie zgwałcić, gdybym nie spłoszyła czatujących strzałą. Uciekłam natychmiast i sama się schowałam ujrzawszy, że mnie gonią. Ze swej kryjówki zastrzeliłam pozostałych dwóch, jak już powiedzieli Peleus i Akastos. Aby uniknąć pościgu ich lubieżnych duchów, oskalpowałam ich (te końskie ogony, w jakie centaurowie się czeszą, są nader poręczne): w ten sposób stali się wobec mnie bezsilni. Cała ich moc bierze się z włosów. Nie, nie, krople krwi kapiące ze skalpów przyniosą okrętowi szczęście, nie zaś niepowodzenie.

Opowieść Atalanty przejęła Jazona zgrozą. Cokolwiek by mówiła, duchy centaurów, jego krewnych, zawsze będą wołać doń o pomstę. A jednak nie mógł

ryzykować obrazy Artemis. Wreszcie rzekł:

– Ponieważ nie zabiłaś mego przybranego ojca Chejrona, mogę ci przebaczyć.

Kiepsko by było z tobą, gdybyś zabiła mego przybranego ojca Chejrona.

– Ach, czyżbym zapomniał ci powiedzieć – przerwał Herkules – że mój stary przyjaciel centaur nie żyje? Od wczoraj. On, Hylas i ja cudownie się bawiliśmy, uczując i opowiadając historyjki, gdy nagle... Nie przypominam sobie dokładnie, skąd się wziął cały kłopot, wiem tylko, że paru innych centaurów zaczęło się niecierpliwiej robić do mnie miny. Trzepnąłem jednego, a musiałem to zrobić odrobinę za mocno, bo już się więcej nie odezwał. Pozostali, coraz bardziej podnieceni, postanowili pomścić towarzysza.

– Herkules zabił ze sześciu centaurów – dodał Hylas. – To znów były te dziecięce głosy w jego głowie. Tamten mąż próbował go powstrzymać od wytępienia całego szczepu, ale stanął na drodze jednej z jego strzał. Herkules nie posiadał się z żalu, jak sobie łącno możecie wyobrazić, i musiałem go ukoić dodatkowym dzbanem wina. To dlategośmy się spóźnili na wybrzeże. – Mówił

o Chejronie: „tamten mąż”, żeby przypadkiem nie wywołać jego ducha.

– Centaurowie to istna plaga – odezwał się Koronos Lapita. – Napadli mego ojca, nie sprowokowani, i zatłukli go na śmierć sosnowymi kijami. Serce we mnie skacze, gdy słyszę, że ktoś zabił centaura.

Wtem Orfeusz zaczął grać łagodną melodię i zaśpiewał:

*Nie czas pamiętać wyrządzonych krzywd.*

*Żal nam nie zaćmi wzroku,*

*Nie wstrzyma kroków –*

*Nadziei błysk...*

– Powtórz te wiersze, Traku – powiedział Herkules. – Masz rację. Nie czas pamiętać o tych nieszczęsnych centaurach. Nie żywisz do mnie niechęci, Jazonie?

Jazon nic nie odrzekł, aż gdy Herkules powtórzył z groźbą swoje pytanie, przemówił drżącym głosem, ze łzami w oczach:

– Tamten mąż był najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znałem, i nisko bym się cenił, gdybym nie przelewał łez na tę wieść; widzę przecież, że nawet dzielny Peleus ma oczy wilgotne, a barki mu drżą od łkań. Jednakże wolę już, że mój drogi przybrany ojciec i przyjaciele centaurowie padli z twojej ręki, najszlachetniejszy Herkulesie, niż z czyjejkolwiek innej. Ponieważ wiem, że po powrocie do Grecji ułagodzisz ducha tamtego męża o wiele wspanialszymi darami, niżby mógł oczekiwać po kimkolwiek innym, a nie zapomnisz i o pozostałych duchach. Tamten mąż zresztą też nie był bez winy: nie należało publicznie odszpuntowywać baryłki; wino jest przekleństwem centaurów, jak sam często mawiał. Tak to Jazon uciszył rosnący gniew Herkulesa.

– Towarzysze – rzekł Argos – proponuję, abyśmy wykorzystali należycie to popołudnie i wydostali się na dobre z Zatoki Pagazyjskiej, zanim Pelias wyśle galerę w pościg.

– Zaśpiewaj jeszcze tę piosenkę, Orfeuszu – powtórzył Herkules. – Nawiasem mówiąc, Linos, nauczyciel muzyki, któremu niegdyś w samoobronie rozwaliłem czaszkę własną jego lirą... męczący nudziarz... czy to nie był twój brat?

– Nie czas pamiętać wyrządzonych krzywd, Herkulesie – powiedział Orfeusz ze smutkiem i znów uderzył w struny.

Jednak to nie Metona była ostatnim miejscem na brzegach Zatoki Pagazyjskiej, skąd *Argo* ruszyła już z całym rozpędem: Jazon raz jeszcze musiał dobić do brzegu w najdalszym zakątku zatoki, zwanym odtąd Afetaj (czyli Wybrzeże Rozstania), i tam złożyć w ofierze bogini Artemis koźlę, które kupił od pasterzy za parę bochenków figowego chleba. Atoli nie mitrężyli długo, a wszystkim kamień spadł

z serca, bo Meleager skłonił Atalantę, by złożyła na tym samym ołtarzu skalpy centaurów.

Oto dzieje Atalanty. Jazjos Arkadyjczyk, jeden z dowódców tego króla, Ojneusa z Kalidonu, co to zasadził pierwszą winnicę w Etolii, pragnął mieć syna.

Kiedy więc ukochana żona zmarła przy porodzie, zostawiając dziewczynkę, którą nazwała Atalanta, rozkazał swemu sędziemu wynieść małą w góry, aby odpokutowała za śmierć matki. Nikt się jednak nie kwapił przyłożyć ręki do zguby dzieciaka, bo takiego ducha daleko trudniej się potem pozbyć niż ducha dorosłej osoby. Sędzia powierzył to zadanie podsędkowi, ten ostatni świniarzowi, ów swojej żonie, a żona położyła Atalantę na progu górskiej świątynki Artemidy-niedźwiedzicy i zawiadomiła świniarza, że rozkazy Jazjosa zostały spełnione.

Powiadają, że prawdziwa niedźwiedzica co dzień schodziła z gór na poczęstunek z miodu w

świątyni, gdzie jej wizyty były mile widziane, i zechciała poić Atalantę własnym mlekiem. Dziewczynkę wychowano w służbie bogini i została słynną łowczynią. Gdy dorosła, potrafiła biec przez las lub nierówny teren szybciej niż jakakolwiek kobieta czy mężczyzna w Grecji, tak pewny miała krok.

Niebawem wielki dzik zaczął pustoszyć pola i sady Kalidonu za karę, jak sądzono, za zuchwalstwo króla wobec Artemis, pani dzikich stworzeń. Ojneus celowo pominął boginię przy składaniu ofiary wszystkim na raz Olimpijczykom, bo jej lisy wyrządzały mu szkody w winnicy. Początkowo nikt nie śmiał zaczepić dzika; wreszcie jednak Meleager, syn króla, zebrał gromadę młodych zuchów ze wszystkich stron Grecji i ruszył jego tropem. Ale wahał się zaatakować bestię bez uprzedniej zgody Artemis, więc udał się do niedźwiedziej świątyni z darem przebłagalnym. Najwyższa kapłanka pochwaliła jego męstwo i pobożność i nie tylko zezwoliła na łowy, lecz wysłała Atalantę, by wzięła w nich udział. Rozeźliło to kompanów Meleagra, wśród których znaleźli się: Idas, Linkeus, Kastor, Polideukes, Admetos, Długi Ankajos i Peleus. Zrazu wszyscy odmówili polowania w towarzystwie kobiety, oświadczając, że to by im przyniosło nieszczęście.

Meleager odparł, że jeśli teraz opuszczą łowy, Artemida niewątpliwie ukarze ich równie surowo, jak ukarała jego ojca Ojneusa. Poszli więc na wyprawę z ciężkim sercem, ustalwszy, że ktokolwiek bestię ubije, zatrzyma skórę.

Atalanta zawstydziła ich, bo pierwsza wytropiła dzika w ostępie, gdzie się zaszył. Aby okazać lekceważenie, nie słuchali jej rozkazów, a poleciła cichaczem otoczyć gęstwinę i zasadzić się z łukami i oszczepami, podczas gdy ona ruszy zwierza. Zamiast tego pognali na łeb na szyję, wrzeszcząc głośno, żeby go wypłoszyć. Dzik spotkał ich stłoczonych w gromadę, dwóch zabił, dwóch innych okaleczył, wśród nich Długiego Ankajosa. Atalanta porwała Ankajosa na plecy i zawlokła w bezpieczne miejsce, podczas gdy dzik pastwił się nad zwłokami tamtych. Pozostawiła Peleusowi zaszczyt uśmiercenia bestii osobiście, choć jednak dzik był wciąż zaprzątnięty swym ohydny zajęciami, Peleus zdołał zabić tylko własnego teścia. Dzik uszedł cało.

Gdy Atalanta przewiązała ranę Długiego Ankajosa, podjęła pościg za dzikiem i powtórnie odkryła jego legowisko. Tym razem myśliwi byli powolni jej wskazówkom i pozostali w ukryciu. Ona podkradła się z tyłu blisko do dzika i przeszyła strzałą jego zad. Ze strasliwym kwikiem wykulał na polanę, gdzie go deszczem strzał przywitali łucznicy, których gęsto rozstawiła Atalanta. Jedna trafiła go prosto w lewe oko i zaczął okręcać się z wolna, tocząc pianę z pyska. Meleager odważył się podejść go od oślepionej strony i wbił mu oszczep w serce.

Dzik padł i wówczas paru myśliwych, co schodzili mu z drogi, póki jeszcze był

niebezpieczny, rzuciło się na niego, zadając mu ciosy. Jak należało oczekiwać, wybuchła hałaśliwa dysputa, kto zabił zwierza, a tym samym zdobył skórę.

Meleager rozstrzygnął ją, oświadczając, że choć to on zadał oszczepem cios śmiertelny, rzeka się praw do skóry i przysądza ją Atalancie. Ona bowiem po pierwsze tak okaleczyła dzika, że byłby z całą pewnością zdechł w ciągu paru dni, po drugie zaś wciągnęła go w zasadzkę, którą sama przygotowała.

Potem słudzy Meleagra zdjęli z dzika skórę i oddali ją Atalancie. Przyjęła z wdzięcznością i powoli wracała do świątyni Artemis, gdy wujowie Meleagra (jeden z nich twierdził, że to on wypuścił strzałę, co oślepiła zwierza) spróbowali nie tylko wydrzeć jej skórę, lecz także ją zgwałcić. Meleager usłyszał krzyk i pobiegł na ratunek, wzywając Artemis, by ustrzegła go od grzechu. Zabił obu tym samym oszczepem, którym położył dzika. Dzięki temu przesąd, że nie należy polować z kobietą, potwierdził się, bowiem pięciu mężów zginęło tego dnia; a jednak z równą słusnością można powiedzieć, że właśnie ten przesąd ich zabił.

Jazjos, słysząc, że Atalanta zdobyła skórę, uczuł dumę w sercu i wreszcie uznał

ją za córkę. Uczynił ją swoją następczynią i pobożnie wyposażył świątynię Artemidy w drzwi z brązu oraz żelazny obrotowy rożen do pieczenia. Atalanta jednak nie powróciła do domowego zacisza, jak przystoi córce wodza, ani w najmniejszym stopniu nie poddała się jego władzy; chodziła na polowanie, kiedy tylko miała ochotę, zwłaszcza w księżycowe noce.

A oto lista Argonautów, którzy wyruszyli z Zatoki Pagazyjskiej. Bez wątpienia nie wszyscy ukończyli podróż, część zaś zdobyła miano Argonautów, zaciągając się na *Argo*, gdy ta już przebyła Symplegady i wypłynęła na Morze Czarne.

Akastos, syn króla Peliasa, z Jolkos, Miniwczyk,

Admetos, król Fery, Miniwczyk,

Długi Ankajos z Tegei, syn boga Posejdona,

Mały Ankajos Lilajczyk z kwietnego Samos,

Argos z Aten, z urodzenia Tespijczyk, budowniczy *Argo*, Askalafos z Orchomenos, syn boga Aresa, Miniwczyk,

Atalanta z Kalidonu,

Augiasz, syn Forbasa, król Elidy i kapłan Słońca,

Bootes z Aten, kapłan bogini Ateny, najślawniejszy bartnik w Grecji, Dzetes Trak, syn Wichru Północnego, z Tynii Trackiej,

Echion z góry Kylene, syn boga Hermesa, herold,

Erginos z Miletu, syn boga Posejdona, Miniwczyk,

Eufemos z Tajnaron, pływak fokijski,

Eurydamas Dolopijczyk znad jeziora Ksynias z Tasalii, Miniwczyk, Faleros łucznik, z królewskiego domu ateńskiego,

Herkules z Tyryntu,

Hylas Driopita, giermek Herkulesa,

Idas, syn Afareusa z Arenę, Minijczyk,

Idmon z Argos, syn boga Apollona,

Ifitos z Fokidy, malarz i rzeźbiarz,

Jazon, kapitan *Argo*, syn króla Ajzona z Jolkos, Minijczyk, Kalais, brat Dzetesa,

Kastor ze Sparty, syn ojca Zeusa, zapaśnik i jeździec,

Koronos Lapita z Gyrtonu w Tesalii, Minijczyk,

Linkeus-wypatrywacz, brat Idasa, Minijczyk,

Meleager, syn króla Ojneusa z Kalidonu,

Melampus z Pylos, syn boga Posejdona, Minijczyk,

Mopsos Lapita, wróżbiarz minojski,

Nauplios z Argos, syn boga Posejdona, głośny nawigator, Orfeusz, muzyk tracki,

Peleus z Ftyi, książę Myrmidonów,

Peryklimenos z piaszczystego Pylos, minijski czarownik, syn boga Posejdona, Polideukes ze Sparty, znany bokser, brat Kastora,

Tyfis z beockiej Tyzbe, Minijczyk, sternik *Argo*.

Doszli do nich później: Polifem Lapita, Minijczyk z tesalskiej Larysy; oraz trzej bracia Minijczycy, Flegowie z tesalskiej Trykki, zwani Deilejon, Rogios i Autolikos; a także czterej synowie Fryksosa Minijczyka, który zawiózł runo do Kolchidy, zwani Frontis, Melanion, Kityssoros i Argios. W ten sposób wszystkiego dwudziestu jeden Minijczyków ma prawo do tytułu Argonautów, oprócz tych, co zostali Minijczykami przez adopcję. Co do Mariandyna Daskilosa, który pilotował

*Argo* przez jeden czy dwa etapy w tamtą stronę, i Telamona z Ajginy, i Kantosa, brata Polifema, i innych, co (jak dwaj ostatni) byli pasażerami przez etap lub dwa w drodze powrotnej – ci nie mają nic wspólnego z wyprawą po złote runo, przeto godni zaufania poeci ani heroldowie nie zaliczają ich do Argonautów. Ale właśnie wskutek późniejszego dopisania ich imion lista wzrosła do pięćdziesięciu osób i to zrodziło fałszywą pogłoskę, jakoby *Argo* była okrętem pięćdziesięciowiosłowym.

## **OGNISKA W KASTANAI**

*Argo* chyżo sunęła naprzód: na południe – na wiosłach przez wąską gardziel Zatoki Pagazyjskiej, a w

miarę jak dzień upływał – na północno-wschód o wiosłach i żaglu przez głęboką cieśninę, która oddzielała czoło wyspy Eubei od wygiętej jak stopa Magnezji. Gdy po raz pierwszy postawiono żagiel i wyduła go bryza, Argonauci wykrzyknęli z zachwytu. Stary Nauplios zawołał:

– Ze wszystkich kryp, jakie kiedykolwiek pływały po słonej wodzie, twoja, Argosie, jest najładniejsza!

– Dosiada fali z lekkością i gracją młodego łabędzia – dorzucił Kastor.

– Przypomina raczej bystrego delfina, co przeskakuje z fali na falę – rzekł Mały Ankajos.

A Idmon dodał:

– Widzieć ją, gdy wspina się na toczący się grzywacz i przecina wysoką pianę, spryskując swe dzieci morską wodą spod dziobu jak wodą źródlaną strząśniętą z zielonego laurowego konaru... o drodzy towarzysze, na ten widok dusza drga w człowieku.

I tak Argonauci kolejno wychwalali *Argo* w porównaniach odpowiadających najbardziej urodzeniu i kondycji każdego. Potem znów wzięli się do wiosł, by przyspieszyć jej pęd; odetchnęli z ulgą dopiero, znalazłszy się w Cieśninie Skiatyjskiej pomiędzy piętą Magnezji a gęsto zalesioną skalistą wyspą Skiatos na zachodnim krańcu Sporad. Rozwalili się na ławach, opatrując pokryte pęcherzami dłonie.

Teraz wiatr dał prosto z rufy. Tyfis dobrze znał te strony i utrzymywał *Argo* w odległości paru strzałów z łuku od brzegu w obawie przed podwodnymi skałami.

Późnym popołudniem wskazał ciemne urwisko sterczące przed nimi.

– To przyłodek Sepiada – rzekł. – Pomyślny drogowskaz, kiedy się wraca z Tracji. Łatwo go rozpoznać po wyniosłym, czerwonym urwisku. Ale my musimy zostawić go za sobą, tak samo jak przyłodek Ipnoj, nim pod wieczór przybijemy do brzegu. Póki ten wiatr się utrzymuje, spróbujemy raz jeszcze dzisiejszego dnia zobaczyć Pelion przez lewe ramię.

Płynęli więc dalej, choć zmrok gęstniał, wzeszedł miesięczek i jasno zabłyśły gwiazdy. Orfeusz śpiewał hymn do Artemidy, która miała w pobliżu parę świątyń, ostrzegając Argonautów na podstawie mnóstwa świeżych przykładów przed niebezpieczeństwem grożącym temu, kto zaniedba czci należnej bogini. Pomiędzy każde dwie zwrotki hymnu, co wiódł ich przez dobre czterdzieści pięć stajań, wtrącał się Idas ochryplym głosem, usiłując podchwycić melodię i wrzeszczał:  
*Meleagrze, synu Ojneja,*

*O, Meleagrze, synu Ojneja,*

*Oto dla ciebie przestroga:*

*Unikaj warg Atalanty -*

A reszta Argonautów wtórowała z rubasznym śmiechem:

*Oto dla ciebie przestroga:*

*Unikaj warg Atalanty.*

Meleager się nie przejmował, bo Atalanta siedziała z nim na jednej ławie i leciutko przyciskała mu stopę, aby okazać współczucie. Wreszcie wzięła instrument od Orfeusza i pokazała, że jest dość biegłą lirniczką, śpiewając na tę samą melodię balladę o niebezpieczeństwach, na jakie naraża się dziewicza łowczyni, co zapomniała o ślubach czystości. Opowiadała, jak Kallisto, arkadyjska łowczyni, której dziecięcia ojcem był sam Zeus, nie zdołała ująć zawiści gniewnej Artemis: z jej rozkazu przeszyto Kallisto tysiącem strzał, nie zabijając jednak, i kaleką porzucono w borze na śmierć. Gwiazdozbiór Niedźwiedzicy wziął po niej imię, by przypominać, że Artemida nie zna litości.

Pelion widziany z morza w księżycowym blasku zdawał się dziwnie odmienny od Pelionu, który Jazon znał przez całe życie; w pewnej chwili wyglądał jak płaskowyż. Zakłopotany Jazon spytał Herkulesa:

– Czyśmy już nie powinni rychło przybijać do brzegu, najszlachetniejszy Herkulesie? Wydaje mi się, że minęliśmy Pelion.

– Czemu mnie pytasz? Spytaj Tyfisa albo Argosa czy kogo tam chcesz – odparł

Herkules – a nie naprzykrzaj mi się głupimi pytaniami, jak byś był dzieckiem.

Powszechny śmiech stropił Jazona, ale Tyfis powiedział:

– Ja przynajmniej byłbym rad, gdybyśmy dzisiaj osiągnęli Kastanaję, gdzie brzeg jest bezpieczny i dobra woda.

– Znam dobrze pasterzy z Kastanai – rzekł Jazon. – W zamian za trochę wina kupimy od nich tyle baraniny, że nam starczy na dwa dni.

Mknęli zatem dalej w czarnym cieniu Pelionu i unikając skał, zostawili za sobą przylądek Ipnój; potem bryza osłabła i znowu wzięli się do wiosł. Dopiero nad ranem zdołali dotrzeć do Kastanai, zziębnięci jak psy i skłonni do głośnych utyskiwań na Jazona, że ich włókł, powiadali, prawie pół drogi do Kolchidy za jednym zamachem. Znaleźli bezpieczną przystań i wyszli na brzeg na nogach sztywnych jak wiosła.

Magnezyjscy pasterze wzięli ich za piratów i porwawszy dzieci, uciekli w popłochu przesmykiem pomiędzy wzgórzami. Jazon wykrzykiwał za nimi uspokajająco, ale nie zważali na niego.

Argonauci zbierali suche drwa i szykowali ognisko, a Herkules ruszył na poszukiwanie baraniny. Wrócił niebawem niosąc na ramieniu dwa żałośliwie beczące skopy.

– Mam zamiar złożyć te beksy w ofierze Hestii, bogini domowego ogniska –

oświadczył. – To miejsce niesłuchanie mi odpowiada. Pewnego dnia, gdy już wykonam swoje prace,



osiądnę tu z Hylasem i zbuduję sobie dom. Będę siadywał, słuchając łagodnego szumu fal i spoglądając na pyzaty księżyc poprzez pierzaste gałęzie drzew; a jeśli Eurysteus przyśle do mnie Tałtybiosą z jakimś zleceniem, rozwalę go patelnią w drobny mak. Święte węże, ałem głodny! Szybko, durnie, ułóżcie mi ołtarz i pożyczcie ofiarnego krzesiwa.

Eurydamas Dolopijczyk poprosił go o złożenie zamiast tego ofiary u grobu jego przodka Dolopsa, co leżał nie opodal; Herkules przystał wspaniałomyślnie.

Wiedział w głębi serca, że nigdy nigdzie nie osiadzie, choćby żył nie wiadomo jak długo.

Wkrótce zwierzęta poświęcono, odarto ze skóry i poćwiartowano, a ich krew wytoczono dla spragnionego ducha Dolopsa. Argonaucci zasiedli dokoła dwu wielkich ognisk otuleni w derki lub opończe i każdy przypiekl nad płomieniem swoją porcję baraniny pokrajaną w plastry i nadzianą na cienkie patyczki. Herkules wytaszczył na brzeg dzban wina, Hylas z brązową konwią poszedł po wodę. *Argo* solidnie zacumowano do dwóch skał, z żaglem spuszczonego i zwiniętego, dziobem prosto na wiatr. Melampus z Pylos, krewniak Jazona, a zarazem najbardziej melancholijny i małomówny z Argonautów, pełnił wachtę na pokładzie; jego przyjaciel, czarownik Peryklimenos, zaniósł mu porządną porcję mięsa i napitku.

Przy mniejszym ognisku Koronos Lapita zwrócił się do Admeta z Fery:

– Ta baranina z całą pewnością nie jest zła. Chód pastwiska tu nie są tak bogate jak u nas w Tesalii, owce, jak mi się wydaje, chodzą na brzeg lizać słone kamienie dla zaostrenia apetytu, dzięki czemu nabierają wagi.

– Regularnie daję moim stadom sól do lizania – rzekł Admetos – i choć drobnej rasy, jest się czym pochwalić, zwłaszcza teraz gdy uwolniłeś je od kleszczy. To była sąsiedzka przysługa, Koronosie.

– Nic takiego – odparł Koronos. – Odkąd Atena adoptowała bractwo kruków, posiadliśmy cudowną władzę nad naszym świętym i długowiecznym ptakiem.

Przylatuje na żądanie do wszelkiej trzody, jaka może potrzebować jego usług. Tak, istotnie, twoje owce powinny być w tym roku w najlepszym porządku.

Bootes z Aten odezwał się z uśmiechem: – Moje wełniste stada nie są tak białe jak twoje, Admetosie; jednakże choć z ledwością pewnie uwierzysz, posiadam ich pięćset razy więcej niż ty. Są tak rozumne, że nie trzeba mi do ich pilnowania psa ani pasterza; a zaopatrują mój stół w potrawę nieskończenie słodsza od twojej.

– Doprawdy? – odrzekł uprzejmie Admetos. – Baranina feryjska jest powszechnie uznana za najśłodsza w Tesalii, sądziłem zaś, że i w Attyce żadna jej nie dorówna. Nasza trawa jest smakowita niczym chleb jęczmienny, prawda, Koronosie? A runa moich owiec (jeśli wypada się tak chełpić) nie ustępują miękkością żadnym, jakie w życiu widziałem: pomacaj tylko tę derkę.

– Moje owce są brązowożółte i znacznie mniejsze od twoich – powiedział

Bootes, uśmiechając się teraz całą gębą. – Co rano chmarą wyruszają ze swych zagród na pastwiska

góry Hymetos i przed zmrokiem wracają do dom bezpiecznie.

Gardzą trawą i solą, kochają tylko kwiaty. Mają na łebkach maleńkie różki i kosmate brzuchy.

Mówił żartobliwie o swoich pszczołach, ale dopiero po dłuższej chwili Admetos rozwiązał zagadkę. Wreszcie Bootes wydobył spod płaszcza dzbanek hymetańskiego miodu i zaprosił kompanów, by umoczyli w nim palce i polizali.

Gdy wykrzyknęli z podziwu nad smakiem, zrobił im wykład o pszczelarstwie i obiecał, że skoro tylko podróż się skończy, każdy z nich otrzyma pasiekę i nie będzie więcej zdany na przypadkowe odkrycia dzikiego miodu w dziuplach drzew lub skalnych pieczarach.

– Nie zrozumcie mnie jednak źle – dodał. – Nie żywię pogardy dla dzikiego miodu i wiele miłych poranków spędzam na poszukiwaniach w okolicy Hymetos.

Czekam na skraju kwiecistej łąki, aż pszczoła obarczona miodem skieruje się ku barci. Podążam za nią, znacząc drogę patyczkami, bo wracające pszczoły lecą zupełnie prosto. Niebawem inna wyruszy do domu z drugiego krańca polany. Jej drogę także zaznaczam. W pobliżu punktu przecięcia spotykam pszczoły zlatujące się ze wszystkich stron. Tam jest barć, już łatwa do odkrycia.

Bootes był miłym człowiekiem, lecz w jakiegokolwiek uczestniczył rozmowie, zawsze sprowadzał ją na temat pszczół. Dziwne, że był kapłanem Ateny zamiast Apollina, patrona rojów pszczelich. Starannie golił głowę i nosił wyłącznie białe szaty, bo miało to na pszczoły kojący wpływ; przynajmniej on tak uważał.

Przy innych ogniskach jakieś niewidzialne chochliki skusiły gromadę do paru burzliwych dysput: o istocie ognia, o właściwej porze na siew sezamu, o niedźwiedziach – czy niedźwiedzie arkadyjskie są dziksze od tych z gór Parnes w Attyce i czy białe niedźwiedzie trackie są groźniejsze niż tamte oba. Słyszac gniwne wrzaski, którymi Faleros i Argos dowodzili wyższości attyckiego niedźwiedzia wbrew Arkadyjczykom: Echionowi i Długiemu Ankajosowi, oraz ochryple warknięcia Traków, Kalaisa i Dzetesa, można było ich samych wziąć za niedźwiedzie. Uciszył wszystkich dopiero Orfeusz, mówiac, że żaden niedźwiedź

nie jest zazarty z natury, choć każdego coś może przywieść do wściekłości: niedźwiedzicę – niebezpieczeństwo grożące małym, niedźwiedzia – zazdrość o samicę, oboje – przerwanie snu zimowego szczękiem oręża i ujadaniem sfory.

– Niedźwiedzie są ze wszystkich zwierząt najbardziej podobne człowiekowi.

Walczą o swoją własność; lubią poczuć się powtórnie młode w igraszkach z małymi; a żadna przyjemność nie jest im równie słodka jak sen, może oprócz plastra miodu do schrupania. Dostyc, towarzysze, przemęczenie skłania do sprzeczek. Spijcie smacznie, gdzieście usiedli, i nie myślcie o niebezpieczeństwie: będę czuwał, bo nie spracowałem się tak ciężko jak wy.

Pelias dowiedział się wkrótce, że *Argo* zawinęła do Metony, ale się tym nie turbował. Przypuszczał, że Argos chciał zabrać na pokład cały kram, jaki tam zostawił, gdy ścinał drzewo w okolicy. Potem

przybył posłaniec z Pelionu, donosząc o śmierci Chejrona, i Pelias nagle zaczął się trapić o syna, pełen obaw, czy centaurowie nie pomścili na nim rzezi, jaką urządził Herkules. Rozesłał

zwiadowców, z których jeden przyniósł od świniopasa w Metonie nowinę, że Peleus i Akastos wsiedli na pokład *Argo* i ze śmiechem odpłynęli. Gdy Pelias zrozumiał, jak go okpiono, wpadł w szewską pasję, stłukł posłańca prawie na śmierć, a potem chodził tam i z powrotem po sali jadalnej, warcząc jak dziki zwierz. Wreszcie złapał topór i wypadł z pałacu. W księżycowym blasku szedł

ulicą do domu Ajzona, powtarzając sobie na głos w rytm kroków:

– Twój okrutny i bezbożny syn wykradł mi księcia Akastosa, którego kocham ponad wszystko w świecie, wykradł zwołując go obietnicami sławy i skarbów. Jeśli się jaka krzywda stanie Akastosowi, nie licz, bracie Ajzonie, że pożyjesz długo.

Była północ, drzwi zaryglowane, zamknięte okiennice, ale Pelias siekierą utorował sobie drogę. Zaskoczył Ajzona i Alkimedę na wewnętrznym dziedzińcu domu, gdzie przy świetle pochodni składali dziewiczej bogini Persefonie bezołtarzową ofiarę.

Pelias stał i patrzył osłupiały, bo Ajzon krzątał się żwawo jak młodzieniec.

Trzymanym właśnie toporem rzeźniczym przecinał gardziel wystraszonego czarnego byka o rogach opasanych granatową jak noc wstęgą, którego łeb ocieniały gałązki cisu. Krew tryskała do kamiennej niecki, zaś pochylona nad nią Alkimededa poruszała dłońmi mamrocząc. Żadne z nich nie usłyszało hałaśliwego wejścia Peliasa: byli nazbyt zajęci trudnym zadaniem zabicia byka, który mimo kółka w nozdrzach opierał się ich usiłowaniom, by go podprowadzić do niecki.

Teraz Ajzon uroczyście zwrócił się do Persefony, by zezwoliła duchowi jego ojca, Kreteusa Miniwczyka, wynurzyć się ze świata podziemi, napić pożywej ciepłej krwi, a następnie przepowiedzieć prawdziwie, jaki los spotka Jazona z towarzyszami w drodze do Kolchidy. Na oczach Peliasa u płytszego krańca niecki zaczął się zbierać lekki obłoczek niby mgła, co niekiedy zasnuwa wzrok chorego. Stopniowo gęstniał, aż nabierając różowej barwy, ukształtował się w pochyloną głowę Kreteusa, klaszczącego językiem i popiskującego z ukontentowania.

Pelias ściągnął sandał i cisnął nim w ducha, aby zapobiec przepowiedni. Ten szczeł natychmiast, blednąc w miarę oddalania – czar prysł. Pelias zdjął hełm i wręczył Ajzonowi, mówiąc:

– Zanurz go w głębszym krańcu niecki, zdrajco, zaczerpnij ciepłej krwi i wypij!

– A jeśli odmówię, bracie? – zapytał Ajzon.

– Jeśli odmówisz, tym toporem porąbię na kawałki ciebie i twoją żonę i rozsypię kości po Pelionie, tak że wasze duchy nigdy nie zazną spoczynku, bo grobowcem będą wam trzewia lampartów, wilków i szczurów.

– Czemu mi wydajesz ten bezbożny rozkaz? – spytał Ajzon, drżąc tak, że ledwie się mógł utrzymać na nogach.

– Boś mnie zwodził przez dwadzieścia lat – odrzekł Pelias. – Po pierwsze –

udając, że jesteś zniedołężniały, abym się ciebie nie bał. Po drugie – tając przede mną ocalenie twego bachora Diomedesa, czyli Jazona. Wreszcie spiskując z nim na zgubę mojego biednego szalonego syna Akastosa. Pij, pij, mówię, albo porąbię cię na drzazgi jak suchą kłodę sosnową.

– Wypiję – powiedział Ajzon. – Zostaw mi jednak przedtem trochę czasu na powtórzenie czarów, które wskrzesiły mego szlachetnego ojca Kreteusa, tak by mógł powrócić bezpiecznie do swego podziemnego domostwa.

Pelias przystał na to. Ajzon poprawnie powtórzył zaklęcia, choć głos mu się załamał, a później zaczerpnął gęstej byczej krwi, zanurzając w niej hełm. Wypił, zakrztusił się i umarł. Zarazem Alkimeda poderznęła sobie gardło nożem ofiarnym.

I tak trzy cienie, ojciec, syn i synowa, ręka w rękę zstąpiły do świata podziemi.

Pierwej jednak Alkimeda prysnęła bluzgającą krwią na szatę Peliasa i wzrokiem rzuciła klątwę, która nie mogła przejść przez bulgoczącą krtań.

Pelias sprawił im przyzwoity pogrzeb i wieszował sobie, że zginęli z własnej, a nie jego ręki. Spalił zakrwawioną szatę i oczyścił się w świątyni Posejdona, gdzie kapłani nałożyli nań jedynie lekką pokutę.

**PRZEZ ATOS KU LEMNOS**

W Kastanai spędzili Argonauci dzień jeden i noc, trawiając mile czas na rybołówstwie, polowaniu i zabawie, nie oddalali się jednak zbyt od okrętu, tak by w razie nagłej zmiany wiatru być w pogotowiu do podjęcia podróży.

Wygodnicki Augiasz z Elidy, który miał pęcherze na rękach i pośladki obolałe od wiosłowania, nalegał, by na przyszłość używano wiosł tylko w ostateczności i aby nie przedłużać dziennego kursu, aż stanie się uciążliwy. Tyfis i Ankajos pokiwali na to głowami, a stary Nauplios rzekł:

– Kolchida leży bardzo daleko, królu Augiaszu, i musimy być z powrotem przed końcem lata, jeśli chcemy uniknąć rozbicia na tym właśnie skalistym wybrzeżu.

Pasterze nie odważyli się wrócić. Gdy wreszcie nadeszła pora, by podnieść kotwicę, Jazon pozostawił rysunek, roboty Ifitosa z Fokidy, który miał im wszystko wytłumaczyć. Biegle wykonany węglem drzewnym na gładkim kamieniu obrazek przedstawiał ogromnego Herkulesa, z maczugą i lwią skórą, unoszącego tuzin małych owiec – zjedli ich co najmniej tuzin – oraz Jazona, z końską grzywą i ciałem cętkowanym jak lampart, zostawiającego w zamian doskonałą włócznię z brązu i dzbanek wina w jaskini pasterzy – jako wyrównanie długu. Na drugim planie widniała zakotwiczona *Argo*, zaś Argonautów wyobrażały rozmaite zwierzęta i ptaki, ich totemy. Jednakże rysunek okazał się niepojęty dla powracających pasterzy, którzy w popłochu porzucili te pastwiska przeświadczeni, że jakaś straszliwa klątwa zawisła nad ich głowami. Włócznia i dzban wina przez rok z górą pozostały w jaskini nietknięte.

Wczesnym rankiem następnego dnia rześka bryza powiała z południozachodu i Tyfis poradził Jazonowi zdać się na nią wzdłuż wybrzeża aż do poświęconej Apollinowi doliny Tempe, gdzie wpada do morza rzeka Penejos. Jazon się zgodził.

Wszyscy wrócili na pokład, drągami zepchnęli okręt, podnieśli żagiel i wkrótce znowu nabrali rozpędu. Fale gwałtownie uderzyły o burtę statku, skłaniając niektórych do mdłości lub wymiotów.

Brzeg był wysoki i urwisty. Niebawem od strony lądu wychynał stożkowaty wierzchołek Ossy i minęli osadę Eurymene, której mieszkańcy chwycili za broń w obawie wrogiego najazdu, ale spostrzegłszy omyłkę, pomachali im na pożegnanie. Gdy *Argo* okrążyła przylądek Ossy, wybrzeże przybrało wygląd niegościny; Tyfis zaczął opowieść o okrętach, jakie tu widział rozbite na skałach przez gwałtowne sztormy północno-wschodnie. Po chwili jednak łańcuch górski odsunął się w głąb, pozostawiając między sobą a morzem wąski spłacheć równiny zakończony piaszczystą plażą, co uśmierzało ich niepokój.

W południe osiągnęli ujście Penejosu, rzeki, której tylko górny bieg znał Jazon, która jest jednak najślawniejsza w Grecji i licznymi dopływami nawadnia całą żyzną Tesalię. Już mieli przybijać do brzegu, bo Idmon, Ifitos, Orfeusz, Mopsos i inni uparli się odwiedzić świątynię Apollina w Tempe i wziąć udział w obchodach święta myszy, gdy nagle wiatr się odwrócił i zadał od lądu. Argos i Tyfis skłonili zatem Jazona, żeby skorzystał z tej bryzy, daru swego przodka Ajolosa, i spieszył

prosto na wschód ku przylądkom Tracji. Przystał na to. Za nimi w głębi lądu olbrzymi Olimp błyszczał rozległą powierzchnią bladej nagiej skały, jak zawsze pokrytej czapą śniegową, strome zbocza miał przegowane ciemnymi, zadrzewionymi wąwozami.

– A ja wiem, jak bogowie i boginie spędzają tam czas – odezwał się Idas poważnie.

– No jak? – zapytał Koronos z Gyrtonu, prostoduszny Lapita.

– Rzucają w siebie śnieżkami! – wrzasnął Idas, rycząc ze śmiechu nad własnym dowcipem. Towarzysze zmarszczyli czoła na tę lekkomyślność. Majestat Olimpu nawet z odległości dziewięćdziesięciu stadiów wciąż napełniał ich dusze.

Zjedli posiłek złożony z koziego sera i placków jęczmiennych, popili to winem i zabijali czas, rozwiązując zagadki. Admetos wymyślił taką:

– Nigdy nie żył, aż umarłem ku czci siostry sługi mego pana; teraz z panem jadę na poszukiwanie swojego znakomitego przodka.

Atalanta odgadła: to był kołpak Admetosa, uszyty ze skórek jagniąt dobytých z łona kotnych owiec, które składał na ofiarę Artemidzie. Bo Artemis była siostrą Apollina, niegdyś sługi Adineta; a teraz kołpak jechał z właścicielem na poszukiwanie złotego runa.

Meleager zadał inną zagadkę: – Nigdy nie przebywam długo w gronie rodziny.

Nie znam własnej siły. Walę z nóg mężów niczym spróchniałe drzewa.

Dzieciństwo mi upłynęło wśród obcych. Czyż moja strzała chybia kiedy celu?

Ośmielam się samotnie wędrować w gromadzie nieprzyjaciół i nikt mi nie wejdzie w drogę, bo każdy się mnie boi.

– Herkules! – zawołali wszyscy na raz.

– Nie – oświadczył Meleager. – Zgadujcie jeszcze raz. – Kiedy wreszcie dali za wygraną, objaśnił: – Atalanta. Ona to nie zna siły swej piękności, co wali z nóg mężów niczym spróchniałe drzewa. Ona spędziła dzieciństwo wśród kapłanek Artemidy na górze Arakintos, tak właśnie jak Herkules wśród obcych w Tebach kadmejskich, i jak on rzadko odwiedza własną rodzinę. Kto widział kiedy, by jej strzała chybiła celu? Teraz ośmiela się wędrować z gromadą mężczyzn, którzy są przyrodzonymi wrogami kobiet, a żaden nie wejdzie jej w drogę.

Ściemniało się, ale okręt wciąż płynął bezszelestnie niby we śnie, kiedy zaś Tyfis znużył się sterowaniem. Mały Ankajos ujął rumpel. Godzina za godziną utrzymywał Gwiazdę Polarną nad lewym ramieniem, zaś Tyfis spał i spali wszyscy Argonauci z wyjątkiem Orfeusza. Wtedy Orfeusz zaśpiewał piosenkę, tylko dla Małego Ankajosa, pełną tak przeszywającej słodyczy, że ten nie zdołał

powstrzymać łez. I odtąd zawsze nocą, podczas spokojnej wachty pod czystymi gwiazdami, powracały do niego słowa i melodia.

*Na wpół uśpiona szepcze mi*

*Miłosne słowa*

*W godzinach cienia -*

*Jak ziemia, która zimą śpi,*

*A już się zazielenia,*

*Choć pada śnieg,*

*Choć pada gęsty śnieg.*

Ankajos znał imię kobiety z piosenki: to była Eurydyka, urocza żona Orfeusza, która przypadkiem nastąpiła na żmiję i zginęła od ukąszenia. Cała świetna muzyka płynąca z jego liry hiperborejskiej nie potrafiła jej ocalić. W udreće otrząsnął

z sandałów pył Grecji i udał się do Egiptu. Wróciwszy jednak równie nagle, jak wyjechał, żył od tej pory na dobrowolnym wygnaniu wśród dzikich Kikonów jako ich prawodawca, arbiter i ukochany przyjaciel.

Orfeusz jeszcze przez chwilę miękko prowadził melodię, gdy śpiew już zamarł.

Ankajos wyjrzał za lewą burtę, by sprawdzić, czy jest na kursie, i dostrzegł, jak mu się wydało, ciemne głowy ludzi płynących za nimi. Wychyliwszy się na prawo, zobaczył ich więcej. Przestraszony szepnął:

– Cyt, Orfeuszu, duchy podążają za nami!

Ale Orfeusz oświadczył, że nie ma się czego bać: to tylko foki, z daleka i z bliska zwabione jego muzyką.

Po chwili Ankajos dosłyszał głębokie westchnienie towarzysza i zapytał go:

– Czemu wzdychasz, Orfeuszu?

– Wzdycham ze znużenia.

– Śpij zatem – poradził Ankajos. – Ja sam będę czuwał. Śpij i wypoczywaj dobrze.

Orfeusz podziękował, rzekł jednak: – Nie, drogi Lilajczyku, mego znużenia sen nie uleczy; zdoła je usunąć tylko doskonały spoczynek.

– Skoro wypoczywać dobrze znaczy: spać, ale wypoczywać doskonale znaczy: umrzeć, czy pragniesz śmierci, Orfeuszu?

– Nie tyle śmierci – odparł. – Wszystkich nas porywa koło, od którego nie masz wyzwolenia jak tylko przez łaskę Matki. Koło nas unosi w życie, w światło dnia, i pogrąża z powrotem w śmierć, w ciemności nocy; lecz niebawem nowy dzień świta czerwono i znów się pojawiaemy, odradzamy. Człowiek nie odradza się w zwykłym swoim ciele, a w ciele ptaka, zwierzęcia, motyla, nietoperza

czy płaza zależnie od wyroku, jaki nań zapadł w podziemiach. Śmierć nie wyzwalała od koła, Ankajosie, dopóki nie wkroczy w to Matka. Wzdycham do doskonałego spoczynku, gdy weźmie mnie nareszcie w dobrotliwe objęcia.

Kiedy się rozwidniło, ujrzeli przed sobą jakoby wyspę. Orfeusz poznał w niej Pallene, podówczas zwany Flegrą, najbliższy i najżyźniejszy z trzech przylądków Pajonii, i rad był, że tak ściśle utrzymali kurs. Teraz obaj zbudzili Tyfisa, który z kolei objął ster, a Tyfis obudził Jazona do towarzystwa na wachcie. I kiedy wszyscy czterej jedli śniadanie złożone z jęczmiennego chleba, sera i wina, słońce najpiękniej wschodziło z morza, złocąc kędzierzawe chmurki, co się ścięgały po niebieskim niebie. Wiatr ochłódł. Sterowali prosto ku brzegowi niebaczni na mielizny czy skały, obserwując wyborne stada bydła i owiec, które pasły się bez dozoru tuż nad morzem.

– Nie lądujemy jeszcze – rzekł Tyfis. – Dalej znajdziemy równie zacie łupy.

Niech nasi przyjaciele pośpią. Śpiący nie czują głodu.

Płynęli, a słońce przygrzewało uspiomych i odbierało im chęć do wstawania.

Żeglowali wzdłuż wybrzeży pomiędzy przylądkami i dojrzeli góry oraz lesisty półwysep Sytonia zakończony pagórkami zwanymi Koźle Wzgórze. Teraz Mały Ankajos i Orfeusz poszli spać, ale Jazon zbudził pozostałych na śniadanie i przyglądał się trzeciemu cyplowi, Akte, co się właśnie wynurzył na północo-wschodzie. Jest on falisty i pokryty wąwozami, u jego wierzchołka zaś wznosi się góra Atos, wielki, biały ostrosłup w spódnicy ciemnych lasów. Tu postanowili wylądować, by nabrać wody i zażyć spaceru po stałym gruncie, nie mogli jednak liczyć na dłuższy pobyt, ponieważ Koronos, znawca pogody, zbadał niebo i zapowiedział, że wiatr nie utrzyma się długo.

Argonauci wciąż byli w świątecznym nastroju, bez troski o to, jakie próby i niebezpieczeństwa czekają ich po drodze. Jazon wezwał ich do zawodów, z dzbanem wina jako nagrodą: kto mu przyniesie największe żywe stworzenie, nim cień wbitego w ziemię pręta przewędruje od znaku do znaku. Gromada się rozbiegła, a gdy cień już prawie znaku dotykał, Jazon zadał w konchę i zwołał

wszystkich. Niektórzy byli zdania, że przez czas taki w ogóle się nie uda znaleźć coś dużego, pokazywali więc z dumą: jeden pisklę morskiego ptaka, porwane z gniazda na skale, drugi mysz, na którą nadepnął, ale jej nie zabił, jeszcze inny małego kraba z plaży. Atalanta jednak zdobyła zajęcia i właśnie go mierzyli i ważyli w zawody z piękną rybą złowioną przez Melampusa, gdy spoza wzgórze rozległ się donośny ryk i ujrzeli Herkulesa, spóźnionego po wygraną, jak zstępował

z góry z szamoczącym się, podrośniętym niedźwiadkiem w objęciach.

Herkules nierad był, że zawody już skończone. Okazał swoje niezadowolenie, rozbił bowiem o burtę czaszkę zwierzęcia i zjadł na surowo najdelikatniejsze kawałki, nie częstując ani kęskiem nikogo oprócz Hylasa. Resztki ścierwa wyrzucił

za burtę, gdy ruszali w drogę.

Wiatr nie zawiódł aż do zmroku. Potem spuszczone żagiel i poszły w ruch wiosła; pociągnęli tak



spory kawał, nim wreszcie na parę godzin powalili się spać.

Następnego dnia o brzasku osiągnęli Lemnos, dość niepozorną wyspę o niewysokim brzegu. Łatwo było odnaleźć główne miasto, Myrinę, jako że nadpływali od zachodu; Tyfis sterował według widocznej z daleka białej świątyni Hefajstosa na cyplu. Cypel ten sterczał z głębi lądu pomiędzy dwiema zatokami; Myrina, zwrócona ku północy i ku południowi, leżała na wąskim międzymorzu łączącym cypel z wybrzeżem. Tyfis wybrał zatokę południową, która nęci szeroką piaszczystą łąką w zakątku najbliższym miastu, przed sztormami zaś chronią ją mielizny, gdzie fala się łamie.

Gdy dziarsko podpłynęli do miasta, wytrzymując tempo nadane silnymi uderzeniami Herkulesa, Jazon rozkazał odłożyć wiosła. Uczynili to, rozpedzona *Argo* sunęła dalej, oni tymczasem widzieli hełmy, naciągnęli cięciwy łuków i chwycili za włócznie czy oszczepy. Okręt wpłynął na płytkie wody, stopniowo tracąc szybkość, a z bielonych domów runęła gromada zbrojnych, by im przeszkodzić w lądowaniu.

Jazon zwrócił się do Argonautów:

– W imię wszystkich bogów i bogiń zaklinam was, nie okazujcie śladu wrogości. Jeśli chcą, niech nas pierwsi zaatakują. Echionie, Echionie, nałóż szatę herolda i koronę, weź w dłoń różdżkę oliwną i zapewnij tych Lemnów o naszych pokojowych zamiarach.

Echion przywdział odznaki swego urzędu, podkasał szatę i, włącząc po kolana w wodę, pobrnął ku brzegowi z podniesioną gałązką oliwną.

Nagle Linkeus wrzasnął: – Na łapy i ogon rysia! Przysięgam, że to same kobiety!

– Klacze, źrebaki i ogiery! – zawtórował Eurydamas Dolopijczyk – Toż to baby, nie mężowie!

Wtedy ryknął Herkules: – Ho, ho, czyżby Amazonki przeniosły się na Lemnos?

Reszta także okrzykami wyrażała zdumienie.

Oto historia kobiet lemnijskich. Pierwotnie Lemnowie czcili kornie Trójboginię, mieli kolegium nimf i Maję, czyli najwyższą kapłankę, która ze swego domu na wzgórzu opodal Myriny rządziła całą wyspą. Nie mieli jednak instytucji małżeństwa. A potem spokój wyspy zakłóciła nowa olimpijska religia. Mężczyźni nabrali ochoty na rolę ojców i mężów, a tym samym na panowanie nad nimfami; jednak najwyższa kapłanka zagroziła im straszliwą karą, w razie gdyby chcieli porzucić dawne obyczaje. Udali posłuszeństwo, ale niebawem wszyscy wyprawili się cichaczem w czólnach rybackich i wieczorem przybili nieoczekiwanie do brzegów Tracji. Był to dzień, gdy, jak wiedzieli, młode dziewczęta z całej okolicy miały się zebrać na wysepce opodal brzegu i złożyć ofiary tamtejszemu herosowi pod nieobecność mężczyzn. Zaskoczyli dziewczyny, porwali je i wzięli za żony.

Przeprowadzili wszystko tak sprytnie, że Tracy doszli do wniosku, iż widocznie potwory morskie pożarły im kobiety, porwały je harpie lub pochłonęły ruchome piaski.

Lemnowie wrócili z żonami do Myriny i oświadczyli kobietom lemnijskim, że już ich nie potrzebują,

bo te nowe mogą same siać zboże, kapryfikować figi i troskliwie doglądać mężów. Przyjęli religię olimpijską i – jako biegli rzemieślnicy

– oddali się w opiekę boga-kowala Hefajstosa: Hefajstosa, co wprzód był tu czczony jako miejscowy heros, nie żaden bóg, teraz zaś go deifikowano w roli syna Hery i Zeusa. Jego przybytek, który Tyfis widział na przylądku, przemianowano na świątynię; zaczęto mu składać ofiary na wyniosłym ołtarzu, zamiast na palenisku ziemnym; kapłani-mężczyźni zastąpili kolegium nimf.

Jeden tylko mąż, dowódca wojskowy Toas, brat najwyższej kapłanki, nie chciał

się przyłączyć do tych zaprzańców; najwyższa kapłanka poleciła mu ostrzec ich przed gniewem Trójbogini. Obrzucili go nieczystościami i odesłali z oznajmieniem: „Kobiety lemnijskie, śmierdzące paskudnie, a dziewczyny trackie są niby róże”.

W Myrinie miał się odbyć wielki festyn ku czci Olimpijczyków. Gdy nadszedł

dzień uroczystości, najwyższa kapłanka rozesłała szpiegów, którzy jeszcze przed wieczorem donieśli, że mężczyźni leżą już na rynku pijani jak bele. Stało się więc, że kobiety, oszołomione zuciem liści bluszczu oraz tańcem nago w świetle księżyca, o brzasku pomknęły do Myriny i wymordowały wszystkich mężczyzn bez wyjątku, jak również wszystkie kobiety trackie. Co do dzieci, oszczędziły dziewczynki, poderżnęły jednak gardła chłopcom ku czci dziewicy bogini Persefony, a także z obawy, aby w przyszłości nie pokusili się o zemstę. Odbyło się to w ekstazie religijnej, po czym przybytkowi na cyplu przywrócono odwieczny rytuał.

Rankiem kobiety zlekły się własnych czynów, nie mogły jednak znów powołać do życia martwych mężczyzn, wśród których byli ich bracia, synowie, miłośnicy.

Sprawiły im przyzwoity pogrzeb i oczyściły się z winy najlepiej, jak umiały.

Bogini wydała wyrok, biorąc na siebie cały grzech i nakazując im weselić się i odtańczyć taniec zwycięstwa; co też uczyniły. Następnie rażno wzięły się do pracy wykonywanej zwykle przez mężczyzn, poza wypalaniem garnków, płatnerstwem oraz wyrobem narzędzi, na czym się nie rozumiały. Zdołały łowić dostateczną na swoje potrzeby ilość ryb, orać i bronować. Ćwiczyły się także we władaniu oszczepem i mieczem w obawie najazdu Traków.

Córka najwyższej kapłanki, nimfa-kukułka Hypsipyle, uknuła cały spisek według wskazówek matki. Ona także znalazła sposób ocalenia Toasa od zguby, ponieważ był bratem jej matki, bardzo oddanym bogini. Potem puściła go na morze w łódce bez wiosł, nie chcąc zabijać na miejscu, nie ośmielając się jednak powiedzieć kobietom, co uczyniła, ze względu na jednomyślnie podjętą decyzję, aby ani jednego mężczyzny nie zachowywać przy życiu.

Hypsipyle była ciemnooką, przystojną niewiastą i inne kobiety wielce ją poważały. Przez kilka miesięcy przed przybyciem *Argo* coraz bardziej ją martwiła przyszłość wyspy, ponieważ wszystkie kobiety najwyraźniej łaknęły widoku i zapachu mężczyzny. Z braku kochanków popadały w niezdrową namiętność do siebie nawzajem, tęskniły do macierzyństwa, zachowywały się niespokojnie i histerycznie. Hypsipyle trapiła się również o żniwa, nie dopełniono przy siewie

jęczmienia użyźniającego aktu miłosnego z Lemnami. Nie mogła już teraz liczyć na wskazania swej świątobliwej matki, sparaliżowanej i pozbawionej mowy: bardzo złowróżbny wypadek. Jednakże we śnie bogini poradziła Hypsipyle zachować cierpliwość, bo wszystko się dobrze skończy.

Na widok *Argo* Hypsipyle sądziła oczywiście, że to okręt tracki, i wezwała towarzyszek do broni; skoro jednak dostrzegła głowę barana, znak Minijczyków, poczuła się nieco pewniej.

## WYSPA KOBIEC

Hypsipyle przyjęła Echiona w dawnej męskiej sali obrad. Pozwolił jej mniemać, że *Argo* zmierza do Tracji w celach handlowych, i opowiedział, że Jazon Minijczyk, kapitan, zawinął do Myriny po prostu po żywność, napitek i dla odpoczynku. Hypsipyle zapytała, pod czyimi auspicjami podjęto wyprawę. –

Zeusa, Posejdona, Apollina, Ateny, Artemidy – oświadczył. Gdy jednak odparła raczej chłodnym tonem, że to pięknie, był dość bystry, by dodać: – Ponadto zaś darzy nas przychylnością Trójbogini. – Mówiąc to, dostrzegł, że twarz jej się rozjaśnia.

Ponieważ Echion nie zadawał kłopotliwych pytań na temat nieobecności mężczyzn na ulicach i w sali obrad, Hypsipyle w rozmowie uprzejmie mu wyjaśniła, że wszyscy mężczyźni w Lemnos wyruszyli do Tracji na wyprawę wojenną, jej Rada przeto musi teraz rozważać, czy jest wskazane, pod ich nieobecność, pozwalać mężczyznom innego plemienia, by lądowali na wyspie. Ma nadzieję, że Jazon zachowa cierpliwość przez godzinę czy dwie, nim Rada poweźmie decyzję. Na razie zaś ofiaruje mu dzban miodu jako zadatek przyjaźni.

Echion w szacie herolda przedstawiał się okazale; w dłoni piastował różdżkę oliwną z dwoma pączkami na końcu okręconymi na krzyż i związanymi białą wełną, jakby to było berło. Gdy wychodził z sali, a za nim szczupła dziewczyna ugięta pod ciężarem ogromnego dzbana miodu, wiele kobiet nie mogło się powstrzymać od pieszczotliwego pogłaskania jego ramion i barków. Uśmiechem kwitował te czułości, co coraz bardziej rozzuchwalało kobiety, aż Hypsipyle przywołała je do porządku i napomniała, że osoba herolda jest święta i nie może go spotkać gwałt żadnego rodzaju.

Echion wrócił na okręt i wszystko powtórzył z kostycznymi komentarzami na temat dziwnie nieopanowanych zapałów kobiet lemnijskich, a Bootes częstował

towarzyszy miodem. Po chwili się odezwał:

– W każdym razie niezły miód. Głównie wrzos, trochę tymianku... rozmaryn?

Tak, rozmaryn... i odrobina cyklamenu. Jak na zwykły miód wyspiarski, muszę przyznać, że jest doprawdy niezgorszy. Miód attycki ma oczywiście smak bardziej wyszukany, ponieważ harmonia jego składników jest pełniejsza: podobnie melodia pięknie wykonana na siedmiostrunnej cytrze dźwięczy milej dla ucha niż melodia równie pięknie zagrana na trzystrunnej lirze. Gdybym jednak miał rozstrzygać pomiędzy pieśnią dobrze wykonaną na trzech strunach i pieśnią źle graną na siedmiu, odpowiedziałbym: „Zwyciężyły trzy”. Miód lemnijski sięga wyżyn doskonałości w porównaniu z tym czymś, co Pelias podawał nam w Jolkos, chełpiąc się, że to czysty miód głogowy.

Głogowy, akurat! Mniejsza już, że gotowana baranina z jęczmieniem pachniała czosnkiem, ale, na sowę Ateny, prawo gościnności nakazuje trzymać takie rzeczy z dala od dzban z miodem. Jednak może to niewdzięczność z mojej strony ganić naszego królewskiego gospodarza i głupota czynić to wobec jego syna, siostrzeńca oraz zięcia, znamienitych mężów.

Niech przeto najwyższy gospodarz dźwiga cały ciężar mego oskarżenia. Chciałbym tylko rzec, że jeśli powaby Lemnos są równie proste a wyborne jak ten miód, pilno mi już wysiadać na brzeg.

Rada Hypsipyle była w rozterce pomiędzy podjętą dawniej uchwałą, by nie zaufać nigdy mężczyznom i nie wpuszczać ich na wyspę, a pasją miłosną, co je wszystkie ogarnęła na widok Echiona. Hypsipyle zwróciła się do nich:

– Najmilsze siostry, ciotki, siostrzenice, krewniaczki i ty, Ifinoe, moja córeczko, posłuchajcie cierpliwie, jeśli łaska, i doradźcie mi. Ci Minijczycy, jeśli ich herold nie kłamie (a wątpię, czyby się ośmielił łąć, powołując się na tyłu bogów i bogiń i na samą Wielką Matkę), mają zamiary pokojowe i z pewnością zadowolą ich podarki złożone z wina, miodu, jęczmiennego chleba, sera i smacznej lemnijskiej baraniny. Wysiądą na krótko, żeby rozprostować nogi – trzymając się na naszą prośbę z dala od domów Myriny – a potem popłyną sobie na Imbros, następny etap podróży do Tracji. Dodam jeszcze, że budowa ich okrętu nasuwa myśl o wojnie raczej niż o handlu. Wygląda na to, że ich sprawy w Tracji mają nieco piracki charakter nie turbujmy się tym jednak. Daleko Trakom do tego, aby byli naszymi sprzymierzeńcami. Leży w naszej mocy utrzymać Minijczyków na odległość ramienia, bo jesteśmy od nich liczniejsi i w bitwie dałybyśmy się im we znaki.

Ich herold, jak mi się zdaje, wziął za dobrą monetę historyjkę o naszych mężczyznach uwięzionych w Tracji; jeśli więc podarki im się spodobają, będą się wahali, czy nas napastować, ze strachu przed możliwą zemstą. Dać im jednak pełną swobodę w mieście byłoby niebezpieczne, bo któraś na pewno okaże się niedyskretna i wypaple, co się naprawdę zdarzyło w tamtą krwawą noc. Wówczas choćby ci Minijczycy sami nas nie potępili, opowieść o strasznym czynie wkrótce obiegnie całą Grecję. Gdyby dotarła do Traków, gotowi tu natychmiast przybyć, by pomścić na nas śmierć swoich córek.

Po chwili przemówiła Ifinoe:

– Matko, kiedy już oddałam dzban miodu mężczyznom na okręcie i oddaliłam się, podpełzłam z powrotem przez parów i ukryłam się za skałą, by podsłuchać, co mówią. Wiatr od morza niósł do mnie słowa wyraźnie. Jeden z tych ludzi, którego nazywają Ankajos, rzekł: „Czyżby istotnie tak było? Zatem wszystko, co mi opowiadał Toas, to jednak prawda, nie bajka!” Ktoś go spytał: „Kim jest Toas i co mówił?” Odparł mu: „Toas to stary Lemn, którego płynąc z Samos do Jolkos, znalazłem unoszonego przez fale w czólnie bez steru i wysadziłem na ląd na wysepce Sikinos opodal Naksos. Był obłąkany z pragnienia i głodu i utrzymywał, że kobiety na Lemnos wymordowały wszystkich mężczyzn oprócz niego i w łodzi puściły go na morze. Ubrał tę historię w mnóstwo innych szczegółów, już jawnie nieprawdziwych, na przykład, że pod ławeczką sternika znalazł w pudle małe pólko jęczmienia i parę dojnych owiec, w co ani ja, ani moi towarzysze na pewno nie mogliśmy uwierzyć”. Tak więc, matko, nie widzę powodu, by trzymać z dala tych pięknych żeglarzy, skoro już wiedzą najgorsze. A jeszcze chcę wam powiedzieć: ten wysoki kapitan, ze splecionymi jasnymi włosami, który nosi chiton z cętkowanej skóry, jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam.

Na chwilę zapadła cisza. Potem wstała drżąca starucha, niegdyś mamka Hypsipyle.

– Miłe moje, jestem starą kobietą, daleką już od spraw macierzyńskich, zbyt żółtą, pomarszczoną i chudą dla męskiej uciechy. Cokolwiek tedy powiem, powiem bezinteresownie. Jestem przekonana, że postąpiłyśmy słusznie, zabijając naszych mężczyzn i ich żony: było naszym obowiązkiem pomścić honor bogini. Czyn ten naprawił błąd popełniony w ostatnich latach: gdy bowiem moja matka była młodą dziewczyną, zuchwalstwu mężczyzn zapobiegało się, łamiąc każdemu za młodu nogę ku czci chromego bohatera Hefajstosa. To im nie pozwalało równać się z nami w bitwie czy łowach i kazało poprzestać na pługu, łodzi i kowadle.

Zarzuciwszy ten znakomity obyczaj z nierozsądnej, moim zdaniem, litości, odłożyłyśmy na bok oszczepy. Jestem również przekonana, że postąpiłyśmy słusznie, zabijając dzieci płci męskiej: zachować je znaczyłoby hodować żmiję na własnej piersi. Wydaje mi się jednak po dojrzałym namyśle, że zakazać w ogóle mężczyznom wstępu na wyspę to posunięcie niedopuszczalnie wobec nas samych złośliwe. Zastanówcie się, moje drogie: jeśli byście nawet zdołały obronić Lemnos przed wszelkimi przybyszami, jakaż starość was czeka? Gdy my, stare, wymrzemy po trochu i wam, młódkom, przyjdzie zająć nasze miejsce u ogniska, jak sobie dacie radę? Może rozumne woły same zaprzęgną się w jarzmo i zaorzą pola? Może pilne osły wezmą się w czas żniw do sierpa i zbiorą dla was plony? Może chętne ryby same będą z wody wyskakiwać na patelnię? Co do mnie, obmierzła mi jest myśl, że umrę i pogrzebią mnie, zanim znowu nacieszę ucho donośnym wrzaskiem krzepkich chłopaczków bawiących się w piratów na dziedzińcu; teraz słyszę tylko marudne popłakiwanie dziewczynek, które się podstępnie szczypią i drapią nawzajem, i szepczą sobie po kątach błahe sekrety.

Bądźcie znów kobietami, ślicznotki z Lemnos, wybierzcie kochanków spośród tych przystojnych żeglarzy, ufnie uciekając się pod obronę ich sławy (bo zdaje się, że jest między nimi paru szlachetnych książąt), i dajcie początek szlachetniejszej niż poprzednia rasie Lemnów.

Westchnienie ulgi i burzliwy poklask zagłuszyły ostatnie słowa staruszki.

Ifinoe, tańcząc z niecierpliwości, wykrzyknęła:

– Matko, matko, czy mogę zaraz iść i sprowadzić tu tych cudnych żeglarzy?

Hypsipyle pozostawiła odpowiedź Radzie, a ta wyraziła zgodę bez jednego nawet głosu sprzeciwu; choć niektóre kobiety podejrzewały Hypsipyle o przemycenie Toasa poza obręb wyspy, były teraz zbyt radośnie podniecone, by ją oskarżać o przestępstwo. Wysłano więc Ifinoe. Zbiegła pędem na brzeg i zawołała:

– Mili żeglarze, zapraszamy was wszystkich, wyjdźcie na ląd i rozprostujcie nogi. Moja matka, królowa Hypsipyle, przyrzekła wam pobyt tak miły jak we własnym domu u boku małżonek, do których na pewno tęsknicie.

Argonauci wrzasnęli z uciechy i zaczęli posyłać jej pocałunki, a Idas roześmiał

się grubo i szturchnął w żebra swego sąsiada Argosa, mówiąc:

– Hej, Argosie, a co z twoją kulawą nogą? Może byś też spróbował wyjść na brzeg, żeby ją wyprostować?

W radosnym zgiełku, co powitał ten wybryk, Jazon rozkazał przybić do brzegu.

Wszyscy nacisnęli na wiosła i po chwili długi kil z sykiem zaorał się w piasek.

Odłożyli wiosła, bacząc, żeby z gorliwości nie palnąć sąsiada po głowie; następnie wygramolili się za burtę i uwieszeni na piórach wioseł wyciągnęli *Argo* do połowy z wody. Herkules zarzucił kamienie kotwiczne.

Bystre oczy Ifinoe szukały w gromadzie ładnego chłopca, którego by mogła wybrać dla siebie (była już bowiem w wieku odpowiednim do miłości), i spoczęły na Hylasie. Uśmiechnęła się doń znacząco; zarumienił się i odpowiedział

wstydliwym uśmiechem.

– Prowadź nas, drogie dziecko! – zawołał Jazon do Ifinoe. – Idziemy z tobą jak jeden mąż.

Rozplótł swą długą grzywę i wziął w rękę oszczep, który w Metonie – jako wodzowi – ofiarowała mu Atalanta w zakład wierności: miał on żelazną głowicę, a rękojeść ozdobioną trzema cienkimi prążkami złota. Włożył do tego swój najlepszy płaszcz barwiony morską purpurą; wyhaftowano na nim obrazki, które zawierały historię o utraconym runie, choć nikt nie obeznany z prawidłami sztuki nie zdołałby pojąć ich znaczenia. Pierwszy na przykład wizerunek wyobrażał

Fryksosa i Helle lecących przez powietrze na grzbiecie złotego barana, przy czym Helle stacza się w objęcia Trytonów i nereid, matka Nefele, przedstawiona w kształcie obłoku, pogania dzieci naprzód, powiewając szatą, zaś Trójbogini, w postaci trzech pięknych kobiet w uścisku, depcze obalonego Atamasa, ich ojca.

Baran wydawał się mówić coś przez ramię do Fryksosa. Sęp wyszarpywał wątrobę komuś, kogo każdy by uznał za Prometeusza z racji krzesiwa w rękę i ośnieżonej góry; miał to być jednak Fryksos wiele lat po przybyciu do Kolchidy. Krzesiwo odnosiło się do ofiarowania runa przybytkowi Prometeusza, a sęp znaczył, że Fryksosa ominął przyzwoity pogrzeb. Portret samego Jazona, który wywija włócznią w jaskini Chejrona, półkonia półczłowieka grającego na piszczałce, był

równie zagadkowy: Jazon wydawał się karzełkiem napastowanym przez potwora z trąbą.

Pozostali Argonauci także się wystroili i wymuskali, a doprawdy wyglądali razem bardzo pięknie. Jazon spytał:

– Kto będzie pilnował okrętu przed zdradą? Ty, Melampusie? Ty, Mały Ankajosie?

Obaj byli gotowi zostać, choć bez zapału, gdy Herkules nieoczekiwanie oświadczył:

– Idźcie, idźcie! Ja tu posiedzę z Hylasem. Jest za młody na takie wycieczki.

Jeśli bym go zostawił w towarzystwie tej tam gorącej kurewki, uwiedzie go równie szybko, jak masło topi się w słońcu.

Wzrok Hylasa powlokła chmura urazy. Poprosił:

– O Herkulesie, pozwól mi iść! Nic mi się nie stanie. Wiesz, że jestem już prawie mężczyzną!

Atalanta, która miała miękkie serce, rzekła:

– Ależ puść go, Herkulesie, i idź sam. Ja obejmę wachtę. Właściwie miałam ochotę pogadać z tymi ślicznymi Lemnijkami i raz przynajmniej zjeść smacznie przyrządzony posiłek. Ale równie dobrze mogę zostać: nie wolno mi brać udziału w uciechach miłosnych, które pewno nastąpią po uczcie, i tylko będę wszystkim stała na zawadzie. Więc idź, Herkulesie; najlepiej ustrzeżesz Hylasa od krzywdy, świecąc mu cnotliwym przykładem.

– Jedna kobieta – przerwał Jazon – to za mało, żeby upilnować *Argo*. Atalanta powściągnęła gniew.  
– Meleager może zostać ze mną, jeśli ma ochotę – rzekła.

Herkules roześmiał jej się w twarz: – Kochasz Meleagra i z zazdrości nie chcesz, żeby się przespał z jakąś Lemnijką. Wolisz go zachować dla siebie. Ale was nie zostawię samych. To by było tyle, co dopraszać się kłopotu. Ty nie ufasz Meleagrowi, kiedy jest z dala od ciebie, a ja nie ufam mu, kiedy jest przy tobie, z obawy, że zmartwisz swoją panią Artemidę, ustępując jego naleganiom. Nie, nie!

Hylas i ja zostaniemy tutaj, prawda, mój kochaneczku?

Złapał Hylasa w niedźwiedzie objęcia i tulił poty, aż Hylas pisnął:

– Dobrze, dobrze, Herkulesie! Puść mnie już! Zrobię wszystko, co chcesz.

Tylko mnie puść!

– Pięknie – rzekła Atalanta. – Róbcie, jak wam się podoba.

Meleager pozostał nieco w tyle i szepnął jej:

– Najmilsza, spróbujmy jeszcze raz dogadać się z Herkulesem. Ofiarujmy się popilnować Hylasa, a on sam niech idzie ze wszystkimi na ucztę, której mu pewno przykro się wyrzekać. Nic nie zdoła bardziej ucieszyć Hylasa niż parę godzin bez towarzystwa przybranego ojca. A skoro Hylas zostanie jako poręczyciel naszej niewinności, Herkules nie może się sprzeciwić, żebyśmy przebywali razem.

Atalanta skinęła głową i Meleager zawrócił z nową propozycją. Ale Herkules pogroził mu palcem.

– Nie, nie! – wrzasnął. – Przejrzałem twój podstęp. Chcesz się kochać z Atalantą pod pozorem, że strzeżesz okrętu i oddajesz mi przysługę; a jak się tylko odwrócę, popchniesz Hylasa w ramiona Ifinoe i potem będziesz twierdził, że był

z wami przez cały czas. Nie, nie, zostaję tutaj, rozumiesz? Nie mam szczególnej ochoty iść do

Myriny, nie jestem taki zapalony kochanek, jak by się zdawało sądzić z wielkiej liczby kobiet, z którymi robiłem te rzeczy... Hej ho! Raz za razem to samo psie szczęście. Ona zawsze chce od mnie syna, tak wysokiego i silnego jak ja, ja zawsze chcę mieć z nią córkę, taką zgrabną i śliczną jak mama. I stale chybiam, a ona zwycięża. Sądzę, że musiała tu zawinić złośliwość Hery – pomyśl tylko: dwustu czy trzystu synów i ani jednej córki! Na święte węże, czyś kiedy słyszał coś podobnego? Mam dość rozsądku, żeby zrezygnować z tych zawodów... Ale o czym to mówiliśmy przed chwilą?

– Meleager i ja – odparła krótko Atalanta – proponowaliśmy, że będziemy pilnować okrętu i opiekować się Hylasem, kiedy ty pójdziesz do Myriny.

Odmówiłeś. Chodź, Meleagerze!

Kiedy oddalili się oboje, Herkules rzekł do Hylasa:

– Cóż za paskudny charakter ma ta dziewczucha! Ale nie gorszy, zdaje się, niż większość kobiet. No, to teraz, złotko, jesteś bezpieczny od tej pożądlivej małej Lemnijki, bezpieczny przy swoim drogim, oddanym Herkulesie. Jestem trochę głodny. Może byśmy zjedli coś dobrego?

Hylas zawołał za odchodzącą Atalantą:

– Powiedz Ifinoe, że będzie bardzo miła, jeżeli zechce przynieść memu przybranemu ojcu coś dobrego do jedzenia. Powiedz, że go powinien zadowolić pieczony baran w całości i trzygalonowy dzban wina.

Ifinoe wprowadziła Jazona i pozostałych Argonautów, dwójkami, w bramę miasta. Kobiety podniosły wielki krzyk podziwu i zachęty. Ale Długi Ankajos podał cicho wzdłuż kolumny:

– Patrzeć przed siebie, nie wypuszczać oręża z garści.

Doszli do sali obrad, gdzie zbrojne dziewczyny otwały dwuskrzydłowe drzwi ozdobione lwimi głowami z brązu i poprosiły ich, aby zasiedli na ławach; gdyby zaś który chciał zadośćuczynić naturalnej potrzebie – w końcu korytarza znajduje się ubikacja z sedesami w stylu kreteńskim, splukiwanymi wodą ze zbiornika na dachu, oraz z pękiem gęsich piór zawieszonych na ścianie przy każdym sedesie.

Teraz Jazon stanął przed obliczem Hypsipyle. Siedział w pięknie urządzonej komnacie na piętrze, z oknem na południe. Był to prywatny apartament kreteńskiego namiestnika, zanim Tezeusz złupił Knossos i zanim zbuntowały się wszystkie kreteńskie kolonie, między innymi Lemnos. Na ścianach wymalowano freski przedstawiające lwa Rei, jak rozrywa w strzępy jej nagich nieprzyjaciół; chłopców, co jadą na grzbietach delfinów, oraz dwie damy, gdy wręczają sobie nawzajem wiązanki kwiatów na placu targowym w Knossos.

Jazon pozdrowił Hypsipyle z głębokim uszanowaniem:

– Piękna królowo, słyszałem już o waszych niedolach od Toasa, rodem z Lemnos, którego jeden z moich towarzyszy ocalił z czółna bez wiosł niedaleko Naksos. Opowiadał on, że tak długo cierpiełyście udręki od waszych mężczyzn, aż zaszła przykra konieczność zabicia większości z nich...



Hypsipyle odparła ostrożnie: – Cieszy mnie, że szlachetny Toas, brat mojej matki, żyje jeszcze, choć nie mogę pojąć, w jaki sposób go zniosło w pobliże Naksos. Kiedy go ostatni raz widziałam, nie był całkiem zdrowy na umyśle i nie bardzo rozumiał, co się dokoła niego dzieje. Prawda tak się przedstawia, że rok temu, gdy się zaczął sezon żeglarski, nasi mężczyźni zamiast łowić ryby w zwykły pokojowy sposób, zaczęli najeżdżać wybrzeża trackie, przywożąc nam w podarku bydło i owce. My, kobiety, nie życzyłyśmy sobie, by nas wplątano w wojnę z Trakami, moja matka, najwyższa kapłanka, prosiła ich więc, żeby tego zaniechali.

Tłumaczyli się, że z rybami teraz skąpo, a zresztą nie są tak smaczne jak wołowina czy baranina. Matka odparła, że mają zaprzestać najazdów, w przeciwnym razie pozbawi ich naszej obrzędowej miłości podczas festynów ku czci bogini. Sama bogini podsunęła jej taką odpowiedź. Zuchwale oświadczyli matce, że to nie jej sprawa, dokąd się udają, i popłynęli do Tracji, gdy tylko powiał wiatr południowy.

Spotkali tam gromadę trackich dziewcząt, co z dala od mężczyzn święciły uroczystość miesięcznego nowiu. Porwali je i wzięli za żony wbrew obyczajom tej wyspy, gdzie małżeństwo dotąd było nie znane, a nam, nimfom, oświadczyli:

„Niech was kruki rozdziobią”.

Moja matka namawiała, żeby wrócili do rozsądku i oddali dziewczyny nieszczęśliwym matkom, ale nie! Odpowiedzieli, że my, nimfy, cuchniemy i że nas więcej nie potrzebują. Co gorsza, siłą usunęli prastary czarny posąg bogini z jej świątyni bez dachu niedaleko stąd i zastąpili go jednym z bogów-kowali, których porobili sami. Nie mamy nic przeciwko bogu-kowalowi, choć wolimy go raczej zwać herosem niż bóstwem, czemu jednak dla niego wyganiać Odwieczną? Cóż, pewnej nocy, kiedy leżeli na ulicach bezwstydnie pijani, bogini natchnęła nas straceńczą odwagą: miałyśmy napaść miasto i rozbroić ich, grożąc śmiercią, jeśli na zawsze nie opuszczą wyspy. Walczyłyśmy i zwyciężyłyśmy. Zdani na naszą łaskę zgodzili się odpłynąć wraz z żonami, ale tylko pod warunkiem, że oddamy im całe męskie potomstwo; powiedzieli, że dziewczynki możemy sobie zatrzymać.

Przystaliśmy na ten warunek, musieli jednak odpłynąć bez oręża i zbroi, bośmy im nie ufały, czy nie wrócą w nocy i nas nie zaatakują. To było prawie rok temu i od tej pory nic nie słyszeliśmy o nich. Toas pewnej nocy podążył za nimi łódką: tęsknił do mężczyzn i nie mogliśmy go namówić, by został. Później moją córkę Ifinoe nawiedził wyrazisty sen, w którym ujrzała naszych mężczyzn przybijających do brzegu opodal ujścia rzeki trackiej; gniewni Tracy natarli z punktu i rozsiekali ich na strzępy. Jesteśmy więc może, niestety, odpowiedzialnie za ich śmierć, jak utrzymywał Toas. Któż wie?

Hypsipyle westchnęła głęboko i zaczęła płakać. Jazon na pociechę ucałował jej dłoń, a ona przyciągnęła go bliżej. Pocałował ją więc w szyję zamiast w rękę, szepcząc, że mu jej żal. Odsunęła go delikatnie, łkając:

– Nie całuj mnie z litości, panie! O wiele bardziej wolę być całowana z miłości niż ze współczucia. I, o Jazonie, będę z tobą szczerą: trapię się ogromnie o zbiór jęczmienia. Ziarno zostało zasiane bez zwykłych obrzędów użyźniających, a choć zarówno jęczmień, jak proso wzeszły bardzo gęste i

zielone, bośmy zrobiły, co w naszej mocy, ofiarując koźleta oraz baranki matce i odmawiając zwykłe modły –

cóż będzie, jeśli się okaże, że to wszystko słoma? Zginiemy z głodu.

– Czy jest już za późno – spytał Jazon – by uratować zbiory prosa i jęczmienia za pomocą obrzędów miłosnych, które, jak mi się zdaje, zwykle stosujecie? Nie sądzę, by tak było, a moi towarzysze z pewnością tak samo jak ja...

Jesteś niezwykle szlachetnym i pobożnym człowiekiem! – zawołała Hypsipyle.

– Chodź, nie lękaj się pocałować mnie w usta. Wiesz? Wyglądałam przez okno, kiedy nadchodziłeś ulicą na czele wspaniałej drużyny, i zapytałam sama siebie:

„Co on najbardziej przypomina?”

– Co najbardziej przypominam, miła? – zapytał Jazon, ściskając jej gładkie ramię.

– Jasną gwiazdę – odrzekła Hypsipyle – jaką dziewczyna w oknie śledzi, wschodzącą o północy z morza... dziewczyna, która następnego dnia ma być wprowadzona w tajniki dojrzałości i ledwie może spać z oczekiwania.

– Czy doprawdy taki ci się wydałem? – odezwał się Jazon. – Pozwól powiedzieć sobie w zamian, że twoje czyste czarne oczy są niby dwa nadmorskie jeziora, w których nocą pobłyskują gwiazdy.

– I nie cuchnę? – spytała Hypsipyle, a wargi jej zadrżały. – Oni mówili, że nasze ciała cuchną.

– Jesteś cała fiołkiem i różą, a oddech masz równie słodki jak święta jałowica Hery! – wykrzyknął Jazon dwornie. – Gdy tylko wzrok mój spoczął na tobie, moje serce zatańczyło złościście. Pamiętasz, jak na pobielanym stropie komnaty (takiej jak ta) drga promień słoneczny rzucony z dziedzińca przez sadzawkę pełną zwierciadlanej wody, której powierzchnię marszczy wiatr? Tak właśnie tańczyło moje serce i tak tańczy w tej chwili.

Obok miejsca, gdzie siedzieli, alkowa tworzyła małą kapliczkę Naszej Pani z Myriny, jak tu nazywano boginię matkę. Pogodna, otulona w błękit figurka z polewanej gliny uśmiechała się łaskawie do pyzatego dziecięcia Dzagreusa u swoich stóp – jego, któremu przeznaczono zginąć marnie dla dobra ludzi –

a z tyłu wznosił się nieozdobny, przysadzisty krzyż wykuty z białego marmuru, z podwójnym wgłębieniem w podstawie przeznaczonym na drobne datki z owoców i orzechów. Hypsipyle posypała stół, na którym stał posążek, warstwą morskiego piasku i muszelek, a w kosztownych srebrnych wazach po obu stronach krzyża jaśniały wonne lilie, ulubione kwiaty bogini. Tylko mały, nakrapiany wąż, którego trzymała w lewej dłoni, i srebrny księżyc zawieszony na piersi przypominały wyznawcom ojej ciemniejszych stronach. Diadem miała z gwiazd.

Hypsipyle spytała Jazona:

– Prawda, że ładna kapliczka? Jak myślisz, czy naprawdę Naszą Panią wygnają kiedyś z Lemnos? Podli mężczyźni mogą ją zaniedbywać i lekceważyć, ale przecież chyba zawsze pozostanie z nami?

Jazon potrząsnął głową. – Ojciec rośnie w siłę – rzekł – i któż zgadnie, jakie żywi zamiary wobec tej, co była kiedyś jego matką, a dziś została żoną? Ale niech żadne kwestie teologiczne nie trapią naszych serc, już dostatecznie znękanych strzałami okrutnego bożka miłości. Wracaj ze mną, promienna królowo, do sali obrad.

Przed wyjściem jednak roztropnie poszperał w sakwie i znalazł trzy orzechy laskowe oraz kawałek twardego koziego sera. Przejednął spowitą w błękit boginię, kładąc je we wgłębieniu u podstawy krzyża.

## **ŻEGNAJ, LEMNOS**

Gdy Jazon i Hypsipyle objęci wpół wrócili do sali obrad, powitał ich ryk uznania. Hypsipyle była tak wysoka, ciemna i piękna, Jazon tak rostry, jasny i urodziwy. Oboje się zarumienili.

Wkrótce Argonauci znaleźli się za stołem, każdy z dwoma kobietami u boku.

Ta po lewej stronie nieustannie nakładała potrawy na jego tackę z bukowego drzewa: ryby, pieczoną baraninę z kaparami marynowanymi w kwaśnym winie, pieczeń wołową w asafetydowym sosie, dziczyznę, pierniki, duszone myszy domowe (czego czciciele Apollina woleli nie kosztować), szparagi, suszone figi, chleb jęczmienny maczany w oliwie, delikatny owczy ser, solony koper morski i gotowane na twardo jajka morskiego ptactwa. Ta po prawej ręce napełniała mu puchar winem z wodą (przeważnie w proporcji pół na pół) lub mlekiem czy piwem, o cokolwiek poprosił, a niekiedy mieszała wszystko razem i przyprawiała miodem.

Meleager był w kłopotliwej sytuacji. Choć najmłodszy z Argonautów, należał

do najwyższych i najsilniejszych pomiędzy nimi, zaś jego wijące się, czarne włosy i regularne rysy o raczej melancholijnym wyrazie czyniły go dla kobiet szczególnie pociągającym. Kilka rzuciło się ku niemu, klepiąc go po rękach i kolanach.

Uwolnił się łagodnym, lecz zdecydowanym gestem.

– Idźcie gdzie indziej, śliczne pszczołki – rzekł – brakło już dla was miodu w tym kwiecie.

Roześmiały się, ucałowały go i odeszły przekonane, że jest mniej męski, niż się wydaje. Atalanta utwierdziła je w tym mniemaniu:

– Meleager z Kalidonu jest synem króla – oświadczyła – ale jeszcze nie zdołał

ani jednej kobiety zadowolić w sposób odpowiedni jej naturze. Jego ojciec, król Ojneus, rozgniewał kiedyś pewną zazdrosną boginię. Jeśli potrzebujecie godnego siebie kochankę, piękne dziewczyny, zejdźcie na wybrzeże i tam szukajcie szczęścia.

Meleager usiadł z nią na uboczu i raczyli się wszystkim, co się gotowało w mnóstwie osmolonych

garnków na długim kominie lub piekło na licznych żelaznych rożnach. Towarzystwo zwracało na nich niewiele uwagi i gdy się już do syta najedli i napili, pożegnali dwornie królową Hypsipyle. Skinęła im głową z roztargnieniem, zasłuchana w opowieść Jazona o jego podróży do Dodony, i zapewniła, że mogą się swobodnie poruszać po całej wyspie. Niektórzy zaczęli już na dobre miłosne igry po kątach i Atalanta uznała, że jej nie przystoi siedzieć tu dłużej.

Ifinoe, która mieszała wino z wodą w dzbanach przynoszonych jej przez kobiety, wymknęła się za Meleagrem i Atalantą.

– O księżę Meleagrze! – zawołała. – Dokąd idziesz?

– Idziemy z Atalantą na polowanie – odrzekł.

– Moi drodzy – poprosiła – jeśli łowy zaniósą was ku wybrzeżu, błagam, przekażcie polecenie tamtemu ciemnookiemu chłopcu. Powiedzcie, że będę czekać o północy w jaskini ponad plażą, w pobliżu zarośli głogu i krzewów kaparowych.

– Nic nie może mi sprawić większej przyjemności – odparł Meleager. – Czy posłałaś już Herkulesowi jadło i napitek?

– Tak – odrzekła. – Zajęły się tym kochliwe niewiasty, które odepchnąłeś.

Niosą mu całą pieczoną owcę, udziec wołu, gęś duszoną z jęczmieniem... nie, dwie gęsi... i sześć galonów wina. Wino zaprawiłam tartym makiem. Jeśli to wszystko go nie uspi, jest jeszcze większym cudem, niż na to wskazuje jego przerażająca powierzchowność.

Atalanta i Meleager wyszli za bramę miejską ufni, że ciemny las pokrywający wzgórza opodal kryje mnóstwo zwierzyny. Najpierw jednak zbliżyli się do *Argo*, aby przekazać, jeśli się uda, poselstwo Ifinoe. Z daleka zobaczyli tłum kobiet rojących się wokół Herkulesa jak pszczoły nad porzuconym plastrem miodu – nie tylko te, których się pozbył Meleager, lecz wszystkie, którym się nie poszczęściło na tyle, by zapewnić sobie w sali obrad kochanka choćby nawet do spółki z inną.

– Niestety, biedny Herkules – powiedziała Atalanta z uśmiechem. – Będzie mu chyba dość trudno zadowolić jedną czy dwie, nie oburzając pięćdziesięciu.

– Herkules z powodzeniem wykonywał jeszcze cięższe prace – odparł Meleager cierpko. – Ale zastanawiam się, gdzie może być Hylas. Widzisz go?

Atalanta zrobiła wielki krąg, żeby ujść uwagi Herkulesa, po czym płynąc i brodząc zbliżyła się do *Argo*, gdzie, jak odgadła, był uwięziony Hylas. Zajrzała przez burtę i znalazła Hylasa we łzach, całkowicie unieruchomionego: Herkules, chcąc ustrzec chłopca od zakusów Ifinoe, wsadził go do wielkiego miedzianego kotła okrętowego i zagiął brzegi nad jego ciałem, tak jak się owija rybkę w liść figowy. Tylko ręce Herkulesa lub potężne dźwięczne ciosy kowalskiego młota były w ogóle w stanie go wyzwolić. Mimo to Atalanta przekazała mu szeptem wiadomość i wróciła tą samą drogą. Jeszcze była w wodzie, choć już daleko od okrętu, kiedy coś z głuchym stuknięciem uderzyło w jej skórzany hełm, zrzucając go z głowy. Usłyszała ryk Herkulesa:

– Ho, ho! Zawsze trafiam celnie!

Dla zabawy cisnął w nią ogryzionym owczym goleniem.

W dwa dni później Herkules zbudził się z okropnym bólem głowy i chwycił za maczugę, którą znalazł pod ręką. Dziko potoczył wzrokiem i dostrzegł tylko resztki uczyty, parę połamanych grzebieni, strzępy kobiecych sukien i surowy ołtarz zarzucony zwęglonymi owocami i ziarnem. Gdzie ukochany Hylas? Zaczął

bełkotać i ryczeć, mak i wino omraczały jego pamięć, a głosy dziecięce rozbrzmiewały mu w głowie wyjątkowo przenikliwie i nieznośnie. Już ruszał na poszukiwanie Ifinoe, żeby jej rozwalić czaszkę, gdy usłyszał, że Hylas żałośnie woła go z *Argo*:

– Herkulesie, Herkulesie, wypuść mnie, wypuść!

Herkules roześmiał się zadowolony, z trzaskiem wskoczył na pokład, podbiegł

do Hylasa i odgiął brzegi kotła do dawnego kształtu. Potem złapał chłopca w objęcia, pokrywając jego twarz obślinionymi pocałunkami jak wielki brytan, co liże buzię synka swego pana, póki się dzieciak nie rozkrzyczy ze strachu. Przerwał

na chwilę, by zapytać:

– Hylasie drogi, jak długo spałem?

– Pełne dwie noce i cały dzień – odparł Hylas słabo – podczas gdy ja konałem tu skępowany i nie mogłem się ciebie dobudzić. Jakieś zacne kobiety dały mi jeść i pić i okryły ramiona tą derką; ale mi to mało pomogło. Czemu, jeśli naprawdę mnie kochasz, jesteś taki niedobry? Czemu więzisz i dręczysz biednego Hylasa?

Wszyscy Argonauci, nie wyłączając ciebie, zażywali najwspanialszej gościnności, jaką kiedykolwiek świadczone żeglarzom od czasu wynalezienia okrętu.

Dwie noce i dzień! I nikt cię nie przyszedł uwolnić? – wykrzyknął Herkules oburzony. – O łotry! Czemu żaden nie wrócił, by objąć po nas wachtę? Czyżby te przeklęte baby zrobiły im ten sam kawał, co swoim rodakom? Czyżbyśmy ocaleli tylko my dwaj?

Po chwili jednak dostrzegł Idasa i Linkeusa wałęsających się po plaży; każdy z czterema kobietami u boku, głowy uwieńczone, na policzkach wypieki od wina.

– Kiedy przyjdziecie mnie zmienić, próżniaki? – wrzasnął. – Dwie noce i cały dzień sterczę tu na wachtcie.

– Nie mieliśmy rozkazu – odparł Idas. – Poza tym odrzuciłeś propozycję Atalanty, że zostanie na straży z Meleagrem. Czemu teraz narzekasz? Jesteśmy zajęci, jak widzisz. Mamy panie do obsługi.

– Jeśli tu natychmiast nie przyjdziecie – warknął Herkules – żeby objąć wachtę po mnie i po Hylasie,

stłukę was na kwaśne jabłko.

Osądzili, że roztropniej będzie usłuchać, ale wzięli ze sobą kobiety.

Wtedy Herkules, ująwszy lewą ręką Hylasa za ramię, z okutą spiżem maczugą w prawej, wkroczył z furią do Myriny. Waląc pałą we wszystkie drzwi po kolei, krzyczał:

– Argonauci, wyłazić!

Wreszcie dotarł do stojącego na urwisku domu Hypsipyle i ryknął:

– Hej tam, Jazonie! Już chyba najwyższy czas płynąć na poszukiwanie tego twojego runa! Czemu zwlekasz?

Jazon wytknął przez okno rozczochraną głowę, za nim Hypsipyle.

– Ach, rozumiem – rzekł Herkules. – Pracujecie gorliwie nad początkami królewskiego rodu na Lemnos. Niech szczęście sprzyja waszym wysiłkom, ale jeszczeście tego nie zrobili?

– O Herkulesie – zawołała Hypsipyle – rada jestem, że cię widzę. Moje kobiety opowiadały mi cudowne rzeczy o twojej mocy i zapale. Ale to nie było uprzejmie tkwić tam na brzegu, tak jakby *Argo* była w niebezpieczeństwie, i trzymać tak urodziwego przybranego syna z dala od mojej Ifinoe. Biedaczka oczy wyplakała z żalu nad sobą i współczucia dla niego. Błagam cię, pozwól mu teraz przybiec na górę i zabawić z nią przez resztę popołudnia.

Herkules w złości nie mógł wymyślić żadnej trafnej odpowiedzi. Hypsipyle ciągnęła dalej:

– Już wytłumaczyłam Jazonowi, żeby został tu na zawsze jako władca Lemnos.

Równie dobrze teraz jak później możemy spojrzeć prawdzie w oczy: stara, znużona bogini matka nie zdoła współzawodniczyć na prawach równego z krzepkimi nowymi Olimpijczykami. Królestwo wszędzie w modzie, a Jazon to najbardziej królewski mężczyzna, jakiego dotąd widziałam. Poza tym samiście chyba zauważyli, że Lemnos jest znakomitą wyspą, o najgrubszej i najtłuszczej glebie na całym Morzu Egejskim. – Jęczmień mamy wspaniały, nasze wino ustępuje tylko lezbijskiemu, nasze wyżynne pastwiska są wcale nie do pogardzenia. Lasy roją się od zwierzyny. Jazon obiecał posiedzieć tu przynajmniej miesiąc i przez ten czas: rozważyć...

– Tego nie obiecywałem, uroczą Hypsipyle! – wykrzyknął Jazon, czerwieniąc się. – Nie mówiłem nic ponadto, że zostanę dzień lub dwa: i wtedy może zadecyduję zatrzymać się jeszcze z miesiąc.

– Widzisz, on się we mnie zakochał – zaśmiała się Hypsipyle. – Sądzę, Herkulesie, że to i tak niezła praca dla ciebie zebrać załogę w ciągu miesiąca lub dwu. Mężczyźni będą się ociągać z odejściem, kobiety stawiać zaciekły opór –

z bronią w rękę, jeśli zajdzie potrzeba. Po tak długiej wstrzemięźliwości tarzają się w uciechach miłosnych niczym egipskie: krokodyły w żywnym nilowym mule.

Z boku na ulicy leżało trochę błota zmiecionego na kupkę. Herkules schylił się, porwał pełną garść, ugniótł w pigułę i nagłym wyrzutem cisnął: prosto w twarz Hypsipyle.

– W tym się tarzaj, babo! – powiedział grubiańsko. – A co do ciebie, mój panie Jazonie, schodź na dół natychmiast, bo maczugą powybijam w tym budynku takie dziury, że cztery woły w jarzmie będą i mogły przez nie przejechać.

Jazon zbiegł po schodach, mamrocząc pod nosem.

– A teraz, mój panie – rzekł surowo Herkules – radzę ci zebrać załogę i zaprowadzić ich na okręt. Nie pozwolę, żebyś zmarnował ten korzystny wiatr wschodni i spokojne morze.

– Zostaw nam choć godzinę na pożegnanie – tłumaczył Jazon.

Herkules jęknął: – Kiedy wreszcie się z tym uporasz? Gdy jako młodzieniec, mniej więcej w twoim wieku, zostałem zaproszony do kompanii przez tespijskie nimfy w nagrodę za zabicie łani ceryntyjskiej, przespąłem się z wszystkimi pięćdziesięcioma w ciągu jednej nocy i każdej zrobiłem dziecko. A ty! Wydaje mi się, żeś spędził dwie doby na próżnych figlach z jedną i tą samą niewiastą. Jakże przy takim tempie spodziewasz się kiedykolwiek odzyskać złote runo? Możesz być przekonany, że się go nie zdobywa za pomocą igraszek wśród łanów lemnijskiego jęczmienia. Na spiż mojej maczugi! Nikt dotąd nie zrobił ze mnie durnia i ty nie będziesz pierwszy!

Wśród gniewnych i sprośnych szyderstw wywlókł Jazona za próg. Hypsipyle, wytarłszy twarz do czystą gąbką, wybiegła na ulicę, choć była półnaga, i krzyczała za Jazonem:

– Błogosławiona matka odda mi cię z powrotem, moja miłości, zdrowego, zwycięskiego, wraz ze wszystkimi ocalałymi przyjaciółmi! Znasz moją obietnicę: uczynię cię królem i każdy twój towarzysz, który zechce osiąść na Lemnos, dostanie tyle ziemi i bydła, ile sam mu przydzielisz w swej mądrości. Pamiętaj o biednej Hypsipyle, kiedy będziesz daleko. Nim jednak odjedziesz, powiedz, co mam zrobić, jeśli zostanę matką twego dziecka?

Jazon odrzekł: – Hypsipyle, spędziliśmy razem dwie cudowne doby... oby mogły trwać całe lata! Ale Herkules trafił w sedno. Czekają nas ciężka praca i nie możemy tu mitrzyć. Ani nie mogę ci przyrzec, że wrócę na dobre na twoje uroczysko Lemnos, ponieważ moim królestwem jest Ftiotis, a niebezpiecznie człowiekowi dosiadać dwu wierzchowców na raz. Władza nad Lemnos musi spoczywać w twoich rękach, choć jeśli urodzisz syna i dożyje on wieku męskiego, możesz mu bez zastrzeżeń oddać panowanie: pamiętaj jednak, że będzie również następnym po mnie pretendentem do tronu Ftiotis, gdybym więc umarł, musi wybierać, jak teraz ja, pomiędzy dwoma królestwami. Poślij wiadomość memu staremu ojcu i matce, gdy urodzisz dziecko (bo pewien jestem, żeś poczęła), a jeśli byście kiedykolwiek musieli opuścić wyspę, oni przez wzgląd na mnie zapewnią wam obojgu dom rodzinny. – Tu się rozplakał.

Jednak to smutne pożegnanie nie miało być ostateczne, bo Jazon prośbą ani groźbą nie mógł skłonić pozostałych Argonautów do opuszczenia nowych rodzin.

Nawet Herkules nie był już w stanie mu pomóc; zamknąwszy Hylasa w komórce bez okien obok

wielkiej kuchni przy sali obrad, wsparty plecami o drzwi, z lubością złapał wino lezbijskie ze znalezionej wielkiej dzbanki. Gdy Hypsipyle pod wieczór weszła do sali, znalazła go tam mrużącemu oczy jak sowa, zapomniała o gniewie i przyniosła mu chleb i pieczoną gęś na zimno, żeby wino głódziej spływało. Po pijacku złapał ją za suknię i złożył szczere wyrazy ubolewania z powodu jej związku z Jazonem.

– To nicpoń i łobuz, królowo – oświadczył – i gdybyś kiedy wpadła w tarapaty, palcem nie ruszy, żeby ci pomóc. Ale Herkules z Tyrentu jest mężem zupełnie innego pokroju. Jeśli cię spotka jakieś nieszczęście, pamiętaj, że Herkules to twój przyjaciel. Poślij po niego, by cię pocieszył lub pomógł!

Podziękowała mu uprzejmie, utrzymując powagę, ale znalazłszy się znów w sypialni z Jazonem, parsknęła głośnym śmiechem.

W ten sposób następny dzień ubiegł mile dla wszystkich prócz Hylasa i Ifinoe.

Był to dzień obrzędów na polach jęczmiennych, a odprawiono je pomyślnie.

Wieczorem wrócili do Myriny Meleager i Atalanta z Orfeuszem, który, jak i oni, nie brał udziału w uroczystościach. Zastali go na leśnej polanie, gdzie (tak oświadczył) uczył łasice tańczyć przy dźwiękach liry. Ani Atalanta, ani Meleager tego nie widzieli, bo nadeszli właśnie w chwili, gdy muzyka ucichła, ale cała gromada zwierzątek smyrnęła koło nich przez zarośla. Orfeusz grał tak cudownie, że nikt by się nie dziwił, gdyby drzewa, kamienie i skały także zaczęły płaszać.

Właśnie Orfeusz swoją lirą ściągnął w końcu opornych Argonautów na *Argo*, wczesnym rankiem czwartego dnia. Zbity tłum kobiet podążał za nimi i kiedy okręt zakołysał się na wodzie głębokości paru stóp, wszystkie usiłowały wdrapać się na burtę, zamierzając u boku kochanków stawić czoło niebezpieczeństwu podróży.

Ale Herkules, skoro tylko wydobył kamienie kotwiczne, zajął się wyrzucaniem do wody wszystkich kobiet, które już zdołały wtargnąć na pokład – było ich dwadzieścia czy trzydzieści, a walczyły jak rysie.

Ifinoe umknęła się jego uwadze; leżała pod zwojem żagla – bo na razie użyto tylko wiosła, aż *Argo* na dobre znalazła się na kursie i lamenty z brzegu mniej przejmująco brzmiały w uszach załogi. Nagle dziewczyna kichnęła, co stanowiło szczęśliwy omen dla wszystkich oprócz niej. Herkules odłożył wiosło i momentalnie ją złapał. Wyprysnęła za burtę jak ryba, którą rybak odrzuca z sieci z przyczyny nieodpowiedniej barwy czy wielkości. Już niknąc im z oczu, zawołała:

– Hylasie, kochany, pamiętaj o mnie!

Herkules porwał kamień kotwiczny i zamierzył się na nią, ale Hylas nagle wrzasnął mu w ucho i tamten odłożył kamień z powrotem; Ifinoe uniknęła śmierci.

Kojące dźwięki liry wiodły okręt dalej i dalej w rytmicznym posuwie, a biała bruzda pieniała się za nim.

Warto by dodać, co stało się dalej z kobietami Lemnos dzięki wizycie *Argo* na tej gościnnej wyspie.



Pięćdziesiąt niewiast urodziło córki i nie mniej niż sto pięćdziesiąt – synów. Sześćdziesięciu dziewięciu spośród nich było krzepkiej budowy, bystrookich i zapalczywych, co świadczyło, że są synami Herkulesa; piętnastu było dziełem Długiego Ankajosa, a miał on także trzy córki; dwunastu synów i pięć córek należało do Idasa; i tak dalej w malejącym porządku, aż do Małego Ankajosa, który spłodził jedną córkę.

Hypsipyle poczęła z Jazonem bliźniaki, nazwane Euneos i Nebrofonos. Starszy Euneos objął na koniec po niej panowanie na Lemnos, poślubił Lelaję, córkę Małego Ankajosa, i zasłynął ze swych wspaniałych winnic. Jednakże *Argo* nigdy już więcej nie zawinęła do Myriny i Jazon zapomniał o Hypsipyle, jak zapomniał

później o innych kobietach; tylko Hylas zachował w pamięci Ifinoe, bo był

wrażliwym chłopcem.

## **ORFEUSZ ŚPIEWA O DZIELE STWORZENIA**

Powiał wietrzyk południowy. Jazon pragnął żeglować wzdłuż południowych wybrzeży Lemnos, a potem obrać kurs na wschód do Hellespontu, ale Tyfis wolał

nie ryzykować rozbicia *Argo* na skalistym zboczu półwyspu Ejrene. Chociaż można ustawić żaglowiec trawersem do wiatru, obawiał się raf koło brzegu po podwietrznej; poza tym większość załogi była pijana i niezdolna do wiosłowania.

Zaproponował więc zamiast tego Samotrakę jako następne miejsce postoju.

Jazon słyszał już kiedyś tę nazwę, nie był wszakże pewien, czy to miasto, czy wyspa. Argos mu wyjaśnił:

– To wyspa, przeszło o połowę mniejsza niż Lemnos, odległa o około pięć godzin żeglugi na północo-wschód. Mieszkańcy, podobnie jak Lemnowie, pochodzą ze szczepu pelazgijskiego.

– No, to jedźmy tam – rzekł Jazon.

Spodziewali się osiągnąć Samotrakę w ciągu tegoż popołudnia, ale bryza ucichła, jeszcze zanim stracili z oczu Lemnos. Góra Skopia wciąż sterczała wysoko nad horyzontem na południowym zachodzie, kiedy musieli chwycić za wiosła.

Słońce dopiekało okrutnie i nie byli w stanie nadać siły uderzeniom. Do wieczora jeszcze nie dojrzeli Samotraki, na morzu panowała gładź, a ich wyczerpało wiosłowanie. Podniosła się mgła, zacierając horyzont, tak że nawet bystry wzrok Linkeusa zawodził.

Posiłek zjedli niemal bez słowa. Większość dumiała o porzuconych przez się kobietach i wymyślała sobie od durniów, że nie zostali choć parę dni dłużej w tym wyspiarskim raj. Idas, zawsze skory do niefortunnych wyskoków, nagle wykrzyknął:

– Dla ryb takie nędzne jedzenie. To niczyja inna, tylko Orfeusza wina, że się tu kulimy na twardych

ławkach, z gardłami pełnymi mgły zamiast wyciągnąć się wygodnie na barwionych skórkach owczych przed buzującym ogniem i rzędem bulgoczących okopconych garnków. Orfeusz swoim graniem zwabił nas na pokład.

Byliśmy na Lemnos szczęśliwi niczym królowie. Po cóż znowu nas powlókł na tę parszywą niewykonalną wyprawę?

– Miej się za szczęściarza – skarcił Idasa Kastor – że Orfeusz to zrobił. Odkąd cię poznałem jako kłótniwe i łakome dziecko, nigdyś nie okazał żadnego pomiarkowania. Jeszcze parę dni na Lemnos, a zdechłbyś powalony nadmiarem trunku, jadła i kobiet. Co do mnie, nie pragnę nic więcej, jak tylko poddać się znowu nieodpartemu czarowi tej cudownej liry, bo słuchając jej, odczuwam szczęście daleko głębsze niżli nad czarą wonnego lemnijskiego wina, nad połączeniem delikatnej polędwicy wołowej czy nad pulchnym, białym ciałem krzepkiej i rozkochanej tamtejszej dziewczyny.

Linkeus, bliźniak Idasa, nienawidził Kastora i Polideuka, bo ich achajski dziadek Ojbalos przemocą poślubił Gorgofonę, minijską babkę Idasa i jego, pozbawiając w ten sposób obu poważnej części meseńskiego dziedzictwa.

Gorgofona była pierwszą wdową grecką, która powtórnie wyszła za mąż, co kryło wieczystą hańbę ich ojca Afareusa. Linkeus odezwał się szyderczo:

– Tak powiadasz, Kastorze. Ale to wyraz przesytu. Nigdyś nie miał wielkiego, zdrowego apetytu. Przyznaj się, parę dni temu mówiłbyś zupełnie co innego.

Polideukes podjął wyzwanie, zwracając się do Linkeusa: – Mój brat przynajmniej nie zachowuje się jak bydlę, tak jak twój. Na to ze wszystkich stron podniosły się głosy, jedne w proteście przeciw kłótni między dwiema parami braci, inne usiłujące ich podjudzić. Wreszcie Herkules warknął:

– Gdybym to ja dowodził tym okrętem, zacząłbym dziś rano podróż, wlewając w każdego z tych chłopaków pełen hełm morskiej wody dla oczyszczenia żołądka.

Ale to Jazon rządzi, nie ja.

Wtedy swoim wysokim głosem odezwał się wróżbita Idmon:

– Nie tyle żołądek należy oczyścić, ile duszę. Serdecznie bym pragnął, by następną naszą przystanią była święta wyspa Apollina, Delos, zamiast pelazgijskiej Samotraki; jego kapłani mieliby tu wiele do zrobienia.

– Tak – poparł go Ifitos Fokijczyk – doprawdy byłoby dobrze, gdybyśmy mogli zawinąć do Delos i wykonać tam taniec w kręgu, zwany żurawiem. Kołysalibyśmy się w przód i w tył, w przód i w tył, godzina Po godzinie, ażeby jednostajna muzyka oczyściła nam dusze z wszelkiej żądy prócz tej, aby nadal płasnąć w przód i w tył, w przód i w tył, aż padniemy w omdleniu.

– Ależby to było przyjemne zajęcie! – mruknął zgryźliwie Długi Ankajos. –

Skocz no do wody, Ifitosie, i pokaż nam kroki. Apollo bez wątpienia cię podtrzyma; Apollo może

dokonać niemal wszystkiego.

Paru roześmiało się na to, inni jednak wpadli w gniew, który wzrósł jeszcze, gdy Idas powiedział: – Idmon, jako żaba argiwska, ma błonę między palcami. Nosi obuwie, aby to ukryć, lecz skoro je z nóg zrzuci, lepiej tańczy na wodzie niż na suchym lądzie.

– Tak święta jest wyspa Delos – rzekł Idmon, a jego wysoki głos przeciął

ogólne szemranie jak sierp bujną trawę – że nikomu nie wolno narodzić się tam ani umrzeć. Wszystkie nieuniknione porody i zgony odbywają się na sąsiedniej wysepce Ortygii.

– Teraz rozumiem – wtrącił Hylas – dlaczego Herkules nigdy mnie do Delos nie zabierał. Gdziekolwiek stąpi, tak szczerze sieje narodziny i śmierć, że Delos nie byłoby już więcej dawnym Delos.

Ku powszechnej uldze Herkules wziął docinek za dobrą monetę i powtarzał go, rycząc ze śmiechu, jako własny dowcip.

Askalafos z Orchomenos przemawiał rzadko, kiedy to jednak czynił, wszyscy słuchali, bo głos jego dobywał się ze skrzypem, jakoby z rzadko otwieranych dzwierzy o zardzewiałych zawiasach. Teraz wstał z ławy i podniósł rękę, mówiąc:

– Orfeuszu, Orfeuszu Traku, zaśpiewaj nam o stworzeniu wszechrzeczy.

Jesteśmy przy tobie nieuczeni jako dzieci, nawet najmędrsi z nas. Oczyść nam dusze, Orfeuszu, pieśnią o dziele stworzenia.

Zapanowała cisza, po czym rozległ się potakujący pomruk. Orfeusz nastroił

lirę, wstawił ją między kolana i do wtóru strunom zaśpiewał cicho, lecz wyraziście.

Śpiewał o tym, jak ziemia, niebo i morze były niegdyś zmieszane ze sobą, aż nieodparta muzyka zadźwięczała znikąd i rozdzieliły się, stanowiąc wszakże nadal jeden wszechświat. Tajemnicza ta muzyka oznajmiła narodziny duszy Eurynome, tak bowiem brzmiało pierwotne imię Wielkiej Trójbogini, której symbolem jest księżyc. Była boginią wszechświata i była sama. W tej samotności niebawem poczuła się osamotniona, pomiędzy czarną ziemią, pustymi wodami i nienagannie krążącymi konstelacjami niebios. Zatarła zziębnięte dłonie, a gdy je znów rozchyliła, wyśliznął się spomiędzy nich wąż Ofion, któremu z ciekawości pozwoliła się kochać. Wskutek straszliwych konwulsji tego ataku wytrysnęły rzeki, powstały góry, wezbrały jeziora; wszelkie płazy, ryby i zwierzęta porodziły się i zamieszkały ziemię. Zawstydzona tym, co zrobiła, Eurynome natychmiast zabiła węża i duszę jego wygnała pod ziemię; jednak dla zadośćuczynienia sprawiedliwości posłała swój cień o sinym obliczu, aby tam duchowi towarzyszył.

Nadała wężowi nowe imię – Śmierć, cień zaś swój nazwała Hekate. Z rozsypanych zębów martwego węża powstało Zasiane Plemię – ludzie, co hodowali owce, krowy i konie, lecz nie uprawiali roli ani nie wojowali. Żywili się mlekiem, miodem, orzechami, owocami i nic nie wiedzieli o metalurgii. Na tym się zakończył wiek pierwszy, zwany wiekiem kamienia.

Eurynome mieszkała nadal na ziemi, na niebie i w morzu. Jej ziemskim wcieleniem była Rea o wonnym oddechu i oczach koloru bursztynu. Pewnego razu, właśnie jako Rea, wybrała się na Krete. Daleko jest z nieba na ziemię, w istocie tak samo daleko jak z ziemi do piekieł – spizowe kowadło spadałoby z tej wysokości dziewięć dni i dziewięć nocy. Na Krecie, z dala od słońca i mgieł, Rea znów się poczuła osamotniona i wymyśliła półboga imieniem Kronos, sobie na miłosną uciechę. Aby zaspokoić pragnienie macierzyństwa, odtąd co roku w Grocie Diktyjskiej rodziła dziecię Słońca; lecz Kronos był zazdrosny o dzieci słońca i zabijał je po kolei. Rea kryła niezadowolenie. Pewnego dnia przymilnie rzekła do Kronosa:

„Oddaj mi, najdroższy, kciuk i palce swojej lewej dłoni. Jedna ręka wystarczy bogu tak leniwemu jak ty. A ja z nich zrobię pięciu małych bożków, by wykonywali twoje rozkazy, podczas gdy wylegujesz się ze mną na ukwieconym wybrzeżu. Oszczędzą twoim stopom i nogom zbytecznej fатыgi”.

Zgodliwie oddał jej lewy kciuk oraz palce, ona zaś zrobiła z nich pięciu bożków imieniem Daktyle, czyli „palczaste bogi”, i uwieńczyła mitrem. Ich zabawy i tańce dostarczyły mu sporo rozrywki. Lecz Rea potajemnie kazała Daktylom ukryć przed Kronosem następne słoneczne dziecko. Usłuchali jej, zwiędli Kronosa: wpakowali do wora kamień piorunowy w kształcie topora, udając, że to dziecko Rei, które jak zwykle wrzucają do morza, aby go wyręczyć. Stąd powstało przysłowie: Niechaj wie prawica, co czyni lewica. Rea nie mogła sama karmić dziecka, któremu dała na imię Dzagreus, nie budząc podejrzeń Kronosa; Daktyle przeto sprowadzili tłustą maciorę na mamkę – Dzagreus nie lubił później, aby mu o tym Przypominano.

Następnie, ponieważ obrzydło im zagłuszanie donośnym bębnieniem i piszczałkami jego dziecinnego płaczu, odłączyli go od piersi maciory i zabrali z góry Dikte. Powierzyli go pieczy pewnych pasterzy, zamieszkałych daleko na zachód, na stokach Idy, gdzie malca karmiono owczym serem oraz miodem. Tak dobiegł końca wiek drugi, a był to wiek złoty.

Rea przyspieszyła nadejście nowego wieku, popierając rolnictwo i ucząc swego sługę, Kreteńczyka Prometeusza, jak ma sztucznie rozniecać ogień krzesiwem w kształcie jarzenicy. Długo śmiała się w kułak, gdy Dzagreus okastrował i zabił

swego ojca Kronosa złotym sierpem, który wykuł Prometeusz, a dłużej jeszcze, gdy raz przybrał postać zabiedzonej kukułki i prosił, by go ciepłem własnej piersi przywróciła do życia. Udawała, że ją oszukał, a gdy odzyskał prawdziwe kształty, dopuściła go do łask. „Ależ dobrze, mój maleńki – rzekła. – Jeśli chcesz, możesz zostać moim nadwornym kochankiem”.

Dzagreus jednak odrzekł zuchwale: „Nie, Reo, będę twoim panem i pouczę cię, co masz robić. Jestem sprytniejszy od ciebie, bo cię zwiodłem tym kukulczym przebraniem. Jestem ponadto rozumniejszy niż ty. Aktem rozumu stworzyłem właśnie czas. Teraz, skoro z moim nadejściem czas się zaczął, będziemy mieli daty i historię, i genealogię zamiast beczasowych rozchwianych mitów. A czas utrwalony, ze swym łańcuchem poszczególnych przyczyn i skutków, będzie podstawą logiki”.

Zdumiona Rea nie wiedziała, czy rozbić go w proch i pył jednym uderzeniem sandała, czy tarzać się po ziemi i pękać ze śmiechu. Na koniec nie zrobiła ani tego, ani tego. Powiedziała tylko: „O Dzagreusie, Dzagreusie, moje słoneczne dzieciątko, jakie cudaczne pomysły wysłałeś z mlekiem

swej przybranej matki, maciory diktyjskiej!”

„Zwę się Zeus, nie Dzagreus – odparł. – I jestem dziecięciem piorunu, a nie słońca. I karmiła mnie koza Amaltea z góry Ida, nie maciora diktyjska”.

„To potrójne łgarstwo” – rzekła Rea z uśmiechem.

„Wiem o tym – przyznał. – Ale wyrosłem teraz dość wielki i silny, aby głosić potrójne czy nawet siedmiokrotne łgarstwo bez obawy sprzeciwu. Jeśli wyglądam na śledziennika, to dlatego, że nieoświeceni pasterze z góry Ida dawali mi za wiele miodu. Licz się z moim monarszym charakterem, matko, ostrzegam cię, odtąd bowiem ja, a nie ty, jestem jedynowładcą wszechrzeczy”.

Rea westchnęła i odparła niefrasobliwie: „Drogi Dzagreusie czy Zeusie, czy jakkolwiek pragniesz się nazywać, czyżbyś doprawdy odgadł, jak się czuję znużona przyrodzonym porządkiem i schludnością tego widomego wszechświata oraz niewdzięcznym trudem doglądania go? Rządź nim, dziecko, rządź bez ograniczeń! Pozwól mi wyciągnąć się na chwilę i rozmyślać beztrąsko. Dobrze, będę twoją żoną i córką, i niewolnicą; a jakiegokolwiek niesnaski czy zaburzenia ściągniesz na mój piękny wszechświat którymś z aktów rozumu, jak to nazywasz, wybaczę ci, bo wciąż jesteś młodziutki i nie można się spodziewać, abyś znał się na rzeczy tak dobrze jak ja. Uważaj jednak, proszę, na trzy erynie, zrodzone z kropel krwi kapiącej z odciętych genitaliów twego ojca; otaczaj je względami, bo inaczej pewnego dnia pomszczą go. Miejmy czas utrwalony, daty, genealogię, historię, oczywiście; choć przewiduję, że ci to przysporzy znacznie więcej niepokoju oraz przyjemności, niż jest warte. I używaj sobie do woli logiki jako podpory dla swojej kulejącej inteligencji, a także usprawiedliwienia dla swoich niedorzecznych pomyłek. Muszę jednak najpierw postawić warunek: dwie wyspy, jedną na Morzu Zachodnim, drugą na Wschodnim, zachowam dla swego starożytnego obrządku. Ani ty sam, ani żadne inne bóstwo, jakie możesz sobie wyłonić, nie będzie tam miało nic do gadania, tylko ja i mój wąż Śmierć, ilekroć zechcę posłać po niego. Ta zachodnia zostanie wyspą niewinności, wschodnia zaś wyspą oświecenia; nikt tam nie raczy zapisywać czasu, lecz każdy będzie jako tysiąclecie i odwrotnie”.

Od razu tedy na jej rozkaz zachodnia wyspa wynurzyła się z wód na kształt ogrodu, o dzień żeglugi od Hiszpanii; bogini przykryła także obłokiem odcięty członek Kronosa, Daktyle zaś przenieśli go bezpiecznie na wschodnią wyspę, która już istniała, gdzie został ich kompanem ochoczy rybiogłowy bóg Priap.

Zeus na to: „Przyjmuję twój warunek, żono, jeśli się zgodzisz, aby twoje drugie

„ja”, Amfitra, oddało morze memu zwierciadlanemu odbiciu, Posejdonowi”.

„Zgadzam się, mężu – odparła Rea – zatrzymując jedynie do własnego użytku wody w obrębie pięćdziesięciu stajañ od moich obu wysp; możesz także panować na niebie zamiast Eurynome, łącznie z posiadaniem wszystkich gwiazd, planet oraz samego słońca; ale księżyc ja zachowuję”.

Dobili targu uściskiem dłoni i żeby pokazać swą potęgę, Zeus nałożył jej na ucho mały rezonator i dla pogróżki odtańczył zbrojnie skoczny płas, waląc piorunowym toporem o złotą tarczę, aż grzmot potoczył się straszliwie po sklepieniu niebios. Rea się uśmiechnęła. Nie prehandlowała nadzoru nad

trzema najważniejszymi rzeczami, których Zeus nigdy już później nie zdołał od niej wyłudzić: wiatrem, śmiercią i przeznaczeniem. Uśmiechnęła się właśnie dlatego.

Niebawem Zeus popatrzył groźnie i zażądał, aby przestała się uśmiechać i poszła upiec mu wołu, bo jest głodny. To był pierwszy rozkaz, jaki kiedykolwiek wydano Rei; przystanąła niezdecydowana, ponieważ brzydził ją pomysł jedzenia pieczonego mięsa. Zeus powtórnie poraził ją wzrokiem i wrzasnął: „Prędszej, żono, prędzej! Cóż ci się zdaje, po co wynalazłem ogień, jak nie po to, abyś go używała do pieczenia lub gotowania dla mnie smacznego jadła?”

Rea wzruszyła ramionami i zrobiła, jak jej kazał, lecz nie mógł jej z początku nakłonić do udziału w uczcie.

Potem Zeus, chcąc pokazać swą potęgę, zmył potopem większość człowieczego rodu, ulepił z błota nowego mężczyznę imieniem Deukalion oraz nową kobietę imieniem Pyrra i tchnął w nich życie. Z ich narodzeniem zakończył się ostatecznie wiek drugi, a zaczął trzeci – wiek brązu. W tym wieku Zeus począł z Reą, którą przewał Herą, wielu synów, lecz nie pozwolił jej długo trzymać ich przy sobie.

Gdy tylko podrośli na tyle, by sobie dawać radę samodzielnie, posyłał swoich kapłanów o kredowych twarzach, Opiekunów, aby ich nocą wykradali matce; Opiekunowie ci przebierali chłopców w męskie szaty, przyprawiali im brody, wtajemniczali ich w męskie kunszta i obyczaje i utrzymywali, że to synowie zwykłych śmiertelniczek. Za każdym razem Opiekunowie udawali najpierw, że palą chłopców na popiół piorunem dostarczonym przez Zeusa, żeby Hera nie próbowała ich odzyskać. Hera uśmiechnęła się, słysząc bębny i grzechotki, które naśladowały grzmoty, bo podstęp był niezdamny, a ona nie chciała odzyskać swoich chłopców – na razie. Wkrótce rozpocznie się wiek żelaza, już się rozpoczyna...

Argonauci w podziwie słuchali opowieści, kiedy zaś Orfeusz skończył, wszyscy westchnęli jednocześnie niby szeleszczące trzciny. Idas zapytał cichym głosem, niepodobnym do swego zwykłego szorstkiego, rubasznego tonu: – Powiedz nam, Orfeuszu, gdzie leży wschodnia wyspa? – Trakowie zowią ją Wyspą Bursztynu, Trojanie – Dardanią, lecz wy, Grecy, nadaliście jej imię Samotraki. Przybytek bogini stoi u podnóża wyniosłej góry na północnym wybrzeżu, na wybrzeżu niebezpiecznym dla okrętów, chyba że przy dobrej pogodzie. Śpijcie teraz, towarzysze, otuliwszy się w derki; wczesnym rankiem zawiniemy do stóp bogini.

## **WIELKIE MISTERIA NA SAMOTRACE**

O brzasku powiał zachodni wiatr i rozproszył mgłę; pierwszy Linkeus, potem także inni okrzyknęli góry daleko na wschodzie. Argos rzekł:

– To wierzchołki Samotraki, Tyfisie zmyliłeś kurs.

Obrócili okręt, podnieśli żagiel i nie minęły dwie godziny, jak sunęli już po błękitnych wodach wzdłuż skalistego północnego wybrzeża wyspy; kapłan Daktyłów, imieniem Tiotēs, wyszedł im na spotkanie odziany w obrzędowe szaty.

– Cudzoziemcy – oświadczył – witam was na naszej wyspie, o ile tylko uznacie prawa, jakie strzegą jej świętości. Pragnę was uprzedzić, jeśli nie powiedział wam tego dotąd Trak Orfeusz, którego wśród was widzę, że na Samotrace nikt nie oddaje czci bogom olimpijskim. Ani zaprawdę nie uznajemy tu żadnych innych bóstw oprócz Wielkiej Trójbogini, najwyższej, wszechmocnej i niezmiennej, oraz sześciu bożków, co jej służą, a powstałi ze szczątków starego Kronosa – jest to pięciu bogów palczastych, jej rzemieślników i posłańców, oraz bóg falliczny, Priap, jej kochanek. Wszystkie razem bóstwa te są znane jako Kabirowie.

Stąpiwszy na brzeg Samotraki, przenosicie się wstecz ku sprawom takim, jak były, nim się zaczęła Historia. Tu Zeus wciąż jest Dzagreusem, dzieciątkiem rodzonym rokrocznie i rokrocznie ginącym. Obrzędowe szaty oraz insygnia, jakie niektórzy z was noszą na cześć Apollina, Aresa, Posejdona czy Hermesa, nie mają tu u nas żadnego znaczenia. Zdejmijcie je z siebie, niech czekają na okręcie; zachowajcie tylko przepaski na biodrach; błogosławieni Daktyle we właściwym czasie dadzą wam odzież, którą się okryjecie na okres pobytu u nas. Jutro zostaniecie wtajemniczeni w wielkie misteria bogini.

Argonauci zgodzili się czynić, cokolwiek im Tiotes każe – wszyscy oprócz Atalanty, która rzekła: – Jestem kobietą, nie mężczyzną. Jakie masz zamiary wobec mnie, Tiotesie?

Tiotes odparł: – Nosisz strój i odznaki dziewiczej łowczyni, ale przewlekłe dziewictwo dojrzałej kobiety boginię napełnia wstrętem. Jutrzejszej nocy będzie pełnia. Chodź tedy, a nimfy-sowy wtajemniczą cię w święte obrzędy. Nie masz małżeństwa na Samotrace, tylko wolna miłość.

– Czczę olimpijską Artemis i uczynić, jak radzisz, znaczyłoby ściągnąć klątwę na nasz okręt, bo to zazdrosna bogini – odrzekła Atalanta.

– Olimpijska Artemis nie narodziła się jeszcze – powiedział Tiotes. – Odłóż na bok swój łuk i strzały, łowczyni, rozpleć warkocze, naucz się być kobietą, którą cię stworzono.

– Zrób, Atalanto, jak mówi Tiotes – poparł go Meleager.

– Czy mam więc, Meleagrze – spytała – zostać z tobą na tej wyspie przez całe życie? Choć bowiem tutejsze moje postęпки nie będą zapewne obchodzić Artemidy, cóż się stanie, skoro podejmiemy podróż? A gdybym tak zaszła w ciążę i po powrocie do Kalidonu urodziła dziecko? Co wtedy? Czy to też nie będzie obchodziło Artemis? Czy dziewicza łowczyni może karmić niemowlę i utrzymywać, że zostało poczęte pierwej, niż istniała Artemida?

– Niewątpliwie Artemida się rozgniewa – przyznał Meleager – tak jak rozgniewała się na Kallisto, kiedy Zeus zrobił jej dziecko. Przypuśćmy jednak, że z miłości do ciebie zgodziłbym się zamieszkać na Samotrace? Nie jest że to kraj odpowiedni dla nas? Czyż nie możemy tu mieszkać do późnego wieku, szczęśliwi w miłości wzajemnej?

– Nie ma na Samotrace małżeństwa – odparła Atalanta – tylko wolna miłość, i żadna kobieta nie należy do jednego męża. Podobnie wzywano by ciebie i mnie do swobodnego obcowania z innymi na cześć bogini; kasałaby cię wówczas zielona nienawiść, a i mnie także. Nie, najdroższy z ludzi, Samotraka nie jest lepsza dla nas dwojga niż Lemnos.

Zasepiona została na okręcie i Meleager został, aby ją pocieszać. Wszyscy inni prócz Hylasa poszli za Tiotesem – nawet Herkules, bo Meleager na własną głowę poprzysiągł ustrzec Hylasa od krzywdy, jeśli Herkules go opuści.

Tiotes z resztą kapłanów przyjął Argonautów u portyku świątyni Daktyłów groteskowym tańcem i błazenadą; lecz nie dali im jeść ani nie pozwolili składać krwawych ofiar żadnym bóstwom. Kiedy Długi Ankajos spytał niecierpliwie, czy na wyspie panuje głód, Tiotes wyjaśnił, że wszystkiego mają do syta, ale to jest noc postu przed jutrzejszymi poczynaniami. Mówiąc to, podał wszystkim mocny gorzki wywar, po którym przez całą noc wili się w kurczach żołądka i wymiotowali –

oprócz Herkulesa: ten odczuwał tylko lekkie bóleści.

O brzasku zaczęły się wielkie misteria. Część pierwsza była zastrzeżona dla mężczyzn. Prawo nie dozwala wyjawiać pełnej formuły dziewiątego obrzędu, który odbył się w jodłowym gaju; wiele wszakże można powiedzieć bez obrazy. Nie stanowi tajemnicy, że pojawiała się sama bogini Rea, wcielona w kapłankę Rei.

Miała na sobie falbaniastą, dzwonowatą spódnicę kreteńskiego kroju, z płótna barwionego morską purpurą, a od góry nic prócz kamizelki z krótkimi rękawkami, co nie zapinała się z przodu, ukazując chwałę jej pełnych piersi. Na głowę założyła wysoki czepiec ozdobiony na czubku księżycowym dyskiem i mieniący się od bursztynów, na szyję zaś naszyjnik z pięćdziesięciu fallusów wyrzeźbionych w żółtej kości słoniowej. Argonauci zastali ją na tronie sporządzonym z lewych rogów byków kreteriskich; wzrok miała dziki. Jej pomocnicy uosabiali Daktyłów, pięciu palczastych bogów, oraz bożka Priapa, jej kochanka. Zbrojna straż trzymała z dala kobiety, dzieci i obcych.

Wszyscy nowicjusze pod groźbą śmierci zachowywali absolutne milczenie, a byli zupełnie nadzy; Orfeusz jednak, jako już wtajemniczony, zajął miejsce wśród muzykantów bogini, odziany w białą szatę, na której wyhaftowano poszarpany zygzak złotej błyskawicy.

Pierwszy był obrzęd Stworzenia. Zabrzmiała muzyka, bogini własnoręcznie usypała kulisty kopczyk na kształt ziemi, naląła wody do rowka naokoło i tańczyła nad nim powolny rytmiczny taniec, naśladownictwo monotonnego krążenia konstelacji, wykonywała go zaś z bolesną ścisłością. Po męczących paru godzinach bogini klasnęła w dłonie na znak, że muzykanci mają zmienić melodię i niebawem płasała znowu z ogromnym świętym wężem, wijącym się wokół niej. Tańczyła coraz gwałtowniej, aż muzykanci pocili się i jęczeli, usiłując nadażyć za nią; Argonautom podczas tego oczy wychodziły na wierzch ze zgrozy. Wreszcie zabrzmiały trzy głośnie uderzenia w brązowy gong i wszyscy zakryli oczy, podczas gdy wąż syczał i popiskiwał. Bogini roześmiała się przeraźliwym śmiechem, którego dźwięk jak zimna dłoń śmierci ścisnął ich za serca, a włosy zjeżyły im się na karku niby sierść gniewnego wilka.

Kiedy łagodny flet oznajmił, że wolno patrzeć znowu, wąż zniknął i niebawem wśród triumfalnej muzyki rozpoczął się rytuał Panowania. Daktyle przynieśli bogini żywą gołębicę jako symbol Nieba, ona majestatycznie ruszyła w taniec, po chwili zaś ukręciła ptakowi łebek. Przynieśli jej żywego kraba jako symbol Morza; majestatycznie ruszyła w taniec, po chwili zaś oderwała mu szczypce. Przynieśli jej żywego zająca jako symbol Ziemi; majestatycznie ruszyła w taniec, po chwili zaś rozszarpała go na kawałki.



Rea wydała pierwsze rozkazy; prawo nie dozwala ich przytoczyć.

Potem nastąpił obrzęd miłosny. Rea pokrzepiła się żołądziami oraz wodą z miodem i tkliwie zaprosiła swego rybiolicego kochanka Priapa do udziału w posiłku. Zatańczyła z nim, najpierw pogardliwa, potem jednak coraz bardziej rozkochana i bezwstydna. Na koniec, jak przedtem, zabrzmiały trzy ostrzegawcze uderzenia gongu i wszyscy zakryli wzrok, podczas gdy odrażający wrzask wiercił

im w uszach niby głos parzących się hien czy orłów.

Skoro znów zagrał łagodny flet, Priap zniknął, a wyznawcy patrzyli na obrzęd Narodzin. Rea jęczała i wyła, zaś spod jej spódnic wytoczył się mały, czarny byczek, rozglądając się wokół ze zdumieniem. Rea przystroiła go wianuszkiem kwiatów. Argonauci rozpoznali w nim natychmiast dziecię – Dzagreusa i byliby uderzyli czołem w adoracji, ale bożkowie Daktyle gestami nakazali im spokój.

Potem odbył się rytuał Ofiary. Obnażeni Daktyle stanęli za Reą, każdy z grudą gipsu w dłoni. Roztarli te grudy i upudrowali sobie twarze i całe ciało aż do śnieżnej białości. Wtedy od tyłu rzucili się na ciele. Jeden złapał je za łeb, inni za nogi i wśród dzikich dźwięków muzyki rozszarpali boskiego noworodka na strzępy, bluzgając krwią na Argonautów, aby ich rozjuszyć. Rzucili się na pokiereszowany kadłub, rozdrapując go na kawałeczki i łakomie pożarli mięso, skórę, wszystko. Zjadłszy boga, sami stali się jako bogowie.

Rea wydała drugie rozkazy; prawo nie dozwala ich przytoczyć.

Potem wykonano rytuał Obmycia. Daktyle dali Argonautom gąbki oraz źródlaną wodę w misach drewnianych, a ci obmyli się dokładnie po trzykroć, dopóki z nich nie zeszła ostatnia plamka krwi.

Nastąpił obrzęd Powtórnych Narodzin oraz Pamięci. Tego nie wolno opowiadać, lecz, ach! jakże gwałtownie ryczały wody w tunelu bez końca!

Później był obrzęd Koronacji. Odrodzonych Argonautów przystrojono wieńcami z bluszczu, natarto oliwą i obleczono w gielza z purpurowego płótna.

Rea kolejno całowała ich w usta i uczyła modlitewnej formuły, za pomocą której mogli zwracać się do niej, gdyby im groziło rozbicie okrętu: wiatry bowiem o węzowych ogonach pozostały pod nadzorem bogini. Zeus nie miał nad nimi żadnej władzy.

Prawo nie dozwala wspomnieć bodaj nazwy ostatniego rytuału. Rea wydała swoje trzecie i ostatnie rozkazy, a skoro to uczyniła, odprowadzono Argonautów do jaskini za jej tropem, gdzie społem posnęli. Spali do północy, kiedy skończyła się już prawie druga część Wielkich Misteriów, zastrzeżona dla wyznawczyń.

Wysłaniec bożka Priapa zbudził ich, aby uczestniczyli w obrzędzie Dopełnienia, kazał im się rozebrać i zaprowadził do gaju, gdzie zostali wtajemniczeni. Pызaty księżyc w pełni jaśniał na niebie, rysując na ciałach cienie drzew. Nimfy-sowy potratowały ich okrutnie, rzucając się na nich z jam w ziemi albo z dziupli drzew, kalecząc zębami i paznokciami i czerpiąc z nich rozkosz w dzikim

zapamiętaniu.

Kiedy znowu dzień zaświtał, Argonauci byli półżywi. Nawet Herkules szeptem dobywał potężnego głosu ze spuchniętych i pokrwawionych warg i z ledwością zdołał podźwignąć cielsko z gęstwy myszopłochu, gdzie go zatoczono. Ale nadbiegli skrzętni Daktyle, namaścili ich żmijowym tłuszczem zakrzepłym w liściach dzikiego figowca dali im się napić tęgiego kordiału. Potem Orfeusz znowu sprowadził a nich sen w jaskini, z której przybyli. W południe ocknęli się odświeżeni po śnie – jak im się wydawało tysiącletnim. Znowu wdziali własne przepaski i, pożegnawszy z szacunkiem Tiotesa, w milczeniu wrócili na *Argo*.

Przedtem jednak ofiarowali w świątyni Daktylów pięć pucharów z brązu o srebrnych krawędziach, które tam do dziś można oglądać. A Tiotes dał Jazonowi, jako dar pożegnalny, amulet przeciwko piorunom: była to maść biegle sporządzona z włosów, cebuli oraz wątroby sardynek. Ale Jazon ją zgubił, nim podróż dobiegła końca.

Gdy tak szli, Orfeusz śpiewał im pieśń o cyprysie i leszczynie. Uczyła ona, jak się zachowywać po śmierci, jeśli pragnie się zostać wyrocznym erosem, nie zaś nieoświeconym, dygoczącym cieniem wieczyście spędzającym życie w podziemiach. A oto pieśń:

*Gdy tylko duch twój skołotany zejdzie*

*Z jaskini w ciemność, obyś nie zapomniał,*

*Ileś wycierpiał tu, na Samotrace,*

*Ileś, Człowieku, wycierpiał.*

*Kiedy przebędziesz siedem piekła wód,*

*Gdy odór siarki wypraży ci krtań,*

*Ujrzysz wspaniały, wielki Sądu Gmach*

*Z jaspisu i onyksu.*

*Po prawej stronie tryska czarny zdrój.*

*Na który biały cyprys rzuca cień.*

*Omiń go, bo to Zapomnienia zdrój.*

*Tylko pospólstwo pcha się do tych wód.*

*Omiń ten zdrój.*

*Po prawej stronie jest ukryty staw,*

*Lśniący od pstrągów i od złotych ryb.*

*Nad nim leszczyna, a wśród niej się skrył*

*Ofion antyczny, czyhający wąż.*

*Woda kroplami w święty ścieka staw,*

*A wokół bacznie gęsta czuwa straż.*

*Lecz ty do tego właśnie stawu idź,*

*Bo w nim są wody Pamięci.*

*Straż cię zatrzyma i zagadnie tak:*

*Ktoś ty? Skąd jesteś? Co pamiętać chcesz?*

*Czy ci niestraszy jest Ofiona jad?*

*Tam, pod cyprysem, świeży tryska zdrój.*

*Do niego idź!*

*Wówczas tak powiedz: – Pali mnie pragnienie!*

*Dajcie mi pić. Ja synem jestem Ziemi*

*I Nieba. Otom przybył z Samotraki.*

*Spójrzcie, na czole mam bursztynu blask!*

*Jestem po trzykroć jednej z wami krwi,*

*Trzykroć królowej Samotraki syn,*

*Przez nią obmyty z krwawych czynów mych,*

*Przez nią odziany w purpurowy płaszcz,*

*Czysty jak dziecko wykąpane w mleku.*

*Dajcie mi pić, pragnienie pali mnie,*

*Dajcie mi pić.*

*Wówczas pytają: – A jak stopy twe?*

*Odpowiedz: – One mnie przyniosły tu*

*Z kręgu znużenia, z obrotu złych lat*

*W ten tu zaciszny krąg, do Persefony.*

*Dajcie mi pić!*

*Wówczas przyniosą owoce i kwiaty*

*I zaprowadzą w leszczyny cień*

*Wołając: – Bracie! Naszej jesteś krwi!*

*Pij i wspominaj chwałę Samotraki.*

*I będziesz pił.*

*Będziecie chłonąć ten ożywczy płyn,*

*Żeby okiełznać niewtajemniczone*

*Duchy i wznieść się ponad rozgwar tłuszczu*

*Piekła. I aby stać się herosami,*

*I dosięść waszych szybko nogich koni,*

*Żeby wyrocznie głosić z waszych białych*

*Grobowców poprzez nimf służebne usta.*

*Nimfy miodową wodą was napoją,*

*Wlewać ją będą wam w węzowe gardła.*

*Abyście mogli pić.*

Powracający Argonauci wydali się Atalancie, Meleagrowi i Hylasowi jako bogowie, nie ludzie; nikły nimb światła bił im z czoła. Gdy jednak wspięli się po drabinie na pokład i po dawnemu przydziali, chwała przygasła; znów byli ludźmi, choć tak odmienieni.

## **PRZEZ HELLESPONT**

Od strony Tracji pojawiły się spiętrzone białe chmury: pewny znak, że się zbliża wiatr północno-zachodni, którego potrzebowali. Powiosłowali szparko paręnaście stajań w morze, a tam uderzył na nich szkwał. Z trudem zdołali utrzymać *Argo* z dala od skał okalających Samotrakę, podczas gdy fale rozbijały się o lewą burtę, spryskując ich ulewą kropel. Skoro niebezpieczeństwo minęło, postawili

żagiel i pomknęli z wiatrem, a stępka niczym spłoszony muł podrywała i kołysała pod nimi. Około południa przelecieli wzdłuż zachodniego brzegu Imbros, pełnego urwistych grani i zielonych dolin. Wszyscy łamali sobie teraz głowy nad jedną kwestią: jak ujść czujnej uwadze Trojan, bo Jazon obiecał

archontom ateńskim nie wdawać się z nimi w żaden zbrojny konflikt. Jeśliby zdołali nie zauważeni prześliznąć się jakoś przez Hellespont i pozostawić Trojan w nieświadomości, że *Argo* znajduje się już na Morzu Czarnym, mogliby równie dobrze przemknąć się po raz drugi w drodze powrotnej, wspomagani przez silny prąd, który bierze początek z Propontydy.

Wiatr z wolna zmienił kierunek na północny i tak się już ustalił. Argos tedy poradził Jazonowi schronić się na podwietrznej przylądka Kefalos, który sterczy z południowo-wschodniego krańca Imbros. Znał małą piaszczystą zatoczkę, gdzie mogli zawinąć na dzień czy dwa, dopóki wiatr, zmieniwszy się na południowo-zachodni lub na zachodni, nie nabierze dostatecznej siły, aby ich w ciągu nocy przenieść przez całą długość Hellespontu. Tyfis poparł Argosa, mówiąc, że wypytywał dokładnie o tamtejsze prądy sternika z Perkote, greckiej osady położonej nad samą cieśniną. Był przekonany, że z pomocą przychylnego wiatru południowo-zachodniego, księżycy oraz gorliwej załogi zdołają w ciągu nocy przeprowadzić *Argo* obok terytorium Trojan. Lecz stary Nauplios zapytał, czy wiatr południowo-zachodni na tym obszarze morza różni się od wiatru, jaki spotykali gdzie indziej, ponieważ dziwne by było – rzekł – gdyby taki wiatr nie przyniósł z sobą chmur deszczowych, co zakryją księżyc.

Jazon zlekceważył sprzeciw Naupliosa i zgodził się szukać schronienia koło przylądka Kefalos. *Argo* sunęła już obok żółtawych skał Kefalos, zmierzając ku zatoce, o której mówił Argos, gdy Ifitos z Fokidy nagle porwał się na nogi.

– Moi panowie – oświadczył – nie widzę powodu, abyśmy mieli lądować na Imbros. Przyznaję, Imbros zamieszkują Pelazgowie, a na przychylność tego plemienia możemy liczyć. Ale Trojanie trzymają strażę przybrzeżne rozmieszczone opodal tej zatoczki i jakąkolwiek historyjkę im opowiemy, nie na długo zwiedzie ona wartowników. Zważcie: jeśli będziemy tam czekać na pogodną noc i silną bryzę południowo-wschodnią, cóż sobie o nas pomyślą? Osądzą naturalnie, że staramy się nie zauważeni prześliznąć obok Troi. Podążą za nami okrętem i doniosą królowi Troi o naszych poczynaniach.

Większość Argonautów poparła ten wywód, lecz Jazon sarknął: – To wcale łatwo, Ifitosie, ganić decyzję przywódcy. Świadom jestem twego długoletniego żeglarskiego doświadczenia, lecz radziłbym ci trzymać język za zębami, o ile nie masz lepszego pomysłu, bo uda ci się co najwyżej podjudzić towarzyszy przeciwko mnie. Myślałem, Ifitosie, że cię stać na coś mądrzejszego. Mówisz teraz bez ładu i składu jak nie przymierzając, Idas. Zamilcz, jeśli łaska!

Za Ifitosem ujął się Orfeusz. – Jazonie, Jazonie – powiedział – tak prędko zapomniawszy, czegoś się nauczył na Samotrace?

– Nauczono mnie na Samotrace roztropnie się zachowywać po śmierci – odparł

Jazon. – Nie życzę sobie, abyś mi przypominał, że wkrótce będę może musiał

wypróbować tę wiedzę w praktyce. Zamilcz, jeśli łaska!

Orfeusz odwołał się do Herkulesa: – Najszlachetniejszy Herkulesie, skoro nie wolno mi rozmawiać z naszym przywódcą, czy mógłbym się zwrócić do ciebie?

Pojmuję bowiem, co Ifitos ma na myśli.

– Ano, Orfeuszu – rzekł Herkules – wyglądasz mi na dziwaka, jednakże jak na brata kogoś, komu lirą rozłupałem czerep, zawsze mnie traktowałeś przyzwoicie.

Wykładaj, proszę, cokolwiek masz na wątrobie!

Orfeusz na to: – Nie mogę mówić otwarcie w obecności trojga niewtajemniczonych; jeśli jednak o zachodzie słońca zgodzą się, aby im uszy zatkano i zawiązano oczy na krótką chwilę, możemy przebyć Hellespont jeszcze tej nocy. Płynmy teraz z wiatrem, dopóki nie znajdziemy się o parędziesiąt stajañ od wejścia do cieśniny, a wówczas uczynimy, co wypada.

Meleager i Atalanta nie sprzeciwiali się, Herkules zaś zaręczył, że Hylas usłucha polecenia. Z kolei został zlekceważony Jazon, *Argo* zaś mknęła dalej ku południo-wschodowi, podczas gdy wioślarze społem ucięli sobie małą drzemkę.

Obudzili się pod wieczór, stwierdzając, że są już o trzydzieści pięć stadiów od gardzieli Hellespontu. Przez cały dzień nie dostrzegli ani jednego żagla.

Następnie Orfeusz zawiązał oczy Meleagrowi, Atalancie oraz Hylasowi i zalepił im uszy woskiem. Skoro tylko mógł mówić swobodnie, napomniał Jazona, że ze strony wtajemniczonych z Samotraki byłoby głupotą uważać się za bezradną igraszkę wiatrów: powinni, nie zwlekając, użyć guseł i zakłść, jakich wyuczuli ich Kabirowie w imię Wielkich.

Jazon ani przystał, ani odmówił, poszukał wyjścia w ponurym milczeniu, Orfeusz zaś, spośród wszystkich Argonautów najbiegłęjszy w samotrackim rytuale, wezwał Trójboginię pod mianem Amfitryty. Wylał dzban oliwy na fale i w jej imieniu z szacunkiem prosił Wicher Północny, aby ucichł. Przez chwilę Wicher Północny, którego synowie, Kalais i Dzetes, również ze czcią błagali, nie dawał

odpowiedzi, prócz pojedynczego wściekłego podmuchu, co niemal powalił maszt okrętu, lecz potem stopniowo ustał. Kiedy w powietrzu zapanował spokój, choć fale nadal dźwigały się leniwie, Orfeusz przywiązał skórę żmii do brzechwy i pożyczwszy łuku od Falerosa wypuścił strzałę w przestrzeń ku północo-wschodowi, nawołując wiatr południowo-zachodni, by za nią podążył. Podczas gdy czekali, aż nowy wiatr zawieje, Peleus, najchytrzejszy wśród załogi, rzekł do Jazona:

– Opuścimy żagiel, mój panie, ufarbujemy go na czarno.

– A po co? – zapytał Jazon.

– Inaczej trojańscy wartownicy zobaczą, jak błyszczy w księżycowym świetle, skoro będziemy ich mijać – odparł Peleus. – Czarny żagiel zmyli ich wzrok.

Argos dowodził, że nasmołowany żagiel trudny będzie w obsłudze i że przyjdzie im lądować, aby rozniecić ogień i podgrzać okrętowy kociołek ze smołą.

Lecz Peleus oświadczył: – Mam lepszą farbę niż smoła. – Wśród przysmaków, jakie zabrał z Lemnos, znalazł się dzban kosztownego czernidla wyciśniętego z worków setek mątew. To czernidło, słodka przyprawa do duszonego mięsa lub kaszy perłowej, ma bardzo ciemny kolor. Augiasz, Idas i inni łakomcy żalowali, że likwor tak zacny ma się zmarnować, stwierdzono jednak, że po zmieszaniu z wodą zaledwie pół zawartości dzbanka wystarczy, aby ufarbować cały żagiel na kolor wodorostów.

Argonauci spuścili żagiel, pomalowali go z obu stron i znowu postawili.

Zaledwie zamocowano płótnisko, gdy wiatr południowo-zachodni zaszumiał

z daleka, śmigając ku nim i niosąc ze sobą deszcz, który siekł powierzchnię morza; niebawem żagiel się wydał, *Argo* skoczyła naprzód. Wówczas odetkali uszy i odsłonili oczy niewtajemniczonych. Gdy zmrok zgęstniał, ujrzeli niewyraźnie odległe białe skały przylądka Hellas i poczuli, jak okręt zwalnia w rozpędzie, napotykając prąd Hellespontu. Za radą Peleusa owinęli wiosła i oba rudle paskami starych szmat.

– Szczęściem – powiedział Tyfis – prąd jest słabszy po stronie trackiej niż po trojańskiej. Ma także mniej wirów, bo wybrzeże biegnie tam prościej; jednak nawet po trackiej stronie może z powodzeniem osiągnąć szybkość dwu węzłów.

Niebawem Jazon całej załodze nakazał milczenie i wpłynęli na sam Hellespont.

Było pochmurno, księżyc widniał jedynie jako świetlista plamka za lotnymi obłokami, Linkeus przydał się więc kamratom. Wspiął się na dziób i zależnie od tego, czy okręt zanadto zbliżał się do brzegu (który dla innych stanowił tylko ścianę ciemności), czy też zbyt od niego oddalał, sygnalizował to Tyfisowi, pociągając raz albo dwa razy za sznurek trzymany w garści; drugi koniec sznurka przywiązali Tyfisowi do kolana. Wioślarze trzymali miarowe tempo, choć bez pomocy pieśni, i przez długie godziny posuwali się naprzód w milczeniu, nadal mając wiatr prosto w plecy. Tylko w jednym miejscu, w Przesmyku Dardańskim, Tyfis skierował okręt w środek nurtu, bo prąd był tam ponoć słabszy niż u brzegu.

Wiosło Linkeusa przejął siwobrody krzepki Lapita, wtajemniczony z Wielkich Misteriów, co wsiadł na *Argo* na Samotrace: był to Polifem z Larysy, który poślubił

siostrę Herkulesa i został skazany na dożywotnią banicję ze swego miasta, bo przypadkowo zabił nożem myśliwskim małą dziewczynkę. Herkules darzył go szacunkiem i miłością.

O brzasku Argonauci znaleźli się opodal stromeego przylądka Sestos; z tyłu leżała zatoczka o piaszczystej północnej plaży, a jej środek przecinał strumień. Po drugiej stronie wody rozciągała się niska zielona połać porośniętych trawą przybrzeżnych pagórków, obszar zwany Abydos. Wysiedli nad strumieniem i prostowali gnaty, jedni zbierając susz na ognisko, drudzy grając w barani skok.

Jazon zamaskował figurę dziobową okrętu, to znaczy nałożył na głowę tryka inną, którą przywiózł ze sobą: łeb koński zrobiony ze sztywnej skóry pomalowanej na biało; Biała Bogini bowiem była figurą dziobową wszystkich statków, które kursowały z Kolchidy do Troi. Teraz, skoro się znaleźli o dobre trzysta stadiów za Troją i na wodach nie należących do Trojan, można ich było wziąć, sądził Jazon, za poddanych króla Ajetesa wracających do Kolchidy z wyprawy kupieckiej. Na Sestos, gdy już złożyli Amfitrycie postne ofiary z wdzięczności za jej pomoc, zdecydowali się odpocząć przez cały dzień i noc. Lecz wiatr zmienił się na północno-wschodni, z której to strony zwykle wieją wiatry na Hellesponcie, i dał

potężnie przez dwa dni i dwie noce; nie mogli pojąć podróży aż do trzeciego rana, kiedy z powrotem odwrócił się na południowo-zachodni. Podczas całego pobytu na Sestos nikt ich nie niepokoił prócz małego pastuszka, lecz ten umknął jak zając, gdy zobaczył połyskliwą gromadę cudzoziemców, zostawiając na ich pastwę kilka owieczek.

Sunęli gładko przez wąską cieśninę, trzymając się żółtawych urwisk Tracji i wieczór zastał ich już daleko na wodach Propontydy. Żeglowali całą noc bez przerwy, teraz wzdłuż przeciwnego brzegu, bo wiatr zmienił się na południowy.

Długi Ankajos odebrał ster od Tyfisa, ów bowiem zasługiwał już na dłuższą drzemkę.

– Gdzie jest nasze następne miejsce postoju? – zapytał zebranych Akastos, syn Peliasa.

Herkules, który zabawiał się, skręcając bezmyślnie na kształt węża brązowy miecz Małego Ankajosa (bez pozwolenia), odpowiedział pierwszy. – O ile pamiętam – rzekł – jest taka duża skalista wyspa, zwana Wyspą Niedźwiedzią, niedaleko stąd, jakiś dzień żeglugi przy sprzyjającym wietrze. W gruncie rzeczy półwysep, a nie wyspa. Król to mój przyjaciel... jakże mu na imię? Zapomniałem, ale to naprawdę mój przyjaciel, wierzcie mi... i wybudował miasto na płaskim międzymorzu łączącym wyspę z lądem. Wśród wzgórz poza nim leży wielkie czyste jezioro, z którego w dół ku miastu wypływa strumień. Król Ajneus (tak ma na imię, no, oczywiście!) wypasa nad jeziorem i strumieniem mnóstwo tłustych owiec. Jego poddani to Dolionowie, rodzaj Achajów, którzy czczą boga Posejdona.

Powita nas z otwartymi ramionami, nie wątpię. Jego dziedzina sięga daleko w głąb wzgórz za miastem i wzdłuż wybrzeża po obu stronach Wyspy Niedźwiedziej.

Samą wyspę zamieszkują Pelazgowie. Ajneus wiecznie z nimi wojuje. Kiedy ostatnio odwiedzałem te strony, przeszedłem się na drugą stronę międzymorza i paru dla niego zabiłem. To rosły draby i sprawiło mi wielką przyjemność rozbijać ich czaszki jedną o drugą, nieprawdaż, Hylasie kochany?

O wiosłach i żaglu zrobili tego dnia ładny kawał drogi. Koło południa dojrzeli Wyspę Niedźwiedzią, z rzucającym się w oczy szczytem, górą Dindymon, i płynęli wzdłuż pobliskich pól uprawnych Dolionów. Żywny pas wybrzeża pomału się zwężał i wzgórz porośnięte niską dąbrową i poryte wąwozami zbiegły do samej wody. Tutaj, schroniwszy się do zatoczki, gdzie całą plażę pokrywały muszle, Argonauci zdjęli z dziobu konia, odsłaniając tryka, i postawili zapasowy biały żagiel zamiast ciemnego; potem płynęli dalej, aż dostrzegli bielone wapnem mury i kryte dachówką domy miasta, o którym opowiadał Herkules. Zwało się Kyzikos od swego założyciela – Kyzikosa, ojca Ajneusa.



Bez obawy zarzucili kotwicę w przytulnym porcie, po czym Jazon wysłał

herolda Echiona do pałacu, gdzie go przyjęto z wielkimi honorami i zapewniono, że wszyscy Argonauci, a zwłaszcza Herkules, będą na ziemiach Dolionów mile widziani tak długo, jak im się tylko spodoba tu pozostać.

## UCZTA WESELNA KRÓLA KYZIKOSA

Argonauci dowiedzieli się, że król Ajneus zmarł parę miesięcy temu, a jego starszy syn Kyzikos, mniej więcej rówieśnik Jazona, wstąpił po nim na tron.

Kyzikos ożenił się właśnie z najpiękniejszą kobietą całej Azji. Na imię miała Klejte, była zaś córką króla Perkozjan, którego białomure miasto po trojańskiej stronie Hellespontu Argonauci minęli po drodze z Sestos. Ojciec Klejte, Merops, wcale nieskory dawać jej posag, co, jak powiadał, przypominałoby smarowanie miodem plastra miodu, beczelnie ogłosił, że żaden mąż jej nie poślubi, zanim nie zobowiąże się płacić ciężkiej daniny, nałożonej ostatnio na Perkozjan przez Laomedonta z Troi. Kyzikos, który pewnego dnia, żeglując po cieśninie, przypadkiem ujrzał Klejte i od tej pory nie mógł zatrzeć w pamięci jej obrazu, rad nierad zapłacił daninę, a stanowiła ona nieliczną sumkę w złotym piasku oraz bydle, i (co było naturalne u młodzieńca) uważał, że robi doskonały interes. Lecz jego brat Aleksander nazwał go rozrzutnikiem i nie przyjechał na wesele, tłumacząc się chorobą. Pewnie był zazdrosny. Akurat drugiego z pięciu dni przeznaczonych na uroczystości *Argo* zawinęła do portu. Kyzikos zaprosił wszystkich Greków na biesiadę i po przygotowaniu dodatkowej góry jadła, radośnie witał okręt pełen najdostojniejszych wojowników Grecji, wśród nich zaś wielkiego Herkulesa, sprzymierzeńca swego ojca.

W godzinę po wylądowaniu Argonautów wykąpano, namaszczono i skropiono wonnościami, po czym świątecznie wystrojeni legli na miękkich sofach pospołu z innymi weselnymi gośćmi. Stu urodziwych chłopców podawało im wszelkie potrawy i napitki, jakich zapragnęli, i zdobiło ich głowy wieńcami wiosennego kwiecica, podczas gdy grajkowie, umieszczeni nad nimi na malowanej galerii, grali łagodne pieśni lidyjskie. Lecz łucznik Faleros i wróżbita Idmon trzymali straż na pokładzie *Argo*, gotowi na najmniejszą oznakę zdrady zadać w konchy na alarm.

Uroda Klejte dorównywała opowieściom. Królowa miała bladą twarz, bardzo bujne, czarne włosy i szare oczy; lecz jej urok polegał głównie na postawie i gestach, głębokim głosie i pełnych wargach, które nigdy nie uśmiechały się naprawdę. Kyzikos był jasnowłosy, rumiany, skory do serdecznego śmiechu i wielce łasy na przygody. Oboje z Klejte wydawali się wyjątkowo dobraną parą, a gdy kroczyli razem wzdłuż rzędu sof, każdego dwornie wypytyjąc, czy został

należycie obsłużony, szedł ich śladem niepowstrzymany szmer zachwytu.

Najwięcej względów Kyzikos okazywał Herkulesowi, którego uznał za właściwego wodza wyprawy, nie zważając, co twierdzi Echion. Własnoręcznie nalał mu wina do rzeźbionego pucharu, a był na nim wyryty sam Herkules, jak dzierży w garści dwu niedźwiedników i ochoczo druzgocze im czaszki jedną o drugą, aż mózg wycieka. Na ten widok Herkules ryknął śmiechem, wtedy Kyzikos pokazał mu drugi bok pucharu, gdzie wizerunek przedstawiał mężów walczących z sobą desperacko lub skaczących z tratwy w wodę.

– To Pelazgowie z Prokonezos – wyjaśnił – sprzymierzeńcy niedźwiedników.

Najechali nasze miasto wkrótce potem, gdyś ty je opuścił. Straciliśmy wielu towarzyszy, nimeśmy ich odparli. Gdybyż ponowili atak, póki ty tu jeszcze gościsz... toż to by była szopa: dalibyśmy im bobu jak rzadko.

– Królu Kyzikosie – odparł Herkules – wizyta w tym mieście jeszcze za życia twego ojca, Ajneusa, okazała się wyjątkowo przyjemna; obecną znajduję nie mniej miłą. Ale zwróć raczej, proszę, te rozumne i pochlebne słowa do przywódcy tej wyprawy, Jazona z Jolkos... popatrz tam, to ten młodzian o długich, jasnych włosach... a nie do mnie. Zostaw mnie przy moim wyśmienitym polcu wołowiny i niechaj szczęście sprzyja tobie i twojej pięknej żonie! Rad jestem cię słuchać podczas jedzenia, lecz równie mnie cieszy samo jedzenie. Marnujesz wymowę na starego żarłoka Herkulesa.

Kyzikos uśmiechnął się i odszedł. Zaprosił Jazona, by legł naprzeciw niego i Klejte u stołu o złożonych nogach. Gdy Jazon się już ulokował wygodnie, z puchowymi poduszkami pod głową, bogato haftowaną narzutą na nogi i wonnym winem lezbijskim w zasięgu ręki, Kyzikos jął go namawiać, aby mu w zaufaniu wyjawiał cel podróży. Jazonowi wszakże nie było pilno. Nie wyjaśnił nic ponad to, że bóg podszeptał jego sercu, a także sercom jego towarzyszy, aby się udali na Morze Czarne.

– Doprawdy? – odparł grzecznie Kyzikos. – Któraż część tych rozległych i nieprzychylnych wód bóg zalecił jako najbardziej wartą waszego zainteresowania? Czy wybieracie się przypadkiem w gości na Krym, gdzie mieszkają dzicy Taurowie, co gustują w ofiarach z ludzi i zdobią palisady swoich miast ludzkimi głowami? Czy też Herkules zaprasza was do swoich starych nieprzyjaciółek, Amazonek? A może wasz cel stanowi Olbia koło ujścia dumnej rzeki Hypanis, skąd pochodzi najlepszy miód na świecie?

Pominąwszy te wszystkie pytania, Jazon podchwycił wzmiankę o miodzie i skinął na Bootesa, aby wziął udział w rozmowie, powtarzając mu zdanie Kyzikosa o produkcie olbijskim. Bootes zaczął szczegółowo wypytywać gospodarza o kolor, zapach, smak oraz gęstość tego miodu, a choć Kyzikos zbywał

go byle czym, nie obraził się, tylko jął uczenie i długo rozprawiać o zwyczajach pszczół.

– Czyś zwrócił uwagę, dostojny panie – zapytał – że pszczoły nigdy nie wysysają nektaru z czerwonych kwiatów? Jako dawczynie życia unikają koloru śmierci. – Potem, nieco już podchmielony, Bootes zaczął prawić zjadliwie o patronacie boga Apollina nad pszczołą, która służyła poprzednio kreteńskiej bogini. – On, co był kiedyś demonem myszy w Delos! – wykrzyknął. – Myszy są przyrodzonymi wrogami pszczół. Zimą zakradają się do ulów i lasują miód, bezwstydnie złodziejki! Cieszyłem się w zeszłym roku, gdy znalazłem w jednym ze swych ulów martwą mysz. Pszczoły zakłuły ją na śmierć i pięknie zabalsamowały w kicie pszczelim, by uniknąć trupiego fetoru.

I tak dalej; a skoro przerwał, chcąc wychylić kolejny puchar wina, Jazon zaczął

wypytywać Kyzikosa o nawigację na wschodnim obszarze Propontydy oraz o wiosenne prądy w Bosforze. Lecz Kyzikos uważał, że nie jest zobowiązany do żadnych szczegółowych odpowiedzi, i zrećcznie podjął temat miodu. Tak się obaj zwodzili przez chwilę, aż wreszcie Jazon, w kiepskim humorze, przeprosił i wrócił

na dawne miejsce. Dobrze wychowany Bootes wkrótce poszedł w jego ślady.

Klejte powiedziała do Kyzikosa: – Czyś zauważył, kochanie, że ten Jazon ma jasne rzęsy? Mój ojciec, Merops, ostrzegwał mnie kiedyś przed ludźmi o jasnych rzęsach. Żaden nie zasługuje na zaufanie, jak twierdził. Czy możliwe, aby ten Minijczyk przybył na podbój naszego miasta i teraz zamierza czekać, aż wszystkich twoich wiernych towarzyszy sen dzisiaj zmorzy wskutek dobrego jadła i trunku?

– To być może, najmiłsza – odparł Kyzikos – acz nie mogę się z tobą zgodzić, że tak jest na pewno.

– Wygląda, jakby i Herkules, i Jazon coś przed nami ukrywali – stwierdziła Klejta. – Temu nie zaprzeczysz. A pszczelarz wyrażał się o Apollinie całkiem bez szacunku, niemal prowokując, żebyśmy mu wtórowali i w ten sposób napytali sobie biedy. Przyznaj, że ci się to wydało dziwne!

– Owszem. Co zatem radzisz, mądralo?

– Ostrzeż Jazona – poleciła – że obecne miejsce postoju okrętu nie jest bezpieczne, o ile nie zaopatrzą go w cięższe kamienie kotwiczne. Napomknij o sztormach północno-wschodnich. Poradź, aby przesunął *Argo* gdzie indziej, zanim twoi ludzie pożyczą mu parę naprawdę ciężkich kamieni. Możesz polecić osłoniętą zatoczkę akurat z drugiej strony międzymorza... nazywa się Chitos, prawda? Zaofiaruj mu łódź do odholowania okrętu. Nie bardzo może odrzucić propozycję. A jeśli planuje jakieś zdradliwe zaskoczenie, będzie musiał ponownie to rozważyć, bo ucieczka z pałacu nie byłaby łatwa, skoro okręt znajdzie się tak daleko.

Kyzikos usłuchał jej i po chwili wystąpił z projektem. Jazon uznał go za rozsądny i od razu, z wyraźną wdzięcznością się zgodził. Herkules wszakże, bystro podejrzewając, że Kyzikos z innych, niż twierdzi, powodów pragnie zmienić miejsce postoju *Argo*, oświadczył, że gdziekolwiek ją przesuną, on z Hylasem muszą tam się udać; Peleus i Akastos powiedzieli to samo, a Polifem oznajmił, że nie ma zamiaru rozstawać się z Herkulesem, którego ceni ponad wszystkich innych ludzi. W pięciu opuścili biesiadę i na pokładzie *Argo* odholowano ich do zatoczki Chitos, gdzie rzucili kotwicę; lecz hulanka w pałacu trwała dalej, przez całą noc.

Kyzikos z jakiejś niebaczonej uwagi Jazona wywnioskował z początku, że celem podróży jest handel w Synope czy jakimś innym porcie Morza Czarnego, gdzie można nabyć wschodnie towary po znacznie niższej cenie niż w Troi. Ale jeśli tak, po cóż tylu królów i książąt znalazło się na pokładzie? Chyba mieli w planie coś ważniejszego. Czyżby odwiedzali kolejno wszystkie drobne państewka Propontydy i Morza Czarnego w zamiarze utworzenia zaprzysiężonej konfederacji przeciwko Troi i Kolchidzie?

Spytał o to Jazona prosto z mostu, a gdy się Jazon wahał przyznać, oświadczył, że jeśli Grecy wzniecą wojnę przeciw Troi, on i jego teść, Merops z Perkote, pospółu z wieloma innymi

monarchami w sąsiedztwie, radzi wystąpią jako ich sprzymierzeńcy. Ubawiony Jazon pozwolił Kyzikosowi wierzyć w trafność tego domniemania. Nadmienił nawet, że pierwszy port, do którego zawiną opuściwszy Kyzikos, wypada na ziemiach Fineusa, króla Tynii, którego dwaj przybrani synowie (dodał), Kalais i Dzetes, przybyli do Grecji, by namawiać do wojny z Troją, a teraz wracają na *Argo*.

Atoli Klejte z jego oczu i gestów poznała, że kłamie.

O świcie usłyszeli odległy zgiełk oraz dźwięk rogów wojennych. Dolionowie i Argonauci z miejsca chwycili za broń jednakowo pewni, że przeciwna strona knuje zdradę. Lecz Argonauci byli szybsi niż Dolionowie i zastraszyli tamtych. Jazon stanął nad Klejte z dobytym mieczem i zagroził, iż ją zabije, o ile Kyzikos nie rozkaże swoim ludziom złożyć broni. Kyzikos usłuchał. Wtedy herold Echion wybiegł z sali zobaczyć, co się wyrabia, a za nim Kastor, Polideukes i Linkeus.

Zgiełk dochodził znad zatoczki Chitos, po drugiej stronie zatoki, i Linkeus, natężając wzrok, wykrzyknął:

– Tam wre bitwa między naszą strażą a wielką hordą ludzi, co zdają się mieć po sześć rąk... odziani są w skóry niedźwiedzie z czworgiem dyndających łap. Na odsiecz!

Echion popędził do pałacu z nowiną, a Jazon, skoro to usłyszał, schował miecz i prosił Kyzikosa o wybaczenie, którego ten chętnie udzielił. Następnie wszyscy razem zbiegli na brzeg, wsiedli na łodzie i galery i spieszenie powiosłowali na pomoc.

Gdy dotarli do Chitos, potyczka już się skończyła. Bractwo niedźwiedzi spodziewało się zaskoczyć straż we śnie, lecz Hylas podniósł alarm. Zresztą zupełnie przypadkowo. Przez cały czas od wyjazdu z Lemnos wypatrywał

sposobności ucieczki spod kurateli Herkulesa i powrotu do Ifinoe. Jak dotąd nie znalazł okazji: na Samotrace prędko by go przyłapano, zaś na Sestos stale go mieli na oku dwaj czujni wartownicy. Teraz wszakże uznał, że godzina działania wybiła.

Wyśliźnie się na Wyspę Niedźwiedzią, wgramoli na urwisty brzeg, przebiegnie międzymorze (niby z poleceniem od Herkulesa), a potem skręci w głąb lądu na wzgórze frygijskie. Spodziewał się w ciągu paru dni dotrzeć do Troi i tam za pomocą srebrnej kłamry od pasa przekupić jakiegoś ateńskiego lub kadmejskiego szypra, żeby go wysadził na Lemnos.

Hylas czekał, dopóki towarzysze nie posnęli jeden po drugim. Wówczas napełnił sakwę żywnością, włożył do niej tę srebrną kłamrę i parę klejnocików ze złota, wziął oszczep i już się zsuwał z lewej burty koło dziobu, gdy usłyszał

w gąszczu nie opodał stłumione kichnięcie. Wdrapał się tedy z powrotem. Wobec tego niedźwiedznicy, klnąc towarzysza, który kichnął, ruszyli do ataku. Jeden wskoczył drugiemu na barki i byłby się dźwignął przez burzę, gdyby Hylas nie podbiegł i nie przeszył mu gardła oszczepem, tak że runął z wraskiem. Hylas wykrzyknął: – Do broni, do broni! – Akastos i Peleus złapali dzidy, Polifem topór z brązu, i stojąc na burcie, we trójkę odparli niedźwiedzników. Lecz pijany Herkules

wywindował się na miejsce sternika i zawołał o swój łuk i strzały. Skoro Hylas mu je przyniósł, zaczął strzelać. Dziwne, ale po winie strzelał nie mniej celnie niż zwykle, tylko jeszcze o wiele szybciej. Podczas gdy Akatos i Peleus zabili dzidami po dwóch ludzi, a Polifem toporem jeszcze jednego, Herkules przeszył strzałami przynajmniej trzydziestu, zanim reszta zdążyła uciec. Trupy zalegały plażę i płytką wodę przy brzegu niby niezliczone kłody drzewa suszącego się w pagazyjskiej stoczni.

Herkules przysięgał, że zawdzięcza życie czujności tego nadzwyczajnego Hylasa, i ścisnął go ze zwykłym wigorem. Hylasowi tedy przypadły łupy bitewne: trzydzieści pięć znakomitych skór niedźwiedzich, z których dziesięć zapinało się na złote guzy, dwa zacnej roboty hełmy greckie, które niedźwiedzicy zrabowali strażnikom króla Ajneusa, sztylet z brązu z zielono inkrustowanym wizerunkiem koni w pełnym galopie, trzy naszyjniki z niedźwiedzich kłów oraz jeden z wielkich malowanych paciorków z terakoty. Ale oręż większości tych dzikusów stanowiły zwykle dzidy dębowe zaostrzone w ogniu, również dębowe pały i kanciaste krzemienie. Hylas rozdarował Argonautom skóry niedźwiedzie. Tylko Bootes nie przyjął prezentu, mówiąc, że gdyby choć raz tak się wystroił, jego pszczoły dowiedziałyby się o tym i nigdy by mu już nie zaufały.

Wszyscy razem w zgodzie wrócili do miasta. *Argo* zaopatrzone w cięższy kamień kotwiczny, a poprzedni, lżejszy, umieszczono jako wotum ofiarne w świątyni Posejdona, gdzie do dziś można go oglądać. Następnie złożono krwawe ofiary wszystkim po kolei olimpijskim bogom i boginiom. Lecz żadna ofiara nie przypadła Trójbogini, czcili ją bowiem niedźwiedzicy, a także Pelazgowie z Prokonezos oraz Trojanie. Kyzikos jej nienawidził: zaledwie parę dni wstecz powiódł zbrojną wyprawę na Wyspę Niedźwiedzią, której mieszkańcy umknęli przed nim, i tam zastrzelił jednego z lwów, jakich pełno w pobliżu góry Dindymon, poświęconej bogini pod mianem Rei. Zuchwale rozpostarł jego skórę jako przykrycie na swoim łożu małżeńskim.

Orfeusz nalegał, aby Jazon z paroma jeszcze towarzyszami poszedł z nim przebłagać boginię ofiarami na jej świętej górze i wytłumaczyć, że pominięto ofiarę dla niej z przyczyn politycznych, a nie z wrogości ani lekceważenia.

Jazon nie chciał słuchać, utrzymując, że musi zdobyć pełne zaufanie Kyzikosa i w ten sposób zapewnić szczodre zaopatrzenie dla okrętu; zaś potajemną wyprawę z miasta na Wyspę Niedźwiedzią z pewnością by mylnie zrozumiano jako akt zdrady.

Tak więc nikt nie podjął rokowań z boginią i uczta weselna trwała dalej pod auspicjami olimpijskimi. Pod koniec jeden z Argonautów, nie wiadomo który, wygadał się co do ich misji w Kolchidzie. Kilku Dolionów natychmiast objawiło chęć udziału w wyprawie, lecz Jazon nie miał dla nich miejsca na *Argo*. Sam Kyzikos zapalił się do podróży, a jako doświadczony sternik, co już dwukrotnie żeglował do Kolchidy, byłby dla załogi pożądanym nabytkiem, bo Tyfis dostał

boleści i nie mógł jeść ani pić nic prócz owczego mleka oraz jęczmiennego kleiku.

Kyzikos podsuwał, aby Tyfis został raczej w pałacu pod troskliwą opieką, podczas gdy on obejmie ster. Tyfis jednak oświadczył, że czuje się całkiem dobrze i nie ustąpi steru bodaj samemu Posejdonowi, dopóki podróż nie dobiegnie końca, bogini Atena bowiem wyraźnie powierzyła rumpel jego opiece. Królowa Klejta zaś przysięgła na stronie, że jeśli Kyzikos popłynie z Jazonem, ona

natychmiast się uda do domu swego ojca w Perkote i nigdy nie wróci: nie zostanie bowiem pod jednym dachem z głupcem, a tylko głupiec zaufałyby Jazonowi z tymi jego białymi rżęsami.

Piątego przeto dnia Argonauci gotowali się do podjęcia podróży. Kyzikos wzywał błogosławieństwa wszystkich Olimpijczyków dla *Argo* i szczerze obdarował załogę: dostali dzbany wina i zboża, giezła z egipskiego płótna i haftowane opończe. Jazonowi dał dzidę o szerokim ostrzu, z drzewcem inkrustowanym macią perłową, niegdyś własność króla Ajneusa; Jazon zaś ofiarował mu w zamian złoty puchar (jeden z pożegnalnych prezentów Hypsipyle) z wrytym dookoła motywem biegnących jeleni oraz tesalską uzdę ze srebrnym kielzmem. Uścisnęli sobie dłonie i stali się niczym bracia. Lecz Klejcie mruknęła, skoro tylko Jazon obrócił się do niej plecami: – Mam nadzieję, że więcej nie zobaczę tego człowieka.

Wiatr dął rześko z południo-zachodu. Gdy wydzwignęli na pokład oba kamienie kotwiczne i Argos oddał cumę szeregowi Dolionów, aby ją potrzymani, dopóki załoga nie usadowi się na miejscach, nagły podmuch od stoku góry Dindymon zakręcił *Argo* i zepchnął do wody ludzi u cumy. Nikt sobie nie zrobił

krzywdy, a Kyzikos powiedział ze śmiechem:

– Zdaje się, że *Argo* niechętnie opuszcza nasze gościnne wybrzeże. Spójrzcie, jak odwróciła dziób!

Klejte ostrzegła Kyzikosa, zanim jeszcze *Argo* zniknęła im z oczu:

– Najdroższy, pamiętaj przez parę najbliższych nocy wystawiać czujną straż.

Wiatr, który zawrócił okręt Jazona, stanowi ostrzeżenie jakiegoś boga, że on zamierza wrócić zdradziecko, teraz gdy już wyspiegował rozmieszczenie naszych wojsk, i wymordować nas we własnych łózkach.

Gdyby jakakolwiek inna kobieta wystąpiła z czymś podobnym, obruszył się Kyzikos, uznałby ją za głupią intrygantkę. Klejcie na to:

– Skoro jednak nie kto inny, tylko ja tak mówię, nie masz chyba powodu lekceważyć ostrzeżenia? – Nalegała, by trzymał wartę dzień i noc.

O zmierzchu, kiedy *Argo* przepłynęła już spory kawał, bryza ucichła. Łąd zniknął im z oczu. Niebo było pochmurne, choć deszcz prawie ustał. *Argo* otoczyły szarozielone wody, a nieprzerwanej linii horyzontu nie zakłócał żaden okręt, skała czy rafa. Ani Tyfis, ani Argos, ani stary Nauplios (którego pradziad i imiennik pierwszy wśród Greków sterował według Gwiazdy Polarnej) nie mogli na pewno określić ich pozycji.

– Jakiej pogody możemy się jutro spodziewać? – zapytał Jazon Naupliosa.

Ten potrząsnął głową. – Jako chłopak i jako dojrzały mężczyzna spędziłem na morzu trzydzieści lat, każdy sezon żeglarski, ale nie jestem w stanie ci odpowiedzieć! Morze jest dla mnie niczym oblicze starej babki dla dziecięcia.

Nigdy nie potrafię wyczytać z jej rysów, co ma na myśli, jak również, co w następnym momencie strzeli jej do głowy: raz będzie to gładź, raz burza. Spytaj Koronosa: powiadają, że kruk, jego ptak, umie nieomylnie wywróżyć pogodę.

Idas roześmiał się i rzekł: – Wróżby o pogodzie u durniów są w modzie.

Jazon zwrócił się do Koronosa, który odparł po prostu: – Oczekujcie północno-wschodniego szkwału.

Późnym rankiem na północno-wschodzie zaczęło się przecierać, a nagle podmuchy wiatru zrywały się coraz to z innej strony.

Znużony Tyfis wyjaśnił towarzyszom: – To wyraźna przygrywka do szkwału, jaki zapowiedział Koronos. Według mego rozeznania jesteśmy najwyżej o dzień drogi od Bosforu. Lecz nie możemy liczyć na przebycie go podczas wiatru północno-wschodniego. Słyszałem zresztą, że kiedy parę dni tak powieje, prąd w Bosforze rwie z szybkością pięciu lub sześciu węzłów; nie zdołalibyśmy posuwać się przeciw niemu, nawet gdyby sam wiatr miał ucichnąć. Skoro szkwał

w nas uderzy, płynmy z wiatrem, wzdłuż wybrzeży wyspy Besbikos, i skierujmy się ku piaszczystym plażom ujścia rzeki Ryndakos na południo-zachód stąd. To najrozsądniejszy kurs, jeśli chcemy uniknąć rozbicia. Na razie zamaskujmy z powrotem okręt za pomocą ciemnego żagla i nałożmy białego konia na łeb barana.

– Nie, nie! – zaczęli wykrzykiwać Argonauci. – Czemuż byśmy nie mieli znowu wezwać Amfitryty i otrzymać od niej następnej porcji tego znakomitego południowo-wschodniego wiatru? Dalej, Orfeuszu, prowadź obrzęd!

Orfeusz potrząsnął głową. – Nasz wódz Jazon – rzekł – odmówił złożenia ofiar bogini, kiedyśmy czcili bóstwa olimpijskie, ani nie posłuchał mojej rady i nie poszedł jej przebłagać na górę Dindymon. Ośmielił się nawet zawrzeć braterstwo krwi z królem Kyzikosem, który zabił raz świętego lwa bogini i publicznie ogłosił

się jej wrogiem. Jakże możemy teraz oczekiwać, że wzywana przymilnie imieniem Amfitryty uśmiechnie się do nas? Nie bez powodu podmuch wiatru nadleciał

z góry Dindymon i zawrócił *Argo*. Od razu w nim odczytałem przestrożę bogini, żeśmy nie powinni płynąć, dopóki nie zasłużymy na jej wybaczenie: lecz było za późno o tym mówić. Kiepska sprawa, teraz pozostaje nam tylko cierpliwie wypić nawarzone piwo.

Właśnie to powiedział, gdy ze świstem podobnym do lotu dziesięciu tysięcy strzał runął na nich szkwał północno-wschodni, zimny i okrutny, z odległych stepów Scytii. Spieszenie zawrócili okręt i pognali z wiatrem. Morze od razu pokryły białoczone fale, przez które *Argo* mknęła, wznosząc się i zapadając niby spłoszona łania w pełnym rozpędzie; lecz żagiel trzymał wiatr, a dzięki swoim szczelnym burtom nie nabierała wody. Godzina po godzinie rwała naprzód, aż.

Argos wykrzyknął:

– Teraz widzicie, przyjaciele, wyższość okrętu spajanego sworzniami! Inny, prastarym sposobem powiązany tylko rzemieniami, dawno by się już rozsypywał

na kawałki, a my byśmy rozpaczliwie wyczerpywali zieloną wodę wlewającą się przez coraz szersze szpary.

Jednak nawet Linkeus nie zdołał dojrzeć wyspy Besbikos, zaś kiedy o zmroku dotarli do południowego wybrzeża, okazało się ono niedostępne, fale syczały na bezlitosnych skałach. Płynęli dalej w poszukiwaniu ujścia Ryndakos. Już noc zapadła, zaś ubywający księżyc nie zdążył wzejść, zanim ujrzeli przed sobą coś, co okazało się płaską równiną rozciągniętą pomiędzy dwoma pagórkami. Parę świateł

pełgało u stóp wzgórza po lewej stronie i Argos powiedział:

– To będzie Daskilion, mała osada trojańska złożona z około dwudziestu domów. Przypuszczam, że brzeg okaże się płaski i nie kamienisty, jeśli dobijemy na wprost.

– Najlepiej śmiało – rzekł Peleus. – Okrzyk wojenny i biegiem na ląd.

Zaskoczmy i nastraszymy mieszkańców.

Jazon się zgodził. Włożyli hełmy i zbroje i niebawem wiatr przeniósł okręt przez pianę przybrzeżną, osadzając na piaszczystej, gościnnej plaży. Wyciągnęli go poza zasięg fal i uwiązali do gładkiej skały, która znalazła się pod ręką, po czym runęli gromadą ku światełkom, wrzeszcząc: – Bij, zabij!

## **POGRZEB KRÓLA KYZIKOSA**

Zbrojni mężowie wysypali się z domów na wzgórzu i opodal plaży zawrzała bitwa. Argonauci trzymali się razem – wszyscy prócz Herkulesa, który wysforował

się naprzód, waląc na prawo i lewo straszliwą maczugą – lecz przeciwnicy walczyli w rozsypce i bez ordynku. To była pierwsza bitwa Jazona i święty gniew nim owładnął. Dzidą podarowaną przez Kyzikosa przeszywał niewyraźne postacie, co stawiały mu czoła, podczas gdy z prawej strony Polifem Lapita z długim mieczem, zaś z lewej Mały Ankajos z toporem wyrąbywali drogę ku zabudowaniom. Była to krwawa robota i już dziesięciu nieprzyjaciół padło na polu bitwy, a reszta podała tyły, gdy nagle z okrzykiem bojowym trzech rosnących drabów ruszyło ze wzgórza do ataku. Ich przywódca biegł wprost na Jazona, który pchnął go dzidą i przebił na wylot. Grot wyszedł z tyłu przy kręgosłupie i Jazon nie mógł go wyrwać, nawet zaparłszy się stopą w udo przeciwnika. Jednego z pozostałych dwu powalił Mały Ankajos, odrąbując mu głowę trzema uderzeniami, zaś ostatni uciekł z krzykiem:

– Zginęliśmy, ooo, zginęliśmy! Szlachetny król Kyzikos poległ!

Argonautów zdjęła zgroza; Jazon zawołał: – Światła! Dajcie światła!

Młody Hylas (a on też zdążył wrazić oszczep w trzewia jednego z nieprzyjaciół) porwał dymiącą sosnową pochodnię, jaką upuścił konający, i zakręcił nią nad głową, aż zapłonęła jasno. Podbiegł do



Jazon, który pochylił się i przyjrzał człowiekowi u swoich stóp, aby stwierdzić, że to istotnie król Kyzikos przeszyty podarowaną dzidą, dzidą własnego ojca.

Kyzikos podniósł oczy i wykrztusił: – Klejte, Klejte! – Potem krew rzuciła mu się ustami i umarł.

Teraz okazało się wreszcie, że minęli rzekę Ryndakos o jakieś dwieście dwadzieścia pięć stadiów i że Trójbogini, dla złośliwego żartu zagnała Argonautów z powrotem do drugiego boku tegoż międzymorza, które opuścili dwa dni temu.

Jazon rozkazał heroldowi Echionowi udać się do pałacu i w jego imieniu zawrzeć tam pokój z Klejte oraz bratem Kyzikosa i ocalałymi wodzami Dolionów.

Echion podjął mężnie to niebezpieczne zadanie, lecz gdy po dłuższym czasie osiągnął tyle, że go wpuszczono, i poprosił o zaprowadzenie do Klejte, znalazł

królową powieszoną na belce w łóżnicy małżeńskiej. Odciął ją, lecz było za późno.

Dzień zaświtał jasny i wietrzny. Wiatr gnał z sykiem na piasek wielkie fale, które rozpryskiwały się ulewą kropel o rufę *Argo*. Dolionowie już pozbierali i rozpoznali swoich poległych i donośny lament niby wycie wilków rozległ się z każdego domostwa. Argonauci stali opodal w małych grupkach, szepcząc pomiędzy sobą, zakłopotani. Jeden Idas ośmielił się odezwać. Podszedł do Jazona i powiedział głośno:

– Jesteśmy w tej sprawie niewinni. Krew naszych drogich gospodarzy spada wyłącznie na twoją głowę. Dlaczego zlekceważyłeś ostrzeżenie Orfeusza?

Dlaczego nie przejednałeś bogini?

Jazon położył dłoń na rękojeści miecza i rzekł: – Idasie, jako wodzowi przysięgałeś mi posłuszeństwo. Teraz nakazuję ci milczeć. Posłuchaj. Śmierć mego nieszczęsnego królewskiego brata ciąży mi na sercu, lecz nie sądzę, aby mnie bardziej należało za nią winić niż ciebie. Jasne jest, że Wielka Bogini wszystkich nas jednako uczyniła narzędziem swej pomsty na nim za śmierć świętego lwa.

Niech sama bogini, a nie my, odpowiada za zniwo tej nocy. Żaden z naszych towarzyszy nie został zabity ani bodaj ranny, oprócz paru zadraśnięć, co wydaje się osobliwe i wyraźnie dowodzi, że cały jej gniew zwrócił się właśnie przeciw Dolionom.

Idas już miał się odciąć jakimś szyderstwem, kiedy Herkules złapał go z tyłu i podrzucił w powietrze, tak że biedak wywinął kozła i chwiejnie stanął na nogach.

– Dość powiedziałeś – stwierdził Herkules, wymachując maczugą. Idas przełknął zniewagę.

Z Dolionami zawarto pokój. Aleksander, który dziedziczył tron, uznał

tłumaczenie Jazona, że jego ludzie wierzyli, jakoby ich zniosło do Daski-Honu; uwolnił ich od wszelkiej winy i wyznał, że on ze swej strony wziął ich mylnie za wrogich sobie Pelazgów z Prokonezos. Wyraźnie odczuwał raczej radość niżli żal z powodu śmierci brata. Następnie wszyscy razem, Argonauci i Dolionowie, ułożyli stosy, a na nich dwanaście ciał wśród rozmarynu oraz innych słodkownych ziół, aby osłabić odór przypiekanego ludzkiego mięsa, obok zaś całą podarowaną żywność, jaką przedtem załadowali na *Argo*, oprócz wina.

Społem zatańczyli zbrojno wokół stosów, po trzykroć okrążając każdy i dzwoniąc orężem, podczas gdy służba dęła w konchy i bębniła, aby odstraszyć duchy poległych. I za każdym razem, przy trzecim okrążeniu, tancerze ciskali zapalone główne na stos i patrzyli, jak płomień bucha i pożera zwłoki. Na wietrze stosy buzowały łakomie i niebawem po zmarłych nie pozostało nic oprócz rozżarzonych kości. Usypali nad nimi wyniosłe kurhany, dla Kyzikosa najwyższy ze wszystkich.

Argonauci obmyli się trzykrotnie w źródlanej wodzie i zmienili przyodziewek.

Złożyli w ofierze czarne owce, łbami na dół, i oblali krwią mogiły, by ugasić mściwe pragnienie duchów; a ponadto obiaty z wina, by zaćmić ich pamięć.

Garściami rwali włosy z głów. Duch Klejste atoli nic Argonautów nie obchodził.

Trzy dni trwały igrzyska pogrzebowe ku czci króla Kyzikosa, a wzięli w nich udział również Dolionowie; lecz Argonauci, jak było do przewidzenia, zwyciężyli we wszystkich dyscyplinach.

W zapasach na swego reprezentanta wybrali Długiego Ankajosa zamiast Herkulesa czy Kastora. Bo Herkules zabił niechcący ostatnich dwóch przeciwników, z którymi się zetknął na ringu i nadal go od czasu do czasu trapiły ich gniewne duchy; Kastor zaś wybił sobie palec, gdy owej fatalnej nocy skakał

z pokładu *Argo* na brzeg. W pierwszym starciu Ankajos złapał wpół doliońskiego zawodnika, zbił go z nóg, powalił na bok i szybko położył na łopatki, zanim się tamten opamiętał. To zapewniło Ankajosowi złoty puchar, bo Dolion nie miał już ochoty próbować z nim drugiego starcia.

W podnoszeniu ciężarów bez trudu wygrał Herkules. Dolioński współzawodnik oburącz usiłował wziąć nowy kamień kotwiczny *Argo* na ramiona; ale podczas gdy zadyszany daremnie się szamotał, Herkules podszedł z tyłu i posadziwszy biedaka przemocą na kamieniu, podłożył pod spód jedną dłoń i wydzwignął go nad głowę z Dolionem wciąż okrakiem na wierzchu. A gdy Dolion zeskoczył i uznał się za pokonanego, Herkules podrzucił kamień w rękę, pytając, czy ktoś miałby ochotę zagrać z nim w piłkę. Nie było odpowiedzi, więc cisnął kamień niby krążek w powietrze ponad głowami widzów. Szczęśliwie nie trafił nikogo.

Ten wyczyn zapewnił Herkulesowi srebrny puchar – srebro bowiem Dolionowie cenili wyżej niż złoto.

Kastor otrzymał złocisty pióropusz do hełmu za zwycięstwo w wyścigu dwukonnych rydwanów; lecz same zawody nie zasługują na pamięć, ponieważ tutejsze konie okazały się kiepskiej rasy w porównaniu ze spartańskimi czy tesalskimi.

Polideukes zdobył piękny tkany dywan z aboks; był strasznym przeciwnikiem i igrał ze swym partnerem jak dziki kot z myszą. Dolion nieustannie wchodził

w zwarcie ku obrzydzeniu Argonautów, w Grecji bowiem uznaje się to za chwyt niegodny. Ale Polideukes pozwalał mu wyjść cało z każdego zwania, a potem rzucał się nań, lokując lewe proste na jego szczęce, dopóki tamten oszołomiony i żaloszny nie przykląkł na jedno kolano.

Bieg się nie odbył, gdyż miała w nim wystąpić Atalanta; skoro zaś Dolionowie odmówili współzawodnictwa z kobietą, Jazon nie chciał obrazić Atalanty, zastępując ją kim innym.

Uznano za wskazane, żeby Jazon reprezentował Argonautów przynajmniej w jednej dyscyplinie, więc pozwolili mu wystąpić w zawodach łuczniczych, choć Faleros z Aten był znacznie lepszy niż on, a Herkules jeszcze przewyższał

Falerosa. Przyniesiono na pole gęś i nasypało jej jęczmienia; na dany sygnał Jazon oraz jego przeciwnik mieli kolejno celować do niej z odległości sześćdziesięciu kroków. Pierwsza strzała Doliona zraniła gęś w nogę, przygważdżając ją do ziemi i powodując trzepotanie skrzydłami, ale strzała Jazona drasnęła pierś i utoczyła trochę krwi. W drugiej kolejce obaj chybili z powodu nagłego podmuchu wiatru.

W trzeciej strzała Doliona przeszła kuper ptaka, a strzała Jazona – łeb. To mu zapewniło wieniec oliwny, odrzucił bowiem wszelkie inne dary, ponieważ, jak mówił, te, które otrzymał przedtem, niewiele mu szczęścia przyniosły.

Wreszcie nastąpiły zawody muzyczne i Fokeos, dolioński bard nadworny, do wtóru liry odśpiewał gardłowo długą elegię o Kyzikosie oraz jego poległych towarzyszach, rozwodząc się drobiazgowo nad szlachetnym pochodzeniem i zuchwałymi czynami każdego z nich; kolejne strofy zamykał tym samym smętnym lamentem:

*Lecz poległ nocą, biada, biada,*

*Przeszyty druha ręką.*

Zdobył poklask wedle zasługi, po czym wszystkie oczy zwróciły się na Orfeusza. Orfeusz nie modulował donośnego głosu wzorem Fokeosa ani nie szarpał

strun efektownymi gestami dłoni i przegubów, a słowa jego pieśni nie były pustą chwałbą poległych. Zwróciwszy stroskaną twarz ku Dindymon i trącając struny, jak gdyby każdy dźwięk sprawiał mu wyraźny ból, kazał lirze załkać żalem i czystym głosem zaśpiewał:

*O Matko, przebacz, twój szalony syn*

*Tak młody jest, twe imię ledwo zna.*

*O Wszchemogąca, Wstrzemięźliwa Pani,*

*Daruj mu dzisiaj każdy jego czyn,*

*Każdy postępek zły.*

*Mocną rozbijcie łódź, wyrwajcie ster*

*Tym, którzy wznoszą w górę żagiel krzywd!*

*A choć ich duchy jęczą w krzyku mew,*

*Tańczcie w triumfu noc na czaszkach ich.*

*Matko, uśmiechnij się.*

*A kiedy węże syczą, ryczą lwy...*

Łzy nie pozwoliły mu dokończyć; wszyscy Argonauci płakali wraz z nim.

Echion zdjął z prawej nogi złożony sandał ze skrzydełkami u pięty, oznakę swego heroldowskiego urzędu. Dał go Orfeuszowi i rzekł:

– Orfeuszu, jesteś lepszym heroldem, niż ja kiedykolwiek być potrafię.

Potem jak jeden mąż powstali i poszli gęsiego przez międzymorze na Wyspę Niedźwiedzią. Wspięli się na górę Dindymon dróżką, zwaną dziś szlakiem Jazona, chyląc kornie głowy dla przebłagania gniewnej bogini. Nie lękając się niedźwiedników, bo Atalanta poszła z nimi i, podczas gdy oni zatkali sobie uszy, wydała przenikliwy, bezzadny, chichotliwy okrzyk, co chłodem ścina krew w żyłach mężów: zew dziewiczej łowczyni, która ostrzega obcych, by zeszli jej z drogi, jeżeli nie chcą obrócić się w jelenie. Dotarli więc bezpiecznie na szczyt, skąd, jako że dzień był piękny, mogli dostrzec niemal całe wybrzeże Propontydy, zaś Prokonezos zdawało się leżeć co najwyżej o strzał z łuku. Linkeus, patrząc na północo-zachód, wykrzyknął: – Widzicie tę srebrną wstęgę w oddali? To Bosfor, którędy wiedzie droga do Kolchidy. – Nikt inny wszakże nie zdołał dojrzeć cieśniny.

W kotlinie, prawie na szczycie, znaleźli pień sosny o wierzchołku spalonym przez piorun, drzewo wszakże było tak wielkie, że dwóch mężczyzn nie mogło go objąć wyciągniętymi ramionami. Ten właśnie pień Argos zaczął ociosywać toporem, dopóki nie przybrał on kształtu bogini przykucniętej z głową, objętą dłońmi i łokciami wspartymi na podniesionych kolanach. Kiedy skończył, wszyscy uwieńczyli czoła bluszczem i padli na twarz przed figurą. Kaleczyli się nożami, póki krew nie trysnęła i wyli błagalnie o wybaczenie, podczas gdy Atalanta oplotła posąg kwiatami, zwracając się doń jako do „Miłej Pani o Promiennym Obliczu”.

Potem każdy poszedł szukać wielkiego kamienia, największego jaki by potrafił

unieść albo przytoczyć, a Herkules zbudował z nich solidny ołtarz. Na ołtarzu położyli dary, które ze sobą przynieśli – jęczmień, sezam, żołądź, szyszki sosnowe oraz cenny dzbanek hymetańskiego miodu, dar Bootesa. Skoro Atalanta odmówiła odpowiednie modły, odwrócili oczy i czekali na znak. Niebawem usłyszeli ryk lwa, trzykroć powtórzony, i zrozumieli, że już wszystko w porządku.

Wrócili na międzymorze, para za parą, po drodze zaś zauważyli chmury gromadzące się na południo-

zachodzie. Tyfis rzekł: – Za trzy dni możemy płynąć.

– Czemu nie dziś wieczór? – spytał Jazon.

– Trzeba poczekać – odparł Tyfis – aż wiatr nas wyprzedzi osłabi prąd w cieśninie.

Tej nocy, a była ona ostatnia przed nowiem, prześladowali ich we śnie polegli Dolionowie. Mały Ankajos, Peleus, Faleros i Ergions z Miletu zerwali się przez sen i chwyciwszy za broń, byliby się pozabijali nawzajem, gdyby hałas na szczęście nie zbudził Idmona. Prysnał im w twarz zimną wodą, aby ich przywrócić do przytomności.

Rano zdecydowali odpłynąć co prędzej, robiąc następny postój u ujścia rzeki Kiany, którą od północy osłania wyniosłe pasmo Gór Argantońskich. Przedtem jeszcze Idmon podjął się zażegnać duchy skuteczniej, niż je zażegnano na pogrzebie.

Polecił towarzyszom obmyć się trzykrotnie w morzu i raz w wodzie źródlanej (co też sam zrobił) oraz ozdobić czoła wiankami z szarozielonej oliwki. Wtedy, stanąwszy na kurhanie Kyzikosa, odziany w strój kapłański, kazał im przedefilować przed sobą i każdego dotknął niosącą szczęście gałązką wawrzynu.

Nastąpiła ofiara z prosiąt, które najpierw wykrwawiły się na kurhany, a potem je w całości spalono na niskich paleniskach, dopóki ogień nie pożarł ich ze szczętem.

– Jedzcie smacznie, drogie duchy! – wołał Idmon swym wysokim głosem. Później rzędem wetknął w ziemię trzydzieści jeden polan dębowych, a obok nich rozmieścił patyki niby dzidy, zwąc każde polano imieniem jednego Argonauty. Na palcach odprowadził towarzyszy przez strugę, boso, tak aby bieżąca woda zmyła woń przed wężącymi duchami. Sam wrócił i przemówił do nich w te słowa: –

Duchy, zapomnijcie urazy i zadowolcie się nareszcie wyznaczonym miejscem spoczynku. Raczcie nie trapić stad pomorem ani zbóż zarazą. Spójrzcie, przed wami rzędem, z dzidami w ręku, stoją ci, co was nieumyślnie zabili. Dręczcie ich, skoro musicie, lecz niechaj gniew nie spada na ich dzieci ani innych niewinnych! –

Po kolei wymienił imię każdego polana. Wreszcie, nakrywając głowę opończą, także oddalił się cichaczem i przekroczył strugę.

– Na morze! Na morze! – wołali Argonauci.

– Niech żaden z was nie ogląda się na kurhany – ostrzegł Idmon – żeby duchy was nie poznały i nie odgadły fortelu. – Ale zapomniał umieścić w rzędzie własne polano i nazwać je Idmonem. Duch Doliona imieniem Megabrontes, którego sam zabił w potyczce, zakradł się na nim, przefrunął na pokład *Argo* i wypęzł do schowka pod siedzeniem sternika. Tam się zaciał w nadziei pomsty. Linkeus dojrzał, jak wytrzeszcza na Idmona płynące oczy, lecz nic nikomu na razie nie powiedział, nie chcąc zwracać na siebie uwagi ducha.

Niebawem znowu znaleźli się na morzu, wiatr południowo-zachodni nappełnił

ich żagiel, a Orfeusz grał bezsłowną pieśń ku czci bogini z Dindymon tak słodką, że Argonautom się zdało, jakoby morze okryło się kwieciem. Połyskliwy zimorodek uleciał z cypla Wyspy Niedźwiedziej, gdy go okrążali, przysiadł na rei i zaćwierkał, strzepując kuse skrzydełka.

Orfeusz odłożył lirę. Wszyscy zaczęli wypytywać Mopsosa: – Co ptaszek mówi? Czy to posłaniec od bogini?

– Wciąż i wciąż powtarza to samo – odparł Mopsos – „Dzieci, nie grzeszcie więcej!”

Atoli Dolionowie okrągły miesiąc obchodzili żałobę, nie paląc ognia i zadowolając się nie warzoną strawą.

## **HYLAS UTRACONY**

Herkules, wiosłując, zaczął mamrotać: – Pewien jestem, że król Eurysteus posłał już za mną herolda Tałtybiosą z rozkazami co do jakiejś nowej pracy. Jeśli będziemy nadal musieli tak marudzić jak ostatnim razem, przyłapie mnie równie niezawodnie jak przeznaczenie. Nie będę zdziwiony, jeśli się okaże, że już na mnie czeka na skale u wejścia do Bosforu. I powie z tym swoim mdłym uśmieszkiem:

„Bywaj, najszlachetniejszy Herkulesie! Mój pan, król Myken Eurysteus, twój zwierzchnik, wysłał mnie, abym ci przekazał jego najświeższe zlecenie. Masz wleźć na księżyc i przynieść mu stamtąd trochę dojrzałych poziomok... tylko pamiętaj, żeby były dojrzałe!” Ba! Po co takiemu poziomki z księżycy? –

wytłumaczcie mi to! Czy ich braknie w jego własnych parowach? Na święte węże, cóż za głupie wymagania stawia mi ten kłapouchy idiota! Ale najgorsze w całej zabawie jest to, że muszę je ze śmiertelną powagą zaspokajać.

Chcąc go pocieszyć, Jazon powiedział: – Zaiste, książę Herkulesie, nie stać nas na to, aby cię postradać. Lepiej pospieszmy się, jak radzisz!

– Weź się sam do wiosła dla odmiany, chłopcze – odrzekł Herkules – i niech na dziś Orfeusz będzie naszym kapitanem. Zdaje się mieć więcej rozumu niż ktokolwiek inny na tym okręcie, jeśli nie liczyć małego Hylasa. Weź wiosło Idmona, Idmon zaś niech zastąpi Tyfisa, który wygląda jak zbity pies i powinien się wygrzać otulony derką.

Jazon ujął wiosło, a Tyfis z ociąganiem pozwolił Idmonowi, aby za niego sterował. Tyfis z dnia na dzień słabł; z góry Dindymon Herkules musiał go znosić na własnych barkach.

– Teraz – powiedział Herkules – pospieszmy się. Dam srebrny puchar wygrany na zawodach temu, kto dotrzyma mi kroku w wiosłowaniu, zanim wieczór dobijemy do brzegu. Zagraj nam, Orfeuszu!

Orfeusz zagrał pieśń wiosłarską o powolnym, rozkołysanym rytmie i zaczął

improvizować na temat słońca, które co dzień na ognistym rydwanie przebiega niebiosą ze wschodu na zachód, zaś każdej nocy powraca przez ocean złocistym czółnem w kształcie lilii wodnej, uśpione podczas żeglugi. Śpiewał też o kolchidzkiej Ai, gdzie znajdują się stajnie białych rumaków słońca,

co chrupią złote ziarno, otrząsając na ziemię płaty piany. Każda strofa stanowiła powtórzenie poprzedniej, tylko na początku przybywał jeden nowy wiersz. To narastanie rzucało urok, który ponaglał załogę do dalszego wysiłku. Godzina po godzinie ciągnęli, każdy chełpiąc się w duchu, że on będzie ostatnim, co poniecha wiosła.

Herkules siedział ze szklistym wzrokiem niby ktoś, kto wiosłuje we śnie, lecz co chwila przyłączał do chóru swój ochryply bas. Tak sunęli, zwrotka za zwrotką, aż minęli zarosłe ujście rzeki Ryndakos i jej mokradła rozbrzmiewające krzykiem dzikiego ptactwa oraz zalesioną wyspę Besbikos, czterdzieści stadiów dalej na północ. Ta połać morza roiła się od wszelkiego rodzaju ryb, po części nie znanych Grekom, dziwacznej barwy i kształtu. Dzień był upalny i około południa Długi Ankajos odezwał się do Herkulesa, niweczając czar pieśni:

– Miły przyjacielu, przestańmy na chwilę wiosłować i posilmy się odrobiną wina i plackiem jęczmiennym.

Herkules w odpowiedzi z całej siły płuc ryknął następną zwrotkę i ani Ankajos, ani nikt inny nie śmiał powtórnie wspomnieć o odpoczynku. Tak więc wiosłowali, zwrotka za zwrotką, godzina po godzinie, dotrzymując tempa Herkulesowi. Minęli frygijską osadę Myrleę, pobudowaną na płaskim brzegu, otoczoną starannie uprawionymi wzgórzami; i wszyscy marzyli, aby tam zawinąć, bo na tarasowatych zboczach za miastem mogli rozróżnić długie rzędy troskliwie pielęgnowanej winorośli, lecz bezlitosna pieśń trzymała ich u wiosł. Dolopijczyk Eurydamas i jego towarzysz Koronos z Gyrtonu pierwsi musieli się poddać, ze wstydem wyjmując wiosła z dulek. Erginos z Miletu i Askalafos syn Aresa poszli za ich przykładem. Skoro Faleros Ateńczyk połapał się, że wszyscy czterej byli rodowitymi Minijczykami, zakpił:

– Gdyby tę podróż odbywali sami Minijczycy, wątpię, czybyśmy w ogóle kiedykolwiek dostrzegli, jak wybrzeża Grecji kryją się za horyzontem.

Tym sposobem obudził ducha współzawodnictwa między rodowitymi Minijczykami a tymi, co zostali Minijczykami jedynie przez adopcję.

Wśród następnej dziesiątki, która odłożyła wiosła, znalazł się sam Faleros i jego towarzysz Bootes. Pieśń nadal wznosiła się i opadała ochryple, gdy sunęli przez Zatokę Kianejską; lecz ci, co zrezygnowali z rywalizacji, ze zmęczenia przestali śpiewać. Długi Ankajos zemdłał i upadł twarzą na wiosło, z czego skorzystał Mały Ankajos, by także wiosło odłożyć i cucić swego imiennika, pryskając mu w twarz morską wodą. Po lewej, na przeciwnym brzegu zatoki, wznosił się stromo groźny masyw Gór Argantońskich w śniegowych czapach i opończach z sosen, gdzie spotkać można niebywałej wielkości niedźwiedzie.

Kiedy znaleźli się o jakieś czterdzieści pięć stajów od celu, czyli ujścia płytkiej, ale rwącej rzeki Kiany w głębi zatoki, tylko Kastor, Polideukes, Jazon i Herkules jeszcze ciągnęli wytrwale. W miarę jak załoga kolejno odkładała wiosła, zadanie pozostałych robiło się coraz cięższe i coraz więcej wysiłku musieli wkładać w swój trud. Niebawem Kastor i Polideukes jednocześnie przestali wiosłować, bo żaden nie chciał górować nad drugim, a Kastorowi brakło już sił. Jazon, z rękami w pęcherzach od wiosła, posępnie ciągnął dalej, nierad ustąpić pierszeństwa Herkulesowi. Jeszcze z pięć stadiów i zawody się skończą. Lecz Jazon nie zanurzał

wiosła w wodę tak głęboko jak Herkules i Idmon z ledwością mógł utrzymać okręt na kursie.

Herkules śpiewał coraz głośniejsze, Jazon coraz słabiej. Wreszcie wypadł z rytmu i zwałił się na wznak. Herkules sam został przy wiosłach. Zamulony prąd Kiany spychał *Argo* w tył; Herkules z całej siły próbował przeć naprzód. Nagle rozległ się głośny trzask, a potem odgłos uderzenia. Wiosło pękło mu na dwoje i jego ułamkiem zadał sobie tak potężny cios w pierś, że go odrzuciło, przez obalonego Dzetesa, który za nim siedział, w objęcia Meleagra, zaś Meleagra w ramiona Naupliosa. Herkules oprzytomniał, rozejrzał się i wykrzyknął gniewnie:

– Na lwy i lamparcice! Niech mi kto poda prawdziwe wiosło, nie taką spróchniałą szczapę jak to!

Argos odpowiedział za wszystkich: – Nie, szlachetny Herkulesie. Wiosło nic nie zawiniło. Twoja cudowna siła w starciu z tą porywistą rzeką skruszyłaby najmocniejsze wiosło na świecie. Dalej, druhowie Minijczy, jeszcze trochę wiosłowania, a będziemy dziś wieczór obozować tam, na tych wdzięcznych łąkach przetykanych białymi kwiatkami!

Znużeni ludzie ponownie wetknęli wiosła w dulki, zaś Herkules wyjął wiosło z bezwładnych rąk Jazona. *Argo* znowu śmignęła naprzód, Idmon skierował ją w zatoczkę. Tam zarzucili kotwicę, zeszli na zielony brzeg i od razu wzięli się do zbierania suchego drzewa na ognisko, które Augiasz rozpalił za pomocą krzesiwa; był najbieglejszy w całej Grecji w sztuce rozniecania ognia w deszczową czy wietrzną pogodę, choć nikt by się tego nie domyślił po jego tłustych dłoniach i leniwych ruchach. Napełnili kociołek okrętowy rzeczną wodą, aby ugotować w niej tuzin wielkich ryb, jakie po południu złowił Tyfis, wlokąc haczyk z przynętą i pływakiem za okrętem; czuł się wszakże taki słaby, że wołał Hylasa, aby za niego wciągał na pokład każdą złapaną rybę. Rybna zupa zaprawiona mąką jęczmienną oraz wonnymi ziołami rozgrzałaby ich dostatecznie; tylko Herkules oświadczył, że choć muł rzeczny nie zepsuł może smaku zupy, on potrzebuje czystej wody przynajmniej do mieszania z winem. Pozostali Argonauci byli zbyt zmęczeni, aby dbać o to, co piją, jednakże Hylas ofiarował się poszukać czystego źródła i przynieść Herkulesowi, czego sobie życzy. Z powrotem wdrapał się na *Argo* po swój dzbanek, ale zarazem wziął sakwę zawierającą srebrną kłamrę do pasa, złote ozdoby i zapas mięsa oraz fig. Wreszcie nadarzyła się okazja ucieczki. Wszyscy Argonauci prócz Herkulesa są zanadto znużeni, by go ściagać; był zaś przekonany, że Herkulesa łatwo przechytry.

– Uważaj, moje kochanie – rzekł Herkules. – Trzymaj się brzegu rzeki, a jeśli napotkasz jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, od razu zawracaj i wołaj o pomoc!

Chodź, pocałuj mnie najpierw!

Hylas ucałował Herkulesa nader ogniście, w nadziei, że odwróci jego uwagę od sakwy. Herkules nic nie podejrzewał; skoro Hylas zniknął za zakrętem nadrzecznej ścieżki, wydał potężne westchnienie niczym pierwotny podmuch wiatru, co zwiastuje szkwał.

– Ach, jak ten chłopak mnie kocha! – wykrzyknął. – Nie zazdrościsz mi, Idasie?

Nie zazdrościsz mi, Dzetesie? Linkeusie, ty, który bystrością wzroku przewyższasz wszystkich na świecie... Argosie, Naupliosie, Orfeuszu, bracie mój Polifemie, ty, co podróżowałeś dalej niż ktokolwiek z tego towarzystwa (oprócz mnie)...



Atalanto, na której, jako kobiecie, można polegać, że odpowiesz bez uprzedzeń...

czy kto z was kiedykolwiek widział piękniejszego, lepiej ułożonego, wdzięczniejszego lub czulszego chłopca podczas wszystkich naszych wędrówek?

– O, na pewno nie, najszlachetniejszy Herkulesie – odparli chórem. Ale Tyfis dodał łagodnie: – Bądź ostrożny, Herkulesie, bo wzbudzisz zawiść jakiegoś boga!

Właśnie takie niebaczne pochwały pokusiły Zeusa do porwania młodego Trojanina Ganimeda. Pozwól mi odwrócić wszelkie niebezpieczeństwo od Hylasa za pomocą małej przygany. Jego nos jest trochę za krótki, usta trochę za duże i pijąc zakrzywia mały palec z pewną afektacją.

– Lubię krótkie nosy, jego usta mają zarys doskonały, a jeśli powiesz... jeszcze słowo na temat jego wytwornego sposobu picia, użyję maczugi jako tłuczka i utnę cię na miazgę.

– Bardzo pięknie – rzekł Tyfis. – Cofam swoje słowa wypowiedziane w najlepszej intencji.

– Daruj sobie najlepsze intencje i trzymaj się prawdy – powiedział surowo Herkules. – Prawda jest wielka i ona przeważa. – Potem przypomniał sobie o złamanym wiosle i oznajmił towarzyszom: – Idę wyciąć dla siebie wiosło; prawdziwe wiosło, co się nigdy nie rozleci na pół. Kiedy Hylas wróci, bracie Polifemie, zadbaj, aby dobrze podjadł i wypił trochę wina, ale nie za dużo.

Uważam, że wino w dużych ilościach nie służy dzieciom.

Herkules odszedł i zwawo okrążył okolicę w poszukiwaniu odpowiedniej sosny, lecz nie znajdował nic zadowalającego. Każde z drzew, jakie badał, okazywało się albo zbyt małe, albo zbyt wielkie, albo miało za dużo gałęzi, albo było krzywe.

Gdy zmrok zapadł, wrócił w złym humorze i zażądał zapalanej pochodni. Polifem spieszenie mu ją podał i Herkules wyruszył znowu. Upłynęły ze dwie godziny, zanim znalazł sosnę, która mu się spodobała, wspaniałe drzewo, śmigłe i proste niby topola, wyrosłe na skraju ciemnego zagajnika. Obluzował jej korzenie maczugą, potem schylony na rozkraczonych nogach szarpał je wściekle i w końcu dało się wyrwać, z dobrą furą ziemi uczeplonej korzeni. Wtedy, otrząsnąwszy ziemię, zarzucił sobie drzewo na ramię i potykając się wrócił do ogniska.

– Niech mi kto poda siekierę! – wrzasnął. – Mam zamiar ociosać to wiosło od razu, zanim zjem. I, Argosie, musisz się pofatygować i przewiercić w burcie nową dulkę dla mego wiosła, dwa razy taką jak reszta.

Strugał i ciosał, wielce pomrukując, aż nagle krzyknął: – Hylasie, hej tam, Hylas kochanie, chodź no i zobacz, co ja robię!

– Hylas jeszcze nie wrócił, dostojny bracie – odezwał się Polifem. – Czy mam go iść poszukać?

– Jeszcze nie wrócił? Co znaczy: „Jeszcze nie wrócił”? – ryknął Herkules. –

Proszę, nie próbuj mi dokuczać. Jestem drażliwy, póki sobie dobrze nie podjem i nie popiję.

– To wcale nie żart – odparł Polifem. – Hylas poszedł z dzbankiem i dotąd nie wrócił. Czy mam iść go poszukać, zanim wykończysz to wiosło?

– Lepiej tak zrób, Polifemie – zdecydował Herkules – a kiedy go znajdziesz, powiedz mu w moim imieniu, że może się spodziewać największego lania w życiu za to, że mi przyczynił tyle niepokoju.

Zarzuciwszy wiązkę pochodni na plecy, z jedną zapaloną w rękę, Polifem oddalił się w górę rzeki. Idąc nawoływał głośno Hylasa po imieniu, lecz nie dostał

odpowiedzi oprócz szyderczego pohukiwania sowy. Był doświadczonym leśnikiem i wkrótce dostrzegł ślady drobnych stóp obutych w sandały. Był to trop Hylasa, który najwidoczniej biegł. Palce prawej nogi nie zagłębiały się więcej niż palce lewej: ciężki dzbanek z brązu musiał przeto równoważyć jakiś ciężar z drugiej strony. Czy może Hylas wrzucił dzbanek do rzeki? Ślad powiódł Polifema brzegiem małej strugi kończącej się głębokim źródłem zwanym krynica Pagaj, a tam zastał złożone nad wodą sandały i dzbanek Hylasa oraz opończę z sarniej skóry, lecz Hylasa nie było. W tej chwili nagły krzyk jakiegoś nocnego ptaka rozległ się z zarośli, a Polifem zmylony chwycił za miecz i skoczył w gęstwą pewien, że rozbójnicy lub jakieś dzikie zwierzę unoszą Hylasa. Wołał: – Hylasie, Hylasie, co oni ci robią?

Herkules usłyszał go przy robocie na brzegu i chwyciwszy wielką maczugę, pognął susami w górę rzeki. Wkrótce spotkał Polifema, który dzwoniąc zębami, wykrzyknął drżącym głosem:

– O drogi Herkulesie, przygotuj się na złe wieści. Hylas dotarł do tego tu źródła, lecz nad nim trop się urywa. Zostawił dzbanek i sandały, i opończę z sarniej skóry na trawie, ale zbójce go napadli albo dzikie niedźwiedzie, albo jakiś zawistny bóg porwał go do nieba... słyszałem, jak krzyczał!

Herkules ryknął z wściekłości i bólu niczym olbrzymi byk ukłuty przez gza w delikatne miejsce. Pędem wyminął Polifema i wymachując maczugą nad głową, zaczął przyzywać: – Hylasie, Hylas kochanie, wróć do mnie! Wracaj, przebaczam ci! Wcale nie miałem zamiaru cię bić!

Polifem poszedł do Argonautów i uprzedził ich, czego się mogą spodziewać po Herkulesie, jeśli się Hylas nie znajdzie. – Pewien jestem, że pozabija nas wszystkich... począwszy od Tyfisa i Jazona.

– Całkiem jasne, co się zdarzyło – powiedział Erginos z Miletu.

– Hylas biegł, dopóki się nie zgrzał, pił u źródła, zdjął sandały i sarnią skórę, żeby się wykapać, dał nura, było dla niego za głęboko i utonął.

– Pływał jak ryba – sprzeciwił się Jazon.

– Musiał uderzyć głową o podwodną skałę i ogłuszyło go – poddał Eufemos z Tajnaron. – To się przydarzyło wielu lekkomyślnym pływakom.

– Hylas był miłym malcem – rzekł Peleus. – Będzie mi go brakowało.

Meleager uśmiechnął się. – Nie sądzę, abyście musieli mówić o nim niby o umarłym – zauważył. – Z tego, jak rozmawiał z Atalantą i ze mną wtedy na Samotracy, wnioskuję, że po prostu uciekł swemu

panu. I słowo daję, nie mam serca go za to winić.

Linkeus wtrącił: – Spostrzegłem, że odchodząc, miał ze sobą sakwę. Jeśliby dał nura do sadzawki, chcąc popływać, zostawiłby ją na brzegu obok sandałów i dzbanka.

– Słyszałam, jak coś w niej brzęczało – powiedziała Atalanta.

Polifem się zastanowił. – Wypchana sakwa u lewego boku tłumaczyłaby jednolitość śladów. Nie mogłem pojąć, czemu ciężar dzbanka nie pogłębił

odcisków stopy ani z jednej, ani z drugiej strony.

– Ciężka, brzęcząca sakwa? – wykrzyknął Mopsos. – No więc jasne jak dzień, że smarkacz zwiął. Jest dostatecznie sprytny, aby zbić Herkulesa z tropu, przynajmniej na razie. Przypuszczam, że skieruje się lądową drogą do Troi, tam złapie okręt na Lemnos i z powrotem odnajdzie tę dziewczynę, Ifinoe.

Argos oświadczył: – Pelias chyba mówił prawdę twierdząc, że *Argo* niedługo poniesie siłacza tej wagi co Herkules. Obawiam się, że gdy wróci, tupnięciami podziurawi jej dno. Czy on aby znowu nie zwariował? Popatrzcie na to olbrzymie wiosło, które sporządził. Czyżby naprawdę zamierzał go użyć? Jest prawie tej długości co okręt. Wyśmiejcie nas każdy, kogo będziemy mijali.

Stary Nauplios dodał cierpko: – To najdziwaczniejsze wiosło, jakie widziałem w ciągu trzydziestu lat morskich podróży. Za długie do użytku, nawet gdyby Herkules miał nim obracać, sięgając aż do ławy po przeciwnej stronie. Poza tym jakże w ogóle zdoła nim obracać? A może byśmy wyrzucili maszt za burtę i zamiast niego wsadzili w opętnik to wiosło?

Nadal było słyhać, jak Herkules nawołuje w oddali: – Hylasie! Hylasie! – lecz nie dostrzegali już słabego odbłasku jego pochodni. Spierali się podnieceni, czy Hylas zdradzi Trojanom, że *Argo* zmierza do Kolchidy; bo jeśli tak, miałyby to poważne następstwa. Lecz Atalanta broniła Hylasa, utrzymując, że raczej by odgryzł sobie język, niż wydał towarzyszy, i że jest nadzwyczaj pomysłowym łgarzem, kiedy ma ochotę.

– Życzę mu szczęścia u kobiet – rzekła. – Nie mogę jednak wyzbyć się obaw o niego, skoro teraz jest zdany na ich łaskę... na honor, niepokoi mnie to.

Tak sobie gawędzili. – Ano, myślę, że uda mi się wreszcie trochę zdrzemnąć –

orzekł Długi Ankajos. – Dzień był dla nas wszystkich męczący. Dobrej nocy, przyjaciele!

Wszyscy posnęli oprócz Polifema, który nie chciał, aby Herkules posądził go o opieszałość. Znowu się udał w górę rzeki, w tę samą stronę co Herkules, wołając ze znużeniem: – Hylasie! Hylasie! – i wymachując pochodnią.

Kiana wypływa z wielkiego świętego jeziora, zwanego Askańskim, a u jego najbliższego krańca stoi starożytne kolegium nimf-dzięciołów. Kiedy Hylas dotarł

do krynicy Pagaj, zaskoczył tam przełożoną nimf, imieniem Driope, która kąpała się naga; był to bowiem wieczór miesięcznego nowiu i oczyszczała się przed złożeniem ofiary. Hylas skromnie spuścił oczy, ośmielił się jednak poprosić, aby mu wskazała drogę do Troi, opowiedziawszy bez ogródek swoją historię. Driope zapalała doń miłością. Zaproponowała mu, że jeśliby miał ochotę, niechże uda się z nią do kolegium, gdzie ona go przebierze za jedną ze swoich kobiet, dopóki okręt nie odplynie. Kiedy dziękował ze łzami w oczach, przytuliła go, ale nie na niedźwiedzią modłę Herkulesa, i ucałowała słodko. Orzekła, że skoro ujrzał jej nagość i nie obrócił się w lisa ani w jelenia, najwidoczniej bogini ułożyła to spotkanie: wolno mu z nią obcować wedle ochoty. Tak to uwiodła go bez trudu, była bowiem piękna, on zaś nie posiadał się z radości, że na koniec zostaje mężczyzną, i to z łaski bogini. Dał jej wszystkie złote ozdoby w zakład miłości, lecz radziła zostawić dzbanek, sandały i opończę na brzegu sadzawki, jak gdyby utonął; ona go poprowadzi twardą, trawiastą ścieżką, na której jego stopy nie zostawią śladów.

Gdy Herkules w furii wpadł do kolegium, pytając o Hylasa, Driope oświadczyła, że nie wie o niczym. Nastawał, że przeszuka każdy zakamarek, a ona nie sprzeciwiła się jego woli, choć kolegium było poświęcone i nie miał prawa przekroczyć progu. Przechodził z pokoju do pokoju, rozwalął na rozcież maczugą szafy i skrzynie i łypał złowrogo na wystraszone nimfy. Otarł się o Hylasa, lecz go nie poznał w kusej, zielonej tunice z kapturem; pomrukując, warcząc i klnąc wrócił

więc o świcie do ogniska nad zalewem. Dotarłszy tam, wrzasnął:

– Wy, zdrajcy, spiskowaliście wszyscy przeciwko mnie. Ja wam pokażę. Któryś z was wykradł mi moje kochanie. To ty, Jazonie; albo ty, Tyfisie. Nigdy żadnemu z was nie ufałem.

Lecz przy ognisku nie było nikogo, a kiedy się rozejrzał, spostrzegł, że *Argo* też zniknęła. Skoro się rozwidniło, zdołał ją dostrzec, malutką na zachodnim skraju horyzontu, opodal bazaltowych skał argantońskich. Gdy uprzytomnił sobie, że go opuszczono, był z początku zbyt zdumiony, aby się gniewać. Coś takiego, wśród wszystkich przygód, jeszcze mu się nigdy nie przytrafiło. Szukał po wybrzeżu za srebrnym pucharem oraz resztą mienia, które – nie wątpił o tym – tamci wyjęli z jego skrytki i tutaj zostawili. Lecz nie zostawili nic kompletnie oprócz rybich ości i jego nowego wiosła. O rabusie! Z głębi lasu wciąż jeszcze dobiegał ochryply głos Polifema, który nawoływał:

– Hylasie! Hylasie! Gdzie jesteś?

Na pokładzie *Argo* kiepsko się działo. Z godzinę przed świtem rześka bryza powiała od lądu, rozdmuchując resztki ogniska w wysoki płomień. W dymie Tyfis zaczął kaszleć i kichać. Ocknął się i zbudził Jazona, mówiąc:

– To właśnie bryza, jakiej potrzebujemy. Daj rozkaz: „Wszyscy na pokład!” Jazon wrzasnął: – Wszyscy na pokład! – Zaspani Argonauci pozbiali manatki i wgramoli się po drabinie na okręt, każdy na swoją ławę, tylko Meleager rozłączył

się z Atalantą i usiadł na miejscu Herkulesa. Mianowicie w nocy pomiędzy dwojgiem zakochanych wybuchła kłótnia. Nie wiadomo, jakie słowa padły z obu stron, ale zerwali przyjazne stosunki i jeśli jedno drugiego musiało o coś prosić, odbywało się to za pośrednictwem Orfeusza.

Na komendę Jazona wciągnięto drabinę i Argonauci użyli rękojeści wiosła

zamiast żerdzi, aby ruszyć *Argo* z zalewu. Potem bystry prąd Kiany schwycił ją i poniósł na zatokę.– Żagiel staw! – krzyknął Jazon. Podnieśli maszt z widełek i umocowali w gnieździe, whisowali żagiel, bryza wyduła płótno. Wciąż zaspani Argonauci patrzyli, jak brzeg znika we mgle.

Dopiero kiedy na dobre znaleźli się na wodach zatoki, Admetos, który w Jolkos pierwszy upierał się, że Herkules powinien przewodzić wyprawie, zawołał nagle:

– Gdzie Herkules? Czemu go nie ma na pokładzie? I gdzie Polifem? Meleagrze, co ty robisz na ławie Herkulesa?

Ze złością się odwrócił, chcąc się upewnić, czy Herkules nie śpi na dziobie.

Potem wrzasnął na Tyfisa:

– Nędzny hultaju! To tyś nas obudził na pół po ciemku i namówił Jazona, aby nas zabrał na pokład i wyprawił, zanim zdamy sobie sprawę, że Herkulesa brak między nami. Zawracać mi zaraz okręt, bo źle będzie z tobą!

Tyfis nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się do Admeta ponuro.

Admetos wciągnął swoje wiosło i zerwał się z orężem w dłoni. Klnąc potykając się, skoczył ku Tyfisowi. Ale Kalais i Dzetes, synowie Wichru Północnego, złapali go z krzykiem: – Spokój, Admetosie! Jeśli masz jakieś pretensje, zgłoś się do Jazona. On tutaj dowodzi.

Admetos zaczął się wrywać. – Słusznie, Tracy – powiedział. – Jazon jest również zamieszany w spisek. Z zazdrości zgodził się opuścić Herkulesa. Pragnie, aby cała zasługa tej wyprawy spadła na niego. Doskonale wie, że jeśli się nam powiedzie, każdy człowiek przy zdrowych zmysłach będzie chwalił Herkulesa, a zapomni o Jazonie. Wy tam, zawrócić okręt! Hej, towarzysze, kto ze mną? Czyż można się spodziewać, że zdobędziemy runo bez Herkulesa? Wracajmy zaraz i zabierzmy go, i Polifema także. Jeśli ukarze Jazona i Tyfisa, jak na to zasługują, ja przynajmniej palcem nie ruszę w ich obronie.

Nikt prócz Peleusa i Akastosa nie poparł Admeta. Wiatr był ostry, a wiosłowanie poprzedniego dnia tak wyczerpało Argonautów, że sama myśl o tym, aby zwinąć żagiel i wiosłować z powrotem pod wiatr, już ich męczyła.

Ponadto więcej się bali spotkać znowu Herkulesa, niż zarobić na przyganę, że go opuścili: był w dostatecznie wściekłym humorze, jeszcze zanim Hylas zginął, w dodatku nie zostawili mu nawet odrobiny jadła ani napoju na terenie obozowiska.

Idmon powiedział: – Dalej, Jazonie, ty jesteś naszym wodzem. Do ciebie należy decyzja. Mamy wracać czy płynąć?

Jazon siedział i patrzył spode łba, bez słowa.

Ateńczyk Faleros wykrzyknął urągliwie: – Jazonie, jesteś równie cichy jak handlarz ryb na targu w Atenach, kiedy nabywca pyta o cenę, obliczoną czy to w oliwie, czy w jęczmieniu. Nie chce ceny wymienić, bo się boi zażądać mniej, niż tamten gotów zapłacić. Ale jeśli zarozumiały handlarz ryb próbuje ze mną tej sztuczki, łapię mokrą rybę i walę go po pysku, choć na ogół cierpliwy ze mnie człowiek.

Admetos odezwał się znowu: – Wiatr niesie nas coraz dalej. Nuże, Jazonie, odezwij się, dopóki nie za późno.

Idas zakpił ochryple: – Admecie, Admecie, kołpak z jagnięcej skóry przekrzywił ci się na głowie, a nos masz umazany dziegciem. Siadaj, stary, siadaj!

Kalais dodał łagodniej: – Admetosie, daruj sobie Herkulesa. Ten czy inny bóg natchnął Tyfisa, aby nas pobudził w taki właśnie sposób, i na razie przymknął nam oczy na nieobecność Herkulesa.

– A niewidocznymi palcami nadal zaciska wargi naszego dowódcy Jazona –

wtrącił Dzetes. – Płynmy dalej i zapomnijmy o obłąkanym Tyryntczyku, myśląc wyłącznie o runie.

– Bardzo pięknie – odparł Admetos. – Czymże jestem, jeden przeciwko wam wszystkim? Ale zaświadczyć, Akastosie i Peleusie, że wy i ja zalecaliśmy gorąco powrót do obozowiska, a Dzetes i Kalais się sprzeciwili. Jeśli Herkules zechce się pomścić na kimś spośród nas, niechże to będą ci dwaj Tracy. Jazon, Argos, Tyfis i reszta popadli, zdaje się, w boski trans i trudno zrzucać na nich odpowiedzialność.

Co do ciebie, Idasie, pewnego dnia powiesz za dużo o jedno uszczypliwe słówko, które jako demon z powrotem ci do ust wleci i odgryzie język.

Płynęli dalej w ciszy, lecz ją niebawem przerwał skrzypiący głos Askalafa z Orchomenos: – Słyszę od dziobu dziwny melodyjny dźwięk. Byłaby to dębowa gałąź Zeusa?

– To tylko wiatr w olinowaniu – odparł Echion.

Ale wróżbita Mopsos wspiał się na dziób i skłoniwszy załogę do milczenia, słuchał uważnie. Wreszcie skinął głową i oznajmił: – Gałąź mówi: „Herkules został

z woli samego Zeusa. Gniew Herkulesa wygładzi ścieżkę naszego powrotu. Dla Polifema ojciec Zeus ma także u ujścia Kiany robotę do wykonania. Przestańcie, synowie moi, kłócić się między sobą, tylko żeglujcie pobożnie w wyprawie po świętość, skradzioną niegdyś baranowi przez kobyłę”.

To przypieczętowało sprawę i na ławach znów zapanował spokój.

Herkules, nie mogąc znaleźć najmniejszego śladu Hylasa w dolinie Kiany, odwiedzał wszystkie sąsiednie miasta Myzji po kolei i po kolei zarzucał ich władcom, że mu Hylasa wykradli. Ponieważ zaprzeczali, żądał zakładników, jako rękojmi ich poczciwości, oraz obietnicy, że będą szukać Hylasa aż do skutku.

Zgadziali się, wiedząc, że jeśli Herkulesowi czegokolwiek odmówią, rozwali ich domostwa w drzazgi i popali zbiory. Do dziś dnia ludzie w Myzji raz na rok szukają wszędzie Hylasa, na próżno wykrzykując jego imię po żyznych dolinach i leśnych gąszczach swej ojczyzny. Lecz sam Herkules wyruszył do Kolchidy piechotą w nadziei, że przyłapie tam *Argo* i pomści się na Jazonie i jego kamratakach.

Polifem, jako wygnaniec z Larysy, nie miał stałego domu, gdy więc Herkules powierzył jego pieczy trzydziestu młodych zakładników myzyjskich, postanowił

osiąść w dolinie Kiany i wybudować tam miasto. Tak też uczynił, a okolica ta nabrała z czasem wielkiego znaczenia i święte bociany upodobały ją sobie na zakładanie gniazd.

## **POLIDEUKES WALCZY NA PIĘŚCI Z KRÓLEM AMYKOSEM**

Opłynawszy Przylądek Posejdona Argonauci obrali kurs na północny zachód, zwinęli żagiel i wzięli się do wiosł. Wysokie pagórki osłaniały ich przed wiatrem, ale nie odzyskali jeszcze sił po trudach poprzedniego dnia, posuwali się przeto pomału wzdłuż urwistego i skalistego wybrzeża.

Nauplios spytał Jazona: – Czy próbujemy dziś po południu przepłynąć Bosfor?

Jazon zasięgnął rady Tyfisa, który orzekł: – Prąd w cieśninie będzie jeszcze bardzo silny. Myślę, że bez pomocy Herkulesa nie potrafimy stawić mu czoła.

– To po cóż, u licha – wykrzyknął Admetos – takeś nas rano poganiał do odjazdu, zostawiając Herkulesa?!

Idmon odezwał się swoim wysokim głosem: – Admecie, Admecie, jużemy wystarczająco roztrząsali tę sprawę, a mówiąca gałąź ojca Zeusa otwarcie przyjęła odpowiedzialność za czyn Tyfisa. Ja radzę, żebyś teraz podszedł do Tyfisa i uściskiem dłoni okazał, że jesteś mu przyjacielem; tak samo powinieneś postąpić z Jazonem oraz Kalaisem i Dzetesem.

Ponieważ wszyscy przyznali mu rację, Admetos musiał się zastosować. Wstał

i uroczyście uścisnął ręce towarzyszy.

– A teraz, Jazonie – powiedział Długi Ankajos – jeśli nie zamierzasz dziś płynąć dalej, czemuż byśmy nie mieli wylądować na najbliższym osłoniętym brzegu i powetować sobie przerwany wypoczynek?

– Istotnie, czemu nie? – przytaknął Jazon.

Pomału wiosłowali jeszcze paręnaście stajań, dopóki brzeg nie zakręcił na zachód i pagórki nie zmalły; tam natrafili na zamożne miasto, gdzie na obfitej trawie łąk pały się stada bydła, a z góry spływał migotliwy strumień.

– Czy który z was wie, kim są ci ludzie? – spytał Jazon.

– To są Bebrycy – odparł Argos – a raczej mieszańcy potomkowie Achajów, Brygów oraz Myzjan. Dwa pokolenia wstecz pewien ród achajski osiadł wśród Brygów opodal ujścia Danuby i powstały mieszane małżeństwa; później przybyli tutaj flotyllą łodzi z foczej skóry pod ochroną grupy brygijskich wojowników i niebawem podbili tutejszych Myzjan. To osobliwi ludzie, przedkładają oni bowiem mleko krowie nad owcze lub kozie i mieszają wino ze świeżą żywicą jodłową. Słyszałem, że ich król (ten, co niemal stale wojuje z Mariandynami oraz Bityńczykami na północy) to dzikus imieniem Amykos. Chętni się pochodzeniem od Posejdona, któremu, obyczajem dziś już w Grecji zarzuconym, z byle powodu składa ofiary z ludzi. Jeśli Ankajos z Tegei potrzebuje spoczynku, Amykos rad mu pewnie zaofiaruje spoczynek wiekuisty.

Jazon poddał pod głosowanie: – Mamy tu lądować czy płyniemy dalej?

Większość była za lądowaniem, trzydzieści głosów przeciw dwóm; wszyscy zatem wdziali hełmy i zbroje i z okrzykiem wyzwania przybili do brzegu naprzeciw gmachu, który wnosząc z rozmiarów, był pałacem królewskim, po czym mocno uwiązali cumę do dorodnego drzewa laurowego.

Herold Echion miał pierwszy zejść na ląd. Postąpił ku zabudowaniom z miną poważną i nieustraszoną. Jakiś potężny, kudłaty, długoręki człek o zwalistej głowie, co wyglądało, jakby ją z grubsza w kuźni obrobiono młotem na kowadle –

sam król Amykos, sądząc ze złotych ozdób – wyszedł Echionowi na spotkanie.

Zamiast go wszakże pozdrowić z szacunkiem, jaki każdy człowiek honoru okazuje heroldowi, nawet jeśli to herold nieprzyjaciela, ryknął grubiańsko:

– Przypuszczalnie wiesz, kim jestem? Jestem król Amykos. Nie, nie chcę wiedzieć, kto ty jesteś ani dokąd zdążasz... na pewno zresztą masz usta pełne wykrętów... ale bym chciał, żebyś jasno pojął, w jakim teraz znalazłeś się położeniu. Żadnym, ale to żadnym cudzoziemcom nie wolno lądować w moim królestwie. Skoro to uczynią, przez pomyłkę czy z rozmysłem, muszą ponieść konsekwencje. Mogą tedy albo wysunąć zawodnika, by walczył ze mną na pięści, a wówczas nieuchronnie zabijam go swoim słynnym prawym sierpowym, albo, jeśli pragną uniknąć tej formalności, wolno im skrócić procedurę przez bezwarunkowe poddanie się.

W obu wypadkach bierze ich się po kolei na skraj przylądka, któryście właśnie okrążyli, i z pluskiem wrzuca do morza w ofierze dla mego wielkiego przodka, boga Posejdona.

– Ja sam się nie boksuję – odparł Echion uprzejmie – i żałuję, że Herkulesa z Tyryntu, co jeszcze wczoraj był członkiem naszej załogi, brakło na pokładzie.

Sądzę, że miałbyś z nim sporo roboty. Mamy jednak innego świetnego pięściarza, z którym możesz się zmierzyć. To Polideukes ze Sparty; parę lat temu zdobył

mistrzostwo Grecji na igrzyskach olimpijskich.

Amykos się roześmiał. – Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby się Grek na ringu do czegoś nadawał. Owszem, przyznaję, spotykałem tam Greków, co się bokowali bardzo składnie; dobra praca nóg,



unki, uskoki. Ale co im z tego? Nic kompletnie, biedne głuptasy! Po chwili z reguły trafiam ich swoim prawym sierpowym i wałę się jak snopy. Nie mogą mi zrobić krzywdy, zrozum. Składam się wyłącznie z kości i mięśni. Uderz mnie, a zwiczniesz sobie rękę.

Razem zeszedli do *Argo* i Amykos krzyknął niegrzecznie: – Gdzie ten zwariowany Spartanin, Polideukes, co udaje boksera?

Jazon odparł chłodno: – Musiałeś chyba nie dosłyszeć słów naszego szlachetnego herolda Echiona, syna Hermesa. Jam jest Jazon z Jolkos, wódz tej wyprawy, i muszę cię prosić, abys swoje pozdrowienie kierował przede wszystkim do mnie.

Amykos wybuchnął pogardliwym, beczącym śmiechem i rzekł: – Odpowiadaj, kiedy zwracają się do ciebie, Złotowłoso! Jam jest sławny i straszliwy Amykos.

Nie dmucham nikomu w kaszę i sobie też nie pozwolę. Zanim was wszystkich zawlokę na skałę i jednego po drugim cisnę w morze, chciałbym się zmierzyć z tym waszym mistrzem Grecji i sprawić mu małe lanie. Muszę się rozruszać.

Argonauci spojrzeli po sobie z namysłem, ale na plażę wyległa już zbrojna świta Amykosa. Nie było nadziei, aby zdołali zepchnąć *Argo* na wodę i odpłynąć bez ciężkich strat; nie chcieli poza tym zostawiać Echiona w rękach dzikusów, bo ci by na pewno nie uszanowali nietykalności jego osoby.

– Tu jestem, królu Amykosie – rzekł Polideukes, wstając. – Ścierpłem trochę od wiosłowania, ale wielki to dla mnie zaszczyt zmierzyć się z tobą na ringu. Gdzie zwykle walczysz? Tam na dziedzińcu twego pięknego pałacu?

– Nie, nie – odparł król Amykos. – Pod urwiskiem za osadą znajduje się dogodna kotlinka, gdzie zawsze się boksuję, jeśli można to nazwać walką. Na ogół

rzecz przypomina raczej zwykłą krwawą ofiarę.

– Doprawdy? – zdziwił się Polideukes. – Jesteś zatem zwolennikiem młocki na oślep? Rośli mężowie, jak ty, często miewają ochotę stanąć na palcach i zadać prosty cios z góry. Czy jednak znajdujesz, że to skuteczne, jeśli przeciwnik zachowuje przytomność umysłu?

– Nauczysz się niejednej sztuczki pięściarskiej, zanim cię zatłukę – powiedział

Amykos, rycząc ze śmiechu.

– Nawiasem mówiąc – spytał Polideukes – czy mam się boksować, czy mają to być zapasy?

– Będziemy się boksować, oczywista – odrzekł Amykos. – A pochlebiam sobie, że jestem prawdziwym sportowcem.

– Chciałbym cię dokładnie zrozumieć – nalegał Polideukes. – Jak pewnie wiesz, w tych odległych królestwach przepisy różnią się znacznie. Przede wszystkim: czy dopuszczasz zwanie, trzymanie lub kopanie? Albo sypanie piaskiem w oczy przeciwnika?

– Rzecz jasna, że nie – stwierdził Amykos.

– A czy można kasać, bóść głową, zadawać ciosy poniżej pasa?

– Naprawdę nie! – wykrzyknął Amykos oburzony.

– Tylko nam dwóm wolno być na ringu?

– Tylko nam dwóm – oświadczył Amykos. – I walka jest do końca.

– Dobra! – zawołał Polideukes. – Prowadź do kotlinki! Amykos powiódł ich do kotlinki, a było to urocze miejsce, gdzie fiołki, hiacynty i sasanki przetykały najzieleńszą darń, jaką sobie można wyobrazić, zaś krzewy laurowe napełniały powietrze wonią. Zbrojna świta króla ustawiła się po jednej stronie, wzdłuż rzędu głogów, zostawiając drugą stronę wolną dla Argonautów. Po drodze jednak Idmon (nieco odsunięty od grupy) dostrzegł pełną otuchy wróżbę: bliźniacze orły wpiły się w świeżą padlinę kosmatego, czarnego konia, przy czym jeden wtykał bez przerwy łeb między żebra, by szarpać trzewia, drugi zaś, już nażarty, czyścił

zakrzywiony dziób o kopyto konia. Inne ptaki trupożerne: kruki, kanie i sroki, dreptały i trzepotały opodal rade wziąć udział w uczcie. Idmon w bliźniętach orlich rozpoznał Kastora i Polideuka, jako że orzeł był ptakiem ich ojca Zeusa; w koniu zaś Amykosa, konia bowiem poświęcono Posejdonowi; inne drapieżne ptaki odpowiadały Koronosowi, Melampusowi, Kalaisowi, Dzetesowi i pozostałym Argonautom.

– To szczególny ring – zauważył Polideukes. – Jest niezwykle mało miejsca na walkę. A oba krańce zwężają się ostro niby dziób i rufa okrętu.

– To odpowiada memu stylowi walki – odparł Amykos. – Mogę zaś dodać, że zawsze walczę zwrócony plecami do skały. Nie lubię mieć słońca w oczy.

– Rad jestem to słyszeć – rzekł Polideukes. – W cywilizowanych krajach przyjęło się raczej ciągnąć losy o miejsca. No, dalej, mój panie, rozdiewaj się i kładź rękawice!

Amykos się rozebrał. Był niezgrabny jak niedźwiedź, chociaż długonogi.

Muskuły jego owłosionych ramion sterczały niczym głazy porośłe morską porostami.

Pachołek nałożył mu rękawice, potężne rzemienne pasy obciążone ołowiem i najeżone kolcami z brązu.

Jazon energicznie wystąpił naprzód z wymówką: – Co to, to nie, królu Amykosie! W Grecji kolce metalowe umocowane do rękawic są zakazane jako barbarzyństwo. To zawody bokserskie, a nie jatka.

– Tu nie Grecja – odparł Amykos. – Ale nie pozwolę, aby ktokolwiek kwestionował moją sportową postawę. Niechże Polideukes skorzysta z zapasowej pary rękawic, jeśli ma na to ochotę.

Jazon podziękował Amykosowi, ten zaś kazał niewolnikowi przynieść dla Polideuka takie same rękawice jak jego. Polideukes roześmiał się i potrząsnął

głową odmownie, bo Kastor już mu nałożył jego własne elastyczne rękawice bokserskie, które służyły do ochrony napięstków przed opuchlizną i wzmacniały przeguby. Cztery palce u każdej ręki opasywała pętlica, ale kciuk pozostawał

swobodny i odkryty.

Jazon szeptem spytał Kastora: – Czemu twój bliźniak odrzucił tamte doskonałe rękawice?

– Im cięższa rękawica – wyjaśnił Kastor – tym powolniejszy cios. Zobaczysz!

Przeciwnicy umówili się, że zaczną rundę na dźwięk konchy. Trębacz zajął

miejsce na głazie nad kotlinką i podczas gdy udawał, że rozplątuje rzemyki, które przytrzymywały mu konchę u szyi, spośród tłumu zabrzmiała druga koncha i Amykos runął na Polideuka, spodziewając się go zaskoczyć zniecka.

Polideukes dał susa w tył, unikając prawego sierpowego wymierzonego w ucho, odstąpił w bok i raptownie się odwrócił. Amykos ochłonawszy znalazł się twarzą do słońca.

Amykos był znacznie cięższej wagi i o parę lat młodszy. Rozwścieczony, że musi stać po złej stronie, rzucił się niczym byk na Polideuka, młócąc go oburącz.

Polideukes zadał mu lewy prosty w szczękę i poprawił nie, jak się spodziewano, prawym prostym, lecz lewym sierpowym, aż tamtemu zęby zadzwoniły.

Cóż to jednak było dla Amykosa! Ruszył pędem z pochyloną głową, osłaniając się przed hakiem, wyrzwał Polideuka głową w pierś i zadał dwa niecelne ciosy w nerki. Polideukes uchylił się w porę i Amykos spróbował zagonić go na cienisty północny skraj dolinki, gdzie słońce nie raziłoby w oczy żadnego z nich.

Polideukes jednak wytrzymał natarcie i zmusił Amykosa do pozostania w miejscu, gdzie słońce najbardziej mu mogło dokuczać: chwilami przesłaniał je głaz, a chwilami błyskało spoza niego oslepiająco, podczas gdy Polideukes odpierał

ataki króla za pomocą haków, prostych i podbródkowych. Polideukes walczył raz lewą, raz prawą pięścią, bo był z natury oburęczny, wielka wygoda dla boksera.

Zawody trwały już tyle czasu, ile by potrzebował piechur na przebycie bez pośpiechu dziesięciu stadiów, a Polideukes pozostawał nietknięty, jeśli nie liczyć pokaleczonego ramienia, którym (zapominając o kolczastej rękawicy Amykosa) osłonił się, aby uchronić głowę od nagłego ciosu; Amykos natomiast pluł krwią ze spuchniętych warg i ledwo widział na oczy. Dwakroć próbował swego miążdżącego uderzenia, wspiąwszy się na palce walił z góry prawą pięścią, ale za każdym razem chybiał, a Polideukes zbijał go z nóg i dawał mu dobrą szkołę, bo tamten zwykł stawiać stopy zbyt blisko siebie.

Polideukes zaczął teraz zapowiadać, gdzie zamierza ugodzić Amykosa, a po każdym ostrzeżeniu momentalnie padał cios. Gardził uderzeniami w korpus, bo to nie leży w stylu olimpijskim, tylko stale celował w głowę, wykrzykując: – Usta, usta, lewe oko, prawe oko, szczęka, znów usta.

Amykos ryczał niemal równie donośnie, jak ryczał Herkules w poszukiwaniu Hylasa, kiedy wszakże jął miotać bezwstydnymi pogroźkami, Polideukes się rozgniewał.

Udał, że atakuje prawą ręką, lewą zaś wymierzył potężne uderzenie w nasadę nosa wroga; poczuł, że chrupnęły kość i chrząstka.

Amykos zachwiał się i runął na wznak, Polideukes skoczył naprzód, by tłuc leżącego; choć w spotkaniach towarzyskich, urządzanych przez szkoły pięściarskie, panuje opinia, że szlachetniej jest wstrzymać się od bicia powalonego przeciwnika, w publicznych zawodach uważa się za durnia boksera, co nie poprawi swego ciosu.

Amykos szybko przewrócił się na brzuch i usiłował stanąć na nogi. Lecz jego ciosy były teraz krótkie i bezładne, zaś rękawice zdawały mu się ciężać niczym kamienie kotwiczne; Polideukes tymczasem nie oszczędzał jego złamanego nosa, tylko grzmocił weń bez ustanku, z obu rąk.

Amykos w rozpaczy lewą ręką chwycił trafiającą go właśnie pięść przeciwnika i szarpnął, a równocześnie zadał straszliwy prawy sierpowy. Polideukes, który spodziewał się podstępu, rzucił się tam, gdzie go pociągnięto; Amykos zaś, pewien, że tamten spróbuje się opierać i w ten sposób nadstawi głowę na cios, uderzył

w powietrze. Nim zdołał ochłonać, Spartanin poczęstował go potężnym prawym w skroń i lewym sierpowym w szczękę.

Amykos opuścił ręce; nie był już w stanie walczyć. Chwiał się na nogach, podczas gdy Polideukes metodycznie walił go po głowie miarowymi ciosami niby drwał, co spokojnie rąbie wyniosłą jodłę, a na koniec odchodzi na bok, by obserwować, jak z trzaskiem wali się na poszycie. Ostatni płaski cios z lewej ręki zgruchotał wrogowi skroń i na miejscu położył go trupem. Argonauci wrzasnęli z triumfu i zachwyty.

Bebrycy zachowywali zupełny spokój podczas walki, nie dowierzali, by Amykos mógł zostać pokonany. Często zwykł ich zabawiać udając, że się zatacza, niby ugodzony przez przeciwnika, a potem nagle zrywał się i robił zeń krwawą miazgę. Skoro jednak Polideukes jął młócić Amykosa wedle upodobania, stali się niespokojni, mocniej ścisnęli dzidy i zaczęli wymachiwać maczugami. Gdy wreszcie król padł, skoczyli, by go pomścić, a rzucony oszczep drasnął Polideuka w biodro. Argonauci podbiegli w obronie swego zawodnika i zawrzała krótką, krwawą potyczka. Spartanin wziął w niej udział, tak jak stał, i dowiódł, że jest zarówno mistrzem w zapasach w stylu dowolnym, jak w pięściarstwie. Kopał, mocował się, gryzł, bódł, a powaliwszy kopniakiem w żołądek człowieka, który cisnął w niego dzidą, z miejsca skoczył na niego i wydłubał mu oczy. Kastor stanął

u boku brata i jednym ciosem długiego miecza równiutko rozłupał jakiemś Bebrykowi czaszkę, tak że można było niemal oczekiwać, iż połówki opadną mu na ramiona.

Idas, na czele kilku Argonautów uzbrojonych w dzidy, pobiegł skrajem kotliny i uderzył na Bebryków z flanki. Załamali się i uciekli przez głogowy zagajnik niby rój podkurzonych pszczoł. Jazon, Faleros i Atalanta przesywali zbiegów strzałami; Meleager wznagał bezładny odwrót ciosami gniewnego oszczepu. Bebrycy gnali w głąb łądu, pozbawieni wodza i oszołomieni, zostawiając na polu bitwy czterdziestu poległych lub konających, lecz Kalais i Dzetes ścigali ich spory kawał

niczym kanie w pogoni za stadem dzikich gołębi.

Jazon zgromadził swoich, z których trzech czy czterej odnieśli rany, ale żadna z nich nie była groźna; Ifitosa ogłuszono uderzeniem maczugi, Akastos z dumą pokazywał na wewnętrznej stronie uda draśnięcie dzidą, które mocno krwawiło i utrudniało mu chodzenie, a Faleros miał na biodrze siniak od rzuconego kamienia.

Argonauci jak jeden mąż popędzili do pałacu Amykosa w poszukiwaniu łupów.

Znaleźli tam obfitość złota, srebra i klejnotów, które później rozlosowali pomiędzy sobą, mnóstwo jadalnego oraz parę wysokich dzbanów lezbijskiego wina. Herkules wykończył już zapasy co do kropli, więc ich to wino ucieszyło.

Tego wieczoru, uwieńczeni laurowymi liśćmi z drzewa rosnącego na brzegu, gdzie przycumowali *Argo*, objadali się do syta delikatną wołowiną i baraniną; przed powrotem wroga znaleźli obrońców w jeńcach mariandyńskich, których Amykos pojmał na wojnie, a oni uzbroili i rozstawili straż wokół miasta. Zresztą Bebrycy nie ośmielili się atakować.

Jazonowi bardzo zależało, żeby nie obrazić boga Posejdona. Za jego radą następnego ranka stary Nauplios z Argos, Peryklimenos z Pylos i Erginos z Miletu, wszyscy trzej synowie Posejdona, przygotowali ofiarę dla swego ojca. Bydła nie brakowało, skoro wszystkie stada Amykosa znalazły się teraz w posiadaniu Argonautów, musieli zaś i tak zostawić wszystko, czego nie zdołali zjeść. Czyniąc z potrzeby cnotę, ofiarowali Posejdonowi aż dwadzieścia wspaniałych byków czerwonej rasy trackiej; spalili je w całości, nie kosztując ani kęsa, oprócz zwierząt, które w zwykły sposób złożono na ołtarzach innych bóstw.

Tegoż dnia wyprawiono przyzwoity pogrzeb zabitym Bebrykom, królowi Amykosowi oddzielnie. Argonauci nie obawiali się ich duchów, ponieważ tamci padli w otwartym boju.

Bootes rozkoszował się dzbankiem dzikiego miodu, jaki znalazł w prywatnej spiżarni Amykosa: miał on barwę złotobrazową i został zebrany wyłącznie z kwitnących jodeł na urwiskach argantońskich. – Nigdzie nie widziałem tak czystego jodłowego miodu jak ten – oświadczył Bootes. – Pelioński miód zwany jodłowym jest zanieczyszczony mnóstwem innego kwiecica drzew i łąk, a ten ma niezwykły aromat. Jednakże – dodał – raczej jest to osobliwość niż przysmak.

## **OPOWIEŚĆ ORFEUSZA O DEDALU**

Salę jadalną króla Amykosa zdobiły barwne freski. Jeden z nich przedstawiał

Dedala i Ikara odlatujących na skrzydłach z Krety, gdzie ryczy w agonii mąż o głowie byka, a

Tezeusz z Aten, z sową usadowioną na ramieniu, w uniesieniu wywija toporem o dwu ostrzach.

Mały Ankajos zwrócił się do Orfeusza: – Drogi przyjacielu, jako doświadczony podróżnik wyjaśnij nam ten obraz, jeśliś łaskaw. Obiecujemy słuchać bacznie i nie przerywać.

Tak więc opowiadał im Orfeusz, podczas gdy z uwieńczonymi wawrzynem głowami siedzieli, uczując w pałacu pokonanego wroga.

– Mniema się, że bardziej z niedbalstwa niż ze złej woli wódz bractwa byków w kreteńskim Knossos, najwyższy kapłan Minosa, boga słońca, złamał odwieczne przykazanie Trójbogini, głoszące, że nikomu prócz rodowitych Kreteńczyków nie wolno wstąpić na pokład łodzi czy okrętu, który by mieścił więcej niż pięciu żeglarzy. Złamał je wobec Dedala, pelazgijskiego rzemieślnika z Aten, jak to wam za chwilę wyłożę, mili Argonauci. Tezeusz, król Aten, wysłał Dedala do Knossos na doroczne święto wiosny w towarzystwie dziewiętnastu innych zakutych w kajdany nieszczęśników, aby ich tam ścigał święty byk słońca, Minotaur.

Tezeusz, krewniak Dedala po kądzieli, skazał go na śmierć za zamordowanie drugiego rzemieślnika, ale ułaskawił, skoro Dedal ofiarował się wystąpić na arenie.

Niegdyś ofiarą Minotaura padali wyłącznie kreteńscy mężowie z bractwa byków, ochotnicy śmierci, teraz wszakże Kreteńczycy stracili zapal do tych gonitw, nawet ku chwale bogini. Minos (jak dla skrócenia zwano kapłana Minosa), wybacząc im tę niechęć, rozkazał, aby dwudziestu ofiar dla byka dostarczały co roku kolonie kreteńskie lub miasta płacące daninę. Przeprowadził rzecz w taki sposób, że się wydawało, iż przynosi to wielką chlubę wyznaczonej miejscowości; równocześnie bowiem najwyższy kapłan żądał stamtąd takiej samej ilości dziewic na kapłanki Minotaura, które to stanowisko dawało im bogactwa i zaszczyt.

Zazwyczaj Minos słał do Myken, Tyryntu, Argos albo jakiegoś innego miasta Grecji centralnej, z rzadka tylko na Wyspy Egejskie czy do Azji Mniejszej lub na Sycylię; raz nawet do odległej Ziemi Filistynów. Ofiarnicy byli bezbroni i przeważnie Minotaur bez trudu zabijał wszystkich w czasie jednego popołudnia, nie było bowiem dla nich nadziei ucieczki oprócz biegania i skoków. Jeśli jednakże jakiś mąż niebywalej zręczności i odwagi zdołał uniknąć śmierci przez określony przeciąg czasu, znaczone według strumyczka piasku sypiącego się z przekłutego naczynia, nimfy Ariadny, jak zwano kapłanki Minotaura, przesadzały ogrodzenie (nago prócz przepasek na biodra z węzowej skóry) i ratowały go od rogów byka.

Nimfy Ariadny opiekowały się bykiem od małego cielaka i mogły poskromić go głosem, nawet jeśli ryczał, bódł i z furją rozgrzebywał piasek. Aby zademonstrować potęgę Trójbogini, jeździły mu okrakiem na grzbiecie, po trzy lub cztery na raz, wywijając kozły przez łeb, oplatając rogi girlandami (podczas gdy zwierz nacierał na nie dla zabawy), skacząc przezeń o tycze oraz wyprawiając mnóstwo innych wdzięcznych sztuczek. Na zakończenie uroczystości wiosennych dokonywał się mistyczny akt miłości pomiędzy Pyzyfae, krową miesięczną, i Minosem, bykiem słońca, co wyobrażało, po zawitym rytualnym tańcu, publiczne obcowanie nimf Ariadny z mężami bractwa byków, przybranymi w rogate maski.

Potem najwyższy kapłan bez litości zarzynał byka, a krew, co mu tryskała z gardzieli, zbierano do

misy i przechowywano w dwuuchym dzbanie wraz ze łzami, jakie nimfy przelewały nad zgonem swego rogatego towarzysza zabaw.

Kroplami tej krwi, odpowiednio rozwodnionymi, spryskiwano następnie za pomocą piór z kukułczego ogona niezliczone owocowe drzewa wyspy, aby obficie rodziły: czar nadzwyczajnej mocy.

Dedał słynął z pomysłowości. Przypisują mu wiele zadziwiających wynalazków, w tym również sztukę odlewu posągów z litego brązu metodą wytapianego wosku. Twierdzą nawet, że zrobił sztuczne skrzydła, którymi mógł

poruszać niczym ptak i w ten sposób unieść się w powietrze. Jakkolwiek rzeczy miały się naprawdę, zdołał przynajmniej wyprowadzić w pole Minotaura w Knossos, mimo że jako pierwszy wkroczył na arenę, a do tego był kulawy i już niemłody, i choć nikt z pozostałych dziewiętnastu, co weszli po nim, nie uniknął

żądnych, zakrzywionych rogów. Minotaur zwykł traktować wszystkich mężczyzn jak wrogów i szanować wyłącznie kobiety; poza tym, gdy jeszcze pozostawał

w ciemnej oborze, gdzie go trzymano bez paszy i wody, przed każdym występem wbijano mu srebrną szpilkę, w łopatkę, by go rozwścieczyć. Dedał nie umknął

przed nim, jak dowodzą źle poinformowani bardowie, wzlatając na sztucznych skrzydłach do rodzinnych Aten. Ani nie wygrzebał sobie kryjówki w piasku areny; piasek bowiem zalegał kamienną posadzkę tylko taką warstwą, żeby się stopy nie ślizgały, i aby wsiąkała przelana krew. Uciekł się do innego fortelu.

Wiedział, że w obrębie świętego okręgu stały hermy, okrągło zakończone białe słupy zalecane przez boginię jako symbole płodności, a mające wzmóc wigor byków. Byki nie zważały na te hermy, stanowiły one bowiem zwykłe urządzenie pastwiska. Pomysł Dedala polegał na tym, aby udawać hermę. Ściany komnaty pałacowej, w której go trzymano, zdobiły stiuki, odłamał przeto gzyms i skruszył

go w rękę, by pobielić jaskrawe szaty, w jakie go odziano. Pobielił sobie również i dłonie, i stopy, i twarz, i włosy, a kiedy go sprowadzono na ring, tuż przed wpuszczeniem Minotaura, pokuśtykał w bok do ołtarza, wgramolił się na kamień, przykrył głowę oddartym skrajem szaty i zastygł równie nieruchomo jak pozostałe hermy. Ryczący Minotaur nie spostrzegł Dedala i daremnie okrążał arenę w poszukiwaniu słabszego miejsca w barierze. Zapach mężczyzny rozwścieczał go, pragnął tedy siać śmierć pośród widzów. Gdy nimfy Ariadny wbiegły jak zwykle, aby z pogardą odepchnąwszy stopami trupa, zacząć swoje akrobacje, zastały Dedala wciąż jeszcze przy życiu. Straż pałacowa odprowadziła go w bezpieczne miejsce.

Dzięki miłemu usposobieniu i licznym wynalazkom Dedał rychło zdobył sobie w pałacu powszechny szacunek oraz względy najwyższej kapłanki. Zmajstrował

dla niej, oprócz innych osobliwych zabawek, statuę bogini jak żywą (do użytku w świątyni

pałacowej), której kończyny i oczy się ruszały, a ponadto mechanicznego człowieka imieniem Talos, co naśladował ruchy żołnierza podczas służby wartowniczej.

W ciągu następnego roku Minos pozazdrościł Dedalowi i pod byle pozorem uwięził go niesprawiedliwie w lochach pałacowych. Dedal wszakże uciekł bez trudu, z pomocą najwyższej kapłanki, w noc poprzedzającą uroczystości wiosenne.

Za jednym zamachem uwolnił dwudziestu przygnębionych Pelazgów (wśród nich własnego siostrzeńca Ikara), których następnego popołudnia miano zawlec na ring.

Wyprowadził ich przez labirynt korytarzy pałacowych na wybrzeże, gdzie trafem nowy okręt wojenny czekał w pogotowiu na wodowanie w królewskiej stoczni. Był

wyposażony w sprzęt jego własnego pomysłu – który pozwalał szybko stawiać żagiel i chwycić węż bryzę – ale maszyna nie została jeszcze wypróbowana i założono ją tylko na tym jednym okręcie. Dotychczas kwadratowy żagiel kreteński zwisał z rei umocowanej do masztu na stałe, a majtkowie musieli wspinać się na maszt, by odczepić płótno, ilekroć wiał wiatr przeciwny; zaś przy sprzyjającym wietrze należało przytwierdzić je z powrotem tą samą metodą. Ale Dedal wynalazł sposób – dziś stosowany w całej Grecji – dzięki któremu reję z umocowanym do niej żaglem można za pomocą bloku i linki podnosić i opuszczać bez żadnego wspinania, a ponadto da się ją lekko obracać na boki i korzystać dzięki temu z bocznych wiatrów. Choć okręt jeszcze nie został

spuszczony na wodę, Minos złamał prawo, pozwoleńszy Dedalowi wejść na pokład; Dedal bowiem nie był rodowitym Kreteńczykiem.

Zbiegowie nie zastali w stoczni żywego ducha, zepchnęli okręt z brzegu za pomocą podłożonych okrągłaków, szybko wciągnęli żagiel i niebawem zmierzali na otwarte morze obok wyspy Dia. Strażnik u wyjścia z portu podniósł alarm i w parę godzin później Minos wyruszył w pościg ze swoją flotą, spodziewając się dopaść Pelazgów, skoro tylko bryza ucichnie, bo nie nawykli do wiosłowania. Lecz okręt wyposażony w lepszy osprzęt zniknął już z oczu i niebawem Minos przekonał się, że nim Dedal i jego towarzysze wyruszyli, nadpiłowali do połowy płetwy sterów wszystkich kreteńskich okrętów, tak że się odłamały pod naciskiem fali. Musiał zawrócić do portu i zagonić cieśli do roboty, aby dorobili nowe. Minos przewidywał, że zbiegowie nie odważą się wrócić do Attyki ze strachu przed gniewem Tezeusza; raczej, sądził, skierują się na Sycylię i tam poszukają schronienia w którymś z licznych sanktuariów bogini.

Dedal, zatrzymany przez przeciwny wiatry w Zatoce Jońskiej, spostrzegł

swoich prześladowców w chwili, gdy docierał do Sycylii, i wymknął się im śmiało, żeglując przez Cieśninę Meseńską, między skałą Sycylii a wirem Charybdy, potem zaś kierując się na północ zamiast na południe. Pozbył się ścigających i zawinął

bezpiecznie do Kum w Italii, gdzie zatopił okręt, zaś żagiel z olinowaniem złożył

w ofierze tamtejszej bogini. Ale syn jego siostry, Ikar, utonął podczas podróży, pewnego dnia wczesnym rankiem stoczywszy się we śnie z pokładu. Morze, co go pochłonęło, do dziś zwą na jego



część Morzem Ikaryjskim. Niechże nikt, na podstawie mylnego odczytania świętych fresków (jak ten, co tutaj widnieje) czy rzeźb na szkatułkach, czy malowideł na pucharze, nie daje wiary niemądrej bajce, że Ikar nosił skrzydła, które Dedal przymocował mu woskiem u ramion, i leciał za blisko słońca, aż wosk się roztopił, on zaś utonął. Skrzydła, jakie obaj noszą na wizerunkach, symbolizują wyższość ich okrętu; a wytapianie wosku podczas obrzędów sardyńskich, ustanowionych teraz ku czci Dedala, dotyczy tylko pomysłowej metody odlewu brązu, jaką wynalazł.

Z portu Kumy Dedala i jego towarzysze powędrowali piechotą przez południową Italię i przeprawili się na Sycylię. W Agrygencie ugościła ich nimfa bohaterskiej świątyni Kokalosa, którą Dedal obdarzył posążkiem bogini tej samej konstrukcji co ten wielki, zrobiony przezeń w Knossos. Była zachwycona podarkiem i przyrzekła mu opiekę bogini. Flota kreteńska, opływająca Sycylię w daremnej pogoni za Dedalem, rozbiła się nie opodal Agrygentu dzięki wiatrom o węzowych ogonach, które nimfa wyczarowała spod ziemi przeciwko nim; tylko Minos i paru jego majtków dopłynęło do brzegu i ocalało. Zastając Dedala z towarzyszami rozgoszonych wygodnie w świątyni Kokalosa, Minos wpadł

w szalony gniew i rozkazał nimfie, wśród pogroźek i gorszących wyzwisk, aby mu ich wydała jako zbiegłych niewolników. Nimfa czuła się w obowiązku pomścić zarówno honor własny, jak bogini: zamiast ciepłej wody, gdy Minos siedział

w wannie, jej służebne wlały mu wrzącej oliwy czy (powiadają inni) smoły.

Dedal naprawił jeden z rozbitych okrętów kreteńskich i śmiało pozełgował do Aten, do króla Tezeusza, z wieścią, że Minos nie żyje, a na oczywisty dowód pokazał sygnet z jego kciuka. Tkwił w nim wielki, czerwony krwawnik, na którym wryto siedzącego Minotaura oraz dwugłowy topór władzy. Kilka lat przedtem Tezeusz odwiedził Knossos, uczestniczył w lekkoatletycznych zawodach podczas święta wiosny, zwyciężając w boksie; uważał Knossos za najcudowniejsze miasto na świecie. Skoro ujął pierścień i przymierzył go na własny kciuk, serce mu w piersi zabiło z dumy i podniecenia. Spostrzegłszy to, Dedal poufnie obiecał, że jeśli Tezeusz daruje życie jemu i jego zbiegłym towarzyszom, on go powiedzie na podbój Krety. Tezeusz przyjął propozycję.

Według wskazań Dedala zbudowano sekretnie z dala od uczęszczanych traktów całą flotę wojennych okrętów, a były one szybsze i korzystniej wyposażone niż kreteńskie. Atoli wieść o tym nie mogła dojść uszu Kreteńczyków. Kiedy nowy Minos, imieniem Deukalion, posłał do Tezeusza, żądając wydania Dedala, Tezeusz odparł, że skoro Minotaur oszczędził jego krewniaka Dedala, jest on wolnym człowiekiem i odcierpiał już swoją dawną przewinę: o ile wiadomo, nie ma na sumieniu żadnych innych przestępstw. Nimfa Kokalosa, oświadczył Tezeusz, zabiła Minosa na własną rękę, Dedal nie brał żadnego udziału w tym okrutnym czynie. Postąpiłby tedy niesprawiedliwie, wydając krewnego na zemstę Kreteńczyków niczym zbiegłego niewolnika; niech wszakże Minos dowiedzie, że Dedal współdziałał w jakiejś innej zbrodni, a wtedy on powtórnie rozpatrzy sprawę. Uśpiwszy w ten sposób podejrzenia Minosa, Tezeusz zebrał flotę i skierował się na Kretę okrężną, zachodnią drogą, biorąc ze sobą Dedala jako nawigatora.

Kreteńczycy, dotychczas bezsporni władcy mórz, przez całe stulecia czuli się tak bezpieczni przed najazdem, że nawet ich główne miasta były pozbawione murów. Gdy strażnicy na wybrzeżu dostrzegli flotę grecką nadpływającą z zachodu, uznali, że to okręty, co udały się na Sycylię, jednak

widać nie utonęły, tylko wiatr znósł je daleko z kursu, a teraz wracają, ponad wszelkie spodziewanie.

Przekazali nowinę do Knossos, zaś tamtejsza ludność radośnie wyległa na brzeg witać towarzyszy; wtedy okazało się, jak bardzo są w błędzie. Z okrętów wysypali się zbrojni Grecy, sprawili rzeź wśród świątecznego tłumu i pobiegłszy w głąb lądu, natrafili na pałac. Splądrowali go i spalili, zabijając Minosa oraz całą starszyznę bractwa byków. Natychmiast po tym popłynęli do innych portów Krety, zdobyli resztę okrętów wojennych wroga i złupili pozostałe miasta. Lecz Tezeusz nie śmiał obrazić Trójbogini Pazyfae ani dokuczyć żadnej z jej kapłanek: zawarł

z najwyższą kapłanką trwały sojusz, który umacniał jej władzę nad Kretą. Poza tym zniesiono urząd Minosa, zaś panowanie na morzach, jakim Kreteńczycy cieszyli się przez dwa tysiące lat, nagle przeszło w ręce Greków oraz ich sprzymierzeńców.

Tak przynajmniej brzmi opowieść, przez wiarygodnych poetów przekazana nam z pokolenia na pokolenie.

Potem Orfeusz wziął lirę między kolana i grając na niej, śpiewał o Tezeuszu i księżniczce, do której ten umizgał się niegdyś, a później porzucił na wyspie Naksos.

*Na swym rzeźbionym łożu, nad falami,*

*Śni, a śniąc widzi jej wdzięczną przechadzkę,*

*Ścieżynę z muszel wśród kwietnych rabatów.*

*Gładką murawę w cieniu winorośli.*

*Westchnął: – Stopiona z mą przeszłością grzeszną,*

*Teraz nawiedza ruiny i zgliszcza.*

*A dom królewski stoi ocalały,*

*Wiekiem schylony, świerki go przerosły –*

*Tam go jej stałość do cna przesyciła.*

*A ona teraz pewniej stawia kroki,*

*Niż kiedy bojaźń jego nienawiści*

*W powietrzu stała jak burza grożąca,*

*Gdy sosny chwiały się w pazurach wiatru,*

*Kwiat każdy patrzył nienawistnym okiem.*

*O nim nie marzy – co było, minęło –*

*Ale przyzywa błogosławieństw życia,*

*Które on w zgliszcza obrócił jedynie;*

*Oto królowa godniejszego dworu.*

## **KRÓL FINEUS I HARPIE.**

Rankiem trzeciego dnia *Argo*, gnana pomyślnym wiatrem, pożeglowała na północ. Na pokładzie znalazło się kilkoro Mariandynów ocalonych z niewoli bebryckiej (wśród nich siostra króla Lykosa, którą Amykos uczynił swoją nałożnicą), a to ponieważ Jazon ofiarował się odwieźć ich do domu, do ich miasta na południowym wybrzeżu Morza Czarnego.

Po południu tegoż dnia osiągnęli gardziel Bosforu, ale Argos, Tyfis i Nauplios, trzech najdoświadczeńsi żeglarze, orzekli, że nurt jest niebezpiecznie bystry. Jeśli wiatr powieje jeszcze przez dwa lub trzy dni, można się będzie pokusić o przebycie cieśniny.

Kalais i Dzetes oświadczyli Jazonowi:

– Gdybyś zechciał tymczasem wylądować na brzegu trackim, zapewniamy ci miłą gościnę na dworze naszego ojczyma, króla Tynów Fineusa, którego imię, słyszeliśmy, wspomniałeś, rozmawiając z ostatnim naszym gospodarzem. Fineus panuje nad pagórkowatą krainą wschodniej Tracji, tak daleko na północ, jak sięga podgórze Hajmos.

Jazon, niebaczny niebezpieczeństw przygody, w którą sam się wplątał, chętnie przystał na tę propozycję. Popłynęli na zachód, tam gdzie w linii wzgórz, ze wszystkich stron zamykających Propontydę, jest wąskie przejście i gdzie nurt Bosforu nie znosi okrętów z kursu. Przybili do brzegu u stóp czerwonej skały i –

zostawiwszy na pokładzie straż złożoną przede wszystkim z Greków z Peloponezu i z Wysp – Jazon wysiadł na ląd w towarzystwie Kalaisa i Dzetesa, herolda Echiona, Orfeusza i wszystkich Tesalczyków, ponieważ rozumieli język tracki.

– Król Fineus chyba jeszcze przebywa w Bitynion, zimowej stolicy, która leży nad jeziorem, godzinę drogi stąd – powiedział Dzetes. – Nie zwykł bowiem przenosić się do Salmidessos, stolicy letniej, póki nie dojrzeją pierwsze figi.

Kalais i Dzetes, którzy o swoich sprawach mówili z rzadka i możliwie skąpo, teraz po drodze zaczęli wyjaśniać Jazonowi, czemu ostatnimi czasy, opuściwszy Trację, znaleźli się w Grecji. Otóż pojechali tam po trosze, by poznać sztukę i obyczaje rodzinnego kraju matki (Orejtyja pochodziła z Aten); po trosze, by objąć spadek, jakiego mogli oczekiwać według matriarchalnego prawa, co wciąż rządziło Attyką – ale tu się zawiedli; po trosze wreszcie, by uniknąć towarzystwa nowej żony ojca. Mianowicie ślepy król Fineus poślubił niedawno córkę sąsiada, króla Scytów, który zawładnął wyżynnym południowym brzegiem dolnego biegu Danuby. Było jej na imię Idaja i, jak się okazało,

nie odznaczała się żadną z cnót wrodzonych nieskazitelnym, wstrzemięźliwym Scytom.

– Ona w rzeczywistości jest zuchwała, okrutna, podstępna i rozpustna –

stwierdził Dzetes.

– Mówiąc szczerze – rzekł Kalais – ojczym prawie nas wygnał, bośmy w jego obecności zarzucili jej, że wstyd przynosi domowi. Ale on jest ślepy, ona zaś omamiła go udaną słodyczą. Zdaje mu się, że to najlepsza żona na świecie.

– Mają syna – dodał Dzetes – jeśli oczywiście dowódca jej scytyjskiej gwardii nie jest ojcem bębna, któremu ona wyraźnie zamierza przekazać tron, choć z prawa myśmy powinni dziedziczyć. Jej Scytowie terroryzują straż pałacową i wszystkich Tynów.

– Nie pójdę ani kroku dalej! – wykrzyknął Jazon. – Dlaczegoście mi tego wszystkiego nie powiedzieli, nim wyruszyliśmy. Teraz, gdyśmy stracili Herkulesa, nie jesteśmy dość silni, by się mieszać w wewnętrzne sprawy każdego miasta czy królestwa, jakie leży na naszej drodze. Głównym i doprawdy jedynym celem podróży jest odzyskanie złotego runa. Od tego nie odstąpię.

– Tyś nie stracił Herkulesa – powiedział Peleus – tyś się go rozmyślnie pozbył.

– Szlachetny Jazonie – wtrącił Echion – pamiętaj, że przed opuszczeniem Jolkos wszyscy, którzyśmy zyskali szacunkowe miano Argonautów, wymieniliśmy uroczyste zapewnienia wzajemnej pomocy. Skoro Kalais i Dzetes zgodzili się wtedy towarzyszyć ci w niebezpiecznej wyprawie po runo (która w gruncie rzeczy nie obchodziła ich bezpośrednio, bo nie są Minińczykami), postąpisz jedynie słusznie, czyniąc wszystko, co w twojej mocy, aby ich pogodzić z ojczymem, jak to się robi, oliwiąc rozgrzaną piastę koła rydwanu, gdy z piskiem trze o nieustępliwą oś.

Inni poparli Echiona, poszli więc razem dalej. Gdy znaleźli się już o jakie pięć stadiów od pałacu, ujrzeni kawalkadę oddalającą się brzegiem jeziora na zachód.

Bystrooki Linkeus dostrzegł, że składa się ona z dwudziestu chyba łuczników o skośnych oczach, z ogolonymi głowami, dosiadających krępych kucyków, a prowadzi ją kobieta w spodniach i grubym, czarnym kaftanie ściągniętym drogocennym pasem, z haftowaną szarfą na głowie. Jechali pełnym kłusem, za nimi gnała sfera psów.

– No, poczekajmy tu chwilę, aż moja macocha i jej scytyjska gwardia znikną nam z oczu – rzekł Kalais. – Orfeuszu, jesteś Trakiem, więc może byś poszedł sam naprzód, jako wędrowny bard, i zabawił na dziedzińcu straż pałacową i służbę. My tymczasem wejdziemy cichaczem przez boczną bramę. W ten sposób Dzetes i ja zdołamy rozmówić się z ojczymem bez obawy, że ktoś nam przeszkodzi.

Nikt na tym świecie nie był w stanie słuchać obojętnie muzyki, którą rozbrzmiewała lutnia Orfeusza. Kiedy wszedł zatem na podwórzec pałacowy, brzdąkając skoczny taniec, wartownicy porzucili broń, kucharki zostawiły pieczeń przypalającą się na roznach, praczki obiegiły bieliznę rozłożoną na płaskich kamieniach nad jeziorem i wszyscy razem zaczęli płasnąć. Lisie kołpaki podlatywały wysoko

w powietrzu.

Gromadka Argonautów pod przewodnictwem Kalaisa i Dzetesa wkradła się do pałacu, zmierzając do sali jadalnej. Gdy otwarli drzwi, z wnętrza buchnął ohydny smród: połączona woń świeżego gnoju i gnijącego mięsa; weszli – dziwny widok uderzył ich oczy. Król Fineus siedział przy długim stole o połączonych nogach, zastawionym półmiskami, wśród których biło się o żarcie dwadzieścia czy trzydzieści kani. Coraz nowe wpadały z łopotem skrzydeł przez okna, by wziąć udział w ucztach. Ostro zakończonymi dziobami szarpały sterty odpadków i gnijącego ścierwa podane na cennej zastawie. Choć Fineus machał rękami i odpędzał je krzykiem, nie zwracały nań wcale uwagi zajęte plugawą biesiadą. Mimo że nie miał więcej niż pięćdziesiąt lat – twarz Fineusa była wychudzona i żółta niby twarz pradziadka w ostatniej zimie żywota.

Argonauci zgodnie, z głośnym wrzaskiem poskoczyli ku stołowi. Ptaki wyfrunęły przez okna, kradnąc z półmisek, ile się dało unieść. Kalais i Dzetes na migi polecili Echionowi odezwać się do króla, nieradzi zdradzać swej obecności, nim on sam nie wyjaśni, co się tu dzieje. Echion wystąpił naprzód, chrząknięciem oczyścił krtań i wyszukany stylem przemówił do starca:

– Dostojny władco, jestem herold Echion, adept Szkoły Heroldów na górze Kylene, syn boga Hermesa. Tuszę, że mam zaszczyt zwracać się do Fineusa, króla świetnych Tynów, którego dziedzina rozciąga się na północnym zachodzie od szybkich wód Bosforu aż do tysiąca ujść straszliwej Danuby. Ufam, że wybaczysz, panie, to nie zapowiedziane wtargnięcie, ale wędrowny grajek właśnie prowadzi na dziedzińcu prostacki taniec, w którym uczestniczy cała twoja wierna gwardia i służba. Mnie i moim towarzyszom nie zechcieli poświęcić ani odrobiny uwagi, gdyśmy się zjawili, przeto (w obawie, by nas nie ominęła radość powitania cię zaraz po przybyciu) sami znaleźliśmy drogę.

– Czym jesteś heroldem? – zapytał Fineus drżącym głosem. Echion odparł: –

Przemawiam w imieniu grupy szlachetnych Tesalczyków przybyłych do twego gościnnego kraju w celach handlowych. Naszym portem macierzystym jest Jolkos, a przywozimy ozdobną ceramikę, białe czapaki na konie i motki wełnianego przędzy (barwionego na piękne kolory i gotowego do tkania), które chcielibyśmy wymienić na cenne produkty twoich bogatych ziem.

– Na nic mi się to nie przyda – odrzekł smutnie król – zupełnie na nic. Ale dałbym wam wszystkie złote pierścienie i łańcuchy, jakie mi jeszcze zostały, w zamian za jedną małą kromkę czystego chleba i parę fig albo płatek sera, który by nie był splugawiony przez te ohydne harpie o kobiecych twarzach. Ach, po cóż to mówię? Nawet jeśli ofiarujecie mi taki dar, harpie natychmiast znowu przylecą i wydrą mi go z rąk. Mija już wiele miesięcy, odkąd jadłem coś czystego.

Natychmiast bowiem, gdy podadzą obfite i smaczne mięsiwa, zlatują się oknami harpie i albo je porywają, albo plugawią. Moja czuła żona Idaja wypróbowała już wszystkie możliwe sposoby, aby mnie uwolnić od tych potworów o ludzkich twarzach, ale bez żadnego powodzenia. Zostały zesłane przez jakiegoś boga, którego niechcący obraziłem.

– Jeśli mogę zadać tak zuchwałe pytanie: skądże ty, ślepiec, wiesz, jak wyglądają te harpie? – zapytał Echion.

Fineus odrzekł: – Moja czuła żona Idaja często mi opisywała ich chude starcze twarze, wyschnięte piersi i olbrzymie nietoperze skrzydła. Zresztą posiadam przecież inne zmysły, zwłaszcza słuch i powonienie, i gdy słyszę ich gdaczący śmiech, szepty, sprośne okrzyki, brzęk półmisek, z których jedzą, gdy czuję powiew skrzydeł i węszą smród ich obrzydliwego oddechu oraz okropnych nieczystości, którymi obryzgują komnatę... Cóż, nie trzeba mi oczu, by je wyraźnie oglądać, przeciwnie, niemal rad jestem chwilami swojej ślepoty.

– Czcigodny królu – powiedział Echion – ktoś wyplatał ci złośliwego figła.

Zapytaj kogokolwiek z nas, co widział i co teraz widzi, a powie ci to samo, co ja.

Tu nie było harpii o ludzkich twarzach, tylko po prostu kanie. I nie szarpały smakowitego mięsiwa, a sterty odpadków oraz gnijącego ścierwa postawione na przynętę. I nie one, jak sądzisz, zanieczyszczają twój stół, ponieważ już przedtem musieli to zrobić niegodziwi paziowie, rozrzucając łajno z chlewów czy ustępów po stole i mażąc nim twój talerz i puchar. A co do gdaczących śmiechów i szepcików, bez wątpienia pochodziły od jakichś niewolnic wciągniętych do spisku. Skoro twoja czuła żona Idaja mówiła, że nawiedzają cię harpie, jest albo bardzo zła, albo niespełna rozumu.

Peleus, Akastos, Jazon i wszyscy pozostali potwierdzili słowa Echiona, Fineus jednak nie mógł im uwierzyć. Wciąż powracał do swojej opowieści. Wreszcie Peleus wyjął z sakwy kawałek jęczmiennego chleba i koziego sera i włożył je królowi w rękę mówiąc:

– Jedz, jedz, dostojny panie. To jest zdrowe jadlo i nikt ci go nie zabierze.

Kanie i złe sługi już zostały wygnane. Nie powrócą.

Fineus skosztował z wahaniem i zaczął chciwie jeść. Jazon wmusił mu jeszcze parę fig, kilka słodkich ciastek i napełnił puchar nie zmieszany z wodą winem ze skórzanej butli, którą miał u pasa. Krew zabarwiła znowu wychudłe policzki króla.

Nagle Fineus zaczął bić się w piersi, targać zmierzwione włosy i oplakiwać gorzko własną łatwowierność, przyznając, że w końcu, acz zbyt późno, zrozumiał, jak okrutnie go oszukano. Dlaczego wierzył we wszystko, co mówiła Idaja? Dlaczego nie wysłuchał oskarżeń ze strony przybranych synów? Ostrzegali, że żona wykorzystuje jego ślepotę, aby go zwieść, lecz nie użył im chętnego ucha.

W swoim omamieniu wygnała dwu starszych, Kalaisa i Dzetesa, a dziś, gdy przejrzał nareszcie, kości ich bieleją już zapewne na dnie morza. Dwóm młodszym Idaja zarzuciła, że próbowali ją zgwałcić w kąpieli, i teraz są uwięzieni w ciemnicy, w grobowcu o spiżowych drzwiach. Straż smaga ich co dzień bykowcem, żeby się przyznali do winy i ukorzyli.

– Ale cóż ja poradzę, cóż ja poradzę? – wołał złamanym głosem. – Idaja tu rządzi, nie ja; ona ma klucze więzienia, nie ja; ona rozkazuje straży, nie ja; jestem całkowicie w jej mocy. Zacni Tesalczyki, w zamian za to znakomite jadlo przyjmijcie, proszę, wszystkie srebrne i złote naczynia, jakie się wam spodoba, i uciekajcie co prędzej tędy, którądyście weszli, zostawiając mnie mojej

niedoli.

Słusznie cierpię za własne szaleństwa i nie chcę narażać was na zemstę mojej złej żony. Biada mym przybranym synom, Kalaisowi i Dzetesowi! Błagam was, cudzoziemcy, odszukajcie ich, gdziekolwiek są, przekażcie im błogosławieństwo i proście, żeby mi z serca przebaczyli zło, które im wyrządziłem. Atoli będzie już za późno, by zdołali uratować braci od zguby pod batogiem, mnie zaś od powolnej śmierci głodowej.

Wówczas Kalais i Dzetes zdradzili mu swą obecność, a widok tego poznania i pojednania wszystkie oczy napełnił łzami. Peleus i Koronos pobiegli spieszenie do ciemnicy i wyłamawszy drzwi ciosami ciężkiego młota, uwolnili młodzieńców bliskich śmierci z głodu i codziennego bicia.

Dowiedzieli się od nich, którzy służy pałacowi pozostali wierni Fineusowi, a którzy go zdradzili. Wyszli na dziedziniec i dali znak Orfeuszowi, żeby przestał

grać. Wtedy, zgromadziwszy uczciwe sługi, pochwytali zdrajców i odesłali ich pod strażą do więzienia. Wnet cały pałac znalazł się w ich rękach. Potem, krótko mówiąc, Kalais urządził zasadzkę na powracającą królową Idaję oraz jej żołnierzy; zostali rozbrojeni i wzięci żywcem. Fineus wcale nie ukarał żony za zdradzieckie i podłe knowania, odesłał ją do ojca, króla Scytów, wyjaśniając, czego doznał z jej rąk. Scyta, człowiek prawy jak wszyscy z jego plemienia, docenił wyrozumiałość Fineusa. Dla zadośćuczynienia skazał Idaję na śmierć, ale wieść o tym dotarła do Tynii później, gdy *Argo* już dawno wyruszyła w dalszą drogę.

Fineus traktował Argonautów jak zbawców. Próbował odradzić im podróż, o której celu powiedzieli mu w zaufaniu, a nie mogąc tego dokonać, wyprawił

uczty na ich cześć i udzielił im wskazówek co do dalszej żeglugi na południe, do Kolchidy, ze wszystkimi szczegółami dotyczącymi wiatrów, prądów, mielizn i portów; obiecał im ponadto życzliwe przyjęcie w drodze powrotnej. Ubolewał, że Kalais i Dzetes uparli się pozostać na pokładzie *Argo*, ale dowiedziawszy się, iż są związani przysięgą, nie usiłował ich zatrzymać. Jego młodsi synowie wkrótce doprowadzili królestwo do ładu; a święte kanie, odkąd je znów – jak dawniej –

karmiono tylko pod drzewem obrad kani (wspólnota tyniańska, do której wstąpili również Kalais i Dzetes), pozbyły się wpojonego im przez królową obyczaju wlatywania przez okno do pałacowej jadalni.

Na pytanie zaś, czemu Idaja po prostu nie zabiła Fineusa, miast go tak dręczyć, odpowiedź daje stare wierzenie: „Żadna kobieta scytyjska nie zamorduje swego małżonka ze strachu przed okropnym losem, jaki by ją czekał w krainie podziemi”.

Królowa liczyła jednak, że dając Fineusowi wyłącznie zepsute pożywienie, doprowadzi go do tak żalosego stanu, iż sam się targnie na własne życie nieświadom, kto jest przyczyną jego niedoli.

## **PRZEBYCIE BOSFORU**

– Bosfor – oznajmił Fineus – ma ze sto pięćdziesiąt stadiów długości od morza do morza i przypomina raczej rwącą rzekę niż cieśninę, zwłaszcza tam, gdzie kanał

się zwęża do szerokości mniejszej niż cztery stadia od brzegu do brzegu: czerpie bowiem wodę z ogromnego morza, długiego prawie na dziewięć tysięcy stadiów, a szerokiego na cztery i pół tysiąca, które zasila kilka potężnych rzek. O moi przyjaciele, możecie sobie wyobrazić, co za powódź kipi w cieśninie, kiedy dzięki topniejącym śniegom z rozległych stepów północy czy z gór Kaukazu rzeki te wzbierają do kilkakroć większych rozmiarów! Szczęściem najgorsza pora nie nadeszła jeszcze i wiatr południowo-zachodni trwający już od dwóch dni łagodzi siłę prądu. Bez zwłoki wykorzystajcie okazję i oby bogowie pozwolili wam się przedrzeć, nim wiatr znowu zmieni kierunek, acz obawiam się po wyglądzie nieba, że to niebawem nastąpi.

Nurt jest najszybszy pośrodku cieśniny, zaś bliżej brzegów napotkacie wiry i przeciwnie prądy. Pamiętajcie, jeśli nie uda się wam spożytkować tych prądów, zadanie okaże się dla wioślarzy niewykonalne; pamiętajcie również, że pod osłoną wysuniętych cyplów urwistego i krętego kanału, gdzie prąd zbacza, znajdziecie schronienie, co wam pozwoli zaczerpnąć oddechu do dalszych wysiłków. Ale wasz kapitan i sternik muszą zachować sąd niezwykle trzeźwy, bo inaczej na pewno zniesie was na skały.

Najlepiej zaczynać przeprawę od wschodu, gdyż brzeg tam stromy i głębia tuż przy nim; strzeżcie się jednak wejścia w przesmyk w miejscu, gdzie ujście górskiego potoku poprzedza łacha stercząca na sto kroków od lądu. Jak was tu pochwyci środkowy nurt, okręt wasz zawiruje niby kłoda drzewa. Niech sternik trzyma dziób prosto przeciw prądowi, a wy miejcie ufność w bogach i przyłóżcie się do wiosła. Po przebyciu przesmyku, gdzie dziś, moim zdaniem, szybkość prądu będzie zbliżona do szybkości sprawnego piechura, zobaczycie, że cieśnina znów się rozszerza i pojawiają gładziny przy brzegach. Po stronie zachodniej leży Terapeja, mała zatoczka, dokąd można zawinąć bezpiecznie, jeśli zechcecie odpocząć w połowie drogi. Raz tylko jeszcze przeprawa okaże się trudna, tam też właśnie grozi żeglarzom największe niebezpieczeństwo: Symplegady. Napotkacie je o jakieś dwieście kroków od brzegu w przewężeniu, które z dala wyróżnia gaj białych cyprysów. Kiedy będziecie płynęli z trudem wzdłuż zachodniego skraju cieśniny, gdzie woda jest bardziej leniwa niż przy wschodnim brzegu, napotkacie prąd przeciwny tak kapryśny, że zmyli wasze oczy. Wyda się wam, jakoby ciemne skały, częściowo ukryte pod wodą, nie trzymały się dna kanału, tylko kołysały swobodnie, usiłując zgnieść okręty między sobą a lądem. Niech jednak sternik utkwi wzrok w jakimś stałym punkcie po drugiej stronie cieśniny i steruje według niego.

Skoro miniecie Symplegady, wolno wam nabrać ducha, bo pozostaje już tylko dwadzieścia siedem stadiów drogi, i to nie nazbyt ciężkiej. Jeśli wiatr się nagle zmieni, będziecie wkrótce zarzucać kotwicę w Morzu Czarnym lub wyciągać okręt na piasek na jakimś przyjemnym wybrzeżu.

Uważnie zapamiętali te i inne wskazówki i powtarzali je sobie nawzajem żeglując przez pierwszy odcinek cieśniny bez użycia wiosła, aby zachować siły na walkę w przesmyku. W wodzie roiło się od tuńczyków i ryb-miecz, skały zaś, które mijali, były obwieszane jasnozielonymi krzewami kapani.

Gdy dotarli do przesmyku i chwycili za wiosła, Orfeusz zaczął nową piosenkę, ostrą satyrę na załogę okrętu, obliczoną na to, by uspić gniew zawistnych bogów czy bogiń, co mogliby skorzystać z okazji i



zrobić im krzywdę. Chór powtarzał: *Czy kiedyś morskie fale niosły*

*Takich jak my młodzieńców rosnących?*

A każda kolejna zwrotka wykpiwała jednego z Argonautów. Orfeusz śpiewał

o Linkeusie, który miał wzrok tak bystry, że widział na wskroś przez pień dębu i mógł czytać myśli karaluchów łączących po drugiej stronie; o Bootesie, co znał

imię i rodowód każdej pszczoły i płakał, jeśli jakaś nie wróciła do ula, zapewne połknięta przez jaskółkę; o Admecie, którego sługą został Apollo, a on nie potrafił

wymyślić dla boga lepszego polecenia niż: „Przynies mi kielbasy, z łaski swojej!”; o Eufemosie-pływaku, co wyzwiał tuńczyka na wyścigi dokoła wyspy Kityry i byłby wygrał, gdyby nie oszukaństwa ryby; o Kalaisie i Dzetesie, biegających tak szybko, że z reguły pojawiają się na mecie, zanim padnie okrzyk „Hop!”, a raz ścigali rodzinę harpii wzdłuż brzegów Propontydy, przez całą Egeę i Grecję aż do wysp zwanych Strofady; o Peryklimenosie-czarowniku, urodzonym podczas zaćmienia słońca, który potrafił przemieniać się w każde dowolnie obrane zwierzę czy owada, aż pewnego razu utknął na dobre w skórze oślątka zbyt młodego, aby pamiętało, jak powrócić do ludzkich kształtów; o Mopsosie i Idmonie, którzy przekładali rozmowy ptasie nad człowiecze, nawet swoje własne; o Ifitosie, który na ścianach komnat domu w Fokidzie tak żywo wymalował łowy na jelenia, że zwierzyzna, ogary i myśliwi wybiegli przez dymny otwór w dachu i znikli w ciemnościach o Jazonie, który był tak przystojny, iż kobiety mdlały na jego widok i trzeba je było cucić śwędem palonego pierza. Ale rozważny Orfeusz nie omieszkał zakpić i z samego siebie: opowiedział, jak w arkadyjskiej dolinie liczne drzewa wyciągnęły korzenie z ziemi i poszurały za nim, gdy grał w zamyśleniu:

„Przybywaj do Tracji, do lepszej krainy...”

Żarty te przeprowadziły ich bezpiecznie przez najgorszy odcinek przesmyku, choć w jednym miejscu, nawet najzwawiej robiąc wiosłami, potrzebowali aż trzech zwrotek piosenki na przepłynięcie stu kroków. Niemal półżywi drżeli z wysiłku, kiedy Tyfis skierował okręt do Zatoki Terapejskiej. Zarzucili kotwicę i pokrzepiali się winem, serem i paskami marynowanej dziczyzny, którą dał im Fineus; ale ponieważ wiatr zaczął przycichać, skrócili czas posiłku i podjęli przeprawę w obawie gorszych rzeczy. Przedtem jednak odciążyli okręt, wysadzając na brzeg Mariandynów ocalonych z rąk Amykosa; umówili się, że się z nimi spotkają tegoż wieczora, jeśli bogowie pozwolą, na brzegu Morza Czarnego po wschodniej stronie wejścia do Bosforu.

Płynęli wolno przez najszerszą część cieśniny, ale wiatr zamarł zupełnie, nim dojrzeliby cyprysy na cyplu i po syku spienionej wody poznali, że Symplegady już blisko. W ustach im zaschło ze strachu, mięśnie dygotały w napięciu, lecz Tyfis trzymał kurs, a Orfeusz przygrywał ochoczo. Prąd głównego nurtu był straszliwie rwący, zaś wiry tuż przy brzegu szaleńczo miotają *Argo*. Wioślarze spostrzegli lecącą za nimi, też pod prąd, czaplę i zadyszani powitali ją okrzykiem, ponieważ jest to ptak poświęcony bogini Atenie; gdy jednak zatrzepotał nad masztem, radosne pozdrowienie zmieniło się w jęk trwogi. Zmylili rytm i zepchnęło ich z kursu: bo na czaplę runął krogulec, a o włos tylko chybił celu. Pióro z ogona spłynęło w dół i zawirowało w nurcie.

Jastrząb szykował się do nowego natarcia, gdyby zaś czapla zginęła, byłby to jak najgorszy omen. Faleros, którego od Terapei Jazon zastąpił przy wiosle, nie wydobrzył bowiem jeszcze po uderzeniu w biodro zadany przez Bebryka, złapał

łuk, nałożył strzałę na cięciwę i wypuścił ją. Jastrząb runął na pokład z przeszytym sercem, czapla zaś odleciała bezpiecznie w stronę Morza Czarnego.

Rzadko się trafia przepowiednia, co by się spełniła tak rychło. Tyfis, widząc z daleka odkrytą podczas odpływu jedną z Symplegad obok głównego nurtu, sądził, że znajduje się na właściwym kursie; lecz zmylił go szum wody. Nagły wir zakreślił

*Argo*, po czym nastąpił przeciągły trzask i wstrząs, aż wszyscy obecni pomyśleli, że oto podróż skończyła się przedwcześnie i wszystko stracone. Orfeusz jednak nie przestał śpiewać, Tyfis odzyskał panowanie nad sterem i Argonauci krzepko ciągnęli dalej, a w potężnym prądzie wiosła wyginały się w łuk. Słona woda jakoś nie moczyła im stóp, choć spodziewali się tego lada chwila, aż Faleros, wychylając się przez burtę, by zobaczyć, czego brakuje, krzyknął, że po prostu podwodna skała urwała im podstawę rzeźby rufowej. Część się odłamała, bardzo podobnie jak u czapli, co straciła pióro z ogona; poszycie statku nie zostało naruszone.

Podniesieni na duchu dążyli tedy naprzód i wkrótce rozciągnęło się przed nimi Morze Czarne. Okrążyli wschodni cypel, mijając białe kredowe urwisko, o którym wspominał w swoich wskazówkach król Fineus; przybili więc do lądu kilkanaście stajają dalej na wschód, gdzie żółte skały przegradzały małe dolinki obramowane wąskimi piaszczystymi łąkami.

Zaledwie znaleźli się na brzegu, zaczął dąć wiatr północno-wschodni i niebawem w dół cieśniny potoczyły się potworne fale. Oni śmiali się, krzyczeli i ciskali w siebie garściami piachu, by wyładować jakoś ulgę i radość. Ateńczycy: Argos, Bootes i Faleros, kupili owce od rybaków bityńskich zamieszkałych w pobliskiej dolinie i natychmiast ofiarowali je Atenie w podzięcie za znak ostrzegawczy; ale trzej synowie Posejdona, nie chcąc, by ich prześcignięto w pobożności, wyznaczyli kawałek ziemi na uroczysko ku czci swego ojca druzgocącego skały i kupili mu na ofiarę dwa czerwone byki.

Na tej plaży dołączyli do nich Mariandynowie. Tutaj także Idas grubiańsko przypomniał liczne żarty Orfeusza, drwiąc zwłaszcza z Peryklimenosa-czarownika, który jak dotąd bynajmniej nie dowiedział Argonautom, że jest w ogóle wyposażony w jakąś szczególną władzę. Peryklimenos przeto pokazał swój kunszt po krótkiej wyprawie na poszukiwanie rekwizytów oraz modlitwie do ojca Posejdona, by zesłał mu natchnienie.

Położył dwa kamyki, biały i czarny, po czym na oczach wszystkich nakrył je muszelkami; gdy zdjął muszle, kamyki zamieniły się miejscami.

Następnie wziął orzech, wykonał magiczne ruchy i wetknął go w kolano Idasa, w które orzech wsiąkł bez śladu. Potem kazał mu rosnąć, co się też stało, przyprawiając Idasa o nieznośne bóle, gdy roślina wypuściła korzenie i zakiełkowała, aż zaczął ze łzami błagać czarownika, by usunął rosnący orzech, i prosić o przebaczenie za swoje zuchwalstwo. Peryklimenos zlitował się i wyrwał

orzech od spodu za korzenie, prezentując go kompanom jeszcze z odrobiną krwi płamiącej zielony kielek.

Potem zmienił kamień w rybkę, po prostu pocierając go dłońmi pod płaszczem, i zagotował czarę morskiej wody bez użycia ognia. Napomykał nawet, że może uciąć Jazonowi głowę i znów go przywrócić do życia; ale Jazon nie chciał się poddać zabiegowi, choć wszyscy towarzysze nalegali, by dowiódł męstwa i wiary.

Na zakończenie Peryklimenos zadziwił ich i zmylił brzuchomówstwem, tak że w pewnym momencie wydawało się, że to ryba, co pierwotnie była kamieniem, deklamuje zwrotkę satyrycznej piosenki – właśnie tę dotyczącą Peryklimenosa; a po chwili, że Hylas woła radośnie spoza skały, pod którą siedzieli: „Tu jestem, Argonaucci! Zapuściłem brodę, odkądśmy się ostatnio widzieli, i zostałem ojcem dwu dorodnych chłopaków”. Ale nikogo tam nie było.

## **POBYT U MARIANDYNÓW**

Morze Czarne ma kształt napiętego scytyjskiego łuku ze struną odciągniętą ku północy i różni się pod wieloma względami od Morza Śródziemnego. Zasilają je wody licznych potężnych rzek, takich jak Danuba, Borystenes czy Tanais, a każda z nich większa od tych, co wpadają do Morza Śródziemnego, z wyjątkiem Nilu; i nie ma tam ani jednej porządnej wyspy. Okolice północne są tak zimne, że – choć się to zdaje nie do wiary – zamarza nawet morska woda, zaś ogromne Jezioro Meockie, połączone z Morzem Czarnym wąską cieśniną, często bywa w zimie pokryte lodem na dwie stopy grubym. Największe rzeki wpadają doń na północy i północo-zachodzie, wiosną i latem potężnie wezbrane wskutek topnienia śniegów; potem ich mętne wody toczą się wałem ku Bosforowi, gdzie nie mogąc wtargnąć wszystkie na raz, tworzą prąd wzdłuż południowego wybrzeża aż do gór Kaukazu.

Na całym tym obszarze zapadają nieoczekiwane mgły, zacierając zarysy lądu, przy czym prądy i wiatry nawet przy pięknej pogodzie często okropnie szarpiają i rzucają okrętem; ale morze obfituje w wielkie ryby: tuńczyki, flądry oraz jesiotry, a jego brzegów nigdzie nie pokrywa niegościnna piaszczysta pustynia.

Pośrodku północnego wybrzeża sterczy Półwysep Krymski, gdzie żyją dzicy Taurowie, którzy z lubością składają ofiary z ludzi, zaś nabite na pale głowy cudzoziemców umieszczają wokół swych domostw. Za Taurami mieszkają Kimerowie, lud drobny, ciemny i pobudliwy, słynący z pięknego śpiewu i męstwa na wojnie, lecz wszystko to nałogowi sodomici; na wschód zaś i zachód od Kimerów leżą siedziby długowiecznych, sprawiedliwych Scytów, którzy nie mają innych domów prócz wozów na kołach, piją kobyle mleko i wspaniale strzelają z łuku. Jeszcze dalej za nimi żyją czarno odziani ludożercy Finowie, Neurowie –

wielu z nich nocą zmienia się w wilkołaki; a także myśliwi Budynowie, co się malują czerwoną i niebieską barwiczką, budują drewniane miasta otoczone palisadą i noszą kołpaki oraz tuniki ze skórek bobrowych; i Esedonowie, którzy uważają za akt pobożności zjedzenie zwłok własnych rodziców, z ich czaszek zaś sporządzają puchary; dalej łysogłowe plemię kapłanów, Argippajów, co jeżdżą na białych koniach, nie noszą broni i żywią się gęstym twarogiem z mleka zakwaszonego wiśniowym sokiem. Na zachodnim wybrzeżu osiedli Tynowie i Bityńczycy mówiący językiem trackim; oraz lubieżni piwosze Getowie; ponadto Scytowie-rolnicy; rybacy Brygowie, którzy noszą na biodrach przepaski z foczej skóry; dalej tatuowani poszukiwacze złota, Agatyrswowie, którzy wciąż czczą Trójboginię z pierwotną prostotą. Wybrzeża wschodnie zamieszkują Kolchowie, kupcy Apsylaje i Scytowie Królewscy. Wybrzeże południowe należy do plemion, które opiszemy po kolei, w miarę jak *Argo* będzie mijać ich włości lub zawijać do ich portów; ten południowy brzeg oddziela od głębi lądu nieprzerwane pasmo wysokich wzgórz, zaś klimat zbliżony jest do greckiego.

Trzeciego dnia od chwili, gdy znaleźli się na Morzu Czarnym, Argonauci podnieśli żagiel, walcząc nadal z falami, ale bez żadnej przygody, aż pod wieczór ujrzeli przylądek Kalpe i tuż przy brzegu skalistą wysepkę, długą najwyżej na osiem kroków i wystającą z morza na wysokość człowieka. Na tej wyspie –

największej chyba ze wszystkich, jakie mieli zobaczyć podczas całej dalszej podróży do Kolchidy – wysiedli i złożyli Apollinowi koźlątko w ofierze. Krew jego zebrano do tarczy Jazona i wszyscy umoczyli w niej palce, ponawiając przysięgę lojalnego braterstwa i klnąc się, że do końca nie opuszczą okrętu. Potem wylali krew na piasek, wołając chórem: – Niechaj nasza własna krew tak zostanie przelana, jeśli złamiemy przysięgę! – Ceremonia ta wydawała się niezbędną, skoro wpłynęli

na morze dyszące nieustanną groźbą, morze, po którym żaden z nich jeszcze nie żeglował. Odtńczyli także taniec w kręgu, zwany „żurawiem”, przy wtórze muzyki Orfeusza, śpiewając:

*Witaj, Febie, Władco Zgody,*

*Febie zawsze sprawiedliwy...*

Atalanta zaś pozwoliła Meleagrowi znowu się przebłagać. Żuraw był

poświęcony Artemidzie, lecz Apollo i ona, jako brat i siostra, mieli wiele wspólnych symboli i atrybutów.

Argonauci pozostali na tej wysepce przez całą noc, a o świcie powiał znakomity wiatr zachodni, który pod wieczór doniósł ich do granic państwa Mariandynów spowinowaconych z Trakami. Mijane obszary wydawały im się morzem drzew zalewającym niskie pagórki; po drodze dostrzegli ujścia trzech rzek: zamulonej rwącej Sangarios, Hypios o poszarpanych brzegach oraz szerokiej Lykos. Gdy tylko Lykos zniknęła za rufą, okrążyli Przylądek Acheruzyjski i posłuszni wskazówkom króla Fineusa zawinęli do zatoki z drugiej strony; osłaniało ją od wiatru ogromne i niedostępne urwisko uwieńczone platanami.

W głębi owej zatoki leżało główne miasto Mariandynów, słynne ze swych pięknych sadów, pól i ogrodów. Jęczmień, proso, sezam i wszelkie odmiany warzyw rosły tam w wielkiej obfitości, podobnie jak winorośl, drzewa figowe, orzechy laskowe, grusze i wszystko inne prócz oliwek; tutejsza gleba bowiem jest dla nich zbyt ciężka. Urwisko obniża się stopniowo w głąb lądu ku dolinie Lykos, zaś opodal wierzchołka, w wąskiej kotlinie, znajduje się rozpadlina, jedno z głównych wejść do świata podziemi. Tu wytryska niebezpieczna struga Acherontu i spływa parowem do stóp urwiska; jego wody są lodowato zimne i połyskliwy szron powleka kamienie u wejścia do czeluści. Nikt się dotąd nie zapaścił w to straszliwe miejsce oprócz jedynego Herkulesa: wiele lat później zszedł on parę stająn w dół, na polecenie króla Erysteusa, aby zanieść osobiście bogu Hadesowi skargę na złe traktowanie, które ponoć (one tak twierdziły) spotkało z jego rąk pewne dostojne dusze.

Skoro tylko król Lykos dowiedział się, że Argonauci ocalili jego siostrę i towarzyszy z udręk niewoli u Bebryków, zgotował wybawcom iście królewskie powitanie. Jazon, Polideukes i wszyscy pozostali musieli odrzucić ponad połowę bogatych darów, jakimi ich obsypał, ponieważ *Argo* była okrętem wojennym i brakło na niej pomieszczeń na towary.

Gdy już wszyscy zasiedli do sutej uczy, która ciągnęła się – potrawa za potrawą – przez okrągłe dwanaście godzin, Lykos zapytał Jazona: – Powiedz mi, książęcy zbawco mego kraju, czy znasz greckiego osiłka imieniem Herkules z Tyryntu? Ma on siedem stóp wzrostu, nosi lwią skórę i jest najniezwyklejszym człowiekiem na całym świecie. Kilka lat temu, za panowania mego ojca Daskilosa, przechodził tędy piechotą z kraju Amazonek, niosąc jako zdobycz wojenną pas królowej Hipolity. W owym czasie mój ojciec walczył z Bebrykami i Herkules ofiarował się, że ich podbije dla niego, co też uczynił bez większego trudu, zabijając króla Mygdona, brata Amykosa, i zajmując północne obszary ich państwa, nic bowiem nie mogło wstrzymać Herkulesa, gdy raz zaczął wymachiwać nad głową swoją spiżem okutą maczugą. Młodszy brat mojej żony zginął podczas bitwy i wyprawiliśmy mu pogrzebowe igrzyska; Herkules walczył wtedy na pięści z naszym mistrzem

Tytiasem i zapomniawszy o własnej sile, roztrzaskał mu czaszkę. Miał oczywiście wyrzuty sumienia i podjął się dla zadośćuczynienia podbić jeszcze jakieś wrogie plemię, którekolwiek sobie mój ojciec wybierze, na co on chętnie przystał: mianowicie Enetów na wschód od nas. Tak czy owak nie otrzymałby im odszkodowania. Eneci to uparte niedobitki wielkiego ludu, który Pelops powiódł niegdyś do Grecji.

Jazon odparł półgłosem: – Królu Lykosie, ten sam Herkules był członkiem naszej załogi, ale fatalnym zbiegiem okoliczności straciliśmy go parę dni temu.

Gdyśmy wysiedli na brzeg w pobliżu ujścia Kiany, jego przybrany syn Hylas skorzystał z okazji, by odeń uciec, niewdzięczny mały łajdak, z brzęczącym trzosem u boku; miał nadzieję, jak przypuszczamy, dotrzeć do Troi drogą lądową znad Jeziora Askańskiego i złapać tam okręt na Lemnos, gdzie czeka nań ukochana imieniem Ifinoe. Herkules przez parę godzin nie zauważył zniknięcia Hylasa, ale potem owładnięty bólem pognął na poszukiwania. Goniliśmy go spory kawał

traktem do Troi, lecz nie zważał na nasze krzyki i wkrótce nas pozostawił daleko w tyle; zawróciliśmy więc z ociąganiem. Kalais i Dzetes, co tam siedzą, oraz Tyfis, nasz sternik, radzili, abyśmy ruszali w dalszą podróż, ale jak tu było opuścić towarzysza? Król Admetos z Fery kładł na to gorący nacisk, zyskując moje pełne uznanie, a za nim Akastos syn Peliasa i Peleus Myrmidon. Jednakże większość była przeciwko nam i w końcu musieliśmy im ustąpić. Podnieśliśmy kamienie kotwiczne i z bólem serca odплыnęli. Jednak nie chciałbym obwiniać o tę decyzję ani Tyfisa, ani Kalaisa czy Dzetesa. Wierzę, że z pewnością jakiś bóg przemówił

przez ich usta.

Lykos współczuł Jazonowi: Wódz wyprawy – rzekł – często musi podejmować przykre dla siebie decyzje.

Jazon zwierzył się Lykosowi z prawdziwych przyczyn pojawienia się *Argo* na Morzu Czarnym, a Lykos przyklasnął jego odwadze i pobożności. Ofiarował

Jazonowi usługi swego syna Daskilosa, który by popłynął z nim aż do rzeki Termodont, na połowie drogi do Kolchidy, i w razie potrzeby przedstawił go wszystkim wodzom plemion oraz królom na wybrzeżu.

Jazon chętnie przyjął tę propozycję i *Argo* wyruszyłaby następnego ranka z łagodnym wiatrem zachodnim, gdyby nie okrutny wypadek. Idmon, Peleus i Idas wyszli na przechadzkę po wysokim brzegu rzeki Lykos, aby przewietrzyć się trochę po nadmiernym obżarstwie, i Idmon zaczął im opowiadać złowróżbny sen, jaki nawiedził go tej nocy, o dwu parzących się węzach, co jest najgorszym z możliwych snów. Idas, który do snów nie przywiązywał wagi, zaczął kpić z Idmona, gdy coś nagle poruszyło się wśród trzciny i wielki dzik, który tarzał się tam w błocie, runął na nich. Idas z Peleusem uskoczyli na bok, lecz Idmon stał

w miejscu, niezdolny się poruszyć. Dzik wbił mu zakrzywione, białe szable w prawe udo i rozplątał je powyżej szkarłatnego sznurowanego trzewika. Krew trysnęła z rany, Idmon z krzykiem upadł na twarz. Peleus cisnął oszczepem w dzika umykającego z powrotem w krzaki, ale trafił nie celniej niż

wówczas, gdy stał oko w oko z wielkim dzikiem z Kalidonu. Wrzasnął ze złości, a dzik znowu zawrócił.

Tym razem uderzył na Idasa, który nastawił nań włócznię, mierząc pomiędzy bark i szyję i powalił go na miejscu. Idas swymi przechwałkami często niecierpliwił

Peleusa; prawdą było atoli, że we władaniu dzidą nie miał sobie równego w Grecji i po dziś dzień nikt go nie prześcignął. Zostawili leżącego dzika i pospieszyli do Idasa, lecz nie mogli powstrzymać upływu krwi. Mopos nadbiegł ze swymi driakwiami, jak: sok jemioly, wyciąg ze złotej różgi, czyścica polnego oraz krwawnika pospolitego, a także czysta terpentyna. Przybył jednak za późno. Idmon zbladł śmiertelnie i skonał bez słowa w ramionach Idasa. Jasne było, że dzik, którego nigdy przedtem nie widziano w tej dolinie, nie był zwyczajnym dzikiem; Argonauci doszli do wniosku, że ożywiał go duch zmarłego Doliona, Megabrontesa, którego Idmon przez przeoczenie omieszkął ułagodzić. Totemem Megabrontesa był bowiem dzik.

Król Lykos osobiście wziął udział w ceremoniach pogrzebowych, które ciągnęły się trzy dni. Argonauci pocieszali się, przypominając sobie nawzajem, że Idmon był jednym z wtajemniczonych i zapewne panuje teraz pomiędzy umarłymi.

Całe stado owiec zarżnięto na jego grobie, po czym Mariandynowie wzniesli nad nim wysoki kopiec, na szczycie zaś zasadzili dziką oliwkę; liście tego starożytnego drzewa włożone pod poduszkę do dziś zapewniają prorocze sny.

I znów Argonauci już, już mieli odpływać, gdy stracili następnego towarzysza, sternika Tyfisa, który umarł na wyniszczającą chorobę, na jaką cierpieli przed nim jego ojciec i dziadek. Przekleństwo spadło na cały ród, odkąd dziad Tyfisa przypadkiem ściął święty dąb; wyrocznia orzekła, że żaden mężczyzna z rodziny nie może żyć dłużej, niż żyło drzewo, a miało ono czterdzieści dziewięć lat.

Mopsos zaaplikował konającemu Tyfisowi łyżkę rosołu przyrządzonego z serca sorka i wątroby myszy polnej; ale nawet to nie zdołało go uratować, choć na kilka godzin polepszyło mu się nadzwyczajnie.

Ponownie przez trzy dni płakali i lamentowali. Usypali drugi kurhan, równie wysoki jak tamten, i zaczęli szeptać pomiędzy sobą: – Wejście do świata podziemi leży niedaleko. Kto umrze następny? Kto jest tym trzecim? – Wiadomo mianowicie, że takie śmierci zawsze chodzą trójkami. Lecz Długi Ankajos znalazł

na pokładzie *Argo* szczura plądrującego po skrytkach, zatłukł go kamieniem i wykrzyknął: – Towarzysze, płaczmy nad trzecim zmarłym Argonautą! – To im przywróciło otuchę. Ale powstał spór, bo jedni mówili, że Nauplios powinien zostać sternikiem na miejsce Tyfisa, a drudzy żądali obrania Ifitosa, który przez parę lat był szyprem handlowego okrętu; w końcu Jazon powierzył to stanowisko Dłугоmu Ankajasowi, co zadowoliło prawie wszystkich.

Ósmego dnia z zachodnią bryzą podjęli podróż. Niedawny sztorm północno-wschodni wzburzył morze. Płynąc wzdłuż brzegu, minęli ujście jeszcze dwu rzek: ciemnej Bilajos, gdzie plaża jest czarna od żużli splukanych z Przylądka Węglowego, i Partenios, zwaną rzeką wianków, od wielu

kwiecistych łąk, przez które płynie. Następnie dotarli do Enetii, słynnej z bukszpanu, dzikich mułów, które się rozmnażają, oraz z eneckiego pisma drzewnego, starszego niż kadmejskie; zarzucili kotwicę na podwietrznej podwójnego cypla wysuniętego w morze, tuż przy wysepce o stromych żółtych brzegach. Ale Eneci uciekli, gdy ujrzeli, że *Argo* się zbliża, i nie pokazali się już, dopóki nie odplynęła następnego dnia o świcie.

Potem żeglowali wzdłuż poszarpanego i niedostępnego wybrzeża do przylądka Karambis, rozległego cypla obramowanego czerwonym urwiskiem, gdzie wedle słów Daskilosa należało oczekiwać, że wiatr się odwróci; jednakże nadal wiał

z zachodu. Płynęli przez całą noc, aż nad ranem znaleźli się w połowie drogi do Synope, mknąc wzdłuż wznoszącego się pionowo pustkowia, ziemi Paflagonów; a ponieważ nic nie wskazywało na to, że wiatr ucichnie, jechali dalej przez cały dzień. O zmroku zarzucili kotwicę na podwietrznej skalistej rafy częściowo ukrytej pod wodą, parę stajañ od Lepte, wielkiego przylądka, który dzieli południowy brzeg Morza Czarnego na dwie płytkie zatoki. W ciągu trzech dni i dwu nocy przebyli jakieś dwa tysiące pięćdziesiąt stadiów, nie poprzestali przy tym na pomocy wiatru i prądu, ale poganiiali *Argo* wiosłami, by w dwu długich etapach dziennie nadrobić stracony czas.

Tegoż dnia, kiedy dotarli do rafy, Herkules, wędrujący piechotą w stronę Kolchidy, wkroczył na terytorium Mariandynów. Król Lykos powitał go z radością, powiedział jednak:

– Niestety, drogi dobroczyńco, gdybyś był przyszedł chociaż dzień lub dwa wcześniej, natknąłbyś się na swoich towarzyszy Argonautów, którzy gorzko rozpaczali po twojej stracie, a przynajmniej rozpaczal Jazon, ich kapitan. Wiem z jego opowiadania, że gdyś się od nich odłączył w pobliżu Askanii, dwaj Tracy, Kalais i Dzetes, oraz sternik Tyfis odradzali im czekanie na ciebie.

– Doprawdy? – rzekł Herkules. – Oni to popamiętają.

– Tyfis już umarł, wyniszczony gorączką – dodał Lykos.

– Nie szkodzi – odparł Herkules. – Jeszcze mi zostali ci dwaj Tracy.

– Zaopatrzę cię w galerę wojenną, żebyś mógł ich ścigać, drogi dobroczyńco –

obiecał Lykos – ale wprawdzie uweselmy się razem i wskrześmy w pamięci dawne czasy.

– Taki jestem głodny, że mógłbym pożreć wołu! – ryknął Herkules.

– Zjesz dwa, jeśli będziesz miał ochotę – odparł Lykos. Uważał, żeby nie napomknąć nic o Hylasie, dopóki Herkules się nie naje i nie popije sobie należycie.

Gdy się posilali znakomitą pieczenią wołową, w przedsionku zrobił się ruch i wysoki mężczyzna, Grek z wyglądu, odziany w strój królewskiego herolda, zamasyście zbliżył się ku nim. Pozdrowił Lykosa pochlebnymi słowy, lecz dodał:

– Mam posłanie nie do waszej dostojności. Dotyczy ono twego szlachetnego gościa, księcia Herkulesa z Tyryntu.



– Na mą duszę, czyżby był to gnojek! – wrzasnął Herkules. – Trzymasz się mnie jak cień i skradasz niemal tak samo bezszelestnie.

– Miło mi cię ujrzyć, najszlachetniejszy Herkulesie – rzekł Taltybios, kłaniając się nisko.

– Przykro cię ujrzyć – odparł Herkules z okropnym grymasem.

Taltybios przemilczał obrazę i wyciągając przed sobą krętą różdżkę oliwną, powiedział łagodnie: – Król Myken, Eurysteus, przesyła ci ukłony i żąda, abyś natychmiast wracał do Grecji i w ciągu jednego dnia oczyścił zapuszczone stajnie oraz obory króla Augiasza z Elidy.

– Czy cię doprawdy posłał przez połowę zamieszkanego świata – wykrzyknął

Herkules – żeby mnie prosić o wykonanie zwykłego sprzątnięcia na moim rodzinnym Peloponezie? A cóż to za człowiek?

– Jestem tylko heroldem – tłumaczył się Taltybios.

– Nie, jesteś także gnojkiem – odrzekł Herkules.

Taltybios uśmiechnął się lekko i odrzekł: – Niestety, najszlachetniejszy, ty nim teraz zostałeś.

Herkules ryknął śmiechem, bo znów wpadł w świetny humor.

– Dobrze powiedziane! – wrzasnął. – Dla tego dowcipu usłucham twego pana.

Ale najpierw muszę uzyskać pozwolenie króla Augiasza, który znajduje się na pokładzie *Argo* tylko o jeden dzień drogi stąd na wschód. Król mi obiecał chyżą galerę wojenną i jutro wyruszę za nimi.

– Rozkaz króla mówi, że zaraz masz wracać do Grecji – odrzekł Taltybios stanowczo.

– Nie mogę oczyścić stajen i obór mego druha Augiasza bez jego zezwolenia –

stwierdził Herkules. – Kto wie, może on woli, żeby zostały brudne?

Upierał się długo. Ale gdy tylko następnego rana wstąpił na pokład pożyczonej galery, głowa go rozboleła i zmieszane głosy dziecięce zakrzyczały: „Wracaj, wracaj, Herkulesie! Zabijasz nas! Wracaj, wracaj!” I musiał wracać. Na molo portowym Lykos odważył się spytać, jakie zdobył wieści o Hylasie, a Herkules wyjaśnił posępnie, że żadne. Opisał swe bezowocne poszukiwania wśród Myzjan i opowiedział, jak wziął zakładników spośród ich władców i oddał ich na służbę swemu szwagrowi do pomocy przy budowie osady u ujścia Kiany.

– Cóż – stwierdził Lykos – możliwe, rzecz jasna, że Hylas skrywa się gdzieś wśród Myzjan, ale z napomknięciem jednego z moich ości wnoszę, że niewdzięczny chłopak już od jakiegoś czasu planował cieżką drogą lądową do Troi. Wziął

z sobą, jak słyszałem, brzęczącą sakwę; zawierała pewnie złote i srebrne ozdoby na opłacenie

przejazdu na Lemnos, gdzie podobno ma ukochaną.

Co?! – zagrział Herkules. – Więc to tak? Łotry bez serca, spiskujący, aby się mnie pozbyć i wykorzystać niewinną miłość mojego biednego chłopca do rozpustnej Ifinoe, wyposażyli go w złoto i srebro i namówili, żeby uciekł! A skoro tylko ruszyłem za nim, wymknęli się chyłkiem i opuścili mnie. Zobaczysz, jeszcze ich kiedyś przydybię; tymczasem jednak muszę odszukać mego ukochanego Hylasa, który, pewien jestem, nie zamierzał nic złego. To bezmyślne dziecko, w jego wieku każda gorąca suczka może go do siebie zwabić, nawet od boku Herkulesa, który go kocha wielką i cierpliwą miłością. Dziękuję, zacy Lykosie, za tę wiadomość, choć sprawiła mi ból. Jesteś wiernym przyjacielem. Teraz wracam do Grecji, ale Troja leży po drodze; a jeśli król Laomedon nie odda mi Hylasa ani nie powie, gdzie mogę go znaleźć, rozwalę w drzazgi jego dumne miasto, kamień po kamieniu. Już dawno mu jestem winien parę mocnych kuksańców. Oszukał

mnie co do pewnych ludożerczych kłaczy, które zostawiłem pod jego opieką, gdym szedł tędy ostatnim razem.

– Cała Azja ucieszy się na wieść, żeś dał nauczkę hardym Trojanom – rzekł

Lykos. – Radziłbym ci odwiedzić Dolionów i Perkozjan i pożyczyć od nich parę wojennych galer. O ile wiem, mają chętkę powojować z Trojanami.

– Tak właśnie zrobię – oświadczył Herkules. – Chodź, gnojku, czy będziemy podróżowali razem czy oddzielnie?

– Miałbym sobie za zaszczyt wędrować w twoim towarzystwie, najszlachetniejszy Herkulesie – odparł Taitybios – a poza tym to wielka ochrona przed zniewagami barbarzyńców, co często mają dla herolda nie więcej poszanowania niż dla białego robaka w orzechu.

## MINIJCZYCY Z SYNOWE

Gdy Argonauci okrążyli przylądek Lepte, który stanowi lewy róg dużego półwyspu w kształcie głowy byka, wiatr nagle się zmienił z zachodniego na północno-wschodni. Przebyli o wiosłach wzburzoną zatokę okoloną białymi skałami, następnie opłynęli przylądek Synope, prawy róg półwyspu. Przylądek ten ma strome zbocza i płaski wierzchołek, z daleka więc wydaje się wyspą, zwłaszcza że międzymorze łączące go z lądem jest niskie. Mała, bielona osada, wybudowana na wschodnim brzegu w pobliżu międzymorza, rozrzewniła Argonautów przypomnieniem ojczyzny, bo schludne, a mocne domy budową łądząco naśladowały ich własne miasta w Grecji. Jazon spróbował przybić do międzymorza, ale okazało się, że dostępu strzegą ostre wapienne rafy podziurawione jak rzeszoto, zawrócił tedy *Argo* ku małej łasze na samym półwyspie i tam zawinął do brzegu. Łacha była znakomicie osłonięta od wiatrów, zarówno zachodnich, jak północno-wschodnich.

Argonauci wysiedli na ląd i zaczęli rozpalać ognisko z drzewa wyrzuconego przez fale, Echion zaś przyjaznym gestem pozdrowił młodzieńca, co obserwował

ich uważnie spoza wierzchołka niskiej skarpy nad plażą. Pomachał ręką w odpowiedzi i niebawem pojawił się znowu na zboczu parowu, zjeżdżając ku nim na mule z niebezpieczną szybkością. Nosił

wilczy kołpak oraz naszyjnik z kłów wilczych i wykrzykiwał radośnie imiona Tesalczyków: Koronosa i Eurydamasa, a także Admeta, króla Fery, których rozpoznał ze szczytu skarpy po odznakach i ekwipunku. Okazało się, że to Autolikos z Trykki, Minijczyk, uważany przez nich za zmarłego. Pięć lat temu z dwoma braćmi towarzyszył Herkulesowi w wyprawie do ziemi Amazonek, żaden z nich jednak stamtąd nie wrócił; gdy pytano, co się z nimi stało, Herkules poprzestał na wyjaśnieniu, że w marszu pozostali w tyle i prawdopodobnie zginęli z rąk Paflagonów.

Było to radosne spotkanie. Autolikos (a jego bracia Flogios i Deilejon żyli również i nadeszli zaraz po nim) nie widział rodaków ani nie miał żadnych nowin z ukochanej Tesalii, odkąd Herkules ich opuścił – ponieważ Autolikos nie zaważał

się użyć w stosunku do Herkulesa tego twardego słowa. Zdaje się, że Flogios rozchorował się w marszu, a Deilejon skręcił kostkę; ale Herkules nie chciał na nich czekać czy przynajmniej robić mniej niż swoje zwykłe dwieście siedemdziesiąt stadiów dziennie. Nie nadążali i Autolikos wielkodusznie pozostał

z nimi. Paflagonowie, plemię grubiańskie, ale szlachetne, potraktowali ich życzliwie; oni zaś wywdzięczyli się za okazaną dobroć, zapoznając mieszkańców kraju z paroma użytecznymi sztukami i rzemiosłami, nie znanymi tam dotychczas.

Przede wszystkim nauczyli Paflagonów, jaką wartość ma drzewo budulcowe rosnące obficie na wzgórzach, takie jak klon i orzech górski, wysoko cenione na zachodzie jako materiał do wyrobu stołów i skrzyń, oraz pokazali im, jak suszyć i przycinać drewno na eksport. Bracia zorganizowali także połowy tuńczyków i wyjaśniali gospodarzom, ile naprawdę są warte zagraniczne towary przywożone do ich portu drogą lądową z Persji i Baktrii. Dotychczas Paflagonowie pozwalali swoim sprzymierzeńcom Trojanom handlować z kupcami ormiańskimi na dorocznych targach i zadowalali się skromną prowizją od sprzedanych produktów, lecz teraz Autolikos z braćmi poradził im pertraktować z Ormianami, gdy tylko przybędą do kraju, i ciągnąć rozsądne zyski z pośrednictwa.

Sami Tesalczycy wzbogacili się na zakupie i odprzedaży takich rzeczy, jak skóry tygrysie, wzorzyste dywany, balsam, cynabaryt, lubryka, onyks, turkusy, lapislazuli oraz płytki miki, którą królowie i księżęta szklą okna swoich łóżnic.

Każdy z nich posiadał teraz wór złotego piasku niemal równy wagą właścicielowi, ale wszystkim trzem cniło się za Tesalią. Wzdragali się przed niebezpieczeństwami drogi lądowej, a nie będąc biegłymi żeglarzami, nie mieli sposobu wrócić morzem, nie powierzyliby bowiem życia i mienia Trojanom. Flogios oświadczył, że chętnie by zostawił wszystkie skarby, gdyby mu to pozwoliło raz chociaż spojrzeć znowu na „urocze wilgotne łąki Jonii i Letajon, gdzie pasą się kobyły zarodowe, igrają źrebięta, a pod topolami piskliwy głos kobzy koniucha wtóruje płasom krzepkich chłopaczków”.

Gdy im Jazon powiedział, że *Argo* zmierza do Kolchidy, gdzie on pragnie odzyskać złote runo ze świątyni Prometeusza, braci zdjął podziw i trwoga. Znali zarówno potęgę kolchidzkiej floty i armii, jak niechęć króla Ajetesa do nowej olimpijskiej religii. Rzekli jednak:

– Gdybyś przypadkiem wracał w pokoju z Kolchidy drogą przez Synope, w żadnym razie nie

odpływaj bez nas do Grecji: damy ci bowiem jako zapłatę za przejazd połowę złotego piasku, jaki posiadamy (złotego piasku znoszonego tu z Indii przez olbrzymie rogate mrówki okradane z kolei przez ciemnych Dandów), a także parę pękatek trzosów z klejnotami.

– Albo jedźcie z nami teraz i pomóżcie zdobyć runo – odparł Jazon – albo siedźcie tutaj i niczego nie spodziewajcie się po nas w drodze powrotnej. Jeśli pojedziecie, nie będziemy żądali jako opłaty ani złota, ani klejnotów, a tylko zapasów wystarczających na parę pozostałych odcinków podróży.

Ale Echion się wtrącił: – Nie, nie, synu Ajzona. Niech oni nam zdobędą zapasy i oprócz tego zapłacą złotym piaskiem, tyle dla każdego Argonauty, ile zdoła nabrać w obie garście i donieść do swojej sakiewki, nie prostując kciuków; nie będzie tego wiele, ale wystarczy, by przestali z oskoma spoglądać na worki. Żeby dowieść jednak, że nie jestem chciwy na złoto, sam nawet palca nie włożę do worka.

W końcu trzech bracia pokrzepieni mariandyńskim winem postanowili wsiąść na pokład i ugodzili się co do zapłaty. Echion rozpostarł na ziemi swą świętą szatę, aby przypominała Argonautom, że nie powinni łamać umowy, podnosząc kciuki lub sięgając po raz drugi. Następnie każdy po kolei zanurzał obie dłonie w worze i dobywając je pełne, wsypywał złoto do swojej kieski. Długi Ankajos, który miał

największe garście, wyjął więcej niż pozostali, ale rozsypał połowę wygrzebując swój trzos, to samo się przydarzyło paru innym: lecz Mały Ankajos, o drobnych dłoniach, nartał je sobie łojem po obu stronach aż do przegubu i bardzo ostrożnie doniósł do sakiewki wszystko prócz pary ziarenek. Echion ciepło pochwalił

roztropność towarzysza, a ten w zamian poradził mu strząsnąć w jedną fałdę szaty i wziąć sobie jako premię wszystek piasek – dosyć dużo, jak się potem okazało, na złotą pochewkę do oliwnej różdżki Echiona i złoty pasek rzeźbiony w święte godła.

Jazon zgodził się zaczekać dwa dni, aż tesalscy bracia uładzą swoje sprawy.

Daskilos, syn Lykosa, opuścił zatem Argonautów: nie potrzebowali już jego usług, bo nowo zaciężni znali dobrze nadbrzeżne ludy aż do kraju Amzonek.

W ten sposób załoga statku była znowu w pełnym składzie, miejsca Herkulesa, Idmona i Tyfisa zajęli trzech bracia, którzy zaopatrzyli okręt w płaskie ciastka z orkiszu, suszone mięso tuńczyków, dzbany topionego tłuszczu delfinów oraz słodką marynowaną baraninę.

Stojąc na cyplu, Orfeusz i pozostali wtajemniczeni z misterii na Samotrace złożyli teraz ofiary Wielkim Jedynym i zanieśli korne modły o wiatr północno-zachodni; nie zawiął jednak. Doszli do wniosku, że musieli omylić się w rytuale, i zaczęli do następnego dnia, aby wykonać go powtórnie. Wtedy wiatr stopniowo zmienił się na północno-zachodni, jakiego potrzebowali, ale dał niezbyt mocno.

Tego dnia przebyli gładką zatokę wzdłuż pagórków nastrzępionych drzewami aż do samej wody; daleko w głębi lądu sterczał podwójny stożek góry Saramene.

Tuż obok przylądka w dalszym krańcu zatoki minęli deltę Halis, największej rzeki na całym południowym wybrzeżu, ale żeglownej tylko na małym odcinku powyżej ujścia; gdy potem okrążyli przylądek, ujrzeli nie opodal pasące się stada pięknej odmiany saren, tak zwanych gazeli, których dotąd nie widział żaden z nich prócz Naupliosa, kiedy raz jego okręt rozbił się przy brzegach Libii. Gazele mają wielkie oczy, długie uszy, cienkie nóżki i mięso ich jest wyborne w smaku. Atalanta chciała wsiąść na brzeg i zapolować na nie, ponieważ Nauplios ją sprowokował

mówiąc, iż są tak chyże, że nawet ona żadnej nie zdoła doścignąć; ale Jazon się nie zgodził i płynęli dalej. Za przylądkiem rozciągała się długa plaża u stóp niskich wzgórz, dalej zaś bagienne jezioro pełne wodnego ptactwa. Wyszli na ląd na jakieś dwie godziny dla odpoczynku i Tesalczycy – a była ich teraz spora gromadka – dali pokaz tańców w pełnym uzbrojeniu przy wtórze dzikiej muzyki Jazonowej piszczalki. Płasali bardzo zwinnie, skacząc nadzwyczaj wysoko i wywijając mieczami nad głową. Dwie grupy tancerzy przedstawiały mimicznie bitwę, kolejno zwyciężały i ponosiły klęskę, zadając sobie wzajem najcięższe z pozoru ciosy, z takim jednak kunsztem i umiarem, że nawet rysa nie pozostała na niczym hełmie.

Tymczasem Meleager i Atalanta pospieszyli polować na gazele, ale wrócili bez tchu i z pustymi rękami, gdy okręt już był gotów do odjazdu.

Tej nocy płynęli z wolna przez następną zatokę i o brzasku okrążyli niski zalesiony przylądek Arikon, gdzie kręta Iris wpada do morza.

– Tutaj – rzekł Autolikos – leży osada krętobrodych Asyryjczyków w długich szatach, uciekinierów ze swego kraju; a dalej rozciągają się obszary Chalibów, dzikiego szczepu słynącego z wyrobów żelaznych; ostatnio z nimi handlowałem.

Wkrótce ujrzemy wysepkę zwaną Wyspą Wymiany, tuż przy brzegu chalibejskim, gdzie przejeżdżamy z Synope czółnami z wydrążonych pni i rozkładamy na skałach malowaną ceramikę minijską, lniane płótno z Kolchidy i kubraki z owczej skóry farbowanej na czerwono marzanną lub na żółto wrzosem, jakie cenią Chalibowie, oraz kołczany barwione cynobrem. Potem odpływamy, ukrywając się poza skałami. Skoro tylko znikniemy z oczu, Chalibowie przeprowadzają się na tratwach na wysepkę, układają koło naszych towarów wyostrzone szerokie groty do strzał i brzeszczoty toporów, a także szydła, noże i igły do żagli, po czym oddalają się znowu. Jeśli po powrocie zadowolili nas oferowana cena, zabieramy ich towary i jedziemy do domu; jeśli zaś nie, odkładamy osobno te nasze produkty, których naszym zdaniem ich zapłata nie pokrywa. Wówczas Chalibowie pojawiają się powtórnie i płacą za tę oddzielną kupkę jeszcze paroma narzędziami z żelaza.

Wreszcie dobijamy targu, o ile Chalibowie obrażeni nie zabiorą wszystkich swoich wyrobów żelaznych, pozwalając nam odpłynąć z pustymi rękami; jest to bowiem lud kapryśny.

*Argo* z rześkim wiatrem sunęła wzdłuż brzegu, mijając kilka wiosek złożonych z szałasów z gałęzi, ale Argonauci nigdzie nie dostrzegli owiec ani bydła, choć trawy rosło dosyć, by wyżywić niezliczone stada. Pagórki były coraz bliżej wody i wkrótce przepłynęli obok Wyspy Wymiany. Potem brzeg zakrzywiał się nagle ku północy i po kilkuset stajach dotarli do niskiego cypla, zwanego dziś Przylądkiem Jazona. Niebawem zapadł zmierzch i wiatr ucichł, oni zaś w obawie zaczepki ze strony wojowniczych Taberenów, których ziemie zaczynały się od tego przylądka, zarzucili kotwicę

na podwietrznej innej wysepki. Była to noc pamiętna dla Argonautów, bo właśnie wtedy Nauplios nauczył ich nazw konstelacji niebieskich, wszystkich, jakie sam znał, a więc: Niedźwiedzica Kallisto, jej syn Arkas (powszechnie zwany Niedźwiednikiem), Plejady (akurat wschodziły) i Kasjopeja.

Potem się zabawiali sami, nadając imiona innym; a niektóre z nich rozpowszechniły się w greckich portach po powrocie *Argo*. Należą do nich bliźniacze gwiazdy Kastor i Polideukes, których blask uspokaja najbardziej wzburzone morza; i wielka powolna konstelacja Herkulesa przy pracy; i Lira Orfeusza; i gwiazdozbiór centaury Chejrona (nazwał go tak Jazon) – wszystkie one do dziś są znane. Jest także Delfin Małego Anklajosa: bo tego wieczora wszyscy prócz niego mieli na obiad baraninę smażoną na tłuszczu delfina, który był dlań zakazany; jadł zatem suszonego tuńczyka i nadał konstelacji nazwę „Delfin Małego Ankajosa”. Było to wiele lat przedtem, zanim samą *Argo* umieszczono na niebie, nisko nad południowym horyzontem: układ dwudziestu trzech gwiazd. Cztery z nich tworzą maszt, cztery jarzmo steru i cztery prawą burtę; pięć przypada na kil, pięć na okrężnicę; ale dziobu brak – za śmierć ludzką, jakiej stał się przyczyną.

Nazajutrz powiosłowali dalej, na morzu panowała głódź; ale przy tych brzegach wieje zwykle wiatr północno-zachodni, wkrótce też zadał znowu, niosąc ich z dużą szybkością obok kraju Tybarenów. Według opowiadania Autolikosa, dzikusy te niedawno zrzuciły z tronu boginię matkę, sadzając na jej miejsce ojca Zeusa; ale okazało się, że trudno im oderwać się całkowicie od starodawnych obyczajów, na których opierała się ich religia. Mężowie zebrali się i jeden oświadczył pozostałym:

– Skoro stwórcą dziecka jest mężczyzna, siewca ziarna, a nie kobieta, będąca tylko rolą pod jego zasiew, dlaczegóż miałyby zasługiwać na jego cześć? Niech cała pobożna dbałość, dotąd przez pomyłkę okazywana kobiecie podczas ciąży i porodu, zostanie przelana na jej męża. On jest rodzicem, nie ona.

Tak też postanowiono. Teraz, gdy żona jest brzemienna, Tybaren je dwa razy więcej niż zwykle, wynosi się ponad towarzyszy, dogadza dziwacznym zachciankom i stąpa kaczym chodem, a skoro żonę chwycą bóle, leży w łóżku z obwiązaną głową i jęczy, kobiety zaś okazują mu współczucie i przygotowują kąpiele jak dla położnicy – żonę pozostawiają własnej przemyślności. Podobnie jak Chalibowie, ci Tybarenowie nie uprawiają roli, nie hodują owiec ani wołów. Żyją z rybołówstwa, polowania i owoców zbieranych w lesie; bo morza są pełne ryb, zaś lasy – zwierzyny. Rośnie tu w stanie naturalnym niezliczone mnóstwo jabłoni, grusz i różnych odmian orzechów; a dzikie wino zwiesza się ciężkimi kiśćmi kwaśnych, lecz orzeźwiających gron.

W południe Argonauci dotarli do bagnistego ujścia rzeki Keras, za którą leży Wyspa Aresa. Rozległe niebo przed nimi pociemniało nagle od rojów wodnego ptactwa wlatującego z niskich brzegów ku morzu. Wróżbita Mopsos patrzył na nie wybałuszonymi oczyma, otwarłszy szeroko usta. – Zawracać okręt, drodzy towarzysze! – wykrzyknął. – To widok zbyt straszny dla oczu augura. – Teraz jednak ptaki nadciągały od dzioba i z rufy, a wprost na *Argo* zmierzało stado nieczystych warzęch. Argonauci jak jeden mąż złapali za oręż, hełmy, półmiski, miedziane kociołki i zaczęli walić nimi o siebie; na ten przeraźliwy hałas ptaki zawróciły, ale ich pióra posypały się jak deszcz. Powiadają, że warzęchy wysysają oddech śpiącego męża, a ich stado uważa się za pewną zapowiedź febry. Podczas drugiej pracy, jaką nań nałożono, Herkules zmusił wielką rzeszę warzęch do opuszczenia moczarów opodal Stymfalos w Arkadii; ubił kilka z nich, resztę wypłoszył przeraźliwym wrzaskiem.

Tak więc Argonauci płynęli dalej, a zbliżając się do Wyspy Aresa, ujrzeni, że aż się roi na niej od drobnego ptactwa, jak: skowronki, pliszki, derkacze, pleszki rudogony, kraski, nawet stada zimorodków; te również poderwały się chmarą, gdy *Argo* przepływała obok, ale odegnali je takim samym zgiełkiem.

Mopsos rozpostarł dłonie w modlitwie do Apollina, wołając: – Niepoliczone klęski i niepoliczone błogosławieństwa, furkoczące chmury zwątpienia! Oko moje zmacone. Słodczy Delos, uśmiechnij się do nas, potrząsając niestyżonymi lokami, i niechaj dobro zwycięża!

## **OPAŚLI MOSYNOJKOWIE I INNI**

Gdy tego wieczora minęli przylądek Zefiros, Autolikos krzyknął do kamratów:

– Tam oto leży kraina Mosynojków i obawiam się, że mi nie uwierzycie, jeśli wam powiem, co to za ludzie, bo wyczytałem w waszych oczach niedowierzenie, kiedy opisywałem obyczaje Tybarenów. Nic przeto nie dowiedcie się ode mnie i pozwolę wam oprzeć sąd o tym szczególnym narodzie na własnych doświadczeniach.

Wkrótce potem znaleźli łachę osłoniętą od wiatrów zachodnich, zarzucili kotwicę, wysiedli, rozniecili ognisko z drzewa wyrzuconego przez fale i zjedli posiłek, rozstawiając wprzód silne straże. Ale Autolikos ich zapewnił:

– Nie macie się czego obawiać ze strony Mosynojków, bo ujrząwszy ognisko, schronią się do drewnianych fortec i pozostaną tam przez całą noc. Rankiem ciekawość zwabi ich do nas z podarkami. Niebezpiecznie jest podróżować przez ich kraj, bo na leśnych ścieżkach kopią mnóstwo wilczych dołów na dzikie zwierzęta, a jeśli wędrowiec niefortunnie w który wleci, uważają go za łowną zwierzynę i zabijają bez litości. Ale nie są niebezpieczni, gdy zbrojni mężowie staną z nimi twarzą w twarz.

Noc minęła bez zakłóceń, a gdy tylko słońce przygrzało wybrzeże, zjawili się z wizytą dwaj Mosynojkowie, ściśle jak przepowiadał Autolikos. Wyglądali tak dziwacznie, że Argonauci ryknęli niepohamowanym śmiechem. Mosynojków, mężczyznę i chłopca, ośmieliła ta widoma oznaka życzliwości i sami zaczęli się śmiać. Starszy fiknął kozła, wyrostek klasnął w dłonie. Dorosły dźwigał tarczę w kształcie liścia winogrodu sporządzoną z białej bawolej skóry, włócznię niebywalej długości z małym szpikulcem na końcu i zaokrągloną tuleją oraz koszyk pełen orzechów, owoców i innych przysmaków. Nosił białą krótką tunikę, a całą twarz miał wymalowaną w pasy żółte i niebieskie. Na głowę założył

skórzany hełm bez pióropusza, opasany białym wolim ogonem. Był potężnej tuszy.

Chłopiec, nagi i jeszcze grubszy, wręcz niesłychanie gruby, chodzić mógł

jedynie z wielką trudnością, a pot przy tym ściekał mu z czoła. Jego nalana twarz i trupioblada skóra nasuwały przypuszczenie, że trzymano go ostatnio przez całe tygodnie w ciemnym pokoju i tuczono niczym wołu w oborze, co po paru pytaniach istotnie okazało się prawdą. Mięsiste uda miał wdzięcznie tatułowane w kwiaty i liście. Mężczyzna, a był to wódz plemienia, podprowadził chłopca

do ogniska i wspaniałomyślnym gestem ofiarował Jazonowi zarówno jego, jak kosz smakołyków, wyciągając rękę po jakiś podarek w zamian. Argonauci zaczęli rechotać jeszcze głośniej, bo zauważyli, że pulchne pośladki chłopca są pomalowane, jeden na żółto, drugi na niebiesko, i na każdym narysowano wybałuszone białoczarne oko.

Jazon się stropił. Nie wiedział, co powiedzieć czy zrobić. Jednak Autolikos, który znał parę słów języka Mosynojków, wystąpił i w imieniu Jazona podziękował

wodzowi za prezent, zaznaczając, że chłopak jest nad podziw opasty.

– Powinien być – wykrzyknął wódz – jeśli się weźmie pod uwagę, ile miarek gotowanych kasztanów pchaliśmy w niego dzień w dzień i noc w noc.

Jazon spytał wodza za pośrednictwem Autolikosa, jaki dar by mu w zamian odpowiadał.

Wódz odparł, że zadowoliliby się kobietą, którą Argonauci ze sobą przywieźli; choć już nie w pierwszym rozkwicie młodości i na poły zagłodzona podczas długiej podróży z Egiptu – z Egiptu, powiedział – on ręczy, że w parę tygodni zdoła ją upaść tak, że będzie przypominała dojrzałą dynię, tymczasem zaś, by okazać, że nią za chudość nie pogardza, w dowód widocznego uznania chciałby z nią obcować wobec wszystkich zebranych.

Autolikos pokręcił głową na ten bezwstydnym pomysłu, ale wódz, potrząsając włócznią, nastawał, by przetłumaczono to Jazonowi. Autolikos usłuchał. Jego słowa wzbudziły tak niepohamowany śmiech, że wódz w dobrej wierze uznał, iż Argonauci radzi się pozbędą tego gnata w zamian za pulchnego chłopaka. Zdarł

z siebie hełm i tunikę i zaczął drobić ku Atalancie we wstępnych podrygach wszetecznego tańca.

Atalanta wykrzywiła się okropnie, ale go to bynajmniej nie speszzyło. Gdy zaczął odwiązywać przepaskę z bioder, odwróciła się i uciekła. Pogonił za nią z wrzaskiem, ale Meleager zabiegł od tyłu i podstawił mu nogę, tak że rozciągnął

się jak długi na kupie ostrych kamieni. Podniósł krzyk, a tłusty chłopiec wył jak rodząca kobieta. Na to ukryci dotychczas Mosynojkowie nadbiegli z pobliskiej drewnianej fortecy zbrojni w oszczepy oraz takie same nieporęczne włócznie i białe tarcze w kształcie winnego liścia, jak miał wódz. Faleros, Jazon, Admetos i Akastos z łukami i strzałami uszykowali się spiesznie, by osłaniać odwrót towarzyszy, którzy szybko spychali okręt na wodę. Gdy jednak dzicy spostrzegli, że wodzowi nie stała się żadna krzywda, a tłustego chłopca nie zabrano, nie zaatakowali straży tylnej, która też nie marnując strzał, bezpiecznie wdrapała się na pokład.

Jazon wciąż trzymał podarowany koszyczek z przysmakami, a były tam: miękki placek z orkiszu; winogrona, jabłka, gruszki i kasztany; trochę cuchnącej ikry z makreli oraz ogony flader; ponadto kawałek plastra miodu. Rozdzielił ciasto i owoce między towarzyszy, a ryby wyrzucił za burtę. Ale plaster zachował dla Bootesa. – Rad bym usłyszeć twoje zdanie o tym miodzie, najszlachetniejszy Bootesie – rzekł. Nim jednak Bootes zdążył przejść do niego pomiędzy ławkami, Autolikos i brat jego Flogios wyrwali Jazonowi z ręki plaster i cisnęli w morze w ślad za cuchnącą rybą.



Bootes był wściekły. – Czemuście mnie obrabowali z podarunku, tesalscy piraci? – krzyczał. – Jazon ofiarował mi plaster, bo wiem o miodzie więcej niż ktokolwiek w Grecji, i chciał poznać moje zdanie.

Autolikos odrzekł: – To być może, Ateńczyku o bzyzącym mózgu. Ale już nie jesteśmy w Grecji, o czym nam przypomniał król Amykos, gdyśmy jeszcze żeglowali przez Propontydę. Mój brat Flogios i ja wyrzuciliśmy miód, bo był

trujący, a jako lojalni Argonauci cenimy twoje życie.

Bootes powściągnął gniew. – Na żądła i osy! – wykrzyknął zdumiony. –

Czyżby ten malowany dzikus doprawdy chciał mnie otruć? Czyżbym tylko waszej czujności zawdzięczał życie? Zapewne skropił plaster sokiem śmiertelnośnego tojadu, który, jak widziałem, rośnie na łąkach mariandyńskich.

– Nie – powiedział Autolikos – nie potrzebował tego robić. Miód tutejszy jest trujący z natury, pochodzi bowiem z rośliny zwanej kozłim jadem. Nawet odrobina przyprawi o obłęd każdego, kto do tego nie przywykł, i powali go bez zmysłów na ziemię.

Zwykłe bajdy! Ani słowu z tego nie wierzę – oświadczył Bootes znowu rozzłoszczony. – Pszczoły to mądre i wstrzemięźliwe stworzenia, daleko mędrsze i wstrzemięźliwsze niż ludzie, i nigdy by nie pomyślały o gromadzeniu w swoich plastrach trującego miodu lub wyrobie trującego pszczelego pokarmu. Kto kiedy widział odurzoną pszczołę? Odpowiedz mi na to?

– Nazwij mnie kłamcą, jeśli masz ochotę – odparł Autolikos – ale przynajmniej wstrzymaj się od kosztowania jakiegokolwiek miodu na tych wybrzeżach. Miód Moschów, składających daninę królowi Kolchidy Ajetesowi, jest równie trujący.

Pszczoły zbierają go nie z koziego jadu, tylko z pięknych, czerwonych kwiatów azalii pontyjskiej, która rośnie na północnych zboczach wysokich gór Armenii.

– Nie nazwę cię kłamcą, bo jesteś towarzyszem godnym zaufania, ale oświadczam ci, że grubo się mylisz – powiedział Bootes. – Pszczoły nigdy nie odwiedzają czerwonych kwiatów i choć zbrodniarze, a szczególnie zbrodniarki, używają często miodu jako świętego środka do ukrycia trucizny, gdy się nie posługują przeciw swoim wrogom, żaden czysty miód nie skrzywdził nawet muchy, obojętnie, z jakiego kwiatu go zebrano. Oświadczam, że ktokolwiek wierzy w coś przeciwnego, jest łatwowiernym nieukiem.

W tym momencie Orfeusz zaczął grać miłą melodię, Autolikos wzruszył

ramionami i kłótnia się skończyła.

Wkrótce *Argo* minęła parów, z którego wypływa rzeka Charsioty, i Argonauci ujrzeli wiele trzyosobowych czółenek z wydrążonych pni drzewa, umykających spiesznie w górę nurtu. Wioślarze mieli na głowach przybrania z sępich piór.

– Trojańscy handlarze niewolnikami często robią wypadki na te wybrzeża –

wyjaśnił Autolikos. – Ludzi tu porwanych używają jako robotników w kamieniołomach.

Tego dnia dopłynęli aż do Świętego Przylądka, gdzie kończą się włości Mosynoików, a zaczyna kraj Amazonek. Przylądek, poświęcony bogini świata podziemi, był widoczny dla wszystkich, nie tylko dla Linkeusa, na odległość przeszło pięciuset stadiów. Na skraju wznosi się stożkowaty pagórek, otoczony czerwonym urwiskiem. Nie próbowali jednak wysiadać na ląd i całą noc płynęli dalej, ponieważ wszyscy dotąd napotkani ostrzegali ich, że mają unikać Amazonek.

Amazonki czczą Trójboginię i mężczyźni plemienia, do którego niegdyś należały (imię ich jednak uległo zupełnemu zapomnieniu), mieli obyczaje bardzo zbliżone do centaurów, Etołów, satyrów czy innych Pelazgów. Lecz gdy owi mężczyźni zaczęli z zapałem rozprawiać o ojcostwie – usłyszawszy po raz pierwszy to słowo od jakiegoś ormiańskiego czy asyryjskiego podróżnika –

i wywyższać ojca Zeusa kosztem bogini, kobiety naradziły się między sobą (podobnie jak kobiety na Lemnos) i postanowiły okiełznać ich władzę – siłą, jeśli zajdzie potrzeba. Pewnej nocy rozbroiły i wymordowały wszystkich swoich mężczyzn, a przynajmniej dorosłych, i złożyły ich odcięte genitalia matce jako porękę pokoju. Potem z rozmysłem zaczęły się ćwiczyć w sztuce wojennej. Obrwały sobie za oręż krótkie topory bojowe oraz łuki i walczyły konno, hodując na swych pastwiskach doskonałe rosłe wierzchowce. Wypalały sobie prawą pierś, by móc bez przeszkód napinać cięciwę na całą długość; dzięki temu zyskały miano Amazonek, czyli Bezpierśnych. Nie zabiły dzieci płci męskiej, jak to uczyniły niewiasty lemnijskie, ale zamiast tego połamały im ręce i nogi, by uczynić je niezdarnymi do boju, a potem wyuczyły je tkactwa, przedzenia i posług domowych.

Odczuwały jednakże tę samą co kobiety z Lemnos przyrodzoną tęsknotę do miłości, a wstyd im było iść do łóżka z pokreconymi niewolnikami. Napadały więc na sąsiednie plemiona i brały sobie kochanków spośród najdzielniejszych jeńców, skazując ich potem bez skrpułów na śmierć. Ta polityka doprowadziła je stopniowo do rozszerzenia swego królestwa we wszystkich kierunkach, bardziej zresztą, niż im to odpowiadało; nie były zbyt liczne, więc żyzne równiny nad rzeką Termodont w zupełności zaspokajały ich potrzeby. Jednak niezadługo doszły do porozumienia z Makronami, dzikim i urodziwym ludem zamieszkującym wysokie wzgórza w głębi lądu. Każdej wiosny młodzieńcy makrońscy spotykali się z Amazonkami w pogranicznej dolinie i obcowali tam z nimi; a spośród dzieci zrodzonych z tego stosunku Amazonki zatrzymywały dziewczynki, oddając Makronom chłopców.

Tak przynajmniej opisywał rzecz Autolikos, co zresztą potwierdzało historię Herkulesa. Herkules zdobył pas królowej Hipolity bez walki, bo zakochała się w nim, kiedy ze swymi przyjaciółmi Makronami przyszedł na doroczne igry miłosne; i otrzymał go od niej jako dobrowolny podarek. To był prosty przypadek, że popadł w zatarg z jej strażą osobistą i zastrzelił z łuku pięć czy sześć kobiet.

Makronowie pozazdrościli mu powodzenia u Amazonek i puścili kłamliwą plotkę, jakoby skrycie zamierzał porwać Hipolitę i wprowadzić ją w niewolę.

Argonauci żeglowali całą noc, a w południe dnia następnego, zaniepokojeni dziwnym wyglądem nieba, wyciągnęli okręt wysoko na piasek pod osłoną przylądka Rizos, około osiemset stadiów na

wschód od Świętego Przylądka. Rizos należy do plemienia zwanego Bechirami. Wzgórza w głębi łądu są wyjątkowo wysokie.

Jazon żartem zapytał Autolikosa: – Jacy są ci Bechirowie? Czy mają psie pyski? Czy im głowy wyrastają spod pachy? Czy jedzą piasek i popijają morską wodą? Co stanowi ich cechę szczególną?

– Bechirowie – odrzekł Autolikos – też mają swoje osobliwości: mówią prawdę, są monogamiczni i wierni swoim żonom, nie napadają na sąsiadów i zupełnie nieświadomi istnienia jakichkolwiek bogów czy bogiń pędzą życie bez obawy przed karą za grzechy. Wierzą, że gdy człowiek umiera, umiera całkowicie, przeto nie lękają się duchów. Kraj ich jest ponadto wolny od chorób, które nękają okoliczne ludy, i tak żyzny, jak tylko można sobie życzyć. Często rozmyślałem nad osiedleniem się wśród nich; tyle tylko, że gdybym umarł, moje kości nie zostałyby pogrzebane, co dla Greka tak religijnego jak ja byłoby okropne.

Od miejsca, gdzie teraz zawinęli, czekały ich tylko dwa dni żeglugi z pomyślnym wiatrem do kolchidzkiego portu Fazis, u ujścia rzeki tej nazwy.

W oddali, zarówno na północy, jak i na wschodzie po drugiej stronie wód, rozciąga się nierówna smuga bieli – odległe, ośnieżone góry Kaukazu.

## **PRZYBYCIE DO KOLCHIDY**

Tego popołudnia zerwał się gwałtowny wiatr północny i niezwykle wysokie fale z sykiem natarły na plażę. Spoglądając na morze, Argonauci ujrzeli o kilka stajni od brzegu wielki okręt, co zmierzał na wschód. Był to pierwszy okręt, jaki dostrzegli od czasu wyjazdu z kraju Mariandynów. Jego budowa wskazywała, że to okręt kolchidzki.

Linkeus przymrużył oczy i oznajmił: – Wioślarze, sądząc z kędzierzawych włosów i lnianych szat, są Kolchami, ale paru pasażerów, którzy wylewają wodę hełmami i półmiskami, ma wygląd dziwnie grecki. Okręt przecieka na dziobie, zdaje mi się, a nadburcie im zmyło. Wioślarze są wyczerpani, lecz kapitan smaga ich po grzbiecie i zmusza do pracy.

Kilku Argonautów pobiegło na pagórek na plaży w nadziei, że zobaczą stamtąd wyraźniej. Okręt kolchidzki usiłował okrążyć przylądek Rizos i szukać ocalenia w zatoce z drugiej strony, gdzie była rozległa i gościnna łącha.

Polideukes rzekł z westchnieniem: – Niestety, nie uda się to biedakom!

– Uda im się wyśmienicie! – zawołał Idas. – Ciągną jak dzikie konie.

– Nie zapominaj o podwodnej rafie, obok której was przeprowadziłem – odparł

Długi Ankajos. – Każda fala opadając obnaża ją; a jest tam ukryta skała, mniej więcej o strzał z łuku od brzegu, tuż za miejscem, gdzie się teraz znajdują.

Ledwo Ankajos skończył mówić, ogromna fala uniosła okręt i cisnęła go rufą właśnie na wspomnianą skałę. Od razu rozleciał się na kawałki i wiatr przyniósł ku nim wrzaski tonących.

– Raz przynajmniej się pomyliłem! – wykrzyknął Idas, szczerząc zęby. – O, tam płyną!

Linkeus objaśniał: – Czterech Greków uczepiło się masztu. Jeden jest ranny.

Odpędzają kopniakami dwu kolchidzkich majtków, którzy złapali za szkoty i próbują wydostać się na bezpieczniejsze miejsce. Teraz! Patrzcie teraz! Ten Grek trzymał nóż w zębach, odciął nim szkoty. Teraz mają szansę dopchać się do brzegu na tym swoim maszcie.

Pływak Eufemos już biegł w stronę cypla, gdzie rozbił się okręt. Biegł pędem.

Gdy dotarł do skraju plaży, rzucił się w wodę i płynął nurtem jak wydra czy foka, aż wychynał obok czterech mężczyzn uczepionych u masztu. Jeden z nich broczył

krwią z głębokiego cięcia na głowie, a towarzysze podtrzymywali go z trudem.

– Zostawcie go mnie! – zawołał Eufemos, podpływając bliżej i wykonując w wodzie sztuczki pływackie, by dowieść swego mistrzostwa.

– Bierz go w imię matki! – odparł jeden z tamtych. Eufemos, płynąc na plecach, wkrótce doniósł rannego do brzegu, ze cztery staje od miejsca rozbicia. Tamci, uderzając zgodnie nogami, skierowali swój maszt do tej samej bezpiecznej przystani. Ale nie zdołaliby wdrapać się na brzeg bez pomocy, jakiej im udzielił

Eufemos: powtórnie skoczył do wody i wyciągnął jednego po drugim. Gdy się wszyscy wreszcie znaleźli na lądzie, uściskali go najczulej, jak sobie można wyobrazić, oświadczając barbarzyńską greką, że zasłużył na ich niewygasającą wdzięczność.

– Wyglądacie prawie jak Grecy – rzekł Eufemos.

– Jesteśmy Grekami – odparł jeden – choć nigdyśmy nie widzieli rodzinnego kraju. Pochodzimy z rodu minijskiego, który uważamy za najszlachetniejszy, jakim się Grecja może pochlubić.

– Chodźcie do naszego kapitana, który zwie się Jazon syn Ajzona, i opowiedzcie mu swe dzieje – powiedział Eufemos. – On też jest Minijczykiem, tak samo jak kilku z naszej załogi.

Jazon powitał rozbitków, zapraszając, by się osuszyli przy ognisku. Dał im przyodziewek na zmianę i ciepłe wino do picia. Mopsos opatrzył głowę rannego płóciennymi bandażami, przykładając wprzód gojący balsam. Dopiero gdy goście nieco przyszli do siebie i odpoczęli, Jazon zagadnął ich uprzejmie:

– Kim jesteście, cudzoziemcy? I dokąd, jeśli wolno zapytać, zmierzał wasz okręt, nim ta straszliwa burza strzaskała go w kawałki?

Przywódca tamtych odparł: – Nie wiem, czyście kiedy słyszeli opowieść o Greku z Ajolii, imieniem Fryksos, który zbiegł z Tesalii jakieś trzydzieści lat temu, ponieważ ojciec, król Atamas, zamierzał złożyć go na ofiarę? Otóż dotarł

bezpiecznie do Kolchidy i znalazł przytułek na dworze króla Ajetesa, Efiranina, co tu osiadł był parę lat wcześniej; potem poślubił córkę króla, księżniczkę Chalkiope.

Jesteśmy czterema synami tego związku, ale ojciec umarł dwa lata temu, a z dziadkiem łączą nas nie najlepsze stosunki: to surowy starzec. Niedawno postanowiliśmy odwiedzić Grecję, bo ojciec nam opowiadał, że w Orchomenos czeka na nas cenny spadek, a mianowicie beockie włości jego ojca Atamasa.

Gdyśmy poprosili króla Ajetesa o pozwolenie na wyjazd, zgodził się niechętnie, pod warunkiem, że najpierw wstąpimy do Efiry, aby zbadać, co się stało z jego tamtejszym dziedzictwem, i zgłosić w jego imieniu formalne prawa do tych ziem.

Przystaliśmy na warunek, ale zaledwie dwa dni byliśmy na morzu, gdy, jakżeście sami widzieli, straciliśmy okręt i całe mienie. Najprawdopodobniej postradalibyśmy również i życie, gdyby nie ten twój szlachetny towarzysz, który nas wyczerpanych wyciągnął ze spienionych fal przyboju. Nazywamy się: Argios (ten tam z rozciętą głową), Melanion (ten ciemny, co go dogląda; podobny do naszej kolchidzkiej babki), Kityssoros (nasz wszechstronny zapaśnik) i Frontis: to ja, najstarszy z czwórki. Jesteśmy całkowicie na twoje usługi.

Jazon wyciągnął dłoń: – To dziwne spotkanie. Traktowałem was serdecznie, jak byście byli moimi własnymi krewnymi, i okazuje się, że to prawda! Jesteśmy stryjecznymi braćmi. Wasz dziadek Atamas i mój dziadek Kreteus byli rodzeństwem. I znajdują się wśród nas jeszcze inni wasi kuzyni (później wam wyłożę ich rodowody): Peryklimenos i Melampus z Pylos, Admetos z Fery, Idas i Linkeus z Arene oraz Akastos z Jolkos.

Frontis, ściskając jego rękę, zapytał: – Jakim sposobem znaleźliście się na tym wybrzeżu? Czyżby Trojanie nie zamknęli cieśnin dla wszystkich Greków, którzy mają ochotę uprawiać handel na Morzu Czarnym? Zobowiązali się do tego. Nasz dziadek Ajetes jest sprzymierzeńcem Laomedonta, króla Troi, i obiecał dać mu pomoc w okrętach oraz ludziach w celu wykonania tych zamierzeń; choć bowiem sam jest Grekiem, powiadają, że Grecy nieuchronnie powodują kłopoty, gdziekolwiek się znajdują. Amazonki, jak słyszałem, podjęły wobec Laomedonta podobne zobowiązanie, oświadczając, że Grecy wydają się zbyt skorzy do broni, a zbyt opieszali w dawaniu podarków. Nawiasem mówiąc, na półwyspie żyją wśród Paflagonów trzech bracia Tesalczycy, którzy hańbę przynoszą imieniu Greka i mają opinię skończonych hultajów i skapców.

Gdy Jazon nastawał o ściślejsze informacje na temat tych trzech braci, Frontis odrzekł: – Ja osobiście nigdy ich nie spotkałem, ale jeden z nich, Autolikos, jest najgorszym złodziejem w całej Azji; zdaniem Trojan ukradłby człowiekowi nos z twarzy podczas snu albo trójnog spod wieszczącej kapłanki. Ale Trojanie nie ośmielą się porwać i uśmiercić braci, bo zwiedzeni przez nich Paflagonowie uważają ich za wspaniałych ludzi, zbawców kraju, i dowiedliby swego oddania, zamykając południowy trakt kupiecki na Wschód.

Autolikos odezwał się ze śmiechem: – Nigdy nie wierz w to, co ci mówią trojańscy krętacze, szlachetny Frontisie. Uwierz prostym Paflagonom, którzy mnie i moim braciom istotnie wiele zawdzięczają. I nie strzeż nazbyt czujnie nosa podczas snu, bo przysięgam, że nie wyciągnę po niego ręki, póki żaden z was nie sięgnie po nasze nosy. Zawsze to powtarzałem Trojanom.

Kompania ryknęła śmiechem na tę ripostę, a Frontis przeprosił Autolikosa i jego braci, oświadczając, że jeśli są rzeczywiście trzema Tesalczykami, o których mowa, już samo ich uprzejme i szczerze zachowanie przeczy oszczerstwom szerzonym przez ich konkurentów handlowych. Bracia wielkodusznie im wybaczyli, dodali nawet, że każdy zarzut pochodzący od zawistnych Trojan miły jest ich uszom.

Wtedy Jazon powiedział: – Frontisie, ci trzej zaci Tesalczycy wsiedli na pokład naszego okrętu po ułożeniu wszystkich swoich spraw w Synope, ponieważ chwała naszego boskiego zadania rozpała ich serca pragnieniem, by w nim uczestniczyć.

– Doprawdy? – odparł Frontis rad ze zmiany tematu. – A cóż, jeśli mogę spytać, jest waszym boskim zadaniem?

– Powiem ci w ścisłym zaufaniu – rzekł Jazon. – Mamy odzyskać złote runo z rąk króla Ajetesa i zwrócić je do świątyni lafistiańskiego Zeusa, posągowi, z którego niegdyś wasz ojciec zdjął je odważnie. Ty i twoi bracia powinniście głęboko się przejąć tym zadaniem; jeśli zaś pomożecie nam je spełnić, możemy przyrzec, że beoccy panujący przychylnie uznają wasze prawa do dziedzictwa po Atamasie, zaś obecni uzurpatorzy zostaną wygnani. Musisz zrozumieć, że pomyślność minijskiego rodu zawisła od odzyskania runa – doprawdy wierzę, że to sama Trójbogini cisnęła was na ten brzeg.

Słowa twoje – powiedział Frontis – brzmią dziko i dziwacznie dla naszych uszu. Nasz dziad, król Ajetes, nigdy dobrowolnie nie zrzeknie się runa, a dowodzi on nie tylko armią w sile pięciu tysięcy ludzi, lecz także flotą złożoną z trzydziestu śmigłych galer: każda wielkością dorównuje waszej; jeśli uda wam się porwać runo nagłym wypadem, będą was one ścigać i dogonią tak niezawodnie jak przeznaczenie. Pozwól się ostrzec, nim dodam coś więcej, że w wewnętrznym przedsionku pałacu naszego dziada stoją dwa byki z brązu. Zrobiono je na wzór byka, jakiego Dedal podarował kapłance kreteńskiej Pazyfae, ale są poświęcone okrutnemu tauryjskiemu bogu wojny. Kiedy dziadek was złapie, wsadzi po dwóch w brzuchy tych byków, a pod spodem roznieci ogień ofiarny, żebyście się upiekli na śmierć. Wasze wrzaski i wycia będą dobywać się rykiem z pysków bestii, sprawiając mu niesłychaną przyjemność. I powiedz mi, krewniaku, skąd właściwie czerpiesz przekonanie, że Trójbogini (czczona w Kolchidzie pod mianem Ptasiogłowej Matki lub Niewypowiedzianej) zechce aprobować wasz pochopny zamach na jej dzieło? Dlaczegoż miałaby się zgodzić na zwrot runa buntowniczemu synowi, skoro je sama zeń ściągnęła?

– Wielkie bóstwa olimpijskie: Zeus, Posejdon, Apollo, Atena i Artemida –

oświadczył Jazon – wszystkie osobiście pobłogosławiły to przedsięwzięcie, bez wątplenia nie tak trudne jak wiele innych, o których wiesz, że zostały wykonane pomyślnie. Gdy na przykład król Myken, Eurysteus, posłał Herkulesa z Tyryntu po pas królowej Amazonek, Hipolity...

– Och tak – przerwali Melanion i Kityssoros – wszyscyśmy słyszeli o Herkulesie, wielkim Tyryntczyku. Gdyby Herkules przyjechał z wami, byłaby całkiem inna sprawa. Nawet nasz dziad Ajetes go się boi.

Jazon rzekł: – Pozwólcie sobie zatem powiedzieć, a jeśli chcecie, potwierdzą to przysięgą, że Herkules jest członkiem naszej załogi. Zajrzawszy do skrytki pod ostatnią ławą od rufy, znajdziecie

parę jego rzeczy, między innymi hełm rozmiarów kociołka i olbrzymią parę skórzanych portek. Wysiadł na ląd parę postojów temu w pewnej swojej prywatnej sprawie i spodziewamy się, że nas niezawodnie niedługo dogoni, prawdopodobnie okrętem dostarczonym przez jego przyjaciół

Mariandynów. Nie uważamy się jednak za mniej odważnych niż Herkules i gdyby zanadto zwlekał, zamierzamy podjąć nasze zadanie bez niego. Co do Trójbogini, jesteśmy jej szczególnie oddani i na Samotrace wtajemniczono nas w jej najczystsze obrzędy. Udzieliła aprobaty tej wyprawie i zesłała nam możliwie najpomyślniejsze wiatry. Niechaj trupem padnę, jeśli nie mówię prawdy!

– Ale cóż za cel może mieć w tym, byście zdobyli runo? – spytał Frontis.

– Nie twierdzę, że jest tym zainteresowana – rzekł Jazon. – Ale przynajmniej nie sprzeciwia się naszej wyprawie, ponieważ ma dla nas własne zlecenie do wykonania w Kolchidzie. Życzy sobie, abyśmy zapewnili spoczynek duchowi waszego ojca Fryksosa.

– Doprawdy? – wykrzyknął Frontis. – Pojęcia nie miałem, że nie znalazł

spoczynku. Kolchowie wyprawili mu wspaniały pogrzeb.

Jazon się stropił. – Rozumiałem, że jego ciało nie zostało pochowane – wyjąkał.

– Bo i nie jest pochowane – rzekł Frontis. – W Kolchidzie w ogóle nie grzebiemy mężczyzn, tylko kobiety. Kolchidzka religia zabrania pochować mężczyznę i choć król Ajetes prosił swoją radę o pozwolenie na pogrzeb naszego ojca na stosie i zakopanie prochów greckim obyczajem, kolchidzcy kapłani odmówili, a on nie nalegał. Czczą tutaj boga słońca tak samo jak Trójboginię, płomień przeto jest święty. Ciało mężczyzn nie można palić, żeby nie skazić ognia; ani nie można ich grzebać w ziemi, która jest tak samo święta. Kolchowie zwykli tedy owijać ciała mężczyzn w niewyprawne skóry bawole i zawieszać je na wierzchołkach drzew ptakom na pastwę. Zwłoki naszego ojca zawieszono z wielką czcią i powagą na najwyższej gałęzi najwyższego drzewa w całej dolinie nadrzecznej, olbrzymiej topoli, i żadnego z nas nie nękały dotąd odwiedziny jego ducha.

– Czy to prawda, że runo wisi w zagajniku herosa Prometeusza, którego czczą tutaj jako boga wojny? – spytał Jazon.

Frontis wyjaśnił: – Opowieść doszła do ciebie w przekręconej wersji. Runo zostało oddane do wyroczej świątyni Prometeusza, opodal miasta Ai, gdzie czczą go jako herosa, nie jako boga. Wyjaśnię zaraz, skąd bóg wojny wziął się w tej historii. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu nasz dziadek Ajetes poślubił córkę króla Krymu, Taura, i zawarł z nim sojusz wojskowy, żona zabrała do Ai swoją tauryjską gwardię. W dowód uszanowania dla niej i dla teścia dziadek odstąpił frontową część obwarowanego wysokim murem przybytku tauryjskiemu bogu wojny, przeznaczając resztę do użytku samego herosa. Chcąc zatem dostać się do miejsca, gdzie wisi runo, trzeba przejść przez ściśle badanie zgromadzenia zbrojnych kapłanów tauryjskich, którzy trzymają dzień i noc wartę przed oborą swoich świętych byków. Ajetes powziął tę decyzję w okresie, gdy się obawiał, że najeźdźcy greccy mogą się pokusić o kradzież runa. Ze swą kolchidzką żoną miał

córkę, księżniczkę Medeę; została ona teraz kapłanką Prometeusza i karmi olbrzymiego węża, w

którego heros się wcielił. Jest to indyjska odmiana pytona, zabija ofiarę (czy to zwierzę, czy ptaka), obezwładniając ją wprzód pełnym złości i wiecznie czujnym okiem, a potem miażdżąc w swych zimnych oplotach.

Prometeusza drażni czyjakolwiek obecność w przybytku; wstęp ma tam tylko księżniczka Medea, przy czym zawsze śpiewa starodawne zaklęcia, by go uspokoić. Żadna kobieta nie zazdrości księżniczce urzędu.

Policzki Jazona bladły w miarę słuchania i język odmówił mu posłuszeństwa.

Jednakże zaszedł już za daleko, by móc się wycofać z honorem. Admetos z Fery wyręczył go, mówiąc do Frontisa:

– Żadnemu z nas nie odebrało odwagi to, co opowiadasz, krewniaku, a przecież sami oddaliście się całkowicie do usług naszego wodza. Żądam, abyś wraz z braćmi przysiągł, że będziecie wiernie iść za nim, dopóki nie dowiezie runa bezpiecznie do Grecji. Jeśli odmówicie tej przysięgi, zabiję was na miejscu, mimo bliskiego pokrewieństwa. Jazon bowiem zawierzył tajemnicę, której nie może dzielić nikt, kto czynnie nam nie pomaga.

Złożyli przysięgę w pozbawionej dachu świątyni Mariany, co stała nie opodal.

Wzniosły ją przed laty Amazonki podczas jednego z najazdów na te wybrzeża.

Surowy czarny posąg bogini wciąż zajmował swoją niszę, a ołtarz z głazów stał

gotów na przyjęcie ofiary. W trzech zagłębieniach na wierzchu złożyli białe kamyki podobne do jajek i odprawili nad nimi księżycowe zaklęcia, prosząc o wstawiennictwo.

Wiatr ucichł w ciągu nocy. O brzasku, choć morze wciąż było wzburzone, zepchnęli *Argo* na wodę i ruszyli w drogę. Z łagodną bryzą wiejącą od brzegów z wolna mijali kraje kłótliwych Sapejrów i mocnych w nogach Bizerów, co mieszkają w sąsiedztwie, tam gdzie góry podchodzą tuż do morza.

Żeglowali cały dzień i całą noc, dopóki ich nie zatrzymała cisza morska.

Wiosłując przez następny dzień, ujrzeli niezmierną zamgloną równinę pokrytą lasem. O zmierzchu wpłynęli na szeroką Fazis, rzekę żeglowną na przestrzeni ponad tysiąca stadiów powyżej ujścia, ale byli zanadto zmęczeni, by wiosłować bez odpoczynku. Synowie Fryksosa pokazali im ukryty zalew, gdzie mogli spędzić noc bez obaw, że ktoś im przeszkodzi. Wreszcie dotarli do stajen Słońca.

Nim się jednak wśliznęli na zalew, przezorny Jazon stanął na dziobie i ze złotego pucharu wylał do rzeki obiatę z miodu i czystej wody, wzywając bóstwo rzeczne, by łaskawie wejrzało na *Argo*, gdy będzie żeglować po tych rozległych i wspaniałych wodach.

## **W GÓRĘ RZEKI FAZIS**

Zalew pachniał malarią, a po drugiej stronie z butwiejących drzew leśnych zwieszały się festony pnączy. Argonauci nie mogli wysiąść na ląd, bo brzeg był



raczej tłustym, czarnym szlamem niż ziemią i pokrywało go wijące się poszycie.

Nie mogli nawet zarzucić kotwicy: Frontis ich ostrzegł, że rano nie zdołają wydobyć kamieni kotwicznych z głębokiego mułu. Roje komarów złośliwie brzęczały im koło uszu i kłuły w najczulsze miejsca, a trawiastzielone żabki drzewne całymi stadami przesadzały okrężnicę i skakały po nich lepkiimi łapkami.

– Szkoda – rzekł Peleus – że nie ma już z nami druha w czerwonych trzewikach. Jako Argiwczyk znał zakłęcie przeciwko żabom.

– Obwiniaj własne niezdarne obchodzenie się z oszczepem – rzekł Idas, któremu żabki dokuczały nieznośnie.

Orfeusz usiłował pocieszyć Idasa mówiąc, że stworzonka przybyły w dobrych zamiarach, aby uwolnić okręt od komarów; ale Idas odparł, że byłoby lepiej, gdyby komary zdołały uwolnić okręt od żabek. Potem obaj z Linkeusem zaczęli błagać Jazona, żeby wracać na morze, i Jazon się zgodził; *Argo* jednak od razu utknęła na błotnistej mieliźnie. Gdy próbowali ją zepchnąć, mącąc tylko szlam o odrażającej woni, nadciągnęła nagle od morza gęsta mgła; nawet Linkeus nie mógł dostrzec własnej ręki trzymanej bliźutko twarzy. Tkwili tak do rana w milczącej niedoli.

Kiedy się rozwidniło, mgła była nadal gęsta, ale zdołali uwolnić *Argo*, holując ją na dwu linach. Eufemos, niebaczny na krokodyle czy inne potwory, przepłynął

nurt i umocował liny do korzeni drzew na przeciwnym brzegu. Był to pięćdziesiąty dzień podróży, odprawili tedy modły do Trójbogini, która lubi trójki, dziesiątki i pięćdziesiątki, podczas gdy Zeus faworyzuje czwórki i dwunastki, a Apollo –

siódemki; ale uważali, by nie podnosić głosu w obawie odkrycia. Gdy skończyli śpiewy, powiosłowali we mgle obok Fazis, nawiedzanego przez febrę miasta garnizonowego, które król Ajetes utrzymywał na lewym brzegu rzeki, a dokonali tego bez trudu, bo Argios, syn Fryksosa, okrzyknął wartownika w jego własnej mowie, co dla uszu Argonautów brzmiała jak świergot ptasi. Fazis wzniesiono na palach pomiędzy rzeką a jeziorem rojącym się od perkozów, cyranek oraz szarych kaczek; prawo wymagało, aby każdy cudzoziemski okręt, gdziekolwiek leżał jego port macierzysty, tam się zatrzymywał, dopóki pod strażą nie odeśle się go do Ai.

Ale Jazon wolał pozostawić wielkorządcę Fazis w nieświadomości, że *Argo* popłynęła w górę rzeki.

Mgła rzedła stopniowo. Wiosłowali godzina za godziną wśród takich samych obwieszonych pnączami drzew i kęp wysokiego sitowia. Odpoczywając nie wysiadali na brzeg, tylko jedli nie gotowane posiłki. Synowie Fryksosa pokazali im pewien rodzaj pnącza, którego woń odstrasza robactwo. Narwali jego liści, rozgnietli je i natarli sobie głowy i całe ciało. Tej nocy nie nękały ich ukąszenia, leżeli rozmawiając przyciszonym głosem, uwiązawszy *Argo* do omszałego pala.

Admetos rzekł: – Przyjaciele, nie lękam się śmierci, ale muszę przyznać, że im bardziej się zbliżamy do świątyni, w której, jak powiadają, wisi runo, tym mniej prawdopodobne mi się zdaje, abym miał jeszcze kiedyś zobaczyć moją drogą małżonkę Alkestis czy bogate pastwiska feryjskie, gdzie beczą

moje tłuste owce i rżą wspaniałe konie.

Faleros z miejsca podjął temat, jakby właśnie rozmyślał o tym samym. – Albo wysokie, szarozielonkawe oliwki tespijskie – dodał – tak wdzięcznie zasadzone, że szerokie aleje przecinają sady, w którąkolwiek stronę byś spojrział, w przód czy ukosem; a wiosną w ich cieniu błyszczą kwitnący biały groszek o słodkim zapachu.

Jest to bowiem najdzikszy najposeępniejszy wjazd do portu, jaki widziałem w ciągu wszystkich lat żeglowania.

– Albo cieniste dolinki Sparty – dorzucił Kastor – gdzie grunt jest zielony, lecz pewny, gdzie dwukonny rydwan toczy się bez hałasu wstrząsów i gdzie nigdy nie słychać huku morza. Czymże bowiem jest jeden okręt przeciwko trzydziestu?

– Albo kwieciste stoki Hymetu – powiedział Bootes – gdzie na południu dźwięczy senne brzęczenie pszczoł, a młody pasterz przygrywa stadom na fujarce.

Albo Ateny okryte pod wieczór fioletowym odbłaskiem, gdy dym gotującej się wieczerzy ulatuje jednocześnie ze wszystkich domów i chałup miasta, niosąc z sobą smakowity zapach jadła. Czymże bowiem jest trzydziestu sześciu mężów przeciw pięciu tysiącom?

– Albo Apollinową świątynię pępka połyskującą bielą przez gęsty laurowy zagajnik – odezwał się Ifitos z Fokidy. – Albo błękitne wody Zatoki Kryzajskiej.

Mój towarzysz w szkarłatnych koturnach umarł, zdaje się, całkiem w porę, on przynajmniej został pochowany z pełnym ceremoniałem, a duch jego panuje teraz w świecie podziemi, bo bez wątplenia nie zapomniał nauk wyniesionych z Samotraki. Ale nam, jeśli nas pokona złowrogi Ajetes, przypadnie żaloszny los Fryksosa i zawiśniemy w niewyprawnych skórach bawolich na czubkach wysokich drzew, na żer wronom i kaniom.

Peleus powiedział gorzko: – Gdybyśmy chociaż mieli tutaj Herkulesa, gdybyście tylko posłuchali byli Admeta i mnie...

– Przestań, Peleusie! – krzyknęli jednym głosem Kalais i Dzetes.

– Czyście zapomnieli, towarzysze – zapytał Mopsos Lapita, acz ton jego zdradzał brak przekonania – że przynajmniej pięć bóstw olimpijskich błogosławiło naszą wyprawę?

Melampus z Pylos odparł: – Olimp leży daleko stąd. Prawo Zeusa nie sięga poza Synope, a bodaj poza rzekę Lykos.

Idas roześmiał się z przymusem.

– Zostaw Olimpijczyków ich śnieżkom, mężu z Pylos. – Przy sobie masz Idasa, ten się niczego nie lęka.

Nikt nie podchwycił uwagi Idasa; dawno się ustaliło, że jego niezdarne żarty najlepiej zatrzeć mokrą

płachtą milczenia.

Po chwili wszyscy spojrzeli na Jazona w oczekiwaniu jakichś pokrzepiających słów, ale on siedział zamyślony i zboląły. Wreszcie wyręczył go Orfeusz:

– Towarzysze, zapomnieliście o Wielkiej Bogini, której panowanie jest powszechne i nieustające (choć w Grecji pobłażliwie rozdzieliła władzę pomiędzy swoje wesołe dzieci), a przecież dzięki jej zachciance znaleźliśmy się aż tutaj. Nie ma potrzeby desperować, skoro nadal jej służymy. Zapomnijcie na chwilę o Zeusie i jego runie; pamiętajcie o bogini i jej zamiarach. Najważniejszym celem naszej podróży jest odszukać i pogrzebać kości Fryksosa Minińczyka. Gdy tego dokonamy, zaspokajając w ten sposób boginię, może będzie nam wolno oczekiwać jej pomocy także i w drugiej sprawie. Nie powinno już paść ani jedno słowo na temat runa, dopóki duch Fryksosa nie znajdzie wreszcie spoczynku.

– Traktujcie to, proszę, jako mój rozkaz – oświadczył surowo Jazon, budząc się z odrętwienia.

Cały następny dzień wiosłowali w górę rzeki przez te same wpeł zamarłe lasy, i nie widzieli żywej duszy prócz wodnego ptactwa, skrzydlatych drapieźców i stad ibisów – nieczystych egipskich ptaków brodzących, co żywią się węzami i używają własnych dziobów jako lewatywy. Gdy o zmroku zarzucili kotwicę, znużeni spiekotą, Orfeusz zachwycił ich pieśnią, którą ułożył, włączając niektóre powiedzenia z poprzedniego wieczoru, ale zawsze swoiście przezeń przekształcone. Pieśń tę, rozpoczynającą się od słów:

*Pozwól mi kiedyś wrócić bezpiecznie*

*Do chłodnych dolin Sparty zielonej...*

dotąd śpiewają wieśniacy przy kominie i wiosłarze greccy na dalekich morzach.

W następnych zwrotkach znalazły się „Ateny uwieńczone fiołkami” i „Tyzbe pełna gruchających gołębic”, i „piaszczyste Pylos, kolebka okrętów”, które trwają w pamięci, a prócz nich wiele innych ulubionych miejsc w każdej ziemi, gdzie lud mówi po grecku. Tym wspomnieniom przeciwstawiono odrażające widoki i odgłosy rzeki Fazis, zaś każda zwrotka kończy się refrenem: *Wybacz mi jednak, Matko Przeznaczenia,*

*Jeśli twą świętą wolę odmieniam.*

Rankiem trzeciego dnia podróży w górę rzeki las zrzędł i znaczny dopływ, Syros, wybiegł spieniony spośród gór na północy. Tam gdzie nurty się zlewały, stała rozległa osada złożona z wyplatanych chałup pokrytych strzechami z gałęzi i uszczelnionych mułem. Tu po raz pierwszy Argonauci ujrzeli wieśniaków kolchidzkich o chudych nogach i wełnistych czuprynach. Nosili krótkie, białe kitle płócienne, a za uchem czerwone kwiaty. Argios, syn Fryksosa, rzekł:

– To lud wesoły i leniwy, choć nieustannie myśli o śmierci. Fazis jest dla nich Nilem i, jak ich krewniacy w Egipcie, czczą ibisy i praktykują obrzezanie.

Stada bawołów tarzały się na podmokłych łąkach, na łbie każdego z nich siedział mały ptaszek i

wydziałybywał rojące się robactwo.

– Te bawole ptaszki także są tu czczone – objaśnił Argios. Około południa brzegi rzeki zrobiły się twardsze, a nurt szybszy; ale pchał ich silny wiatr północno-zachodni i nie było potrzeby użycia wiosł. Pojawiło się więcej osad, przy każdej z nich grobla i rząd wyżłobionych czółen uwiązanych wzdłuż brzegu.

Znowu widzieli konie i krowy, i kwitnące łąny niebieskiego lnu, i pola prosa już niemal dojrzałego pod sierp; i kobiety piorące u wody, i nagie dzieci grające w kostki, a tak tą grą zajęte, że nawet nie podnosiły wzroku na okręt, który je mijał.

Kobiety, zgodnie z egipską modą, malowały sobie kąciki oczu. Gdzieniedzie napotykali cuchnące cmentarze na drzewach: wierzby obwieszane bezkształtnymi tłumokami; niektóre z nich szarpały sępy. Mijając je, Argonauci zatykali sobie nozdrza liśćmi o przenikliwym zapachu.

Synowie Fryksosa pozdrawiali okrzykami każdą osadę, że zaś *Argo* znów była zamaskowana za pomocą kolchidzkiej figury dziobowej, przypuszczano, że wracają z podróży podjętej parę dni temu, zapewne z powodu jakichś niepomyślnych znaków. Argonautów zadziwiała zieloność równiny, którą Orfeusz uznał za dużo lepiej nawodnioną niż dolina Nilu, a także o lepszym klimacie. Tu z jednego pola często się zbiera trzykrotne żniwo, winnica rodzi owoc już na drugi rok i nie wymaga okopywania korzeni ani przecinania częściej niż raz na cztery lata. Ale synowie Fryksosa ostrzegali Argonautów, by uważali na węże – bo im bogatsza ziemia, tym jadowitsi są jej mieszkańcy – oraz na tarantule, odmianę pajaków, których ukąszenie każe jednemu umierać, płacząc nad przypuszczalną stratą, jaką ponoszą jego krewni, a drugiemu, rycząc ze śmiechu nad jakimś własnym dowcipem, choć nikt by go nie zdołał pojąć.

– Idasowi nie trzeba ukąszenia tarantuli, żeby umarł ze śmiechu nad żartem tego rodzaju – wtrącił zgryźliwie Kastor, a słowa jego miały w sobie coś z przepowiedni.

Tej nocy przycumowali okręt koło wysepki pośrodku nurtu, gdzie wysiedli i rozpalili ognisko, świadomi, że już tylko kilkadziesiąt stajañ dzieli ich od celu, od miasta Ai o wysokich murach, co okolone górami wznosi się w widłach dwu potężnych rzek: Glaukos i Fazis. Przyrzadzili sobie ucztę z mięsa bawoły, złapanego, gdy schodził do wodopoju; synowie Fryksosa osądzili, że zwierzę musi być bezpańskie, można je przeto legalnie upolować. Od paru dni nie jedli pieczeni, więc choć twarda jak rzemień, przypadła im do smaku. Meleager i Atalanta siedzieli, trzymając się za ręce, niczym para narzeczonych na uczcie weselnej, bowiem obawa śmierci podsycała ich namiętność i czyniła ich lekkomyślnymi.

W końcu odezwał się Jazon: – Ufność nasza w bogach, ale oni nam nie pomogą, póki nie pomożemy sobie sami. Naostrzcie oręż, towarzysze, na mojej doskonałej oseełce seryfońskiej i pokrępcie serca wiarą w nieśmiertelnych. Czekają nas ciężkie próby.

Idas zrobił jakąś głupkowatą uwagę, po której zaległa nieznośnie długa cisza.

Nikt nie znajdował nic do powiedzenia, a ciszę aż tak długą starym obyczajem mogły przerwać jedynie słowa pełne proroczej mądrości. Każdy zerkał na sąsiada, lecz napotykał w odpowiedzi

bezradne spojrzenie. Na koniec rozległ się skrzekliwy głos Askalafa:

– Słuchajcie mnie, towarzysze! Choćbyśmy wyostrzyli groty naszej broni jak igły, a klingi na kształt brzytwy, jeden tylko człowiek może nas wydobyć z tej matni, ten sam człowiek, który jak błędny ogień bagieny nas w nią wciągnął: Jazon syn Ajzona. Herkules osobiście go mianował kapitanem i sam słuchał

wiernie, dopóki przebywał wśród nas. A dlaczego? Jazon jest biegłym łucznikiem, ale nie dorównuje Falerosowi ani Atalancie; dobrze ciska oszczepem, nie tak jednak jak Atalanta czy Meleager, czy nawet ja; potrafi się posługiwać włócznią, brak mu wszakże kunsztu i odwagi Idasa; nie rozumie się na muzyce, oprócz piszczałki i kobzy; nie umie pływać; nie zna boksu; nauczył się dobrze machać wiosłem, lecz trudno go nazwać żeglarzem; nie jest malarzem; nie jest czarownikiem; nie ma wzroku bystrego ponad przeciętność; co do wymowy, pozostaje w tyle za wszystkimi tutaj oprócz Idasa i chyba mnie; jest porywczy, wiarołomny, ponury i młody. Jednak Herkules wybrał go na naszego kapitana i był

mu posłuszny. Pytam powtórnie: dlaczego? Dlatego, towarzysze, że posiadał on pewną moc, której nam nie dostaje; a szlachetny centaur wyjaśnił ustami Herkulesa, jak się ta moc objawia.

Wtedy wszyscy sobie przypomnieli, co powiedziano o Jazonowym darze budzenia afektów kobiet; istotnie, widzieli na Lemnos, jak podziałął na królową Hypsipyle, która gotowa była oddać mu całe królestwo po dwudniowej zaledwie znajomości. W tym momencie jakieś bóstwo natchnęło Atalantę; poprosiła o ciszę i zaczęła recytować improwizowaną balladę, przygrywając sobie wdzięcznie na Orfeuszowej lirze. Słowa uległy już zapomnieniu, ale treść ich była następująca:

– Ja, Atalanta, śniłam, że stoję u drzwi domu bogów na Olimpie i stojąc tak, ujrzałam boginię Atenę, która przechodziła przez dziedziniec z białą sową usadowioną na ramieniu. Szła w odwiedziny do mieszkania bogini Hery, tej, co niegdyś panowała wszelkiemu stworzeniu, ale potem zniżyła się do roli małżonki ojca Zeusa. Podążyłam za jasną boginią na pokoje, gdzie Hera o wielkich, brunatnych krowich oczach siedziała na sofie pogrążona w rozmyślaniach.

„Co nowego Ateno?” – spytała.

Atena odparła: „Wiatr Wschodni przyniósł mi wieści z Kolchidy. *Argo* przycumowała koło wysepki na szerokiej Fazis, nie opodal miasta Ai, a załoga zwołała radę wojenną”.

„Mam nadzieję – rzekła Hera – że nie obmyślają napadu na Aję? To by oznaczało niepowodzenie wszystkich moich planów. Cóż znaczy trzydziestu sześciu mężów i jedna niewiasta przeciwko pięciu tysiącom?”

„Wyostrzyli broń – objaśniła Atena – podając z rąk do rąk osetkę seryfońską; ale Wiatr Wschodni mi mówił, że rozważają także posunięcia strategiczne.

Chcieliby zwieść Ajetesu pięknymi słówkami, nim się pokuszą o runo”.

„Nie dbam o runo – rzekła Hera. – Jedyнным moim pragnieniem jest przyzwoity pochówek dla kości

Fryksosa”.

Atena oświadczyła: „Dobijmy targu, dostojna władczyni. Jeśli pomożesz Jazonowi zdobyć runo, podejmuję się dopilnować sprawy Fryksosa”.

Uścisnęły sobie dłonie na znak ugody. Potem Hera potrząsnęła srebrnym dzwonkiem na swoją posłankę Iris, a gdy się ta zjawiała, jadąc na tęczę, rzekła jej:

„Drogie dziecię, wezwij do mnie bezzwłocznie boginię miłości Afrodytę”.

Niebawem Irys wróciła z Afrodytą, którą zastała podczas rozczesywania złotych pukli przy inkrustowanej gotowalni; poprawiła je jeszcze na progu komnat Hery.

„Czym mogę służyć waszej dostojności?” – spytała wdzięcznie.

Hera odrzekła: „Na rzece Fazis w cieniu Kaukazu przycumował okręt zwany *Argo*. Nie mogę ci teraz opowiadać powikłanej historii jego tam przybycia.

Pokrótkce: dopóki jego kapitan, Jazon Minińczyk (bratanek pewnego Peliasa z Jolkos, który wielce mnie obraził), nie zdoła wzbudzić afektu w kolchidzkiej księżniczce Medei, nie powiedzie mu się w służbie, jaką podjął się pełnić dla mnie, a także sprawi zawód Atenie w pełnym szacunku dążeniu do odzyskania utraconego runa, własności jej ojca Zeusa. Musisz nam dopomóc”.

Afrodyta rozłożyła ręce z niemocy. „Drogie boginie – rzekła – zrobiłabym wszystko na świecie, by się wam obu przysłużyć, ale wiecie z pewnością, że zmuszanie ludzi, by się w sobie zakochiwali, nie jest w ogóle domeną moją, tylko mego nieznośnego synka, Erosa, bożka miłości, nad którym nie mam żadnej władzy. Ostatnim razem, kiedy usiłowałam go skłonić, by się przyzwoicie zachowywał, i zagroziłam, że spalę mu łuk i kołczan, jeśli nie usłucha, skierował

strzałę we mnie, swą własną matkę (uwierzyłybyście?), i wmieszał mnie w ów haniebny skandal z Aresem. Mój biedny mąż Hefajstos dotąd mi tego nie wybaczył”.

Hera i Atena z trudem powściągnęły śmiech, przypomniawszy sobie, jak szalenie byli zaambarasowani Afrodyta z Aresem, gdy ich Hefajstos zastał w łóżku i oplótł siecią z brązu.

„Żeby mi się chociaż kiedy podobał ten Ares – dodała Afrodyta prawie z płaczem. – On na pewno nie jest aż takim bogiem, żebym mogła sobie życzyć przyłapania w jego towarzystwie. Gdyby to bodaj był Apollo!... Ale Ares ma odrażające trackie maniery, ani krzty polotu, a myśli wyłącznie o wojnie i rozlewie krwi. Nawet nie jest przystojny. Ale nie mogłam nic poradzić. Widocznie zawiniła jego długa grzywa i tatuowane oblicze”.

Hera rzekła: „No, kochanie, żadna z nas nie myśli o tobie nic złego z racji tej przygody. Ale błagam cię, zrób, co możesz, ze swym synem. Przekup go, jeśli się nie da inaczej. Obiecuj mu, co chcesz... zaraz... obiecuj mu trochę zabawek, którymi niegdyś Zeus, wtedy mój rozpieszczony pucołowaty synek, zwykł się bawić w Grocie Diktyjskiej na Krecie. Zachowałam je dotąd z niemądrego sentymentu, był bowiem czułym dzieckiem, doprawdy, choć nikt by dziś temu nie uwierzył”.

I Hera wręczyła Afrodycie kluczyk od cedrowej skrzyni; tamta ją otworzyła i znalazła wewnątrz cudowną kolekcję zabawek: gliniane ludziki na koniach, małe byki i rydwany z brązu, lalki o szerokich tyłeczkach, rzeźbione ze steatytu, malowane drewniane okręty ze wszystkimi żeglarzami i wiosłami oraz parę dość szczególnych przedmiotów, których jako kobieta wzdragam się opisywać wobec mężczyzn. Najwspanialsza wydawała się piękna piłka, doskonale okrągła, z bawolej skóry pospianej cienkimi blaszkami, przy czym szwy ukryto pod spiralą ciemnoniebieskiej emalii sporządzonej z mielonego lapislazuli; Zeus dbał bardzo o tę zabawkę i złoto nigdzie nie było uszkodzone.

Afrodyta wzięła piłkę i zagłębiła się w wąskie dolinki Olimpu, a po drodze przerzucała ją z ręki do ręki. Szłam za nią w bezpiecznej odległości, bo Atalanta lęka się bożka miłości tyleż, co inne kobiety. Pod kwitnącym drzewkiem migdałowym Eros, grając w kości z podczaszym ojca, Ganimedem, toczył je po trawiastym zboczu. Stał właśnie, strojąc miny i przyciskając do piersi z tuzin złotych kostek, które nie mieściły mu się w rękę. Pechowiec Ganimed przykucnął

z nieszczęśliwym wyrazem twarzy i wyrzucał teraz ostatnią parę. Padły psem do góry, a na Olimpie pies liczy się najniżej, jak i u nas śmiertelnych, więc Eros chciwie zapragnął jeszcze te dwie kostki. Cień jego matki padł na trawę, a on natychmiast zerknął wokoło z miną winowajcy, protestując: „Nie, nie, matko, to całkiem uczciwa gra; przysięgam, że tym razem nie są obciążone. Cokolwiek powiesz, w żadnym wypadku ich nie zwrócę Ganimedowi. Zdobyłem je uczciwą grą, klnę się na Styks”.

Afrodyta spojrzała na niego surowo, wzięła go za rękę i odprowadziła kawałek.

Poszłam za nimi i słyszałam jej słowa: „Drogi Erosku, mój najmilszy synku, mam dla ciebie cudowną zabawkę. Kiedy ją rzucisz w powietrze, świeci jak słońce i zostawia za sobą ślad niby spadająca gwiazda. Sam Hefajstos na pewno by nie umiał zrobić czegoś tak pięknego. Pochodzi z Chin, gdzie wszyscy mężczyźni i kobiety mają żółte twarze”. I pokazała mu piłkę.

„Och! Och! Och! Dawaj ją zaraz matko! – wykrzyknął. – Ganimed mi będzie zazdrościł, a tylko o to mi chodzi”.

„Nie, dziecko, musisz wpierw na nią zarobić” – rzekła. Po czym wyjaśniła Erosowi, jak ma znaleźć miasto Aję w Kolchidzie i jak rozpoznać Medeę, i co zrobić, gdy ją zobaczy. Uśmiechnął się, przymrużył oko i wysypał jej na kolana złote kostki, po dokładnym przeliczeniu, bo się obawiał, że mogłaby jedną czy dwie oddać Ganimedowi; potem rozpostarł skrzydełka podobne do motyli i uleciał z zachodnim wiatrem, trzymając w prawym ręku łuk, a kołczan przy lewym udzie. Doprawdy bowiem była to najładniejsza piłka, jaką kiedykolwiek widziało dziecko. Teraz Eros chowa się za kolumną w portyku pałacowym Ajetesa; najostrzejszym grotem mierzy w Medeę i niecierpliwie czeka przybycia Jazona.

Gdy Atalanta odłożyła lirę, w zgiełku pochwał zatonął oburzony głos Askalafa, którego obraziła uwagami na temat manier jego boskiego ojca Aresa. Zachwyty nie milkły długo, a Jazon zaczerwienił się po szyję.

– Co do mnie – szepnęła Atalanta do ucha Meleagrowi – patrzeć nie mogę na syna Ajzona, ale z

samej siły tej niechęci wnoszę, że musi na innych przedstawicielkach mojej płci wywierać potężne wrażenie.

Frontis, syn Fryksosa, przemówił, skoro tylko zdołał przekrzyczeć tumult:

– Medea słynie z piękności, jednak, o ile wiem, dotychczas jeszcze ani razu się w nikim nie zakochała.

– Nie – potwierdził jego brat Melanion – nigdy nie była zakochana; jestem tego pewien. Kiedyś długo z nią rozmawiałem o Grecji. Powiedziała mi, że bynajmniej nie czuje się zadomowiona wśród ciemnoskórych Kolchów, nie cierpi także dzikiego narodu swej matki. Mam jednak nadzieję, że zapewne kiedyś będzie mogła odwiedzić Grecję, którą uważa za kraj bardzo piękny i postępowy.

Kityssoros, trzeci brat, dorzucił skwapliwie: – To dziwna kobieta, w jej obecności trudno zachować spokój: czasem się zachowuje jak łagodne dziecko, czasem zaś jak sama straszliwa matka, gdy tańczy w ekstazie na swojej stercie czaszek. Nasza siostra Nejaira uwielbia Medeę, a ta niedawno jej oświadczyła, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach i obdarzona poczuciem godności nie pozwoli się opanować uczuciu do mężczyzny i że mężczyźni to płeć nader poślednia. Wielce przygnębiła tym Nejairę, bo jest ona zakochana w jednym z kapłanów tauryjskich, ale nie chce zasłużyć na złą opinię Medei. Jednak nie mogę się skarżyć, aby Medea stale mnie traktowała wzgardliwie. Była dla mnie nader łaskawa tuż przed naszym wyjazdem do Grecji i ofiarowała mi zapas rzadkich leków, które niestety poszły na dno wraz z okrętem. Błagała, bym postępował

roztropnie w korynckiej Efirze, gdy się będę dopytywał o tamtejszą sukcesję jej ojca: miałem nie mówić nic, co mogłoby urazić religijne uczucia mieszkańców.

Powiedziała mi nawiasem, że gdyby się jej ojcu cokolwiek stało, chętnie się zrzeknie swego udziału w kolchidzkim dziedzictwie na rzecz brata, Absyrtosa, ale tylko jeśli on jej odstąpi swoją część spadku na Koryncie; zresztą istotnie oboje z Absyrtosem zawarli tego rodzaju potajemny układ.

Teraz podjął opowieść czwarty brat, Argios: – Wygląda na to, że nasz dziadek Ajetes w popłochu opuścił Grecję mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jego siostra Kirke również stamtąd wyjechała, i zostawił korynckie włości pod zarządem pewnego Jona Bunosa, a swój lud pod regencją bratanka, Syzyfa z Azopii. Potem nastąpił najazd Achajów; Bunos zginął w bitwie u bram Efiry, Syzyf zaś umarł

w niewoli i teraz (takeśmy słyszeli) Achajowie uznali całe królestwo Koryntu za swoją własność. Kreon panuje w Azopii, a wielkorządca Efiry, wyznaczony przez króla Myken Stenelosa, przybrał imię „Koryntos”, aby udokumentować pewne dziedziczne prawa do tego urzędu. Jednak mimo to Medea ma nadzieję odzyskać ojcowiznę; przypuszczam, że matka obiecała jej to we śnie. Skoro teraz Absyrtos zrezygnował ze swoich roszczeń, ona jest najbliższą spadkobierczynią (bliższą niż my, jako córka Ajetesa, podczas gdy my jesteśmy tylko jego wnukami) – nie licząc jej ciotki Kirke, która nigdy nie będzie mogła powrócić do Grecji, ponieważ wyrocznia Azopa skazała ją niegdyś na wieczne wygnanie za jakąś nienazwaną zbrodnię.

– Czemu Medea dotychczas nie wyszła za mąż? – spytał Jazon. – Czy nigdy nie miała zalotników? A



może jej niechęć do mężczyzn ukrywa jakąś wadę lub skazę?

Argios wyjaśnił: – Wielu moźnych wodzów kolchidzkich pragnęło ją poślubić, nie tylko dla jej urody i bogactwa, lecz dla szczególnych łask, jakimi ją darzy Ptasiogłowa Matka. Ale ona wmówiła ojcu, że każdy z tych związków zrodziłby zawiść wśród odrzuconych konkurentów i że, jeśli w ogóle wyjdzie za mąż, musi wyjść za cudzoziemca. Nie wierzę, aby miała jakąś skazę czy była niezdolna do namiętności; ale często powtarzała Nejairze, iż dziewictwo darzy kobietę niezwykłą mocą magiczną i pomaga w sztuce lekarskiej. Ani dzikie bestie, ani węże nie są w stanie skrzywdzić dziewicy: może ona bezpiecznie rwać liście lub wykopywać korzonki, których samo dotknięcie sprowadza śmierć na mężczyzn i kobiety zamężne.

– Słusznie – potwierdziła Atalanta. – To dar bogini Artemis.

– Medea przypisuje go Brimo – odparł Argios – ale to pewnie odmienne imiona tej samej Niewypowiedzianej. Medea jest najbieglejszą lekarką i czarownicą w całym królestwie.

Jazon w zamyśleniu skubał swą krótką, puszystą brodę. – Okazuje się, że to kobieta nader odpowiednia dla naszych celów – rzekł. – Ja osobiście nie boję się czarownic. Centaur Chejron nauczył mnie niezawodnego zaklęcia na nie. Ona jest piękna, powiadasz, i niestara, choć to twoja ciotka? Ale „piękna” dla Kolcha nie musi koniecznie znaczyć „piękna” dla Greka. Tuszę, że nie ma czarnych, kędzierzawych włosów, płaskich stóp ani iksowatych goleni jak twój brat Melanion? Nigdy bym się nie zdołał przymusić do pocałowania takiej kobiety.

– O nie! – odrzekł Melanion, szczerząc zęby. – Jej matka była białą Tauryjką, nie Kolchidką. Medea ma krągły podbródek, złote włosy w lokach (podobne do tych, którymi w młodości słynęła jej ciotka Kirke – są żółte jak kocanka górską), zmysłowe usta, oczy barwy bursztynu, lekko orli nos i najzgrabniejsze kostki w całej Kolchidzie. Lat coś ze dwadzieścia cztery.

– To znakomicie – stwierdził Jazon. Zawsze wolałem dojrzałe kobiety niż dzierlatki. A teraz spać, towarzysze. Życzę wszystkim proroczych snów. Nasza przyjaciółka Atalanta wskazała nam dogodną ścieżkę.

Nim jednak usnął, spytał po cichu Malaniona: – Z czego się składa kolchidzka sukcesja Medei? Czy razem z bratem współdziedziczą tron?

– Nie – odparł tamten. – Ona jest tylko spadkobierczynią trzeciej części skarbów ojca. Królestwo, które otrzymał Ajetes w podzięcie za oddane Kolchom usługi, przechodzi z ojca na syna, oprócz terenów wschodnich, przyległych do Albanii. Te dzikie obszary należą do dziada tylko na mocy małżeństwa z naszą kolchidzką babką Ipsją i po jego śmierci przejdą w linii żeńskiej w ręce naszej siostry Nejairy.

– Istotnie – powiedział Jazon. – Absyrtos powinien zatem być rad z zawartej umowy. Efira przecie nic dla niego nie znaczy, a trzecia część skarbów, jakie zgromadził Ajetes, to musi być sumka wystarczająca na zakup połowy Grecji.

**KRÓL AJETES PRZYJMUJE ARGONAUTÓW**

Tej nocy król Ajetes nie mógł zasnąć, choć usilnie się starał. Nie tylko że święte rumaki Słońca od paru dni odrzucały paszę i nie reagowały na środki przeczyszczające umiejętnie aplikowane przez kapłanów stajennych, ale poważnie go zaniepokoił zły omen, jakiego był dzisiaj świadkiem w przybytku bogini księżyca. Dwanaście miesięcy temu jeden z niewolników świątynnych, który miał za zadanie dostarczać ryb dla świętych czarnych kotów bogini, nagle zwariował – choć poprzednio nie zauważono u niego żadnych oznak pomieszania zmysłów –

i popędził w las, wydając kocie wrzaski i wykrzykując coś z uniesieniem w języku, jakiego nikt nie rozumiał. Najwyższa kapłanka wyruszyła na poszukiwania, nałożyła mu święte pęta i do końca roku trzymała w więzieniu królewskim.

Podczas składania bogini dorocznej obiaty więzień ten znalazł się w liczbie ofiar i przeszyto mu serce włócznią o grocie z obsydianu; ze sposobu, w jaki upadnie, spodziewano się odczytać pokrępiającą wróżbę co do najbliższych wydarzeń. Ale zamiast runąć na twarz, co oznacza zwycięstwo; albo na wznak, co oznacza klęskę; albo zwinięty w kłębek, co oznacza pokój – zamiast którejkolwiek z tych możliwości nieszczęśnik wolał zakręcić się trzy razy w lewo i skonać w kucki, trzymając się za brzuch: sposób nigdy dotąd nie widziany, który wszystkich obecnych napełnił wielką zgrozą.

Czterech mądrych członków rady królewskiej przypomniało Ajetesowi, że wróżba nie musi oznaczać zguby Kolchidy, tylko po prostu jakieś zmiany dotyczące spraw bogini, zapewne nawrót do bardziej pierwotnych obrzędów; jednakże niełatwo im przyszło go uspokoić. Kręcił się po pałacu, wzniesionym z potężnych, pięknie ociosanych głazów, chodził po komnatach i szukał, sam nie wiedział czego: tak się zachowuje pies zarażony wścieklizną, dopóki wreszcie szaleństwo nie wytoczy mu piany z pyska, po czym z warczeniem i szczekaniem nie wygna na ulicę. Już prawie o zmierzchu padł znużony na sofę w wewnętrznym przedsionku, nie opodal podłużnego bazaltowego cokołu, na którym stały byki z brązu, i tam mu się przyśnił najbardziej złowrogi sen. Najpierw patrzył, jak błyszcząca gwiazda spada z wolna na kolana jego córki Medei. Ta podniosła ją spiesznie i wrzuciła do rzeki Fazis; nurt poniósł gwiazdę ku Morzu Czarnemu. Ta część snu nie zamąciła spokoju króla, ale potem zobaczył byki z brązu wprzęgnięte w pomalowane na czerwono drewniane jarzmo i przymuszane do orki.

W oburzeniu buchały ogniem z nozdrzy i z pysków, lecz młody oracz wołał

chełpliwie: „Wasz ogień mnie nie oparzy! Medea mnie namaściła balsamem kaspijskim!” Mówił po grecku. Ajetes nie mógł rozróżnić jego twarzy ani nawet koloru włosów, ponieważ był otulony ciemnym płaszczem; poganiał byki przez pole utrzymanym w rękę oszczepem. Boska ręka siała za nim zęby węzów w krętą bruzdę, a gdzie padły, kiełkowali i powstawali zbrojni męże. Po hełmach Ajetes rozpoznał w nich kapłanów tauryjskiego boga wojny, ku którego czci sporządzono brązowe byki. Teraz oracz cisnął kamieniem w jednego z tamtych i trafił go w czoło; wówczas pozostali zaczęli się rąbać nawzajem, aż wszyscy legli trupem.

Na to duch herosa Prometeusza jęknął głośno żalonym krzykiem nocnego ptaka i rozległa dolina Ai znów napełniła się zgiewkiem.

Ajetes ocknął się w zimnych potach. Podreptał do łóżnicy Medei i obudził ją, żeby opowiedzieć swój sen; zabronił wspominać o nim żywej duszy i błagał, by mu powiedziała, co jej zdaniem zwiastuje.

– Ojczy – odrzekła – nie mogę nic twierdzić na pewno. Myślę, że chyba w taki czy inny sposób obraziłeś Ptasiogłową Matkę. Przebłagaj ją bogatymi darami, a niebawem we śnie albo widzeniu powiadomi cię, w czymś zblądził i jak zdołasz uniknąć kary.

Ajetes zmarszczył brwi. Jako król Kolchidy stale był w kłopotliwej sytuacji z przyczyny religijnych zawiści i niesnasek wśród swoich poddanych. Arystokracja czciła bogów egipskich, pochodziła bowiem od żołnierzy faraona Sezostriasa, który został niegdyś pokonany w błahej wojnie z Getami; ale wśród rozbitych pułków, co szukały ucieczki w dolinie Fazis i osiedliły się w Ai, brakło kapłanów, więc obrządek ich był nieściśły i pełen zniekształceń. Kiedy Ajetes po raz pierwszy przybył do Kolchidy jako kupiec w poszukiwaniu przygód, zastał tam coraz bardziej przybierające na sile tarcia religijne pomiędzy tymi Egipcjanami a ich tubylczymi sąsiadami, którzy czcili kaukaską boginię oraz Mitrę, jej złotowłose dziecię-Słońce. Zaproponował zawieszenie broni i ofiarował się usunąć dzielące ich religijne różnice. Przedstawił tubylcom swoją jasną czuprynę i oczy barwy miodu jako dowód, że jest kapłanem Słońca, a Egipcjan zjednał sobie, wykładając tajniki ich własnego obrządku, w czym wykazał głębszą niż oni znajomość teologii Memfis. Słuchali go tym uważniej, że wieszczą kość szczękowa Prometeusza, którą przywiózł ze sobą, już wyjawiała parę rzeczy wiarygodnych i użytecznych. Za ich zgodą, by polegać na zdaniu Prometeusza, Ajetes zreformował narodową religię kolchidzką w sposób, który oświecił i w przeważnej mierze zadowolił obie nacje; kość szczękowa bowiem ogłosiła identyczność kaukaskiej bogini z ptasiogłową boginią egipską, Izydą. Z wdzięczności arystokracja ofiarowała Ajetesowi tron i poprzysięgła wieczystą wierność jemu i jego domowi. Oba ludy zobowiązały się do pewnych wzajemnych ustępstw: tubylcy zamieszkali w górach, przyjęli egipski obyczaj obrzezania oraz cześć dla ibisów; Kolchowic, co uprawiali dolinę rzeki, pogodzili się z cmentarzami na drzewach oraz czią wobec białych koni Mitry, jego corocznego podarunku od matki.

Ajetes jednak czuł, że balansuje na kępach uginającego się moczaru, co lada chwila może go pochłonać. Teraz oświadczył Medei:

– Kiedy chcąc ten kraj uchronić od najazdu Scytów, zawarłem przymierze z twoim dziadkiem, królem Tauridy, który Scytów napelniał lękiem, byłem, jak wiesz, zobowiązany w zakład dobrej wiary dać w Ai przytułek jego bogu wojny.

Uczyniłem to niechętnie, świadom, że matka nie żywi miłości dla tego boga, wprost wyjątkowo nieogłodzonego i brutalnego. Podobnie sojusz z Moschami, których państwo (przyznasz sama) stanowi niezbędne przedmurze przeciw szalonym Amazonkom, wmieszał mnie w następne kompromisy religijne, co także mogły ją urazić. Cóż jednak miałem począć? Niech nikt nieświadom rzeczy nie zazdrości mi tronu, bo nie jest on wygodniejszym siedziskiem od cierniowego krzaka okrytego narzutą ze złotej tkaniny.

W najmniejszym stopniu nie obwiniam cię, ojczy – odparła Medea, bo jako kapłanka Prometeusza i Brimo mogła mu współczuć w jego religijnych kłopotach.

– Spróbuj jednak przebłagać boginię i miej oczy i uszy otwarte na jej znak, a powinien on ukazać się niedługo. Nie sądzę, aby dotknął boginię twój pakt z Moschami, ale z jej znaku się dowiesz, czyś nie znieważył jej syna Mitry (który ubił byka ciemności), wprowadzając do swego pałacu tauryjskie byki, lub czy sama bogini nie potępia tego, żeś odstąpił kapłanom tauryjskim frontową część przybytku Prometeusza. Przyznaję, że te decyzje, do jakich zmusiła cię konieczność, podjąłeś wiele lat temu i że od razu nader obowiązkowo przejednałeś boginię, jest to jednak pierwszy rok, kiedy ulegając namowom mego tauryjskiego wuja Persesa, odważyłeś się na przykład uczestniczyć w orgiach ku czci boga wojny czy uwieńczyć byki kolchidzkimi kwiatami. Rozsądniej byś postąpił, natychmiast zasięgając zdania bogini. Może ci teraz obiecuje, iż gdybyś musiał

obrazić lud mojej matki wygnaniem kapłanów albo byków, albo jednych i drugich, pomoc nadejdzie z ziemi greckiej.

– To wykład do przyjęcia – rzekł Ajetes. – Zgoda. Ale co z węzowymi zębami?

– Taurowie utrzymują, że powstali z zębów, jakie wypadły węzowi Ofionowi –

wyjaśniła Medea – kiedy dusiła go Eurynome, stworzono by ich zatem wcześniej niż Pyrrę i jej kochanka Deukaliona, glinianych praprzodków greckich. Sen podpowiada, że Zasiani Ludzie zniszczą sami siebie, powstając przeciw tym Grekom.

– Ale cóż znaczy gwiazda spadająca ci na kolana? – dopytywał Ajetes.

– Jest to może jakiś boski dar mnie przeznaczony, co rozśławi ród nasz po całej ziemi?... – Przemilczała przed ojcem sen, który śniła właśnie, kiedy ją obudził, a który (była o tym przekonana) uzupełniał tamten. Było to o Kirke, siostrze króla zamieszkałej na wyspie Ajai w północnym krańcu Adriatyku; dumna, o jastrzębich oczach i jastrzębim nosie, wzywała gestem Medeę, wołając: „Rzuć wszystko i przybywaj do mnie!”

– Ale czemu duch Prometeusza tak zawodził? – nalegał Ajetes.

– Skądże mam wiedzieć? – odparła. – Mógł to być również szyderczy lament nad jego tauryjskimi sąsiadami. On będzie chyba rad zobaczyć, jak podadzą tyły wygnani z jego przybytku.

Ajetes uwierzył i poprzestał na wyjaśnieniach Medei. W głębi duszy jednak ciągle żywił wątpliwości i nie śmiał wrócić na sofę, aby pospać jeszcze trochę, w obawie dalszych snów. Zamiast tego zaproponował córce wspólny spacer po ogrodach pałacowych, zanim podadzą śniadanie; potem zdwojonymi środkami ostrożności postara się odwrócić złe następstwa swego snu – obmyje się w czystych wodach Fazis i opowie swój sen Słońcu, skoro tylko wynurzy się ono spoza wschodnich szczytów.

Medea przystała na to. Włożyła jedną z najlepszych sukien i starannie przyozdobiła głowę; potem poszła z ojcem gładkimi ścieżkami wśród kwiatnych klombów i krzewów owocowych ku miejscu, gdzie tryskała fontanna o pięćdziesięciu otworkach. Chcąc zrzucić z serca sekret, który mu ciążył, Ajetes jak najbardziej nie w porę wyjawiał Medei niedawną decyzję swojej Rady. Otóż Rada zaprosiła starego Styrysa, władcę Albanii, by przybył do Ai w konkury.

– Możliwe – rzekł król – że mój sen o gwieździe dotyczy owoców tego związku, jaki ułożyłem, sama rozumiesz, wyłącznie dla dobra publicznego. Zawsze byłaś rozsądną dziewczyną, unikając sideł miłości, które młodym przyczyniają tyle zbędnego bólu, ufam przeto, że nie będziesz wysuwać żadnych zastrzeżeń wobec tego małżeństwa (Styrus sam je zaproponował za pośrednictwem Moschów), jak to czyniłaś w stosunku do innych, o mniejszej wadze politycznej, a przeciwnie, wyrazisz zgodę. Ze starym Styrusem w roli zięcia pozbędę się wszystkich kłopotów z sąsiadami.

Styrus mianowicie władał potężnym plemieniem zamieszkałym w górach na północ od rzeki Kyros, a dzięki temu nie tylko rządził na szlaku handlowym, od którego w przeważnej mierze zależał dobrobyt Kolchidy, lecz także zagrażał

wschodnim rubieżom królestwa. Ajetes przypomniał jeszcze córce:

– Twoja pozycja w Albanii da ci znacznie więcej władzy niż mogłabyś kiedykolwiek uzyskać w Kolchidzie, gdy twój brat Absyrtos wstąpi po mnie na tron.

Medea nic na to nie odrzekła, ale w duszy zawrzała z wściekłości, ponieważ Albańczycy jedzą plugastwa i mają odrażające nawyki seksualne, a Rada Królewska znieważyla ją, pertraktując ze Styrusem za jej plecami.

Ajetes kpiąco pochwalił posłuszne milczenie córki; ale nie odzywała się nadal.

Razem patrzyli, jak dalekie ośnieżone góry Moschii rozbłyskują odbiciem słonecznych promieni.

– To barwa świeżej krwi – powiedział Ajetes mimo woli; i już nie mógł cofnąć tych niefortunnych słów.

Gdy zawrócili ku pałacowi, nadbiegł posłaniec z południowej wieży strażniczej.

– Wasza dostojność! – wołał bez tchu. – Trzydziestowiosłowy okręt grecki wynurzył się właśnie z mgły i zarzuca kotwicę przy królewskiej przystani. Na dziobie mają rzeźbioną głowę barana, a całutka załoga składa się z wielce dostojnych osób. Rozpoznałem wśród nich twoich czterech wnuków, synów Fryksosa; jeden z nich, książę Argios, jest ranny w głowę.

Ajetes ruszył zamaszyście przez Wschodnią Bramę i na dół w stronę przystani, zamierzając w porywie gniewu zakazać Argonautom lądowania; ale natknął się na herolda Echiona, który już kroczył mu naprzeciw z oliwną różdżką w dłoni.

Echion odezwał się pierwszy:

– Trzykroć szlachetny Ajetesie, królu Kolchidy, a poprzednio świetnej Efiry, przybywamy w imię Matki w pobożnej misji, którą niebawem lepiej, niż ja bym potrafił, wyjawi ci nasz kapitan. Jest nim Jazon Miniwczyk, następca tronu Ftiotis, a załoga naszego okrętu także pochodzi z najprzedniejszych rodów Grecji, część z nich to królowie, część ma boskie parentele. Między innymi Augiasz, król Elidy, co (jak i ty) jest dziedzicznym kapłanem Słońca. Nie potrzebujesz się obawiać, że przybywamy w złych zamiarach, bo wysłała nas sama Matka. Dzięki jej łaskawości parę dni temu Jazon ocalał od utonięcia czterech twoich szlachetnych wnuków: oddaje ci ich teraz zdrowych i

bezpiecznych. A ocalił nie tylko twoich wnuków, lecz zarazem własnych krewnych. Kreteus bowiem, dziad Jazona, był bratem ich dziada, króla Atamasa z Orchomenos.

Patrząc spode łba, Ajetes odparł: – Czyżby nie wiedziano w całej Grecji, że gdy doszła mnie wieść o barbarzyńskim zamordowaniu mego bratanka Syzyfa z Azopii, przysięgłem wziąć odwet na pierwszej załodze greckich żeglarzy, jacy odważą się pokazać na tej rzece, i wybić ich co do nogi? Cóż za moc, twoim zdaniem, kryje się w bezbożnym imieniu Atamasa, że aż powinno mnie ono skłonić do zmiany zamiarów wobec was?

– Szczęściem, wasza dostojność – odrzekł Echion łagodnie – twoje słowa, wymówione w gniewie, są tak ogólne, iż nie potrzebujesz się czuć nimi związany w dalszych poczynaniach. Po pierwsze, my, żeglarze, nie wszyscy jesteśmy Grekami, bo niektórzy pochodzą ze starożytnego szczepu kreteńskiego lub pelazgijskiego, a mamy i trzech Traków (o czym świadczą ich tatuowane twarze i konopne tuniki); po drugie, my, Grecy, nie wszyscy jesteśmy żeglarzami, ponieważ Atalanta z Kalidonu to żeglarka. Co zaś do imienia Atamasa, niech zabrzmni ci ono w uszach niby ostrzeżenie przed losem czekającym tych, co lekceważą nakazy Wielkiej, w której imię przybywamy.

Medea, która z ciekawości wyszła z ojcem za bramę, złapała go za rękaw i odciągnęła na stronę. – Ojczy – szepnęła – pamiętaj o swoim śnie i rozpoznaj znak. Nie odrzucaj bezmyślnie greckiej pomocy, jaką ostatniej nocy bogini najoczywiściej raczyła ci zapewnić. Powitaj gościnnie tych cudzoziemców, a gdy ich przyjmiesz gorącą kąpielą, świeżym przyodziewkiem oraz najlepszym jadłem i napitkiem, jakim rozporządzasz, wysłuchaj uważnie, co ci mają do powiedzenia.

Przybywają w imię Matki, nie żadnego tam parweniusza Zeusa czy Posejdona.

Ajetes odpowiedział na głos: – Jeśli nie przychodzą w imię Zeusa, czemu ich okręt nosi na dziobie głowę barana?

– Pytaj herolda – odrzekła. – Nie mnie.

Echion skwapliwie wyjaśnił: – Łeb barana był od wielu pokoleń odznaką minijskich okrętów, na długo przed nowym obrządkiem olimpijskim. Czemuż Ajetes miałby temu przypisywać jakieś niepokojące znaczenie? Na koniec dodał: –

Celem naszej podróży między innymi było ofiarować ci w imieniu obecnych władców Azopii i Efiry pełne zadośćuczynienie za okrutną śmierć twego bratanka Syzyfa, co stanowiło źródło niezliczonych klęsk, jakie spadły na podwójne królestwo. – Nie znano jeszcze nikogo, kto by łgał równie gładko jak Echion, jeśli się nadarzyła sposobna okazja. Jego ojciec Hermes kłamał już od kołyski; tak przynajmniej twierdzą arkadyjscy poeci.

Ajetes umilkł i stropiony przyjrzał się Echionowi, który wytrzymał jego gniewny wzrok swobodnie i niezachwianie, jak przystało natchnionemu heroldowi.

Ajetes ustąpił pierwszy. Spuścił oczy i rzekł:

– Powiedz swemu dowódcy Jazonowi, że jestem mu wdzięczny za ocalenie czterech synów Fryksosa,

a moich wnuków; że może wysiąść na brzeg bez obawy i że spodziewam się, iż mi ściśle przekaże misję poruczoną mu przez władców Azopii i Efiry oraz wszelkie inne misje, na jakie ma ochotę, o ile nie padnie bodaj słowo w przedmiocie złotego runa lafistiańskiego Zeusa.

Echion roześmiał się i rzekł: – Nie rozdmuchuj płomienia w starych zgliszczach, wasza dostojność, wymieniając samemu zamierzchłą relikwię, jakiej nawet imienia (rad jestem cię powiadomić) nikt od dawna nie pamięta w Grecji oprócz heroldów i poetów, których profesją jest o niczym nie zapominać.

Równocześnie Jazon i pozostali Argonauci wysiedli na ląd i wstępowali dwójkami po szerokich kamiennych stopniach wiodących z królewskiej przystani ku bramie miasta. Ajetes odprawił przeto Medeę, nie chcąc, by się na nią gapili ci cudzoziemcy, i czekał gotów dwornie powitać Jazona. Ale Medea się nie spieszyła.

Tam gdzie kręta ścieżka zawraca koło gruszy, ona zawróciła także. Oparta o balustradę obejrzała się na Jazona, który stąpał po schodach z młodzieńczym dostojeństwem, ani zbyt wolno, ani za szybko, trzy kroki przed towarzyszami.

Nie miał na sobie swego szafirowego płaszcza z wyhaftowaną historią runa, boby to było nierozsądne; tylko płaszcz biały, wyszywany przez królową Lemnos, Hypsipyle, w różnego rodzaju kwiaty i owoce; jej najwspanialszy podarek miłosny.

Na głowie nosił złoty hełm z szerokim brzegiem, prezent od króla Mariandynów, Lykosa, ozdobiony kitą z czarnego włosia końskiego, w ręku zaś trzymał tę samą okutą włócznię, która przeszła króla Kyzikosa. Medea nigdy w życiu nie widziała jasnowłosego mężczyzny, bo ojciec był już łysy i białobrody, gdy poślubił jej matkę, a ponieważ sama miała złote włosy, jej serce nagle uderzyło goręcej dla Jazona, jakoby rozpoznając w nim istotę pokrewną. Zdawać się mogło, że naprawdę za gruszą, już obwieszoną drobnym owocem, czai się bożek miłości opiewany w balladzie Atalanty: on, Eros, wcisnął teraz rowek pierzastej strzały w cięciwę i napiąwszy łuk z całej mocy, posłał ją z brzękiem w serce Medei.

Gwałtownie bowiem zaczerpnęła tchu, zamroczyło ją nagłe zdumienie. Potem odwróciła się z wolna i poszła dalej, już się nie oglądając.

Ajetes, chociaż dziękował za ocalenie wnuków, daleki był od uciechy z racji ich nagłego powrotu. Pozwolił był im płynąć do Grecji głównie dlatego, że wolał, aby się wynieśli z kraju na czas, gdy król Styryus przyjedzie z Albanii starać się o rękę Medei. Jedyne ich siostra, Nejaira, była nierozłączną towarzyszką Medei; Ajetes wiedział, że Medea niezadowolona z konkurenta, jakiego jej przeznaczono, mogła się ze swej niedoli zwierzyć właśnie Nejairze, a ta z kolei powtórzyłaby pewno wszystko braciom. Ci czterej, wysoce poważani przez arystokrację Kolchidy, oczywiście sprzeciwiłoby się związkowi z Albaniją. Albańczycy zabronili im kiedyś ścigać tygrysa, na którego bracia polowali na terytorium albańskim, i obrzucili ich niewybaczalnymi zniewagami. Zrobiliby więc wszystko, co możliwe, już choćby przez wzgląd na Nejairę, aby odwlec lub udaremnić to małżeństwo. Teraz nieoczekiwanie wszyscy czterej wrócili, zaś Ajetes zdawał sobie sprawę, że milczenie Medei kryło głęboką odrazę do Styryusa. Chcąc zapobiec nowym utrapieniom, musi wnuków co szybciej wyprawić z powrotem na pokładzie *Argo*; tymczasem każe Medei powstrzymać

się od wszelkich skarg na temat małżeństwa, zarówno wobec Neairy, jak i kogokolwiek innego. Szczęśliwie – przypomniał

sobie – Neairy nie ma w pałacu i nie wróci przed południem; była kapłanką kaukaskiej dziewiczej bogini i tej nocy pod jej przewodnictwem obchodzono uroczystość Nowego Miesiąca.

Ukrył niepokój przed wnukami, biorąc ich kolejno w czułe objęcia i podając przyjaźnie dłoń Eufemosowi, który był narzędziem ocalenia. Wobec Jazona zachowywał się układnie.

– Wieści z Efiry, mój panie – oświadczył – mogą poczekać, aż sobie podjemy i popijemy jak należy. Nie wątpię wcale, żeście mieli podróż równie niebezpieczną i wyczerpującą, jak długa.

Jazon uprzejmie się skłonił, choć nie wiedział, co za wieści ma na myśli Ajetes.

Gdy Argonauci szli za królem Kolchidy ku miastu, zostawiając Meiampusa i Małego Ankajosa na straży okrętu, Echion półgłosem wyjaśnił Jazonowi historyjkę o Efirze, którą jakiś bóg – a któż to mógł być, jeśli nie Hermes? – włożył

mu niespodziewanie w usta, a której nikt nie powinien zaprzeczać; doradził też Jazonowi surowo zabronić Argonautom wszelkich wzmianek o złotym runie.

– W porządku – rzekł Jazon. – Jeśli tą błagą natchnął cię istotnie twój boski ojciec, byłoby bezbożnością z niej nie skorzystać. Wracaj zaraz na *Argo* ostrzec Meiampusa i Ankajosa. Ja tymczasem przekażę twoje słowa kompanom. Dobrze się składa, że już nie ma z nami Herkulesa: on by się wygadał, nim byśmy dotarli do połowy wzgórza.

## **JAZON ROZMAWIA Z MEDEĄ**

Służebne pałacowe, przeważnie zadziwiającej urody niewolnice hirkańskie, wykąpały Argonautów w ciepłej wodzie i wytarły do sucha ogrzаныmi ręcznikami.

Wkrótce z namaszczonymi i uwieńczonymi głowami, w świeżych lnianych szatach na grzbiecie, legli na sofach w królewskiej sali jadalnej, uczestnicząc w wybornej uczcie. Postawiono przed nimi mnóstwo niezwykłych potraw, których kosztowali ze znawstwem, nie pytając z grzeczności, z czego je przyrządzono, choć niektóre składniki mogły być im zakazane z przyczyn rytualnych i spowodować kurcze żołądka czy nawet śmierć. Nikomu jednak nie zaszkodziły. Tylko Bootes skamieniał ze zgrozy, gdy służba nałożyła mu na talerz coś, w czym od razu rozpoznał pieczone larwy pszczele. Krzyknął głośno na ten widok i zalał się łzami.

Idas wyśmiał jego rozpacz i chcąc sprawić przyjemność gospodarzom, natkał pełne usta owego specjału, przyprawionego do smaku solą, wołając o dokładkę.

Jazon i król Augiasz z Elidy zostali zaproszeni do monarszego stołu na podwyższeniu we wschodnim krańcu sali. Przedstawiono im tam czterech ciemnocich, kędzierzawych nobilów, członków Rady Królewskiej. Frontis, syn Fryksosa, tłumaczył, ponieważ żaden z dostojników nie znał greki, zaś Ajetes –



żeby uspić wszelkie podejrzenia, jakie mogła wywołać nieoczekiwana wizyta Argonautów – mówił wyłącznie językiem Kolchów. Rozmowa toczyła się ceremonialnie i powściągliwie, Jazon i Augiasz opowiadali historyjki z podróży, nie poruszając jednak ważniejszych tematów. Ajetes, w koronie wysadzonej szmaragdami i królewskim płaszczu, udawał kompletną nieznajomość spraw Grecji. Zadał jedno tylko pytanie dotyczące krain położonych poza obrębem Morza Czarnego: w jaki sposób zdołali przebyć Hellespont strzeżony przez trojańskie okręty.

Jazon odparł niedbale, że bez wątpienia Trójbogini czczona przez Trojan jako Kybele musiała ich uprzedzić, aby pozwolili okrętowi minijskiemu swobodnie przepłynąć cieśninę, bo wysłano go z boską misją. W każdym razie, oświadczył, przepuścili *Argo* bez zaczepki.

Ajetes w odpowiedzi chrząknął z niezadowoleniem.

Jednakże gdy Augiasz wspomniał mimochodem o kupcach tesalskich, co wsiedli na okręt w Synope, Ajetes, któremu układ z Troją nie pozwalał

utrzymywać z Synope bezpośrednich stosunków handlowych, słuchał z nie ukrywanym zainteresowaniem. Głośno wezwał Autolikosa do swego stołu, posadził obok siebie i częstował najlepszymi kąskami na znak poszanowania.

Autolikos chętnie i szczerze odpowiadał na pytania króla (zwłaszcza że sam porzucił już był kupiectwo) i wymieniał, w przeliczeniu na złoty piasek, ceny obowiązujące na ostatnich dorocznych targach w Synope. Złośliwie go bawiła stropiona mina gospodarza, gdy się okazało, że król Troi, Laomedont, udzielił

sprzymierzeńcowi wielu fałszywych informacji na temat owych targów.

W tym momencie powrócił z polowania brat Medei, Absyrtos, młodzieniec o kocich ruchach i ostrych rysach Taura. Pozdrowił ojca z szacunkiem – zdaniem Jazona nieco przesadnym – i bez słowa wziął się do jedzenia. Jazonowi i pozostałym dwóm Grekom okazał nieprzychylną obojętność.

Przy wetach należało złożyć oficjalne oświadczenie na temat celu wizyty. Jazon wstał, wyciągnął prawicę w stronę króla, potem ku czterem dostojnikom, i przemówił:

– Znamienity i wielkoduszny Ajetesie, doszło zapewne do twoich uszu (zwłaszcza że Trojanie, handlujący zarówno z tobą, jak z nami, to znani plotkarze), że grecką ziemię w ciągu ubiegłych dwóch lat po trzykroć nawiedziło nieszczęście: wielkie huragany, co połamały nam sady owocowe i uniosły dachy z naszych domostw; niebywałe straty w trzodach i stadach; wreszcie plaga jadowitych gadów, których pełno na łąkach i w lasach. Sądząc, że klęski te mogła zesłać jedynie Niewypowiedziana i próżno by się odwoływać do wyroczni olimpijskich, Tajna Rada Wszechgrecka zasiadająca w Mykenach postanowiła zasięgnąć zdania twojej siostry Kirke, którą bogini zaszczyca zaufaniem, czym możemy ją przebłagać.

Posłowie oczekiwali na twą pięknowłosą siostrę w jej pałacu na wyspie Ajai, ona zaś po obrzędach oczyszczalnych popadła pod wpływem czarnej tynktury w swój zwykły trans i zadawała pytania bogini, zwąc ją imieniem Brimo. Brimo oznajmiła, że ona to właśnie zesłała na nas niedole jako

spóźnioną karę za okrucieństwa, których się dawno temu Achajowie dopuścili na Syzyfie z Azopii. Kazała nam wynagrodzić Syzyfa grobowcem godnym herosa i składać mu co miesiąc bogate ofiary, a jego dziedzinę wydrzeć uzurpatorowi Kreonowi – i oddać prawym właścicielom, dziedzicznym kapłanom słońca.

Ponieważ, dostojny panie, ty właśnie jesteś głową starszej gałęzi tego świetnego rodu, mieszkańcy królestwa Koryntu o dwóch morzach pragną, abym ci przekazał

ich pokorną wiernopoddańczą prośbę. Błagają: wróć i panuj im – albowiem twoja ojczyzna, obejmująca również Efirę, może się wreszcie (z chwilą wygnania regenta Koryntosa) zjednoczyć z Azopią pod jednym berłem. Jeśli jednak – stwierdzili –

Kolchida stała ci się tak droga i tyś stał się tak drogi Kolchidzie, że nie możesz jej opuścić, racz przysłać, nie omieszkając, któreś ze swych dzieci – zadowolili ich zarówno syn, jak córka – by rządziło zamiast ciebie. Wysłuchaj łaskawie prośby, bo jedynie w ten sposób Efira, a zarazem cała Grecja mogą ocaleć od nieszczęść, co im grożą zagładą.

Oto pierwsze posłanie – a jego prawdziwość potwierdzi chętnie król Augiasz z Elidy, głowa młodszej linii twego świetnego rodu. Mam jeszcze jedną misję od Kobylogłowej Matki Pelionu, którą zwykłem czcić od dzieciństwa, wychowali mnie bowiem centaurowie. Polecenie brzmi: „Ajetesie z Efiry, pod grozą mojej niełaski pozwól odpocząć duszy mego sługi Fryksosa Miniwczyka, co wciąż jeszcze cierpi uwięziona przez kości nie pogrzebanej czaszki”.

– To nie moje słowa, a słowa matki – zakończył Jazon starodawną formułą.

Po długiej chwili Ajetes odparł:

– Co do pierwszego zlecenia, naradzę się z mądrą Radą Królewską i dam ci odpowiedź przed upływem trzech dni; nie spodziewaj się atoli, że będzie przychylna. Córka moja, Medea, oczekuje właśnie swatów od monarchy sąsiedniego państwa, zaś syn Absyrtos musi pozostać w Kolchidzie jako dziedzic tronu i podpora moich gasnących lat. Pojmuję, czemu Koryntczycy nie proponują, żebym posłał im na króla któregoś z moich czterech wnuków; a mógłbym to uczynić. Efiranie nie cierpią Miniwczyków – synowie Fryksosa to Miniwczy.

Szkoda. Niemniej – ponieważ za wszystkie niedole, które spadły na Grecję od czasu mego wyjazdu, odpowiedzialność ponoszą bezbożni Achajowie i ich ofiary, a nie ja – mało mnie te klęski obchodzą.

Co do drugiej misji... czyż mogę uwierzyć, że Niewypowiedziana ma podwójny język? Jako Ptasiogłowa Matka Kolchów wydała swym czcicielom boski nakaz, by żadne kości ludzkie nie spoczęły w świętej ziemi kolchidzkiej; władca Kolchidy powinien raczej słuchać Ptasiogłowej niż Kobylogłowej Matki Pelionu. Nie wracaj już, proszę, do tej sprawy. Pytanie: czy kości Fryksosa trzeba pogrzebać czy nie, sam zadałem, gdy umarł, i kapłani wchodzący w skład mojej Rady wyraźnie mi odpowiedzieli: „Skoro umarł w Kolchidzie, należy go uczcić kolchidzkim pogrzebem”.

Kędzierzawi dostojnicy wyrazili uznanie dla tej przemowy, bębniąc w talerze rękojeściami noży. Jazon zmilczał, rad, że Ajetes nie przyjął dla Absyrtosa zmyślonej propozycji dawnych poddanych, i

uŃny, że zdoła jakoś osiągnąć porozumienie co do drugiej kwestii.

Tegoż popołudnia Frontis syn Fryksosa przyniósł Jazonowi poufne oświadczenie Ajetesa. Otóż stwierdzał on, że Ptasiogłowa Matka nie zabroniła wyraźnie przeniesienia kości Fryksosa i pogrzebania ich, byle poza obrębem Kolchidy; że zatem, jeśli Jazon podejmie się zabrać je cichaczem i na własne ryzyko z wysokiej topoli, na której wiszą, znajdzie następnej nocy cmentarz nie strzeżony i może je bezpiecznie wywieźć do Grecji, by tam w końcu pochować.

Ajetes bowiem – oznajmił poseł – kochał Fryksosa jak syna i za nic by nie chciał przyczynić jego duszy najmniejszej nawet krzywdy czy przykrości.

Ta odpowiedź niezbyt zachwyciła Jazona, ponieważ wolą bogini było, aby kości Fryksosa pogrzebano, nim nastąpi jakikolwiek zamach na runo. Powiedział

Frontisowi o tej trudności. Ten odrzekł:

– Chodź, pójdziemy z prywatną wizytą do mojej siostry Nejairy; powróciła do pałacu podczas obiadu. Nie wtajemniczaj jej w zamiar porwania runa, tylko po prostu powiedz, że bogini ci kazała pochować kości naszego ojca przed, a nie po wyjeździe z Kolchidy. Ona jest sprytna i może doradzi nam wybieg, który wszystkich zadowoli.

Jazon chętnie przystał na nieoficjalną rozmowę z młodą Nejairą. Frontis zaprowadził go okólną drogą na jej pokoje i tam dowiedział się, z jaką odrazą Medea przyjęła oświadczenia starego Albańczyka. Bo choć Ajetes, gdy rano wróciła do pałacu, wyraźnie jej zabronił mówić o tym małżeństwie, Medea zdążyła już wypłakać swój ból w ramionach starej piastunki, od której Nejaira usłyszała o wszystkim. Ciemnooka siostra Frontisa nie posiadała się z żalu i smutku.

– O Jazonie – rzekła – z dala przybyły krewniak, to wieść zbyt dla mnie okrutna: chyba oszaleję, jeśli nic nie uczynimy, by pokrzyżować plany króla.

Małżeństwo mojej wspaniałej Medei z tym cuchnącym starym zawszańcem byłoby podobne do zaślubin róży ze ślimakiem! Czy ty i twoi towarzysze nie możecie jej jakoś ocalić? Czybyś nie zechciał porwać jej do Grecji, zacny Jazonie, samemu się z nią ożenić i osadzić ją na tronie korynckim, wypełniając w ten sposób świętą przepowiednię Brimo?

– Zastanów się, co mówisz, księżniczko – odrzekł Jazon. – Jakże możesz sądzić, że ja bym ryzykował głową, wykradając jedynaczkę królewską albo że ona sama byłaby tak złą córką, by uciec do Grecji na moje zaproszenie? Świadom jestem, że krótkie spojrzenie, jakie mi dziś rano rzuciła wychylona przez balustradę pod gruszą, przeszło moje serce nagłą miłością, byłbym jednak szalony, wyobrażając sobie, że ona płonie równym żarem. Dlatego spróbuję zapomnieć o dziwnych twoich słowach, choć z głębi serca wdzięczny ci jestem za nie. A teraz, droga krewniaczko, aby dowieść swej życzliwości, poradź, co zrobić z kośćmi twego szlachetnego ojca. Biała Bogini Pelionu kazała mi je pogrzebać przed, a nie po odjeździe z ziemi Kolchów.

– Tylko Medea może to załatwić – odparła Nejaira. – Najpierw jednak powiedz: czy pozwolisz

powtórzyć Medei to, coś przed chwilą mówił o swoich uczuciach dla niej?

Jazon udał, że waha się zażenowany. Po chwili rzekł: – Jeśli przysięgniesz na swą dziewiczą przepaskę, że powtórzysz moje słowa wiernie, potajemnie i jednej tylko Medei, zezwalam.

Nejaira przysięgła, jak chciał, i opuściła ich. Na odchodnym Jazon zapytał: –

A co na to Absyrtos? Popiera to małżeństwo?

– Nienawidzi siostry – odparła – więc cieszy go wszystko, co jej przykrość sprawia. Miej go za wroga, tak samo jak ja.

Po chwili przyszedł Frontis z wieścią, że Medea odwiedzi komnatę Jazona o zmierzchu, o ile by zdołał, nie budząc podejrzeń, wykręcić się od udziału w wieczery. Jazonowi serce skoczyło z radości. W ciągu paru godzin już prawie osiągnął to, co, jak sądził, miało go kosztować kilka dni, a może nawet miesięcy.

Nic jednak nie mówił Argonautom i po południu wziął wraz z nimi udział

w towarzyskich zawodach sportowych z arystokracją kolchidzką. Stadion z trzech stron otaczały zabudowania: z jednej skrzydło pałacu zamieszkanego przez rodzinę królewską, z drugiej koszary gwardii, z trzeciej wreszcie stajnie Słońca, w których z niesłychaną czcią doglądano dwunastu białych rumaków boga Słońca (grzbietów ich nigdy nie dosiadł człowiek) oraz złowrogiej czarnej klaczy.

Argonauci umówili się, że będą traktować Jazona, przynajmniej publicznie, z najwyższym szacunkiem i miłością, aby przydać mu blasku w oczach Medei, w razie gdyby zechciała oglądać igrzyska z pałacowego balkonu. Wyznaczyli go do reprezentacji w ciskaniu krążków, łucznictwie i skokach, a jego umiejętności, choć w byle greckim mieście przeszłyby nie zauważone, wzbudziły podziw gospodarzy. Kolchowie, acz odważni, są bowiem gnuśni, niewysportowani i – jak ich egipscy krewniacy – fatalnie strzelają z łuku. Ajetes miał nie być obecny: oświadczył, że nienawidzi wszystkiego, co przypomina mu wczesną młodość spędzoną w Grecji; zapewne jednak po prostu przewidział, że jego kolchidzcy poddani niewiele nagród zdobędą w tych zawodach.

W rezultacie Argonauci zwyciężyli we wszystkich dyscyplinach, wyjąwszy grę w kręgle, którą lekceważyli jako dziecinną, a w której celowali Kolchowie.

Okazało się, że Absyrtos, miejscowy mistrz w zapasach, nie zna elementarnych zasad tej sztuki. Stanąwszy oko w oko z Kastorem, od razu skoczył na niego, chcąc go złapać pod kolana. Ale Kastor był szybszy: prawą dłońią ścisnął mu przegub, lewą łokieć, wykonał raptowny zwrot, przerzucając sobie przeciwnika przez ramię, i grzmotnął go głową o ziemię. W drugim starciu Kastor, choć tamten usiłował

mocnym chwytem wyłamać mu palec, od razu ujął Absyrtosa wpół, zbił go z nóg i sromotnie rozłożył na obie łopatki.

Wieczorem Jazon wymówił się od biesiady pod pretekstem nagłej gorączki, wywołanej sportowymi

wyczynami, którą należy wypocić pod stertą okryć. Nikt nie podejrzewał podstępów, bo w Kolchidzie takie gorączki są aż nazbyt powszednie.

O zmierzchu odwiedziła go Medea. Przyszła w przebraniu zgarbionej, kulejącej staruchy, z naręczem kołder na tę febrę. W ogóle nie zwrócił na nią uwagi, dopóki nie odezwała się starczym drżącym głosem: – Panie mój, jestem Medea. – Mówiąc to, roześmiała się, starła z twarzy wymalowane zmarszczki, zerwała kaptur z bujnych złotych loków, zrzuciła bezkształtne filcowe papucie, zdarła z siebie bury płócienny kaftan i ukazała mu się prosta i piękna, strojna w białą szatę osobliwie haftowaną w złote liście bluszczu i szyszki jodłowe.

Jazon cisnął precz okrycia, spiesznie przejechał po włosach grzebieniem z kości słoniowej i stanął przed nią wysoki, urodziwy, w fioletowym chitonie obszytym złotą frędzlą i przybranym koło szyi oraz na ramionach bursztynowymi wisiorami; była to zdobycz uniesiona podczas pądrowania pałacu króla bebryckiego, Amykosa.

Trwali tak przez chwilę, patrząc na siebie i milcząc, oboje równo zaskoczeni, że spojrzenie z bliska pomnaża jeszcze urok, jaki z daleka dostrzegli. Medei się zdawało, że są jakby dwojgiem drzew: ona niczym wysmukły, biały cyprys, on –

złoty dąb, który go ocienia. Korzenie splatają się pod ziemią, gałęzie wprawia we wspólne drzenie południowy wiatr. Pierwszym ich powitaniem było nie słowo ani uścisk dłoni, a trwożny pocałunek. Jednak wstydlivość nakazywała zachować się godnie w tej sytuacji i Jazon nie odważył się uściśnąć jej pofale, jak od razu przy pierwszym spotkaniu obejmował królową Hypsipyle.

Jazon przemówił pierwszy: – Piękna pani, nie przesadzono twojej świętej mocy.

Niektóre kapłanki matki mają trzecie oko i posługują się nim dla niszczenia i zła, a tobie dwoje oczu wystarcza, by koić i uzdrawiać.

Medea odparła z wahaniem: – Jesteś pierwszym mężczyzną, który mnie pocałował i którego ja pocałowałam, odkąd jako dziecko igrałam u kolan ojca.

– Pozwól mi mieć nadzieję, że nikt prócz mnie nie dostąpi tej rozkoszy... aż pewnego dnia mały synek obejmie cię za szyję, pocałuje i nazwie matką.

– Jak to być może, mój miły? – rzekła. – Czy nie wiesz, że mam poślubić starego plugawca Styryusa Albańczyka i dla dobra państwa nie wolno mi odmówić mu ręki, a przeciwnie, muszę się uśmiechać, gdy mnie powiedzie do swej posępnej twierdzy w Górach Kaspjskich? Ale nie mam prawa mówić nic więcej ani zwierzać ci się z lęku i wstrętu, który mi skręca wnętrzności na samą myśl o tym związku – bo ojciec surowo zakazał wszelkich utyskiwań.

– Może – odparł Jazon – Matka Kolchów u bram pałacu porazi śmiercią twego starego zalotnika, jeśli ją o to poprosisz naprawdę żarliwie; słyszałem przecież, że albański bóg słońca zuchwale mieni się równym własnej matce – księżycowi. Ale nie przystoi mi radzić (co podsuwa twoja szczerza przyjaciółka), abyś zaniedbała obowiązki wobec ojca i uciekła ze mną, nim ten nędznik przybędzie. Zresztą ty sama, tak bardzo posłuszna nawet w błahej kwestii skarg na obrzydłe zamęście, na jałową

niedole, jaką ci szykują, jakże byś się odważyła sprzeciwić ojcu w sprawie tak ważnej?

Medea nic nie odrzekła na to pytanie, podniosła tylko oczy na Jazona i zauważyła: – Frontis mi już opowiadał o twojej dworności wobec lemnijskiej królowej Hypsipyle. Słyszał o tym od twego towarzysza Eufemosa. Ten nie pomawiał cię wcale o obłudę ani okrucieństwo, ale to chyba nieprawda, żeś opuścił

królową już po dwóch dniach i nigdy nie zamierzasz tam wrócić?

– Po trzech dniach – odparł Jazon czerwieniąc się – i to w ogóle było zupełnie co innego. Uważam, że Frontis postąpił bardzo brzydko, kładąc ci w uszy te stare bajdy, choć wiedział, jak łatwo możesz źle je zrozumieć i osądzić mnie niesłusznie.

Cóż, powiem ci pokrótce, jak było. Królowa Hypsipyle poprosiła, bym dzielił z nią łożę, głównie ze względu na rację stanu: był jej niezbędny męski dziedzic tronu i pragnęła dać mu znakomitego ojca. Mnie oraz mojej załodze okazała tyle gościnności podczas tej wizyty, że byłbym gburem, odmawiając jej czegokolwiek w granicach zdrowego rozsądku. Tak to doszło między nami do pewnych miłosnych uprzejmości nieodłącznie związanych z aktem poczęcia i nie przeczę, że moja osoba ogromnie ją zajęła. Nie zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, jak w tobie, ani nawet od drugiego. O uczuciach, jakie żywię dla niej, dowolnie świadczy fakt, że uczciwie odmówiłem propozycji dzielenia z nią lemnijskiego tronu. Ilu znasz mężczyzn, piękna, którzy odrzuciliby bogate królestwo ofiarowane im w darze, gdyby nawet dar ten pociągał za sobą wymuszone uściski brzydkiej starej baby? Hypsipyle była młoda i powszechnie uznana za piękną, choć znacznie wyższa od ciebie (zbyt wysoka, prawdę rzekłszy, jak na mój gust). Włosy miała ciemne, nie złote; i nos prosty, nie orli jak ty; jej blade wargi nie kusiły mnie do pocałunków tak bardzo jak twoje pąsowe. Łatwo przyszło zapomnieć o Hypsipyle, ale nigdy nie zdołałem zapomnieć o tobie, choćbym miał przeżyć egipskiego Feniksa. Gdy tylko wzrok mój spoczął na tobie, moje serce zatańczyło złościście. Pamiętasz, jak na pobielanym stropie komnaty drga promień słoneczny rzucony z dziecińca przez sadzawkę pełną zwierciadlanej wody, której powierzchnię marszczy wiatr? Tak właśnie tańczyło moje serce i tak tańczy w tej chwili.

– Jednakże – powiedziała Medea, usiłując roztropną mową uciszyć krzyk własnego serca – jednakże, gdyby się kiedykolwiek tak stało, czy to z przyczyny przedwczesnej śmierci Styrysa, czy z jakiegoś innego powodu, że mogłabym do woli ofiarować ci uściski czulsze niż ten, któregośmy zażyli ukradkiem, musiałabym wymóc na tobie przysięgę, że od razu uczciwie mnie poślubisz, a potem podzielisz ze mną tron koryncki; Absyrtos bowiem rzekł się już sekretnie praw do niego na moją korzyść. Zażądałabym ponadto, abyś mnie najpierw zawiózł

na Istrię, do Ajai, gdzie władza Kirke, siostra mego ojca; we śnie wzywała mnie do siebie. Jazon zrozumiał, że zdesperowana Medea waży się na wszystko i można jej zaufać. Rzekł przeto: – Przysiągłbym natychmiast, gdybyś ty w zamian przyrzekła, że mi pomożesz wykonać dwa zadania, jakie mam do spełnienia w tym kraju.

– Co za zadania? – zapytała. – Jak dotąd mówiono mi tylko, że Kobylogłowa Bogini Pelionu życzy sobie, abyś pochował kości Fryksosa według greckiego obyczaju, i to nim opuścisz Kolchidę. Chętnie ci pomogę, znam już nawet sposób.

Idessas, najstarszy syn króla Moschów, przybywa jutro z doroczną daniną. Jak zwykle będzie zasięgał zdania wyroczni Prometeusza, dla którego Moschowie żywią najgłębszą cześć, ponieważ odpowiedzi, jakich mi dotąd udzielał, zawsze się sprawdzały. Powie się Idessasowi między innymi, że Prometeusz czule kocha Moschów i raczy ich miłościwie obdarzyć własną wyrocznią, której rady będą mogli zasięgać bezpośrednio, ilekroć jakiś niezwykle wypadek zakłóci im spokój ducha; że muszą wobec tego wybudować grobowiec z pięknego kamienia na wzór świątyni Prometeusza i złożyć tam z takim a takim ceremoniałem kości herosa, które po powrocie do swych komnat Idessas znajdzie we własnym łóżu.

Jednocześnie wyrocznia przestrzeże go, żeby ukrył kości przed wzrokiem ludzkim do czasu, aż zostaną bezpiecznie złożone w grobowcu, i aby nawet i potem zataił

ich pochodzenie, bo inaczej pozbawi je proroczych właściwości; herosa zaś należy po prostu zwać dobroczyńcą. Jeśli chodzi o boginię, której ma on podlegać, będzie nią Biała Bogini Ino z Pelionu. Nie odkryję księciu, że pod tym imieniem Efiranie czczą Ino, która wysłała Fryksosa do Kolchidy, od chwili gdy przez samobójstwo i zamordowanie swego synka stopiła się w jedno z Matką o wielu mianach.

– To znakomity pomysł – rzekł Jazon – ale kto wykradnie kości i podrzuci je Idessasowi do łóżka?

– Kupiec z Synope, Autolikos – odparła – jest podobno najzręczniejszym złodziejem na świecie; Frontis udzieli mu wskazówek, jak ma to zrobić. A teraz inna kwestia. Niejasno wspomniałeś o swej dwojakiej misji. Jakież jeszcze boskie zadanie kazano ci wykonać?

– Najpierw knij się na własną dziewiczą przepaskę – zażądał Jazon – że nigdy słowem, znakiem ani czynem żywej duszy nie zdradzisz tej misji, dopóki nie znajdziemy się bezpiecznie w Grecji.

Medea złożyła przysięgę.

Wówczas Jazon rzekł: – Mam porwać złote runo Zeusa ze świątyni Prometeusza i zwrócić je dębowemu wizerunkowi boga-barana na górze Lafistion.

Otworzyła szeroko oczy i rozchyliła wargi w zdumieniu i zgrozie. Wreszcie wykrztusiła szeptem: – Żądasz tego ode mnie, córki Ajetesza i kapłanki Prometeusza?

– Tak – odparł. – I to z wyraźnego nakazu samej matki.

– Kłamiesz! – krzyknęła dziko. – Kłamiesz! – Odwróciła się i płacząc wybiegła z komnaty, bez przebrania.

Zaskoczony nie zdążył powiedzieć słowa.

Szczęśliwym trafem korytarze stały pustką, bo była to pora posiłku. Medea dotarła do swoich pokojów nie zauważona. Zostawszy sam, Jazon przeciągnął się i mruknął z zadowoleniem: – No, czy nie byłem mądry, że nic nie powiedział

i nie uczynił najmniejszego ruchu, aby jej przeszkodzić w ucieczce? Mężczyzna nigdy nie powinien

gonić za kobietą, która go kocha; tak jak rybak byłby durniem, rzucając się do wody za rybą złapaną na haczyk. Nasza błyszcząca rybka nie zdoła odpłynąć dalej niż na długość mojej żyłki, a ta na pewno nie pęknie.

Tegoż wieczora ujrzał z okna Medeę, jak stojąc wyprostowana na lśniącym rydwanie, gnała muły co tchu ulicami Ai i dalej, przez Wschodnią Bramę, w stronę świątyni piekielnej Brimo. Lejce owięzała sobie wokół pasa, by swobodnie władać ciężkim biczem trzymanym w dłoni. U jej boku przycupnęła młoda kapłanka, a za pojazdem, trzymając się jego krawędzi, biegły cztery inne w jasnych sukniach podkasanych do kolan. Medea przynagliła zwierzęta wściekłymi okrzykami i ludzie, odwracając oczy, cofali się z drogi, by uniknąć stratowania. Gdy Jazon gapił się zachwycony, z topoli rosnącej w pobliżu okna wrzasnęła na niego wrona.

Zapytał Mopsosa, który był w pokoju, co powiedziała.

– Wrony – odrzekł Mopsos – interesują się tylko dwiema rzeczami: pogodą i miłością. Ta mówiła o miłości; zapewniała, że wszystko w porządku.

## **ZDOBYCIE RUNA**

Na drugi dzień po śniadaniu Jazon zaprosił króla Ajetesa do swych komnat, a gdy tamten przybył, okazał mu głęboką wdzięczność i poszanowanie. Pochwalił

nawet decyzję króla, aby poświęcić szczęście córki dla dobra Kolchidy.

– Niestety, wasza dostojność – rzekł – monarszy diadem to okrutne nakrycie głowy dla wielu kochających ojców!

– Czemuż by moja córka Medea nie miała być szczęśliwa? – odparł Ajetes, marszcząc brwi. – A czyż jej nie wolno swobodnie przyjąć lub odrzucić każdego zalotnika, jakiego zaproponuję? Albania to bogaty kraj; ten starzec zaś niebawem umrze, pozwalając jej rządzić wedle woli; będzie jej przecież przysługiwać tytuł

matki synów, którzy po nim obejmą tron, przy czym w Albanii właśnie matka króla sprawuje najwyższą władzę.



– Wybacz mi, proszę – powiedział Jazon. – Nie wiedziałem, że to mariaż z własnego wyboru Medei, ani nie znałem obyczajów kaukaskich. Jednak co do mnie, wolałbym być najlichszym z twoich poddanych niż wyłącznym suwerenem którejkolwiek z okolicznych krain, gdyby mi ofiarowano wybór.

Gdy się wreszcie nazachwycił do syta pięknem i żyznością Kolchidy, gdzie wszelakie pożyteczne uprawy rosną bez siewu ani orki, gdy już powinszował

Ajetesowi harmonii, jaka panuje między różnorakimi mieszkańcami kraju, Jazon nagle wydobyl rozpadający się ze zgnilizny szkielet Fryksosa, który Autolikos wykradł z końskiej skóry zawieszanej na topoli. Ajetes rozpoznał szkielet po zębach (Fryksos bowiem był szczerbaty) i zapłakał nad nim. Kości wyglądały nader żałośnie, całe kosmate od białej i zielonej pleśni. Wtedy Jazon w obecności Ajetesa rozkazał Autolikosowi zanieść je z całą ostrożnością na *Argo* i tam schować w skrytce pod siedzeniem sternika, co miała podwójne dno. Autolikos wziął kości, lecz wcale nie na *Argo*: najpierw poszedł do komnat Neairy, gdzie ona i jej czterej bracia ze czcią oskrobali je i wyczyścili, on sam zaś zabrał się do stawów, przewiercając każdą kość szydłem i łącząc je rzemykami. Gdy z tym skończyli i turkusami ozdobili oczodoły, Autolikos zabrał ruchomy szkielet.

Odstawił go do pokojów Idessasa, które, tak jak się spodziewał, stały pustką.

Zastosowano bowiem prawie ten sam podstęp co w pałacu króla Fineusa: wszystkich Kolchów – służbę pałacową – oraz Moschów, świtę Idessasa zwabił na dziedziniec Orfeusz, skocznie przygrywając do tańca. Stali tam teraz przykuci zachwytem i ciekawością wokół pstrego namiotu, gdzie Peryklimenos-czarownik wyczyniał niezwykle sztuki. Pokazał zebrany, jak Argonauci wpływali na Morze Czarne, a prócz tego wykonał inne, jeszcze niezwyklejsze rzeczy. Połykał

obosieczny miecz i, jakby to jeszcze było nie dość cudowne, długi oszczep z szeroką głowicą, ostrzem w dół; niebawem oba wyciągnął sobie z tyłu. Potem wpuścił drewnianą kaczkę do miski z czystą wodą, wymówił zaklęcie i woda tak się wzburzyła, że kaczkę wyrzuciło z miski; właśnie gdy zamierzał ją podnieść, strzepnęła pióra i z kwakaniem odfrunęła.

Na ukradkowy znak Autolikosa Peryklimenos skończył wreszcie popis i świta Idessasa opieszale wróciła do zwykłych zajęć; wchodząc jednak do komnaty, ujrzeli, jak im się zdawało, swego księcia leżącego twarzą do ściany wśród kołder na łożu, z głową owiazaną w wełnianą szlafmycę. Nie śmieli się doń odezwać, siedli tylko na podłodze, oczekując ze skruchą, aż się zbudzi. Zaskoczyło ich i zdumiało nagle przybycie Idessasa we własnej osobie, który nie zwrócił uwagi na ich nerwowe pozdrowienia, tylko podchodząc do łoża ze czcią pokłonili się przed nim, jakby świadom, co się tam znajduje. Odrzucił kołdry i oto leżał przed nimi połyskujący biały szkielet herosa, ściśle jak obiecała wyrocznia. W jednej dłoni trzymał ogon tygrysa, co według Moschów przynosi szczęście, w drugiej zaś kostur samego Idessasa, jak gdyby wybierał się w drogę do Moschii.

Idessas wypytał dokładnie czwórkę sług: co wiedzą w tej sprawie? Pierwszy odrzekł, szcękając zębami ze strachu, że żaden z nich nie oddalał się ani na mgnienie oka; drugi zdobył się na odwagę, by oświadczyć, że szkielet wszedł tu sam bez pukania; trzeci dodał, że szkielet, odwinawszy z czaszki ogon tygrysi, założył zamiast niego szlafmycę – po czym ujął kostur, dziewięciokrotnie stuknął

w podłogę i wlażł do łoża; czwarty wreszcie opowiedział, że i on, i jego kamraci, zdjęci grozą wobec tak niebywałego wydarzenia, przycupnęli cicho wokół łoża, z szacunkiem strzegąc intruza, póki nie pojawi się Idessas. Moschowie mianowicie przewyższają w łgarstwie nawet Kreteńczyków.

Idessas nie posiadał się z radości. W nagrodę za ich dyskretne zachowanie podarował każdemu znakomity chalibejski nóż myśliwski z trzonkiem z kości słoniowej i nakazał im święte milczenie. Potem ułożył szkielet w postawie skurczonej, zamknął go w skrzyni z cyprysowego drzewa i natychmiast poszedł

pożegnać Ajetesa. Ostrzegła go wyrocznia, aby długo nie zwlekał.

Wkrótce potem Jazon dostrzegł z murów miasta, jak poselstwo Moschów, dosiadłszy mułów, skierowało się na wschód drogą wzdłuż wybrzeża Fazis. Ciężki kamień spadł mu z serca. Było jasne, że Medea udzieliła Idessasowi wyrocznych wskazówek, o których wspominała; i że nie tylko kości Fryksosa zdążyły teraz na uroczysty pogrzeb z całym rytuałem, lecz, co ważniejsze, ona zaangażowała się w grube oszukaństwo wobec ojca – bo Ajetes pragnął, aby kości zostały pochowane w Grecji, nie w kraju Moschów. Jazon był przeświadczony, że im bliższy jest dzień spotkania Medei ze Styrusem, tym bardziej nagląca stanie się dla niej pokusa, by związać swoje losy z nim, nawet gdyby musiała w tym celu ograbić Prometeusza z runa.

Jednak przez następne trzy dni Medea nie dała znaku życia. Odmówiła posłuchania synom Fryksosa, a nawet Nejairze, ją bowiem przede wszystkim obwiniała za obrót, jaki przybrały wydarzenia.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia Jazon spacerował po ogrodach pałacowych, gdy usłyszał nad głową syk i spojrzawszy w górę, dostrzegł wśród liści wijący się łeb i szyję. Nie był to wąż, jak mu się zdawało, tylko pstrokaty krętogłów, czyli poświerka śnieguła, złapana w sidła ptasznika. Raptem przypomniał sobie o niezawodnym uroku miłosnym, zaklęciu herosa Iksjona, jakiego się nauczył od Filiry, matki centaura Chejrona. Uwolnił ptaka z sideł i ukrytego w sakwie wraz z liśćmi rośliny iksjas, którą, jak tego oczekiwał, znalazł rosnącą nie opodal, zabrał

z sobą do pałacu. Tu postarał się o kolchidzkie krzesiwo w kształcie jarzenicy oraz kawałek wierzbowego próchna i zaniósł to do swoich komnat. Też nocy wystrugał z próchna laleczkę i przemawiał do niej jako do Medei miękkimi słowami miłości, owiązując jej biodra fioletowym gałgankiem niby spódnicą.

Strzęp ten Autolikos odciął cichaczem od sukni samej Medei, gdy szła korytarzem na kolację.

Jazon wbił oś krzesiwa w pępek figurki, siedlisko miłości w kobiecie; następnie smarując dziób i pazurki krętogłowa rozartymi liśćmi rośliny iksjas, rozpiął go na czterech ramionach jarzenicy. Zakręcił krzesiwem i nadając mu coraz większy rozpęd, mamrotał:

*Leć, ptaszyno, abys mi*

*Dziewczę zwiódła do mych drzwi.*

Wirujące koło wprowadziło oś w ruch tak szybki, że figurka Medei niebawem stanęła w płomieniach; a

Jazon dmuchał na nią delikatnie, póki nie obróciła się w miąłki popiół. Wówczas uwolnił oszołomionego krętogłowa, podziękował mu, dał podziobać jęczmienia i postawił na parapecie okna. Po chwili ptak odleciał.

Czwartej nocy na południo-wschodzie za rzeką Fazis pojawiła się o północy odległa blada łuna: pochodziła od wielkiej sobótki z kłód sosnowych roznieconej przez Idessasa na znak, że szczęśliwie powrócił wraz ze szkieletem. Teraz Jazon mógł wreszcie wziąć się do zdobywania runa. Za pośrednictwem Nejairy zwrócił

się do Medei:

„Najcudniejsza z kobiet, serdecznie ci dziękuję za pobożny uczynek w sprawie kości; niechaj Ptasiogłowa Matka wynagrodzi cię szczęściem. Ale niestety, jeśli nie jesteś w stanie dopomóc mi w drugiej sprawie, o której mówiłem, nie ma rady, muszę cię pożegnać na zawsze. Odpłynę najpewniej za jakieś dwa dni o zmroku z pustymi rękami, unosząc w piersi zbolełe serce, którego cierpienie nigdy nie zdoła ukoić miłość innej kobiety. Wspomnij mnie, nieszczęsnego, w poranek twych zaślubin”.

Nejaira bała się odwiedzić Medeę, bo ostatnim razem przyjaciółka z okropnym grymasem na twarzy przegnała ją z pokoju; bracia jednak namówili ją do pójścia.

Zastała Medeę uśpioną. Zerwała się z krzykiem ze strasznych snów i po chwili ze wstrętem dostała mdłości. Zarzuciła ramiona na szyję Nejairy, tuląc się do niej mocno, i zawołała:

– Nie, nie, nie mogę! To nie do zniesienia!

Nejaira odparła łagodnie: – Najdroższa, nie możesz walczyć przeciw Losowi, bo Losem jest sama Matka. Los wiąże cię z Efirą i Jazonem, nie z Albanią ani Styrusem. Chodź, weź swój węzowy pas i rzuć go w powietrze na wróżbę.

Medea zrobiła, jak jej powiedziano. Złoty wąż spadł wyciągnięty prosto, z drogocennym łebkiem skierowanym na wschód.

Nejaira krzyknęła z radości. – No, w której stronie leży Efira, a w której góry albańskie? – spytała. I słowo w słowo powtórzyła posłanie Jazona, po czym rzekła:

– Idessas dowiózł bezpiecznie kości ojca do swego miasta pośród gór Moschii.

Niebawem biedny duch zazna wreszcie spoczynku, a ja będę po wieczne czasy wdzięczna Jazonowi. Ale całym sercem współczuję mu w jego opuszczeniu.

Czemu jesteś dlań taka okrutna, siostrze? Ach, gdybym to ja mogła jakoś zapewnić pokój Dawcy Pokoju!

Medea odparła, lejąc rześiste łzy: – Kocham go, kocham namiętnością nie do zniesienia. Nie potrafię wyrwać z duszy jego wizerunku. Ból, który cierpię, pulsuje pod mostkiem w okolicy pępka i przewierca mnie ukosem aż do karku, jak gdyby bożek miłości przeszył mnie strzałą na wylot. Jakże jednak mam sprzeciwić się ojcu, któremu winnam posłuszeństwo? Czeką go zguba, jeśli mnie tu nie

będzie, gdy król Styryus przyjedzie pojąc mnie za żonę.

Nie mogłam dzisiaj spać. Wstałam i ubrałam się dobrze po północy, już nawet psy przestały szczekać i żaden dźwięk nie dochodził z miasta prócz głosów straży okrzykującej godziny. Chciałam iść i pomówić z Jazonem. Kiedy jednak ostrożnie otwierałam drzwi do przedsionka, gdzie spało dwanaście moich służebnic, i już miałam wymknąć się na korytarz, wymijając ich posłania, wstyd mnie zawrócił.

Trzykroć powtórzyło się to samo, aż wreszcie w desperacji podeszłam do szafki z lekarstwami, sięgnęłam po szkatułkę pełną trucizny i z wolna, jedną po drugiej, rozpięłam klamry. Nagle pomyślałam: „Jeśli się zabiję, nigdy już żywymi oczyma nie popatrzę na Jazona, a on poślubi inną. Mnie też w gruncie rzeczy samobójstwo nie przyniesie korzyści, bo wszystkie miasta wzdłuż i wszerz obiegnie wieść o mojej niesławie. Niewiasty kolchidzkie będą spluwać, gdy kto bodaj wspomni moje imię, i mówić: Zakochała się w żółtowołosym cudzoziemcu i zginęła jak głupia, hańbiąc dom i ojca”. Drżąc z bojaźni odłożyłam szkatułkę. Siadłam na stołeczku obok łoża, wsparłszy policzek na dłoni, i czekałam piania kogutów ufna, że dzień zapewne okaże mi więcej przychylności niż noc; lecz była to płonna nadzieja. O Nejairo, cóż mam robić? Moje myśli ścigają się wzajem coraz szybciej i szybciej w kręgu bez wyjścia. Przełam krąg dobrym słowem, najdroższa przyjaciółko, inaczej oszaleję w tej pogoni. Powiedz mi, co mam zrobić. Usłucham, cokolwiek doradzisz.

– Idź do niego – odrzekła Nejaira. – Ten poryw miłosny pochodzi od Ptasiogłowej Matki i nie można go lekko odrzucać.

Nie wiedziała jednak o warunku, jaki Jazon postawił Medei, zanim wzięłby ją z sobą, a którego Medea nie chciała wyjawić; inaczej pewno nie należałoby tak gorąco na jej ucieczkę z Jazonem. Nejaira od najwcześniejszego dzieciństwa żywiła cześć dla Prometeusza i wzdragałaby się przed ograbieniem go ze złotego łupu.

Tak to Medea podjęła decyzję, a skoro raz wstąpiła na nową ścieżkę, nie zeszła z niej już ani się nie zawahała. Powiedziała teraz Nejairze: – Zawiadam Jazona, że uczynię wszystko, czego sobie życzy, ale tylko w imię Matki, oraz że odtąd wyłącznie jemu, a nie ojcu winnam posłuszeństwo, dopóki nie zechce działać na szkodę Matki; i że nigdy go nie zawiodę, wierzę bowiem, iż on mnie nigdy nie zawiedzie.

Po czym dała jej dla Jazona maść, którą miał natrzeć ciało po trzykrotnej kąpieli w bieżącej wodzie; objaśniła jej również, gdzie powinien się stawić o północy.

Rankiem forpoczty króla Styryusa, rzucające się w oczy dzięki podłużnym tarczom oraz kołpakom z tygryziej skóry, zapukały do Wschodniej Bramy miasta i zażądały prawa wstępu dla swego pana, co nadciągnął niebawem wśród zgiełku cymbałów, przy dźwiękach rogów, niesiony w lektyce przez siwe muły. Styryus był

dobrotliwym starcem o rzadkiej brodzie i wesołych oczkach. I on, i jego dworzanie cuchnęli zgniłymi rybami – bo Albańczycy zakopują ryby na dłuższy czas, nim je zjedzą – oraz czosnkiem, który spożywają w niesłychanych ilościach jako środek przeciw chorobie górskiej. Ajetes poufnie oświadczył członkom swej Rady:

– Wykadzę pałac siarką, jak się skończą uroczystości ślubne. Póki co, znoście, błagam, ten zaduch z iście kolchidzkim męstwem!

Medeę przedstawiono Styrusowi, który był z początku zaskoczony i stropiony kolorem jej włosów, ale mimo to poprosił ją o rękę. Ani go odrzuciła, ani przyjęła, oględna w obietnicach, zwodziła go tylko, mówiąc ulegle:

– O panie, gdy już znajdę się na waszym dworze, ufarbuję włosy inkaustem z ośmiornicy czy jakimś bądź innym barwnikiem. Na razie jednak nie rańcie przyganą religijnych uczuć Kolchów, dla których ten kolor stanowi szczęśliwe przypomnienie miodu i złota.

Ponieważ orszak Styrusa był większy, niż przewidywano, kilku starszych jego członków, kapłanów albańskiego boga słońca, zakwaterowano w wewnętrznym przedsionku, gdzie stały byki z brązu; co ułatwiło plany Medei. Gdy tej nocy, zamknąwszy drzwi, wszyscy legli na posłaniach zmorzeni środkiem usypiającym, Jazon i Autolikos zakradli się do przedsionka przez okno w galerii muzycznej.

Autolikos odprawił długie zaklęcie ochronne, którego wyuczyła go Medea, po czym podszedł śmiało do byków i okastrował je po kolei szybkimi ciosami młotka i dłuta. Pierwotnie przeznaczono to straszne zadanie Argosowi, lecz jako członek bractwa byków wzdragał się przed nim z racji skrupułów religijnych. Autolikos należał do wspólnoty wilków i szczerząc zęby robił, co mu kazano. Znakomicie się nadawał do tego zadania, był bowiem kiedyś wilkołakiem. Brał udział

w urządzanym co osiem lat festynie wilków, kiedy wnętrzości chłopca miesza się z wilczymi na uroczystą ucztę nad sadzawką; mąż, który spożyje wnętrzości chłopca, wiesza odzież na dębie, przepływa sadzawkę i do następnego festynu pędzi życie wśród wilczej gromady. Tak też wypadło uczynić Autolikosowi.

Jazon rozwiązał tobolek, jaki z sobą przynieśli, zawierający podwójne jarzmo, postronki i drewniany pług. Zaprzągnął byki do pługa, mówiąc: – Oto jesteście wołami. – Ich oczy z drogich kamieni wydawały się płonąć czerwienią gniewu w blasku pochodni Jazona, były jednak bezsilne wobec niego oraz wobec Autolikosa, a oni niebawem wymknęli się z powrotem przez okno galerii. Tak więc sen, jaki Ajetes nierozważnie wyjawiał Medei, nim opowiedział go Słońcu, sprawdził się po części; ale historia ze spadającą gwiazdą oraz krzyczącym w męce Prometeuszem nadal czekała spełnienia.

Medea, ubrana ku czci Prometeusza w przepisowy wieniec wierzbowy, czekała na Jazona w gąszczu nie opodal świątyni herosa. Świecił księżyc na młodziku, chwilami przesłaniany chmurami pędzącymi ze wschodu. Duszę Medei ogarnął już spokój, tylko niekiedy wstrząsał nią mimowolny dreszcz, niby wielka fala, co miota okrętem, choć sztorm już ucichł. Złożyła Brimo nienazwane ofiary, a bogini zesłała jej znaki pomyślne.

Wkrótce usłyszała Jazona skradającego się ścieżką. Serce jej głośno zabiło, gdy pytała szeptem:

– Czyn spełniony? Wszystko w porządku?

– Spełniony – odrzekł. – Dobrze poszło. Pozwól się pocałować, moja złotowłosa miłości, i użyć

sobie nieco odwagi przed twoim straszliwym czynem.

Gdy ją całował, krew zdała się ogniem płynąć w jej żyłach, a serceomal nie wyskoczyło z piersi. Kolanom brakło siły, by się cofnąć, i ciemna mgła przesłoniła wzrok; odepchnęła go jednak, wołając słabo:

– Dość na razie, ukochany! Twoje pocałunki palą jak szerszenie. O, czemuż się urodziłam córką królewską!

Dała mu babską kieczkę i szal do przebrania i wetknęła w rękę koszyk zawierający czarnego koguta, woreczek jęczmienia oraz kamienny nóż.

– Przygarb się porządnie – ostrzegła – żeby okryć wzrost, idź chwiejnymi kroczkami, owiń podbródek szalem i zachowuj się jak moja służebna. Jeśli się kto zwróci do ciebie, połóż palec na ustach i potrząśnij głową.

Usłuchał jej i tym razem nie zrobił nic nierozsądnego, pomny, jak marnie grał

rolę sługi Argosa wśród Lapitów.

Poszli razem starannie utrzymaną aleją czarnych cyprysów aż do bramy świątynnej.

Stali tam dwaj wartownicy z bojowymi toporami, w maskach byków i płaszczach z czarnej byczej skóry z dyndającymi ogonami. Medea położyła palec na wargach i strażę przepuściły ich oboje, oddawszy im honory. Medea przeszła przez dziedziniec, nie patrząc w prawo ani w lewo, a Jazon za nią, o trzy kroki, aż dotarli do małych, brązowych drzwi wewnętrznego przybytku. Otworzyła je kluczem z brązu i wkroczyli do wybrukowanego labiryntu, którego ściany stanowiły wysokie cisy posadzone zwarto obok siebie i oplecione prętami z brązu. Medea wiodła Jazona to tędy, to owędy, nucąc łagodnie, gdy tak snuli się po zakrętach. Co chwilę przystawała, milkła i znów zaczynała nucić.

Niebawem Jazon usłyszał dziwny jakby szelest czy szuranie. Medea szepnęła cichutko:

– Wąż wypelza ze świątyni. Zajmuje teraz swoje miejsce na drzewie. Powiodła Jazona do środka labiryntu brukowanego spiralnie w kształt równobocznego trójkąta, a gdy weszli, jasny księżyc wychynął spoza zwału chmur. W najdalszym rogu, za okrągłą, białą świątynką, gdzie spoczywała święta szczeka i pępowina, rósł stary cyprys.

Jazon gwałtownie zaczerpnął tchu. Dotarł wreszcie do celu podróży, ale byłby chętnie oddał pięć lat życia, żeby się znowu znaleźć bezpiecznie na Lemnos z dorodną Hypsipyle, grając z nią w kości o pocałunek pod malowanym baldachimem łoża, gdy poranne ptaki śpiewają słodko w krzewach różanych za oknem. Przed nim, przywiązane na drzewie, pod lekkim daszkiem z deszczulek, świeciło złote runo, wiszące głową na dół niby na pośmiewisko z boga-barana; a wokół po konarach i gałęziach wił się wąż Prometeusz. Z wolna kołysał na boki tępym łbem, gdy Medea śpiewała mu po grecku, i wysuwał rozwidlony język.

Jazon na oko ocenił, że jest czterokrotnie dłuższy od dorosłego człowieka, a gruby jak męskie udo.

Medea wyjęła koszyk z drżących rąk Jazona i otworzyła wieko. Wyciągnęła koguta, odsłoniła mu łeppek, rozwiązała nogi, postawiła go na ziemi i nasypała ziarna do dzbana.

Potem zwróciła się do węża, śpiewając niskim pieszczotliwym głosem: *Prometeuszu, przyjm ten dar,*

*Czarnego ci koguta niosę,*

*To od Medei twojej dar,*

*Medei jasnowłosej.*

*Zjedz go na zdrowie jej i śpij,*

*Aż ranek przerwie twoje sny.*

Wielki wąż w całej okazałości spełznął z cyprysu i z szelestem sunął ku nim, ale zaniepokojony zapachem Jazona wydał nagły syk; wszystkie bowiem dzikie stworzenia drażni gorzka woń wystraszonego mężczyzny. Medea ułagodziła go kojącymi słowami, jak matka poskramia niesforne dziecko, i zmusiła do posłuszeństwa. Głos jej uspokoił również Jazona; odór jego osłabł i nie gniewał już węża.

Prometeusz spostrzegł koguta i wyprężył się do uderzenia. Kogut przeczuł

groźną zgubę. Przestał dziobać jęczmień, grzebień mu oklapł, zadygotał cały. Wąż cofnął łeb i nagle wyrzucił go naprzód jak ciśnięty oszczep.

– Zamknij oczy – rozkazała Medea. – Żaden mąż nie śmie oglądać ucztującego Prometeusza.

Jazon zamknął oczy. Gdy mu je polecono otworzyć, wąż połknął już koguta –

w całości, z pierzem, nogami i dziobem. Medea wyciągnęła rękę za siebie, szukając dłoni Jazona. Przycisnęła ją do warg, ale żadne nie wyrzekło słowa.

Niebawem wąż powoli umieścił się z powrotem na drzewie. Medea wciąż śpiewała. Jazon zauważył, że wąż kołysze się ospale, wyraźnie gubi takt. Łeb mu opadał coraz niżej: pierze koguta mianowicie zostało skropione odurzającym sokiem wysokiego, o barwie szafranu podwójnego krokusa kaukaskiego, który ma korzeń czerwony niby świeżo rozkrojone mięso, a znamy go dzisiaj jako kwiat Prometeusza. Medea obciąła korzeń podczas pełni i wycisnęła z niego sok do trójskrętnej kaukaskiej muszli.

Teraz dobyła z zanadru gałązkę jałowca i z wolna zakreśliła nią przed oczyma węża świętą cyfrę osiem. Wkrótce poddał się oszołomieniu, dreszcz przebiegł

olbrzymie ciało. Jego sploty rozprężyły się i zwiśł z gałęzi z dyndającym bezwładnie łbem jak nieżywy, obok opuszczonej głowy runa.

– O Jazonie ukochany – rzekła Medea, śmiejąc się i płacząc. – Idź teraz po swoją nagrodę. Masz tu nóż.

Jazon wspiał się na cyprys pomiędzy potężne zwoje uspiętego węża, w dotyku zimne jak śmierć. Przeciął rzemienie, którymi uwiązano do drzewa obie tylne i obie przednie nogi runa; ujął je za ogon i zaczął złazić na dół. Krzywił się mimo woli, jakby wychylił róg kwaśnego wina, gdy jednak znów stanął na bruku, chwała własnego czynu ogrzała mu wnętrzności i zarumieniła policzki.

Runo było nadzwyczaj ciężkie z powodu wielkich, zakręconych rogów i złotych frędzli. Jazon owinał się nim pod kitlem. Potem Medea znów podała mu koszyk i ruszył za nią przez labirynt.

Powtórnie przeszli dziedziniec boga wojny, nie spoglądając w prawo ani w lewo. Warta o głowach byków otworzyła przed nimi bramę, oddając im honory.

Bezpiecznie wędrowali cyprysową aleją ku miastu, Medea na przedzie, oboje milczący. Jazon pragnął biec, lecz Medea stąpała powoli i w zamyśleniu.

## UCIECZKA Z AI

Gdy z daleka znów dojrzeli Aję, Jazon wydał ustalony poprzednio okrzyk, posępny ryk magnezyjskiego lamparta, co pobudziło do szczekania wszystkie psy w mieście. Dla synów Fryksosa był to sygnał do rozpoczęcia krwawej zwady, pod której osłoną *Argo* mogłaby odpłynąć bez przeszkód. Ruszyli pędem przez pałac, każdy w innym skrzydle, wrzeszcząc równocześnie, aż echo rozlegało się po wszystkich korytarzach:

– O zbrodniarze! Ooo! Weźcie pomstę na świętokradczych łajdakach!

Ajetes wyskoczył ze swego wysokiego łoża, na pół ubrany i półprzytomny, zapytać, co się dzieje, a Frontis podbiegł ku niemu i oświadczył:

– Niestety, wasza dostojność! Obmierzły Albańczyk, twój przyszły zięć, zbeczcęcił pałac. Okastrował i na urągowisko zaprzął w podwójne jarzmo święte byki twoich sprzymierzeńców Taurów. Czyż nie należało się tego spodziewać po plugawym dzikusie, dla którego byk stanowi symbol wszelkiego zła?

Więści o świętokradztwie jak ogień szerzyły się po pałacu i kamiennooka matka Medei, Tauryjka Idyja, pospiesznie wysłała swego syna Absyrtosa, by ściągnął bractwo byków ze świątyni boga wojny. Po chwili nadbiegli rojno aleją, Idyja osobiście otworzyła im Północną Bramę. Bez słowa pognali do pałacu, potrząsając toporami, tak aby grzechotki wirujące na długich linkach wydawały straszliwy dźwięk. A potem zawrzała bitwa Taurów z Albańczykami, zaś Ajetes próżno usiłował ich rozdzielić. Taurowie po chwili wyłamali toporami okute drzwi do wewnętrznego przedsionka: na widok okaleczonych i znieważonych bóstw ogarnęła ich niewypowiedziana żądza zemsty. Topory wznosiły się i opadały niczym cepy, dopóki syn Styrysa, uderzając na nich z galerii ze swymi albańskimi oszczepnikami, nie dał im krwawego odporu.

Podczas gdy fala bitwy napływała i cofała się, a trupy piętrzyły się stosami w odrzwiach i



korytarzach, Argonauci pod wodzą Długiego Ankajosa wysliznęli się cichaczem przez nie strzeżoną bramę, którą wtargnęli Taurowie, szerokim łukiem obeszli miasto i dotarli do rzeki, nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi.

Argos i Nauplios przycumowali *Argo* w wąskim zaledwie w cieniu topolowego zagajnika. W tym właśnie miejscu o jedno pokolenie wstecz wylądował Fryksos, wioząc Ajetesowi skradzione runo. Kiedy Ankajos i jego grupa dopiegli do okrętu, Jazon z Medeą znajdowali się już na pokładzie i wszystko stało w pogotowiu do dojazdu. Spiesznie zajęli miejsca, potrącając się w ciemnościach, bo księżyc przesłaniały chmury podobnie jak liście topoli; po czym paru, chwyciwszy drągi, zaczęło spychać okręt. Ale Linkeus liczący głowy nagle zawołał szeptem:

– Stać! Brakuje ludzi. Pamiętajcie o naszej umowie, Argonauci! Nie możemy odplłynąć i zostawić towarzyszy.

– Kogo właściwie brak? – rzucił niecierpliwie Jazon. I burknął: – Nic nie mogę rozróżnić w tych ciemnościach, Linkeusie, ani nie wierzę, żebyś ty potrafił.

– Kto dzieli ławę z Melampusem, synem Aresa? – spytał Linkeus.

– Bootes Ateńczyk – szepnął Melampus. – Masz rację, Linkeusie. Dotychczas się nie zjawił.

– Bootes! Bootes, gdzie jesteś? – zawołał Jazon.

– Pst! – odezwali się wszyscy. – Nie tak głośno!

– Bootes! Bootes! – Jazon znów krzyknął ostrym, gniewnym tonem. Nie było odpowiedzi. – Ojej, czy nikt nie wie, gdzie on jest? – zapytał prawie z płaczem.

Faleros Ateńczyk odrzekł: – Niestety, szlachetny Jazonie, chyba z godzinę temu, a może nawet mniej (niedługo przedtem, w każdym razie nim Frontis podniósł alarm w pałacu), spotkałem swego rodaka Bootesa na korytarzu. „Popatrz, Falerosie – powiedział. – Nie mógłbym opuścić Ai bez skosztowania kolchidzkiego miodu górskiego, który Autolikos i jego bracia uważają za trujący. Mam tu słodziutki plaster przyniesiony dziś rano z wysokiego lasu azaliowego. Powąchaj: pachnie rozkosznie. Spróbuj troszkę, drogi Falerosie, co i ja zamierzam uczynić.

Dowiedźmy obaj, że te wilczyska tesalskie to łatwowierni głupcy. Ale ja odparłem:

„Nie, nie, Bootesie! Niech kłopot mnie szuka, ja za nim nie będę gonił”. Wtedy Bootes przytknął do ust plaster miodu, wpierw go polizał, a potem odgryzł wielki kawał. „Jest gorzki – rzekł – ale orzeźwiający. Widzisz, nie puchnę gwałtownie i nie umieram! Spróbuj też, błagam cię, Falerosie!” Ale powtórnie odmówiłem, nie chciałem nawet kropelki. Odwróciłem się, zostawiając go, by sam skończył plaster.

Od tej chwili nie widziałem go ani nie słyszałem o nim.

Jazon rzekł: – Kiedy bóg Apollo pojmie powagę sytuacji, bez wątpienia zwolni nas z obowiązku wzajemnej pomocy, cośmy przyrzekli, klnąc się na jego imię.

Jeśli bowiem wyślemy grupę, by ocalić Bootesa, który z pewnością skonał już otruty, żaden z jej członków nie może oczekiwać bezpiecznego powrotu; a jeśli braknie zbyt wielu wioślarzy, reszta załogi nie zdoła uciec. Czyż głupie zarozumiałstwo Bootesa ma skazywać na śmierć jego towarzyszy, jak skazało jego samego! Ja twierdzę, że nie! Odcumować, Argonauci! Niech Bootes, skoro się tak zna na pszczołach, o własnych siłach umyka z gniewnego ula Ai, skąd jużesmy się odważyli zrabować zarówno złoty miód, którym jest runo, jak młodą królową pszczoł, Medeę.

Kilku Argonautów, choć w mniejszości, przyklasnęło tej ostrożnej mowie. Inni z oburzeniem ją odrzucili – nie tylko Ateńczycy, lecz także Ifitos, Mopsos i Admetos, gorliwi czciciele Apollina; nie śmieli bowiem złamać przysięgi składanej na jego imię.

Augiasz z Elidy rzekł: – Prawem Apollina jest: „Bez przesady”; uradujmy łuczника nie przesadzając z lojalnością, jaką winniśmy głupcowi.

Oburzona tymi słowami Atalanta zeskoczyła na brzeg i spytała:

– Który człowiek honoru odważy się wrócić ze mną do Ai? Jeśli nawet Jazon i Augiasz to tchórze, czy wszyscy mamy zostawić Bootesa temuż okrutnemu losowi, od jakiego kazano nam wybawić Fryksosa? Porzucić go na pogrzeb kolchidzki?

Meleager odpowiedział na jej wyzwanie, za nim Ifitos i Faleros, i Mopsos, i Admetos, Argos jednak nie (bo był kulawy); a gdy Mały Ankajos spostrzegł, że reszta zwleka, zgłosił się na siódmego. Lecz Atalanta zapytała:

– Czy nie pójdzie nikt z tych, co mówią po kolchidzku? Melanion, syn Fryksosa, odparł: Ja pójdę. Mogę przemknąć wśród Kolchów nie zauważony, bo mam włosy i cerę ciemniejszą niż moi bracia. Poza tym jestem daleko mężniejszy od nich.

Atalanta pochwaliła Melaniona i już wyruszali w ósemkę, gdy Jazon zawołał

ich z powrotem. Oświadczył Atalancie, że pozbawia okręt zbyt wielu wioślarzy: powinna spośród siedmiu mężczyzn zostawić przynajmniej pięciu. Wobec tego wybrała sobie na towarzyszy Ifitosa i Melaniona. Ale Meleager i Faleros mimo to ruszyli za nią w ciemność.

Pozostali Argonauci czekali na ławkach w przedłużającym się podnieceniu.

Każdy modlił się głośno do ulubionego boga czy bogini, błagając o pomoc i obiecując wielkie ofiary oraz dary wotywnie. Wreszcie Jazon odrzekł:

– Towarzysze, przygotujcie broń, by osłaniać odwrót Atalanty i jej grupy.

Mopsosie, miej na podorędziu bandażę i maści dla rannych. Linkeusie, idź, stań na czatach na tamtym pagórku, co go zowią Grzbietem Barana.

Sam jednak został na okręcie, aby pocieszać Medeę, którą wstrząsały łkania tak, że nie mogła wymówić słowa.

Tymczasem, ponieważ strażnicy pałacowi nienawidzili jednakowo Taurów i Albańczyków, nie dali się namówić do interwencji i powstrzymania tamtych od wzajemnych rzezi, tylko ze śmiechem stali na uboczu, Ajetes pchnął gońca do Jazona, żądając natychmiastowej pomocy. Poseł po chwili wrócił z wieścią, że Jazona nie można znaleźć w skrzydle, gdzie kwaterowali Argonauci, i że w ogóle nie ma nigdzie żadnego Greka oprócz Króla Pszczół (tak bowiem nazwał Bootesa), którego znalazł leżącego bez zmysłów na korytarzu. Ajetes od razu połapał się, co zaszło: okaleczenie byków było greckim posunięciem strategicznym po to, by Albańczycy i Taurowie wzięli się za łby, a jego własni wnukowie, co teraz także gdzieś przepadli, to wspólnicy Jazona.

Ajetes działał szybko. Wysłał dowódcę swojej gwardii z setką ludzi na przystań królewską, aby zajęli *Argo*, jeśli jest tam jeszcze, a sam pobiegł do szwagra, tauryjskiego księcia Persesa, błagać, by odwołał kapłanów o głowach byków.

Z wielkim trudem przekonał Persesa, że Albańczycy nie popełnili świętokradztwa, a winowajcami są Grecy. Potem, z jeszcze większym trudem, obaj z Persesem namówili króla Styrusa, by odwołał Albańczyków, którzy zaczęli brać górę nad Taurami. Stopniowo walka cichła i w pałacu przywracano porządek. Rannych pozbierano i pokładzono na sofach, gdzie towarzysze zaczęli ich opatrywać, jak się dało. Ajetes usiłował ułagodzić Styrusa, mówiąc:

– Poczekaj, krewniaku, zobaczysz, jaką nadzwyczajną lekarką jest moja córka Medea. W ciągu godziny wykuruje najgłębsze beznadziejne rany tak, że ledwie wąska szrama będzie o nich przypominać.

Dopiero gdy to powiedział, owładnęło nim okropne podejrzenie. Co się dzieje z Medeą? Gdzie była przez cały czas? Czy to możliwe, by ją także wciągnięto do spisku? Czy ona wymyśliła ten świętokradczy fortel w nadziei, że Taurowie pomszczą swego boga na albańskim królu i obmierźłe małżeństwo nie dojdzie do skutku?

Pobiegł na jej pokoje i rozglądając się spiesznie, zauważył nieporządek, suknie rozrzucone na podłodze, otwarte skrzynie w nieładzie, jakby ktoś tu zgarniał

w popłochu tylko parę niezbędnych rzeczy.

– Więc uciekła! – wykrzyknął. – Moja córka Medea uciekła! Chyba nie z tymi bezbożnymi Grekami? Ale z kimże by innym? – Stał jak ogłuszony.

Dowódca gwardii wrócił zdyszany z meldunkiem, że *Argo* znikła z miejsca postoju. Ajetes rozkazał:

– Trzy galery wojenne przycumowały w przystani publicznej, stale w pogotowiu i z pełną obsadą na wypadek nagłej potrzeby: wyślij je natychmiast w dół rzeki w pogoń. Grek Jazon ma być zabity lub pojmany za wszelką cenę wraz z załogą i wszystkimi zdrajcami z mego własnego rodu, jacy znajdują się na pokładzie. Jeśli którykolwiek z kapitanów galer ośmieli się wrócić, nim to zadanie zostanie w pełni wykonane, najpierw odrąbię mu dłonie i stopy, a potem wsadzę go do rozpalonego brzucha tauryjskiego byka, aż ten zaryczy z rozkoszy. Idź, powiadom księcia Absyrtoza, że ma dowodzić flotyllą. Znajdziesz go u boku matki, królowej Idyi, przy Północnej Bramie.

Właśnie w tym czasie Atalanta i Melanion weszli powtórnie do miasta, nie zaczepieni przez nikogo, i bocznymi drzwiami wśliznęli się do pałacu: on z włócznią w ręku przebrany za oficera gwardii królewskiej; ona otulona tym samym szalem i chałatem, które nosił Jazon, z łukiem i oszczepem ukrytymi pod odzieżą. Nie zauważeni przebiegli korytarze i pognali na górę w skrzydle, gdzie kwaterowali Argonauci. Znaleźli tam Bootesa leżącego w omdleniu na podłodze korytarza i spletanego długim sznurem niby poczwarka czy mumia egipska.

Melanion szybko odwiązał linę i na jednym końcu zadzierzgnął ruchomą pętlę.

Potem dowlókł Bootesa do okna przebitego w murze miejskim, pod którym na dole czekali Ifitos, Meleager i Faleros; opasał go pętlą pod ramiona i spuścił na ziemię.

Kiedy jednak Ifitos uwalniał Bootesa z pętli, niefortunnie wyszarpnął Melanionowi z rąk drugi koniec liny, zamykając mu odwrót.

Meleager usiłował dorzucić linę z powrotem do okna, wysoko nad głową, a Melanion wychylał się, by ją złapać. Wtem u szczytu schodów stanął Ajetes we własnej osobie, rycząc z wściekłością, z nagim mieczem w dłoni.

– Prędeż, Melanionie! – zawołała Atalanta. – Ja ich powstrzymam. Wyślij przodem Falerosa i Ifitosa z Bootesem. Sam trzymaj się Meleagra. Ja podążę inną drogą, jeśli to konieczne.

Melanion więc, schwytawszy wreszcie ten koniec liny, gdzie była pętla, przełknął przez nią włócznię i zacisnął pętlę mniej więcej w połowie drzewca.

Potem, czepiając się liny, wylazł oknem i zjechał bezpiecznie na dół; włócznia bowiem dłuższa niż szerokość okna opierała się o mur po obu stronach, utrzymując ciężar jego ciała.

Atalanta nie pospieszyła za nimi. Zamiast tego zrzuciła przebranie, ujęła łuk i oszczep i wydając swój słynny chichotliwy okrzyk, pomknęła ku schodom. Ajetes rzucił się za nią z mieczem; w biegu przeszła mu wnętrzości, upadł z jękiem, a straż podniosła lament w popłochu i żalu.

Ona biegła jak na skrzydłach, z oczyma płonącymi szalem Artemis. Przesadziła długim susem pobojuwisko w sali na dole, przebiła się przez zmieszana gromadę Kolchów, Taurów i Albańczyków niczym obszyty skórą pęcherz, który młodzieńcy i dziewczęta dla zabawy ciskają sobie w kąpeli. Tylko jeden człowiek, albański kapłan Słońca, ośmielił się podnieść na nią rękę; uderzyła oszczepem i pobiegła, zostawiając przebitego, potem przemknęła obok straży przy głównej bramie jak szybująca jaskółka i dopędziła towarzyszy.

Gdy Perses wyruszył w pogoń na czele swoich Taurów, Meleager i Atalanta osłaniali odwrót Ifitosa i Falerosa, którzy na zmianę nieśli Bootesa, i udało im się skierować pościg w inną stronę.

Tymczasem Jazon i pozostali Argonauci usłyszeli krzyki od przystani publicznej oraz skrzyp i plusk trzech spychanych na wodę okrętów. Potem doszły ich uderzenia wiosła, ostry głos sternika nadającego rytm wiosłarzom i niebawem galery wojenne burta w burtę przemknęły pędem przez ciemny zalew, gdzie stała *Argo*, młócąc wiosłami w dół rzeki ku morzu. Gdy hałas zamarł w oddali,

strwożeni Argonauci usłyszeli inny zgiełk toczącej się bitwy, co się zbliżała od Bramy Północnej. Linkeus wykrzyknął:

– Na odsiecz, Argonauci! Widzę niedaleko Ifitosa i Falerosa, we dwójkę niosą Bootesa! Atalanta i Meleager wloką się za nimi. Atalantę strzała raniła w piętę i Meleager podtrzymuje okulałą lecz ona co chwila odwraca się, by użyć śmiertelnościanego łuku. Meleager też jest ranny, w lewe ramię, ale niegroźnie.

Na to Jazon, nie chcąc się okryć niesławą w oczach Medei, okazał więcej męstwa, niż mu kiedykolwiek przyznawali towarzysze: wyskoczył na brzeg wołając śmiałków, by szli za nim. W wynikłej potyczce padło wielu Kolchów, Taurów i Albańczyków, między innymi brat króla Styrysa, Jazonowi przebito bark oszczepem, a czaszkę łagodnego Ifitosa Fokijczyka roztrzaskał kamienny topór z rodzaju tych, jakich Taurowie używają przy składaniu ofiar. Jednak Argonauci odnieśli zwycięstwo, odparli wroga i dotrzykali mu pola. Obdarli trupy, wnieśli na okręt swoich rannych oraz Bootesa, który słabo jęczał, przyciskając brzuch rękoma.

Wreszcie bez pośpiechu zdjęli cumy z pachołków i zepchnęli *Argo* w dół zalewu ku rzece, jeden przez drugiego chełpiąc się głośno własnym bohaterstwem.

Mopsos, szperając w ciemnościach za balsamami i bandażami, zaczął

opatrywać rany Jazona, Atalanty i Meleagra; Ifitos jednak był już martwy. On jako pierwszy spośród Argonautów zginął w boju i towarzysze mieli tę przynajmniej satysfakcję, że unieśli zwłoki, by je pogrzebać. Jazon jęcząc głośno, bo go bolało, przekazał komendę Argosowi; Argos rzucił rozkaz:

– Wiosła w ruch! – Ale dodał: – W imię szarookiej, o kukułczym berle Ateny, dzięki której natchnieniu zbudowałem ten wspaniały okręt, błagam: zachowajcie zupełną ciszę, skorośmy już wreszcie wyruszyli.

I tak Argonauci odpłynęli z Ai, unosząc runo, a mimo paru rannych wszystkie ławy były obsadzone; czterej bowiem synowie Fryksosa okazali się biegłymi wioślarzami, Orfeusz zaś przejął ster od Długiego Ankajosa, który teraz nadawał

tempo, siedząc na dawnym miejscu Herkulesa.

## **Z KOLCHIDY**

Atalanta niepewna, czy zabiła króla Ajetesa, nie wspomniała nic o tym spotkaniu Medei ani nikomu innemu. Medea po jakimś czasie przestała szlochać.

Wyglądało na to, że bieg wypadków zupełnie ją oszołomił: przemawiała do Jazona słowami bez związku, chichocząc miękko, robiąc dziecinne minki i pytając co chwila: – Tyś, Jazon, prawda? Kochasz mnie, tak? – Usnąwszy na koniec, rzucała się, jęczała i mamrotała w przerażający sposób. A raz wykrzyknęła rozzwierającym głosem: – Niestety, okrutny bożku miłości! Czemu przywarłeś mi do piersi, ty błotna pijawko, i co do kropli wytoczyłeś z żył zdrową krew?

Argonauci życzyli jej serdecznie, żeby się znalazła na dnie rzeki; bali się jednak trzeciego oka i nie śmieli nic przeciw niej mówić w zasięgu uszu Jazona.

Argos zapytał Frontisa, syna Fryksosa, jak daleko jego zdaniem mogą się zapuścić w dół rzeki ścigające ich wojenne galery kolchidzkie. Frontis odparł, że zapewne dotarłszy aż do ujścia, zaczną z uporem przeszukiwać wybrzeża Morza Czarnego; i że Ajetes bez wątpienia wyśle w tym samym celu następne galery, skoro tylko zostaną zaopatrzone w załogę, sprzęt i wiosła. Argonauci wiosłowali więc w równym tempie, ani tak szparko, by doścignąć trzy galery w przodzie, ani dość wolno, by ich dosięgła możliwa pogoń. O brzasku Frontis okrzyknął

wartownika stojącego na grobli nadrzecznego osiedla.

– Hej, strażniku! – zawołał. – Czy już schwytano bezbożnych Greków?

Tamten, biorąc *Argo* za okręt kolchidzki, odparł: – Nie, panie, o ile wiem, to nie. Trzy galery, które tu witałem o szarówce, nie dostrzegły jeszcze łajdaków, więc chyba musieli minąć nas po ciemku bez użycia wiosła, pozwolewszy prądowi cicho unosić okręt.

Argos orzekł, że najroztropniej będzie żeglować nocą, a chować się w dzień.

Frontis dobrze znał rzekę i pomiędzy tą a następną osadą wskazał Argosowi wąski zalew, gdzie *Argo* mogła stanąć w ukryciu, rufą do rzeki. Ulokowali się tam, wciągając wiosła i maskując rzeźbiony ster długimi, zielonymi pnączami.

W dwie godziny później trzy galery przemknęły obok ich kryjówki, każda z białą haftowaną chorągiewką na głównym maszcie, i znikły za następnym zakrętem. Ale kapitan czwartej galery, przepływając koło *Argo*, wydał rozkaz:

– Wiosła precz! Przybijamy do prawego brzegu.

Wobec tego galerę uwiązano do drzewa nie dalej jak o strzał z łuku w dół rzeki.

Bliskość jej była dla Argonautów nieznośna, bo ich zmuszała do absolutnej ciszy.

Ale niebawem pływak Eufemos szepnął do Argosa:

– Bracie byku, budowniczy okrętów, drogi przyjacielu z Attyki, błagam, podaj mi świder ze swego schowka z narzędziami.

Argos bez słowa wręczył mu ostry świder. Eufemos rozebrał się, bezszelestnie zsunął za burtę i nurkiem dopłynął do kolchidzkiej galery. Trzymając się jedną ręką rzeźbionej rufy, w drugiej dzierżąc świder – wywiercił pięć wielkich dziur poniżej linii zanurzenia; dopiero gdy wywiercił wszystkie do równej głębokości, poprzebijał je na wylot. Potem przeciął nożem cumę galery i odpłynął tak niepostrzeżenie, jak przybył.

Gdy pracował, Kolchowie spali, nawet strażnik na oku, a nagle zbudzeni zauważyli tylko, że woda z rzeki przenika już przez pokład, sięgając im do kostek, okręt zaś z wolna tonie. Zerwali deski, by

znaleźć i zatkać dziurę, ale miotając się w przestrachu, przechylali galerę to na tę, to na tamtą stronę, tak że zamulona woda zdawała się tryskać zewsząd jednocześnie. Jeśli ją wyczerpywać, jednak zalewała ich coraz szybciej; paru wyskoczyło za burtę w nadziei, że dotrą do lądu, lecz wessał ich czarny muł przybrzeżny; inni wspięli się na okrężnicę. Jeden tylko spróbował płynąć z prądem do najbliższego skrawka twardego gruntu; Eufemos popłynął za nim, ogłuszył go pięścią i za włosy przywlókł na *Argo*. Po odznace ze skrzydlatym koniem poznali, że to kapitan galery. Reszta załogi poszła na dno z okrętem, wyjąc z przerażenia. Tylko biały haftowany proporczyk, łopocząc, sterczał ponad wodą; Eufemos zabrał go na ozdobę i zamaskowanie dla *Argo*.

Melanion spytał: – Towarzysze drodzy, cóż nam przeszkadza, skoro nieprzyjaciel utonął bez śladu, zając jego miejsce w szyku? Jeśli się będziemy stale trzymali z tyłu, nikomu nie przyjdzie do głowy nas podejrzewać, a gdy jeniec się ocknie, możemy go zmusić pod grozą śmierci, by przekazywał kapitanowi najbliższej galery, cokolwiek zechcemy włożyć mu w usta. To posunięcie strategiczne pozwoli nam śmiało mijać pozostałe osiedla, nawet w dzień, jeśli utrzymamy dystans, a skoro wreszcie wyrwiemy się z tej rzeki, możemy zachować dyskrecję co do dalszego kursu.

Argonauci przyklasnęli rozumowaniu Melaniona i Argos podjął się wykonać powzięty plan.

Gdy kapitan kolchidzki się ocknął, Melanion obiecał mu życie pod warunkiem, że wykona każdy rozkaz. Człeczyna okazał zdrowy rozsądek i wiernie słuchał

Melaniona, miał bowiem sporą gromadkę dzieci. Peukon mu było na imię. Gdy *Argo* znalazła się w zasięgu wzroku poprzedzającej galery, Peukon pozdrowił ją, jak mu Melanion kazał, i oznajmił, że czterech ludzi z jego załogi zapadło na febrę.

Tamten kapitan, nic nie podejrzewając, odkrzyknął:

– Biedny przyjacielu Peukonie, doprawdy febra? Trzymaj się tedy w bezpiecznej odległości od nas, gdy będziesz wieczorem zarzucał kotwicę, bośmy jak dotąd nie złapali zarazy, chwała imieniu Matki.

Tej nocy Eufemos zaofiarował się popłynąć i zatopić kolejno trzy pozostałe okręty. Argos jednak go powstrzymał. Dowodził, że skoro jeden okręt zacznie tonąć, tamte dwa spieszenie zawrócą, by wyłowić krzyczących rozbitków.

– Tym lepiej – odparł Eufemos. – Zamęt pozwoli mi działać bez przeszkód i będziecie mieli dobrą zabawę.

Przykłaśnięto jego odwadze, lecz Orfeusz rzekł:

– Towarzysze, nie odbierajmy życia Kolchom li tylko dla rozrywki. Zabijajmy jedynie, gdy nas do tego zmusi okrutna konieczność; bez niej lepiej dać spokój.

Ludzie utoną, ale z pewnością ich duchy będą się czepiać naszego okrętu, unoszone przez płynące patyki czy liście, i dręczyć nas nie do zniesienia.

Eufemos usłuchał Orfeusza, równie rozważny, jak mężny.

Jazon znów objął komendę nad *Argo*. Wyleczył się z ran w iście cudowny sposób, tak samo jak Atalanta i Meleager; Medea bowiem zdjęła tego ranka opatrunki założone przez Mopsosa i pokryła pulsujące rany własnoręcznie przyrządzonym balsamem, który piekł niczym ogień, ale w godzinę goił rozjątrzone ciało.

Mniej więcej równocześnie Bootes odzyskał zmysły. Nagle usiadł i spytał, co się stało, która godzina i gdzie on się znajduje?

Idas odparł głośno: – Twoje upodobania do górskiego miodu kosztowało nas dosyć drogo, pszczeli głupcze. Z twojej przyczyny został zabity szlachetny Fokijczyk, a jego zwłoki leżą tam okryte opończą z niedźwiedziej skóry, oczekując godnego pogrzebu.

Mopsos skarcił Idasa: – Jakże nierozsądnie mówisz, Idasie! Naszego drogiego towarzysza Fokijczyka powalił ofiarny topór tauryjski. Gdy cios padał, Bootes leżał na ziemi bez zmysłów.

Idas upierał się, nie bacząc, czy duch Ifitosa słucha go czy nie: wstydził się bowiem w duchu, że nie pospieszył był za Atalantą na chwalebny odsiecz. Miał

jednak choć na tyle rozsądku, aby nie rozbudzać ducha Ifitosa, wymieniając jego imię. Powiedział:

– Ale bez Bootesa i tej jego zachcianki Malarz żyłby dzisiaj. Jeśli ktokolwiek o tym wątpi, niech dobrze pilnuje głowy, bo moja włócznia leży na podorędziu w skrytce pod okrężnicą.

Bootes zapłakał. Umazał sobie twarz dziegiem i potargał włosy. Ledwo jednak dokończył żałobnego przebrania, spostrzegł wróżbę, która dreszczem ścisnęła mu serce: jaskrawa żoźna, zjadaczka pszczoł, przysiadła na burcie ponad jego głową, ćwierknęła i odleciała.

– Co rzekła moja nieprzyjaciółka, Mopsosie? – spytał Bootes drżącym głosem.

– Nic, zupełnie nic ważnego – odparł Mopsos pośpiesznie.

Wypadek stał się przyczyną ogólnego niezadowolenia i postanowiono z całym ceremoniałem pochować Ifitosa na najbliższym skrawku stałego lądu. Żeglowali teraz przez krainę mokradeł, a upał wzrósł znacznie od czasu, gdy przybyli do Kolchidy: wyglądało, że zwłoki już wkrótce zaczną okropnie cuchnąć, ściągając demony lub węże. Frontis rzekł do Jazona:

– Wschodnie prądy wzdłuż południowego wybrzeża Morza Czarnego, które sprzyjały wam w podróży do Kolchidy, płyną dalej na północ u stóp Kaukazu; najbliższy skrawek stałego gruntu poza terytorium Kolchidy, gdzie będziecie mogli bez przeszkód pochować swego nieszczęsnego towarzysza, leży o dzień drogi na północ od portu Fazis. Mam na myśli Antenios, siedzibę Apsylajów, którzy są gościnni dla wszystkich cudzoziemców. Gdy już bezpiecznie wydostaniemy się z rzeki, proponuję obrać kurs na północ zamiast na południe, chyba że wiatr nam będzie przeciwny. Kupcy z Antenios udzielą mi kredytu, więc możemy tam napełnić dzbany świeżą wodą.

Jazon powtórzył tę propozycję i zapytał, czy ktoś ma zastrzeżenia. Nikt się nie odezwał. Rzekł zatem:



– Niechaj będzie Antenios, o ile wiatr się nie sprzeciwi! Augiasz z Elidy spytał:

– Czemu nie poześlujemy dalej, okrążając Morze Czarne od północy i unikając w ten sposób przeciwnego prądu u wybrzeży południowych, a korzystając z pomocy potężnych prądów, co według króla Fineusa wypływają w tej porze roku z wielkich północnych rzek? W ten sposób zmyliliśmy pogoń.

– Ach, czemu tak nie zrobimy? – poparło go wielu Argonautów. Synowie Fryksosa orzekli, że to niemożliwe. Ich zdaniem, mieszkańcy kaukaskiego wybrzeża w obrębie co najmniej czterech i pół tysiąca stadiów na północ od Antenios są złośliwi, podstępni i biedni. Jeśliby *Argo* zatrzymały w drodze przeciwne wiatry i zabrakło prowiantu, na tym niegościnnym wybrzeżu nie zdołają uzupełnić zapasów. Ponadto za pasem Kaukazu zaczyna się królestwo Taurydy: nawet z Medeą na pokładzie ryzykować wyjście na ląd po żywność i wodę byłoby równie niebezpieczne jak jeść fasolę łyżką rozpaloną do czerwoności.

Trzej bracia z Synope potwierdzili ich opinię. Jazon poprzestał na tym mówiąc:

– Stawmy raczej czoła niebezpieczeństwom, któreśmy już raz przewyciężyli, a nie kuśmy bogów szukaniem nowych.

Płynęli w dół rzeki, zawsze marudząc w tyle za innymi okrętami eskadry, do której się przyłączyli, zaś pod wieczór drugiego dnia – rzeka bowiem nurt miała bystry – dotarli do ujścia i portu Fazis, gdzie nikt ich nie zaczepił. Stąd powiosłowali na południe, nadal za eskadrą kolchidzką, ale tylko kawałek. Skoro zmierzch zapadł, podnieśli ciemny żagiel i odpłynęli na północ z południowo-wschodnią bryzą. Odłączając się wydali chóralny okrzyk rozpacz, jakby ich okręt wpadł na niewidoczną skałę, by zmylić tych, z którymi się rozstawali.

Rano słońce weszło promienne ponad górami na wschodzie i oświetliło morze wolne od okrętów prócz jedynej *Argo*. Jazon, który dzielił wachtę z Meleagrem, obudził ze snu towarzyszy i uroczyście wydobył błyszczące runo ze skrytki pod ławą sternika. Podniósł je, żeby wszyscy widzieli, i rzekł:

– Spójrzcie, Argonauci, jaki wspaniały skarb zdobyliśmy i jak mało krwi kosztował! Z jego przyczyny nasze imiona na wieki opromieni sława w królewskich pałacach Grecji, w ludnych obozowiskach barbarzyńców i nawet wśród przemądrych Egipcjan, których gładkie, białobokie piramidy przeszywają niebo nad wodami Nilu. Skoro nieśmiertelni bogowie, zwłaszcza Zeus, Posejdon, Apollo, Atena i Artemida, tak obficie darzyli nas łaskami podczas podróży w tamtą stronę oraz we wszelkich poczynaniach w Kolchidzie, możemy z ufnością oczekiwać, że będą nam sprzyjali w drodze powrotnej. *Argo* jest teraz dla nich cenniejsza niż kiedykolwiek, jako schronienie najświętszej z greckich relikwii, runa Iafistianskiego Zeusa.

Natychmiast wstał Erginos, człowiek, którego doświadczenie nauczyło unikać samochwalczej i złowróźbnej mowy, i rzekł z przyganą:

– To doprawdy wielki wyczyn dla pasterza, Jazonie, wspiąć się na skałę, co ocienia jego dolinę rodzinną, i ocalić skradzione jagnię z orlego gniazda; lecz dopóki orlica ze skwirem krąży mu nad głową, szykując się do uderzenia, on zaś z jagnięciem przytroczonym w sakwie na plecach zmusznie

schodzi po piargach w głąb przepaści – o, niechże nie zapomina o niebezpieczeństwie i da folgę radości dopiero w domu przy bulgoczących, czarnych garnkach na własnym palenisku!

Odlóż błyszczące runo, nieopatrzny Jazonie, żeby nie wzbudziło zazdrości bogów, i nie patrzmy na nie więcej, póki nie usłyszymy, jak nasz kil szeleści słodko na piaszczystym brzegu ftiotyjskiej Pagazy. Obawiam się bowiem zawiści przynajmniej jednego bóstwa, Wielkiej Bogini, która niegdyś zdjęła runo z dębowego posągu, a którego straszliwego imienia dotąd nie wspomniałeś. Niech zatem Orfeusz przewodniczy we wspólnych kornych modłach do bogini albo jeszcze lepiej poprośmy o to Medeę o smukłych pęcinach. Jest ulubioną kapłanką bogini i gdyby nie ona, trudniej by nam przyszło bodaj popatrzeć na runo niż zrywać dojrzałe oliwki z kwitnących drzew. Pamiętajcie, pobożni towarzysze, że to złowroga pora roku, posępny czas oczyszczenia, gdy w domu, w Grecji, chodzimy brudni i wrzucamy do rzeki lub do morza przeznaczonych na ofiarę, zamykając uszy na ich lament, i wymiatamy świątynie miotłami z cierni, i przygotowujemy się do radosnego obchodu pierwszych owoców. Jeszcze nie czas na uciechę, szalony synu Ajzona.

Zawstydzony Jazon wsadził runo z powrotem do skrytki, podczas gdy Medea wstała ze swego miejsca na dziobie i podnosząc wzrok, wyciągnęła rozpostarte dłonie w modlitwie:

– Matko i nimfo, i dziewico, trojaka królowo, pani bursztynowego miesiąca, która przez swoją władzę nad Niebem, Ziemią i Morzem ponownie jesteś Trojaka, której piekielnej trójcy kapłanką uczyniła mnie, konając, kapłanka Brimo, droga moja siostró Chalkiopa, wysłuchaj mnie i odpuść. Nie z własnej woli wstąpiłam na pokład tego okrętu o bokach barwionych cynobrem, nie z własnej woli obrabowałam węża ze złotego runa, którego strzegł dla ciebie, nie z własnej woli okazałam ojcu nieposłuszeństwo. Ty sama, o wszechmocna, pchnęłaś mnie do tego szaleństwa i nie wiem czemu. Ciebie słucham, ciebie jedynej. Tańcząca na czaszkach człowieczych; gardzę parweniuszowską rasą Olimpiar. Powiedz słowo, a władzą, jaką mi nadałaś, zatopię pyszną *Argo* – załogę, ładunek, gadającą gałąź, wszystko – w ciemnych i pozbawionych życia wodach dna morskiego. Powiedz słowo, a zanurzę ten sztylet we własnej piersi lub w piersi pięknowłosego Jazona, którego kazałaś mi kochać ponad wszelkie pojęcie. Powiedz słowo, Ptasiolico Władczyni!

Ostrzegłaś mnie poprzez zamęt w moim sercu, że dokonany wybór mało mi przyniesie pokoju, że wielka miłość, jaką powzięłam do Jazona, choć buzuje jak płomień w cierniowym gąszczu, może się niebawem obrócić w siwe popioły; że Prometeusz będzie zapewne szukał na mnie pomsty. Nie domagam się żadnych praw, służę ci wiernie, wielbię cię bez nadziei. Ale zanieś, proszę, zanieś do Grecji bezpiecznie ten okręt, a z nim przekłute runo; i dozwól mi być królową Efiry z Jazonem jako moim władcą choćby przez tyle lat, ile byłam ci oddana w słodkiej Ai.

Skończyła i wszyscy siedzieli, czekając znaku. Wkrótce w oddali rozległ się trzykrotny potężny grzmot przetaczany echem wśród ośnieżonych szczytów.

Medea usiadła z długim westchnieniem ulgi.

Kastor pierwszy przerwał ciszę, jaka po tym nastąpiła. Zapytał Polideukosa:

– Czy to nie dziwne, bracie, że nasz ojciec Zeus musiał zagrzmieć akurat w tej chwili?

Medea odparła wzgardliwie łamaną greką: – Bogini toczyła grzmot pomiędzy górami Krety i Kaukazu, gdy Zeus był jeszcze niemowlęciem w Grocie Diktyjskiej... jakże chciwie pił z sutek starej maciory, swojej mamki, którą mu sprowadzili Daktylowie! I będzie ona bez wątpienia toczyła grzmot między tymi samymi górami, gdy ludzie zapomną nawet jego imienia.

Nikt się jej nie odważył sprzeciwić.

Minęli północne obszary zalesionych mokradeł Kolchidy i o południu dotarli do szerokiej zatoki okolonej wysokimi górami. Przedzierał je wąski przepastny wąwóz o pionowych ścianach, zaś daleko w głębi ujrzeli ośnieżoną górę w kształcie siodła, która była znana jako ulubione siedzisko ludożerczej bogini Apsylajów. Pobielane miasto Antenios (odtąd zwane Dioskurias) widniało od południa na kilkadziesiąt stajań. Była to najświętsza miejscowość na całym Kaukazie. Ludożercza Bogini zarządziła, by żaden mężczyzna, pod karą śmierci, nie ośmielił się zbrojnie przekroczyć kwietnych łąk pomiędzy górami a morzem ani bodaj podnieść kamienia, by nim cisnąć w łasicę, z której to przyczyny przynajmniej siedemdziesiąt plemion obrało te łąki jako miejsce spotkań dla wymiany handlowej, roztrząsania sporów i zawierania umów.

Jazon przybił do brzegu przy niskiej ławicy piaszczystej, ale nie wysiadł na ląd ani nie pozwolił na to nikomu z załogi oprócz czterech synów Fryksosa, tym zaś rozkazał pod żadnym pozorem nie dopuścić, by Apsylaje zgadli, że *Argo* jest okrętem greckim. Zeszli cicho po drabinie i oddalili się, niosąc zwłoki Ifitosa.

Powróciwszy wieczorem, opowiedzieli, że zaczekali najpierw na wielkorządczynię miasta i poprosili ją, żeby im pozwoliła wyprawić kolchidzki pogrzeb towarzyszowi, którego, powiadali, zabiło padające zbutwiałe drzewo, gdy ich okręt stał na kotwicy na zalewie Fazis. Wielkorządczyni odmówiła, czego byli z góry pewni; bo Apsylaje grzebią prochy swoich w urnach i brzydzą się kolchidzkich cmentarzy na drzewach. Po udanych błaganiach Melanion oświadczył: – Dobrze, Nieskazitelna, to właściwie wszystko jedno. Nasz towarzysz z ojca był Grekiem.

Pozwól nam pochować go wedle greckiego obrządku. – A ona rzekła: – Ależ oczywiście! Jeśli nie znacie ceremoniału, mamy tu greckiego kupca imieniem Krios, mieszka koło grobli, on wam z pewnością pomoże.

Krios był Fokijczykiem, wiele lat temu Trojanie wyratowali go z rozbitego okrętu koło wyspy Imbros, potem jednak sprzedali w niewolę do Antenios. Tam niebawem zdołał się wykupić, był bowiem nadzwyczaj biegłym malarzem i garncarzem. Gdy synowie Fryksosa mu odkryli, że Ifitos był również Fokijczykiem, Krios podjął się wznieść nad jego kurhanem kamienną świątynkę i ozdobić jej ściany malowidłami z kolorowych glinek. Tak więc nie tracąc czasu, złożyli ciało na stosie i z bronią w rękę zatańczyli wokół niego, usypali kopiec nad zwęglonymi kośćmi, lali obiatę, wyrrywali sobie włosy, złożyli prosiaka na ofiarę i poszli.

Eufemospływak urodził się w Fokidzie i wyuczył pływackiego kunsztu od tamtejszego bractwa fok. Pamiętał dobrze Kriosa i nalegał, żeby Jazon pozwolił

synom Fryksosa wrócić i zabrać go na *Argo*, bo im Krios opowiadał, jak strasznie tęskni do widoku stron ojczystych. Jazon odmówił, twierdząc, że przybył do Antenios w jednym tylko celu, mianowicie

na pogrzeb Ifitosa, i nie może dopuścić do dalszej zwłoki; poza tym gdyby wziął kupca z sobą, grobowiec Ifitosa nigdy nie zostanie wzniesiony.

– Racja – rzekł Peleus Myrmidon – a skoro – Krios nie wie, że właśnie wracamy do Grecji, nie będzie miał żalu, że odpływamy bez niego.

Tak więc zostawiono Kriosa. Niemniej za poradą Argosa Jazon posłał doń Frontisa z braćmi, żeby kupili zapas suszonego mięsa i ryb, tłuszczu delfinów i chleba figowego, ofiarując jako zapłatę trochę ozdób i biżuterii, które Medea zabrała z sobą. Prowianty te niebawem dostarczono wozami zaprzężonymi w woły, w ilości dostatecznej na miesiąc podróży razem z tym, co jeszcze było na okręcie.

Argos, któremu Jazon rozkazał należycie wszystko poumieszczać, stwierdził, że nie może tego zrobić, bo schowki co do jednego są zapchane podarkami i zdobyczą. Rozdzielił tedy żywność pomiędzy załogę, mówiąc:

– Te zapasy wystarczą na miesiąc, towarzysze; umieście je, jak wola, baczcie jednak, by nic się nie zepsuło od słońca czy morskiej wody. Jeśli się znów natkniemy na Kolchów, a obawiam się, że to nieuniknione, i okaże się, że ich flota ma nad nami przewagę, zapewne będziemy zmuszeni wypłynąć na pełne morze bez nadziei szybkiego zaopatrzenia na nowo naszego miłego okrętu. Co do mnie, nie dbam o to, czy bezpiecznie zawiozę do Aten bogate dary, które otrzymałem od władcy Mariandynów, Lykosa, czy dary ślepego króla Fineusa, czy wreszcie łupy, jakie zdobyłem, gdyśmy plądrowali pałac króla Amykosa Bebryka, o ile tylko doniosę do domu całą skórę, pełny żołądek i runo.

Znowu ruszyli na morze, podpłynawszy wprzód do ujścia rzeki Antenios napełnić dzbany świeżą wodą. Peukon, kapitan kolchidzki, błagał, aby go już wysadzono na ląd, ale Jazon go nie puścił, sądząc, że może się jeszcze okazać użyteczny. Ponieważ wiatr wciąż wiał rześko z południow-schodu, nawigator Nauplios skierował *Argo* prosto na zachód; i odważnie przecięli Wschodnią Cieśninę, nie widząc lądu na horyzoncie.

## POGOŃ

W dziesięć dni później grupa piętnastu okrętów pod komendą Arasa, kolchidzkiego najwyższego admirała, pchana wiatrem północno-wschodnim zawinęła do Długiej Łachy. Tutaj właśnie Tesalczyki tańczyli kiedyś taniec z mieczami i Atalanta chodziła z Meleagrem polować na gazy. Aras zastał, wyciągnięte na piasek, nie tylko trzy okręty, którymi dowodził Absyrtos, lecz – też pod jego komendą – trzy ocalałe galery z drugiej eskadry wysłanej przez Ajetesa.

Natychmiast po wyjściu na ląd Aras uderzył czołem przed Absyrtosem, mieniając go królem Kolchidy; opowiadał ze łzami, że stary Ajetes umarł w nieznośnych męczarniach wskutek rany zadanej mu przez Atalantę. Doniósł także, że Perses, brat królowej, ogłosił się regentem Kolchidy pod nieobecność Absyrtosa; że utrzymał pokój ze Styrusem; że gdy Styrus zapytał z pewnym zniecierpliwieniem:

„Kiedyż poślubię księżniczkę Medeę?“, Perses za zgodą Rady Królewskiej zobowiązał się, iż jeśli Medei nie zdołają sprowadzić z powrotem przed końcem lata, Styrus może zwrócić swe zapłaty ku Nejairze.

Absyrtos wielce bolał nad ojcem, lecz bardziej jeszcze nad sobą. Od dawna święcie postanowił poślubić Nejaire; małżeństwo bowiem pomiędzy wujem i siostrzenicą jest u Kolchów dozwolone, dopóki nie ma pokrewieństwa po kądzieli. Wiedział teraz, że jeśli nie zdoła sprowadzić Medei do domu przed końcem lata, czeka go wojna ze Styrusem. Nie miał zamiaru zrzekać się dla niego Nejairy, bez względu na obietnice Persesa, ponieważ Nejaira po śmierci Ajetesa dziedziczyła ziemie pograniczne, które należały do jej kolchidzkiej babki i których w żadnym razie nie chciał oddać w ręce Albańczykom.

Niecierpliwie zapytał Arasa: – A co z greckim okrętem?

– Nic, wasza dostojność – odrzekł Aras.

Obaj sądzili, że to niepodobieństwo, aby *Argo* płynęła przed nimi wzdłuż wybrzeża, bo załogi wszystkich okrętów bacznie jej wypatrywały przez całe dni, a nocami księżyc s'wiecił jasno na bezchmurnym niebie, ponadto zaś pytani krajowcy nie widzieli żadnego okrętu, od czasu gdy *Argo* ich mijala, płynąc w przeciwną stronę. Absyrtos orzekł zatem, że Jazon najwidoczniej zaryzykował

żeglugę z drugiej strony Morza Czarnego, więc flota kolchidzka powinna, nie omieszkając, skierować się do Bosforu i tam zastąpić mu drogę; mianowicie południowy kurs z Kolchidy do Bosforu jest znacznie krótszy niż północny mimo przeciwnych prądów i wiatrów.

Podczas omawiania tej decyzji *Argo* we własnej postaci nadpłynęła ku nim pchana wiatrem, kierując się ku ujściu rzeki Halis. Kiedy jeszcze byli bardzo daleko, Linkeus rzekł do Jazona:

– Nasi kolchidzcy wrogowie, w sile szesnastu okrętów, odpoczywają na Długiej Łasze. Mogę dojrzeć ich białe proporce trzepoczące nad krzywizną horyzontu, choć kadłuby są jeszcze dla mnie zakryte.

Jazon był w rozterce. *Argo* miała dostateczny zapas żywności, lecz woda w dzbanach zaczęła cuchnąć i już paru Argonautów, między innymi Orfeusz i Echion, rozchorowało się na dyzenterię, zaś wszyscy pozostali byli w kłótlwym i ponurym nastroju, zwłaszcza że słońce mocno dopiekało jak na tę porę roku.

Spodziewali się napełnić dzbany słodką wodą Halis i skosztować znowu pieczeni, gdyby się udały łowy, i wyciągnąć się na trawie w cieniu drzew. Jazon nie mógł się zdecydować, czy należy zmienić kurs, czyli wrócić na dzikie samotne obszary pełnego morza, czy może czekać, aż się ściemni, wtedy wpłynąć na rzekę Halis, po czym ruszać dalej, skoro tylko nabiorą w dzbany dobrej wody. Chciał tę kwestię poddać pod głosowanie, ale Argonauci nie chcieli głosować, póki sprawa nie zostanie dokładnie przedyskutowana; a gdy się tak spierali, swarliwie i z wyzwiskami, *Argo* coraz bardziej zbliżała się do brzegu.

Niebawem dostrzegły ją ze wzgórza czaty Kolchów i wiceadmirał Diktys, wspiąwszy się do wartowników, by nawiązać dymną sygnalizację, zszedł

z powrotem na plażę i oświadczył Arasowi:

– To jeden z naszych okrętów. Mogę już rozróżnić Białego Konia i biały proporzec. Ale czemu nie odpowiada na nasze znaki?

Aras sam wlaźł na pagórek i uważnie badał *Argo*. Po chwili zwrócił się do nadchodzącego Absyrtosa:

– Proporzec i figura dziobowa są kolchidzkie; spójrz jednak, wasza dostojność, na wygiętą rzeźbioną rufę. Żaden nasz okręt nie ma rufy o tym kształcie. To są zamaskowani greccy piraci, bo sam zwróciłem uwagę na tę wygiętą rzeźbioną rufę i podziwiałem ją. Okręt zmierza w stronę Halis. Prawdopodobnie Grekom brakuje świeżej wody. Nie są tak twardzi jak my i raczej by pomarli z pragnienia, niż pili wodę stęchlą lub słonawą.

Absyrtos wydał rozkazy: – Wszystkie okręty na morze! Kapitanowi, który pierwszy weźmie na hol piratów, dam tyle złota, ile sam waży, zielone zausznicę z nefrytu dla żony lub córki oraz donośny srebrny gong.

Ale zanim Kolchowie zdążyli wypłynąć i o wiosłach wydostać się z zasięgu ostrej bryzy, *Argo* okrążyła przylądek w kierunku zachodnim i znikła.

Pięć godzin pozostało do zmroku i Kolchowie spodziewali się dopaść *Argo*, zbudowanej masywniej niż ich okręty i powolniejszej zarówno o wiosłach, jak pod żaglami. Argonauci jednak, skoro tylko dostrzegli pierwszych nieprzyjaciół

wyłaniających się zza przylądka i uświadomili sobie, że są ścigani, wzięli się do roboty i zaczęli wiosłować szparko, ci przynajmniej, których nie obezwładniła choroba. Utrzymali dystans, póki ciemność nie zapadła, ale nie mogli się spodziewać, że opłyną półwysep Lepte położony na północ-zachód: bo wiatr nadal wiał z północo-wschodu, a ich już znużyło wiosłowanie.

– I znów jesteśmy na terenie Paflagonii – rzekł Autolikos. – Co wy na to?

A gdybyśmy tak zostawili okręt przyjaciołom, na których możemy polegać, wysiedli i lądem wrócili do Grecji?

– Co? – zawołał Argos zrzędnie. – Zostawić *Argo* i wbudowaną w jej dziób mówiącą gałąź? My, Argonauci, złożyliśmy przysięgę krwi, że nigdy nie opuścimy *Argo* ani siebie nawzajem.

Augiasz dodał: – Co? Trzymiesięczna wędrówka wśród wrogich plemion po to, żeby w końcu wpaść w ręce naszych nieprzyjaciół Trojan?

Odezwała się i Medea: – Ja przynajmniej nie nawykłam do marszu. Kamienie i ciernie poszarpią moje delikatne stopy jeszcze przed jutrzejszym wieczorem.

– Jednakże – odparł Autolikos – mając do wyboru dwa rodzaje zła, radzilibyśmy wam wybrać mniej szkodliwe.

Peleus rzekł zdecydowanie: – Przybijmy do brzegu tam, gdzie jest woda, wszystko mi jedno gdzie, wyszorujmy porządnie dzbany, nabierzmy w nie czystej wody i zobaczymy, jaką pociechę ześlą nam

potem bogowie.

Zapuscili się więc w rzekę Karuza, która znajduje się pośrodku cieśniny między Synope i Halis, i tam spieszenie umyli i napełnili konwie. Tylko Medea poszła w ciemny las porastający brzegi wód, aby narwać gałązek jałowca oraz ostrych liści drobnego ziele bez nazwy, bardzo skutecznych na dyzenterię. Wiedziona węchem wkrótce znalazła, czego potrzebowała, i wróciła na okręt.

Gdy konwie z wodą znowu bezpiecznie umocowano, Peleus zapytał:

– Może mi się zdaje, ale chyba z dziobu dochodzą jakieś pomruki?

Mopsos poszedł posłuchać i oświadczył: – Gałąź Zeusa znów przemówiła.

Powiada: „Na morze, Argonauci! Na morze! Bez zwłoki wieźcie runo memu baranowi”.

Lecz Idas zakpił: – Czy doprawdy stary tryk może pragnąć w pełni lata tak ciepłego okrycia? Teraz jest pora postrzyżyn.

Medea parsknęła śmiechem, a Jazon się rozżłościł, ale nie śmiał jej skarcić z przyczyny trzeciego oka.

Zwinęli żagle i ruszyli znów w morze na wiosłach, choć byli bardzo zmęczeni i walczyli z wiatrem, który silnie dał z burty. Sapali, pocili się i ciągnęli jak zaprząg wołów, gdy pole jest gliniaste, oracz zaś popędza je ostrym ościeniem; głęboko wbijają kopyta w ziemię i toczą spod jarzma krwawymi oczyma, ciągną jednak dalej.

Medea wykurowała chorych, kładąc im do nozdrzy i pod język zwinięte liście nienazwanego ziele. Potem stanęła na rufie, a księżyc błyszczał jasno na jej bladej twarzy i żółtych włosach. Podniosła rękę, nakazując ciszę, zrobiła straszliwy grymas i rozkazała wszystkim odłożyć wiosła, zatkać uszy palcami i opuścić głowę na kolana. Następnie zawołała do siebie Atalantę, aby jej posłużyła pomocą.

Atalanta podeszła chętnie, bo – choć w sercu gardziła Medeą, ponieważ tamta zakochała się w Jazonie i dla niego obrabowała Prometeusza – wiedziała, że tylko Medea zdolna jest ocalić *Argo* z mocy Kolchów. Obie skropiły okręt gałązką jałowca umaczną w świeżej wodzie. Atalanta przewiązała oczy i zatkała uszy chorym, następnie Medea wzniosła modły w języku kolchidzkim, którego Atalanta nie rozumiała, równocześnie wykonując palcami jakieś zawiłe ruchy. Potem własnymi siłami obie kobiety postawiły żagiel i uwiązały szkoty do burt; wydawały przy tym ostre okrzyki niby igrające orły morskie.

Czarna chmura nagle zasnęła księżyc, a wiatr, zwracając się posłusznie na południo-wschód, wydał żagiel i podniósł okręt, podczas gdy mężczyźni nadal siedzieli nieruchomo z głowami na kolanach. Przed nimi w mroku majaczyły czarne sylwetki dwu kolchidzkich okrętów. Mianowicie przednia straż wrogiej floty, zamiast ścigać Greków w górę rzeki, przepłynęła ujście cieśniny, aby *Argo* odciąć odwrót; lecz w ciemnościach stracili ją z oczu. Medea spytała Atalanty:

– Czy *Argo* jest krzepko zbudowana?

– Bardzo krzepko – odparła Atalanta.

– Ster trochę na lewą burtę – rzekła Medea. – I jeszcze trochę! – Przyniosła drąg okrętowy i trzymała go w pogotowiu. Rozległ się trzask łamanych desek, gdy dziób *Argo* wbił się w lewą stronę rufy najbliższego okrętu Kolchów. Argonauci potoczyli się naprzód, a gdy skłębieni usiłowali się pozbierać, zapominając, że mają zatykać uszy, Atalanta zaśmiała się do nich i wykrzyknęła:

– Niestety, kamraci, rozbicie! Wpadliśmy na drewnianą skałę! Medea odepchnęła już *Argo* od kolchidzkiego okrętu, który pogrążał się w wodzie za jej rufą. Załoga krzyczała o pomoc:

– Ratujcie, toniemy! Ratujcie!

Medea spokojnie zwróciła się do Jazona: – Ocali ich drugi okręt. Płynmy dalej!

W ten sposób unoszeni prądem wydostali się bezpiecznie z rzeki Kauza, pod żaglami minęli Synope i okrążyli półwysep Lepte. Ale część kolchidzkiej floty krążyła przed nimi w odległości paru stajañ z latarniami błyszczącymi na rufach.

Wobec tego zmienili kurs na północno-zachodni, na otwarte morze, w nadziei, że korzystając z wiatrów i prądów oraz za pomocą wiosel zdołają dotrzeć do Bosforu przed Kolchami, chociaż dłuższą drogą.

Następnego ranka, gdy już na dobre oddalili się od brzegu i ani jednego żagla nie było w polu widzenia, Jazon zwołał radę wojenną. Nauczony pierwszy nie zabierać głosu, zapytał o zdanie najpierw Agrosa, potem Frontisa syna Fryksosa, po nim starego Naupliosa, następnie Autolikosa z Synope i wreszcie Medeę.

Herold Echion, zgorszony nieobyčajną sprzeczką poprzedniego popołudnia, podjął się teraz za pomocą swej zakrzywionej laski przewodniczyć obradom; wyzdrowiał już bowiem z dyzenterii.

Argos rzekł: – Istnieje tylko jedna droga z Morza Czarnego, właśnie przez Bosfor. Płynmy tam, najszybciej jak się da, pozostając aż do ostatniego dnia w odległości około dwustu pięćdziesięciu stadiów od brzegu. Wtedy, jeśli zastaniemy kolchidzką flotę gotową do obrony wejścia, ruszajmy śmiało na nich.

Ręczę, że połamane deski okrętu, któryśmy wczorej tryknęli, będą dla nieprzyjaciół

dostatecznym ostrzeżeniem; każdy nam zejdzie z kursu i przepłyniemy bezpiecznie.

– Kolchowcie nie są takimi tchórzami, za jakich ich uważasz, Argosie –

powiedział Frontis, syn Fryksosa. – A gdyby wiatr okazał się przeciwny albo w ogóle ustał, wiele okrętów stłoczy się dokoła i osaczy nas. Z obu stron jednocześnie wedrą się nam na pokład i choćbyśmy najdzielniej walczyli, musimy wreszcie ulec.

Stary Nauplios odezwał się z namysłem: – Słyszałem, że Bosfor z całą pewnością nie jest jedyną



drogą z Czarnego Morza. Mamy do wyboru przynajmniej trzy inne. Mogliśmy popłynąć w górę Fazis, stamtąd na rzekę Kyros, do Morza Kaspijskiego, a z niego żółtą rzeką Oksos, która w końcu wpada do szumiącego Oceanu, co opasuje błękitną strugą nasz półkolisty świat; stamtąd zaś do domu Nilem egipskim, bo on także wpada do Oceanu...

Autolikos wybuchnął śmiechem. – Niestety, Naupliosie! – rzekł. – Żle cię poinformowano. Żeby przedostać się z Fazis na rzekę Kyros, musielibyśmy przetoczyć *Argo* na rolkach po bezdrożu tak daleko, że na jucnych mułach jedzie się tam cztery dni. Ponadto żółty Oksos znika nie wiadomo gdzie o dziewięć tysięcy stadiów od Oceanu.

– Nie wierzę – odparł stary Nauplios. – Powtarzasz, bez wątpienia w dobrej wierze, historyjkę dawno temu zmyśloną przez Kolchów, aby pohamować przedsiębiorczość naszych greckich żeglarzy. Ale niech ci będzie, bo żaden z nas nie zamierza wracać do domu rzeką Fazis tylko po to, żeby ci udowodnić łgarstwo.

Inną drogę stanowi Tanais, wielka rzeka, co wpada do Jeziora Moeckiego opodal krainy Scytów Królewskich. Możemy płynąć w górę rzeki, jest ona zaś bardzo szeroka, przez sto dni, aż dotrzemy wreszcie do Morza Białego, czyli Kronijskiego, które jest zupełnie zamrożone przez dziewięć miesięcy w roku, a potem...

– Nie, nie! – zawołał Jazon. – To do niczego. Jaka jest trzecia droga?

Nauplios nie dał sobie przerwać i za zgodą Echiona ciągnął dalej opowieść o Morzu Białym i wiedzmach, co na nim hulają, i o nocy trwającej sześć miesięcy, aż wszyscy zaczęli śmiać się z niego. Wreszcie przeszedł do trzeciej drogi, a zalecał ją jako najwygodniejszą do przewozu runa: w górę spokojnej Danuby, którą można żeglować trzydzieści dni, nim się dotrze tam, gdzie się ona zlewa z wartką Sawą, w tym miejscu łatwo żeglowną. – Sawa doniesie nas aż do ujścia na północnym Adriatyku w ciągu dziesięciu dni – oświadczył – stamtąd zaś do Cieśniny Korynckiej przy dobrej pogodzie pozostaje nie więcej jak siedem dni drogi. Autolikos sprzeciwił się łagodnie: – Nie, Naupliosie, to też się nie uda.

Trojanie w poszukiwaniu bursztynu płynęli kiedyś w górę Danuby póty, póki była żeglowna; lecz po dwudziestu dniach dotarli do Żelaznych Bram, a jest to skalisty wąwóz pełen bystrzyn w ogóle nie do przebycia dla okrętu.

– Nie wierzę – powtórzył Nauplios. – Trojanie to urodzeni kłamcy. Wtedy autorytatywnym tonem odezwała się Medea: – Autolikos ma rację, twierdząc, że *Argo* nie zdoła przedostać się z morza na morze przez Danubę i Sawę. Sawa mianowicie nie wpada do Adriatyku; bierze swój początek w Alpach i płynie na wschód do Danuby. Jednak Nauplios słusznie tę drogę uważa za najbezpieczniejszą dla runa. Pojedziemy łódką, a potem na mułach, Jazon i ja, zabierając runo ze sobą.

Niech *Argo* wraca przez Bosfor.

– Ha, ha, moja pani! – ryknął Idas. – Jesteś prawdziwą kobietą. Chciałabyś oddalić się bezpiecznie z kochankiem, klejnotami i runem, a nas zostawić na łasce Trojan i Kolchów.

Echion, wskazując Idasa laską, uroczyście wezwał go do zachowania spokoju.

Ale Medei nie była potrzebna pomoc herolda. Odpowiedziała spojrzeniem, które zapłonęło tak zielono, że Idas zakrył głowę opończą i wykonał palcami gest falliczny, żeby się ustrzec uroku. Ona zaś rzekła:

– Nie bądź podłym niewdzięcznikiem, Idasie. Jeśli Jazon i ja zostaniemy na *Argo* razem z runem, moi rodacy wymordują was bez miłosierdzia; tak czy inaczej bowiem w końcu was złapią. Doprawdy radzę, żebyście się nas pozbyli, a sami płynęli możliwie najszybciej do Salmidessos na wybrzeża pomiędzy Danubą i Bosforem i tam oddali się w opiekę króla Tynii, Fineusa. Kolchowie nie odważą się go obrazić, wiedząc, że może zamknąć dla nich Bosfor jako szlak handlowy do Troi; przeto Kalais i Dzetes, dwu jego pasierbów, to rękojnia waszego bezpieczeństwa, podczas gdy Jazon, ja i runo stanowimy wręcz gwarancję okrutnej śmierci. Podróż, jaką proponuję, będzie ciężka dla kobiety tak wydelikaczonej jak ja, jednak zdołam jej sprostać dla dobra ogółu. Mogę zażądać pomocy od tego króla Scytów, którego córkę poślubił król Fineus; jest on sprzymierzeńcem mojego ojca i handlowali z sobą, wymieniając bursztyn i skóry na kolchidzkie konopie, płótno i inne towary. Wcale nie zamierzam was pozbawiać chwały z tytułu przywiezienia runa do domu, do Jolkos. Liczę na to, że opłyniecie Grecję i zabierzecie nas z miejsca, dokąd doniesiemy runo, czyli z wyspy Ajai na północy Adriatyku, gdzie panuje siostra mego ojca, królowa Kirke. Z Ajai wszyscy razem bezpiecznie poześlujemy do Jolkos.

Argumenty Medei były nie do odparcia, skoro więc Autolikos z braćmi, równie jak Frontis i jego bracia, potwierdzili, że do ujścia Danuby można przy sprzyjającym wietrze dotrzeć w ciągu dni dwunastu, Jazon rozkazał:

– Niech tak będzie!

Melanion, syn Fryksosa, dwa lata temu odbył tę samą podróż i wiedział, jaki kurs obrać, kierując się słońcem w południe, a Gwiazdą Polarną w nocy. Mieli płynąć prosto na północo-zachód, on jednak orzekł, że trzeba uwzględnić południowo-zachodnie prądy, najsilniejsze o tej porze roku. Jazon powierzył mu ster.

Na północo-zachodzie nieba zabłysło jasne światło, niby płomień, i wszyscy zrozumieli je jako znak, że Trójbogini pochwała ich decyzję.

## **W PUŁAPCE**

Gdy w dziesięć dni potem Argonauci powtórnie ujrzeni ląd, była to zalesiona wysepka nie większa nad dziesięć stajañ w obwodzie i otoczona nieprzerwanym kręgiem stromych, niskich skał. Melanion rzekł uradowany:

– Tam leży Leuka, największa wyspa Morza Czarnego, jeśli nie liczyć porośniętych trzcina bagnistych łąk w deltach rzek. Ściśle trzymamy kurs i już tylko sto pięćdziesiąt stadiów dzieli nas od głównego północnego ujścia Danuby.

Wypadło im z obliczeń, że to akurat dzień letniego przesilenia. Augiasz z Elidy oświadczył przeto:

– Jestem kapłanem Słońca i to moje święto. Muszę wysiąść na brzeg, aby złożyć postne ofiary wielkiemu Luminarzowi.

Synowie Fryksosa, którzy także czcili Słońce, oznajmili:

– Idziemy z tobą.

Jazon sprzeciwił się początkowo. Był w kłótliwym nastroju i pragnął pokazać Medei, że nie tylko z nazwy jest kapitanem Argonautów. Tęsknił jednak do zapachu kwiatów i liści, do pewnego gruntu pod stopami. Południowo-wschodni wiatr, unoszący ich na morze, był wyjątkowo gwałtowny i wiejąc z boku przeciw potężnym zwałom wody, co toczyły się ku Bosforowi, powodował krótką falę, najbardziej nieznośną dla żeglarzy: morze bowiem kipi jak garnek. Szczęśliwie wiatr ten po dwóch dniach ustąpił miejsca łagodniejszym podmuchom ze wschodu i południa; ale cały dzień stracili, broniąc się przed wywróceniem statku za pomocą zawieszonych na dziobie worów z olejem, z których wolno sączył się tłuszcz, łamiąc siłę grzywaczy. Gdy zatem Atalanta rzekła: – Ręczę, że w tych lasach będą dobre łowy. Któż z nas nie przepada za koźlą pieczeńią lub dziczyzną? – Jazon ustąpił. Jemu także już się przejadło suszone mięso i surowe makrele łowione na wędkę wleczoną za okrętem.

– Zgoda, towarzysze – powiedział. – Przybijamy, ale nie na długo. Teraz nie ma czasu do stracenia. Możliwe, że Kolchowie już następują nam na pięty.

Skierowali Argo do cypla na południowym krańcu wyspy, gdzie plaża wyglądała zachęcająco, przycumowali i wysiedli. Ponieważ wiała słaba bryza, Jazon nie zadbał o to, by zwinięto żagiel, albo może zapomniał wydać rozkazu; jakkolwiek było, żagiel przez cały dzień pozostał na maszcie. Gdy wysiedli na ląd, ziemia zdawała się ugiąć pod ich stopami; tak długo bowiem przebywali na morzu, że ciała ich nawykły do kołysania fal. Był to najprzyjemniejszy dzień w ciągu całej podróży. Przede wszystkim rozpalili ogień z suchych gałęzi, aby z uciechą przyglądać się bużującym płomieniom i słuchać trzasku polan; podczas gdy Argos stał na czatach nad morzem i leniwie rzucał kamyczkami do celu, cała reszta oprócz Medei poszła zbrojnie na polowanie z nagonką. Ruszyli na przełaj przez wyspę rozstawieni o jakie piętnaście kroków jeden od drugiego, krzycząc i śmiejąc się jak dzieci, i jeszcze zmniejszając odstęp między sobą, gdy dotarli do wąskiego cypla na przeciwnym krańcu. Zwierzyna umykała przed nimi, a jak na tak małą wyspę było jej niezwykle dużo. Znaleźli trzy zające (ponadto były jeszcze dwa, ale dały kominka i uciekły) oraz stadko jeleni, złożone z wielkiego rogacza, dwu dwuroczniaków, trzech łań i trojga młodych.

Zające zatłukli uderzeniem kija w łeb; dwuroczniaki i jedną z łań, jałówkę, zabili oszczepami. Ale oszczędzili dwie inne łanie razem z małymi, ponieważ były zupełnie białe i wyglądało na to, że to zwierzęta święte. Zostawili również jelenia, bo miał złocone rogi: nagonka rozstała się, dając mu przejście, którym mógł się oddalić w towarzystwie łań i sarniąt. Na wyspie było mnóstwo węży; także je spędzono w jedno miejsce, ale znikły w dziurze w ziemi.

Zające i płową zwierzynę złożyli w ofierze Apollinowi, władcy Korabi, a podczas gdy mięso piekło się nad ogniskiem, szerząc smakowite wonie, Augiasz i synowie Fryksosa myszkowali po wyspie w poszukiwaniu miodu na ofiarę Słońcu w południe. Niedługo trafili na ul pszczeli w dziupli drzewa i zawołali Bootesa, żeby podebrał miód, co zrobił ochoczo za pomocą dymu i topora; gdy zaś okrążyły

plaster odłożono na bok dla Słońca, dla każdego Argonauty zostały jeszcze dwie pełne garście, bo pszczołom w tym drzewie od bardzo dawna nikt nie zakłócał

spokoju.

Wtedy Augiasz zbudował na plaży ołtarz z kamieni i złożył na nim plaster miodu, otaczając go promieniami z żółdzi i jagód. Poprowadził taniec świętego koła, okrążając z zawrotną szybkością ołtarz w tym samym kierunku, w jakim słońce okrąża ziemię, i śpiewając hymn pochwalny wraz z całą kompanią; kroplisty pot ściekał im po uwieńczonych czołach, tak gorliwie płasali w upale, a z tyłu spośród cienistych krzewów wznosił się straszliwy hałas grzechotek wirujących ku czci Słońca.

Kiedy z powrotem usadowili się naokoło ołtarza, zziębnięci po dobrej robocie, popijając wino złagodzone świeżą źródlaną wodą, Jazon zwołał radę. Ustalono na niej, że *Argo* powinna wpłynąć w odnogę zwaną Koprowym Nurtem, północne ramię ujścia Danuby, i żeglować aż do panującego nad okolicą wzgórza u wierzchołka delty, gdzie znajdował się dwór króla Scytów; tam Jazon, Medea i synowie Fryksosa mieli z runem wysiąść na brzeg, *Argo* zaś wrócić na morze, tym razem przez Jasną Gardziel, południową odnogę delty, co pozwoliłoby załodze dotrzeć do Salmidessos i uciec się pod opiekę króla Fineusa, na nowo zaopatrzyć okręt w żywność, a stamtąd jechać dalej przez Bosfor i Hellespont na Morze Egejskie. Zamierzali okrążyć Grecję i płynąć w głąb Adriatyku, do jego najdalszych północnych krańców, gdzie w Ajai, mieście na wyspie Kirke, grupa Jazona będzie czekać, aż ich zabiorą.

Askalafos z Orchomenos powtórzył teraz wróżbę, jaką w tym mieście otrzymał od najwyższej kapłanki w wielkiej świątyni swego przodka Miniasa.

– Czeka cię wielka podróż, dziecko, nim zstąpisz do mnie do świata podziemi.

Pożeglujesz na najdalszy Wschód; nim jednak to samo lato dobiegnie końca, zapukasz do domu, w którym się urodziłem, domu mego ojca Chryzesa. –

Ponieważ wszyscy wiedzieli, że Chryzes założył miasto Ajaję, gdzie mieszkała teraz Kirke, była to dobra nowina: gwarancja, że *Argo* dopłynie bezpiecznie przynajmniej do Ajai.

– Wyrocznie jednak bywają zwodnicze – rzekł Admetos z Fery – i najlepiej nie ufać ich pozornej jednoznaczności.

Obie strony złożyły przysięgę na Zeusa, że grupa, która pierwsza dotrze do Ajai, pozostanie tam w razie potrzeby przez pięćdziesiąt dni, czekając na pozostałych; jednak po pięćdziesięciu dniach będzie zwolniona ze wszystkich zobowiązań. Kwestię rozstrzygnięto, dzbany powtórnie wypłukano i napełniono u źródła, co okazało się dosyć żmudne. Źródło ledwo kapało i nie zdążyli się z tym uporać przed zmierzchem. Jazon przeto zgodził się, aby jego towarzysze spędzili noc na wyspie; była to mianowicie noc bezmiesięczna, a samo światło gwiazd nie wystarczało, by ich wprowadzić bezpiecznie w spienione ujście bystrej Danuby.

W tym czasie król Absyrtos, zauważywszy ucieczkę *Argo* na północo-zachód, podzielił swoją flotę

na dwie eskadry. Dowództwo jednej, złożonej z ośmiu okrętów, powierzył swemu admirałowi Arasowi, rozkazując mu płynąć prosto do Troi i tam czatować na *Argo*; gdyby ją jednak miał spotkać jeszcze na Morzu Czarnym lub na Propontydzie, to tym lepiej. Powinien wyróżnić do nogi wszystkich prócz Medei, synów Fryksosa, Kalaisa i Dzetesa: tych należało oszczędzić. Z drugą flotyllą złożoną z dwunastu okrętów, którymi dowodził osobiście, Absyrtos wyruszył na północo-zachód w pogoni za *Argo*, biorąc ze sobą wiceadmirała Diktysa.

Morze Czarne jest ogromną wodną pustynią. Absyrtos, prawie natychmiast straciwszy *Argo* z oczu, popłynął do ujścia Danuby, gdzie się ją spodziewał

przyłapać. Dotarł do Jasnej Gardzieli tego samego ranka, kiedy Argonauci wysiedli na Leuce, i zapytał tamtejszych rybaków, Brygów, czy widzieli *Argo* lub słyszeli coś o niej. Nic mu nie mogli powiedzieć, ale później jeden z jego własnych okrętów, zepchnięty z kursu przez wiatr południowy, przybył z nowiną: gdy dziś płynęli o wiosłach mniej więcej w godzinę potem, jak się rozwidniło, majtek na oku dostrzegł wyspę o kilkanaście stajań na zachód. Wschodzące słońce oświetliło plamkę u południowego cypla wyspy – wyciągnięty na piasek okręt, jeszcze z postawionym żaglem – a opodal wznosił się dym. Kapitan, rozpoznając w tej wyspie Leukę, zboczył z kursu i skierował się na południo-zachód.

Absyrtos odgadł, że okrętem na piasku musiała być *Argo*. Skierował w górę Jasnej Gardzieli wszystkie swoje okręty prócz jednego, rozkazując jego kapitanowi płynąć możliwie najszybciej do odnogi północnej, Koprowego Nurtu, i wysadzić tam na brzeg dwóch ludzi: mieli leżeć ukryci wśród trzciny, dopóki się *Argo* nie ukáže, i dać znak słupem dymu, gdy znajdzie się już na dobre na rzece. Absyrtos był pewien, że Jazon wpłynie albo w Jasną Gardziel, albo w Koprowy Nurt, bo mniejsze ujścia dalej na północ były to płytkie i kręte strumienie. Inni majtkowie z tegoż okrętu mieli zająć stanowiska bliżej na wybrzeżu delty, aby obserwować dymny sygnał i podać go dalej.

Z tym wysłany, okręt natychmiast odpłynął, a gdy wrócił o północy, kapitan zameldował, że rozmieścił ludzi dwójkami według rozkazu Absyrtosa.

Argonauci świetnie spali, nieświadomi, że zastawiono na nich pułapkę ani nawet że w ogóle zostali zauważeni, wszyscy bowiem byli zajęci swoimi rozrywkami i ofiarami w momencie, gdy dziób kolchidzkiego okrętu wyjrzał zza horyzontu.

Absyrtos jednak zamierzał, gdy tylko *Argo* minie ławicę u ujścia Koprowego Nurtu, wysłać część swej flotylli do Jasnej Gardzieli, aby przychwycić Greków u wierzchołka delty, podczas gdy reszta flotylli uda się na północ wzdłuż brzegu i zamykając Koprowy Nurt, odetnie *Argo* odwrót.

Następnego dnia o brzasku Argonauci rozpięli żagiel na bryzę północno-wschodnią i ruszyli w dalszą drogę; niebawem wodę morską zmacił szary rzeczny muł. Zbliżając, się sterowali wprost na górę o pięciu wierzchołkach, daleko w głębi lądu, nazwaną Pięść. Wybrzeże delty było niskie, płaskie i niezadrzewione, ale gęsto pokryte trzcina. W oddali dostrzegli osadę złożoną z prymitywnych szałasów na palach, lekkie czółna, szyte z foczej skóry rozpiętej na wierzbowym szkielecie, ułożone nie opodal rzędem na bagnistym brzegu. Była to główna osada Brygów, którzy noszą przepaski na biodrach z foczej skóry i cuchną rybim tłuszczem; leży ona tuż przy ujściu.

*Argo* minęła łacę i gdy przebyła już kilkanaście stajañ w górę rzeki, która płynęła tu z szybkością dwóch węzłów, Argonauci zauważyli słup dymu wzbijający się za nimi na prawym brzegu; ale nie zwrócili na to szczególnej uwagi przekonani, że to dym stosu pogrzebowego. Rzeka w tym miejscu była szeroka na cztery staje i roiła się od ryb.

Wieczorem, pchani tym samym wiatrem, przybili do lewego brzegu obok zagajnika na wpół zgniłych wierzb, około sto pięćdziesiąt stadiów od ujścia. Postój okazał się ponury, bo grunt namókł po ulewie, a Orfeusz, osłabiony przez dyzenterię, dostał nagłej gorączki. Zaczął majaczyć i wygłaszał długie tyrady, tak złowróżebne, choć bezsensowne, że towarzysze musieli go zakneblować; a walczył tak zaciekle, że dopiero czterech ludzi zdołało go obezwładnić. Medea nic mu nie mogła pomóc; była w tym czasie nieczysta z powodu miesiączki, więc niezdolna do leczenia ani czarów.

Wtedy to właśnie, po raz pierwszy i ostatni, Argonauci usłyszeli wieszczczy lament króla Syzyfa nad boginią Pazyfae, śpiewany przezeń w kamieniołomach Efiry dzień przedtem, nim głaz go roztrzaskał; Orfeusz bowiem powtarzał to, walcząc, nieświadom bluźnierstwa.

*Jeszcze ogrzej mnie słońce gasnące –*

*Wzrokiem łzawym przebijam twe oko,*

*By zatrzymać cię w bezruch promienny.*

*Obaj dzień ten spędziliśmy w znoju*

*Pod nawistym obłokiem bez deszczu –*

*Runo wspólny nam smutek ozłaca*

*I ta noc bez księżycy być musi.*

*Jeszcze ogrzej mnie słońce gasnące.*

*Była wierna i jakże kobieca,*

*O jednakim dla wszystkich uśmiechu,*

*Niepodległa niczyim zalotom –*

*Aż rozwiążej kukułce na wiosnę*

*Zwieść się dała współczuciem wiedziona.*

*Że jasnością była, która zgasła,*

*Więc ta noc bez księżycy być musi.*

*Jeszcze ogrzej mnie słońce gasnące!*

Żuraw przeleciał nad nimi z rybą w długim dziobie, ale upuścił ją w muł

rzeczny obok obozowiska Argonautów i wydał ostry krzyk rozpacz, a potem jakby bełkotliwie zagadał.

Jazon spytał: – Mopsosie, co mówi żuraw?

Mopsos odparł: – Powiada: „Niestety... Niestety... Porznię je na kawałki...

porznię je na kawałki... już nigdy nie zostaną złączone!” Ale czy ptak Ateny mówi o swoim własnym zmartwieniu, czy prorokuje nam, nie wiadomo.

Linkeus rzekł: – Jeśli tak istotnie brzmią słowa żurawia, nie mogą się one odnosić do upuszczonej ryby, która, choć martwa, nie jest pocięta na kawałki.

Moim zdaniem, ptak umyślnie otworzył dziób, żeby porzucić rybę i odezwać się do nas; wobec tego usłyszeliśmy przepowiednię.

– Poczekajmy w świętej ciszy na następny znak – zdecydował Mopsos. – Niech nikt się nie poruszy, dopóki znak nie nadejdzie.

Czekali w milczeniu i niebawem wielka ławica ryb podobnych do sardynek podpłynęła tuż do brzegu, gdzie siedziała Medea, i zwróciła na siebie uwagę, burząc wodę ogonkami. To najwyraźniej był oczekiwany znak, ale nikt nie umiał

jasno go wytłumaczyć, choć Atalanta przypomniała sobie, że w Tesalii sardynka jest poświęcona Artemidzie, podobnie jak żuraw Artemidzie delijskiej, można więc sądzić, że bogini zsyła Medei jakieś zapewnienie opieki.

Melanion, syn Fryksosa, zgodził się z nią. – Artemida jest w tych krajach dobrze znana – orzekł. – Dwie wyspy należące do niej znajdują się nieco dalej na zachód, naprzeciw pomniejszych ujść rzeki zwanych Tysiącne Usta.

Herold Echion zakończył dysputę. – To bezcelowe – oświadczył – dręczyć umysł dociekaniem i wątpliwościami. Dość, że zapamiętamy głos żurawia i trzepot sardynek. Jutro zapewne oba te posłannictwa okażą się dla nas jasne.

Otulili się w opończe i derki i usnęli; ale tuż przed świtem Jazonowi się śniło, że rozłupuje palcami dojrzały granat, a czerwony sok kapie na jego chiton i szatę Medei. Równocześnie Medea śniła, że ona i Jazon, wchodząc razem do szałasu, wrzucają ogromnego raka, wielkości człowieka, do kotła kipiącej wody, przy czym zarówno rak, jak woda czerwienieją, i że Jazon wyciąga raka, wylupuje mu oczy, odrąbuje mieczem końce wszystkich jego odnóży i wyrzuca je w ciemność na zewnątrz, krzycząc głosem żurawia: „Porznię je na kawałki... Porznię je na kawałki... już nigdy nie zostaną złączone!”

Oboje spali z dala od siebie, ale w tej samej chwili zerwali się we wspólnym lęku. Nie śmieli już usnąć z powrotem, tylko oczyścili się od razu w bieżącej wodzie Koprowego Nurta i czuwali, aż nadeszła pora śniadania.

Drugi dzień minął bez wydarzeń, choć wczesne godziny zapowiadały się złowroźnie, bo na niebie ciężkim od mgieł słońce wzeszło niby kula cynobru i dopiero długi czas po śniadaniu zabłysło w pełnej chwale. Około południa dnia trzeciego, gdy znużeni wiosłowaniem docierali już do wierzchołka delty, zza lesistego wzniesienia, gdzie rzeka robiła ostry zakręt, nagle wychyłała z wiatrem flota Absyrtosa.

Jeden okręt przeciw sześciu to nierówne szanse, więc Jazon natychmiast rzucił

rozkaz: – Zawracać i do wiosła, co tchu w piersiach! – *Argo* wyprzedziła tamtych o jakieś pięćset kroków i w miarę jak upływało popołudnie, podwoił się dystans, bo Melanion, który sterował, umiał należycie wykorzystywać kręty nurt; lecz wszystkie okręty z furją gnały naprzód.

Argos przywołał do siebie Jazona i wiosłując rzekł zadyszany: – Za następnym zakrętem, jak zauważyłem dziś rano, jest strumień czy zalew, który, jeśli się nie mylę, łączy się z Jasną Gardzielą. W każdym bądź razie wypływa, a nie wpada do Koprowego Nurta. Skręćmy tam szybko i miejmy nadzieję, że Kolchowie pognają ku morzu, nie zauważywszy naszej zmiany kursu.

Jazon spytał Melaniona: – Czy wiesz, gdzie wpada ten strumień?

– Niestety – odrzekł Melanion – nigdy nie badałem.

Jazon, modląc się do Ateny, by miała pieczę nad nim samym i nad okrętem, podjął decyzję:

– Wpływamy w najbliższy strumień po prawej stronie – rozkazał. Gwałtowny prąd porwał *Argo* i przetoczył przez zakręt. Gdy znów znalazła się w głównym nurcie, po prawej ręce ukazał się strumień o wąskim ujściu otoczonym kępami trzciny. Melanion bezpiecznie wprowadził tam *Argo* i po paru silnych uderzeniach wiosła załoga złożyła je możliwie najciszej, pozwalając okrętowi wśliznąć się w kryjówkę za gąszczem trzciny. Mogli stamtąd dosłyszeć dzikie ptasie okrzyki prześladowców i miarowy plusk wiosła kolchidzkich okrętów sunących kolejno w dół rzeki. Ocierali czoła, rozmawiając szeptem. Melanion rzekł: – Ten strumień być może nigdzie nie prowadzi. Prąd tu tak leniwy, że wątpię, czy się łączy z Jasną Gardzielą, która ma bystry nurt. Proponuję, abyśmy zaczekali, dopóki Kolchowie nie miną następnego zakrętu w dole rzeki, i natychmiast zawrócili kilkadziesiąt stadiów w górę. Wtedy powiosłujemy wąskim dopływem, co wpada do Koprowego Nurta po przeciwnej stronie; mówiono mi, że po paruset stadiach łączy się on z pozbawionym nazwy północnym ramieniem rzeki przechodzącej w niepoliczony mały strumyk Tysiącznych Ust i wyłania się znów za wyspą poświęconą Artemidzie, o której wspomniałem wczoraj. Jeśli obierzemy ten kurs, Kolchowie nigdy nas nie złapią.

– Kto się zgadza na propozycję Melaniona? – zapytał Jazon. Augiasz z Elidy odezwał się: – Ja na pewno nie. Jestem kompletnie wyczerpany. Ani dziesięciu staję już bym nie mógł wiosłować, ani pięciu nawet, chyba że z prądem. Łatwo sternikowi mówić tak jak Melanion, ale przy tej duchocie serca nam popękają, jeśli znów zaczniemy zmagać się z nurtem, który dziś rano wystawił nasze siły



na tak surową próbę. Kilkadziesiąt stadiów, powiada! A co potem? Jeszcze paręset, wciąż pod prąd, po wąskim i szparkim dopływie? Nie, nie! Ten nasz strumień może toczy się wolno, ale we właściwym kierunku, mianowicie ku morzu. Nie wątpię, że doniesie nas do ocalenia, nim noc zapadnie. Skoro zaś wpłyniemy na słone wody, niech synowie Wiatru Północnego zwrócą się do ojca z modłami i obietnicami; postawimy żagiel i za parę dni będziemy pomykać przez Bosfor. Nie stać nas na zwłokę ani na powrót pod prąd. Gdy nieprzyjaciele dotrą do ujścia Koprowego Nurtu i nie znajdą ani śladu po nas, poczują zakłopotanie. Nie będą wiedzieli, czyśmy ich zwiedli, zbaczając z głównego nurtu, czy może zatapiając okręt albo czekając w ukryciu w jakiejś kępie trzciny, by się prześliznąć koło nich ku morzu pod osłoną nocy.

Augiasz przemawiał tak namiętnie, że przekonał Jazona i wszystkich towarzyszy oprócz Melaniona i Idasa. Idas obejrzał się na Augiasza, ale jego słowa zwrócone były do całej gromady:

– Żal mi was, moi panowie, żeście się tak łatwo dali przekonać niemrawemu Elejczykowi. „Bez księżycy nie masz męża”, jakem wam często powtarzał. Ale jego tchórzostwu i lenistwu winien jest ojciec, nie on sam, a zaraz wam powiem czemu. Moja droga matka Arene (po której mój ojciec Afareus nadał nazwę naszemu miastu) przybyła w odwiedzinach do Hermiony, żony Elejosa, mniej więcej w tym czasie, gdy spodziewała się ona zlec z pierwszym dzieckiem. Noc była bezmiesięczna, przeto moja matka rzekła do Hermiony: „Droga krewniaczko, zaklinam cię na niebiosa, nie trudź się żadną pracą aż do jutrzejszego wieczora, gdy wzejdzie słońce. Znasz przysłowie: »Bez księżycy nie masz męża« i doprawdy współczułabym ci głęboko, gdybyś swemu dzielnemu małżonkowi miał syna powiła kijankę”. Hermiona obiecała nie robić nic, co by mogło przyspieszyć poród.

Jednakże tegoż popołudnia Apollo, który nienawidził Elejosa (jak skrycie nienawidził wszystkich kapłanów słońca za to, że nie utożsamiali z nim swego boga), zesłał mysz aby wdrapała się po nodze Hermiony aż do uda, zmuszając ją do mimowolnego wrzasku; natychmiast zaczęły się bóle.

Moja matka Arenę krzyknęła do Hermiony: „Kładź się szybko na łożu, droga krewniaczko, leż spokojnie, nie mów ani słowa, a ja odwlokę poród do jutrzejszej nocy”. I splątała własne włosy, swoje piękne długie warkocze, w zawiłe supełki, i powiązała razem skraj szaty i płaszcz, i zrobiła dziewięć węzłków na bursztynowym naszyjniku, a potem siadła cicho ze skrzyżowanymi nogami i mocno zaciśniętymi palcami u drzwi komnaty Hermiony. To jest niezawodny czar, ten sam, którego złośliwie użyła matka króla Stenelosa, aby odwlec narodziny Herkulesa i w ten sposób przechytrzyć wyrocznię. Tak siedziała całą noc w wielkiej niewygodzie, Hermiona zaś dziękowała jej bez ustanku w głębi serca, bo bóle słabły coraz bardziej; nie mogła jednak mówić z obawy, że czar pryśnie.

A moja matka siedziała, ze skrzyżowanymi nogami, i nie pozwalała nikomu przekroczyć progu komnaty.

Elejos przełamał zaklęcie, wracając wczesnym rankiem z polowania. Znalazł

moją matkę siedzącą w drzwiach swojej łożnicy i chciał wejść, aby wziąć ze skrzyni świeżą bieliznę, ale matka wykrzywiła się do niego okropnie. Był

mężczyzną szalonym i gwałtownym, więc wrzasnął przez drzwi: „Hermiono, Hermiono, podaj mi świeżą koszulę i gacie. Przemokłem do nitki”.

Hermiona nie śmiała odpowiedzieć ani wstać z łóżka, żeby nie przerwać uroku, więc Elejos w nagłym gniewie podniósł moją matkę pod łokcie i odepchnął na bok.

Po czym wtargnął do łóżnicy i zaczął strofować Hermionę. „No, żono, co ci dolega? – pytał. – Czyżbyś chciała wygnąć swego drogiego męża z jego własnej sypialni, gdy zupełnie przemoczony powraca do domu z łowów na dzika?” Natychmiast bóle wróciły, Augiasz się urodził przed nocą nowego miesiąca i jest taki właśnie, jak sami widzicie – a wszystko z przyczyny świeżej lnianej koszuli oraz pary gaci! I przykro mi, moi panowie, że ten niedojda namówił was do złożenia wiosła, gdy tylko żwawo nimi machając, zdołamy z trudem ujść kolchidzkiej flocie.

Gdyby to opowiedział którykolwiek inny Argonauta, a nie akurat gadatliwy Idas, towarzysze słuchaliby może i przemyśleli raz jeszcze decyzję; lecz że to on był właśnie, w ogóle nie zwrócili na niego uwagi.

Niebawem leniwie powiosłowali w dół strumienia, a okazał się zamulony i po części zarosły trzcina, ale po niedługiej jeździe znaleźli się na jeziorze, szerokim na jakie piętnaście stadiów, którego spokojnej powierzchni nie urozmaiciła żadna wyspa ani kępa. Popłynęli na przełaj, spodziewając się odszukać na południowym krańcu ukryte ujście; nie znaleźli jednak nic i zawrócili wzdłuż zarośniętego szuwarem wschodniego brzegu, przekonani, że woda, co wpada do jeziora z Koprowego Nurtu, musi przecież gdzieś stąd ubywać.

Wciąż głośno roztrząsali tę kwestię, gdy najpierw pięć, a po chwili sześć okrętów kolchidzkich wynurzyło się z trzcin wprost przed nimi. Rozciągnięte w kształt półksiężyca otoczyły *Argo*, odcinając jej odwrót.

## ROKOWANIA

Gdy król Absyrtos spostrzegł, że *Argo* mu umknęła, wstrzymał flotyllę i zakotwiczył wszystkie okręty z wyjątkiem dwu, które wysłał z powrotem w górę nurtu, do zakrętu, gdzie *Argo* zniknęła im z oczu; kapitanom kazał przepatrzyć wszystkie trzcina zarosłe zatoczki, dopływy czy łachy i natychmiast go zawiadomić, gdyby wpadli na trop. Teraz jeden z nich – przeszukując strumień, w który *Argo* wpłynęła – zauważył parę niedawno ułamanych trzcin i ślad wiosła na mulistym brzegu. Pospieszenie wrócił z tą wieścią do Absyrtosa i trafił właśnie na moment, gdy inna kolchidzka flotylla pod wodzą wiceadmirala Diktysa nadciągnęła z morza na wiosłach. Diktys znał dobrze rzekę, słysząc więc, co mówi kapitan, pobiegł do Absyrtosa i wskazując w dół nurtu, rzekł gorąco:

– Dostojny panie, strumień, który łącno tam dostrzeżesz, a który wpada do rzeki po prawej stronie poniżej tych paru chałup, bierze początek z dużego jeziora, zwanego Żurawim, na które najwidoczniej wpłynęli ci Grecy; jest to jedyna możliwa droga. Jeśli pozeglujemy w górę jego biegu, znajdą się w potrzasku, zanim osiągniemy jezioro.

I tak się właśnie stało.

*Argo* została znów otoczona – lecz tym razem Absyrtos miał się na baczności.

Kazał swoim Kolchom trzymać oręż w pogotowiu, jednak nie robić z niego użytku, póki głos trąbki

nie wezwie wszystkich do ataku. Sądził, że po krótkich rokowaniach Jazon bezwarunkowo się podda.

Na pozór Argonauci zachowali spokój, ale chłód przeznaczenia wkradał się do ich dusz, gdy sięgali po broń i kładli na siebie hełmy i zbroje. Wszystkie oczy zwróciły się na Jazona, lecz on mamrotał bezradnie:

– Cóż mam mówić? Cóż mam począć, zacni druhowie? Na honor, nie mogę wydać bratu księżniczki Medei po świętych przysięgach, jakie jej składałem; jeśli wszakże odmówię, on zabije nas wszystkich.

– To prawda – rzekł Augiasz głośno i gwałtownie tak, by Medea musiała go usłyszeć. – Jednak, moim zdaniem, przybyliśmy do Kolchidy w dwojakim tylko zamiarze: aby pogrzebać kości Fryksosa i odzyskać złote runo. Kości zostały pochowane, jak przystoi, a runo zdobyte; ale nie można się spodziewać, że dowieziemy je bezpiecznie do domu, dokąd tej pani nie zwrócimy ojcu, spod którego pieczy wykradł ją Jazon. Na szczęście jest jeszcze dziewicą, tak przynajmniej mnie się wydaje, i jakiegokolwiek miłosne przysięgi Jazon jej składał –

nas to nie dotyczy. Możemy, jeśli zajdzie potrzeba, złożyć go z dowództwa i postąpić zgodnie z własnym interesem. Możemy oświadczyć Absyrtosowi, że byle nam pozwolił zatrzymać runo, damy mu w zamian Medeę, a gdyby nie przystał na to, zabijemy ją bez litości. Dwakroć pomyśli, zanim nam runa odmówi, bo jeżeli nie przywiezie siostry, Styrus Albańczyk z pewnością zacznie go podejrzewać o podwójną grę i wypowie Kolchom wojnę, by pomścić zniewagę.

Herold Echion zgromił go surowym spojrzeniem, mówiąc:

– Zamilcz, proszę, królu Augiaszu, i pozwól w tej sprawie decydować ludziom bardziej niż ty doświadczonym. Nie wstyd ci? To twoje lenistwo i niewiedza spowodowały obecne kłopoty. – Potem zaś zwrócił się do Jazona: – Szlachetny Jazonie, czy pozwolisz mi przemawiać w twoim i naszym imieniu?

– Rób, jak uważasz – odparł Jazon. – Sądzę jednak, że sprawa jest przegrana.

Echion pochylił się wtedy ku Medei i szepnął jej do ucha:

– Czcigodna pani, nie bierz ani trochę do serca wykrętnych słów na twój temat, jakie mój boski ojciec Hermes może dziś włożyć mi w usta. My, Grecy, kochamy cię i szanujemy, i nie wydamy cię nigdy bratu, cokolwiek bym mu podczas tych rokowań mówił przeciwnego.

Następnie wdział swe królewskie szaty, ujął w dłoń uwieńczoną różdżkę i zaczęły się pertraktacje. Absyrtos musiał osobiście wystąpić w roli herolda, bo żaden jego kapitan ani doradca nie umiał po grecku; on sam posługiwał się tym językiem kulawo i z mnóstwem błędów, ilekroć się jednak potknął na jakimś wyrazie i niechcący ześliznął na mowę ojczystą, Frontis, syn Fryksosa, wiernie tłumaczył Argonautom jego słowa.

– Popelniliście z premedytacją cztery wielkie zbrodnie, Grecy – zaczął

Absyrtos – i zanim ogłoszę łączny wyrok na was, szczerze wam radzę przyznać się do winy we

wszystkich czterech wypadkach i zdać na moją łaskę.

– Niespodzianką jest dla nas, żeśmy cię w czymkolwiek obrazili, księżę –

odrzekł Echion – i bardzo nas trapi myśl, że wypróbowani przyjaciele mogliby tak nagle zwrócić się przeciwko nam zwiedzeni bezpodstawnymi podejrzeniami. Mimo iż z własnej woli przepraszamy za wszelkie przypadkowe zło, jakieśmy ci mogli wyrządzić, wciąż uważamy za sprzeczne z honorem przyznanie się do czterech umyślnych zbrodni, nie wiedząc, o jakich zbrodniach mówisz, ot, po prostu z tej racji, że masz więcej niż my okrętów i ludzi. Przedstaw zatem kolejno swoje zarzuty.

– Pierwszą zbrodnią, o którą was oskarżam – odparł tamten – jest świętokradztwo. Przybyliście do Kolchidy pod pozorem przyjaźni i pobożności, a bezwstydnie okaleczyliście święte brązowe podobizny tauryjskich byków ustawione w przedsionku pałacu. Czyżbyś się tego wypierał?

– Któż wie – powiedział Echion – czy dokonali tego Grecy czy Kolchowie, czy Albańczycy? My nie wiemy; chociaż, jak i ty, mamy swoje podejrzenia. W każdym jednak wypadku: czy niedobrze się stało? Tauryjskie byki są nienawistne Mitrze, pełnemu chwały bogu Słońca, którego czcisz, a którego kocha i karmi Ptasiogłowa Matka Kolchów. Niewątpliwie sama bogini podpowiedziała Albańczykom (czy ktokolwiek to był), by obrócili byki w woły.

Absyrtos nie śmiał obstawać przy swoim oskarżeniu, wiedząc, po jak niepewnym stąpa gruncie. Przymierze z Taurydą było Kolchidzie obmierzłe i wydawało się rozsądniej darować sobie tę sprawę, skoro miał tam powrócić.

Potężne plemię albańskie czciło tych samych bogów co Kolchowie; a sojusz z nimi, poparty związkiem Medei i Styrysa, nieskończenie wzmocniłby jego tron.

Nie znalazł zatem żadnej odpowiedzi.

– Jak brzmi drugi zarzut? – spytał Echion po chwili milczenia.

– Drugą zbrodnią, która was obciąża – odrzucił Absyrtos – jest uprowadzenie mojej jedynej, ukochanej siostry, księżniczki Medei. Nie możecie, sądzę, wyprzeć się tego, bo widzę ją na własne oczy, siedzącą na purpurowej poduszce na rufie waszego okrętu.

– Przeczmy porwaniu – stwierdził Echion. – Księżniczka Medea uszła z nami z własnej nieprzymuszonej woli. Wypełniwszy (z łaskawą pomocą twego ojca) w Kolchidzie pewną sekretną, a przez bogi zleconą misję, z błogosławieństwem króla zbieraliśmy się już do powrotu pod przyjazną osłoną nocy, gdy przyszła do nas księżniczka, prosząc o przewiezienie jej do Grecji. Zdziwiło to oczywiście naszego szlachetnego wodza, księcia Jazona, który też wypytał ją szczegółowo.

Chciał wiedzieć, czy zarzucono już projekt jej małżeństwa z królem Styrysem.

„Ojciec kocha mnie – odrzekła – i nigdy nie zamierzał wydawać mnie za tę brudną bestię ani ja się do tego nie zobowiązywałam. Nie minie godzina, a usłyszysz w pałacu wielki zgwieńk oznaczający, że zaczyna się zażarta bitwa Taurów z Albańczykami, sprowokowana przez mego ojca. Nie zwracaj

uwagi na tumult, drogi przyjacielu; ja tylko mam skorzystać z niego, by się wymknąć niepostrzeżenie i odpłynąć z wami. Taka jest wola mojego ojca”. Na to książę Jazon: „Trudno mi uwierzyć w twoje słowa, księżniczko, jeśli jednak bitwa, o której mówisz, rzeczywiście za godzinę nastąpi, przyznam, że ojciec darzy cię głębokim zaufaniem”. „Tysiącne dzięki, zacny Greku – powiedziała księżniczka Medea. – Powrócę tutaj, przynosząc niezbite dowody mej prawdomówności”. Tak się też stało.

Echion swymi kłamstwami nie tylko przekonywał słuchaczy – wbrew ich woli

– ale i sam w nie wierzył.

– Dziwna to i fantastyczna historia – rzekł Absyrtos – choć zapewne, w braku przeciwnych argumentów, przyjmę, że Medea mówiła wam to, co teraz powtarzasz. Pozwól się wszelako zapewnić, że omotała was siecią niewybrednych łgarstw i wasz dowódca popełnił wielkie głupstwo, że jej zaufał.

– Książę Jazon jest młody i niedoświadczony – powiedział Echion – z łatwością przeto uwierzył we wszystko, co mu mówiła Medea. Nie przypuszczał nawet, by król Ajetes mógł być do tego stopnia okrutny i zmuszać swą zachwycającą, piękną córkę do poślubienia takiego cuchnącego starego zgniłka jak Styrys. A o co jeszcze nas oskarżasz?

Absyrtos odparł: – Żeście bezbożnie wykradli złote runo ze świątyni Prometeusza. Tu ci już nic nie pomogą krasomówcze wykręty.

– Ja się nie wykręcam! – krzyknął Echion oburzony. – Pamiętaj, proszę, mój dobry panie, o płaszczu świętości, który nas heroldów odziewa w tym szlachetnym powołaniu! Doprawdy, wykręcam się! Prosto w oczy, wyraźnie i bez lęku głoszę, cokolwiek mój boski ojciec mi każe. Co do runa zaś, nie mamy nic do ukrywania.

Złote runo stanowi bezsporną własność lafistiańskiego Zeusa; dawno temu twój szwagier Fryksos skradł je z jego świętego posągu. Nas wysłały (poselstwo to zaś zostało uroczyście potwierdzone przez wyrocznie, sny, znaki i cuda) zgodne w swej woli wszystkie naczelne bóstwa Olimpu pod przewodem samego Zeusa.

W drodze do Kolchidy ocaliliśmy od utonięcia czterech synów tegoż Fryksosa, a twoich siostrzeńców, którzy też zaraz pojęli, że niebezpieczeństwo, jakie im zagrażało, ściągnęli na siebie sami, zuchwale bowiem – bez runa – wybrali się do Orchomenos żądać ojcowego dziedzictwa. Ukorzyli się w sercach i ofiarowali wstawić się za nami do swego dziadka. Choć się z początku wzdragał, jego upór nie był długotrwały; a gdy Medea, wspiąwszy się po drabinie na pokład ku osłupieniu Jazona, rozpostarła złotą zdobycz i rzekła: „Oto, szlachetni Grecy, runo Zeusa, niezbity dowód nie tylko mojej szczerości, lecz także przychylności mego ojca dla was”... O, łatwo zgadniesz, jak wdzięcznie przyjął złoty dar z jej świętych rąk! Któż inny na całym świecie miał większe prawo ofiarować mu go niż twoja siostra Medea, kapłanka Prometeusza strzegąca jego przybytku? Nie, czcigodny panie, doprawdy bardzo cię proszę, nie uważaj nas za piratów czy nędznych złodziei. Jesteśmy wszyscy Minińczykami i jako Minińczycy śmiało przybyliśmy do Kolchidy upomnieć się o swoją własność. Złote runo zostało powierzone pieczy Minińczyka Atamasa, zanim jeszcze syn jego, Fryksos, zbiegł unosząc je. Od tej chwili na naszym rodzie ciąży klątwa: zdolne jest ją uchylić tylko

pełne chwały i przygód przedsięwzięcie, któreśmy podjęli. Zapewniam cię, książę, że nie zdołasz odebrać nam świętego runa, skoro znów mamy je w rękę. Łatwiej by przyszło oddzielić nasze duchy od ciał.

– Nie zawaham się dokonać obu tych rzeczy, jeśli nie wydadcie mi runa dobrowolnie – powiedział kwaśno Absyrtos. – A teraz, skoro was zapoznam z czwartą i najohydniejszą zbrodnią, bądź łaskaw nie zwracać się do mnie per

„książę” czy „mój panie”, ale mów: „królu Absyrtosie” lub „wasza dostojność”.

Ajetes bowiem, czcigodny mój ojciec, zginął wskutek straszliwej rany zadanej mu przez kogoś z załogi *Argo* i konając was wszystkich nazwał mordercami.

Echion nie ukrywał zdumienia. – Pozwól, wasza dostojność, złożyć sobie wyrazy najszczęśliwszego ubolewania z powodu tej straty, o której (przysięgam na, czyje zechcesz, święte imię!) nic dotąd nie wiedziałem, tak dalece, że nie doszło do mnie nawet, jakoby twój drogi ojciec w ogóle był ranny. Zarazem jednak pozwól powinszować sobie panowania nad Kolchidą ku jej pomyślności. Gorycz, jaką poczucie utraty dobrego starego króla budzić będzie zawsze w wiernych jego poddanych, zaćmi i usunie wkrótce powszechna radość z twego wstąpienia na tron.

Czy nie sądzisz jednak, że konający mógł mylić się, oskarżając Greka o tę niespotykaną zbrodnię? Czy na pewno bystrości jego umysłu nie przytępił ból rany zadanej przez jakiegoś Taura lub Albańczyka? Jeśli nie, bądź łaskaw wymienić mordercę, który odpowie wobec nas oraz wobec ciebie za naruszenie praw gościnności w sposób tak niesłychany. Absyrtos na to:

– Wina obciąża jednako was wszystkich zgodnie z ostatnią wolą mego ojca, choć narzędziem zbrodni była jedna tylko osoba, rudowłosa Atalanta z Kalidonu.

Ona to bezlitośnie przeszła oszczepem wnętrzości króla, gdy stał u szczytu pałacowych schodów. Admirał doniósł mi, że w cztery godziny później ranny wyzionął ducha w okrutnych męczarniach.

Echion zwrócił się teraz do Atalanty: – Zapewne, o najlepsza z kobiet, król Absyrtos został mylnie poinformowany?

Atalanta wstała i odrzekła spokojnie: – Niepodobna, aby był źle poinformowany o śmierci tego starca, acz nie mogę mówić z całą pewnością, bo nie czekałem już jego agonii. Jakkolwiek jest – Ajetes jako Grek z urodzenia powinien był wiedzieć, że nie należy przeciwstawiać się dziewiczej łowczyni Artemidy dzierżącej w dłoni nagi oręż. Nie uczyniłam mu krzywdy ani nie zamierzałam uczynić. Jeśli zginął ukarany za świętokradztwo, niech ta śmierć spada na boginię, nie na mnie.

– Cokolwiek nastąpi, muszę na was wszystkich wziąć odwet za śmierć ojca! –

zawołał Absyrtos. – Czy każecie mi może wyrzucić pomstę na bogini?

Atalanta odparła: – Bacz, co mówisz, dostojny władco. Bogini, czczona nawet w tych odległych krajach, lituje się najrzadziej z wszystkich bóstw, nie wyłączając Ptasiogłowej Matki.

Absyrtos znów zwrócił się do Echiona: – Odrzucasz wszystkie oskarżenia, heroldzie grecki, a ja je podtrzymuję. To chyba oznacza bitwę?

Niewzruszony Echion odrzekł: – Decyzja nie należy do mnie, dostojny panie.

Muszę prosić mego kapitana o dalsze wskazówki i udzielę ci jasnej odpowiedzi natychmiast, gdy ją odeń dostanę.

– Daję ci tyle czasu na odpowiedź – oświadczył Absyrtos – ile go trzeba, by tamten odległy żuraw przeleciał i zniknął nam z oczu.

Echion znów zwrócił się cicho do Medei, która siedziała z poszarzałą twarzą, ogłuszona wieścią o śmierci ojca. – Księżniczko – rzekł – pozwól mi powtórzyć zapewnienie: nie wydamy cię w żadnym razie. Należy jednak zwodzić przeciwnika, a nawet grozić, że odbierzemy ci życie. Błagam, nie zważaj na próżne słowa.

Medea podniosła ku niemu strapione oczy i skinęła głową na znak, że rozumie.

Echion teraz odezwał się do Jazona: – Wydobądź, książę, szybko runo z ukrycia, daj mi je i pożycz jeszcze swego ostrego myśliwskiego noża. Cokolwiek powiem, choćby ci się to zdawało dziwaczne, przytakuj. Natchnienie mego boskiego ojca jest ze mną.

Jazon nie odpowiedział, ale z posępną miną wy dostał runo ze skrytki pod miejscem sternika, rozwinął je i położył lśniące w słonecznym blasku. Potem wyjął

z pochwy zakrzywiony nóż myśliwski i wręczył Echionowi.

Gdy to czynił, żuraw łopocząc skrzydłami zawisł nad okrętem i powtórzył swój okrzyk z poprzedniego wieczora.

Echion roześmiał się w głos, unosząc rękę na znak podziękii za poselstwo ptaka.

Znów stanął na dziobie i pokazując wszystkim runo, zwrócił się do Absyrtosa: –

Dostojny panie, zanim jeszcze ptak znikł nam z oczu, kierując się (możesz być tego pewien) ku wyspie Artemidy... Nieprześląganey Artemidy, której żuraw jest poświęcony... dostałem odpowiedź nie tylko od kapitana Jazona, lecz i od twojej siostry, księżniczki Medei. Wszyscy zaś Argonauci zgadzają się z nią bez sprzeciwu.

– Mów – odparł Absyrtos.

– W kwestii okaleczonych byków – zaczął Echion – postanowiliśmy przedłożyć ci przystojną propozycję – przystojną, albowiem nie ustalono przecież, kto dokonał

świętokradztwa. Zwracam ci uwagę, że to spór nie pomiędzy Kolchami i Grekami, ale pomiędzy tauryjskim bogiem wojny i kolchidzkim bogiem Słońca Mitrą, którego w Grecji czcimy jako Heliosa. Mamy na pokładzie pięciu czcicieli Słońca, to znaczy czterech synów Fryksosa i Augiasza, króla

Elidy, gotowych natychmiast wylądować na najbliższym skrawku stałego gruntu i walczyć na śmierć z tyłoma zapaśnikami tauryjskiego boga, ilu zdołasz przeciw nim wystawić.

– To nie ma sensu – stwierdził Absyrtos. – Twoje wyzwanie mogę podjąć tylko ja, syn tauryjskiej księżniczki, oraz dwaj siwobrodzi Taurowie, którzy znaleźli się wśród mojej załogi. Wszyscy pozostali czczą Mitrę. We trzech nie sprostamy waszej piątce.

Zapewne – rzekł Echion – zwątpiłeś w moc swego boga, teraz gdy okastrowanie świętych podobizn pozbawiło go siły. Nie przypuszczam bowiem, abyś był mniej śmiały ode mnie, a gdyby to mnie wyzwano do obrony czci mego ojca Hermesa, chętnie wystąpiłbym zbrojnie przeciw całej wojennej potędze Wschodu, pewien zwycięstwa. Skoro odrzucasz wyzwanie, przejdę do kwestii runa. Z przyczyn, które ci już wyluszczyłem, postanowiliśmy je zatrzymać.

Ostrzegamy, że jeśli byś usiłował wydrzeć nam zdobycz przemocą, ja sam tym oto nożem porznę je na kawałki – porznę je na kawałki i wrzucę do wody. Ciężar złota pograży strzępy na zawsze w gęstym czarnym mule. Już nigdy nie zostaną złączone i Prometeusz straci runo, jak Zeus je stracił.

– To by mnie nie zmartwiło – oświadczył Absyrtos. – Nie obchodzi mnie, co się z runem stanie, byleście go nie dowieźli do Jolkos i tam nie chełpili się nim jako dowodem waszej przedsiębiorczości i męstwa, a naszej opieszałości i tchórzostwa.

Echion podchwycił jego słowa: – Rad jestem, dostojny panie, słyszeć z twoich własnych ust, że cenisz runo mniej niż my i wszystko ci jedno, co z nim będzie, byle tylko nie przyniosło to ujmy Kolchom. Bez wątpienia, gdy dwie pozostałe kwestie zostaną rozstrzygnięte ku obopólnemu ukontentowaniu, pogodzimy się i co do tej sprawy. Zapewniam cię bowiem, że wysoko cenimy cześć twego narodu, zwłaszcza że byłoby skrajną niewdzięcznością, gdybyśmy zapomnieli o życzliwej gościnie, której nam użyczył wasz król i najwyżsi dostojnicy. Przejdźmy zatem do trzeciego zagadnienia: co począć z księżniczką Medeą? Oto nasza propozycja: Nie nalegamy, aby podróżowała z nami, nie dopuścimy jednak, by ją zabrano do Kolchidy wbrew woli. Skoro, jak sam mówisz, jej ojciec Ajetes umarł, tajny układ z nią zawarty, w którym zrzekłeś się na jej rzecz praw do tronu korynckiej Efiry, nabiera teraz mocy. Dzięki tej rezygnacji pozwalasz jej objąć panowanie nad Efirą z chwilą śmierci ojca, a w zamian ona się zrzeka wszelkich praw do kolchidzkiego dziedzictwa. Przeto, choć uznajemy, że królowi Kolchidy (w tym wypadku tobie, panie) wolno nakłaniać siostrę, księżniczkę kolchidzką, do poślubienia wybranego przezeń kandydata, prawo to teraz wygasło. Na podstawie waszej ugody Medea nie jest już kolchidzką księżniczką, lecz uznaną królową Efiry. Jako Grecy, nie możemy się zgodzić, abyś namawiał ją do małżeństwa z plugawym barbarzyńcą.

Uznana władczyni Efiry może bowiem, jeśli jest niezamężna, zawrzeć monarszy związek z księciem, którego sama wybierze, nie licząc się z wolą króla Kolchidy.

Nie zamierzamy jednak zbyt natarczywie narzucać ci naszego zdania; nas przede wszystkim interesuje złote runo, a nie zamążpójście twojej siostry. Proponujemy zatem, co następuje. Popłynijmy razem w dół Danuby i pozwólmy królowej Medei zejść na ląd w towarzystwie stosownej świty na wyspie trackiej Artemis, którą ten lecący żuraw w cudowny sposób nam wskazał. Tam niech przebywa, dopóki jakiś możny władca (bez żadnych uprzedzeń wybralibyśmy wstrzemięźliwego króla Scytów, twego sprzymierzeńca, bo jest on mężem niezwyklej prawości) nie zgodzi się wystąpić jako arbiter



pomiędzy nami. Jeżeli po skrupulatnym rozważeniu sporu na szalach sprawiedliwości król ten orzeknie, że siostra powinna wrócić z tobą, nie będziemy jej oczywiście stawiali żadnych przeszkód; skoro by zaś oświadczył, że wolno jej z nami pozostać, ty z kolei musisz się z tym pogodzić.

– Nim rozpatrzę tę propozycję – odparł Absyrtos – powiedzcie mi, jak waszym zdaniem mógłbym pomścić śmierć ojca.

Atalanta znów powstała i sama zabrała głos: – Towarzysze moi, dostojny panie, nic nie mają wspólnego ze śmiercią twego ojca, dowiedzieli się o niej dopiero od ciebie, bo nie mówiłam im ani słowa o krwi, jaką wytoczył mój oszczep. Wyrznąć ich wszystkich w odwet za zbrodnię, której nie popełnili, znaczyłoby zaludnić twój pałac rojem szepczących duchów, co cię będą ścigać bez wytchnienia dniem i nocą, aż umrzesz wreszcie w okrutny sposób z potwornym grymasem na twarzy i skurczonymi członkami. Jeśli zaś szukasz pomsty na mnie, radzę ci zasięgnąć zdania wyroczni Artemis na wyspie, o której wspomniał Echion. Gotowa jestem przyjąć orzeczenie wyroczni i jeśli zawiniłam, dobrowolnie poniosę karę z twoich rąk. Jeśli jednak bogini pochwali mój czyn, nie waż się lekceważyć jej woli.

Absyrtos machnął ręką niecierpliwie. – Wysłuchałem propozycji, które bym uznał za słuszne i rozsądne, gdyby mi je przedstawił herold floty równie silnej jak moja; ale przecie wasz okręt jest samotny i nie ocali go ani walka, ani ucieczka, więc propozycje te są bezcelne i pozbawione sensu. Cóż będzie, jeśli je odrzucę i dam hasło do bitwy?

Echion odpowiedział z całym spokojem: – Na to, królu, mam odpowiedź

gotową. Jeśli je odrzucisz, stracisz trzy rzeczy wielkiej ceny. Po pierwsze złote runo, które zniszczę, jak zapowiedziałem. Po drugie swoją siostrę Medeę; skoro bowiem hasło do boju ogłosi pewną śmierć wszystkich moich towarzyszy, będą woleli zabrać z sobą do świata podziemi jej duszę, aby powiodła ich bezpiecznie do pałacu Wielkiej Bogini, której służy. Sam wreszcie utracisz życie. Przebywałem w Kolchidzie dość długo, by się dowiedzieć, że król musi osobiście stać na czele floty czy armii, nie marudząc za plecami straży tylnej; a nie potrzebuję ci przypominać, że nasi łucznicy zawsze trafiają śmiertelnie. Podczas popisu w ogrodach pałacowych widziałeś na własne oczy, jak spadł gołąb przeszyty w locie trzema greckimi strzałami – sztuka nie widziana ani znana w twoim kraju.

Zagraj do boju na tej złotej trąbce, dostojny panie, jeśli masz odwagę, a wygrasz na niej natrętne wyzwanie memu ojcu Hermesowi, przewodnikowi dusz, aby cię zabrał tam, gdzie wcale nie chcesz się udawać.

Herold dostrzegł, że król się zawahał. Po chwili przemówił więc łagodniej: –

Szlachetny synu Ajetesa, ocal własne życie i honor, nam pozostaw nasze. Nie ma na świecie kwestii, której by nie mogło polubownie rozstrzygnąć prawo lub arbitraż; a chciałbym jeszcze dodać, że zguba nas wszystkich oznacza nie tylko koniec twój i twojej siostry, lecz także całego królestwa. Gdy wyginie potomstwo Ajetesa, kto będzie panował w Kolchidzie? Perses, twój wuj tauryjski? Gdybym był

kaukaskim sępem, wieść o śmierci twego ojca byłaby dla mnie radosna: zgromadziłbym długoskrzydłych kompanów z daleka i bliska na zlot w Ai, pewien, że wojna domowa zetnie ludzkie ciała, jak pierwszy podmuch jesieni ścina żółędzie w lasach. Roztropność, dostojny panie, jest cnotą cenną dla młodego władcy; jest dlań ważniejsza nawet niż całe męstwo, na którym ci nie zbywa.

Wreszcie Absyrtos, acz niechętnie, zgodził się, nalegał tylko, by runo także przenieść na wyspę Artemidy i sprawę tytułu jego własności powierzyć temu samemu arbitrowi.

Echion rad przystał na ten warunek zawieszenia broni i zakończono rokowania.

## **KOLCHOWIE WYPROWADZENI W POLE**

Wieczorem *Argo*, płynąc w dół Koprowego Nurtu pod konwojem okrętów kolchidzkich, sześciu przed i sześciu za nią, znowu dotarła do morza. Cała flotylla zakotwiczyła rzędem opodal osiedla Brygów, *Argo* pośrodku. Posępny Melampus z Pylos stwierdził:

– Nikt przy zdrowych zmysłach, towarzysze, nie mógłby zazdrościć dogodnego położenia naszemu okrętowi, otoczonemu niczym zbrodniarz strażą więzienną; ja jednakże nie desperuję. Czy kto z was już dostrzegł to, co ja widzę? Pierwszemu, który umocni mnie w przeczuciu wybawienia, dam swój naszyjnik z przeplatających się srebrnych kółeczek, na który wszyscy macie chrapkę.

Dłuższą chwilę nikt nie pojmował, o czym Melampus mówi, lecz na koniec jego druh, Koronos z Gyrtanu, uważany dotychczas za człeka dość tępego, wykrzyknął:

– Widzę to, co ty, Melampusie. Dawaj naszyjnik!

Pozostali Argonauci zapytali: – Co widzisz Koronosie? Co widzisz?

Koronos odparł: – Widzę, że Absyrtos jest albo ciemny i bezmyślny, albo wyjątkowo niedbały, skoro dodał obcy okręt do swoich dwunastu, co stanowi jawne wyzwanie wobec trzynastego bóstwa, którego miana woli nie wspominać żaden rozsądny człowiek.

Melampus bez słowa wręczył mu cenny naszyjnik, a pokrzepieni pomyślnym prognostykiem Argonauci rozweselili się i zaczęli śpiewać chórem, Atalanta zaś przygrywała na lirze; Orfeusz bowiem, choć trochę wydobrzał po swojej febrze, był nadal niezwykle słaby.

Wówczas Jazon i Medea uknuli plan postępowania i niebawem zwierzyli się z niego Melanionowi synowi Fryksosa (za którego rzetelność Medea mogła ręczyć) oraz Atalancie; lecz wszyscy inni Argonauci wiedzieli tylko, że dwaj emisariusze –

Peleus Myrmidon ze strony Argonautów i Diktys, wiceadmirał Kolchów – poszli razem ugodzić się z Brygami o duże czółno oraz załogę złożoną z trzech wiosłarzy, którzy by ich przewieźli w górę rzeki, na dwór króla Scytów w widłach delty.

Noc minęła bez zakłóceń, choć strażę po obu stronach czuwały baczniej niż zwykle i co chwila okrzykiwały hasła; Grecy w obawie nocnego ataku, Kolchowie w obawie prób ucieczki. Rano wszystkie okręty popłynęły o wiosłach na północ, w tym samym szyku, aż do Wyspy Artemis, płaskiej, opuszczonej łachy uformowanej widocznie w ciągu wieków z mułu i piasku naniesionego przez Tysiączne Usta.

Jednakże Jazon nie zgodził się wysadzić na ląd Medei z runem, jeśli Absyrtos nie przyjmie dwu warunków: a mianowicie że nie podejmie żadnych wrogich kroków przeciw Argonautom ani nie będzie usiłował zabrać Medei czy runa z wyspy, dopóki król Scytów nie wyda rozejmowego wyroku, oraz że uzna jego sąd bez kwestii, jakikolwiek by był. Absyrtos, przekonany, że sąd wypadnie po

jego myśli, ponieważ przeważna część scytyjskiego handlu morskiego zależała od Kolchidy, a Scyta nie miał bezpośrednich kontaktów z Grecją, przyjął przedłożone warunki i dodał, że jest gotów potwierdzić swoją zgodę przysięgą, jeśli i Jazon ją złoży. Jazon okazał się dosyć chętny; zaproponował, że powinni obaj złożyć przysięgę w imię Artemis na pobliskiej bezludnej wysepce. *Argo* i kolchidzkie okręty podpłynęły więc o wiosłach do wyspy, gdzie Jazon i Absyrtos razem wysiedli, ofiarowali kozłatko Artemidzie i klęli się na jego krew, pijąc trochę z zagłębienia tarczy i wylewając resztę na piasek. Wymienili dary, Absyrtos obdarzył Jazona skórą kaukaskiego tygrysa, Jazon zaś Absyrtosa purpurową opończą, którą dostał od królowej Hypsipyle jako pierwszy prezent w Myrinie.

Medea wzgardliwie odrzuciła towarzystwo dwu mężczyzn proponowanych jej przez Absyrtosa na czas pobytu na Wyspie Wyroczni i nalegała, aby jej przydzielono tylko kobietę. Ponieważ Atalanta była jedyną prócz niej kobietą wśród wszystkich żalóg, musiała to być właśnie ona; lecz Absyrtos nie pozwolił jej iść zbrojnie.

Medeę i Atalantę wysadzono zatem na Wyspie Wyroczni, a tam przeszły pod opiekę kapłanki Artemis. Była nią wysoka, bezzębna, półobląkana Traczka, której pożywienie stanowiły tylko orzechy, jagody i surowe ryby. Wychudła starucha klepała Medeę po policzkach, gładziła po rękach i w dziecinnej ekstazie podziwu macała tkaninę jej sukien, ale gdy mężczyźni odpłynęli, wzięła Atalantę w siostrzane objęcia i wymieniły między sobą magiczne hasła i znaki.

Grecy i Kolchowie, ulokowani społem na drugiej, nie zamieszkannej wysepce, pomieszczeni teraz swobodnie, porozumiewając się za pomocą gestów i zabawiając różnymi grami, a Peukon przyłączył się do dawnych towarzyszy. Ale Melanion, syn Fryksosa, odszukał Absyrtosa i odprawił go na stronę, w gąszcz, poza zasięgiem słuchu tamtych.

– Wuju mój, królu – powiedział – przynoszę ci od twojej siostry Medei sekretne posłanie, do którego mam nadzieję dołączyć własną propozycję oraz prośbę. Czy zechcesz wysłuchać, czy też nienawidzisz mnie i pragniesz mej krwi?

– Przekaż mi najpierw zlecenie siostry – odparł Absyrtos. – Od jego treści zależy, czy wysłucham prośby oraz propozycji.

Cicho i spiesznie Melanion rzekł: – To są słowa Medei: „Moi siostrzeńcy, Frontis i Kityssoros, mnie i tobie wyrządzili wielką krzywdę. Jak wiesz, parę miesięcy temu postanowili zbiec z Kolchidy z dwoma braćmi, ponieważ byłeś im nieprzychylny. Wyrocznia ich ostrzegła o bliskiej śmierci naszego ojca i obawiali się, że skoro tylko obejmiesz tron, zemścisz się na nich za odwołanie twoich zaślubin z ich siostrą Nejairą. Gdy pierwsza próba ucieczki skończyła się rozbiciem okrętu i nasz ojciec odmówił pożyczania drugiego, jedyną ich nadzieją było wkraść się w łaski Jazona. Ofiarował się on nie tylko zawieść ich darmo do Grecji, lecz także zapewnić im beocką spuściznę, jeśli w zamian umożliwią mu zdobycie złotego runa. Przybili dłońmi ugode i rychło wzięli się do roboty. Frontis i Kityssoros, najzłośliwsi z całej tej czwórki, zmusili mnie, abym przywłaszczyła sobie runo ze świątyni Prometeusza i towarzyszyła im na grecki okręt: zagrozili, że jeśli odmówię, nie tylko mnie zamordują, ale otrują zarówno naszego ojca, jak ciebie, a potem przysięgną, że ja byłam trucicielką i popełniłam samobójstwo, by uniknąć kary. Powiedz, bracie, cóż innego mogłam uczynić, niż poddać się ich woli?

Nie udaję nawet, że cieszy mnie myśl o małżeństwie ze Styrusem, toteż chcąc tego uniknąć, popłynęłabym rada do Grecji, aby, o ile to możliwe, objąć tam tron Efiry, który mi odstąpiłeś. Lecz folgując w taki sposób naturalnym skłonnościom, bałabym się mściwego ducha naszego ojca. Zdaję sobie sprawę, że Styrus stanie się zaciekłym wrogiem mojej ukochanej Kolchidy, jeżeli nie wrócę go poślubić, zaś wiernym przyjacielem, skoro to zrobię. Pragnę więc wrócić i przysłużyć się dobrze swoim rodakom, jakiegokolwiek cierpienia przyjdzie mi znosić z tego powodu. Ocal mnie, drogi bracie, błagam! Jeśli dotrzymasz przysięgi, do której cię Jazon podstępnie nakłonił, jesteśmy zgubieni oboje. Bo chytry Grek Peleus, co udał się na dwór króla Scytów, przedstawi się tam (jak podśluchałam) jako syn ślepego króla Tynii, Fineusa, którego Scyta darzy najgłębszym szacunkiem, ma zaś w pogotowiu argumenty nieodparte dla scytyjskiego umysłu. Wyrok na pewno zapadnie po myśli Greków, co do tego nie żywię najlżejszych wątpliwości.

Po co ta mitręga? Złożoną przysięgą nie potrzebujesz się trapić, ponieważ władza trackiej Artemis nie sięga do Kolchidy, tak samo jak władza ojca Zeusa.

Ona nie jest odwieczną Artemidą tauryjską, której plemię naszej matki składa cudzoziemców w ofierze, wbijając ich głowy na palisadę naokoło domostw; to samozwańcze bóstwo – siostra demona myszy, Apollina, urodzona już za ludzkiej pamięci na egejskiej wyspie Delos – a jej kult niedawno rozszerzył się w Tracji zawleczony tam przez okręty kupieckie. Bądź przeto mężny. O północy przyjedź

potajemnie czółnem, aby zabrać mnie z wyspy razem z runem, a jednocześnie wziąć pomstę na morderczyni naszego ojca. Wskaże ci drogę lampa, którą umieszczę w oknie chaty. Przyjedź sam. Lecz nie próbuj mnie znowu zabierać na kolchidzki okręt. Lękam się o nasze życie, gdyby wszczął się nagły alarm i Argonauci sięgnęli po łuki. Lepiej odpłynmy czółnem na południe; potem niech okręty podążą za nami i wezmą nas na pokład w pewnej odległości od wyspy”.

Absyrtos wysłuchał uważnie i zapytał: – Jaki masz dowód, że jesteś wysłannikiem Medei i że tego, co powtarzasz, sam nie wymyśliłeś?

Melanion wręczył Absyrtosowi pukiel złotych włosów Medei, który Absyrtos uznał za rękojmię jej rzetelnych zamiarów, i schował do sakwy; podobnie jak swego czasu dodońscy kapłani przyjęli pukiel włosów Jazona w zakład jego obiecanych darów dla Zeusa.

– Ale czego dotyczy propozycja i o jakiej to prośbie wspomniałeś, siostrzeńcze?

– zapytał Absyrtos.

Jestem przekonany, że mi wybaczysz, dostojny panie – odparł Melanion –

dawne szaleństwo i wrogość wobec ciebie. Sprowadzili mnie na manowce dwaj starsi bracia. Argios i ja nie jesteśmy złośliwi, a teraz nie pragniemy jechać do Grecji, nawet gdyby Jazon mógł spełnić obietnicę i zapewnić nam nasze beockie dziedzictwo; my obaj bowiem jesteśmy najmłodszy i dwaj starsi zawsze spiskowali przeciw nam, by nas utrzymać w nędzy. Frontis i Kityssoros, mając pierwszeństwo wyboru miast i ziem, wezmą, jeśliby do tego doszło, skórę, mięso i słoninę, nam zaś pozostawią kopyta, bebechy i gnaty. Moja propozycja brzmi tak: Argios i ja zgodzimy się na

ochotnika stać dziś nocą na wachcie, aby zarówno twoja wyprawa czółnem, jak i potem ucieczka twych okrętów mogła ujść oku Greków. W ostatniej chwili my obaj zsuniemy się po burcie *Argo* i wciągną nas na pokład twego własnego okrętu. Moja prośba brzmi zaś: w zamian za wierną służbę mianujesz łaskawie Argiosa najwyższym admirałem, a mnie dowódcą gwardii pałacowej.

– Przyjmuję propozycję – rzekł Absyrtos – i jak najprzychylniej rozważę prośbę, skoro tylko osiągnę trzy rzeczy, które mi obiecałeś: runo, siostrę i pomstę na zabójczyni mego ojca. Świadom, że Atalanta czyni teraz tracką Artemis, zamiast siebie, odpowiedzialną za mord, uważam się za usprawiedliwionego, łamiąc przysięgę, jaką złożyłem w imię bogini. Cóż jestem winien bóstwu, które zesłało na nasz dom tę wielką i niezasłużoną krzywdę?

Melanion wrócił na *Argo* i zapewnił Jazona, że wszystko w porządku.

O zmroku wysłano Autolikosa, by odzyskał pukiel włosów Medei z sakwy Absyrtosa i zastąpił go długim pasmem żółtej przędzy; wykonał swoje zadanie bez trudu, bo był nad podziw zręczny w palcach. Powiadają, że umiał pozbawić kogoś zębów albo uszu tak szybko i wprawnie, że ofiara dopiero w parę godzin później uświadamiała sobie stratę. Jednak Autolikos nie został wciągnięty do spisku na życie Absyrtosa: tylko Jazon, Medea, Melanion i Atalanta wiedzieli, co się święci.

Tego wieczora Argonauci pozorowali niepomiarowaną pijatykę.

Wyśpiewywali hulaszczce piosenki, walili kijami i ogryzionymi kośćmi w kocioł

okrętowy i głośno bębnilo piętami po deskach pokładu. Idas wyrzaskiwał

w kółko: – Jazonie, Jazonie, aleś ty się zalał! – Na co czarownik Peryklimenos, naśladując do złudzenia głos Jazona, odpowiadał: – Cicho bracie, jestem trzeźwy niczym nimfa wodna! – Wkrótce potem wszyscy oprócz wachtujących Argiosa i Melaniona udali, że zasypiają.

Całe przedstawienie było fortelem, by ukryć nieobecność dwóch spośród nich: Jazona oraz Eufemosa z Tajnaron. Schowali się obaj w gąszczu, a skoro tylko zmrok dostatecznie zgęstniał, mężny Eufemos bezszelestnie dał nura w morze i dopłynął do przeciwległego wybrzeża, gdzie uwiązano do pala kilka brygijskich łódek z foczej skóry. Zabrał jedną z nich i powiosłował z powrotem tam, gdzie czekał Jazon. Noc czarna, brzemenna ulewą, bardzo odpowiadała Jazonowi: wdrapał się na łódkę, ujął dwupióre wiosło, po czym kierując się lampą niebawem znalazł się na piasku Wyspy Artemidy i bez słowa chwycił Medeę w objęcia.

Powiodła go do chaty, gdzie pątnicy odwiedzający wyrocznie zwykli oczekiwać na oznajmienie woli kapłanki, i rzekła:

– To jest posłanie, na którym masz się położyć. Derki okryją cię całego. Tylko żeby miecza nie było widać. On może przynieść ze sobą lampę.

Jazon odparł z uśmiechem: – Melanion powiada, że przełknął twoją historyjkę równie gładko jak Bootes ten trujący miód.

Medea westchnęła i przygryzła paznokcie. – Powinniśmy byli zostawić Pszczelarza własnemu

losowi. Jego łakomstwo przywiodło nas do wielu zbrodni.

– Nie jesteśmy winni niczyjej krwi – wtrącił Jazon spiesznie. – Nie okazuj słabości, najcudniejsza, bo tylko ludzie nieugiętego serca zdołają bezpiecznie dowieźć runo do Grecji. Czy już nie pragniesz nam towarzyszyć? Powrotna droga do Kolchidy nadal leży przed tobą otworem. Jeżeli wolisz wracać, czy to z pobożności, czy ze strachu, nie stanę ci na przeszkodzie, choćbym gorzko bolał nad utratą ciebie. Ale zrozum jedno: muszę zatrzymać runo za wszelką cenę.

– Runo, wiecznie to runo! – zawołała Medea. – Mogłabym cię znienawidzić, tak jak nienawidzę erynii, gdybym cię tak bez pamięci nie kochała. Nie, nie, pójdę za tobą na koniec świata, ani krew mego ojca, ani krew mego brata nas nie rozdzieli i nie zapobiegnie naszym zaślubinom. Pocałuj mnie jeszcze, Jazonie, pocałuj! Jedyne z twoich ust mogę czerpać odwagę do nieuniknionego czynu.

Całował ją jeszcze i jeszcze, chłonąc nozdrzami słodką woń jej włosów i skóry.

Przymknęła oczy i z rozkoszy popiskiwała niczym psiak.

Po chwili odsunął się od niej i ległszy na posłaniu, naciągnął na siebie derki.

Tak samotny z mieczem pod ręką, czekał nadejścia Absyrtosa.

Atalanty nie było nigdzie widać. Po chwili jej głos doleciał doń wyraźnie ze świątyni: zabawiała kapłankę sprawozdaniem z podróży. Słuchaczce najbardziej się podobała historia kobiet lemnijskich i Jazon słyszał, jak wykrzykuje ze skrzekliwym śmiechem: – Ach, głuptasy! Głuptasy! Czemu nie doceniły, jak dobrze im się wiodło bez mężczyzn! – Potem usłyszał, że Medea idzie do świątyni uciszyć Atalantę, bo Absyrtos powinien był uwierzyć, że znajduje się ona w chacie.

Ubiegła tak przeszło godzina i wyteżając uszy, pochwycił cichy dźwięk głosów rozmawiających swiergotliwie w języku kolchidzkim: byli to Absyrtos i Medea.

Skradali się ku niemu ścieżką. Głos Medei brzmiał miękko i ulegle, głos Absyrtosa gorzko i mściwie. Jazonowi zdawało się, że powiedziała: – Nie lękaj się, bracie.

Atalanta to kobieta i jest bezbronna. – Na co Absyrtos odrzekł: – Gdyby to był sam Herkules z łukiem i spiżem okutą maczugą, nie będę się wzdragał. Ręczę, że mi nie umknie.

Absyrtos zbliżył się z wolna. Przystanął w progu i szeptem odmówił coś w rodzaju modlitwy do ducha swego ojca Ajetesza, przeznaczając dlań tę ofiarę.

Modlitwa dobiegła końca i Jazon usłyszał szcęk oręża o zbroję, gdy Absyrtos po omacku brnął przez izbę.

Jazon zerwał się z mieczem w prawej dłoni i z podwójnie zwiniętą opończą miast tarczy na lewej. Absyrtos odstąpił krok w tył, lecz Jazon, który dostrzegł jego sylwetkę na tle drzwi, skoczył za nim i ugodził go w pachwinę, tak że tamten zawył

z bólu i upuścił miecz. Jazon zwarł się z nim, powalił go na ziemię i głębokim pchnięciem magnezyjskiego noża myśliwskiego przeciął mu główną aortę szyi, aż krew bluznęła ciepłą fontanną.

– Szybko przynieś światło! – zawołał do Medei, skoro Absyrtos znieruchomiał.

Wniosła lampę, ale zakryła oczy od widoku krwi. Jazon siadł okrakiem na trupie i wykrzyknął do niego śmiało: – Jestem niewinny, królu Absyrtosie. Tyś pierwszy złamał przysięgę, jaką składaliśmy obaj. Zobowiązałeś się nie podnieść ręki na żadnego Argonautę, a przecie ruszyłeś z żelazem w dłoni przeciwko mnie.

Ja obroniłem się tylko przed twoją napaścią.

Świadom w głębi serca, że popełnił zdradziecki mord, obciął uszy, nos oraz palce rąk i nóg Absyrtosa, po czym trzykroć liznął nieco bluzgającej krwi i trzykroć wypluł ją z okrzykiem: – To nie ja, duchu! Nie ja! – Obciął uszy i nos, aby duch nie zdołał go wytropić węchem ani słuchem; wydłubał mu jeszcze oczy, aby go oślepić; odkroił podeszwy jego stóp, by nie mógł go ścigać bez bólu. Palce wyrzucił przez okno w trzciny na moczarach, żeby sprawić Kolchom możliwie dużo kłopotu z ich szukaniem.

Wreszcie wyszedł stamtąd, a twarz i ręce miał unurzane we krwi. Medea wzdrygnęła się na ten widok z niepohamowaną odrazą, on zaś powiedział karcąco:

– Księżniczko, i na twojej sukni widnieje krew.

Nic nie odrzekła, zawołała tylko Atalantę ze świątyni. – Przynieś runo –

poleciała – i chodź za mną!

Stara kapłanka też wykuśtykała na dwór i zapytała: – Czyżbym słyszała krzyk?

– Szlachetna pani – odparła Medea – bogini Artemis wzięła pomstę na bluźniercy.

Wachtowi Kolchów, wyglądający powrotu Absyrtosa, dosłyszeli plusk wiosel

i okrzyknęli: – Łódź, ahój!

Medea odezwała się: – To ja. Królowa Medea. Kolchowie, słuchajcie mnie wszyscy, słuchajcie karnie swojej nowej królowej. Mój brat, król Absyrtos, nie żyje i ja tylko pozostałam z królewskiego rodu. Niebaczny na przysięgę, jaką złożył

Grekowi Jazonowi na imię trackiej Artemis, władczyni tych stron, ukradkiem przybył nocą, by wziąć pomstę na mojej towarzyszce, dziewicy Atalancie, którą niesłusznie oskarżył o zamordowanie ojca. Kiedy z mieczem w ręku zakradł się do chaty, gdzieśmy obie leżały, byłam świadkiem cudu. Nadzwyczaj wysoka i niesłychanej urody kobieta w powłóczystej szacie, najwyraźniej sama tracka bogini, wyłoniła się nie wiadomo skąd i przeszła oszczepem gardło mego brata, wołając: „Nędzniku, czyżbyś śmiał zamordować dziewiczą łowczynię Artemidy na jej własnej wyspie?” A potem silną dłonią odrąbała mu kończyny, posługując się jego mieczem, tak że legł w kałuży krwi.



Krew, bluzgając na wszystkie strony, popryskała mi szaty.

Słuchajcie dalej, Kolchowie! Jestem waszą królową i jakiegokolwiek wam wydam rozkazy, muszą one być wykonane. Po pierwsze żądam, abyście tu pozostali przez dziewięć dni, poczynając od jutrzejszego świtu, z racji żałoby i dla wyprawienia pogrzebu memu bratu Absyrtosowi. Pozbierajcie troskliwie jego rozsypane kości (nie część tylko, lecz wszystkie) i odwieźcie je w białej końskiej skórze do Kolchidy, do mego stołecznego miasta Ai, gdzie ja dopłynę wcześniej od was. Co do tych Greków, zamierzam puścić ich wolno, zwracając im runo, które ukradł

Fryksos, mąż mojej siostry; a zrobię ten podarek nie ze słabości ani tchórzostwa, a z obawy, żeby szkodliwe właściwości tego przedmiotu nie spowodowały śmierci trzeciego członka naszego królewskiego rodu, czyli mnie. Postawię wszakże pewien warunek: oni muszą zawieźć mnie ze sobą do Kolchidy, zanim odpłyną z powrotem do swojej ojczyzny. Zdaję sobie bowiem sprawę z waszych religijnych skrupułów, żeglarze, i szanuję je.

Uważacie, że to zły omen wziąć kobietę na pokład któregośkolwiek okrętu, dwakroć jeszcze gorsze, jeśli to kapłanka bogini śmierci, zaś trzykroć gorszy, kiedy przypadkiem jej szatę, jak oto moją, plami krew rodzonego brata.

Kolchowie w osłupieniu przysłuchiwali się Medei i żaden nie śmiał się odezwać. Wtedy wykrzyknęła:

– Mój siostrzeńcze Melanionie, ty, co stoisz na wachcie na greckim okręcie!

Obudź swego dowódcę, księcia Jazona, i spytaj, czy przyjmie ugode, jaką proponuję.

Melanion udał, że zasięga rady Jazona, a potem odpowiedział po kolchidzku, że Jazon się zgadza, ale pod warunkiem, że będzie mógł najpierw zabrać z wyspy Atalantę, później zaś popłynąć w górę Danuby, aby dogonić Peleusa i wziąć go na pokład: nie może bowiem opuścić żadnego z towarzyszy.

Medea robiła wrażenie zniecierpliwionej, lecz potem ustąpiła. Weszła na pokład *Argo* wołając, że im prędzej odpłyną, tym lepiej, jeśli chcą przyłapać Peleusa. Argonauci więc wciągnęli na okręt kamienie kotwiczne i powiosłowali w ciemność bez słowa, gdy tymczasem za nimi podniósł się powolny lament żałobny pozbawionych wodza kolchidzkich żeglarzy, niby wycie głodnych wilków przy księżycu.

Ankajos sterował w stronę Wyspy Wyroczeni, kiedy zaś kil otarł się o piasek, spuścił trap. Najpierw Atalanta z runem w objęciach, za nią Jazon wspięli się na pokład. Z wybrzeża dobiegł skrzekliwy śmiech i powtarzane w kółko pożegnania kapłanki, która trackim akcentem wykrzykiwała wesoło: – Porznę go na kawałki...

porznę go na kawałki... już nigdy nie zostaną złączone!

Argonauci, słysząc to, zadrżeli. Odgadli, że ona sama była wieszczym żurawiem, a doprawdy z tym długim nosem i chudymi nogami całkiem na niego wyglądała. Radzi byli opuścić krwawą wysepkę i rozpiąć żagiel na ostry północny wiatr.

## JAZON WYGNANY Z ARGO

O brzasku Argonauci znaleźli Peleusa: czekał na nich w brygijskiej osadzie.

Gdy wdrapał się po drabinie, Admetos go spytał: – Jeszcześ tutaj? A co z kolchidzkim wiceadmirałem?

Peleus odparł zwięźle: – Pożyczyliśmy łódkę i wyruszyli. Ale wiceadmirał wspomniał mi, że nie umie pływać. – Urwał.

– Ach, rozumiem – powiedział Admetos. – Zdaje mi się, że to jeszcze jeden z twoich nieszczęśliwych wypadków.

– Moje życie roi się od nich. Natykam się na nie na każdym kroku – przyznał

Peleus czerwieniąc się – od czasu kiedy dawno temu na Ajginie skrzydlaty demon zawrócił mój krążek z właściwej drogi i zabił mego nieszczęsnego przyrodniego brata. A wczoraj chwiejność czółna oraz rwący prąd bezkrwawo pozbawiły życia tego Kolcha. – Potem zwrócił się do Jazona i Medei: – Powiedzcie mi, błogosławieni, jakżeście się zdołali pozbyć naszych ciemieżców? Czy Eufemos znowu pożyczył świdra ze skrzynki z narzędziami Argosa? I czyście przywieźli runo ze sobą?

Skoro Jazon wstał, by pokazać zdobycz, wścibskie promienie słońca padły na jego zakrwawiony chiton, ochlapane nogi i bryzgi krwi w jasnej czuprynie.

Peleus wykrzywił się paskudnie i rzekł: – Zdaje się, Jazonie, żeś też miał

nieszczęśliwy wypadek, i to nie bezkrwawy. A może składałeś o północy ofiarę bóstwu podziemi?

Żaden z Argonautów, prócz Atalanty oraz dwóch synów Fryksosa, nie wiedział, że Jazon zamordował Absyrtosa, choć wszyscy wiedzieli, że potajemnie odwiedził

był wyspę, aby zabezpieczyć runo. Widok krwi zdumiał ich i wstrząsnął, czekali więc w milczeniu, co Jazon odpowie.

Nic nie odpowiedział.

Medea uśmiechnęła się w stronę rzędu zapełnionych ław i rzekła: – Dalej, moi drodzy, płynmy, dopóki dmie ta bryza. Niechaj nikt z was nie sądzi, że mówiłam serio, żądając, abyście mnie odwieźli do Ai, zanim wrócicie do Grecji. Nic mnie nie obchodzi, choćby całe królestwo Kolchidy miało pochłonać trzęsienie ziemi lub zalać potop. *Argo* płynie prosto do Jolkos. Dalej, odepchniemy się od brzegu!

Nikt się nie poruszył. Wszyscy utkwili oczy w jej sukni, na lewym boku popryskanej krwią.

Atalanta spytała: – Co was wstrzymuje, towarzysze? Czemu żaden z was ani drgnie?

Skrzypliwy głos Askalafa z Orchomenos przerwał długie milczenie. – Słyszę od dziobu dziwacznym śpiewnym głosem – oznajmił. – Czyżby szedł z wyroczej dębowej gałęzi Zeusa, która odezwała się do nas poprzednim razem i rozproszyła nasze wątpliwości?

– To tylko brzęczenie much albo wiatr w olinowaniu – orzekł Echion, zazdrosny o wszelkie wyroczenie, jakie nie pochodziły od jego ojca Hermesa.

Wróżbita Mopsos wdrapał się na dziób, ostrożnie ogarniając przyodziewek, kiedy mijał Medeę, aby się nie skalać. Posłuchał z uwagą, na koniec skinął głową i oświadczył:

– Gałąź powiada: „Tych, którzy w otwartej bitwie zabiją moich nieprzyjaciół, zapraszam, by zasiedli we właściwym porządku na pięknej roboty ławach tego okrętu; na tych jednak, co wzięli udział w zdradzieckim mordzie, choćby uknutym z najsprawiedliwszych pobudek, rzucam przekleństwo i niełaskę. Jeżeli natychmiast nie opuszczą pokładu, porażę piorunem zarówno ich, jak i okręt i cisnę wszystkich Argonautów na dno, na zatracenie. Muszą odejść, muszą odejść i nie wolno im wracać, dopóki się całkowicie nie oczyszczą z winy. Ha! Węszę krew na złotych rogach mojego runa. Nie przyjmę skrwawionego runa, choćby ta krew spłynęła z gardeł moich wrogów. Zabierzcie czerwień i złoto z okrętu i niechaj mi ich nie przynoszą, dopóki nie zostaną obmyte w siedmiu rzekach wpadających do siedmiu różnych mórz”.

Na odległych szczytach góry Hajmos warkliwie przetoczył się grzmot, mimo że dzień był bezchmurny, potwierdzając prawdziwość wyroczeni.

Jazon i Medea bez słowa zgarnęli trochę dobytku oraz runo i zeszli po drabinie.

Mopsos zapytał Atalantę: – Czyś nie brała udziału w morderstwie?

– Byłam pomocnicą, nie sprawczynią – odparła. – Nie ma krwi na moim ciele ani na włosach, ani na odzieży.

– Ale parę kropel mogło ujść twojej uwagi – wtrącił Eurydamas Dolopijczyk. –

Nie pozwolę ci zostać na pokładzie.

– Jeśli Atalanta idzie, ja też pójdę – rzekł Meleager.

– Idź w pokoju – odparł Eurydamas. – I weź ze sobą Melaniona, który, choć nie stawił nogi na Wyspie Wyroczeni, ponosi, moim zdaniem, jeszcze większą winę niż Atalanta.

– Idź w pokoju, Meleagrze – zawtórowali mu Argonauci. Atalanta, Meleager i Melanion opuścili *Argo*, a Meleager powiedział:

– Idę z własnej chęci, nie z musu; wzywam was jednak na świadków wobec Apollina, że nie jestem uciekinierem, bo życzyście sobie wszyscy, abym odszedł

w pokoju. Gdzie spotkamy się znowu?

Argos wyjaśnił: – Gdzieżby, jeśli nie w Ajai, mieście Kirke? Ona, jako siostra zamordowanego Ajetesesa i ciotka zamordowanego Absyrtosa, to jedyna żyjąca osoba, która może dokonać oczyszczenia winnych. Odprowadź ich do jej pałacu, razem z runem, drogą, jakąśmy uzgodnili na ostatniej radzie, i namów, aby obmyła ich z grzechu.

Jeszcze jeden odległy grzmot przydał wagi słowom Argosa.

Meleager rzekł: – Doskonale, towarzysze. Życzę szczęśliwej podróży oraz pomyślnej ucieczki przed Arasem, najwyższym admirałem, co czatuje na was pod Troją, a także przed jego nieprzejednanymi sojusznikami Trojanami. Sądzę, że postępujecie niemądrze, wypędzając od siebie Medeę, ponieważ tylko ona, jako królowa Kolchidy, może zmusić Arasa do posłuszeństwa.

– Nie lękam się o *Argo* – rzekł Argos – dopóki żadnego zła nie ma na jej pokładzie. Znajdujemy się pod opieką pięciorga bóstw: Ateny, pod której kierownictwem zbudowałem ten wspaniały okręt; Zeusa, którego gałąź właśnie nam udzieliła rady i którego potwierdzający grzmot dwakroć przetoczył się w stronie Hajmos; Posejdona, po którego kapryśnym żywiole żeglowaliśmy i nadal musimy żeglować; Artemidy, której żuraw niedawno dał nam w nieszczęściu pocieszającą przepowiednię; oraz Apollina, którego Artemis nazywa bratem i któremu składaliśmy ofiary na Leuce, kiedyśmy wyszli na brzeg tej uroczej wysepki.

Ze swego posłania na dziobie Orfeusz skarcił Argosa, mówiąc słabym głosem:

– Argosie, synu Hestora, nie pomijaj Wielkiej Bogini, na której możemy polegać.

Argos pospiesznie odparł: – Nie ma potrzeby wymawiać naszymi niegodnymi wargami jej imienia; od czasu pobytu na Samotrace tętni nam ono w piersi niby młot cieśli okrętowego.

Odepchnęli tedy okręt, pozdrawiając tylko Meleagra, nie chcieli bowiem ściągnąć na siebie niechęci ducha Absyrtosa. Bez wahania też obrali Argosa dowódcą.

Żeglowali wzdłuż zachodnich wybrzeży Morza Czarnego już bez przygód.

Brzegi nadal ciągnęły się niskie, aż na trzeci dzień dotarli w pobliże Hajmos, po czym stały się umiarkowanie wysokie, ze stromymi pagórkami w głębi. Wiatry wiały słabe, ale przychylne, i piątego dnia *Argo* okrążyła zalesiony przylądek o spadzistych, żółtych brzegach i zawinęła do Salmidessos, letniej stolicy króla Fineusa. Wszyscy Argonauci wysiedli na ląd, a Fineus – znowu czerstwy i żwawy od czasu zmiany pożywienia – postukując laską pospieszył przez dziedziniec na ich spotkanie i zapłakał w objęciach swych przybranych synów, Kalaisa i Dzetesa.

Kiedy opowiedzieli mu pokrótce cały przebieg podróży, rzekł: – Wracajcie spiesznie do domu, drodzy synowie, skoro tylko runo okryje bezpiecznie dębową podobiznę lafistiańskiego tryka.

Obiecali tak uczynić, zauważyli jednak: – Czekają nas jeszcze różne niebezpieczeństwa. Jak zdołamy ująć cało naszym nieprzyjaciołom Kolchom oraz ich sprzymierzeńcom Trojanom?

Fineus odparł: – Nie ma z wami ani Atalanty, ani Medei, ani Jazona, nie wywozicie też runa. Czego się bać ze strony Kolchów? Co do Trojan, okręt wasz nie zawiera towarów, które by mogły

wzbudzić ich zawiść; kiedy zaś powiadomicie ich, że zarówno Ajetes, jak Absyrtos nie żyją, a tron Kolchidy jest wolny, pobłogosławią was i ugoszczą jako zwiastunów dobrych wieści. Ręczę, że niedole Kolchidy będą brzmiały radośnie w ich uszach, bo Ajetes często ich zmuszał do niekorzystnych transakcji i ograniczył ich kontakty handlowe z kilkoma krajami na wybrzeżach Morza Czarnego.

Tak więc Argonauci, uspokojeni i wypoczęci, ochoczo wyruszyli w dalszą drogę. Lecz płynęli bez Orfeusza, który niedomagał, odkąd opuścili Kolchidę, i nie grał im ani razu od tej pory. Skoro Fineus zobowiązał się go wyleczyć kąpielami i środkami przeczyszczającymi, a potem wysłać bezpiecznie do rodzinnego kraju z odpowiednią eskortą, towarzysze zwolnili go z przysięgi, że z nimi zostanie.

Następnego dnia wieczorem dotarli do bezludnej okolicy porosłej krzewami głogu, splątanym poszyciem i karłowatymi dębami – ujścia jeziora Delkos. Tam, na plaży pokrytej połyskliwym, białym piaskiem, ofiarowali bogini Atenie dwie owce przywiezione ze sobą z Salmidessos, błagając, podczas gdy krew tryskała, aby znowu przeprowadziła ich bezpiecznie przez Symplegady.

Prąd Bosforu rwał jeszcze bystrzej niż poprzednio, a choć żałowali, że Tyfis nie żyje i nie może im sterować, Długi Ankajos, polegając na wskazówkach króla Fineusa, ufnie ujął za rudel. Przelecieli cieśninę bez przeszkód w trzy godziny albo i mniej, i niebawem z wesołą pieśnią żeglowali wzdłuż północnych wybrzeży Propontydy. Ich pierwszym miejscem postoju była obszerna osłonięta zatoka, gdzie leży ujście rzeki Atyras, na ziemiach króla Fineusa; następnym – piaszczysty brzeg w cieniu Świętej Góry; wreszcie trzecim – zatoka koło Sestos. Tu po raz pierwszy miejsce postoju w drodze powrotnej wypadło tam, gdzie miejsce postoju podróży w tamtą stronę, a przeznaczenie chciało, że i po raz ostatni.

Wczesnym rankiem sunęli chyżo przez Hellespont, słońce grzało na niebie i woda lśniła błękitno niby lapoliszuli; lecz świeża, zielona trawa na brzegach miała wygląd zwiędły i spieczony, jako że lato było już w pełni. Słup dymu buchnął

z trojańskiego Dardanos, kiedy je mijali, a następny z wieży strażniczej o paręnaście stajań w dół nurtu. Popatrzyli po sobie z ukosa, założyli zbroje i trzymali oręż w pogotowiu w obawie najgorszego.

Niebawem dostrzegli cztery czy pięć okrętów wyłaniających się z ujścia rzeki Skamander. Linkeus wyjaśnił: – To okręty kolchidzkie, flotylla Arasa. Ale nigdzie w pobliżu nie widzę okrętów trojańskich, ani na brzegu, ani na wodzie.

Frontis, syn Fryksosa, zwrócił się do Argosa: – Aras, najwyższy admirał, spędził wiele lat w Perkote jako jeniec wojenny, rozumie przeto po grecku. Niech herold Echion mówi za nas. Bez wątpienia Hermes, jego boski ojciec, nakładzie mu znowu w usta kupę łgarstw.

Idas na to ryknął śmiechem, zaś Echion się obraził. – Z mego ojca Hermesa –

odparł – nie wolno lekkomyślnie pokpiwać. Potrafi być tak wymowny, iż zdoła zwieść za pomocą prawdy równie dobrze jak za pomocą kłamstw. Posłuchaj, to przekonasz się, że powiem temu Kolchowi nic prócz najczystszej prawdy; a jednak przesłonię mu oczy nieprzeniknioną zasłoną fałszu.

– To mówiąc, przywdział

uroczyste szaty i wzięwszy w rękę oplataną różdżkę swego urzędu, dostojnie stanął na dziobie. Dźwięcznym głosem okrzyknął Arasa z daleka.

– Mężny Arasie – wołał – niesiemy ci dobre wieści. Twoja eskadra spełniła już wyznaczone zadanie bez ryzyka ani krwi przelewu, teraz przeto może z honorem wracać do domu. Twój wytrwały i roztropny król Absyrtos ścigał nasz okręt po spienionych falach Morza Czarnego i na koniec osaczył na jeziorze: Jeziorze Żurawim, które leży paręnaście stajañ w górę biegu Koprowego Nurtu, bardziej północnego z dwojga szerokich ramion, jakie formują deltę danubijską. Skoro byliśmy zdani na jego łaskę, Absyrtos zażądał od nas trzech rzeczy: abyśmy oddali jego siostrę Medeę i zwrócili złote runo do świątyni Prometeusza oraz umożliwili mu krwawą zemstę na naszej towarzyszcze, Atalancie z Kalidonu, której niewdzięczny oszczep przeszył trzewia twego poprzedniego władcy, świetnego Ajetesa. Byliśmy w pojedynkę przeciw dwunastu okrętom. Jakiś mogli nie ustąpić? Tak wszakże rozsierdził się na nas twój król, że krew, krew monarsza popłynęła strugą, nim zdołaliśmy zapobiec kłótni. Niestety więc, nie tylko Atalanta i księżniczka Medea opuściły *Argo*, lecz także nie ujrzyś więcej wśród nas Jazona, następcy króla Ftiotis Ajzona, ani Meleagra, następcy króla Ojneusa z arkadyjskiego Kalidonu, ani też nawet Melaniona, wnuka nieboszczyka Ajetesa.

Niech ten maszt runie i zdruzgocze mi czaszkę, jeśli ci skłamałem! Wejdz na pokład, zapraszam cię, panie ze słoną brodą, aby zobaczyć samemu, że nie ukrywamy przed tobą runa ani żadnej z osób, które wymieniłem. Oszczędzono nas.

Wracamy do Grecji z pustymi rękami, pod innym dowódcą, a gdy historia naszych przygód obiegnie Grecję, wzbudzi tam śmiech, nie sądzisz? Bądź pewien, że po tym, cośmy widzieli i wycierpieli, żaden z nas już nie zechce stawić czoła okropnościom waszego niegościnnego morza.

Aras był człowiekiem podejrzliwym. Niewola w Perkote, w domu ojca Klejte, króla Meropsa, nauczyła go nie ufać żadnemu Grekowi i nie dowierzać wszystkim heroldom rozsyłanym przez kolegium Hermesa na górze Kylene. Zażądał, aby *Argo* stanęła, podczas gdy on podpływał.

Argos zatrzymał okręt i pozwolił wejść na pokład samemu Arasowi, ale nikomu więcej.

Aras dokładnie przeszukał okręt i przekonał się, że runa tam nie ma. Wykrył

podwójne dno skrytki pod siedzeniem sternika, lecz nic w niej nie było prócz paru bursztynowych paciorków i misternych diademów, w których rozpoznał własność Medei.

– To są rzeczy skradzione! – wykrzyknął.

– Nie, nie! – zawołał Peleus, który nigdy nie tracił głowy. – To moje. Sama księżniczka dała mi je na prezent dla żony w dowód wdzięczności za uprzejmość, jaką jej okazałem. Kiedy bowiem król Absyrtos nas dogonił, Jazon groził, że własnoręcznie zabije Medeę, o ile Absyrtos nie pozwoli mu zachować runa. Ale ja go powstrzymałem.

Aras kazał dwóm kolchidzkim majtkom, dobrym pływakom, dać nurka pod *Argo* i zbadać, czy runo

nie jest przypadkiem przybite do jej dna: fortel, jaki często stosowali kupcy, żeby zwieść trojańskich celników. Ale majtkowie nic nie znaleźli i Aras, acz niechętnie, musiał zaniechać poszukiwań. Czuł wyraźnie, że go oszukano, ale nie mógł się domyślić, na czym podstęp polega.

– Mężny Arasie – rzekł Echion – zanim odpłyniemy, czy zechcesz przyjąć ode mnie podarek? Jest to para nagolenników z brązu, które na twoje krzepkie nogi będą pasować lepiej niż na delikatne moje. Zdobyłem je, gdyśmy plądrowali pałac króla Bebryków, Amykosa. Przypominał cię z budowy, ale mniej miał bystrości –

i to upośledzenie okazało się dlań zgubne.

Aras rad przyjął nagolenniki. Kiedy się wspinał z powrotem na swój okręt, odezwał się do Argosa najkordialniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć: –

Ciekawym, czyście słyszeli, co się zdarzyło w Troi od czasu waszej ostatniej bytności na tych wodach?

– Nie – odparł Argos. – Powiedz mi, proszę! Ogromnie się interesuję losami tego sławnego miasta, z którym jako Atencyk wiele lat handlowałem.

Aras zaczął: – Jest taki Grek imieniem Herkules, musieliście o nim słyszeć...

– Masz na myśli Herkulesa z Tyryntu? – spytał Argos.

– Zdaje mi się, że się urodził w Tyryncie – odrzekł Aras. – A w każdym razie to ten Herkules, który kiedyś przyszedł do Amazonii i zabił królową Hipolitę: mąż olbrzymiego wzrostu i siły, z okutą spieżem maczugą oraz lwią skórą.

– Wszyscy znamy tego Herkulesa – wtrącił Argos. – Był członkiem naszej załogi podczas podróży w tamtą stronę.

– Herkulesa rozwścieczyła – ciągnął Aras – wieść, że Myzjanie wykradli mu przybranego syna Hylasa i z takiej czy innej przyczyny odesłali go do Troi. Udał

się zatem do Dolionów z Kyzikos oraz do władcy Perkote, a ponadto paru innych małych osad greckich nad Propontydą i zebrał flotyllę złożoną z sześciu okrętów.

Wpłynął z nimi nocą na Skamander, zaskoczył oraz spalił trojańską flotę i runąwszy na samą Troję (jego wielka maczuga zgruchotała w drzazgi główną bramę) zjawił się nagle w sali pałacowej króla Laomedonta, żądając zadośćuczynienia za swoje krzywdy. Laomedont, choć przerażony do utraty zmysłów, nie przypominał sobie, aby miał zrobić Herkulesowi jakąkolwiek krzywdę i dwornie go zapytał, na co się uskarża. Herkules zaczął długą opowieść o jakichś ludożerczych kłaczkach, które parę lat temu powierzył pieczy Laomedonta, a których mu nie oddano. Laomedont odrzekł, że doskonale przypomina sobie kłacze, teraz gdy Herkules o nich napomknął. Były w bardzo kiepskim stanie po przybyciu do Troi: w istocie bowiem Herkules nie tylko odmawiał im ludzkiego mięsa, co stanowiło ich pożywienie w stajniach poprzedniego trackiego właściciela, króla Bistonów,

Diomedesa, ale je zajeździł. Herkules kazał

Laomedontowi zaprzestać zniewag i wyznać, co się stało z kłaczami. Król Troi wyjaśnił, że zdechły niemal natychmiast. Herkules nazywał go kłamcą, ale oświadczył, że zadowoli się przyjęciem – zamiast tamtych ukradzionych – równej liczby kłaczy Ganimeda. Były to kłacze lakońskie, przysłane do Troi przez króla Eurysteusa jako okup za śmierć syna Laomedonta, Ganimeda, który zginął na morzu w potyczce z achajskimi rozbójnikami. Razem z podarkiem przysłała pocieszająca wieść, że duszę Ganimeda orzeł uniósł na grzbiecie na górę Olimp...

tak przynajmniej zeznali ci zbójce; niewątpliwie Zeus uczynił go swym nieśmiertelnym podczaszym.

– Dobrze pamiętam tę sprawę – rzekł Argos. – Ale czy Laomedont oddał kłacze Herkulesowi?

– Na nieszczęście się wzdragał – powiedział Aras. – To rozłościło popędliwego Herkulesa, który wtedy zapytał: „Gdzie Hylas, łajdaku?” Laomedont odparł, że nie zna nikogo o tym imieniu. Herkules na to, iż Hylas jest jego przybranym synem, a zarazem najpiękniejszym i najbardziej czarującym chłopcem na świecie.

Oskarżył Laomedonta o ukrywanie go gdzieś w mieście. W tym momencie jeden z synów króla, żądny sławy, spróbował zabić Herkulesa, staczając na niego z wieży ogromny głaz. Chybił celu, zaś Telamon z Ajginy, kamrat Herkulesa, przeszył

dzidą Laomedonta. Potem Herkules i jego ludzie złupili pałac oraz miasto i uprowadzili w niewolę co znaczących obywateli.

Ta opowieść niesłychanie ożywiła Argonautów. Argos zagadnął: – Kto teraz panuje w Troi?

Aras odparł: – Herkules upodobał sobie Priama, maleńkiego synka Laomedonta. Podniósł go i posadził na tronie ojca, mówiąc: „Króluj, dziecko.

Niech naród trojański znów rośnie pomału, tak jak ty, i osiągnie dojrzałą mądrość, kiedy ty ją osiągniesz”.

Potem Argos i Aras rozstali się wśród wielu wyrazów życzliwości. *Argo* obrała kurs na południe, w stronę Tenedos, zaś Aras oświadczył swoim kapitanom: –

W porządku. Płyniemy do domu.

Jednakże koło Sestos, w drodze powrotnej, przyśniło się Arasowi, że przychodzi do niego Ajetes, oburącz podtrzymując ranę na brzuchu, by nie wypadły wnętrzności, i woła gniewnie: „Arasie, dlaczego nie słuchasz moich rozkazów? Oddaj moich morderców w ręce sprawiedliwości. Odbierz runo”.

Aras we śnie odparł: „Zostałeś zamordowany, wasza dostojność, twój syn Absyrtos rządzi zamiast ciebie. Słucham jego rozkazów, nie twoich”.

Ajetes powtórzył głucho: „Dlaczego nie słuchasz moich rozkazów? Jestem martwy, ale moje rozkazy



pozostały w mocy. Oddaj moich zabójców w ręce sprawiedliwości. Odbierz runo”.

Aras we śnie zapytał: „Gdzież mam szukać zarówno runa, jak twoich morderców?”

Ajetes odrzekł: „Płyn do Ajai, do domu mojej siostry Kirke. Tam zastaniesz Atalantę, moją zabójczynię, oraz runo i moją zdradziecką córkę Medeę”.

Tedy Aras, obudziwszy się, zawrócił i zmienił kurs na daleką Ajaję, choć kapitanowie sarkali nań gorzko.

## **SPOTKANIE W AJAI**

Po złupieniu Troi Herkules w najlepszej zgodzie z Taltybiosem wrócił do Elidy na Peloponezie, gdzie z łatwością wykonał w ciągu jednego dnia – tak jak mu polecono – pracę oczyszczenia brudnych stajni króla Augiasza. Po prostu razami i pogrózkami zmusił służbę pałacową, aby odwróciła bieg dwóch pobliskich strumieni, które rwąc przez stajnie, zmyły wszystek gnój, a z nim parę sztuk bydła.

Potem wybrał się znów do Azji dalej szukać Hylasa i zemścić się na Kalaisie oraz Dzetesie. Wędrując przez Lidię, postanowił odpocząć opodal Sardes w przybytku jońskiego herosa Tmolosa, gdzie rośnie straszliwy węzownik, pnący się wyżej niż wzrost człowieka, o karmazynowych kielichach i szczerzym zapachu. Tamtejsza najwyższa kapłanka, Omfala, uczyniła go swym kochankiem, następnie zaś, jak powiadają, urodziła trojaczki – chłopców. Pozazdrościł jej przyjemnego i cichego życia.

– Jakże ty zdołasz stale żyć w zgodzie z sąsiadami i przyjaciółmi? – zapytał. –

Zdradź mi swój sekret!

– Spokój ducha zawisł na trzech wątych niteczkach – odparła.

– Co za niteczki? – nalegał.

– Rozwiąż zagadkę – rzekła. Ale tak się niecierpliwił, że mu wyjaśniła: – Wątła nić mleka dojonego z wymion naszych owiec i kóz; wątła nić struny, którą naciągam na moją lirę pelazgijską; wątła nić wełny u kołowrotka.

– Mleko pokrzepia – stwierdził Herkules – jeśli się je pije w dostatecznej ilości, i przyznaję, że nie jestem nieczuły na dźwięk liry. Ale powiedz mi coś więcej o przedzeniu: jak może kołowrotek sprowadzać spokój ducha?

Omfala zdziwiła się: – Czyż podobna, aby żadna kobieta spośród setek kobiet, z którymi obcowaleś, nigdy ci nie opisywała przyjemności jaką daje kądział?

Przecie żadne zajęcie na świecie ani w połowie tak nie koi jak to właśnie. Wirujący przęślik, obrotne wrzeciono, biała wełna, którą się skręca palcami w mocną i równą nitkę... to nad wyraz miłe zabawki. Przędąc człowiek śpiewa sobie cichutko albo gwarzy z przyjaciółmi, albo pozwala myślom

błądzić wedle woli...

– Chciałbym spróbować – powiedział Herkules z zapałem – jeśliś pewna, że nie połamię wszystkich twoich wrzecion i przęślików. Jako dziecko nie miałem szczęścia do lekcji muzyki.

Tak to Omfala nauczyła Herkulesa prząść. Okazał się pojętny i wyciągał

mocną, znakomitej jakości nić. Wyznał, że zawsze pragnął być kobietą, a teraz zrozumiał wreszcie, ile uciechy go ominęło. Omfala ubrała go w niewieście szaty, umyła, rozczesała, zaplotła jego splecione włosy i przewiązała warkocze błękitnymi wstążkami. Czuł się w tej świątyni szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem, bo duchy dzieci, nie rozpoznawszy go w nowym stroju, na razie przestały go dręczyć.

Taltybios również zgubił ślad, a ponieważ świątynia stanowiła sanktuarium, gdzie nawet herold nie miał prawa wstępu, Herkules mógłby tam przebywać bezpiecznie całymi miesiącami i latami, gdyby nie nadeszły wieści z nadmorskiego miasta Teos, że *Argo* zawinęła tam celem naprawy. Po drodze z Tenedos, wzdłuż wybrzeża, zawadziła o podwodną rafę i tylko nieustannie wylewając wodę, Argonauci zdołali dobić do portu i wylądować; poszycie na dziobie zostało z lewej strony zerwane. Skoro Herkules usłyszał nowinę, cisnął wrzeciono w kąt podwórza, zdarł z siebie kieckę, porwał maczugę, łuk oraz lwią skórę i z furią popędził ku morzu.

Nic by Argonauci nie wskórali, wysyłając Echiona naprzód, by przejednał

Herkulesa. W lezbijskiej Metymnie ostrzeżono Kalaisa i Dzetesa, że Herkules zamierza ich zabić, ponieważ namówili Jazona, aby go porzucił opodal ujścia Kiany. Gdy tylko jego potężna sylwetka ukazała się ich oczom, powyskakiwali z okrętu i z niebywałą szybkością pognali w górę rzeki, dając zygzakowate susy, aby go zmylić. Lecz Herkulesowi wystarczyło posłać dwie strzały, by obaj padli, każdy przeszyty poniżej prawej łopatki, i skonali na miejscu. Herkules tedy został

w pełni pomszczony i z uśmiechem podszedł przywitać się z resztą Argonautów, a przewiązane błękitnymi wstążkami warkocze podskakiwały mu na barkach.

Uściskał Admeta i Akastosa i powiedział: – Drodzy towarzysze, zaklinam was, spróbujcie przedzenia. Nie ma na świecie czynności równie kojącej.

Odpowiedzieli wymijająco i już miał zamiar siłą ich nakłaniać do tej niemęskiej rozrywki, gdy na szczęście mu w tym przeszkadzono. Herold Taltybios wysiadł

z argiwskiego okrętu, który właśnie przycumował do mola, i z miejsca zwrócił się do Herkulesa w te słowa:

– Bywaj, najszlachetniejszy Herkulesie! Król Eurysteus przesyła ukłony: ma dla ciebie do wykonania nową pracę. Nie jest zadowolony ze sposobu, w jaki oczyściłeś stajnie króla Elidy, Augiasza Elejczyka, boś nie dokonał tego własnoręcznie; sami Elejczycy wszystko wykopali motykami, odgarnęli i zrobili tamę. Musisz podjąć w zamian nową pracę.

– Na święte węże, gnojku! – wykrzyknął Herkules. – Uważam, że to najniesłuszniejszy zarzut, jaki w

zyciu usłyszałem! Najpierw zabraniają mi dogonić Augiasza i poprosić, żeby pozwolił uprzątnąć stajnie, a skoro wobec tego, nie chcąc obrazić starego towarzysza jakąkolwiek samowolą, skłaniam jego sługi, aby wypełnili zadanie, powiadają, że je wykonałem niewłaściwie. Co na to powiesz, królu Augiaszu? Czy niesłusznie postąpiłem? Ty to możesz stwierdzić, nie Eurysteus.

Augiasz odparł nerwowo, że owszem, postąpił doprawdy znakomicie.

– Ano, gnojku, słyszysz, co on mówi – rzekł Herkules. – Ale zresztą cóż znaczy jedna praca mniej albo więcej? Powiedz, czego tym razem życzy sobie twój zbzikowany pan.

Wtedy Taltybios rozkazał mu przynieść koszyk świętych pomarańczy czy złotych jabłek, jak je niekiedy zowią, z wysp Hesperyd – praca, o której jużesmy wspominali. Herkules uprzedził Augiasza, że skoro Eurysteus odmówił uznania poprzedniej pracy za dobrze wykonaną i skoro Augiasz orzekł, że owszem, została wykonana doprawdy znakomicie, Augiasz jest mu winien nagrodę pocieszenia: zadowoli go dziesiąta część trzód Elidy.

Augiasz musiał przystać na to bezwstydné żądanie, acz wcale nie miał zamiaru go spełnić.

Autolikos, Deilejon i Flogios, dawni towarzysze Herkulesa, nie odważyli się otwarcie zarzucić mu zbrodni podobnej do tej, za jaką wziął pomstę na Kalaisie i Dzetesie: mianowicie opuścił ich był złośliwie wiele lat temu w kraju Paflagonów. Rozpoznawszy ich, powitał tak serdecznie i tak dobrodusznie poklepał

po plecach, że woleli zapomnieć o krzywdzie: i rzeczywiście tak się złożyło, że im oddał poważną przysługę, bo przymusowy pobyt w Synope wzbogacił ich na resztę życia.

Zanim Herkules odszedł, wypytał skrzętnie Echiona, co się stało z runem, a ponieważ nie dałby się zwieść dwuznacznikami, Echion złożył mu obszerné sprawozdanie ze wszystkiego, co się zdarzyło, ale zobowiązał do zachowania tajemnicy póty, póki znów będzie można rozpostrzeć błyszczące runo na dziobie *Argo*. Herkules nie okazał zdziwienia w żadnym punkcie opowieści, lecz gdy usłyszał, jak Medea zadurzyła się w Jazonie, westchnął i niezwykle łagodnie zauważył:

– Biedactwo, żal mi jej! Echionie, przyjacielu, mam dla ciebie zlecenie do przekazania, a w zapłatę weź mój srebrny puchar. Powtórz księżniczce, że jej współczuję równie serdecznie, jak współczułem królowej Lemnos, Hypsipyle.

Powiedz, że Jazon obejdzie się z nią nie mniej zdradziecko, niż potraktował

Hypsipyle, choć dla niego porzuciła własny dom i lud oraz uczestniczyła w ojco-

i bratobójstwie. Zapewnij ją, że skoro on ją opuści, czy to w tym, czy w przyszłym roku, czy za lat dwanaście, może niezawodnie liczyć na Herkulesa z Tyryntu, zarówno aby ją pomścił, jak pocieszył.

Echion przyjął puchar i zobowiązał się przekazać zlecenie, po czym Herkules rozejrzał się wokół rozpromieniony i rzekł: – Drodzy towarzysze, wypróbowani towarzysze, jeśliby który z was potrzebował kiedykolwiek mojej pomocy przeciw wrogom, zawsze jestem na wasze rozkazy.

W drodze powrotnej do Grecji Herkules wstąpił do Efezu, gdzie zastał okręt fenicki na kotwicy i posłał Omfali szypra oraz jego syna w pętach jako zakładników. Mieli nie być wypuszczeni, dopóki Fenicjanie ich nie wykupią za cenę dwu afrykańskich małp. Omfala często mówiła Herkulesowi, że jej przypomina małpę, więc zdecydował, że powinna dostać parkę, na pociechę podczas jego nieobecności. Ze strachu przed Herkulesem Fenicjanie natychmiast wysłali małpy.

Tu można by wyjaśnić, co się przydarzyło Hylasowi. Nie wytrzymał długo pobytu w kolegium dzieciółów nad Jeziorem Askańskim. Nie dorównując Herkulesowi męskością, nie bez trudu mógł zaspokajać wymagania Driope i jej współtowarzyszek, które wszystkie były w nim zakochane i nie pozwalały mu odejść, choć najusilniej prosił. Wpadł w suchoty i umarł mniej więcej wówczas, gdy *Argo* po raz drugi przepływała przez Bosfor. Driope, nie chcąc, aby pogłoski o tym wydarzeniu dotarły do Herkulesa, pochowała go ukradkiem opodal krynicy Pagaj i opłakiwała bez umiaru. Przez wiele stuleci nimfy-dziecioły wciąż przystrajały jego kurhan kwiatami w rocznicę śmierci. Śpiewały przy tym psalm ku chwale najpiękniejszych po wsze czasy młodzieńców: Adonisa, syna Kinyrasa, którego pokochała Afrodyta; Endymiona, syna Aetliosa, którego pokochała Artemis; Ganimeda, syna Laomedonta, którego pokochał Zeus; Hiacynta Ojbalidę, którego pokochał Apollo; Chryzypa, syna Pelopsa, którego pokochał Tezeusz; Narcyza, syna Kefizosa, który zakochał się w samym sobie; i Atlantiosa, syna Afrodyty i Hermesa, co był pierwszym hermafrodytą, zaś kochał go cały świat; refren atoli stwierdzał, że żaden z nich nigdy nie był tak piękny, tak uroczy, tak wdzięczny ani tak czuły jak Hylas, syn Teodamasa, kochany przez Herkulesa, a także nimfy Askanii.

Źródło Pagaj jest prześliczne i nader warte odwiedzin. Okrągłe kamyczki błyszczą niby srebro w przezroczystej wodzie, wszędzie naokół rośnie błękitna trojeść, jasnozielona ruta, pierzasta pietruszka i trawa, która wstrzymuje kroki, zapraszając wędrowca do odpoczynku.

*Argo* była trochę opóźniona, nie tylko z racji trudności, jakie napotkał Argos podczas naprawy okrętu w Teos, gdzie go nie zadowalała jakość dostępnego drzewa, lecz także z powodu igrzysk pogrzebowych, które czuł się w obowiązku urządzić ku czci poległych towarzyszy, synów Wichru Północnego. Tutaj też wzięli na pokład jako pasażerów Telamona, towarzysza Herkulesa, oraz pięciu jego krewniaków z Ajginy. Telamon był bratem Peleusa, zanim Peleus wszedł przez powtórne narodziny do klanu Myrmidonów, i miał z nim później wiele do czynienia z okazji śmierci ich przybranego brata Fokosa, teraz wszakże spotkali się jak obcy, z wyniosłymi minami.

Następnie zawinęli do słynącego z wełny Miletu, gdzie Erginos spotkał się z gorącym przyjęciem rodziny i z trudem mu przyszło oderwać się od nich, aby podjąć podróż. Z Miletu pożeglowali ku kwietnemu Samos, ukochanej ojczyźnie Małego Ankajosa, stamtąd zaś do Leros, o którym powiadają: „Wszyscy Leryjczycy są źli, wszyscy co do jednego – wszyscy oprócz Proklesa, ale Prokles to także Leryjczyk”. Kim wszakże był ten Prokles, nikt już nie pamięta. Stamtąd popłynęli na Cyklady, odwiedzając najpierw Naksos, najszcześniejszą z wysp Morza Egejskiego; potem Delos – wyspę najświętszą, gdzie uczcili darami oraz tańcem Apollina i Artemidę; wreszcie Seryfos, znaną z osełek do noży, gdzie niegdyś morze wyrzuciło na brzeg Perseusza z matką Danae, w skrzyni, którą król Akryzjos powierzył burzliwym falom – tutaj wysadzili Telamona oraz jego krewnych. Lecz omijali masyw grecki, dążąc od wyspy do wyspy – na Kiterę, Sfakterię (blisko piaszczystego Pylos, ojczyzny Peryklimenosa), Dzakyntos, Itakę, Korkyrę – na żadnej nie bawiąc długo.

Pogoda była dobra, wiatry słabe i nic szczególnego nie przytrafiło się Argonautom na tych znajomych

wodach. Krótko mówiąc, dopchali się w górę wybrzeża Ilirii, wstrzymywani przez przeciwne wiatry, aż na sześćdziesiąty pierwszy dzień, odkąd opuścili ujście Danuby, ujrzeli Ajaję, miasto Kirke, które leży na skalistej wyspie fallicznego kształtu, sto osiemdziesiąt stadiów na południowachód od istriańskiego portu Pola. Nazwano je Ajają, ponieważ odmiana hiacyntów, jakie tu rosną w wielkiej obfitości, nosi to imię, pochodne od lamentu, wypisane na płatkach przez samą Trójboginię.

Ku swej uciechu Argonauci zastali Jazona, Medeę, Atalantę, Meleagra i Melaniona już przybyłych do Ajai po nader szybkiej i uciążliwej podróży, a runo nadal w ich rękach. Połączonych tedy na nowo Argonautów było trzydzieścioro troje (nie licząc Medei) mimo utraty Ifitosa, Orfeusza, Kalaisa i Dzetesa.

Krogulczonosa, sokolooka stara Kirke o wystającej brodzie i przygarbionych plecach powitała drużynę Jazona z nieprzyjaznym uśmiechem, gdy w czólnie rybackim przepławiali się z Poli na jej wyspę; ich wizytę bowiem poprzedniej nocy zapowiedział jej sen, skąpany w powodzi krwi. Lecz prawa gościnności kazały wpuścić ich do Ajai. Właśnie zesłała na brzeg morza w płóciennej nocnej koszuli wykąpać się w słonej wodzie, a ponieważ byli pierwszymi ludźmi, jakich potem spotkała, oświadczyła im bez żadnych wstępnych powitań, że krew spływała strugami po ścianach i posadzkach jej domu i że w jej szafce z lekami wybuchnął

nagły ogień, który szybko ugasila tą krwią.

Nic na to nie odrzekli, tylko podążyli za ociekającą wodą kapłanką do pałacu.

Szła tyłem, przyzywając ich palcem. Gdy ich zaprosiła, by usiedli na krzesłach z polerowanego brązu, tylko Meleager skorzystał z jej uprzejmości i dziękując w imieniu wszystkich, wyjawiał swoje imię i ród; pozostali potrząsnęli głowami, skierowali się do paleniska, tam usiedli w pyle, żeby okazać, że są zabójcami i błagalnikami, oraz posypali głowy popiołem i uczernili twarze węglem drzewnym. Od chwili przybycia ani razu nie podnieśli oczu na twarz gospodyni.

Kirke zauważyła, że Jazon wetknął w szparę komina miecz, Atalanta zaś oszczep.

Nie należeli doprawdy do pospolitych zbrodniarzy: Atalanta powaliła swego królewskiego gospodarza Ajetesu u szczytu jego własnych schodów, a Jazon zamordował zdradziecko Absyrtosa, syna swego gospodarza, zawarłszy z nim wprzódy ugodę.

Ostrzeżona poprzednio we śnie, że gdyby nie dokonała oczyszczenia, jakiego zażądają, wszystkie jej lecznicze zioła, korzenie, kory i glinki straciłyby swoją moc, Kirke natychmiast przygotowała ofiarę dla duchów pomordowanych, choć nie poznała dotąd ich imion, a Meleager poradził jej zwracać się do nich jako do

„dwóch królewskich jodeł Wschodu” – jodła bowiem jest alfą magicznego alfabetu drzew.

Klasnęła w dłonie, aby przyniesiono czworo prosiąt, którym od razu poderżnęła gardła; potem, jak przystało, polała krwią dłonie czworga błagalników. Służebne Kirke – ze związku sokołów – odprowadziły Atalantę i Medeę do łaźni dla kobiet, gdzie je obmyły w dziewięciu wodach, zaś krwawe popłuczyny wylały na dworze do jamy w ziemi, dokąd zazwyczaj zwoływano do picia

pokrzywdzone duchy.

Podobnie wieprze Kirke odprowadzili Jazona oraz Melaniona do męskiej łaźni i oczyścili ich pracowicie. Sama Kirke lała tymczasem obiady dla pomordowanych i paliła na kominie postne placki pokutne.

Po zakończeniu obrzędu Kirke podeszła do błagalników, znowu przykucniętych naokoło paleniska, podniosła ich za ręce i dwornie powiodła do krzesel, których przyjęcia przedtem odmówili; wszyscy usiedli.

Sama kapłanka usiadła naprzeciw i spytała Medeę: – Kimże jesteś, moja droga, ty, która tak niezwykle przypominasz dziewczę, jakim ongi byłam? Bursztynowy kolor twych oczu spotyka się tylko wśród potomków królewskiego domu w Efirze.

I jakżeś dotarła tutaj pod eskortą łysogłowych kapłanów scytyjskich po burzliwym nurcie rzeki Sawy? I kim jest dziewczyna łowczyni, twoja towarzyszka niedoli?

I kim są twoi dwaj towarzysze niedoli, jeden taki ciemny, zarówno kolorytem włosów, jak cery, drugi taki jasny? I kogóż oznaczają te dwie alfy królewskie, w których zamordowaniu uczestniczyliście?

Medea odkryła Kirke swoje imię i wyznała wszystko bez niedomówień.

Zakończyła tymi słowy: – I doprawdy, ciotko, przybyłam, jak wiesz, na twoje własne wezwanie.

Kirke nie cierpiała swego brata Ajetesa, ponieważ był przyczyną jej wygnania z Efiry. Objęła Medeę i zawołała: – Drogie dziecko, świetnie zrobiłaś! Byłabym rada z twego przyjazdu nawet bez nowin, które przynosisz, a dzięki którym powietrze smakuje niby miód. Wzywałam cię bowiem w ważnej sprawie, dotyczy zaś ona naszej pani, Brimo.

Co to była za sprawa, wyjawiała Medei w cztery oczy. Wiemy jednak, że powierzyła jej pewne dary celem wręczenia najwyższej kapłance Kokalosa w Agrygencie na Sycylii: mianowicie trójnóg z brązu, naszyjnik z bursztynowych fallusów oraz zapieczętowaną skrzynię. Jazon, nie chcąc rozgniewać Kirke, przyrzekł skierować tam *Argo* możliwie najszybciej, choć Sycylia leżała daleko na zachód od jego kursu. Medea ofiarowała Kirke topór z zielonego nefrytu: najśłabsze jego dotknięcie leczyło ból nerek; ponadto sporo kaukaskich leków i roślin leczniczych, których ciotka potrzebowała i później używała z doskonałym skutkiem. Kirke chętnie zrezygnowała na rzecz Medei z wszelkich praw do Efiry, ponieważ była bezdietna i nie wybierała się wcale na międzymorze.

Dwór Kirke stale odwiedzali potajemni wyznawcy starej religii, a zwłaszcza przywódcy zwierzęcych i ptasich bractw. Była ostatnią ocalałą kapłanką, nie licząc tych, co mieszkały w odległej Galii, na wyspie Hiperborejczyków oraz w Irlandii; ona jedna potrafiła dokonać bolesnego obrzędu, dzięki któremu przywódca zyskiwał nadprzyrodzone siły niezbędne na jego stanowisku i mógł do woli przybierać postać swojego świętego totema.

Podczas pobytu w Ajai nie wolno było Argonautom kaleczyć i zabijać żadnych stworzeń, na jakie się

natknęli; jeśli bowiem na wzgórzu zawył wilk, to prawdopodobnie był to wilkołak; jeśli niedźwiedź wtargnął do sali jadalnej i porwał piernik ze stołu, to na pewno był on czyimś wcieleniem. Jaszczurki, sroki i tak dalej, a także skorpiony, chrząszcze i mrówki – wszystkie należało szanować.

Pomagali Kirke w jej odpowiedzialnej i zawilej pracy wieprze, podwładni bogini Brimo, których towarzystwa wszyscy unikali; nawet najmłodszy z nich miał białe włosy i białe brwi, oczy im lśniły czerwoną barwą śmierci. Kilku z nich było Grekami, inni zaś Neurami, Galami i Celtami. Codzienne porządki w pałacu wykonywały służebne – sokoły rodem z Istrii. Ponadto wałęsało się swojsko po pałacu kilka oswojonych stworów nie do określenia, a ich widok zgrozą napełniał

Argonautów – dwugłowe czerwone ciele, pasiasty koń, czworonożny kogut oraz zwierzę, co wyglądało na białego osła, lecz na środku czoła sterczał mu ostry róg.

Zaś na pięknie strzyżonym trawniku wewnętrznego dziedzińca wrzeszczał i puszył

się połyskliwy paw indyjski – skrzekliwy ptak z setką oczu na ogonie, cieszący się głębokim szacunkiem bogini. Kirke zasięgała jego rady we wszystkich najgorszych trudnościach.

Kapłanka bardzo sobie upodobała czarownika Peryklimenosa, bowiem –

urodzony podczas zaćmienia – rozporządzał mocami magicznymi, jakich mu zazdrościła. Próbowwała go namówić, aby u niej został, ale nie chciał opuścić towarzyszy i tęsknił do domu w piaszczystym Pylos. Rozgniewana rzekła doń:

– Jak sobie życzysz. Lecz ostrzegam cię, że niedługo będziesz się radował

ojcowizną. Widzę bowiem śmierć, która nadleci z łuku jednego z tych twoich towarzyszy.

Właśnie od Kirke Meleager otrzymał tajemniczy preparat, co miał skłonić Atalantę, aby uległa jego miłości, skoro we właściwej chwili zdoła jej go podać.

Obawiał się jedynie, że Atalanta woli Melaniona niż jego, bo Melanion okazywał

jej wiele względów; i podczas ich długiej, trudnej, pospiesznej podróży od ujścia Danuby do Ajai, czółnem, żaglówką i rydwanem – naprawdę to Melanion był

wodzem wyprawy, on także przemawiał na dworze króla Scytów i na każdym innym dworze czy plemiennym placu obrad: Jazon bowiem, jak przystało zabójcy, w miarę możliwości milczał. Tylko przysięga lojalności, którą Meleager złożył

pozostałym Argonautom, wstrzymywała go od zgładzenia Melaniona; lecz zazdrość dniem i nocą kąsała jego serce.

Co do runa, zostało już obmyte w dwóch z siedmiu nakazanych rzek: w Danubie, która wpada do Morza Czarnego, oraz w zimnym, rwącym Tyrros, który wpada do Adriatyku.

**ARGO POWTÓRNIE POJMANA**

Z rześkim wiatrem żeglowała *Argo* przez wody Adriatyku, robiąc w jeden dzień aż sześćset trzydzieści, a w następną noc czterysta pięćdziesiąt stadiów. Wyglądała jak zajędzona mulica, która wraca z długiej drogi, ciągnąc za sobą wypolerowany wózek i nagle pojmując, że już blisko do domu pana, stawia uszy i puszcza się chyżym kłusem, naprężając lejce. Już po sześciu dobach osiągnęła Korkyrę, sierpowatą wyspę Feaków. Tam Jazon, ponieważ brakło im wody i żywności, postanowił zawinąć do portu Korkyra, który w otoczeniu sosnowych lasów leży na dolnej krzywiznie sierpa, i złożyć wyrazy uszanowania królowi Alkinoosowi i królowej Arete. Alkinoos był krewnym po kądzieli Koryntczyka Syzyfa.

Wywędrował na tę wyspę, kiedy Achaje znieśli kult herosa Azopa, którego kapłanką była jego matka Korkyra. Poślubiwszy Arete, władczynię Feaków, plemienia zagnanego z lądu na wyspę przez klan cyklopów, Alkinoos założył to miasto i na cześć matki nazwał je Korkyrą.

O brzasku Echion wysiadł na brzeg powinszować Alkinoosowi jako pierwszemu greckiemu monarsze, któremu dano usłyszeć wspaniałą nowinę.

Sławni Argonauci dokonali bezpiecznie swej boskiej i nader głośniejszej misji: po wielu groźnych przygodach dotarli wreszcie do kolchidzkiej Ai i namówili tam króla Ajetesa, aby im odstąpił runo; żeglując w sławie do domu i opływając Grecję, oczyścili się w Ajai (jeden czy dwu spośród nich) z odrobiny krwi, jaką byli zmuszeni przelać po drodze. Teraz pozostało im tylko zwrócić runo lafistiańskiemu Zeusowi, dla którego znieśli najstraszliwsze cierpienia. Ponadto, oświadczył

Alkinoosowi Echion, na pokładzie znajduje się Medea, córka Ajetesa: jedzie do Grecji domagać się swego korynckiego dziedzictwa.

Łatwo sobie wyobrazić, jak ochoczo Alkinoos spieszył, aby godnie powitać swoich gości. Niebawem na tronowych krzesłach zasiedli do obiadu, czysto wykąpani i namaszczeni, głowy uwieńczywszy mirtem, z rozpostartymi na kolanach ciepłymi haftowanymi szalami. Ściany sali były pomalowane akwamaryną, a tu i ówdzie, pojedynczo i stadami, pływały po nich ryby stu możliwych rodzajów; wśród nich, wypuszczając bąbelki, nurkowały jak żywe delfiny; zaś na dnie morza wyrysowano muszle. Za każdym krzesłem stał piedestał

uwieńczony naturalnych rozmiarów posągami chłopca z malowanego drzewa, okrytego od stóp do głów złotą szatą. Gdy wieczór zapadł, każdemu ze złożonych chłopców wokół stołu wetknięto w dłoń płonąca pochodnię. Z obu stron wejścia przysiadły święte psy z brązu, lemniskiej roboty, między którymi niebezpiecznie było przechodzić złoczyńcom; drzwi tylnych używano więc daleko częściej. Pałac w istocie należał do najbogatszych i najlepiej urządzonych w Grecji, ponieważ Feakowie parali się handlem morskim i dzierżyli prym w przewozie towarów na Morzu Adriatyckim.

Jazon poufnie pomówił z Alkinoosem, strojnym w szaty aż sztywne od złotych nici, zwierając mu się z kłopotu: w Kolchidzie, natchniony przez Atenę czy jakieś inne bóstwo, oznajmił Ajetesowi, że Koryntczycy z powodu zarazy na bydło oraz plagi węzów zapraszają go, by albo wrócił im panować, albo wysłał w tym celu jedno ze swych dzieci. Medea przybywa na to zmyślone zaproszenie, a jemu teraz honor nakazuje wprowadzić ją na tron Efiry; jest zresztą prawowitą dziedziczką, ponieważ jej ojciec, brat Absyrtos i ciotka Kirke zrzekli się wszelkich pretensji na jej korzyść.



Alkinoos, wysłuchawszy opowieści Jazona, uśmiechnął się dobrotliwie i obiecał zrobić, co w jego mocy, aby mu pomóc; wysłał nawet, jeśli trzeba, parę okrętów zbrojnych do Efiry dla poparcia roszczeń Medei.

Jazon podziękował mu serdecznie i podjął się w zamian dopilnować, żeby Medea, którą zamierzał poślubić, skoro tylko odda runo lafistiańskiemu baranowi, przywróciła kult herosa Azopa. Jednak szanując sympatie swego gospodarza jako Koryntczyka, Jazon pozwolił mu mniemać, że Ajetes i Absyrtos żyją nadal, a także nie zrobił żadnej wzmianki na temat własnej danubijskiej podróży.

Uczta trwała cały dzień w przyjaźni i weselu, a byłaby się może przeciągnęła na całą noc, gdyby, skoro zmrok zaczął zapadać, nie usłyszano na zewnątrz pewnego zamieszania, po czym wbiegł sługa, niosąc niepokojące wieści. Otóż do portu zawinęła flotylla ośmiu cudzoziemskich galer wojennych, na oko etiopskich; załogi wysiadły z bronią w rękę, sformowały się w kilka zwartych oddziałów i właśnie zbliżały ku pałacowi.

Alkinoos się nie zaniepokoił, ponieważ, jak tłumaczył Jazonowi, nakłaniając go do dalszego ucztowania: – Nigdy nie uczynił Etiopom żadnej krzywdy, o ile mi wiadomo, a oni sami cieszą się opinią ludu sprawiedliwego i miłującego pokój. –

Lecz na Jazona poty biły ze strachu: odgadł, że znów go przyłapała flota kolchidzka, zaś tym razem Aras, najwyższy admirał, nie da się wziąć na plewy.

Aras wszedł, sam w roli herolda, bo on jeden wśród Kolchów władał greką. Nie przemawiał kwiecicie, tylko szorstko i po prostu, jak przystało admirałowi.

– Dostojny panie, jestem Aras, najwyższy admirał floty kolchidzkiej. Trzy miesiące temu wyruszyłem z Ai nad rzeką Fazis, a leży ona jakieś osiemnaście tysięcy stadiów stąd na wschód. Przez trzydzieści lat król Ajetes, Grek, był moim panem. Teraz został zdradziecko zamordowany przez własnych ziomków.

– Zamordowany? – wykrzyknął Alkinoos. – O mój panie, jakże mi przykro to słyszeć! Obaj, jako malcy, żyliśmy w Efirze.

Zwrócił się pytająco do Jazona, który nic nie rzekł, tylko spojrzał nań obojętnie; a potem do Medei, która cichutko zaczęła płakać.

– Ci moi czcigodni goście – powiedział Alkinoos – nie wspominali o tym smutnym wypadku, choć sami płyną prosto z Kolchidy; bez wątpienia Ajetes umarł

niebawem po ich wyjeździe z Ai?

– W cztery godziny później – odparł Aras. – Mój władca zginął wskutek rany zadanej oszczepem przez jedno z nich, ja zaś przybywam oddać całą kompanię w ręce sprawiedliwości. Ci zbrodniarze, wasza dostojność, którzy teraz nadużywają twojej gościnności, znaleźli się w Kolchidzie pod płaszczykiem przyjaźni i pod pozorem pobożnego obowiązku. Gdy tylko się zjawili, ich wódz Jazon namówił

jedynaczkę króla Ajetes, tę tutaj księżniczkę Medeę, aby wykradła złote runo Zeusa ze świątyni herosa Prometeusza i zbiegła z nim. W celu odwrócenia uwagi w momencie ucieczki popełnili świętokradztwo, okastrowali i zaprzęgli w jarzmo święte posągi byków tauryjskich, które stoją w przedsionku pałacu królewskiego.

– Zaczekaj no chwileczkę – przerwał Alkinoos. – Powiedz mi wpierrw, jakie pretensje czy prawa miał heros Prometeusz do złotego runa Zeusa?

– Nie moja w tym głowa, dostojny panie – odparł Aras. – Runo było w posiadaniu Prometeusza od paru pokoleń.

– A jednak to jest pytanie, które wpływa na wyrok w tej sprawie – rzekł

Alkinoos. – Sam musisz przyznać: jeśli moi goście udali się do Kolchidy, aby na polecenie ojca Zeusa odzyskać skradzioną własność, i jeśli król Ajetes odmówił jej zwrotu, mieli prawo użyć siły... a przynajmniej wolno im teraz tak twierdzić, skoro z powrotem są w Grecji, gdzie rządzi Zeusowe prawo. A powiedz mi jeszcze: jakim cudem posągi byków tauryjskich mogły się znaleźć w królewskim pałacu w Ai? Czyż wy, Kolchowie, nie czcicie Mitry, odwiecznego wroga byka?

Aras wyjaśnił: – Ajetes zawarł przymierze z dzikimi Taurami i poślubił córkę ich króla; to ona nalegała, aby umieścić tam posągi byków, ponieważ wraz ze swoją świtą pragnęła oddawać im cześć.

– W takim razie – stwierdził Ajetes – okastrowanie byków wydaje mi się powodem do skargi raczej dla Taurów niż dla Kolchów. Zresztą z twego zachowania wnoszę, że nie zanadto lubisz zarówno Taurów, jak ich boga.

Aras mówił dalej: – Wysłano mnie w pościg za tymi rozbójnikami, aż w pobliżu Długiej Łachy doścignąłem księcia Absyrtosa, jedynego syna Ajetes, który wyruszył był przede mną. Jak należało, uznałem w nim króla. Potem obaj połączyliśmy nasze siły i już niemal przyłapaliśmy zbójcecki okręt w pobliżu Synope, ale wymknął się nam i oddalił na północno-zachód. Król Absyrtos popłynął w ślad za *Argo*, mnie jednak wysłał wprost do Troi z flotyllą ośmiu okrętów, abym uniemożliwił im próbę ucieczki przez Hellespont; postąpił tak, bo na żadnym krańcu Bosforu nie ma dogodnego portu; Trojanie zresztą są z nami sprzymierzeni. Na parę dni zarzuciłem kotwicę na rzece Skamander pod Troją, aż za pomocą dymnych sygnałów od strony wejścia do Hellespontu doniesiono mi o obecności zbójceckiego okrętu. Podpłynąłem, wszedłem na pokład i przeszukałem *Argo*, nie znalazłem wszakże nic godnego uwagi: ani złotego runa, ani księżniczki Medeji, ani dziewiczej łowczyni Atalanty, która zadała Ajetesowi cios śmiertelny, ani dowódcy Jazona. Echion, ich herold, powiadomił mnie kłamliwie, że król Absyrtos przyłapał był okręt u ujścia Danuby i po krótkim starciu pokonał załogę.

Na miejscu wziął pomstę na Atalancie i Jazonie, twierdził Echion, i pożegłował

z powrotem do Kolchidy, uwożąc Medeę oraz runo. Lecz później dowiedziałem się prawdy od posępnej i skrwawionej zjawy mego zamordowanego władcy.

Echion wstał i zwrócił się do króla Alkinoosa: – Protestuję, wasza dostojność.

Ten Kolch mógł sobie widzieć zjawę, ale składa umyślnie fałszywe zeznanie co do moich słów. Nie mówiłem nic podobnego, każdy z nas poświadczy. Jeśli wówczas, kiedy w biały dzień przeszukiwał nasz okręt, bogowie odjęli mu wzrok, okrywając cudowną mgłą osoby, których wypatrywał, oraz runo, jakąż winę ja tu ponoszę?

Odrzucam jego oskarżenie! – Usiadł z powrotem.

Aras milczał, bo dotąd nie pojmował, w jaki sposób go zmylono. Zadecydował, że musiała to być robota czarownika Peryklimenosa.

Alkinoos zwrócił się do Jazona i spytał: – Powiedz mi, mój panie, jak zdołałeś uciec królowi Absyrtosowi?

– Polegając na opiece pięciorga wielkich Olimpijczyków, wasza dostojność –

odparł Jazon – zwłaszcza zaś bogini Artemidy, której uroczysko opodal ujścia Koprowego Nurtu syn Ajetesa usiłował zbeszcześcić zdradzieckim morderstwem, zabiłem go mieczem i posiekałem na kawałki. Po jego śmierci księżniczka Medea została prawowitą królową Kolchidy, ponieważ Ajetes nie miał innych następców w linii męskiej. Natychmiast rozkazała szyptom okrętów brata, z których jeden rozbiliśmy w zderzeniu, aby wracali do Kolchidy; oni zaś usłuchali, tak sędzę przynajmniej. Aras także powinien spełniać jej rozkazy.

Aras, choć zaskoczony i już nie tak pewny siebie, jak kiedy tu wkraczał, powiedział z uporem: – Jestem za stary, żebym się pozwolił oszukać dwa razy.

Niemożliwe, abyście w pojedynkę dali radę dwunastu okrętom, po czym uszli zwycięsko i bez strat. Pewien jestem, że król Absyrtos jeszcze żyje, muszę przeto wykonywać rozkazy, jakie on mi wydał. Muszę przywieźć z powrotem runo oraz księżniczkę Medeę (o której rękę zabiega Styruś król Albanii), a także muszę porwać lub zabić Jazona i Atalantę.

Alkinoos się wmieszał: – Mężny Arasie, czy się zgodzisz zastosować do mego wyroku, będzie to zaś wyrok bezstronny? W przeciwnym razie możesz wziąć runo razem z księżniczką Medeą jedynie siłą, w tym wypadku atoli znajdziesz się w wojnie nie tylko ze mną, lecz z całą Grecją.

– Dostojny panie – odrzekł Aras – zastosuję się do twego wyroku, jeśli stwierdzisz przysięgą na boginię Brimo czy Hekate, czy jakimkolwiek zechcesz nazwać ją imieniem, królową Piekieł, że nie kierują tobą żadne uboczne względy.

– Jestem gotów przysiąc – wykrzyknął Alkinoos – choć zgodnie z wolą Zeusa jedyną królową Piekieł, na jakiej imię wolno nam przysięgać, jest Persefona, żona jego brata Hadesa.

– Ja też się zastosuję do twego wyroku, dostojny panie – rzekł Jazon. – Lecz chciałbym cię powiadomić, że królowa Ajai, Kirke, siostra króla Ajetesa, obmyła niedawno tak Medeę, jak i mnie, a także Atalantę z Kalidonu z krwi, którąśmy przelali lub której przelewem byliśmy przyczyną: przyjęła nas jako błagalników na swej wyspie nieskromnego kształtu i postąpiła stosownie do ostrzegawczego snu, zesłanego jej przez boginię, której służy.

– Będę miał na uwadze twoje słowa – powiedział Alkinoos. Następnie zażądał, aby Aras i Jazon razem złożyli przysięgę, że zastosują się do jego wyroku; ponieważ jednak Aras nie przywiązywał żadnej wagi do Persefony, klęli się na Słońce, bóstwo wspólne dla obu; Augiasz z Elidy odebrał przysięgę. Alkinoos oświadczył: – Jutro w południe z tego tronu wydam sąd. Tymczasem pamiętajcie, proszę, że jesteście moimi gośćmi i obowiązuje was wobec mnie pospolita uprzejmość. Wymagam, abyście nie robili nic niewłaściwego.

Tej nocy wszyscy Argonauci spali razem na pełnym krużganku pałacowym, Medea zaś w małej komnatce obok łóżnicy królewskiej. Medea przyszła ukradkiem do Arete i rzekła:

– Siostró królowo, miej litość nade mną. Nie pozwól swemu mężowi odsyłać mnie do Ai. Mój ojciec, król Ajetes, nie żyje, tak samo jak mój brat, i to śmieszne, żeby Aras podawał w wątpliwość moją władzę nad Kolchidą. Kocham Jazona i zamierzamy się pobrać, skoro tylko oddamy runo boskiemu właścicielowi; wtedy zostanę królową Efiry i całego Koryntu, a on będzie moim królem. Mogłabym dzielić z nim tron Kolchidy, gdybym zechciała, albo on ze mną tron Ftiotis; przypuszczam ponadto, że zyskał prawa do tronu Lemnos, jeśliby mu się chciało ich dochodzić. Twój mąż powinien dobrze się zastanowić, zanim wyda parę tak królewską jak my oboje w ręce obcego czarnego barbarzyńcy. Poza tym, jak słyszałaś, cieszymy się opieką wszystkich najważniejszych Olimpijczyków, co więcej zaś samej Trójbogini, którą, wiem, czcisz potajemnie bardziej niż kogokolwiek z tamtych. Bądź mi przyjaciółką, Arete, a możesz być pewna, że kiedyś ci odpłacę.

Królowa Arete ucałowała Medeę, mówiąc: – Siostró królowo, rada poprę twoją sprawę u Alkinoosa. Ja bowiem także miałam surowego ojca, od którego wycierpiałam wiele, oprócz tego jeszcze okrutnego brata, jak i ty, wydaje mi się.

I sama jestem na wpół zakochana w Jazonie. Myślę, że to najurodziwszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam, więc łącznie ci uwierzę, jeśli powiesz, że wolałabyś żyć z nim w rybackim szałasie niż z innym w pałacu. Sądzę, że to te jego cudowne włosy.

Medea załkała z wdzięczności.

Arete otoczyła ramieniem jej barki i rzekła: – Wierzę, że będziesz z nim bardzo szczęśliwa, bo chociaż Jazon najwidoczniej nie należy do ludzi łatwych w pozyciu ani tak budzących zaufanie jak mój Alkinoos, ty jednak wyraźnie górujesz nade mną rozumem, dorównujesz mu tedy w tym związku. Oczywiście, Jazon jest jeszcze młody i w swoim czasie, nie wątpię, ustatkuje się jako sprawiedliwy monarcha i troskliwy małżonek. Muszę ci wyznać, że uważam małżeństwo za wspaniałą instytucję... nie potrafię sobie wyobrazić, jak nasze babki radziły sobie, zanim to weszło w modę, kiedy mężczyźni byli dla nich po prostu przygodnymi kochankami i nie mogły liczyć na nikogo prócz siebie. My, żony, mamy dziś całą istotną władzę, nader mało odpowiedzialności i bardzo dużą frajdę. Wielbię potajemnie Trójboginię, rzecz prosta, lecz nie potrafię udawać, że nie jestem wdzięczna Zeusowi, który ją uczynił swoją żoną.

Medea uśmiechnęła się do Arete przez łzy, ta zaś paplała dalej:

– Słodkie dziecko, jakże ci zazdroszczę nocy poślubnej. Wydaje mi się, że to zaledwie wczoraj mego najdroższego Alkinoosa i mnie obsypano anyżkiem i jedliśmy konfiturę z pigwy i całowali się po raz

pierwszy pod barwną ślubną kapą, którą moja droga matka dla mnie sporządziła. A jak rozkosznie róże pachniały tej nocy! Wierz mi, moja miła, uniesienie pierwszego uścisku już nie powraca; jest niezapomniane, lecz niepowtarzalne. Ach, te słodczye trudne do opisanie, jakie los jeszcze chowa dla ciebie w zanadrzu!

Głos zacnej królowej załamał się ze wzruszenia, a Medea nie była w stanie wyznać, że w gruncie rzeczy nie ma na całym świecie istoty nędzniejszej niż ona –

pełna nienawiści dla tego, czego najbardziej pragnie; pragnąca tego, czego najbardziej nienawidzi; daleko od domu, zguba własnego rodu i zdrajczyni wobec wielkodusznego herosa, którego świątyni była strażniczką. Rzekła tylko:

– Dziękuję ci, siostrze królowo, za dobre życzenia i z całego serca zazdroszczę spokojnego pożycia ze szlachetnym Alkinoosem, acz sama nie mogę się spodziewać, abym kiedy podobnego zakosztowała. Jak bowiem wiesz zapewne, zaprzysiężona kapłanka bogini obciążona jest klątwą trzeciego oka i dwoistej natury: sama chytrze i krwawo spiskuje przeciwko własnej niewinności, w furii niszczy tych, którzy ją najgoręcej kochają, zaś chcąc zaradzić osamotnieniu, otwiera drzwi swego domu łgarzom, słabeuszom i gburom.

– O dziecko, nie mów tak okropnie – wykrzyknęła Arete – nawet aby odwrócić bogów czy demonów! Twarz twoja promienieje dobrocią; nie uwierzę, żeś zdolna do złego czynu. Obyś została pobłogosławiona mnóstwem dzieci, co najmniej czworgiem lub pięciorgiem; dzieci wywierają cudownie kojący wpływ na kobiety obdarzone nadmierną inteligencją, a ty mi się taka wydajesz!

– Najzacniejsza Arete – odparła Medea – śmiem się spodziewać, że nie spłynie na mnie podobne błogosławieństwo, choć twierdzę, że jestem równie uczciwą kobietą jak ty. Straszliwa matka ściga mnie, owładnąwszy moją duszą i czyniąc mnie naczyniem swego nieubłagalnego gniewu; nie da mi spokoju, dopóki mnie nie dosięgnie; jestem równie niebezpieczna dla miasta, gdzie mogłabym osiąść, jak dymiąca smolna pochodnia na polu dojrzałego jęczmienia. Tedy, siostrze królowo, jeśli w dobroci swego serca zdołasz mnie teraz ocalić, będzie to dowód zarówno twojej mądrości, jak cnoty, nie próbuj mnie jednak, proszę, namawiać, abym została z tobą bodaj dzień dłużej niż potrzeba.

## **KOLCHOWIE POWTÓRNIE WYPROWADZENI W POLE**

Tej nocy w łożu z Alkinoosem Arete była czarująca jak rzadko, podrapując delikatnie głowę króla równo opiłowanymi paznokietkami i całując go co chwila.

– Mój szlachetny panie – zapytała – powiedz mi, jaki osąd zamierzasz jutro wydać w sprawie naszego uroczego gościa, księżniczki Medei? Bo doprawdy złamałbyś mi serce, gdybyś ją odesłał i gdyby ją poślubił ten stary łobuz albański, o którym wspominała mi Atalanta. Wyobraź sobie, że on się od urodzenia w ogóle nie kąpał – prawo albańskie wyraźnie zabrania mycia – i robactwo go oblaźło niczym stary ser. Taka piękna dziewczyna jak ona, a do tego taka nieszczęśliwa, i sierota po twoim starym przyjacielu...

Alkinoos udawał, że śpi, ale w tym miejscu nie zdołał się powstrzymać od odpowiedzi: – Po pierwsze, moja droga, nie mogę ci powiedzieć, jaki wydam sąd; bez wątpienia zostanie mi

objawiony we śnie. Po drugie zaś, uważam za raczej niedorzeczne, abys próbowała wzbudzić we mnie współczucie dla tej sierotki, której własny kaprys i nieposłuszeństwo stały się bezpośrednią przyczyną śmierci ojca, a być może również brata – choć tego jeszcze jej nie dowiedziono. „Bystrość umysłu” to moje miano i bystrość umysłu leży w mojej naturze.

– Kochany – rzekła Arete – wiem, jakie łagodne z natury masz serce, choć udajesz, żeś taki surowy. Pewna jestem, że bez względu na okoliczności nigdy byś nie mógł potraktować żadnej z naszych córek tak, jak Ajetes swoją potraktował.

Musisz przyznać, że większość ojców jest aż zbyt stanowcza i zazdrosna wobec swoich dzieci. Przypominasz sobie historię Nykteusa, brata słynnego tebańskiego myśliwego Oriona? Usiłował się sprzeciwić małżeństwu swej córki Antiopy z Epopeusem z Sikionu, a skoro zbiegła z kochankiem, naprawdę wyruszył zbrojnie przeciw Sikionowi i setki niewinnych rodów doprowadził do ruiny, w tym także swój własny; i skończył samobójstwem. A potem był ten król Akryzjos z Argos, który swoją córkę Danae zamykał w brązowym sarkofagu; kiedy zaszła w ciążę mimo wszystkich środków ostrożności, w skrzyni wypuścił ją na otwarte morze; lecz urodziła syna, sławnego Perseusza, który go zabił i został założycielem Myken. Jeśli chcesz bardziej współczesnego przykładu, popatrz na naszego sąsiada, Echetosa z Epiru, co oślepił córkę Amfizę za tę zbrodnię, że obdarzyła go wnukiem, a teraz każe jej w lochu mleć żelazne ziarno... czy przypuszczasz, że może mu się w życiu dobrze powodzić? Jeślibyś chciał mnie zapytać, powiem, że Ajetes, choć zapewne w sprawach publicznych rozsądny (przeciwnie niż w domowych), w pełni zasłużył na swój los.

– Ajetes mógł postąpić głupio, czy nawet okrutnie, to nie usprawiedliwia nieposłuszeństwa jego córki – odparł Alkinoos – co najwyżej tłumaczy jego śmierć. Podwójne zło, sama wiesz, nie czyni dobra.

– Ale pomyśl – sprzeciwiła się Arete – co nastąpi, jeśli wydasz wyrok na niekorzyść Argonautów. W taki czy inny sposób są spowinowaceni z większością królewskich rodów Grecji i cieszą się poparciem przynajmniej pięciorga Olimpijczyków. Co się tyczy tych Kolchów, mieszkają na końcu świata i jest więcej niż wątpliwe, czy Medea ma w ogóle jakiegoś krewniaka w linii męskiej, którego gniewu mógłbyś się obawiać, wydając omyłkowo łagodny wyrok po jej myśli. Przeciwnie, jej siostrzeńcy, synowie Fryksosa, głęboko jej współczują i sami nakłonili ją do ucieczki.

– Olimpijczycy – rzekł surowo Alkinoos – wypluwają człowieka jak łyżkę zbyt gorącej kaszy, z chwilą gdy postąpi zdradziecko i nikczemie; a ja nie zamierzam darować zbrodni tylko dlatego, że pozwany akurat okazał się bogaty czy dobrze urodzony i posiada licznych popleczników, albo dlatego że powód przypadkiem daleko mieszka. Dopóki śmierć Absyrtosa nie została udowodniona (jeszcze muszę wysłuchać zeznań w tej sprawie), mam obowiązek uważać go za osobę żyjącą i za stronę zainteresowaną. Jeśli mam być z tobą szczery, nie ufam Jazonowi ani odrobinę: powiedział mi zbyt wiele półprawd i jawnych łgarstw; ten herold Echion jest zanadto wyszczekany; że zaś księżniczka Medea zakochała się w Jazonie, to może tłumaczyć jej postępowanie, ale z pewnością nie racja, abym ja te błędy wybaczał.

Arete na to: – Drogi mój panie, być może masz słuszość jak zwykle, lecz przysięgam, że oka nie zmrużę, dopóki się nie dowiem, jaką decyzję zamierzasz jutro wydać?

– Powtarzam, kochana – odparł, jak umiał najłagodniej – że na razie nie mam pojęcia. Może sen będzie dobrym doradcą.

– Myślę – rzekła Arete gorąco – że liczyć na sny, gdy się komuś nie chce danej sprawy rozstrzygać, to najgłupszy ze sposobów. Może z tego wyniknąć tylko tyle, że po obudzeniu człowiek zapomina o wszystkich istotnych faktach i wydaje wyrok na chybił trafił. – Wstała z łoża i zaczęła krążyć po pokoju.

– Wracaj, złotko, wracaj! – błagał Alkinoos. – Tak mi było przytulnie w twoich ramionach.

– Wrócę – odparła twardo Arete – kiedy mi najogólniej powiesz, jaki sąd zamierzasz jutro ogłosić. Tylko najogólniej, dobrze? Jestem twoją żoną i znieść nie mogę, abym w takiej sytuacji nie wiedziała, co ci chodzi po głowie.

Ponieważ nigdy się dotąd nie kłócili, Alkinoos ustąpił od razu. – No więc –

westchnął – zdaje mi się, że mój werdykt z grubsza będzie taki: Ponieważ nie zgadzają się zeznania co do rzekomej śmierci króla Absyrta, muszę go nadal traktować jako żywego i legalnego opiekuna siostry, chyba żeby się okazało, iż przeszła pod opiekę Jazona czy któregoś z Greków przez akt małżeństwa – to zaś, o ile wiem, już się mogło w najlepsze odbyć, z całym rytuałem oraz za zgodą jej ojca czy brata. Jeśli już jest mężatką, byłoby z mojej strony jawnym nonsensem pozwolić, aby Aras włókł ją z powrotem przez pół świata dla królewskiego oblubieńca. Lecz jeśli dotąd jest dziewicą, a przypuszczam, że tak, sądząc po jej ubiorze, cóż, musi wracać, choćby ją ten wyrok najbardziej unieszczęśliwił.

Trzeba wymierzyć sprawiedliwość. Co do runa, kogóż wyznaczono, aby go strzegł? Właśnie Medeę, kapłankę świątyni Prometeusza; dokąd podąży strażnik, tam, powiadam, niechaj uda się runo. Jeśli chodzi o jakikolwiek akt zemsty uknuty przeciw Atalancie z Kalidonu, to już nie moja sprawa; zabronię wszakże wszelkiego krwi przelewu w obrębie mojego państwa pod groźbą wojny.

Arete z powrotem wdrapała się na łożo. – Uważam twój wyrok w tej trudnej sprawie za najrozsądniejszy i najślusniejszy ze wszystkich, o których słyszałam –

rzekła. – Śpij teraz, miły mój panie, i obudź się wypoczęty. Nie będę cię więcej turbować. „Cnota” to moje miano i cnota leży w mojej naturze.

Skoro tylko Alkinoos zachrapał, Arete wymknęła się z komnaty i jedną ze służebnych wysłała biegiem po swego osobistego herolda. Kiedy nadszedł, otumaniony ze snu, powiedziała: – Wezwij swego kolegę Echiona. Mam dla niego dobrą nowinę, z którą nie można zwlekać. On śpi na krużganku.

Herold mrugał na nią niby sowa, ale prysnęła mu w twarz wodą, żeby go rozbudzić. Kiedy wszedł na krużganek po Echiona, nie zastał nikogo. Pognał do portu i przyłapał Argonautów w chwili odbijania od brzegu. Jazon bowiem postanowił porzucić Medeę i samemu uciekać z runem, traktując to jako swój święty obowiązek.

– Gdzie się wybieracie, moi panowie? – zapytał herold.

– Ależ nigdzie, bracie, nigdzie – odparł Echion – my tylko zmieniamy miejsce postoju. Nasz druh Koronos z Gyrtanu, znawca pogody jak wszyscy z bractwa kruków, wmówił sobie, że wiatr ma się obrócić niebawem na północo-wschód, i po prostu przepływamy zatokę, aby mu dogodzić.

– Moja pani Arete ma dla was niecierpiące zwłoki dobre wieści – rzekł herold

– i o ile moje domysły są słuszne, rozsądniej będzie dla was wracać zaraz do pełnego ech krużganka pałacowego, ufając, że liny i kotwice utrzymają z dala od skał ten wasz pyszny i w świecie bywały okręt.

Wrócili zatem niby trzódka owiec, a herold następował im na pięty jak pies pasterza, który nie potrzebuje ujadać ani szczyrzyć zębów, bo sama jego obecność jest dla stada wystarczającym ostrzeżeniem, aby się trzymało właściwej ścieżki.

Echiona zaprowadzono przed królową. Uśmiechnęła się doń łaskawie i rzekła:

– Mądrej głowie dość dwie słowie, boski heroldzie. O ile twój pan, Jazon, nie poślubi księżniczki Medei przed świtem, wyrok króla wypadnie zapewne nie po ich myśli. Niech się pospieszą.

– Jakże jednak, szlachetna pani – zapytał Echion – może tak ważny związek zostać przyzwoicie zawarty w tak krótkim czasie?

Jeśli nie zawrzemy go natychmiast – odparła Arete – nigdy nie będzie zawarty.

Teraz posłuchaj. Król Alkinoos śpi i nie życzę sobie, aby go niepokoiły dźwięki pieśni weselnych, jest bowiem niewymownie znużony, a jako oddana małżonka muszę dbać o to, by nie zakłócano jego snu. Wyspa Makris u wejścia do naszego portu stanowi najodpowiedniejsze miejsce obchodu. Czy odwiedzałeś kiedy tamtejszą świętą grootę, grootę Pelazgijki Makris? Była ona ostatnią kapłanką Dionizosa z Delf, zanim Apollo zrabował mu świątynię, i w tej właśnie grocie dokonała żywota. Powiedz Jazonowi, że wszystkie zasoby mego gospodarstwa są do dyspozycji jego oraz jego królewskiej narzeczonej. Może rozporządzać moją pałacową orkiestrą, a damy dworu zajmą się oblubienicą, biorąc tyle płótna i poduszek z łabędziego puchu, że wystarczy na najwspanialsze łoża małżeńskie.

Jazon bez wątpienia posiada własne przykrycie, ja jednak dostarczę wina i pucharów, i pochodni, i zwierząt na ofiarę, i ciast, i kandyzowanych słodczy, i owoców pigwy – krótko mówiąc, w ogóle wszystkiego, czego może potrzebować.

Na szczęście moje dworki chodziły tego wieczora w dolinę i przyniosły do domu pełne kosze kwiatów, tak że nie sędzę, aby czegokolwiek zabrakło. Jeśli Absyrtos nie żyje, jak twierdzisz (nie mam powodu ci nie wierzyć), synowie Fryksosa są najbliższymi żyjącymi krewnymi Medei po mieczu, mają przeto prawo, wedle nowych ustaw greckich, oddać Jazonowi jej rękę. Przyślę kapłana (mego własnego kapelana pałacowego), który wie doskonale, jakie złożyć ofiary tutejszym patronom małżeństwa; Atalanta zaś może przejednać Artemidę.



– A co z Medeą? – zapytał Echion. – Czy ona się zgadza na takie pospieszne przygotowania podjęte w jej imieniu?

Królowa Arete odparła: – Pewnie, że Medea by wolała przyzwoicie obchodzone wesele w Jolkos, we własnym domu Jazona, gdzie oś pojazdu, którym przybyła, zostałaby spalona jak przystoi. Ale lepszy ślub na chybcika i bodaj ukradkiem (jak ona sama powiada) niż żaden.

Jazon wyraził należną wdzięczność królowej Arete i zwoławszy razem towarzyszy, błagał ich szeptem, aby ani jej, ani nikomu innemu nie zdradzili, że z nadmiaru ostrożności omal nie stracił tak drogiego skarbu. Potem zgromadzili cały sprzęt weselny, który im ofiarowała Arete, i zanieśli go na *Argo*.

Damy dworu obiecały, że przybędą nieco później z oblubienicą, ale pałacowi muzykanci z instrumentami wspięli się na pokład; i po paru minutach wiosłowania *Argo* zawinęła na wysepkę Makris. Tam towarzysze Jazona ułożyli w grocie płyty darni na kształt ślubnego łoża, ustroili wejście festonami bluszczu i wawrzynu oraz rozstawili stoły na kozłach do uczyty weselnej. Podczas gdy Atalanta przejednywała Artemidę ofiarą z jałówki – w pełni świadoma, że bogini przeciwna jest małżeństwu i mści się na tych, którzy o niej zapominają – pałacowy kapelan królowej Arete częstował tamtejsze bóstwa, Aristajosa i Autonoe, postnymi ofiarami z winogron, plastrów miodu, oliwy oraz owczego sera. Bootes z rozkoszą uczestniczył w tej biesiadzie, bo Aristajos nie tylko pierwszy w Grecji zrobił ser owczy i pierwszy założył sad oliwny, lecz był także pierwszym bartnikiem.

Kapelan i jego pomocnicy odśpiewali pieśń na cześć Aristajosa. Akolici rozpoczęli od pytania:

*Skądżeś przyniósł oliwną gałąź,*

*Swoją płodną oliwną gałąź,*

*By ją szczepić na dzikim pniu?*

Kapelan odparł:

*Z sąsiedniego przyniosłem sadu*

*Ową płodną oliwną gałąź,*

*By ją szczepić na dzikim pniu.*

Tamci raz jeszcze zapytali:

*A twój sąsiad skąd przyniósł gałąź,*

*Ową płodną oliwną gałąź,*

*By ją szczepić na dzikim pniu?*

Kapłan powtórnie odpowiedział:

*Od innego znowu sąsiada*

*Przyniósł z sadu oliwną gałąź,*

*By ją szczepić na dzikim pniu.*

Pomocnicy coraz energiczniej dopytywali, z czyjego sadu pochodzi ta płodna gałąź; lecz kapłan dziewięciokrotnie odsyłał ich jej śladem od sąsiada do sąsiada, aby w końcu móc triumfalnie wyjaśnić:

*Z Aristajosowego drzewa*

*Przyniósł płodną oliwną gałąź,*

*By ją szczepić na dzikim pniu.*

Akolici spytali, skąd Aristajos zdobył to drzewo, i dowiedzieli się, że otrzymał

je dzięki łasce Wielkiej Bogini. A co w tym celu robił? O wschodzie księżyca szczepił dziką oliwkę na dzikiej oliwce, na drugi rok podobnie okulował gałązkę rosnącego szczepu na tej samej podkładce, zaś na trzeci rok powtórzył to raz jeszcze, trzykroć o wschodzie księżyca, wzywając imienia bogini. Wielka Bogini zaszeleściła wśród listowia i ostatnia gałązka, którą Aristajos zaszczepił, wypuściła kształtne listki słodkiej oliwki i pobłogosławiła go z nadejściem zimy wilgotnym, fioletowym owocem.

Bootes uzupełnił piosenkę drugą podobną, własnego układu, zaczynając: *Skąd przywiodłeś pszczeli rój,*

*Ten brzękliwy, miodny rój,*

*Co się karmi w moim sadzie?*

i wyuczył akolitów, aby mu zadawali właściwe pytania. Pierwsza odpowiedź

stwierdzała, że rój został wzięty z sąsiedzkiego ula. Potem prześlędzono jego drogę od sąsiada do sąsiada, aż się okazało, że pochodzi z ula Aristajosa. Skąd go zdobył

sam Aristajos? Bootes odparł z triumfem, że z martwego lamparta, którego ubił na Pelionie, gdy usiłował on napaść jedną ze świętych klaczy bogini. Aristajos po trzykroć wzgardliwie trącił nogą ścierwo, wzywając imienia bogini, aż za trzecim razem odpowiedziała grzmotem tak donośnym, że ze wszystkich sosen na zboczach posypały się szyszki; pszczoły, bzyząc, wyfrunęły z rany na grzbiecie lamparta i zbiły się w rój na krzewie głogu.

Tak się kończyła pieśń Bootesa. Żałował tylko, że uczciwość mu nie pozwalała pochwalić korkyrańskiego miodu.

Galera feacka przywiozła Medeę. Miała na sobie białe lniane szaty i biały haftowany welon pożyczony od Arete, która także była obecna. Dwanaście dam dworu wyznaczonych na drużny już ją zanurzyło trzykrotnie w świętym źródle Korchyry. Na ołtarzu, jaki Atalanta wzniosła ku czci Artemis, Medea spaliła kilka pukli swoich jasnych włosów. Dla bogini Brimo, z którą pogodziła się przed wyjazdem z domu Kirke na Ajai (przejednawszy ją ofiarą z czarnej maciory i dziewięciorga prosiąt), spełniła teraz obiadę pełną czarą czystego miodu.

Jazona podobnie skąpali towarzysze w sadzawce zasilanej przez źródło Makris; obleczone go następnie w najlepsze szaty i uwieńczono kwiatami ku czci runa.

Królowa Arete dała Argonautom rzadkie fioletowe i złociste kwiaty, zwane bratkami, jakie hodowała w wysokich glinianych donicach stojących rzędem na jej prywatnym dziedzińcu, i z tego właśnie kwiecica uwili wianek dla Jazona.

Potem synowie Fryksosa oddali Medeę Jazonowi, a on ją ujął za rękę i powiódł

ku jaskini, gdzie dwanaście druzhen odśpiewało u wejścia weselną pieśń, sypiąc przed nimi kwiaty i obrzucając ich pierniczkami w kształcie najrozmaitszych zwierząt fallicznych i ptaków, migdałami osmażonymi w cukrze oraz garściami smacznego anyżku. Sama królowa Arete przyświecała im pochodnią.

W uczcie uczestniczyło trzydziestu trzech Argonautów i tyluż Feaków, lecz ani jeden Kolch prócz synów Fryksosa. Zebrani byli w świetnych humorach i jak wypada, stroili rubaszne żarty, w czym Idas prym wodził; a niebawem na obszernym równym placu przed jaskinią drużny Medei wykonały taniec weselny ku czci bogini Hery, trzymając się za ręce i krążąc wokół nieforemnej hermy kamiennej, którą Argos wyciosał na tę uroczystość; zaś słodka pieśń zaślubin wznosiła się i opadała, podczas gdy Jazon jadł krewetki z rybą dla wzmożenia męskości.

Na koniec Medea i Jazon, dłoń w dłoni, podeszli do posłania w głębi grotty, gdzie zawieszono zasłonę. Królowa Arete wręczyła każdemu z nich smażony owoc pigwy do zjedzenia oraz dojrzałą pigwę do wachania. – Niech usta wasze i nozdrza będą pełne słodyczy – rzekła – o piękni oblubieńcy!

Medea odwiązała dziewiczą przepaskę, oddała druzhom, aby ją złożyły na ołtarzu Artemis, po czym odwróciła się, chcąc spojrzeć na łożo małżeńskie. Wtem zadrżała i zbladła bardziej niż lilia, bo na wonnych lnianych prześcieradłach i z dala przywiezionych derkach, które Argonauci spiętrzyli na darni, rozpostarte jako przykrycie leżało złote runo, a wołałaby zapomnieć na razie, jak sprytnie je wykradli ze świątyni Prometeusza.

– Nie wzdragaj się, pani, przed tym błogosławionym nakryciem – powiedział

Jazon. – Spoczywa tu po to, by nasze wesele stało się tematem pieśni zdumionych i zawistnych potomnych.

Uśmiechnęła się do niego blado i odrzekła drżącymi wargami: – Oby nie przyniosło nam nieszczęścia, mój najpiękniejszy! – I mimo woli powtórzyła słowa złowróznej pieśni swego

krewniaka, Syzyfa, „Lamentu nad Pazyfae”, którego ją w malignie nauczył Orfeusz:

*Runo wspólny nam smutek ozłaca*

*I ta noc bez księżycy być musi.*

Istotnie, tej nocy zabrakło księżycy; a choć Syzyf, układając owe strofy, co innego miał na myśli, wydawały się teraz równie właściwe, jak złowieszcze.

Jazon dał jej się napić nie rozcieńczonego wina, żeby ją podnieść na duchu, i wreszcie, okrytych runem, połączyła miłość, zaś przez zasłonę dobiegały hałaśliwe żarty, piosenki i śmiech gości; biały brzask wstał zbyt wcześnie dla obojga.

## **NA SYCYLIĘ I KU POŁUDNIOWI**

Tego rana, w pełnym majestacie królewskim, Alkinoos ferował wyrok.

– Moi panowie! – rzekł. – Zeus-prawodawca natchnął moje serce, abym wam oznajmił jego niezmienną wolę. Biada tym, co się jej sprzeciwią! Oto są słowa Zeusa; „Księżniczka Medea, o ile została już prawowicie poślubiona Jazonowi, synowi Ajzona, lub jakimkolwiek innemu Grekowi, może pozostać ze mną, jeśli wszakże nie jest jeszcze zamężna, zabrania się jej czynić cokolwiek w celu odmiany swego stanu i gniewać w ten sposób istotnych władców jej ojczyzny. Co do tak zwanego złotego runa, ta zdjęta odzież mego lafistiańskiego tryka została dawno temu, za moim pozwoleniem, wywieziona do Ai w Kolchidzie i tam powierzona na przechowanie kapłance Prometeusza; a więc powiadam znowu: dokądkolwiek ona się uda, tam niech podąży runo. Jeśli teraz kapłanka uważa za właściwe oddać runo, w imię Prometeusza, posągowi, który niegdyś okrywało, macie jej w tym nie przeszkadzać; będąc jednak Panem Wszechrzeczy nie dbam specjalnie o to, co się stanie z pozłacaną błyskotką. Co do dziewiczej łowczyni, Atalanty z Kalidonu, zakazuję jakichkolwiek aktów pomsty na jej osobie w obrębie wszystkich ziem, gdzie władza moje prawo, jest ona bowiem ulubioną służką mojej córki Artemis”.

Aras nie posiadał się z uciechy. Uznał boski wyrok za sprawiedliwy oraz bezsporny i podkreślił, że skoro Medea mogła zostać prawowicie zaślubiona tylko w wypadku, gdyby uzyskała zgodę swego najbliższego krewniaka po mieczu, czyli Absyrtosa, z sądu Alkinoosa wynika, że musi ona bezzwłocznie wracać do Kolchidy, a runo wraz z nią.

Królowa Arete wydawała się wcieloną niewinnością, ale jej damy dworu miały niejaki kłopoty ze stłumieniem wesela, zwłaszcza gdy Aras zaczął się droczyć z Jazonem, pytając:

– No i cóż, grecki mądralo, co byś sądził o tym nowym obrocie rzeczy?

– Całkiem mi odpowiada – rzekł Jazon łagodnie. – Królowa Kolchidy, Medea, jest moją żoną, a świąciliśmy zaślubiny za wspólną zgodą wszystkich jej żyjących krewniaków po mieczu, to znaczy Frontisa, Melaniona, Argiosa i Kityssora, synów Fryksosa. Dziewicza przepaska królowej została jak należy złożona w świątyni korkyryjskiej Artemis, gdzie każdy ją może oglądać.

Na to wszyscy obecni Grecy ryknęli wielkim śmiechem, lecz Kolchowcie, oprócz Arasa, zachowali milczenie, niepewni, co Jazon przez to rozumie. Aras wpiery nie dowierzał, potem się obruszył. Przypuszczał, oczywiście, że Alkinoos go wywiódł w pole, ale grzeczność nie pozwalała mu oskarżyć gospodarza o dwulicowość. Stał tak, przygryzając wargi i bawiąc się rękojeścią miecza, aż Medea podeszła doń miękko i spytała z rozbrajającym uśmiechem:

– Dlaczego tu zwlekasz, Arasie? Dlaczego natychmiast nie odpływasz do Kolchidy?

– Jeśli twój królewski brat Absyrtos żyje nadal i panuje w Kolchidzie – odparł –

zabije mnie, gdy wrócę nie wypełniwszy trzech jego poruczeń. Po cóż miałbym wracać do kraju, tak daleko stąd, tylko po to, by zginąć marnie na zakończenie podróży? Jeśli jednak zginął, a zaczynam prawie w to wierzyć, bo synowie Fryksosa są uczciwymi ludźmi i nie składaliby fałszywych zeznań w obliczu bóstw małżeństwa, dla których wznieśliście ołtarze... cóż, w takim razie jesteś mi królową i czekam na twoje rozkazy.

Medea uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

– Szlachetny Arasie, wracaj do Kolchidy, jeśli masz ochotę; a skoro się lękasz stawić czoła gniewowi mego tauryjskiego wuja Persesa, króla Albanii, Styry, oraz kolchidzkiej Rady Stanu, czemu nie udasz się na Ajaję, położoną naprzeciw Poli u krańców Adriatyku? Tam możesz bezpiecznie zaofiarować swoje usługi siostrze mego ojca, królowej Kirke, co rada wita na swojej wyspie wszystkich wojowników, którzy czczą wiernie boginię o wielu imionach. Gdybym cię wszakże kiedyś potrzebowała, bądź pewien, że posłę po ciebie. Jedź, Arasie, i powodzenia!

Co do mnie, osiadę w Efirze, gdzie zamieszkują dawni poddani mego ojca, i niech sobie Perses dalej zachowa regencję Kolchidy na czas mojej nieobecności... a zdaje się, że doprawdy będzie ona dosyć długa. I nakazuję ci, prawy Arasie, pozwól mojej przyjaciółce Atalancie odejść wolno. To Artemida, nie ona, zabiła mego ojca Ajetesę; Artemida zaś jest boginią, z którą niebezpiecznie zadzierać, jakęś sam widział.

Tak to przekonała Arasa. Pożegnał się z Medeą posłusznie a uroczyście, po czym jego ludzie podążyli w ślad za nim do portu, rozpięli żagle na południową bryzę i niebawem zniknęli za horyzontem. Jazon uczcił odjazd Arasa ofiarami i igrzyskami, zaś lud okoliczny zbiegł się zewsząd, niosąc podarki ślubne dla królewskiej pary: ten jałówkę, tamten plaster miodu, ów gęś utuczona. Argonauci żalowali, że nie mogą od razu płynąć do Jolkos i stamtąd rozejść się w chwale do własnych grodów i wysp, zanim się pogorszy pogoda: lecz obietnica Jazona wobec Kirke kazała im najpierw zawieźć dary najwyższej kapłance świątyni Kokalosa w Agrygencie na Sycylii.

Piątego dnia pobytu na wyspie pożegnali Feaków, a ci zaprowiantowali okręt i zaopatrzyli go w nowy żagiel oraz osprzęt; i wyruszyli do Kalabrii w Italii. Na rozstanie królowa Arete ofiarowała Medei dwanaście druchen jako orszak, Medea zaś podarowała Arete w zamian kilka swoich najpiękniejszych klejnotów.

Wymieniły poza tym leki i amulety: Medea dała Arete mazidło z korzenia mezereum, skuteczne na piersiowe zaziębienia, na jakie wiecznie zapadał

Alkinoos; Arete Medei – preparat z cebuli morskiej, co obficie pleni się na Korkyrze, stanowi zaś niezawodną truczkę na myszy i szczury, nie szkodząc innym stworzeniom.

– Mając to w zapasie – rzekła Arete – nie potrzebujesz się lękać żadnej plagi myszy ani szczurów, jakie Apollo mógłby zesłać na ciebie.

Po przyjemnej podróży, wśród delfinów od świtu do zmierzchu rozigranych wokół okrętu, Argonauci wysiedli w kalabryjskiej Leuce, u wierzchołka Przylądka Japygijskiego. Zastali tam Kantosa, brata Polifema, którego zostawili byli nad Kianą: wyruszał na poszukiwanie Polifema, pragnąc mu oznajmić, że banicja została zeń zdjęta i może wracać do domu, do Larysy. Jazon zaproponował

Kantosowi przejazd z powrotem do Grecji, na co tamten przystał ochotnie. Poza tym w Leuce Medea, w podzięce za gościnność okazaną jej przez tubylców, wyuczyła ich kapłanów sztuki zaklinania węży, która zawędrowała później nad Jezioro Fucyńskie do Marsjanów, którzy po dziś dzień mylnie oddają jej część boską pod imieniem bogini Angitii.

Teraz Jazon wyznaczył Naupliosa na nawigatora, drogą tą bowiem Nauplios żeglował mnóstwo razy. Dowiózł ich bezpiecznie do Krotonu, gdzie foki wygrzewają się na piasku przez nikogo nie niepokojone; tu obmyli runo w trzeciej z siedmiu nakazanych rzek, mianowicie w Ajsaros, która wpada do Morza Jońskiego. Z Krotonu, wstępując do Region, udali się na Sycylię, do Katany w cieniu Etny; zastali tamtejsze pastwiska i kasztanowe lasy wypalone, a morze aż gęste od pływających kawałków pumeksu, jakie góra onegdaj wypłuka. Widzieli już z daleka płomień i dym, ale Medea kazała im się niczego nie lękać. W Katanie obmyli też runo w czwartej z nakazanych rzek, mianowicie w Symaitos, która wpada do Morza Sycylijskiego. Z Katany, przez Heloros i Gełę, pożeglowali do bogatego w wodę Agrygentu, co leży pośrodku południowego wybrzeża Sycylii, na wprost Afryki.

Kiedy zawijali do portu w Agrygencie bardzo wczesnym rankiem, czuwało tylko trzech Argonautów, to znaczy: Idas, który odbywał wachtę przy rudlu za Długiego Ankajosa, ten bowiem sterował całą noc; Nauplios i Bootes Ateńczyk.

Właśnie gdy *Argo* okrążała mały cypel, trzymając się bliźutko lądu, pięćdziesiąt nimf Kokalosa grało na plaży w piłkę. Rzucały ją sobie nawzajem w rytm piosenki zwanej „Pieśnią syren”, a suknie, podkasane do pasa dla większej wygody, odsłaniały ich nagie uda. Nauplios i Bootes skromnie zakryli oczy brzegiem opończy, ale Idas, pozbawiony szacunku i wstydu, wrzasnął: – Zmykajcie, ślicznotki, i skryjcie się w mysiej dziurze! Idas, syn Afareusa, patrzy na was.

Bootes, człowiek wielkiej przyzwoitości, skarcił Idasa, mówiąc: – Oj, Idasie, Idasie! Patrz lepiej swego kursu! Przez głupotę narażasz życie nas wszystkich!

– Nie więcej niż ty, zbikowany bartniku Bootesie – odparł Idas – kiedy to w Ai twoje upodobanie do miodu zgubiło naszego drogiego towarzysza Ifitosa, który poległ, spiesząc ci na odsiecz.

Słowa te, wypowiedziane głośno, obudziły ducha Ifitosa, a przecież porzuciwszy kurhan grobowy wzniesiony dlań na ziemiach Apsylajów, zakradł się był na *Argo*, ukryty w koszu z żywnością, aby szukać pomsty. Linkeus kilkakrotnie już widywał tego ducha, jak po omacku błąkał się od ławy do

ławy niepomny własnego imienia i celów. Teraz przypomniał sobie wszystko, wpełził pod piękną mariandyńską opończę, którą Bootes zakrywał oblicze, i jął mu ćwierkać do ucha:

– Jestem Ifitos, Ifitos, Ifitos, Ifitos, Ifitos!

Bootes zawył wniebogłosy i przesadził burtę, by ujść przed Ifitosem – duch bowiem nie ośmiela się przebyć słonej wody, chyba że łodzią albo na tratwie –

i odpłynął, jak mógł najszybciej, ku zachodowi. Nauplios nawoływał go do powrotu, a skoro tamten tylko przyspieszał tempo, zmienił kurs i ruszył za nim.

Tymczasem nimfy, bardziej rozbawione niż dotknięte, wezwały imienia swojej bogini i natychmiast gęsta mgła osnuła *Argo*; zmyliwszy w ten sposób wścibskie oko Idasa, w pełnym blasku słońca dalej śpiewały na plaży świętą pieśń. Nauplios tedy wstrzymał okręt w obawie, że najedzie Bootesa. Zbudził Medeę i opowiedział

jej, co się zdarzyło. Od razu okrzykiem pozdrowiła nimfy i poprosiła, aby skłoniły boginię do rozproszenia mgły; co uczyniły dość chętnie, skoro się dowiedziały, kim jest.

Bootes przepadł i nigdy już więcej nie wrócił na pokład *Argo*. Jednakże nie utonął; w kilka godzin później przygodny statek wyłowił go wyczerpanego, lecz pływającego jeszcze, i odwiózł na Lilibajon, najdalego na zachód przylądka Sycylii. Znalazł tam miód o tyłu nadzwyczajnych zaletach, że resztę życia spędził

w gościnie w kolegium nimf na górze Eryks. Nie bał się już ducha Ifitosa, z chwilą gdy odrąbał sobie palec wskazujący, żeby go przebłagać, i został ojcem mnóstwa udanych dzieciaków tych nimf, błogosławiąc pecha, co go tu sprowadził.

W Agrygencie Medea doręczyła dary Kirke najwyższej kapłance Kokalosa, która ucałowała ją i pokazała autentyczny posąg bogini o ruchomych stawach, roboty Dedala. Bardzo długo gawędziły obie w głębi świątyni, podczas gdy Argonauci ucztowali na zewnątrz w cieniu ciężarnych owocem jabłoni. Właśnie wtedy Meleager wkruszył Atalancie lubczyk, który Kirke mu dała, do kubka wody z miodem. Gdyby jej skosztowała, zakochałaby się w nim tak namiętnie, że zapomniałaby o wszelkiej przyzwoitości, a bodaj lojalności wobec Artemis. Lecz bystrooki Linkeus spostrzegł czyn Meleagra i niby przypadkiem wywrócił czarę, tak że lubczyk się zmarnował. Wtedy, odciągając tamtego na stronę, szepnął mu do ucha: – Zaklinam cię, towarzyszu, nie wszczynaj kłótni z Artemis! – Rozkochany Meleager oprzytomniał, lecz nadal dokuczał Atalancie zazdrością i nieprzyjaznym obejściem wobec Melaniona.

Na koniec *Argo* mogła skierować się ku domowi. Wiatr był przychylny, z zachodu, gdy sunęła wzdłuż południowych brzegów Sycylii, jednak skoro tylko wychyliła się z przylądka Pachynos, niezwykle gwałtowny wiatr północno-wschodni zakotłował Morze Sycylijskie. Nauplios radził Jazonowi wypuścić okręt z wiatrem i szukać schronienia na Malcie, gdzie jest zaciszny port. Jazon przystał, lecz przez jakąś okropną pomyłkę Długi Ankajos obrał kurs zanadto na wschód i w zapadającym zmierzchu minął Malte, podczas gdy Linkeus na nieszczęście akurat się zdrzemnął. Niosło ich całą noc po nieopisanie wzburzonemu morzu, pełnym lęku, że każda godzina może się okazać ostatnia.

Ranek nie przyniósł ulgi, raczej tylko zwiększył niepokój. Przekonali się, że *Argo* przecieka, nadwerżona straszliwymi ciosami fal, i Argos zawołał o liny, by ją obwiązać, czego dokonali z wielkim trudem wśród olbrzymich grzywaczy.

Argos rzekł do Naupliosa: – Szpara powstała w tej części okrętu, którąśmy reperowali w Teos; drzewo od razu niezbyt mi się podobało, ale nie można tam było dostać lepszego. Musimy jak najszybciej dobić do brzegu, a tymczasem czerpać wodę, by ratować miłe życie, cisnąwszy wprzód za burtę wszystko, co nie jest niezbędne.

Jazon wydał rozkaz, by odciążyć okręt, nikt się atoli nie kwapił rzucać falom na pastwę bogatą broń czy wory złotego piasku. Gdy się wahali, Augiasz wykrzyknął:

– Dalej, kamraci, wytoczymy za burtę konwie na wodę. One ważą najwięcej! – Tak też zrobili, zatrzymali tylko odrobinę świeżej wody na swoje potrzeby w złotych dzbankach i srebrnych konewkach.

Były to okropne dni i noce, bo nikt nie usnął ani na mgnienie, zaś dwanaście panien feackich tak straszliwie cierpiało wskutek choroby morskiej, że błagały swoją panią, by w ślad za konwiami wypchnięto je do morza, kładąc w ten sposób kres ich niedoli.

Ktoś wreszcie przypomniał sobie misteria na Samotrace i radził wezwać boginię, aby uciszyła wiatry. Tedy Mopsos spróbował ją przywołać, tak jak go wyuczylili Daktyle, ale w obliczu tylu niewtajemniczonych nie potrafił przytoczyć poprawnej formuły zaklęcia ani nie udało się to nikomu innemu: rzekłbyś, bogini umyślnie zaćmiła im rozum.

Wtedy Jazon poprosił Medeę, żeby przebłagała boginię, ale Medea sama była wyczerpana chorobą morską i mogła tylko jęczeć w odpowiedzi. Płynęli więc dalej obok skalistej wysepki Lampeduzy, której wybrzeża lśniły bielą olbrzymich płatów piany; lecz Nauplios mylnie wziął ją za Pantellarię, położoną o dzień żeglugi dalej na północ, i już zupełnie stracił rozeznanie. Teraz runęły na *Argo* fale jeszcze większe niż poprzednio, pokrywając rdzą oręż Argonautów, niszcząc im odzież i zmuszając do czerpania bez przerwy, aż myśleli, że im grzbiety popękają z wysiłku.

O brzasku trzeciego dnia Meleager wykrzyknął: – Towarzysze, który z was zdoła mi wytłumaczyć, czemu spadło na nas to nieszczęście? Skoro grzechy, jakieśmy jawnie popełnili, zostały zgładzone przez ofiarę i oczyszczenie, cóż za przyczynę albo sens ma ta niebezpieczna huśtawka?

Kastor wpił oczy w Idasa, oczy niegdyś jasne, teraz zmętniałe znużeniem i zaognione od słonych bryzgów. – Tam siedzi winowajca – rzekł – co obraził

nimfy Kokalosa i rozgniewał tym Wielką, która włada wiatrami. Gdyby na naszym okręcie zabrakło Idasa, już niebawem sunąłby gładko, rozprute spojenia zamknęłyby się same, wiatry ucichły, a wesoly zimorodek znowu by muskał

błękitne fale.

Linkeus odpowiedział za brata, zwracając się do Jazona: – Jazonie, synu Ajzona, słyszałeś, co Kastor



mówi? Niepomny na przysięgę lojalności, którą składał nam wszystkim opodal Jolkos i którą ponowił na wyspie Apollina, kiedyśmy tylko wpłynęli na Morze Czarne, ten szaleniec najwyraźniej knuje spisek na życie mego brata Idasa. Usiłuje z racji prywatnej urazy ściągnąć publiczne potępienie na najdzielniejszego męża wśród was. Czemu mamy odmawiać drogiemu Idasowi prawa do niewinnych żartów? Czyż nie zasłużył sobie na to, by mówić, co mu się podoba? Kiedy olbrzymi dzik zabił Idmona wśród trzciny nad rzeką Lykos i skrwawionymi szablami byłby pozbawił życia całą naszą załogę, kto celnie użył dzidy o szerokim ostrzu i powalił bestię? Odpowiedz mi, Peleusie, ty, który owego ranka znajdowałeś się w największym niebezpieczeństwie! Albo kto, kiedyśmy walczyli z Bebrykami, powiodł atak skrajem kotliny i zachodząc wroga z flanki, rozbił go w puch? Odpowiedz mi, Długi Ankajosie, ty, który biegleś dwa kroki za nim? Jeśli dla dobra ogółu należy ulżyć *Argo* o jednego męża, niechże nim będzie niewdzięczny nicpoń Kastor, którego serce kasa zawiść niczym szczur gryzący w kącie piwnicy poczerniały bukłak skórzany.

Linkeus z Idasem złapali za broń, to samo Kastor i Polideukes, i wszyscy czterej usiłowali skoczyć sobie do oczu; lecz okręt rzucał i zataczał się tak gwałtownie, że nie mogli ustać na nogach. Inni Argonauci przytrzymali ich za chitony i rozbroili. Polideukes wszakże zdążył zbliżyć się do Idasa wystarczająco, żeby mu zadać potężny cios w szczękę. Idas wypluł wybity ząb razem z krwią i rzekł: – Jak się ta podróż skończy, Polideuku, mój złamany ząb zażąda w odwet całej szczęki!

Zaczerwieniony z wściekłości Argos wykrzyknął: – Podróż skończy się tutaj i teraz, bezmózgie tumany, jeśli natychmiast nie weźmiecie się znowu do czerpania. Odkąd wybuchła ta obłąkana kłótnia, przybyło wody na dwa palce.

– To moja wina, Argosie – odezwał się Meleager. – Zawiniłem, nie wyrażając się dosyć jasno. Nie miałem w ogóle zamiaru wzniecać niezgody między dumnymi bliźniakami. Chciałem właściwie zapytać całkiem o co innego, mianowicie, czy burzy i przecieku nie spowodował może jakiś błąd ze strony Atalanty z Kalidonu.

W Agrygencie, kiedyśmy wysiedli na brzeg, widziałem, jak szła gdzieś w krzaki z Melanionem...

Argos wepchnął mu do ręki brązowy kubek i wrzasnął: – Czerp wodę, człowieku, i trzymaj swój przeklęty jęzor za zębami, jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek oglądać ląd!

Lecz Atalanta podeszła, siadła obok Meleagra i rzekła półgłosem: – Najdroższy, pozwól mi wyznać, że kocham tylko ciebie, choć mnie dręczysz natręctwem i bezpodstawną zazdrością o poczciwego Melaniona. Widzę twoją rozterkę i nie będę karała cię dłużej. Chodź, kotku, uśmiechnij się do mnie i będziemy czerpali na zmianę.

Meleager się rozplakał i błagał ją o wybaczenie, którego mu udzieliła ze słodyczą. Czerpali wspólnie, ramię w ramię, on nabierał, gdy ona wylewała wodę, on wylewał, gdy ona nabierała. I znów zapanował spokój na *Argo*, przerwany – ku ogólnemu zdziwieniu – przez Askalafa, syna Aresa, który głębokim, bardzo pięknym głosem zaśpiewał:

*W ostatnią noc rzekł tracki ojciec mój:*

*– Zdejmijcie hełmy, rycerze!*

*Argo już cieknie, już nie ruszy w bój!*

*– Zdejmijcie hełmy, rycerze!*

*– Nie groźna jest już wasza krwawa broń,*

*Zdejmijcie hełmy rycerze!*

*Zielona, chłodna pogrąży was toń,*

*Zdejmijcie hełmy, rycerze!*

*– I nie puchary win lemnijskich w garść,*

*Zdejmijcie hełmy, rycerze!*

*Ale czerpaki morskiej wody brać!*

*– Zdejmijcie hełmy, rycerze!*

Te trzy zwrotki i następne w tym samym rodzaju dodały Argonautom sił do dalszego czerpania; melodia była z tych, co wpadają w ucho i niełatwo się ich pozbyć. Niebawem opanowali napływ wody. Argos wyszukał szparę, zatkał ją wałkami nawoskowanej tkaniny i pozwolił im hołubić nadzieję, że dotrą do brzegu bez szwanku, jeśli tylko wiatr nieco osłabnie.

## **WYZBYCI NADZIEI**

Trzeciej nocy ich niedoli, a dziewiątej od wyjazdu z Korkyry, między północą i brzaskiem Linkeus, wachtujący na dziobie, zawołał głosem donośnym, aby wiatr go nie zdołał zagłuszyć: – Ruffy przed nami! – Na to prostoduszny Koronos z Gyrtanu odezwał się ze swego miejsca u rufy:

– Lękam się, towarzysze, że nadszedł czas, kiedy pełni smutku musimy się pożegnać, wybacząc sobie nawzajem wszelkie krzywdy i zniewagi, jeśli który chowa jeszcze w sercu ich nienawistne wspomnienie. Pamiętajmy tylko o czynach, jakich dokonaliśmy wspólnie; choćbyśmy bowiem teraz zginęli, nikt nie śmie zaprzeczyć, że nasza niezwykła wyprawa się powiodła i że zasłużyliśmy na sławę, co długo nie zblednie. Niestety jednak towarzysze nasi, Idmon i Tyfis, Ifitos, Kalais i Dzetes, ci, którzy padli po drodze, będą uznani za szczęśliwszych niż my.

Spaliliśmy pobożnie ich kości i odprawili należne pogrzebowe obrzędy, gdy tymczasem nasze ciała padną pastwą krabów, pełzających bokiem po pustynnym wybrzeżu Afryki; kto wie zaś, co spotyka nasze duchy?

Jednakże czarownik Peryklimenos powstał, opierając się mocnym chwytem lewej ręki na okrężnicy, wyciągnął przed siebie prawą dłoń i tak oto poufale się zwrócił do swego ojca, boga Posejdona:

– Ojcze, jakiegokolwiek inne bóstwa rządząby wodami Morza Czarnego czy obszarem wokół Samotraki, tutaj władasz wyłącznie ty. Czyżbyś zapomniał

o trzech mężach, których zaszczytasz mianem swoich synów, a którzy wiosną tego właśnie roku na ziemi Bebryków złożyli ci niebywałą ofiarę całopalną z dwudziestu czerwonych byków bez skazy? Ci sami trzej mężowie znaleźli się na tym okręcie. Ocal ich, błagam, wraz z towarzyszami i wysadź na ląd bez szwanku.

Czyniąc to, wyrządzisz przysługę swemu starszemu bratu, wszechmocnemu Zeusowi, bo jego złote runo leży zwinięte bezpiecznie w skrytce pod siedzeniem naszego sternika. Jeśli *Argo* pójdzie na dno, ojczyzna, a runo z nią razem, nie będziesz się mógł tłumaczyć niewiedzą o tym wypadku. Gromowładny rozgniewa się i zażąda zadośćuczynienia, zwłaszcza żeśmy wywalczyli dlań runo z nieopisanym trudem i ryzykiem. Oto podarek dla ciebie, ojczyzna, podarek ode mnie – piękne tesalskie wędzidło i uzda, którym wygrał w kości od Kastora ze Sparty; ty bowiem pierwszy uczyłeś mnie potrząsać kubkiem z kośćmi tak, aby mi były posłuszne i padły, jak zechcę. Przyjm ten dar i użyj go: okiełznaj swoje bezrozumne zielone rumaki, nie pozwól im cisnąć nas na zgubę na bezlitosne wybrzeża Afryki. Daję, abyś ty dał w zamian.

Nagle ktoś krzyknął i wskazał palcem w stronę rufy. Bo zdawało się, że bóg gardzi darem swego syna Peryklimenosa i wziął się na ich zgubę. Potwornie wielka fala, grzywacz nad grzywacze, która uniosła się ponad inne niby śnieżny nawis górski ocieniający zieloną dolinę, potoczyła się ku nim ze straszliwą szybkością. Porwała *Argo* na barki i uniosła ze sobą. Argonaucci słyszeli ssący zgrzyt morskiego żwiru i w każdej chwili spodziewali się runąć dnem na skalisty brzeg; lecz kiedy grzywacz załamał się z hukiem i cisnął ich naprzód w białej kurzawie piany, nie uczyli w ogóle wstrząsu.

*Argo* z wolna traciła rozpęd; zupełnie jakby palce boskiej dłoni pochwyciły ją i zatrzymały w miejscu. Ta sama myśl przemknęła przez głowy wszystkich:

„Umarliśmy. Tak właśnie jest, kiedy się umrze”.

Pod wpływem tej dziwnej myśli spokojnie posnęli, byli bowiem wyczerpani do ostateczności, a żaden się już nie spodziewał ujrzeć ognistego kręgu słońca.

Gdy wszakże jutrzienka różanymi palcami rozsunęła szparko zasłonę ciemności, krzyk mewy obudził Małego Ankajosa, który otrząsnął się, wspiął na okrężnicę i rozejrzał dokoła. *Argo* spoczywała nieruchomo, umoszczona bezpiecznie na wielkiej kępie morszczyzny, nie postradawszy ani kawałka rzeźby rufowej. Zanim pobudził kamratów, by im oznajmić nowinę, Ankajos wziął sondę i przekonał się, że okręt pływa na parustopowej wodzie, ale poza zasięgiem fal, które dalej łamią się gwałtownie o parę strzałów z łuku za rufą.

Z początku nikt nie mógł zrozumieć, co zaszło. Niemniej Peryklimenos wstał, przecierając oczy ze snu, i mrukliwie podziękował ojcu za to cudowne ocalenie.

Wkrótce potem wiatr zaczął ucichać po kilku jeszcze gniewnych podmuchach.

W miarę jak słońce wznosiło się wyżej, w miejsce sztormu nastawała martwa cisza, choć morze nadal syczało w uszy Argonautom niby rozszłoszczona gęś. Gdy ochłonęli ze zdumienia i jęli się ciekawie rozglądać, zauważyli, że grzywacz przeniósł *Argo* nad rzędem raf – z których każda zgruchotałaby ją jak nadgniły orzech laskowy – i w końcu przerzucił przez rozległą wyniosłą łacchę do zarosłego morszczyznem jeziora w głębi lądu, o brzegach oszroniałych od soli.

Ktoś zaczął się śmiać z niezwykłości tego wydarzenia i za chwilę rechotał cały okręt. Ale Nauplios ich pohamował.

– Towarzysze – rzekł – wcale nam nie do śmiechu. Głębina przygarnęła już do piersi falę, co nas tu przyniosła, i choć zapewne kosztem wielkiego wysiłku moglibyśmy w miesiąc przekopać tunel przez plażę z powrotem do morza, nigdy nie zdołamy dźwignąć *Argo* poprzez tamte rafy, co stercząc rządami niczym ławy w zatłoczonej sali, zalegają obszar ładnych paru stajañ. *Argo* znalazła się w pułapce

– wieloryb wyrzucony na ląd – i tu jej kadłub musi leżeć i gnić, a my z nim razem, chyba że jezioro łączy się z morzem jakimś nie znanym przesmykiem.

Jezioro rozpościerało się w głąb lądu aż po horyzont południowy i spory kawał

na wschód, ale pas gruntu, który je odcinał od morza, ku wschodowi rozszerzał się stopniowo w szary kamienny płaskowyż; podczas gdy od zachodu, niezbyt daleko, opasywał je długi łańcuch piaszczystych pagórków.

Jazon zapytał Naupliosa: – Gdzie jesteśmy? Co to za jezioro?

– Nie mogę twierdzić na pewno – odparł Nauplios – bom tu jeszcze nigdy nie był. Wielkie jezioro leży w głąb lądu od Hadrumetum, opodal którego się teraz znajdujemy, wedle mego rozeznania; ale mówiono mi, że leży ono w odległości wielu stajañ od morza, co mnie zbija z tropu. Spróbujmy od razu zepchnąć okręt na głębię i przebyć jezioro. Możliwe, że znajdziemy rzekę wypływającą stąd do morza.

Jak byli znużeni i głodni, Argonauci odwrócili wiosła w dulkach, zdjęli mokre ubranie, zostawiając tylko przepaski, zleźli z okrętu i zaczęli go przepychać przez lepkie zielsko. Po paru krokach *Argo* utknęła na mieliźnie. Cofnęli ją i skierowali w drugą stronę, ale niemal natychmiast osiadła znowu. Morszczyń uniemożliwił

Naupliosowi zorientowanie się, gdzie głębia, gdzie płycizna. Nalegał tedy, by przestali daremnych wysiłków i rozeszli się kołem na wszystkie strony, to on wtedy zobaczy zależnie od ich zanurzenia, gdzie woda jest najgłębsza. Zrobili tak, i zdołał

za pomocą wiosel wytyczyć kręty kanał; po czym zawołał wszystkich i zaczęli pchać *Argo* tym kanałem, choć kil co chwila zgrzytał na piaszczystym dnie. Lecz kiedy słońce znalazło się wysoko na niebie, posunęli się zaledwie o jakieś sto kroków i byli kompletnie wyczerpani.

Jazon zbadał zapasy wody i wina. Wody znalazł trochę ponad galon, wina zaś mniej niż pół galona, by ugasić pragnienie trzydziestu dwu chłopca i czternastu kobiet. Gdy oznajmił tę nowinę Argonautom, na chwilę wszyscy zamilkli. Nauplios rzekł:

– Miną ze dwa miesiące albo i lepiej, zanim na tej pustyni spadnie choć kropla deszczu. O ile nie zdołamy znaleźć wyjścia z jeziora, niebawem pomrzemy wszyscy z pragnienia lub wpadniemy w obłąd, pijąc słońną wodę.

Na to Erginos z Miletu zwrócił się do Augiasza z Elidy i wrzasnął: – Na ciebie spadnie nasza przedśmiertna klątwa, chciwy złota Augiaszu, i czy wyżyjesz, czy zdechniesz, nasze duchy przez całą wieczność nie przestaną cię dręczyć. Dlaczegoś nam radził wyrzucić za burtę konwie z wodą, a oszczędzić te bezużyteczne wory skarbów? Byłem głupcem, wsiadłszy znowu na *Argo*, skoro podczas podróży z Hellespontu dotknąłem już stopą bruku mego ukochanego Miletu. Czemuż nie udałem chorego, jak zrobił pomysłowy Orfeusz, i nie unikałem w ten sposób twego zgubnego towarzystwa, szaleńcze z Elidy? Lękam się, że nigdy więcej nad krętym Meandrem nie będę orał swą drewnianą sochą ani bronował broną cierniową żyznych pól pod jęczmień, gdzie w tłustym czarnoziemiu nie znajdziesz kamieni dość dużych bodaj do strzelania z procy, a pasikonik przygrywa całe lato.

Lecz jakiś bóg zaślepił nas wszystkich; powinniśmy byli mieć więcej rozumu i nie słuchać ciebie, ty

mięczaku, zwłaszcza po upokorzeniu, jakie ściągnęło na nas twoje lenistwo na Żurawim Jeziorze.

Augiasz odparł żywo: – Mienisz mnie szaleńcem; ja cię nazwę durniem, durniem w pasiastej opończy. Skąd mogłem wiedzieć, gdzie twój ojciec Posejdon ciśnie nas dla zabawy? Wraziłem po prostu zgodną opinię załogi, że byłoby nieroztropnie wyzbywać się skarbów, których mogliśmy jeszcze potrzebować.

Gdyby nas wyrzuciło na jakiś zwyczajny brzeg, moglibyśmy nabyć tyle wody i żywności, ilebyśmy zechcieli, za garstkę złotego piasku. I czemu zwalasz na mnie winę? Jazon jest naszym dowódcą. Gdyby kazał cisnąć skarby za burtę, pierwszy bym go posłuchał. Zresztą nie umarliśmy dotychczas. Możliwe, że nasze złoto i srebro odda nam jeszcze usługi. W gruncie rzeczy jestem przekonany, że tak będzie; moje rzetelne serce upewnia mnie, że kres jeszcze nie nadszedł.

Autolikos wtrącił przedziutko: – Okaż ufność rzetelnemu sercu, drogi Augiaszu, sprzedając mi dzienną rację wina i wody za garstkę złotego piasku. Jestem chętnym kupcem.

– To całkiem uczciwa oferta – dodał herold Echion – a ja zapłacę tę samą cenę za twoją jutrzejszą porcję.

Zmusili Augiasza, by uściskiem dłoni przypieczętował tę transakcję, lecz nim dzień dobiegł końca, gorzko tego pożałował; choć bowiem byli nieźle zaopatrzeni w chleb jęczmienny, suszone mięso, miód, marynaty i tak dalej, cokolwiek jedli bez popijania, stawało im kością w gardle. Oliwy został tylko dzbanuszek, a tłuszczu z delfinów ani kropli.

Słońce paliło nie do zniesienia i woda jeziorna, gęsta od soli, wysychając zostawiała na ich skórze biały nalot. Około południa gorący wiatr zamiótł pustynię i ujrzeli czerwonawe demony piasków roztańczone w zawrotnych spiralach; Idas wyruszył z dzidą przeciw demonom, ale umykały przed nim, aż na koniec wrócił

do obozu ze śmiechem triumfu; wtedy groźnie ruszyły w pościg, unosząc się wysoko nad nim.

Mnóstwo piasku dostało się do żywności Argonautów i zgrzytało im w zębach, gdy usiłowali jeść; lecz dwanaście dziewcząt feackich wcale nie uczestniczyło w posiłku. Stłoczone w łkającą gromadkę leżały rozciągnięte na wznak obok nieczułej Medei, która zażyła środek nasenny. Dyszała ciężko i od czasu do czasu wydawała cichy jęk; raz wybuchnęła namiętym szeptem: – Przebacz mi, przebacz, Prometeuszu! Miłość i konieczność mnie przymusiły. Dam ci jeszcze zadośćuczynienie. Pewnego dnia odkupię winy!

Niezbyt odświeżeni południowym odpoczynkiem Argonauci dalej przepychali *Argo* przez morszczyzn i posunęli ją naprzód jeszcze o dwieście kroków, wzdłuż zachodniego brzegu, rozległa mielizna z lewej burty nie pozwalała im skierować okrętu ku środkowi jeziora. Wszyscy robili się coraz bardziej posępni i kłótlivi, tylko jeden Mopsos Lapita pozostał rozmowny, żwawy i wesoły. Kiedy Nauplios doradził, żeby odciążyć okręt, jak tylko się da, właśnie Mopsos wywiązał się z tego zadania.

Przyszedł najpierw do feackich dziewcząt. – Zostawcie waszą panią, drogie dzieci! – zawołał

głosem różnym, ale czułym. – Nie potrzebuje na razie żadnych usług. Jeśli pragniecie jeszcze kiedyś zobaczyć wewnątrz królewskiego pałacu i usiąść na miękkich poduszkach do wrzeczona czy krosien, mając pod ręką czarę jagód ze śmietaną na złotym stoliku, ano, w takim razie wstawajcie dzielnie, moje ślicznotki, cała dwunastka razem, i pomóżcie mi teraz!

Sklonił je, żeby zdjęły z siebie wszystko oprócz koszul i na swych delikatnych barkach nosiły na brzeg wielkie ilości zapasów i sprzętu oraz całą zawartość prywatnych skrytek członków załogi, układając na plaży wszystko po porządku.

Biedaczki potykały się pod ciężkim brzemieniem, plątały w morszczyźnie i chruście i wywracały co chwila, płacząc ze wstydu, gdy spod koszul błyskały im nagie pośladki, a Idas droczył się z nimi; lecz były robotne i okręt uniósł się na wodzie parę stóp, nim jeszcze wykonały zadanie. Mężczyźni zdjęli maszt, żagle, kamienie kotwiczne i w ogóle wszystko, co dla kobiet było za ciężkie do dźwigania, między innymi wory złota z Synope.

Z trzech opróżnionych skrytek wyłoniły się na światło dzienne sekretne zasoby picia, stanowiące razem dwa razy więcej, niż zostało poprzednio zadeklarowane; Jazon je skonfiskował. Właściciele, to znaczy Peleus, Akastos i Dolopijczyk Eurydamas, wydawali się lekko zażenowani, ale twierdzili, jakoby zapomnieli, że zostało im więcej niż parę łyków, i udawali zadowolonych z odkrycia takiej ilości napoju.

Tej nocy Argonauci spali na brzegu jeziora i z przyzwyczajenia rozniecili ognisko z suszu, ale brakło im zwierzyny, którą mogliby na nim upiec, ani nie mieli gdzie napełnić świeżą wodą kotła okrętowego, by przyrządzić polewkę z drobnych, ościstych rybek, jakich rękami nałowili w jeziorze. Następny dzień spędzili podobnie do pierwszego, lecz pragnienie i upał zaczęły już się na nich odbijać: jęczeli i postękiwali przy pracy, a późnym popołudniem stwierdzili, że *Argo* posunęła się zaledwie z pięć stajów od miejsca, gdzie ją rzuciła fala.

Demony piasku tego dnia nie tańczyły, lecz w oddali dostrzegli fatamorganę: palmy i białe domostwa, i flotyllę trzech okrętów płynących do góry nogami.

O zmierzchu feackie dziewczęta zaczęły cichutko popłakiwać; popłakiwały całą noc, bo gdzieś daleko był szakał i lękały się, że niezadługo będzie ucztował na ich własnych skurczonych zwłokach.

W południe dnia trzeciego rozdzielono resztkę wina i wody. Niektórzy wychylili swoją porcję jednym haustem, drudzy sączyli ją pomaleńku, zwilżając dokładnie usta nabrzmiętym językiem; tylko Długi Ankajos w niezwykłej pokorze wylał swoją czarę na piasek.

– Drogie bóstwo tej odległej krainy! – wykrzyknął. – Kimkolwiek jesteś, przyjm, proszę, z moich rąk tę obiatę, pomne, jak cenny dar ci ofiaruję. Daję w swojej nędzy; zechciej dać w zamian ze swej obfitości!

Paru innych poczuło się w obowiązku zrobić to samo, wśród nich Jazon, dowódca wyprawy. Ale Jazon, który już wyłopał własną porcję, wylał czystą wodę, odstawioną na bok dla Medei, żeby wypić, kiedy się obudzi; postąpił tak nie z braku życzliwości dla niej, tylko dlatego, że pełen kubek mógł łatwo przywieść towarzyszy do zbrodni.

Wieczorem udręczeni i milkliwi opuścili okręt i potykając się zaczęli łązić bez celu po nagiej pustyni. Mopsos nagle ryknął śmiechem i zawołał wesoło:

– Oho, towarzysze, na jakież ponure gęby spogląda Gwiazda Wieczorna!

Można by wziąć was za błędne duchy albo za ludność potępionego miasta, w chwili gdy posągi na dziedzińcach świątynnych pokrywa krwawy pot, z sanktuariów dobiegają niewytłumaczalne poryki, a ożywcze słońce zaćmiewa się powoli. Co wam się stało, na Apollina? Weźcie się w garść, towarzysze, ani Apollo, ani reszta błogosławionych Olimpian nie zostawią nas chyba na zgubę, skoro przedtem wyprowadzili cało z tyłu strasznych niebezpieczeństw.

Lecz nie zdołał nikogo podnieść na duchu. Eurydamas Dolopijczyk powiedział

do milkliwego Melampusa: – Przypuszczam, że Mopsos pierwszy opuści ten padół.

Takie podniecenie stanowi niechybną oznakę nadchodzącej śmierci... omen, na którym bardziej można polegać niż na bezmyślnym ćwierkaniu pliszek, jaskółek, łuszczaków i innych ptasząt.

– W takim razie zazdrozczę mu – odparł Melampus. – Ten, kogo zmoże pragnienie i upał wcześniej niż pozostałych, zyska najlepszy pogrzeb. Obawiam się, że będę miał nieszczęście przeżyć was wszystkich.

Wtem Argonauci, pchnięci jednym odruchem, zbliżyli się i zapatrzili na runo, które leżało, lśniąc łagodnie w gwiezdny poblasku. Ze czią dotykali ciężkiej złocistej frędzli i ogromnych złotych rogów. Erginos z Miletu powiedział:

– A jednak kiedy pewnego dnia znajdą tutaj nasze zwłoki, trupy wyschłe i szerniałe od słońca niczym egipskie mumie, znajdą także runo i z tej racji wspomną nasze wielkie czyny. Urządzą godny pogrzeb, wszystkim pospołu, i kości złożą w jednym grobie... chyba że broń, odzież i odznaki wskażą, kim byliśmy, i zostaniemy przewiezieni na pochówek do ojczystych miast czy na wyspy. Żałuję, że pomstowałem na Orfeusza, pomawiając go o udawanie. Cieszę się, że go nie ma z nami, że oszczędzono mu tej niedoli i powrócił do domu, do dzikich Kikonów trackich. Kiedy bowiem usłyszysz wieści o naszym losie od jakiegoś kupca albo wygnańca, czy może od wieszczego ptaka, zapłacze nad nami; nastroi lirę i do jej wtóru wyśpiewa, przez wiele nocy, wielki epos o wyprawie, którąśmy podjęli i odbyli w jego towarzystwie: pięknie ułożone heksametry, co się będą rozlegać po świecie przez tysiąc albo i więcej lat.

Z tymi słowy Erginos zaczął ścisnąć towarzyszy, jednego po drugim, prosząc o wybaczenie wszelkich krzywd, jakie im wyrządził, i udzielając go każdemu, kto tego odeń żądał. Potem pożegnał zebranych i oddalił się na pustynię, by umrzeć w samotności.

Za tym przykładem poszło kilku jego towarzyszy. Tylko Kastor i Polideukes odmawiali uparcie przyjaznego uściśnięcia dłoni Idasowi i Linkeusowi. Argos powlókł się na swoją ukochaną *Argo*, by skonać na jej pokładzie. A Mopsos rozniecił wysokie ognisko na brzegu jeziora i wesoło tańczył wokół niego na cześć Apollina. Meleager zaś i Atalanta, z dziwnie radosnym wyrazem twarzy, odeszli, trzymając się za ręce, w stronę morskiego wybrzeża i zniknęli z oczu tam, gdzie z sykiem



rozbijały się drobne fale.

Co do Jazona, został, gdzie był, z runem po prawej ręce i spokojnie drzemiącą Medeą po lewej. Tuż u jego stóp stłoczyły się feackie dziewczyny, dygocząc niby biedne pisklęta, co wypadły z wysokiego gniazda i leżą na kamieniach, porzucone przez rodziców, niezdolne ani znaleźć pożywienia, ani odfrunąć.

## OCALENIE ARGONAUTÓW

Jazon zakrył głowę opończą i zapadł w głęboki sen, z którego wyrwało go nagle szczególne zjawisko. Trzy koziołowe niewiasty objęte ramionami ukazały się znikąd, uśmiechnęły do niego łaskawie i przemówiły jednym beczącym głosem: –

Jazonie, synu Ajzona, jesteśmy koziołową Trójboginią Libii i wysoko cenimy pobożność, jaką okazałeś, składając nam pożądaną ofiarę z czystej wody. Twoi towarzysze w swej niewiedzy lali wodę zmieszaną z winem, trujący napój, którego nie jesteśmy zdolne strawić. Niemniej jednak możesz ich powiadomić, że wszyscy oprócz jednego wyjdą cało z tarapatów; to znaczy wszyscy oprócz młodzieńca o rozszczepionym języku; on musi umrzeć tutaj, ponieważ nie lęka się śmierci i ponieważ zamiast nas czci Apollina, i ponieważ bocian przelotny ostrzegł go niegdyś, że w Libii napotka swój kres.

Jazon skromnie odwrócił oczy, kiedy bogini czy też boginie mówiły do niego.

Potem spytał: – O, moje panie, co pozostali mają uczynić, aby ocaleć?

Bogini, scalona teraz w jedną postać, odrzekła: – Tylko żywić nadzieję. A skoro wreszcie wrócicie do ojczyzny, nie zapominajcie o mnie, jakeście dotąd zapominali. Czy ryknę na was jako lwica, czy zabeczę jako kozica, czy zakwilę jako ptak nocny, czy zarzę pod postacią klaczy, pamiętajcie: jestem tą samą, trojaką w jedności, nieprzejednaną boginią – matką, dziewicą, nimfą – i choćbyście zdołali zwieść nieodpowiedzialnego ojca Zeusa, mysiookiego Apollina, Aresa o przyciętych uszach czy bodaj łgarza z oplataną różdżką, Hermesa, boga heroldów: mnie dotąd nikt nie zdołał podejść, a przynajmniej nie uniknął kary za usiłowanie oszustwa.

W miarę tych słów między nią i Jazonem gęstniała mgła, kiedy zaś zrzędła, bogini już nie było, on zaś spoglądał w ogromną, żółtą tarczę księżyca. Potem usnął znowu, snem cudownej błogości.

Skoro się zbudził, skoczył na równe nogi i zakrzyknął na towarzyszy:

– Argonauci, mili Argonauci, jesteśmy ocaleni! Sama Trójbogini objawiła mi się w widzeniu i wszystkim nam obiecała życie... właściwie wszystkim oprócz jednego!

Świt wstawał nad jeziorem w ognistej glorii zwiastującej jeszcze jeden upalny dzień. Samotny Argonauta, jak się okazało: Melampus, wytknął umęczoną głowę spod zwojów opończy i odezwał się ochrypłym głosem:

– Nie przerywaj nam ostatniego snu, Jazonie, bezrozumnym wrzaskiem, śnij swojej sny, jeśli chcesz,

lecz nas pozostaw naszym.

Jazon odszedł kawałek dalej i trafił na Linkeusa, którego zbudził opowieścią o swoim śnie. Linkeus zamrugał oczami i rozejrzał się wokół, nie pojmując jeszcze, co Jazon do niego mówi. Wtem zawołał: – Patrz, patrz! Wyciągnij rękę i powiedz mi, co widzisz, co widzisz o trzy palce w prawo od tamtej wydmy?

– Nic nie widzę – odrzekł Jazon.

– Ale ja widzę człowieka na gniadym koniu w galopie! – krzyczał Linkeus. –

Zbliża się ku nam!

Jego głośne słowa zbudziły dziesięciu czy dwunastu innych. Podeszli do nich z błędnym spojrzeniem i zapiaszczonymi włosami. Ani jeden nie mógł dojrzeć jeźdźca. – To miraż – oświadczył smutno Eufemos.

Ale niebawem paru obdarzonych lepszym wzrokiem rozróżniło obłoczek pyłu w oddali, a potem ukazał się wyraźnie jeździec i okrzyknął ich w języku, jakiego nikt nie rozumiał. Nauplios rzekł: – To jest Tryton z plemienia Ansenów, sądząc po jego białych szatach oraz oszczepie z czerwonym kutasem, a także kosmyku włosów nad brwią. Czyżby to doprawdy było Jezioro Trytona, daleko na południe od Hadrumetum?

Echion już zamierzał wystąpić i byłby palnął jeźdźcowi kwiecistą orację, gdyby go Autolikos nie powstrzymał, mówiąc:

– Szlachetny synu Hermesa, nie sądź, że pragnę ci odmówić heroldowskiego przywileju reprezentowania nas wszystkich. Lecz twoja niesłychana wymowa przydaje się tylko wówczas, kiedy ci, do których się zwracasz, rozumieją choć trochę dialekt grecki, pelazgijski czy tracki: marnuje się zaś wobec dzikusów.

Pozwól raz mnie zabrać głos. Na Synope nabrałem dużej biegłości w uniwersalnym języku głuchoniemych.

Postawił na swoim. Podeszedł do jeźdźcy, ujął go za prawą dłoń i uścisnął; potem wykonał pantomimę picia, wskazał na swoje spękane wargi i opuchnięty język i zaczął niecierpliwie przebiegać wzrokiem horyzont.

Tryton zrozumiał. Powtórzył tę samą pantomimę picia, skinął niewyraźnie w stronę pustyni i wyciągnął rękę po podarek.

Autolikos kiwnął głową potakująco, Tryton zaś wskazał trójnog z brązu, o połączonych nogach i siedzeniu, który leżał obok przewrócony; król Alkinoos ofiarował go Jazonowi, aby ten po powrocie złożył go w Delfach.

Autolikos na migi odmówił rozstania z trójnogiem, lecz w końcu obiecał, że Tryton go dostanie, skoro tylko zaprowadzi ich do wody.

Tryton narysował w powietrzu łuk i trzykrotnie rozpostarł ręce z rozcapierzonymi palcami, pokazując, że woda znajduje się w odległości trzech strzałów z łuku. Później wyprostował się na całą wysokość, wypiął pierś, naprężył

muskły, ryknął jak lew i zaczął walić o skałę wyimaginowaną maczugą. Wreszcie zrobił palcami falisty ruch oznaczający wodę i chciwie się nachylił, niby że pije, wydając równocześnie dźwięk, który najwyraźniej naśladował grecki zwrot: „Na święte węże!”

Zaskoczeni Argonauci spojrzeli po sobie i jednym głosem wykrzyknęli: –

Herkules!

Tryton kiwnął głową i powtórzył: – Herkules – potem łypnął na nich spode łba, znowu z wielkim wigorem zawołał: – Na święte węże! – i wybuchnął śmiechem.

Poklepali go po plecach i żwawo ruszyli za nim ku wodzie. Kiedy niebawem do niej dotarli – przeuroczy źródł tryskał z różowawej skały – znaleźli wielkie odłamy kamienia rozrzucone wokół po pustyni, odłupane niedawno ciosami jakiegoś potężnego narzędzia, niechybnie spiżem okutej maczugi ich kamrata Herkulesa.

Ach, jakże łakomie pili z tego słodkiego, ożywczego źródła!

Potem zaczęli powtarzać jeden drugiemu: – Herkules ocalił nam życie, tak, to Herkules! – Później istotnie dowiedzieli się, że gdy Herkules zeglował na wyspy Hesperyd podczas wyprawy po święte pomarańcze, wiatr wyrzucił go na ląd nie opodal tego właśnie miejsca. Był równie spragniony jak oni, lecz zamiast z rezygnacją oczekiwać śmierci, poszedł na pustynię, węsząc za wodą niby lew, skoro zaś uchwycił w powietrzu nikły ślad jej zapachu, zaczął walić maczugą o skałę, aż wypłynął z niej rwący strumień. Teraz już tropy zwierząt zewsząd wiodły ku niemu, a Tryton wymownymi gestami objaśniał, co to były za zwierzęta: oto malutki, wielkooki skoczek egipski, szakał, który się żywi padliną, jeżozwierz pokryty chrząszczącymi kolcami, wreszcie dorodne owce berberyjskie.

Autolikos podarkami i obietnicami skłonił Trytona, aby wrócił z nimi do obozowiska. Tam pokazał mu *Argo* pytając, czy da się ją w jakikolwiek sposób ściągnąć z jeziora na morze. Tryton zapewnił ich, że to możliwe, bo o kilkadziesiąt stajañ na wschód z jeziora wypływa rzeczka, *Argo* zaś znajduje się już na krętym kanale, co się z tą rzeczką łączy. Autolikos dał mu broszę i zausznice, które Argonauci chętnie odstąpili, a ponadto przyrzekł piękną, czerwoną opończę, jeśli pomoże im się wydostać. Bardzo zadowolony, człeczyna wydał nagle głośny okrzyk, coś pośredniego między gwizdem a wrzaskiem. Natychmiast, jak na zaklęcie, zza niskiego, łysego pagórka, odległego o trzy staje, wytknęła podstrzyżone głowy liczna gromada na pół gołych Trytonów, którzy pędem ruszyli w stronę Argonautów.

– Na łapy i ogon rysia, ależ ze mnie głupiec! – wykrzyknął Linkeus. – Wczoraj w południe widziałem mężczyzn i kobiety przycupniętych na tej górcie, lecz wziąłem ich za fatamorganę.

Ci Trytoni, czyli Ansenowie, byli jaskiniowcami mieszkającymi w głębokich podziemnych grotach z małymi otworami, na kształt wejścia do lisiej nory, zamiast okien oraz drzwi. Nikt przechodzący

przez to wzgórze by nie odgadł, że stoi nad ludnym miastem; są to bowiem ludzie nieśmiali i rzadko się ważą ukazać cudzoziemcom. Ich wódz, wiedziony ostrożnością, podjechał do obozu Argonautów zupełnie z innej strony i niby z bardzo daleka.

Zarówno Ansenowie, jak ich sąsiedzi Machlyjczycy (którzy noszą grzywkę z tyłu, a nie z przodu) czczą Trójboginię na sposób starożytny. Nie praktykują małżeństwa, tylko parzą się z sobą bez wyboru w obrębie określonych stopni pokrewieństwa; co trzy miesiące zaś, na naradzie szczepu, wszystkich nowourodzonych chłopców według pokrewieństwa przydziela się pod opiekę tym mężczyznom, do których zdaniem zebranych są najpodobniejsi. Kobiety wykazują wielką niezależność sądu; noszą broń i co roku w zacieklej bitwie pomiędzy sobą rozstrzygają, kto ma zostać kapłanką Księżycy, a żadnemu mężczyźnie nie wolno się wtrącać pod groźbą rozszarpania na kawałki. Dla Ansenów, tak samo jak dla wszystkich ludów nad Podwójną Zatoką, Słońce nie jest dobroczyńcą, lecz bezlitosnym tyranem; przeklinają je co dzień o poranku i obrzucają kamieniami.

Troski Argonautów minęły. Medea ocknęła się nagle z zamroczenia i powiodła feackie dziewczęta z pustymi dzbankami i bukłakami do źródła, skąd po chwili przyniosły je napełnione; i niebawem wszyscy z powrotem nabrali życia i wigoru.

Ansenowie wytyczyli dalej kierunek kanału i z ich pomocą Argonauci, złożywszy znowu ładunek na pokład, powoli przepchnęli *Argo* tym kanałem, ogółem sto osiem stadiów; robiąc około osiemnastu stadiów dziennie, na koniec znaleźli się na głębokiej wodzie, gdzie mogli użyć wiosła. Jazon odpowiednio wynagrodził

Trytonów paroma sztukami barwnej materii oraz innymi drobnymi podarkami, a ponadto trójnogiem, Argos wyrzył zaś na nim słowa wdzięczności i przyjaźni dla ich ludu. Trytoni, popiskując z uciechy niczym nietoperze, porwali trójnog pod ziemię do jakiegoś ukrytego przybytku Koziogłowej Matki, której potrójną postać Argos także na nim odmalował.

Argonauci przeszli w bród na wybrzeże i wzniesli ołtarz na pagórku tuż obok miejsca, gdzie rzeka, nazywana Gabes, wypływa z jeziora. Tam spiętrzyli postne dary dla koziogłowych bogiń. Na drugim wszakże ołtarzu złożyli Olimpijczykom w ofierze dwie spaśne owce berberyjskie, jakie Meleager z Idasem dogonili i wzięli żywcem, oraz gazelę, którą Atalanta zraniła dalekim rzutem oszczepu.

Już z powrotem wsiedli na okręt, wdzięcznie pożegnali Ansenów i odpłynęli, gdy wódz przypomniał sobie o dwornym obyczaju, którego był zaniedbał: popędził

galopem wzdłuż rzeki, wymachując grudą ziemi. Pragnął, by ją przyjęli jako rękojmię, że ilekroć zechcą odwiedzić jego ojczyznę, będą w niej mile widzianymi gośćmi. Eufemos wciągnął wiosło, wyskoczył za burtę i popłynął odebrać dar, po czym wrócił o jednej ręce, nie zmoczywszy go wcale. Potem słony nurt rzeki Gabes pochwycił *Argo* i poniósł ją szparko ku morzu, po dziesięciu dniach niewoli.

Medea wywróżyła Eufemosowi: – Mężu spod znaku jaskółki, twoi potomkowie w czwartym pokoleniu będą władcami Afryki dzięki poręce tej bryły ziemi, o ile tylko zdołasz dowieźć ją bezpiecznie do świętego Tajnaron, twojej ojczyzny. Jeśli nie, Afryka musi czekać na plemię Eufemosa aż do siedemnastego pokolenia.

Ale czwarte pokolenie jego rodu, wywodzące się z syna, którego mu urodziła Lamache na Lemnos, miało jednak zostać wyzute z dziedzictwa; bo kiedyś ciemną nocą w drodze powrotnej grzywacz przewalił się nad *Argo* i rozpuścił grudkę w odrobinę błotnistej wody.

Tak to ocaleli wszyscy Argonauci oprócz Mopsosa Lapity, ten bowiem nie uniknął przepowiedzianego losu. Trzy dni przedtem, w południe, gdy błądził nad jeziorem, olbrzymi cień padł na jego ścieżkę. Podniósłszy wzrok, dostrzegł

brodatego sępa niebywałych rozmiarów, o zaostrzonych skrzydłach i trójkątnym ogonie. Sęp krążył mu nad głową i nawoływał osobliwie błagalnym głosem, i wabił

go gdzieś dalej od jeziora uporczywym okrzykiem: „Złoto, złoto!”; spodziewał się (jak można przypuszczać), że go znęci do jakiegoś niedostępnego i bezwodnego zakątka na tym pustkowiu, skoro zaś człowiek skona z pragnienia, będzie do syta ucztował na jego zwłokach. Mopsos łatwo dał się oszukać. Ruszył pędem zagapiony w ptaka, lecz przebiegłszy zaledwie parę kroków, nadepnął na ogon czarnego węża, który sennie wylegiwał się na słońcu. Wąż skręcił się i zapuścił

zęby w jego kostkę, tuż przy goleni. Mopsos krzyknął, a kamraci pospieszyli zewsząd zobaczyć, co się dzieje.

Usiadł na ziemi, trzymając się za skaleczoną nogę i powiedział: – Żegnajcie, drodzy przyjaciele. Ptak przyobiegał mi złoto, jeśli pójdę za nim. Teraz muszę umierać, lecz nie odczuwam zbytniego bólu. Sprawcie mi ładny pogrzeb i po śmierci nie mówcie o mnie źle. – Tymczasem paraliżująca trucizna rozeszła się szybko po całym ciele, mgła przysłoniła mu oczy i osunął się na wznak.

Pod upalnym słońcem Libii trup szybko się psuje; jad węża w członkach Mopsosa spowodował rozkład zwłok po prostu w oczach jego towarzyszy; włosy zaczęły wypadać. Prędko pożyczili łopaty od Ansenów i wykopali głęboki grób, podczas gdy nieboszczyk skwierczał na stosie, jaki przedtem ułożyli i podpalili.

Skoro wszystko spłonęło, usypali kurhan nad jego kośćmi i trzykroć obeszli go wkoło z żalnym lamentem, wrywając sobie włosy garściami; a bezwstydnny sęp krążył nad nimi i skrzeczał, pozbawiony spodziewanej stawy.

## **POWRÓT *ARGO***

Pod koniec roku niebezpiecznie było podejmować podróż zakrojoną na dłużej niż dwa miesiące, lecz wiatry i pogoda okazywały się nadzwyczaj przyjazne, począwszy od dnia, kiedy Argonauci wypłynęli rzeką Gabes na Morze Libijskie, aż do momentu, gdy na koniec wylądowali w Pagazie. W ciągu przewlekłej żeglugi dokoła brzegów Podwójnej Syrty na żadnym miejscu postoju nie marudzili więcej, niż było konieczne; nie znalazłbyś bowiem ani jednego ciekawego miasta czy innego obiektu na całutkim obszarze – nawet głośne osiedle Oja nie zasługiwało na zwiedzanie. Ziemie te należały do dzikusów nie mniej osobliwych niż ci, których widzieli na wschodnim wybrzeżu Morza Czarne.

Wpierw, po kolei, odwiedzili Lotofagów, leniwych mieszkańców dużej skalistej wyspy Meninks, gdzie Argonauci wyszli na brzeg po wodę. Ci zjadacze lotosu, jak wskazuje ich miano, żyją głównie

słodkimi jagodami rozłożystego srebrnolistnego lotosu, czyli jujuby, co krzewi się bujnie w każdej szczelinie skalnej czy zacisznym zakątku. Hodują ponadto stada owiec na mleko i wełnę, lecz spożywanie pieczonej baraniny uważają za obrzydliwość, gorszą od ludożerstwa. Z jagód lotosu pędzą wino takiej mocy, że, jak powiadają, szkodliwie osłabia pamięć tych, co je piją: już po paru łykach zapominają imion przyjaciół, krewnych, a nawet błogosławionych bóstw. Na Meninks Argonauci znaleźli dobrą wodę i skosztowali jagód lotosu zapiekanych w słodkim cieście; nie chcieli tknąć wina, bo ich Nauplios przed nim ostrzegął. Oduczyli się wreszcie ściągać na siebie kłopoty dzięki pochopnym eksperymentom.

Następnie *Argo* przybyła do kraju Gindanów, ludu pasterzy, kozłarzy i rybaków łowiących tuńczyki; także się karmią lotosem, ale nie pędzą z niego wina. Tu po raz pierwszy Argonauci ujrzeli, jak rosną palmy daktylowe, niczym wysokie kolumny o pierzastych wierzchołkach, i spróbowali lepkich, żółtawych owoców, co dojrzewają tak powoli. Kobiety tamtejsze noszą na kostkach nóg tyle płóciennych opasek, ile razy obcowały z mężczyzną, i są płcią dominującą, jako strażniczki studzien. Argonautom, których wysłano po wodę, nie chciały użyczyć ani bukłaka, póki się z nimi nie przespalą i póki każdy nie dostarczył swojej oblubienicy kawałka płótna na opaskę. Niewiasty były urodziwe, choć mocno brązowego koloru, i Argonauci pod wodzą Echiona radzi użyczyli im tak pożądanej przyjemności. Mężczyźni nie objawili zazdrości, tylko nieprzystojne zaciekawienie, i za nic nie chcieli się stamtąd oddalić; jednakże na prośbę Echiona kobiety zmusiły ich, żeby sobie poszli i wzięli morską kąpiel.

Brzeg zatoki, który teraz mijali, był płaski, piaszczysty i nijaki; rzadko gdzie można było dostrzec odrobinę zieleni. Siódmego dnia zawinęli do Oi, pośrodku Podwójnej Zatoki. Okazało się, że to raczej obozowisko niż miasto. Przestronny port, chroniony przez rafy przed gniewem wiatru północno-wschodniego, służy greckim kupcom, co przybywają po miejscowe produkty, a mianowicie strusie pióra, gąbki i ziele benzoesu (wyśmienita przyprawa); mogą tu niekiedy nabyć kość słoniową oraz inne obce towary, przywożone przez karawany egipskie.

Karawany nadciągają zimową porą, traktem łączącym liczne oazy w głębi lądu, który tutaj się kończy, a wracają o wczesnej wiosnie. Atoli, ponieważ tegoroczny sezon kupiecki już się skończył, Argonauci zastali w Oi wyłącznie tubylczych Makajów i ani jednego Greka czy Egipcjanina. Makajowie zapuszczają kosmyk włosów na samym czubku głowy, resztę zaś gołą. Czczą strusie i mieszkają w skórzanych namiotach.

W Oi Jazon obmył runo w piątej z siedmiu nakazanych rzek, wąskiej Kynips, która wpada do Morza Libijskiego. Jego towarzysze zakupili ponadto ogromne greckie konwie na wodę i napełnili je w tym samym strumieniu.

Za Oją jeszcze przez dwa dni żeglowali wzdłuż dziedziny Makajów, a ku wieczorowi drugiego dnia dotarli do miejsca, co z daleka wydawało się trójgiem wysp; były to trzy urwiska skalnego cypla, upierzone palmami. Głębiej zobaczyli stado pasących się owiec, które wzbudziły w Argonautach nieposkromiony apetyt na pieczeń baranią. Trzej Synopijczycy, a z nimi Idas, Linkeus i brat Polifema, Kantos, wysłani przez Jazona, od razu poszli kupić od pasterzy dziesięć owieczek albo skopów – mniej by im nie wystarczyło. Dogonili stado o zmierzchu, lecz Makaje, odrzucając proponowane dary, odmówili sprzedaży bodaj jednej sztuki.

W wyniku tej stąd potyczce niebywale zwinni pastusi spisali się nad wyraz mężnie, we czwórce przeciw sześciu; i zanim Idas ich zdążył po kolei nadzieć na swoją dzidę o szerokim ostrzu, przywódca tamtych ugodził Kantosa kamieniem z procy, miotnąwszy go z wielką siłą i bardzo celnie, tak że trafił prosto w skroń i zgruchotał czaszkę.

Zmartwieni zabrali Kantosa i pochowali go na morskim brzegu, tańcząc zbrojno dokoła stosu i rwąc włosy z głowy. Co więcej, usypali nad jego kośćmi olbrzymi kopiec z białych głazów, tak by żeglarze przyszłych wieków mogli opodal wstrzymywać okręty i lać obiady dla niego. Sami wreszcie nie czuli obawy przed duchem Kantosa; do syta ugasił pragnienie krwią czterech adwersarzy, a ponadto setki owiec, które choć chude, dosyć Argonautom smakowały. Objedli się pieczeni baraniej w sosie jęczmiennym i benzoesowym, jaki umiały przyrządzić feackie dziewczęta.

Następnie trafili na zalewy, słone mokradła i ruchome piaski, rozległe na bez mała tysiąc stadiów. Ta część zatoki ma wygląd osobliwie bezładny: ani to ląd stały, ani ustępliwe morze. Niektórzy poeci utrzymują, że podczas tworzenia świata uwagę bogini Eurynome zajęła na chwilę rogata żmija, którą niechcący powołała była do życia, pozostawiła więc Syrtę nieukończoną. Nauplios trzymał *Argo* z dala od tych zdradzieckich wybrzeży.

Potem przybyli do kraju śniadych Psyllów, którzy mają odwagę jeść węże i jaszczurki, a nawet według tego, co mówił Nauplios, są odporni na jad rogatej żmii. Nauplios twierdził, że jeśli przypadkiem ich dziecko zostanie ukąszone przez tę żmiję i umrze, jego matka porzuca zwłoki na pustyni bez pochówku, bo to widać wyrodek, a nie prawdziwy Psyll. Medea wykpiła tę opowieść, tłumacząc, że Psyllowie nie są bardziej niż inne ludy odporni na jad węży, tyle tylko że potrafią je zaklinać oraz nacierają się sokiem odstraszającym wszelkie gady. Oświadczyła, że podczas publicznych pokazów, kiedy Psyllowie sami zachęcają do ukąszeń wielkie okularniki, bez wątpienia oszukują widzów, usuwając przedtem kły jadowe żmij przez gałganki, które im się wtyka pomiędzy zęby. Co do spożywania mięsa węzów, orzekła, nic w tym dziwnego, nie jest ono bowiem trujące, najwyżej niesmaczne, twarde i cuchnie. Argonauci tedy darowali sobie odwiedzin u Psyllów, których dotąd mieli za wielką osobliwość. Płynęli dalej obok czerwonych urwisk i przeplatających je plaż o białym piasku, zamkniętych w głębi jednostajnymi, bezdrzewnymi pagórkami; porastała je przywiędła trawa. Od czasu do czasu mignęła im gazela, ale poza tym nie dostrzegli żadnych większych czworonogów.

Wreszcie znaleźli się na ziemiach Nasamonów, którzy zajmują mniej podmokłe wybrzeża Wschodniej Zatoki. Nasamonowie różnią się od plemion żyjących dalej na zachód, czczą bowiem swego rodzaju boga ojca i uznają swego rodzaju małżeństwo. Mężczyźni wszakże nie strzegą zazdrośnie czci swoich kobiet; mąż pozwala weselnym gościom korzystać z wdzięków oblubienicy po kolei, wedle dostojęstwa, o ile tylko każdy przyniesie jej odpowiedni prezent ślubny. Bogacz posiada kilka żon; lecz ubogi, którego nie stać bodaj na jedną, odwiedza wszystkie wesela, nie jest przeto pozbawiony naturalnych uciech miłosnych. Jednakże Argonauci spotkali bardzo niewielu członków tego liczego plemienia, bo większość, dorocznym zwyczajem, spędzała lato w oazach palm daktylowych, rozsianych na pustynnym obszarze Libii niczym cętki na skórze lamparta; mieli powrócić dopiero, gdy deszcze zimowe znowu pokryją nadbrzeżne pagórki trawą i kwieciami, by wypasać tutaj chude krowiny.

Kiedy Argonautom raz jeszcze zabrakło wody i wysiedli na ląd obok znacznego osiedla na

wschodnim krańcu zatoki, wódz garstki pozostałych Nasamonów nalegał, aby Echion, który wystąpił naprzód jako herold, zawarł z nim pakt przyjaźni. Nasamon pił wodę ze stulonej dłoni Echiona i sam dał mu się napić z garści. Echion uznał tę metodę zawierania układu za obrzydliwą. Nasamon miał

brudne ręce pełne zadrapań, woda zaś, czerpana z dołków w piasku opodal plaży, była słonawa i paskudnie zajeżdżała siarką. Echion atoli zachowywał się z nieposzlakowaną dwornością, jak przystoi heroldowi.

Musieli tu czekać, dopóki wiatru zachodniego, co niósł ich tak bystro i tak daleko, nie zastąpi wiatr południowy; odtąd bowiem brzeg zakręcał ku północy.

Nasamonowie karmili ich tymczasem szczodrze, ale potrawy Argonautom nie przypadły do gustu – paski wołowiny suszonej w słońcu i utarta na miazgę szarańcza ze sproszkowanym mlekiem. Szóstego dnia zadął wiatr południowy.

Wkrótce potem z przyjemnością osiągnęli żyzną Kyrenaikę, gdzie na pulchnej glebie rosną bujnie wszelakiego rodzaju drzewa i zioła. Kyrenowie, lud wykształcony i gościnny, rozumiejący nieco po grecku, podejmowali ich życzliwie, głównie dla cudownych opowieści, jakie snuli na temat swoich podróży. Jazon kupił tutaj zapasy na następny odcinek drogi, to znaczy na podróż do Grecji przez Krete, a i on, i jego towarzysze po raz pierwszy od wyjazdu z Korkyry znów skosztowali świeżego jęczmiennego chleba. Miejsce, skąd ostatecznie odpłynęli, zwało się Darnis i właśnie tam obmyli runo w szóstej z siedmiu nakazanych rzek, też Darnis, co wpada do Morza Kyrenajskiego. Ten słodkowodny strumień płynie w głębokim wąwozie, którego zbocza porasta dzika oliwka, sosna i cyprys.

Znaleźli tu wypielęgnowane sady figowe i świeżo zasadzone winnice, a podczas pożegnalnej biesiady Darnowie uwieńczyli ich girlandami kwiatów, nakarmili po dziurki w nosie tłustą wołową pieczeńią i z początku nie chcieli żadnej zapłaty; lecz Argonauci wmusili im złoto na upiększenie świątyń.

Z Darnis, przy doskonałej bryzie południowo-wschodniej, dotarli na Krete o brzasku trzeciego dnia i ocknąwszy się, zastali górę Dikte wznoszącą się tuż przed nimi. Zamierzali wysiąść w Hierapytnie, warownym grodzie zbudowanym na płaskim przylądku; lecz najwyższy urzędnik miejski, w hełmie z brązu, brązowym puklerzu oraz brązowych nagolennikach, wlaź na czubek skały opodal miejsca lądowania i krzyczał do nich, żeby się zabierali precz, bo okręty minijskie nie są na Krecie mile widziane. Zbrojni mieszczanie stłoczyli się koło niego, pobrzękując orężem i ciskali w *Argo* żwirem i kamieniami. Argonauci debatowali, czyżby nie napaść Hierapytny i nie wyciąć do nogi wszystkich mieszkańców, ale zwyciężyła rozważa, zwłaszcza gdy Medea ofiarowała się ukarać urzędnika nawet z pewnej odległości.

Cofnęli *Argo* o strzał z łuku, Medea wdrapała się na dziób. Zarzuciwszy na głowę rąbek fioletowej szaty, odprawiła pod nią czary. Słysząc było, jak śpiewa i modli się na przemian, aż wreszcie wytknęła głowę i zrobiła do urzędnika minę tak przeraźliwą, zgrzytając zębami, wywracając oczyma i wywieszając język, że zemdlał ze strachu i spadł z wierzchołka skały, gdzie się był wgramolił. Złamał



nogę w trzech miejscach, przeciął sobie główną arterię w kostce i w godzinę wykrwawił się na śmierć; mieszczanie bowiem, w strachu przed Medeą, nie śmieli biec mu na ratunek.

Argonauci powiosłowali na wschód, roześmiani z uciechy, i okrążyli poszarpany wschodni cypel Krety. Następnego dnia o świcie zawinęli do Minoi, której mieszkańcy świetnie znali Argosa, i tam zaopatrzyli się w żywność. Rzeka Minos, wpadająca do Morza Kreteńskiego, z siedmiu nakazanych rzek była ostatnią, gdzie obmyli runo. Gruntownie oczyszczone stało się miłe Zeusowi.

W południe wyruszyli z Minoi i żeglowali całą noc, a wiatr południowy wydymał ich żagiel. Chmury zasnuły niebo i choć morze nie burzyło się zbytnio, była to najciemniejsza noc w ciągu całej podróży, bez księżyca ani gwiazd, ani żadnego w ogóle światła. Właśnie wtedy Eufemos utracił świętą grudkę ziemi ofiarowaną mu przez wodza Trytonów, ponieważ około północy okręt nabrał

mnóstwo wody. Niebiosa spuściły na nich czarny chaos i nikt nie miał pojęcia, gdzie *Argo* się znajduje i jakim podąża kursem; lecz ufnie płynęli dalej. O brzasku niebo nagle się rozjaśniło i kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły łyse urwiska Anafe, zobaczyli, że jakieś bóstwo przeprowadziło ich pomyślnie między dwiema skalistymi wysepkami, które leżą o około trzydzieści pięć stajañ od jej południowego krańca. Wysiedli na żółty piaszczysty brzeg i rozniecili ognisko z chrustu w nadziei, że albo kupią owieczkę, albo upolują kozę czy inne stworzenie na ofiarę dla promienistego Apollina. Anafe jednak wówczas nie była zamieszkana ani przez ludzi, ani przez żadne ptaki lub zwierzęta zdadne na ofiarę. Argonauci musieli więc na płonące gałęzie łać obiady z czystej wody, co rozśmieszyło do łez feackie dziewczęta.

Idas powiedział: – Za to, że się z nas naśmiewacie, dam każdej klapsa w przeskromny tyłeczek!

Dziewczyny broniły się rozpalonymi głoźniami i garściami piachu wśród powszechnej radości i wielkiego pisku; a Idas po kolei dawał pannom w skórę, choć go za te starania porządnie poparzyły i omal mu nie zasypały oczu. Poboźni Anafeje do dziś co roku ponawiają tę zabawę podczas beźmiesznej ofiary dla Apollina; i na cześć boga nadal się wesoło chłozcze dziewczęta „ręką Idasa”.

Na tej samej Anafe dzięcioł zaprowadził Medeę do wypróchniałego drzewa, którego pień, dzięki zgrubieniom i guzom, wyraźnie przypominał kształtem tęgawą niewiastę. Medea znała mowę ptaków i za radą dzięcioła poprosiła Argosa, żeby ściął dla niej to drzewo. Usłuchał i za pomocą topora, dziegciu oraz minii, według jej wskazówek, sporządził z pniaka przerażającą statwę trackiej Artemis, którą zaniósł na brzeg i otuloną w opończę umieścił na pokładzie *Argo*.

Z Anafe popłynęli wcale nie ku Ajginie, jak utrzymują niektórzy, tylko pomiędzy szczęśliwym Naksos i Paros o białych marmurowych urwiskach; nocą pozostawili Delos za sobą po prawej ręce za konchą rufy. Trzej najgorliwsi czciciele Apollina: Idmon, Ifitos i Mopsos, już w owym czasie nie żyli; w przeciwnym razie na pewno zmusiliby Jazona, aby wysiąść na Delos i cały dzień tańczyć.

Tenos i Andros tak samo pozostawili za rufą i nie spotkała ich żadna więcej przygoda, kiedy żeglując wzdłuż świętego wybrzeża Eubei, mijali ziemie Kadmejczyków, potem Aulidę, potem brzeg lokryjski, wreszcie okrążyli płaski i porosły pistacją przylądek Kenajon, gdzie Eubea się kończy; aż po przeszło siedmiu miesiącach od wyjazdu znów się znaleźli na wodach Zatoki Pagazyjskiej i śmiało zstąpili z okrętu na pamiętne piaski wybrzeża.

# ŚMIERĆ PELIASA

Noc już zapadła; mimo to Jazon zażądał, aby kamraci bezzwłocznie rozniecili ognisko z chrustu na opuszczonym wybrzeżu Pagazy, podczas gdy on się wystara o odpowiednie zwierzęta dla Apollina, boga powrotów, w podzięce za szczęśliwy powrót *Argo*. Nie mogli się w ogóle doszukać suchego drzewa, ale za radą Argosa włamali się do składu okrętowego i zażegli wysoki płomień, sycąc go wiosłami i ławami, jakie tam znaleźli.

Jazon poszedł z Peleusem do tej samej chałupy, skąd niegdyś przynosił wino dla Herkulesa, i głownią miecza zastukał do drzwi. Chłop, który z sierpakiem w ręku wyszedł im otworzyć, na widok gości zamrugał zmieszany, bo go wyrwali z pierwszego snu, najgłębszego i najśłodszeo w ciągu całej nocy; lecz naraz wrzasnął piskliwie i próbował zatrzasać im drzwi przed nosem. Jazon wepchnął

nogę za próg i zapytał: – Przyjacielu, czemu się wzdygasz na widok Jazona, jedyneo syna twego monarchy Ajzona, i traktujesz go niczym nocnego opryszka?

Wieśniak, drząc i jękając się, odparł: – O mój panie Jazone, tyś przecie umarł, czy nie wiesz o tym? Twój okręt się rozbił i utonął w powrotnej drodze z Sycylii, będzie z dwa miesiące temu. Jesteś tylko duchem Jazonowym, nie rzetelnym Jazonem.

Jazon się wściekł. Obaj z Peleusem pchnęli drzwi ramieniem, aż się otwarły na rozcież i wprędce kułakami przekonali gospodarza, jak bardzo się mylił. Ciągłe trzęsąc się i dygocząc, powiódł ich do swoich zasobnych obór, gdzie przy blasku latarni wybrali dwa dorodne młode byczki. Chłop, ująwszy za kółka w nozdrzach, zaprowadził je na zamgloną plażę, teraz oświetloną rześiście, bo Argonauci podsycali ogień smołą, terpentyną i żywicą ze składu. Jazon bez zwłoki ofiarował

je na tym samym ołtarzu, który wznieśli dla Apollina, władcy Korabi, w dniu wodowania *Argo*.

Skoro poćwiartowali zwierzęta i mięso zaskwierczało na rożnach, roztaczając smakowite wonie, nie mieli powodu przejednywać boga ofiarą całopalną i śmiało mogli zasiąść jako zaprzyjaźnieni goście u jego stołu – wieśniak, co dotąd milczał, by ofiara nie poszła na marne wskutek jego złowróznych krzyków, odwołał

Jazona na bok i oznajmił mu przykre nowiny. Opowiedział, że jego ojciec Ajzon oraz matka Alkimedea pomarli, ponieważ król Pelias ich zmusił do targnięcia się na własne życie, każąc wypić byczą krew. Nie koniec na tym: królowa Lemnos, Hypsipyle, niedawno zjawiała się w Jolkos, szukając Ajzona, do którego Jazon (jak mówił) kazał jej się udać, jeżeli kiedykolwiek spotka ją nieszczęście. Została wygnana z Lemnos, ocaliła bowiem od zguby starego Toasa, swego wuja, po jednogłośnej uchwale, że trzeba wymordować bez litości wszystkich Lemnów; kobiety lemnijskie bowiem nie wiedziały o jej postępku do chwili przybycia Argonautów. Skoro w świętej naiwności powiedziała Peliasowi, że spodziewa się dziecka z Jazonem, ten uprzytomnił sobie, że każde dziecko, jakie urodzi, będzie prawowitym władcą Ftiotis, i postanowił ją co prędzej zgładzić; w porę jednak uprzedzona o jego zamiarach uciekła do świątyni jolkańskiej Artemis, gdzie stara kapłanka Ifias udzieliła jej schronienia. Pelias wszakże sprzeciwił się temu, tłumacząc, że skoro Jazon, jak również Ajzon pomarli, on jest najbliższym krewnym Hypsipyle po mieczu oraz jej

opiekunem; po czym zmusił Ifias, aby mu ją wydała. I pozbył się jej; lecz jak i kiedy się to stało – chłop nie potrafił

stwierdzić na pewno.

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką zgrozą Jazon wysłuchał wieści o zamordowaniu rodziców i swego nienarodzonego dziecka. Zwołał do siebie towarzyszy i oświadczył: – Pozwólcie mi zadać ponure pytanie: pewien niecnny uzurpator wysłał za morze rywala, syna swego niedołęznego brata, prawowitego władcę kraju; i krążą pogłoski, że zamordował nienarodzonego synka tego rywala; i wiadomo, że zmusił swego brata, a także jego żonę do wypicia byczej krwi, bo im przeszkodził w domowej ofierze i zagroził, że sam ich zabije toporem, ciała zaś zostawi bez pochówku, jeśli odmówią. Na jaki los, towarzysze, zasługuje taki bratobójczy uzurpator?

Choć było niemożliwe, aby choć jeden Argonauta, nawet największy prostaczek, nie pojął, o którym królu mowa, wszyscy z wyjątkiem trzech odparli: –

Na śmierć od miecza! – Milczenie zachował Akastos, syn Peliasa, Admetos, jego zięć i Peleus Myrmidon, jego wasal. Jazon pytał każdego po kolei: – Czy się nie zgadzasz, że śmierć od miecza to właściwa kara za tak ohydne zbrodnie?

Akastos rzekł: – Niech Admetos za mnie mówi, żebym przez szczerą odpowiedź nie został osądzony winnym ojcobójstwa i nawiedzony przez erynie.

Admetos wyjaśnił, co następuje: – Poślubiłem córkę króla, który mógłby popełnić wszystkie czyny, jakie wymieniłeś, karmiła go bowiem półkwi wilczyca i z tej przyczyny odznacza się wielką dzikością. Lecz zanim wydam ten sam wyrok co moi towarzysze, pozwól mi spytać, czy za wysłanie bratanka za morze powinno się podlegać karze śmierci, zwłaszcza jeśli bratanek wyrusza ochoczo, jako przywódca najdzielniejszych osiłków z całej Grecji, i w krótkim czasie zyskuje nieśmiertelną chwałę? Po drugie, pozwól mi spytać, czy można mówić o zamordowaniu dziecka jeszcze przed jego urodzeniem oraz czy można kogoś sprawiedliwie skazać na śmierć za zbrodnię, której mu dotąd nie udowodniono?

Wreszcie pozwól mi spytać, czy słusznie będzie karać kogoś jako zabójcę niedołęznego brata oraz jego żony, jeśli dobrowolnie rozstali się z tym światem.

Gdyby nie brali poważnie jego pogrózek, może by żyli do tej pory; uzurpator dwakroć by pomyślał, zanim by przelał krew bratnią, w pełni świadom, że nabożni poddani odmówią bratobójcy posłuszeństwa. A na ile można dać wiarę historyjce, gdzie zniedołężniały rzekomo starzec składa domową ofiarę z byka?

Oracja Admeta sprawiła przyjemność paru jego towarzyszom, na pewno jednak nie wszystkim.

Zabrał głos Augiasz z Elidy: – Jazonie, przysięgaliśmy cię słuchać podczas wyprawy po złote runo i dotrzyaliśmy słowa. Skoro wszakże podróż dobiegła końca i jesteście wolni od zobowiązań, mogę mówić swobodnie. Oświadczam, że szaleństwem byłoby ze strony trzydziestu jeden ludzi napadać na warowne Jolkos w nadziei wzięcia pomsty na Peliasie. Ręczę, że bramy miasta są dobrze strzeżone;

a gdyśmy tu przebywali ostatnim razem, pięciuset chłopów gwardii królewskiej stało pod bronią. Niewątpliwie ich liczba wzrosła w dwójnasób od tamtej pory. Co do mnie, nie mam ochoty nadstawić karku w zamachu tak lekkomyślnym, jak ten się zapowiada. Pomyślcie, towarzysze! Płomień naszego ofiarnego stosu z pewnością dostrzegli wartownicy na murach; zaś Pelias, jeśli ma choć krztynę rozsądku, odgadnie, że coś się tu dzieje w Pagazie, i pośle trębacza, aby zagrał do boju.

Jeszcze nie skończył, a już Idas przerwał mu, krzyząc: – Mówiłem wam kiedyś, że Augiasz się urodził w noc bezmiesięczną; przysłowie „bez księżycy nie masz męża”, potwierdza się na nim. Aleja, na przykład, jestem gotów od razu iść z tobą, Jazonie, dopóki się Pelias nie dowie o naszej obecności. Zaskoczmy go zniemacka i splądrujemy ten okazały pałac. O ile on wierzy, jak zapewnia ten wieśniak, że nasz okręt uległ rozbiciu, blask ogniska go nie zatrwoży. Pomyśli, sądząc po kolorze płomieni, że pożar wybuchł w którymś ze składów.

Kastor i Polideukes z miejsca przyklasnęli Idasowi; lecz Autolikos, w imieniu wszystkich Tesalczyków, rzekł: – Nie, nie! Chociaż trzymamy z tobą, Jazonie, na dobrą i złą dolę, nie mając tej wyprawy za ukończoną aż do chwili, gdy runo powróci bezpiecznie na grzbiet świętego posągu tryka na górze Lafistion, zaklinamy cię, bądź ostrożny. Nie wyruszajmy przeciw Jolkos w mściwym porywie, jak ongi siedmiu mężnych wyruszyło przeciw Tebom, aby polec za nasze cierpienia. Rozpętajmy raczej wojnę powszechną przeciw twemu okrutnemu wujowi, a najpierw niech każdy uda się do własnego plemienia lub miasta i tam zgromadzi liczny oddział ochotników, tak aby wiele kolumn jednocześnie ze wszystkich stron natarło na Jolkos.

Teraz odpowiedział Peleus: – Jestem księciem Myrmidonów, jak wiecie, i wasalem króla Peliasa. Nigdy się nie zgodzę wypowiedzieć mu wojny. Jeśli zamierzacie atakować Jolkos, musicie wpierw zabić mnie, ponieważ mam wobec Peliasa dług wdzięczności. Ma on naturę dziką i podstępną, przyznaję, lecz pomógł

mi wiele lat temu, kiedy byłem w potrzebie, i nie chcę zasłużyć na miano zdrajcy, występując przeciwko niemu. Ponadto jeśli parę potężnych armii najedzie Ftiotis, cóż za los czeka moje ziemie i nieszczęsnych poddanych, a także dziedzictwo mego miłego druha Akastosa? Czyście kiedy widzieli stado dzików ryjących zaciszną dolinę w poszukiwaniu cebulek lili? Sądzicie, że żołdacy będą się w moim drogim kraju zachowywali z mniejszą chciwością i brutalnością, choćby byli najumiejtniej powściągnięci przez swoich zwierzchników?

Czarownik Peryklimenos zwrócił się do Peleusa tonem kpiącym, lecz z łagodną perswazją: – Kochany Peleusie, przypadek pozbawił cię przyrodniego brata, którego nienawidziłeś, oraz teścia, po którym odziedziczyłeś we Ftyi tytuł księcia Myrmidonów. Szkoda, Mróweczko, że śmierć Peliasa (a nigdyś nie udawał, że go kochasz) nie może spowodować następnym taki przypadek.

Peleus odparł, szczerząc zęby: – Z utonięciem Diktysa, kolchidzkiego wiceadmirala, trójca przypadków składnie się zamknęła.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Wreszcie Askalafos zapytał: – Medeo, powiedz nam, czemu przywiozłaś tutaj, tak daleko od Anafe, wydrażoną podobiznę trackiej Artemidy?

Bez namysłu odrzekła: – Dzięcioł zesłany przez matkę polecił mi tak uczynić.

A teraz, gdy spytałeś mnie o to, niechaj wszyscy zachowają święte milczenie póty, póki będę trzymała głowę pod opończę. Skoro ją znów odkryję, słuchajcie bacznie moich słów, które (choć w pierwszym momencie ciemne i zagadkowe) dadzą łączną odpowiedź na wszystkie pytania, co padły dzisiaj. Zamierzam poradzić się Matki.

Zarzuciła sobie na głowę fioletowy płaszcz i choć jego fałdy drżały, trzepotały i wydymały się co chwila, jakby je napełniał wiatr o wężowym ogonie, nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk; niebawem płaszcz zafalował dokoła niej i jego zwoje naprężyły się sztywno niczym płachty namiotu, po czym z wolna opadły i ściśle ją otuliły. Byli świadkami tego zjawiska w świetle jasno płonącego stosu.

Po jakimś czasie wytknęła głowę i rzekła: – Oto są słowa Matki: „Jutro około południa Pelias umrze krwawą śmiercią z własnego wyboru. Krew jego nie spadnie na was, Argonauci; ja tylko wywrę należną mi pomstę. Wstrzymajcie się od wojny przeciwko Ftiotis, dzieci, i od wszelkich aktów gwałtu. Jedyna spośród was Atalanta z Kalidonu pójdzie do Jolkos, i pójdzie bez oręża, pod opieką mojej służebnicy Medei. Powiosłujcie z powrotem do Metony i tam wyciągnijcie *Argo* na brzeg; zamaskujcie ją ściętymi gałęziami dębu, a sami zaszyjcie się w gąszczu, bacząc, aby jakiś przechodzień nie doniósł do Jolkos o waszej obecności. Cienki, czerwony słup wzbije się z dymnika sali pałacowej, skoro dokonam zemsty. Wtedy wychodźcie spieszenie, ruszajcie do Jolkos, smagając wodę wiosłami, i bez oporu bierzcie miasto w posiadanie”.

Argonauci spojrzeli po sobie zdumieni, ale mieli już rozliczne dowody mocy, jaką rozporządzała Medea, i żaden bodaj przez chwilę nie wątpił, że to bogini jej ustami wyjawia prawdę. Nie rzekli przeto ani słowa i kiedy Medea zaczęła pożyczać od nich strusie pióra, skóry niedźwiedzie, kolchidzkie przybrania głowy z piór ibisa oraz inne trofea z podróży, nikt jej nie odmówił, czego potrzebowała do wykonania swego zamiaru. Potem raz jeszcze wdrapali się na pokład *Argo* i odpłynęli o owiniętych wiosłach, stłumiwszy wpierw piaskiem ogień na ołtarzu; lecz Medea została na brzegu z Atalantą, dwunastoma feackimi dziewczętami oraz wydrażonym posągiem Artemis.

Skoro *Argo* zniknęła z oczu, Medea rzekła do Atalanty: – Droga moja, zdaję sobie sprawę, że nienawidzisz Jazona, acz bez powodu, i gardzisz mną za to, iż go kocham; niech cię to jednak nie wstrzymuje od posłuszeństwa rozkazom matki. Nie życzę ci źle, bo przynajmniej nie ubiegamy się obie o miłość jednego mężczyzny, i w najmniejszym stopniu cię nie winię za śmierć mego ojca Ajetesa, która była dziełem twojej pani, Artemidy.

Atalanta odparła z uśmiechem: – Medeo, jestem kobietą i choć może bez powodu nienawidzę Jazona, nie żywię w sercu nienawiści ani niewiary wobec jego żony. Wiem, że bożek miłości lubuje się w okpiwaniu najlepszych, najrozumniejszych i najwierniejszych przedstawicielek naszej płci.

Ucałowały się nawzajem w oba policzki i Medea wysłała Atalantę naprzód, z poufnym ostrzeżeniem dla Ifias; oto przybywa do Jolkos bogini Artemida we własnej osobie ukarać Peliasa za to, że pogwałcił jej sanktuarium, kiedy siłą stamtąd porywał królową Lemnos, Hypsipyle – Ifias musi się oczyścić i zebrawszy wszystkie dziewice-ryby, czekać w pogotowiu, aby o brzasku powitać w mieście boginię. Atalanta miała powiedzieć: „Nie lękaj się, Ifias, dziwów, jakich będziesz świadkiem. Bogini, która objawiła mi się we śnie, odznacza się bowiem przeraźliwym wyglądem. Nadchodzi z daleka, z mglistej ojczyzny wojowniczych, rudowłosych Hiperborejczyków, z ogromnej trójkątnej wyspy na północ od Galii, obfitej w czerwone bydło. A nie zdziw się, jeśli przemówi

dwoistym językiem, udając uczucie i tklivość dla zdziżałego Peliasa; bogini mianowicie lubi podnosić wysoko, nim w dół ciśnie, tak aby upadek stał się dotkliwszy”.

Atalanta pobiegła i dostała się do miasta nie zaczepiona przez wartę; znała ukryte przejście pod murami, które wiodło do świątyni Artemis. Uprzedziła Ifias, zgodnie ze wskazaniami Medei, czego ma oczekiwać o świcie.

Tymczasem Medea postarała się u wieśniaków z Pagazy o nieskazitelnego baranka i uspiła go tym samym środkiem nasennym, którego użyła przeciw wężowi Prometeusza; potem ukryła go w wydrążonym posągu, posąg umieściła na lekkiej kolebce wziętej ze składu okrętowego. Poprzebierała feackie dziewczęta w cudackie stroje pożyczone od Argonautów, ubieliwszy im najpierw twarze gipsem, a dłonie i stopy, smarując cynobrem. Później powiodła je w procesji nadbrzeżnym gościńcem z Pagazy do Jolkos, przy czym kolejno dźwigały boginię na plecach, dopóki nie ujrzały murów miejskich.

Nikogo nie spotkały po drodze, była to bowiem noc złowróźbna dla Ftiotis –

jedyna noc w roku, kiedy duchom wolno wałęsać się, gdzie chcą, zaś żaden człek rozsądny nosa z domu nie wytyka. Lecz Medea przed duchami nie czuła lęku, więc o szarym świtanu rozdzieliła dziewczętom do żucia bluszcz, który je oszołomił, sama wydała obłąkańczy pisk i powiodła je pędem ku bramie. Malowaną twarz posągu Artemidy krasił wyraz nieprzeparłej wesołości, a zarazem wykrzywił

nieubłagany gniew, Medea zaś wystąpiła w całym błyszczącym przepychu kolchidzkiej kapłanki Brimo i w złotej masce z dziobem kani. Pod maską atoli wyrysowała sobie na twarzy zmarszczki, które upodobniały ją do stuletniej wiedźmy, i założyła perukę z włosów żółtawosiwej barwy, jakie się trafiają tylko w nader podeszłym wieku; dłonie miała również pokreślone zmarszczkami i utykała na jedną nogę. Przerażeni strażnicy z wrzaskiem uciekli z posterunku, lecz Ifias i jej panny-ryby spieszenie wybiegły z przybytku odryglować wrota przed boginią.

Medea skrzekliwym głosem wezwała mieszkańców Jolkos, aby śmiało opuszczali domostwa i szli pokłonić się Artemidzie. Na jej zew tłum wyległ ze wszystkich drzwi i zaułków wzdłuż całej ulicy wiodącej od bramy ku pałacowi i ukorzył się przed posągiem. Wszyscy na jej rozkaz zachowali święte milczenie, ona zaś, w obliczu zebranych, powiadomiła Ifias, że Artemida przybywa z mglistej krainy Hiperborejczyków, w pojeździe zaprzężonym w parę skrzydlatych węży (w tej chwili uwiązanych za bramą), niosąc pomyślność Jolkańczykom oraz ich monarsze. Potem zachęciła ich do uciechy i tańca, a feackie dziewczęta wprawiły całe wyrwane ze snu miasto w szal religijny, miotając się dziko wśród tłumu niczym członkinie argińskiego związku krów, gdy wykonują na cześć Hery taniec gza. Jolkańczycy walili w gongi, dęli w konchy – słowem zachowywali się jak pomyleni.

Medea pokuśtykała ku pałacowi, a skoro odźwierni uciekli z krzykiem, bez ceremonii wtargnęła do środka. Zastała tam Peliasa, w szlafmocy i niedbale narzuconych królewskich szatach, który rozpytywał zmieszany, co się wyrabia.

Były przy nim jego cztery córki, równie jak on zdumione. Dziewczęta feackie wpadły do sali za Medeą i zaczęły wariacki płas po stołach i ławach, dopóki ich surowo nie przywołała do porządku;

następnie Ifias i dziewice-ryby wniosły uroczyście posąg Artemidy wyprostowany w swojej kolebce; ustawiły go na stole na wprost Peliasa. Wielka ciżba pospólstwa przyciągnęła za nimi, lecz Medea wygnała wszystkich i zaryglowała za nimi drzwi.

Kracząc łamaną greką, zwróciła się do Peliasa w te słowa:

– Peliasie, Peliasie, Peliasie, jam jest najwyższa kapłanka Artemidy, niedźwiedzniczki, pani jeziora, tropicielki rumaków, łowczyni, bogini dobrej sławy, przybyłej właśnie do Jolkos z obfitującej w olbrzymy krainy Hiperborejczyków.

W jedną noc ja i moje dziewczęta, dosiadłszy szeregiem pary skrzydlatych węzów, przeleciałyśmy nad Galią druidów, nad Wysokimi Alpami, pagórkowatą Istrią, Epiirem i żyzną Tesalią, podczas gdy bogini, przynaglając bez ustanku, siedziała za nami w pojeździe podparta pod boki. Ha, pytasz, co bogini ma tu do roboty?

Słuchaj, a ja ci to wyjawię. Słuchajcie, powiadam, i nie wierćcie się, cztery smukłe księżniczki, zbite w gromadkę wokół tronu Peliasa. Nie wierćcie się, mówię!

Równocześnie przeraziła córki Peliasa, cisnąwszy im nad głowy srebrne jabłko, co rozbiło się z tyłu o ścianę z piorunowym łoskotem i napełniło salę kwaśnym dymem. Zdawało im się, że białe węże o rozjarzonych oczach wiją się w powietrzu pośród kłębów dymu. Były wystraszone do granic obłędu, lecz żadna nie śmiała palcem ruszyć, w obawie czegoś gorszego.

Medea ciągnęła dalej: – Bogini, której tytuł po części wam wymieniłam, i którą w naszym kraju zwiemy Samoteą, niedawno wezwała mnie do siebie i rzekła:

„Zerknij w swoją kryształową kulę, najstarsze i najbrzydsze z moich dzieci, i powiedz mi, co tam dostrzegasz?” Zobaczywszy odparłam: „Widzę wszystko, co żyje, o bogini. W szkłe tym mogę oglądać cały obszar zamieszkałego świata, twoje odwieczne państwo, osadzone niby połyskliwa wyspa w wirującym kręgu oceanu”.

Wtedy powtórzyła: „Raz jeszcze, moja córko o obliczu kani, spójrz przenikliwym okiem i dla mojej przyjemności wskaż dokładnie, gdzie w całym tym odwiecznym państwie można znaleźć najpobożniejszego ze wszystkich żyjących królów”.

Szukałam, szukałam przez pięćdziesiąt dni i nocy, bez ustanku wpatrzona w kryształ, aż wreszcie wzrok mój, przebiegłszy wzdłuż wschodnich wybrzeży Grecji, od Lakonii, Argolidy, przez Attykę, Beocję i Lokris, trafił na królestwo Ftiotis i rozblęsnął ukontentowaniem na widok krytego pięknym dachem pałacu w Jolkos oraz urodziwej postaci białobrodego Peliasa, syna Posejdona.

Oświadczyłam bogini Samotei: „Pelias jest najpobożniejszym spośród wszystkich żyjących królów. Ofiarował ci, pod imieniem Artemidy, świątynię, która do tej pory należała do bezwstydnej bogini-nimfy, narażając się w ten sposób na niełaskę tej bogini, nie prosząc cię atoli o żadną nagrodę. Składał ponadto ku twojej chwale niezliczone ofiary całopalne i czci twoje imię ponad wszystkie inne boginie, nie wyłączając nawet Hery, małżonki Zeusa”. Samotea wtedy odparła: „A więc dobrze, krogulczonosa! Wsiadajmy tedy na rydwany zaprzężony w węże, lećmy przez pól

świata do Grecji, aby odpowiednio wynagrodzić Peliasa. Niech za naszą sprawą porzuci obrzydły wiek starczy, niech jego ciało odzyska wieczną młodość, a zwiędły członek potencję, tak aby mógł bez końca panować w Jolkos i przeżyć co do jednego swoich monarszych rywali, jak również wszystkich poddanych. Niech weźmie w objęcia młodą żonę i spłodzi z nią lepszych synów niż Akastos, którego niedawno cisnęłam na skaliste wybrzeże Libii, karząc za niegodną syna ucieczkę”.

Pelias się zdumiał, lecz nie dowierzał – bo niełatwo starego wróbla wziąć na plewy – a wtedy Medea przypomniała mu wiele osobliwych szczegółów z jego życia, jakie zebrała skrzętnie od Akastosa; i od Jazona; i od Peryklimenosa, syna Neleusa, a bratanka Peliasa; i od Echiona, syna Hermesa, którego fach (jako herolda) polegał na gromadzeniu i pamiętaniu wszystkiego, co mówiono na temat osobistego życia wybitnych mężów Grecji. W końcu rzekła:

– Ty wątpisz, Peliasie, ty wątpisz; czytam w twoich myślach. Nie wątp, to niebezpieczne. Atoli bogini zgadza się łaskawie, abym ci dała widomy dowód jej potęgi, dokonując przeobrażenia na własnej osobie. Dziecko – zwróciła się do Alkestis, najstarszej córki Peliasa, małżonki Admeta – przynieś mi czystej wody w ofiarnym pucharze z malowanej glinki; moim wargom bowiem nie wolno dotykać metalu.

Skoro Alkestis przyniosła wodę w malowanej czarze, Medea postawiła ją przed posągiem bogini i zaczęła się modlić w języku kolchidzkim, zaś Pelias wziął go za hiperborejski, nie znał bowiem żadnego z nich; z czary zdawały się buchać płomienie, gdy Medea piła haustami syczącą wodę. Wrzasnęła głośno i uciekła obok do małej komórki na wino, której drzwi stały otworem; zatrzasnęła je za sobą i dalej wyła okropnie, aż łzy trysnęły z oczu wszystkich kobiet na sali. Niebawem krzyki ucichły, a zamiast nich rozległ się słodki, gardłowy śmiech. Medea wyszła młoda, piękna, złotowłosa, bez jednej zmarszczki na twarzy ani na rękach. Po prostu ściągnęła żółtawosiwą perukę i za pomocą resztek wody oraz libijskiej gąbki dokładnie się umyła.

Obecni westchnęli z głębokim podziwem.

Pelias odezwał się głosem drżącym z gorliwości: – Już nie wątpię. Rób ze mną, co chcesz, świątobliwa! Zgadzam się w imię bogini. Uczyni mnie znowu młodym!

Medea, już bez utykania, zbliżyła się do Peliasa i spojrzała na niego przeciągle.

Zwęziła źrenice oczu, aż stały się maleńkie niby ziarnka sezamu, i dłońmi wykonywała koło jego twarzy faliste ruchy, jakimi blade wodorosty kołyszą się łagodnie w nurcie strumyka. – Śpij! – rozkazała melodyjnym głosem.

Biała głowa Peliasa opadła na piersi i w mgnieniu oka usnął mocno.

– Połóżcie go na królewskim pościeliu – zarządziła Medea. Księżniczki usłuchały, ona zaś weszła za nim do łożnicy. Zamknąwszy drzwi, powiedziała cicho: – Dzieci, nie lękajcie się poleceń, jakie muszę wam teraz wydać. Zanim wasz ojciec zdoła się odrodzić młodzieńcem, trzeba go najpierw pokroić na kawałki i zagotować w kotle pełnym czarodziejskich ziół i korzeni. Konieczne jest, aby tego okrutnego czynu dokonały jego własne kochające córki, ponieważ nikt inny nie może sprawić cudu. Weźcie zaraz noże i tasaki i wyostrzcie je porządnie na osetce, tak aby żadne źle wymierzone



czy poszarpane cięcie na jego dawnej cielesnej powłoce nie zniekształciło nowej.

Córki, imieniem Alkestis, Euadne, Asteropeja i Amfinome, zadrażały.

Spojrzały jedna na drugą, szukając otuchy i jednogłośnie odmówiły wykonania tych poleceń.

Alkestis rzekła: – Jestem Alkestis. Sprzeciwiam się. Nigdy nie przeleję krwi mego ojca... nie, choćby sam ojciec Posejdon raczył mi to nakazać.

Euadne rzekła: – Jestem Euadne. I też się sprzeciwiam. Wszystkim jednak wypadło się starzeć. Wzdragałabym się nazywać ojcem człowieka młodszego z wyglądu niż ja; przyjaciele by mnie wyśmiali. Poza tym kobiecie łatwiej cierpliwie znosić gderanie opryskliwego staruszka aniżeli gniew upartego młodzieńca.

Asteropeja rzekła: – Jestem Asteropeja. I też się sprzeciwiam. Ojciec zaraz by poszukał młodej macochy, żeby nas tyranizowała. W obecnym stanie rzeczy same zarządzamy królewskim gospodarstwem, pozostawiając ojcu tylko doglądanie wina, zbrojowni oraz przedmiotów kultu; czemu miałybyśmy pragnąć tak dziwacznej odmiany naszych losów?

Wreszcie Amfinome rzekła: – Jestem Amfinome. Sprzeciwiam się również.

Dlaczego to nasz ojciec musi zostać posiekany w kawałki niczym stary baran i ugotowany w kotle? Tobie wystarczyło po prostu popić parę łyków z pucharu syczącej ognistej wody, a następnie schronić się w komórcie na wino; odmłodziłaś bez przelewu bodaj kropelki krwi.

Medea pozbyła się Alkestis, mówiąc: – Tyś jest Alkestis, mężatka. Wynoś się z tego uświęconego miejsca. Tylko dziewicom wolno uczestniczyć w tajemnych obrzędach Artemidy. – Zauważyła, że jedynie Alkestis wzdragała się przed ohydny czynem z bojaźni bożej i miłości, gdy tymczasem pozostałe trzy nienawidziły starca.

Kiedy zmuszona do milczenia Alkestis odeszła, Medea powiedziała księżniczkom: – Wyjaśnię po kolei wszystkie wasze wątpliwości. Euadne, nie lękaj się nazwać młokosa ojcem. Bogowie są wiecznie młodzi, a Pelias, myślę, nigdy nie ubolewał, że jego ojciec Posejdon ma więcej męskości od niego i dotąd może płodzić synów i córki. Przyjaciele nie wyśmieją cię, tylko będą poważali. Poza tym jeśli Pelias często jest opryskliwy, to dlatego, że na skutek podeszłego wieku cierpi okrutne bóle i strzykania; ręczę, że skoro odzyska młodość, stanie się równie łagodny jak ty. Asteropejo, nie lękaj się młodej macochy. Dopóki jesteś Peliasowi niezbędna do opieki nad jego sprawami, póty na pewno się nie zgodzi wydać cię za męża; kiedy wszakże znowu odmłodnieje, ręczę, że znajdzie dla ciebie wyśmienitą partię, odpowiednią do twego urodzenia, piękności i zalet. Zostaniesz królową i obejmiesz rządy nad bogatym ludnym krajem. Co do ciebie, Amfinome, powinnaś zrozumieć, że formuła magiczna, za pomocą której można odmłodzić starą kobietę, musi się różnić od formuły dla starego mężczyzny; a przecie moje przeobrażenie też wcale nie było bezbolesne.

Amfinome milczała, nie chcąc obrazić kapłanki.

Wobec tego Medea dodała: – Amfinome, wspomniałaś o siekaniu starego tryka na kawałki. Powiedz

mi teraz, czy nie ma tu w pałacu zgrzybiałego barana, świętego barana Zeusa? Przyprowadź mi go z obory. Ja go zabiję, pokroję na części i ugotuję w kotle z czarodziejskimi ziołami. Zobaczysz wtedy, jak się narodzi jagnięciem, z czerwia życia, co się gnieździ wewnątrz jego kręgosłupa. Niebawem znowu będzie szczypał zieloną, obfitą trawę pastwisk i soczyste pędy drzew terpentynowych; te same, od których odwraca się dzisiaj, wzdychając ze znużeniem.

Amfinome odparła: – Jeśli zdołasz tego cudu dokonać na starym baranie Zeusa, uwierzę, że możesz to samo zrobić z moim ojcem. Jestem jednak pobożną Achajką.

Sama nie podniosę ręki na tryka, w obawie przed ojcem Zeusem.

Euadne przypędziła barana, szesnastoletnie zwierzę, prawie ślepe, bez przednich zębów, o sparszywiałej skórze i olbrzymich rogach. Do codziennych obowiązków Amfinome należało karmienie go kaszką na mleku, wyczesywanie i zamiatanie jego zagrody.

Medea zaprowadziła starego, cuchnącego tryka do sali, gdzie zawieszony na haku nad kominem kocioł czystej wody bulgotał na ogniu, gotów do uwarzenia rosółu z baraniny i jęczmienia na ranny posiłek dla królewskiego dworu. Był to ten sam kocioł, na którym Herkules zostawił wgniecony ślad swego kułaka i który, nalany po brzegi, mieścił pięćdziesiąt galonów. Medea wyprawiła z sali wszystkich prócz trzech niezamężnych księżniczek. Kazała im pozamykać drzwi i mocno je zaryglować. Potem, wygłaszając przeciągłe modły po kolchidzku, posiekała barana w kawałeczki starym toporem z czarnego obsydianu i zgarnęła je do kotła razem z pękami wonnych ziół i korzeni, jakie wydobywała po kolei z haftowanej sakwy u pasa. Potem, wywodząc inkantacje, mieszała w kotle drewnianą warząchwią, aż wreszcie wydała radosny okrzyk i zawołała po grecku: – Patrzcie, patrzcie! Czerw podnosi łebek! Przeobrażenie się rozpoczęło!

Posypała proszkiem płonące polana, tak że trzaskając dziko, rozbłyśły niezwykłym żarem. Krwawy blask nappełnił całą salę, kocioł zakipiał i gęsta para zakryła przed wzrokiem obecnych cały kąt opodal komina.

Skoro dym zrzedł, usłyszano nagłe beczenie i sześciomiesięczne jagniątko, z małymi różkami sterczącymi z łebka, w popłochu wyskoczyło i miało się po sali, aż uciekło do Amfinome jak do matki. Amfinome w podziwiewie spoglądała na jagnię, a potem pobiegła do kotła. Nic nie zostało na dnie oprócz odrobiny rosółu i paru mokrych kłaków starej wełny.

Medea znowu zwróciła się do księżniczek: – Euadne, Asteropejo i Amfinome, byłyście świadkami cudu. Nie wahajcie się dłużej, tylko spełnijcie życzenie ojca i wykonajcie rozkazy Artemis. Bądźcie pewne, że skoro to uczynicie, poeci po wsze wieki nie zapomną waszych imion. Uderzcie przeto razem, tak aby żadna z was nie mogła później rościć sobie pretensji do zadania pierwszego ciosu; i pozostawcie nietknięty kręgosłup, między kośćmi biodrowymi i żebrami, bo gnieździ się w nim czerw życia.

Śmiało wróciwszy do łóżnicy, każda z ostrym toporkiem w ręku (wziętym ze zbrojowni, co przytykała do sali), wyszlifowały ostrza na osetce, podając ją sobie z rąk do rąk; i niebawem dobiegły uszu Medei upragnione odgłosy rąbania oraz przenikliwy wrzask Peliasa, kiedy się ocknął ze snu.

Drzemiących o południu w dąbrowie Metony Argonautów zbudził głos Linkeusa: – Patrzcie, towarzysze! – wołał. – Czerwony dym wznosi się z dymnika pałacu Peliasa. – Wypadli z kryjówki, pobiegli do *Argo*, zepchnęli ją na wodę i po chwili wiosłowali w szaleńczym tempie ku brzegom Jolkos. Zbrojno wyskoczyli na ląd i zastali główną bramę miasta nie strzeżoną; Medea mianowicie rozkazała, aby nikt nie śmiał wchodzić w drogę bogini; wkrótce zamierza ona wracać przez bramę, którą przybyła, zając znów swoje miejsce w pojeździe zaprzężonym w węże, co tam na nią czeka. Wtargnęli do środka i popędzili główną ulicą cicho niby dobrze wyćwiczone psy gończe.

Mieszkańcy gapili się na Argonautów, nikt ich wszakże nie zaczepił, tak nagle się pojawili, i dopiero gdy znowu zniknęli z oczu, osłupiali ludziska zaczęli pytać jeden drugiego: – Czyś ty widział, sąsiedzie, to samo co ja? Czyś widział, jak blade duchy Argonautów przemknęły zbrojną drużyną z Jazonem, synem Ajzona, i Akastem, synem Peliasa, na czele? Jakże to tak? Czy noc duchów nie skończyła się o brzasku, jakeśmy myśleli?

Kiedy weszli do pałacu, Medea osobiście otworzyła im drzwi do sali i wykrzyknęła: – Niestety, Argonauci, przybywacie za późno, aby ocalić Peliasa od zguby. Jego trzy córki popełniły ojcobójstwo. Posiekały go okrutnie na drobne kawałeczki i gotują teraz w kotle tak beztrosko, jakby przyrządzały rosół

z baraniny na królewskie śniadanie.

## **DZEUS ODZYSKUJE RUNO**

Tego wieczora Argonauci ucztowali w pałacu Peliasa; wykadzili wpierw dobrze salę siarką i arabskim pachnidłem, spryskując mury z zewnątrz i od środka źródlaną wodą. Trzy toporki oraz kocioł ofiarowali bogini Persefonie, w której przybytku za miastem schroniły się już trzy książęce winowajczynie. Nie śmieli nic zrobić Medei, lecz oprócz Jazona każdy czy to mężczyzna, czy kobieta – unikał jej wzroku i jej towarzystwa! Ludzie bledli, jeśli bodaj cień Medei padł na ich ścieżkę.

Mimo to przy wetach bardzo im się spodobało, gdy Medea wstała i zaczęła wobec wszystkich nakłaniać Jazona, aby zrezygnował bezzwłocznie i dobrowolnie z tronu Ftiotis na rzecz swego krewniaka Akastosa. Cóż mógł począć innego? Czy niegdyś wobec świadków na festynie ludowym nie zadeklarował, że nie rości pretensji do bogactw swego wuja? Król bez majątku rzekła – jest niby ostrze włóczy bez drzewca, a ponieważ Akastos nierad by utracić swoje dziedzictwo, czy będzie rozsądnie i przyzwoicie ze strony króla Jazona chodzić w łachmanach i żebrać o skórki od chleba oraz ochłapy mięsa ze stołu zamożnego krewniaka? Poza tym, mimo że jej nie było w łóżnicy monarszej, kiedy topory zadały cios, nie może się narażać na niechęć pewnego ducha, obierając sobie Jolkos na stałe miejsce pobytu.

Jazon zasepił się i w pierwszej chwili nie chciał odpowiedzieć. Wreszcie gdy kamraci obrzucili go dla kawału skórkami od chleba oraz okrawkami mięsa, oznajmił, że pójdzie za jej radą, chociaż mu przykro porzucić swoją własność, co wygląda, jakby lekceważył ojca, Ajzona, i dziada, Kreteusa; w nagrodę tedy za swoją wielkoduszność wezwał towarzyszy, aby mu, jeśli trzeba, pomogli objąć tron Efiry – dla niego i dla Medei. Jednogłośnie obiecali to zrobić, bo się bali gniewu Medei w razie odmowy.

Na drugi dzień, zasiadłszy na tronie ftiotyjskim wewspaniałej koronie i szatach, z berłem Atamasa zakończonym baranią głową, które Jazon osobiście mu wręczył, król Akastos zarządził świętą ciszę, po czym ogłosił wyrok skazujący na wiekiście wygnanie z Jolkos Medeę, Atalantę, Jazona, Idasa, Kastora, Polideuka oraz Peryklimenosa jako bądź inspiratorów, bądź współuczestników zabójstwa jego ojca; ta sama kara spotkała same zbrodniarki: trzy siostry. Ten werdykt nikogo nie zdziwił, ponieważ synowi nie wypadało wydać żadnego innego; okazał zresztą niezwykle łagodność, pozwalając wszystkim winowajcom zostać w Jolkos, dopóki się nie odbędą pogrzebowe igrzyska Peliasa.

Tegoż dnia Akastos uroczyście otworzył owe igrzyska i patrzcie, kto się zjawia tuż przed rozpoczęciem, jak nie Herkules, co właśnie powrócił z wyspy Hesperyd z koszykiem świętych pomarańczy, które mu polecono dostarczyć dla króla Eurysteusa. Argonauci od razu stłoczyli się przy nim, całując go po wielkich, brudnych kolanach i sławiąc jako swego zbawcę od śmierci na pustkowiu Libii.

Z dumą pokazywał pomarańcze, mówiąc: – Wąchajcie, towarzysze, jeśli chcecie. Zapewniają długowieczność. Tylko nie dotykajcie ani bierzcie do ręki świętego owocu. – Herkules nie był pijany i do tej pory nie jadł obiadu, ale się zdawał łaskaw nad wszelkie pojęcie: wyrocznia Artemidy oświadczyła mu bowiem, że niedługo spłodzi córkę. Wyglądało, jakby zapomniał nawet imienia Hylasa, w ogóle o nim nie napomykał; uważali pilnie, by też tego nie zrobić.

W parę godzin później, kiedy w pałacu porządnie sobie podjadł, zgodził się zostać przewodniczącym igrzysk.

Telamon z Ajginy wykonał najdłuższy rzut krążkiem; Meleager najdalej rzucił

oszczepem; Eufemos z Tajnaron był pierwszy w wyścigu dwukonnych rydwanów.

A Peleus wygrał w zapasach, bo Kastor, który na pewno zostałby tu zwycięzcą, wystąpił zamiast tego w wyścigu czterokonnych rydwanów: Peleus dwukrotnie powalił Jazona na ziemię okrutnym ciosem, zwanym „fruważącą kobyłą” – teraz bowiem, gdy *Argo* bezpiecznie znalazła się w domu, nie musiał już okazywać swemu dowódcy względów ani litości.

Czterokonny zaprząg Kastora przegonił wszystkich jego tesalskich rywali; składał się jednak wyłącznie z tesalskich rumaków, którym nie dorównuje żadna rasa na świecie, nawet lakońska. Koryntczyk Glaukos także wziął udział w tym wyścigu. Jako syn Syzyfa, był stryjecznym bratem Medei. Do dziś nie wiadomo, czemu jego konie spłoszyły się przy pierwszym słupie i nie tylko wyrzuciły go z rydwanu, lecz dopadły i zaczęły żywcem pożerać. Niektórzy powiadają, że duch Peliasa spłoszył zaprząg; inni, że Glaukos obraził czymś Posejdon, opiekuna rumaków; ale wśród ludu krążą pogłoski, że Medea podnieciła zwierzęta wyciągiem z łożyska ciężarnej kobyły w obawie, aby Glaukos nie był jej kiedyś zawadą na Koryncie, jeśliby zechciał pretendować do tronu Azopii. W każdym razie Glaukos zginął i od tej pory duch jego stale nawiedza Korynckie Międzymorze, z lubością płosząc konie podczas wyścigów czworokonnych rydwanów na igrzyskach istmijskich.

Polideukes wygrał w zawodach pięściarskich, lecz przyszło mu to zbyt łatwo, aby zadowolić wybredniejszych widzów, choć pospólstwo ryczało z uciechy, patrząc, jak krew tryska z ust i nosów

jego niewprawnych partnerów. Herkules żartami zgłosił swój udział w zapasach w stylu dowolnym, zaś Alkestis, dla której czuł głęboki szacunek, skłoniła go, aby darował życie przeciwnikowi, centaurovi Nessosowi, skoro już złamał mu nogę oraz trzy żebra i tamten był zdany na jego łaskę. Faleros z Aten zwyciężył w zawodach łuczniczych, zamierzył się bowiem do słomianej kukły dyndającej z wiatrem na drzewie i przeszył jej gardło za pierwszym strzałem.

W biegach wystąpili Argios i Melanion, młodsi synowie Fineusa, oraz dwaj cudzoziemcy: Ifiklos z Fokidy i niejaki Neoteus. Ifiklos dobiegł pierwszy, zostawiając resztę daleko za sobą. Był Minijczykiem, stąd jego wygrana w wyścigu skłoniła kilku poetów do mylnego podawania go za Argonautę, choć wcale nie uczestniczył w wyprawie; tak samo – skoro o tym mowa – nie można zaliczać do załogi, jak to niektórzy robią, Ifiklosa, przyrodniego brata Herkulesa, ani Ifiklosa, wuja Kastora i Polideuka. Trzeba by nie lada floty, aby udało się pomieścić bohaterów, którym próżni potomkowie przypisują pyszne miano Argonautów.

Atalanta zgłosiła się do skoków; lecz kiedy Akastos odmierzył skocznię i kazał

ziemię spulchnić, zagrabić i wyrównać, podniosła sprzeciw. Oświadczyła, że Herkules jako przewodniczący powinien się tego podjąć, zaś Akastos, chociaż to król Ftiotis, nie ma prawa się wtrącać do przygotowania jakichkolwiek zawodów.

Herkules posłusznie wyznaczył nową skocznię, gdzie dalszy kraniec był

przepisowe pięćdziesiąt stóp od linii odbicia, a bliższy – w połowie tej odległości.

Lecz pięćdziesiąt stóp według Herkulesa stanowiło dwa razy tyle co według Akastosa, który miał małe nogi. Atalanta udowodniła wkrótce słuszność swoich zastrzeżeń, dając susa na sam koniec skoczni wytyczonej przez Herkulesa: gdyby wykonała tak długi skok od linii odbicia ustalonej przez Akastosa, przeleciałaby kawał dalej i połamała nogi na kamienistym gruncie, nie spulchnionym łopatami.

Ten niesłychany skok nie był dla niej niczym nowym, bo przywykła utrzymywać sprężystość nóg za pomocą upartych ćwiczeń, skacząc na natłuszczonej wołowej skórze i kopiąc się w pośladki to jedną, to drugą nogą: dochodziła do tysiąca razy i więcej, podczas gdy każdy przeciętny lekkoatleta ześlizgnąłby się z tej skóry już za pierwszym czy drugim podskokiem.

Walkę na miecze nad kurhanem Peliasa odbyli Jolkańczyk imieniem Pilos i Askalafos, syn Aresa, Argonauta. Często się zdarza w pojedynku tego rodzaju, że jeden z szermierzy usiłuje wzbudzić zachwyty tłumu, nacierając na drugiego ze zbytnim wigorem; i już gra idzie na ostre. W tym wypadku Pilos z głupoty drasnął

tamtego mieczem w udo, o włos chybiając genitalii; ból tak rozwścieczył Askalafa, że odparował ciosem zamachowym i odrąbał w przegubie zbrojną w miecz dłoń Jolkańczyka. Pilos umarł wskutek upływu krwi i z gniewu, bo walczył dalej lewą ręką i nie pozwolił przyjacielom podwiązać nieszczęsnego kikuta. Śmierć wywołała ogólną uciechę, ponieważ Pilos nie miał krewnych, którzy by go pomścili, zaś duch Peliasa napił się do syta tryskającej krwi – co poświadczył

bystrooki Linkeus.

Orfeusz zjawił się niespodzianie pod koniec igrzysk. Cierpiał na przewlekłe schorzenia i jego głos nie brzmiał już tak jak ongi. Odśpiewał jednak długą i pełną słodczy pieśń o wyprawie *Argo*, nie łagodząc przykrych dni ani ośmieszających wydarzeń, jak uczyniło po nim wielu poetów; za powszechną zgodą został

ozdobiony wieńcem słodko-wonnego wawrzynu. Zachował, niby w miodzie, pamięć o niektórych chwalebnych szczegółach, o jakich nawet sami Argonauci prawie byliby zapomnieli. Atoli później kapłani Dodony narzekali, że ta pieśń w pewnym stopniu obraża Zeusa, i zabronili mu ją śpiewać pod groźbą bożej niełaski; tak że do dziś przetrwała tylko we fragmentach.

Kiedy igrzyska się skończyły, Argonauci odbyli ostatnią wspólną podróż, żeglując w dół Zatoki Eubejskiej aż przybyli do miasta Opus. Wówczas wysiedli, powierzyli okręt pieczy Opuntyjczyków i szli piechotą przez pagórki aż do Jeziora Kopajskiego i do słynnego miasta Beocji, Orchomenos; tam się pokłonili białemu grobowcowi swego pradziada Miniasa.

Z Orchomenos udali się na górę Lafistion, gdzie wreszcie Medea, w imię Prometeusza, zwróciła runo dębowej podobiznie barana w jego świątyni opodal szczytu; podczas gdy pozostali palili bogate ofiary i śpiewali hymny. Zeus atoli żadnym znakiem – bodaj odległym hukiem piorunu – nie raczył im okazać uznania ani wdzięczności, co wszystkich stropiło. Liczyli na jakieś niezwykle zrządzenie, wierząc w swojej głupocie, że skoro Zeus bez wyjątku karze wiernych za wszelkie zło, które mu wyrządzą, czy to umyślnie, czy niechcący, okaże również wdzięczność za doznane korzyści.

Herkules wybrał się z nimi, po drodze do Myken ze świętymi pomarańczami, i choć się nie wspinał na górę Lafistion, to raczej właśnie on, bardziej niż Askalafos z Orchomenos albo ktokolwiek inny, nakłonił radę orchomeńską do zwrotu synom Fryksosa dziedzictwa po dziadku Atamasie, przez co spełnił

obietnicę Jazona. Synowie Fryksosa wdzięczni za tę uprzejmość wydali wielkie przyjęcie na cześć Herkulesa.

Potem nadeszła pora pierwszego rozstania Argonautów; ci z Tesalii i z Ftiotis powędrowali pieszo na północ, uściskawszy ze łzami towarzyszy tyłu wspólnych niebezpieczeństw. Lecz Herkules, Jazon, Argos i reszta wynajęli beockich wioślarzy i przeprowadzili *Argo* przez Cieśninę Eubejską. Opłynęli Attykę i wysadzili Falerosa w Atenach, gdzie z szacunkiem pokłonili się królowi archontów i królowej i udali się społem do świątyni Ateny, dziękując jej pokornie za nieprzerwaną opiekę. Potem ruszyli dalej i ominawszy wyspę Salamis, dotarli na Korynckie Międzymorze.

Jazon zawinął do Kenchrei i Echiona jako swego herolda wysłał naprzód do mieszkańców Efiry, aby oznajmił im przybycie prawowitej królowej, Medei. Ta rola ucieszyła Echiona, ponieważ pragnął wcielić w życie łgarstwa, jakich nakładł

mu w usta jego ojciec Hermes, kiedy wysiadł był na przystani królewskiej w Ai.

Zadanie okazało się tym łatwiejsze, że tego lata na Koryncie panowała susza i zaraza, prawie tak jak

ongi twierdził, zaś Efiranom obrzydły surowe i samowolne rządy achajskiego uzurpatora, który przybrał imię Koryntos.

Echion stanął na rynku i oznajmił Efiranom, że Jazon, znakomity syn Ajzona, odbył wyprawę po runo i na rozkaz wyroczni przywiózł do domu Medeę, złotowłosą czarodziejkę, córę Ajetesa, aby im panowała; i że dobrowolnie rezygnując na rzecz kogo innego ze swoich praw do tronu Lemnos oraz Ftiotis, Jazon postanowił poślubić Medeę i zostać ich kochającym królem. Potem jeszcze Echion powiedział, że Kastor i Polideukes, Atalanta i Meleager, Melampus i Peryklimenos, Idas i Linkeus, a także sam wielki Herkules zbliżają się z Kenchrei z orężem w dłoni, dopilnować, aby sprawiedliwości – choć spóźnionej – wobec imienia Ajetesa stało się zadość. Efiranie wysłuchali tego radzi i z miejsca zrobili powstanie. Uzurpator Koryntos uciekł, a ludność wyległa na wybrzeże witać królewską parę.

Echion żałował tylko, że mieszkańcy korynckiej Azopii, dawnego państwa Syzyfa, w żaden sposób nie dali się namówić do buntu przeciw Kreonowi, swemu nieustępliwemu achajskiemu władcy, i do zjednoczenia w ten sposób podwójnego królestwa, jak on to przepowiedział; Kreon mianowicie poślubił Glaukę, córkę Syzyfa, i panował w jej imieniu.

Jazon postanowił ofiarować *Argo*, ze wszystkimi wiosłami i osprzętem, bogu Posejdonowi, w podziękę za wielką falę, która ją ocaliła od skał na brzegach Libii.

Pożeglował przeto na wschód od Kenchrei, ku najwęższej części Międzymorza, gdzie wprawnie wyciągnięto ją na ląd, umieszczono na okrągłakach i zatoczono wyżej, aż do przybytku Posejdona. Tam Argos z dumą pożegnał swój piękny okręt, na samym końcu schodząc z pokładu w chwili ostatecznego rozstania Argonautów.

## **DALSZE LOSY ARGONAUTÓW**

Akastos parę lat panował w Jolkos, lecz na koniec pokłócił się ze swym serdecznym przyjacielem Peleusem. Posprzeczali się o setkę owiec, które Peleus wpłacił jako odszkodowanie za przypadkowe zabójstwo syna Akastosa; nie sam Peleus wszakże zadał cios, tylko jakiś pijany Myrmidon z jego świty. Po drodze z Ftyi do Jolkos stado przetrzebiły wilki, tak że zaledwie kilka owiec ocalało.

Kiedy Akastos domagał się nowych zamiast tych, co przepadły, Peleus odmówił, dowodząc, że wilki natarły już pod Jolkos, a nie koło Ftyi. W wynikłej stąd wojnie Akastos został pobity, wzięty do niewoli i skazany na śmierć, a Peleus objął rządy nad całym Ftiotis; ale zwycięstwo zawdzięczał potężnemu poparciu Kastora i Polideuka, co sprowadzili rydwany ze Sparty. Peleus doczekał się sędziwych lat i przeżył swego sławnego syna Achillea, adepta centauryjskiego bractwa koni, który poległ podczas oblężenia Troi.

Jeśli chodzi o Atalantę, wróciła w towarzystwie Meleagra do Kalidonu, przez Arkadię – ze względu na łowy. Dotarłszy do przybytku Artemidy na górze Artemizjon, gdzie Herkules pochwycił był białą łanię Artemidy i w ten sposób dokonał swojej trzeciej pracy, zrzekła się służby dla bogini, zawiesiła na kołku łuk, oszczep i dziewiczą przepaskę, składając nienazwane ofiary. Nie opodal Kalidonu, w zaroślach na górze Tafiassos, obcowała wreszcie z Meleagrem, bo żądza przynagliła ją wbrew woli. Akurat Melanion wędrował pieszo z Orchomenos do Kalidonu, zamierzając prosić Jazjosa o rękę

Atalanty. Przypadkiem zaszedł

Meleagra i Atalantę uspiionych w gąszczu; bał się jednak uczynić im krzywdę.

Pospieszył dalej do Kalidonu, do pałacu króla Ojneusa, gdzie złośliwie opowiedział

Kleopatrze, żonie Meleagra, co zobaczył. Kleopatra w furii pobiegła na pokoje teściowej, królowej Altei, której chwilowo nie było, i zaczęła szperać w jej skrzyniach, aż na koniec znalazła, czego potrzebowała: osmolone polano z orzechowego drzewa. Otóż gdy Meleager się urodził, wróżbita ostrzegł Alteę, że jej synek będzie żył tylko póty, póki pewna głównia nie spopieli się na palenisku; schwyciła ją, wyciągnęła i ukryła w skrzyni. Teraz Kleopatra, dotknięta do żywego, wzięła polano i z powrotem je cisnęła w ogień pod kuchnią; i oto Meleager, uspiiony w objęciach Atalanty pod fasolowym stogiem zaledwie o parę stajañ, krzyknął w głos i zapłonął gorączką. Przed świtem skonał. Tak spełniło się proroctwo Afrodyty mówiące, że pierwszy mężczyzna, dla którego Atalanta zdejmie przepaskę, umrze tej samej nocy.

Skoro Atalanta się przekonała, że jest w ciąży, zgodziła się poślubić Melaniona, nieświadoma, że to on był głównym sprawcą śmierci Meleagra; a ojcostwo dziecka imieniem Partenopajos, jakie jej się urodziło, przypisała Melanionowi. Lecz dowiedziawszy się od Altei, co zaszło, zaprzestała pożycia z nim i niewiele zyskał

w tym związku oprócz jej nienawiści i pogardy. Niektórzy powiadają, że Melanion pokonał Atalantę w wyścigach, rzucając jej złote jabłka, aby je zbierała, i w ten sposób zdobył jej rękę; ale to jest wynik mylnego odczytania starożytnego fresku na temat pogrzebowych igrzysk Peliasa, umieszczonego w pałacu w Jolkos.

Widnieje na nim Atalanta przykucnięta na ziemi, w chwili gdy zwycięża w skoku; tuż obok, na krześle, siedzi Herkules jako przewodniczący igrzysk, złote pomarańcze rozsypały mu się u stóp, tak że wygląda, jakby to ona sięgała po jedną z nich; zaś tuż przed nią odmalowano wyścig, w którym Ifiklos Fokijczyk przyszedł pierwszy, a Melanion ostatni; wszyscy zawodnicy prócz Melaniona zniknęli z fresku, bo w tym miejscu wybito w ścianie nowe drzwi, więc się wydaje, jakoby Melanion wygrał w biegu z Atalantą. Tyle o tych zazdrosnych kochankach.

Kłótnia między Idasem i Linkeusem z jednej strony, a Kastorem i Polideukiem z drugiej na jakiś czas uległa załagodzeniu, dopóki pewnego dnia wspólnymi siłami nie najechali Ankajosa z Tegei. Zrabowali sto jeden sztuk najlepszego bydła pod pretekstem, że Ankajos oszukał ich niegdyś u Bebryków, kiedy dzielono pałacowe łupy, przywłaszczając sobie ze wspólnej zdobyczy cztery cenne naszyjniki z bursztynu, szmaragdów i złota. Ponieważ Ankajosa sumienie gryzło w kwestii tych naszyjników, nie wyruszył w pościg za braćmi, lecz zostawił pomstę swemu ojcu Posejdonowi, któremu obiecał był już w podarku dziesięć najlepszych byków ze stada.

Czterej rozbójnicy zasiedli społem w miejscu, gdzie się stykały granice Lakonii, Arkadii oraz Mesenii, i niezbyt przyjaźnie zaczęli ustalać, jak podzielać bydło między siebie. W końcu Idas powiedział:

– Zabawmy się, towarzysze. Rozkroję tego cielaka na cztery równe ćwiartki i upiekę je na roznach,



po jednej dla każdego. Niech ten, co pierwszy skończy swoją porcję i nie zostawi nic prócz gołych gnatów, dostanie pół stada, wybierając pięćdziesiąt sztuk, jakie mu najbardziej odpowiadają; a ten, co zje po nim, niech otrzyma pozostałe pięćdziesiąt.

Kastor i Polideukes zgodzili się: Linkeus jadł pomału, bo stracił przednie zęby w zawodach, więc obaj bliźniacy uważali się za żarłoków lepszych niż Idas. Lecz zaledwie syczące połcie cieleciny zdjęto z rożna i przydzielono przez losowanie, Idas jął rozszarpywać swoją część zębami oraz sztyletem i łykać soczyste mięso, prawie nie żując. Zmiótł wszystko co do okruszyny, a także wyszał kości szpikowe, zanim tamci na dobre zaczęli. Potem jako prawdziwie oddany brat przyszedł

z pomocą Linkeusowi, krojąc mu mięso na wygodne kąski i drugie tyle pochłaniając sam; tak że Linkeus skończył następny, tuż przed Polideukiem, który wciąż jeszcze nie zdążył się uporać z paroma żeberkami i częścią flaków.

Idas i Linkeus wstali napchani, ale bynajmniej nie nieruchawi, i z kpiarskim „do widzenia” zagarnęli stado. Polideukes z pełnymi ustami zawołał, żeby zaczekali, bo przecież Linkeus nie zjadł całej porcji samodzielnie; lecz ich nie gonił, dopóki dokończywszy własnej ćwiartki, nie udowodnił swoich praw do połowy bydła – nie zaprzeczał, że Idas sprawiedliwie zasługuje na prawo wyboru pierwszych pięćdziesięciu sztuk. Kastor wszakże, wściekły, że się okazał najpowolniejszy z nich wszystkich, zostawił swoją część niedojedzoną i pobiegł. Obrął ścieżkę na przełaj przez góry i zasadił się na Idasa i Linkeusa, zaszyty w dziupli dębu poświęconego Zeusowi. Wyliczył, że powinni przechodzić koło dębu: rósł tuż przy grobie ich ojca Afareusa, gdzie bez wątpienia zechcą lać sute obiady z byczej krwi.

Bystrooki Linkeus już o parę stajań odkrył jego kryjówkę, bo kita łabędzich piór na czapce Kastora błyskała wśród gałęzi. Na migi kazał Idasowi popełznąć naokoło stada i zaskoczyć przyczajonego. Ten usłuchał; z nagła cisnął dzidą w drzewo i przebił pierś Kastora, kładąc go trupem.

W tym momencie nadbiegł dróżką Polideukes i usłyszał śmiertelny jęk brata.

Zamierzył się dzidą na Idasa, a ten, nie mogąc wyszarpnąć z dębu własnej, dał susa w bok i przycupnął za mogiłą ojca. Odłamał nagrobek i oburącz wyrzwał

Polideuka, gruchocząc mu lewy obojczyk.

Polideukes – choć tak ranny – dosłyszał, jak Linkeus z tyłu go atakuje, i odwrócił się, by go nadziać na ostrze dzidy. Linkeus padł z rozprutym brzuchem.

Lecz Idas skoczył naprzód, porwał dzidę brata, która leżała w trawie, z rozmachu przygwozdził nią Polideuka na wylot przez pośladki i przeciwnik zginął marnie.

Idas w triumfie zaczął tańczyć pod świętym dębem i bluźnić głośno Zeusowi, ojcu poległych wojaków, śmiejąc się, aż skały odbrzmiewały echem, zaś pasterze zamieszkali opodal w szałasie zatykali uszy ze wstydu. Dalej tańczył, śmiał się i bluźnił, nieświadom nagłej burzy, co z pomrukiem nadciągnęła od północy, aż wtem oślepijąco załśniła błyskawica i równocześnie huknął okropny piorun.

Błyskawica trafiła w grot dzidy, którą wymachiwał Idas, zwęgliła jego prawe ramię i do cna zdarła przyodziewek.

Pastusi znaleźli zwłoki, całe przyprószone liśćmi świętego dębu. Wielce się dziwowali, po czym ogrodzili miejsce, gdzie upadł, i uznali je za uroczysko; a zamiast spalić trupa, pochowali go, jak zwyczaj każe, kiedy kogoś porazi grom.

Tesalczycy: Admetos, Koronos i Eurydamas, wrócili do swoich trzód i stad i już do końca nie wzięli dobrowolnie udziału w żadnej przygodzie, osiągnąwszy dość sławy dla własnego ukontentowania. Wszyscy jednak pomarli gwałtowną śmiercią, bo Tesalia należy do krajów, gdzie nawet najspokojniejsi ludzie nie unikną wojen i zamieszek. Koronosa uśmiercił Herkules, gdy Dorowie wezwali go na pomoc przeciw Lapitom; Eurydames i Admetos pozabijali się nawzajem w pojedynku.

Autolikosowi oraz jego braciom, Deilejonowi i Flogiosowi, obrzydła tesalska Trykka już drugiego lata po przyjeździe do domu. W towarzystwie Argiosa, syna Fryksosa, odwiedzili Samotrakę w porze wielkich misteriów i przyjęto ich do grona wtajemniczonych; po czym wrócili na Synope, gdzie poczciwi Paflagonowie powitali ich ze łzami radości. Teraz kiedy potęgę Troi skruszył Herkules, a potęgę Kolchidy osłabiła śmierć Ajetesa oraz utrata większości floty – bo ani jeden okręt nie powrócił z pościgu za Jazonem – Autolikos i jego bracia zapewnili sobie monopol na wschodnie towary i zbili nieprawdopodobny majątek. Po śmierci zostali wyrocznymi herosami.

Frontis i Kityssoros, starsi synowie Fryksosa, udali się do Jolkos prosić Peleusa o pomoc w pewnym swoim sporze z Orchomeńczykami; zaledwie jednak weszli do miasta, uwięził ich i skazał na śmierć. Oświadczył, że ojcu Zeusowi dotychczas nie spłacono dwukrotnego długu życia, który mu był winien ród Atamasa, odkąd Helle i Fryksos zbiegli po kryjomu z runem, i że właśnie z racji tego nie spłaconego długu bóg zgotował tak chłodne przyjęcie Argonautom, gdy oddawali runo jego wizerunkowi, a pewnie także dlatego deszcz we Ftiotis tak rzadko pada. Peleus tedy uwięził obu mężów i zwołał wszystek lud, by ich siłą przegnano. Obywatele usłuchali i Kityssoros po chwili padł ukamienowany, ale Frontis uszedł, pędząc wielkimi susami; a skoro wrócił do Orchomenos, złożył Zeusowi, bogu ucieczek, barana w ofierze. Potem Peleus wystosował ostrzeżenie do wszystkich ocalałych potomków Atamasa, że czeka ich taki sam los, jeśli kiedykolwiek wybiorą się do Jolkos; dług wobec Zeusa bowiem dzięki zwłoce wzrósł o lichwiarskie odsetki.

Lecz Melanion mieszkał dalej, bezdietny i nieszczęśliwy, pod jednym dachem z Atalantą, która gardziła nim, wyuczyła się natomiast pięknie haftować i bardzo się roztyła.

Faleros, łucznik ateński, posprzeczał się o spiżowy mózdzierz oraz tłuczek ze swoim ojcem, łucznikiem Alkonem, który w dzieciństwie ocalił mu życie zastrzelivszy węża, co go już oplatał; strzała, choć wysłana z daleka, nie zrobiła malcowi żadnej krzywdy. Faleros nie zwymyślał ojca ani go nie pobił, tylko po kryjomu opuścił Ateny i umarł na wygnaniu w eubejskiej Chalkis. Ateńczycy od jego imienia nazwali swój port Faleron i uroczyście czcili jego bohaterską pamięć; cenili go zwłaszcza za nadzwyczajny kunszt łuczniczy, dzięki któremu uratował

*Argo* podczas przeprawy przez Symplegady, i uchwalili (choć tej sprawy nigdy nie poddano areopagowi do rozpatrzenia), że miał rację, żądając na własność zarówno tłuczka, jak mózdzierza.

Melampus z Pylos został wieszczkiem zupełnie przypadkowo. Para węży gnieździła się w drzewie koło jego domu i słudzy je pozabijali; on atoli pobożnie uchował całe wężowe potomstwo i trzymał je w swojej łożnicy jako ulubieńców.

Pewnego dnia, gdy się zdrzemnął po obiedzie, małe z wdzięczności wyczyściły mu uszy rozdwojonymi języczkami. Obudziwszy się stwierdził ze zdumieniem, że rozumie, co mówią jakieś korniki w belce nad głową, a właśnie jeden się odezwał:

– Drodzy przyjaciele, jużemy podziurawili tę belkę jak sito. Zatańczmy teraz, aby uczcić nasze osiągnięcie; około północy belka runie i zdruzgocze Melampusa. –

Melampus podparł strop i w ten sposób ocalał. Niebawem przekonał się, że równie dobrze pojmuje język wszystkich owadów, robaków i ptaków. Ta wiedza zapewniła mu taki mir, że skończył jako władca dużej części królestwa Argolidy i zbudowano mu wyroczną świątynię w Ajgostenie w Megarze.

Askalafos, syn Aresa, utopił się niewiele później w Orchomenos w płytkiej sadzawce z karpiami: osobliwy kres jak na kogoś, kto uszedł śmierci na tyłu niegościnnych morzach i groźnych cieśninach. Jego wnuk, o tym samym imieniu, podczas oblężenia Troi dowodził flotyllą złożoną z trzydziestu minijskich okrętów i poległ z ręki Deifobosa, syna Priama.

Długi Ankajos po powrocie do rodzinnej Tegei zakładał tam sady figowe i winnice. Dobrotliwie udzielił przytułku Euadne, Asteropei i Amfinome, siostrom, które Akastos wypędził z Jolkos za zamordowanie ich ojca Peliasa, po czym wszystkie wydał za mąż. Pewnego dnia, gdy właśnie podnosił do ust pierwszą czarkę wina ze swojej winnicy i z satysfakcją mówił do żony: – Ano, wreszcie mam nagrodę za cały ten trud... – wbiegł pędem posłaniec. – Panie mój! – zawołał.

– Ogromny dzik pustoszy ci winnice! – Ankajos postawił czarę, złapał oszczep i pospieszył na ratunek; ale dzik niespodziewanie wyskoczył z gąszczu i wypatroszył go do cna. Tak powstało przysłowie: „Daleka jest droga między ustami a brzegiem pucharu”. Ludziska uważają, że dzika zesłała Artemis, bo jej Ankajos zapomniał ofiarować pierwsze winogrona ze swego zbioru. Ale zyskał

bohaterski grobowiec, tak czy inaczej.

Herold Echion zginął przypadkiem, gdy usiłował pośredniczyć między Arkadyjczykami, Lakończykami i Mesenami w sporze o bydło skradzione Ankajasowi przez Idasa, Linkeusa, Kastora i Polideuka. Cios padł z ręki Eufemosa, który ujrzawszy, że zabił nietykalnego herolda, ze wstydem wrócił do swego Tajnaron, odmawiał wszelkiej strawy i w trzy dni umarł. Grób Echiona odwiedzały rzesze heroldów, a jeśli kiedykolwiek obrażono świętą osobę któregoś z nich, nagrobek Echiona zaraz pocił się krwią i roje skrzydlatych demonów na jego rozkaz wyfruwały od spodu dręczyć zbrodniarza.

Zanim Erginos Minijczyk dotarł z Grecji do Miletu, raz jeszcze spróbował

napaść na beockie Teby, dawno temu bowiem spod ich murów odpędził go Herkules. Wczesnym

rankiem pospieszył tam z paru minijskimi kamratami, w przebraniu wieśniaczym i z produktami na jarmark. Lecz Herkules akurat gościł

w Tebach i strzałami wybił napastników do nogi prócz samego Erginosa. Jego oszczędził, bo Erginos miał uzasadniony żal do Tebańczyków za zamordowanie ojca i okaleczenie poborców podatkowych. Potem Erginos i Herkules zawarli pokój i Erginos bezpiecznie wrócił do Miletu. Herkules mu towarzyszył aż do wyspy Tenos, gdzie postawił Kalaisowi i Dzetesowi pomnik, tak jak ich duchy we śnie zażądały. Sławi on jednak raczej krzepę i zręczność Herkulesa niż jakiekolwiek zalety obu bohaterów: dwa olbrzymie głązy spoczywają jeden na drugim w tak cudownej równowadze, że górnym chwieje najlżejszy podmuch wiatru północnego, a jednak dwudziestu chłopca z łomami nie zdoła zepchnąć go na ziemię.

Argos wybrał się do Efiry naprawić *Argo*, której deski, jak słyszał, zaczęły się paczyć i rozpadać na słońcu, bo kapłani Posejdona zaniedbali zrobić nad nią daszek. Zaczaili się nań zbójce i zabili Argosa u nasady Międzymorza, a poeci wymyślają bajdy, jakoby *Argo* jęknęła głośno na tę wieść i na skutek jej westchnień popękały wszystkie grube liny, jakimi ją opasano.

Nawigator Nauplios założył miasto Nauplia, blisko Tyryntu w Argolidzie.

Umarł tam niewiele później, zaś argiwscy kapitanowie żeglugi czczą go ponad wszystkich herosów.

Małego Ankajosa z kwietnego Samos wypędzono z ojczystej wyspy, ponieważ nie chciał tolerować religijnych nowinek swoich rodaków. Kiedy doroczny festyn dla synów tych samych matek zastąpiła uroczystość dla synów tych samych ojców, Ankajos wpadł w złość i bezskutecznie próbował przeszkodzić w ofierze na rozstajach. Udał się na wygnanie daleko na zachód, prawie do Hiszpanii, i uśmiercili go kozłarze z hesperydzkiej Dei na rozkaz nimfy Pomarańczowej, jakeśmy już opowiadali. Niemniej uczciła go ona bohaterskim grobowcem.

Co do Herkulesa, nadal wykonywał prace dla króla Eurysteusa z Myken, aż je wreszcie ukończył w ciągu wyznaczonego czasu – Wielkiego Roku. Ostatnia jego praca polegała na tym, że zszedł do świata podziemi przez rozpadlinę opodal Lykos w kraju Mariandynów i tam, poskarżył się samemu Hadesowi na rzekome złe traktowanie ducha Ateńczyka Tezeusza. Na dowód, że wypełnił swoją misję, Herkules przyniósł z podziemnego jeziora jakieś ślepe, śnieżnobiałe dziwadło, które Eurysteus uważał za psa Cerbera, lecz które miało tylko jedną głowę i nie szczekało. Będąc tam na dole, Herkules spotkał się z duchem Meleagra, ten zaś –

pod warunkiem, że Herkules wybuduje dlań bohaterską świątynię w rodzinnym Kalidonie – zdradził imię jedynej kobiety, zdolnej urodzić mu córkę. Była nią Dejanira, rodzona siostra Meleagra. Herkules zobowiązał się zbudować przybytek natychmiast, gdy córka się urodzi; i dotrzymał słowa.

Kiedy Herkules pokrzepiał się winem na dworze króla Likosa, wysuszył go bowiem przeraźliwy chłód podziemi, i pożerał olbrzymie ilości jadła, ponieważ roztropnie odrzucił był strawę umarłych, którą go Hades częstował, przystojna niewolnica podała mu chleb oraz pieczoną gęś na zimno i zapytała: – Czy ta pieczona gęś równie ci smakuje jak tamta, którą ongi postawiłam przed tobą w sali obrad w lemnijskiej Myrynie, wybacząc, żeś mi cisnął grudę błota w twarz?

Była to wygnana Hypsipyle, skoro zaś pokazała Herkulesowi bliźniaków poczętych z Jazonem, Euneosa i Nebrofona, przypomniał sobie obietnicę, że jej pomoże. Kupił ją tedy od króla Likosa za złoty pas i wziął ze sobą na okręt, ale z nią nie obcował. Zawinąwszy na Lemnos, znów ją osadził na tronie, skąd została wygnana przez swe poddanki. Zwołał ponadto swoich sześćdziesięciu dziewięciu trzyletnich synków, utworzył z nich oddział i kazał im zgodnie przysiąc, że będą posłusznie służyć Euneosowi, starszemu z bliźniąt, jako prawowitemu monarsze oraz pomszczą wszelką krzywdę, która spotka jego matkę. To właśnie Euneos w wiele lat później zaopatrywał Greków w wino podczas oblężenia Troi pod wodzą króla Agamemnona. Lecz wyspę Lemnos nawiedzały bezustanne duchy mężów pomordowanych przez Hypsipyle z towarzyszkami. Na koniec Euneos ustanowił

doroczny obrzęd oczyszczenia, trwający dziewięć dni. Wygasza się wszystkie ognie na wyspie i składa zmarłym krwawe ofiary; po czym okręt z Delos przywozi święty ogień z przybytku Apollina.

Kiedy Herkules wykonał prace i znów stał się wolnym człowiekiem, przypomniał sobie, że król Augiasz z Elidy przyrzekł mu dziesiątą część swego bydła w nagrodę za oczyszczenie stajen, lecz wcale nie dotrzymał słowa.

Zgromadził więc wojsko w Arkadii i napadł na Elidę, gdzie zabił Augiasza oraz wszystkich jego synów z wyjątkiem jednego, imieniem Fileos, który namawiał

Augiasza, żeby spełnił tę obietnicę. Potem Herkules osadził Fileosa na tronie, a za pomocą łupów wziętych na Augiaszu uformował igrzyska olimpijskie, które miano obchodzić stale co cztery lata. Następnie wykonał w Olimpii ofiarną jamę dla ducha Pelopsa, co stanowiło poniekąd obrazę dla Eurysteusa: mianowicie Pelops założył dynastię, jaką obalił ojciec Eurysteusa, Stenelos. Potem wyruszył przeciw Neleusowi, złowrogiemu bratu Peliasa, który mieszkał w piaszczystym Pylos i słał

posiłki Augiaszowi: zabił Neleusa oraz wszystkich jego synów oprócz małego Nestora (brał on potem udział w oblężeniu Troi) i nie zawahał się zaatakować nawet kapłana Hadesa, co szedł do boju przebrany za szkielet w nadziei że wzbudzi w jego sercu zabobonny lęk. Hades był wrogiem Herkulesa, odkąd ten zabrał mu Alkestis, żonę Admeta; lecz Herkules, niestrwożony, cisnął weń świńską szczęką i zranił go w bok. W tej bitwie poległ Argonauta Peryklimenos: ani żadne jego sztuczki, ani zwodnicza odmiana postaci nie zdołały go ocalić od niechybnych strzał Herkulesa.

Sam Herkules zginął wskutek miłości do Dejaniry, którą, jak przystało, poślubił; na punkcie spłodzonej z nią córki Makarii miał istnego bzika. Oto prawdziwa historia. Właśnie przystępował do uczyty w pałacu teścia, króla Ojneusa, kiedy niechcący zabił kalidońskiego chłopca, dla żartu podrzucając go w powietrze. Malec przed obiadem polewał wodą dłonie gości i ręce Herkulesa, nadzwyczaj poplamione i brudne, zlał tak obficie, że ten ryknął śmiechem, aż echo odpowiedziało. W przystępie wesołości podrzucił chłopca do krokwi tak mocno, że dzieciak rozbił sobie czaszkę o wieżbę dachu. Pełen skruchy Herkules udał się z Dejanirą na dobrowolne wygnanie. Kiedy przybyli nad wezbraną rzekę Euenos, Herkules przeszedł pierwszy z córeczką i całym dobytkiem, pozwalając, aby Dejanirę przeniósł ten sam centaur Nessos, którego był pokonał w zapasach podczas pogrzebowych igrzysk Peliasa; bo obrał on sobie teraz zawód tragarza.

Nessos usiłował zgwałcić Dejanirę w odwet za złamanie nogi, a Herkules, przybiegłszy na odsiecz,

zastrzelił go z łuku. Lecz konający Nessos podszepnął

Dejanirze, że ma nabrać do beczułki odrobinę jego krwi i zachować ją jako niezawodny lubczyk, co zapewni jej miłość męzowską. Tak też zrobiła i użyła później lubczyka, gdy jej się zdawało, że Herkules jest zakochany w dziewczynie imieniem Iole; dołąła kilka kropel do wody, w której mu prała białą koszulę, jaką miał nosić podczas składania ofiar Zeusowi na przylądku Eubei. Krew była jadowita i wżarła mu się w ciało, przyprawiając o nieznośny ból; zdarł koszulę z przyklepionymi kawałkami mięsa, udał się promem do Trachiny i oszalały wspiął

się na górę Ojta; tam zbudował sobie olbrzymi stos i sam go podpalił. Leżał na stosie, rycząc z wściekłości, dopóki jego ciało do cna nie spłonęło.

Dusza Herkulesa uleciała w powietrze na skrzydłach ognia i dymu, a wiatr południowo-zachodni zaniósł ją na górę Olimp. Poeci prawią, że Herkules walił do drzwi Olimpu cieniem swej w spiz okutej maczugi i wystraszył boską rodzinę niemal do utraty zmysłów. Skoro nie zgodził się zejść do świata podziemi i oddać się w ręce swego wroga Hadesa, najlepszym wyjściem było zaprosić, aby się przyłączył do nich jako Olimpijczyk. Nie chciał jednak zostać trzynastym bóstwem, twierdząc, że mu wystarcza posada odźwiernego u bramy, gdzie będzie się obżerał i pił do syta, jak robią wszyscy odźwierni. Hera, mówią poeci, wybaczyła mu w końcu i oddała rękę swojej córki Hebe. Jak się atoli rzeczy mają na Olimpie, nie dano wiedzieć śmiertelnym, choćby to byli najbardziej wiarygodni poeci; pewne jest tylko, że Dejanira powiesiła się z żalu, usłyszawszy o śmierci Herkulesa, tak jak powiesiła się z żalu Marpessa na wieść o zgonie swego dzielnego męża Idasa.

Synowie Herkulesa ze wszystkich stron Grecji ściągnęli do stóp Ojty na pogrzebowe igrzyska ku czci ojca, a poznawszy, jak są liczni i silni, uknuli plan wielkiego najazdu na Mykeny; lecz król Eurysteus ich uprzedził, szykując podstępnie zasadzkę i ci, co uszli cało, zbiegli do Attyki jako błagalnicy. Spotkali się tam z życzliwym przyjęciem. Kiedy Eurysteus ruszył na Attykę, synowie Herkulesa oraz Atenczycy stawili opór i podczas bitwy pod Skałą Skejrona, Hyllos, syn Herkulesa, odrąbał królowi głowę podobnie jak on niegdyś Stenelosowi; lecz, by zwyciężyć, musiał ofiarować Persefonie własną siostrę Makarię. Taki więc był

kres Eurysteusa; jego głowę, pozbawioną oczu, które Alkmena, matka Herkulesa, ostrożnie wydlubała czółenkiem tkackim, pogrzebano na jednej przełęczu, zaś ciało na drugiej, by odstraszyć nieprzyjaciół od jakichkolwiek prób najazdu na ziemię attycką. Po Eurysteusie wstąpił na tron jego zięć Atreus, który wznowił dynastię Pelopidów i został ojcem sławnych królów Agamemnona i Menelaosa.

A oto jaki koniec spotkał Jazona i Medeę. Dostyc szczęśliwie żyli ze sobą w Efirze, dopóki obywatele nie zaczęli sarkać, że Medea usiłuje zapewnić nieśmiertelność dwojgu najmłodszym z pięciorga dzieci, które urodziła Jazonowi, wychowując je w świątyni Hery i nie pozwalając nosa wychylić na świat. Jazon próbował ją nakłonić, by zaniechała tak osobliwych zakusów, a gdy go wydrwiła, odmówił dalszego pożycia. Kreon, król Azopii, na wiadomość o tych niesnaskach pchnął do Jazona posłańca z zaproszeniem, żeby poślubił jego córkę Auge, dzięki czemu podwójnie królestwo Koryntu połączy się pod jednym berłem wedle przepowiedni Echiona; bo Kreon się starzał i pragnął Auge oddać tron.

Jazon przyjął propozycję, niepomny, że nie ma w ogóle prawa do Efiry, chyba jako małżonek Medei. Publicznym dekretem rozwiódł się z nią i święcił zaślubiny z Auge. Medea zgodziła się na pozór potulnie i podarowała Auge na prezent ślubny prześlicznej roboty nocną koszulę. Gdy jednak Auge włożyła ją na siebie, koszula stanęła w płomieniach, gubiąc nie tylko Auge, lecz także Kreona, ponieważ próbował ugasić ogień własnymi rękami – oraz cały pałac królewski ze wszystkim niemal, co się w nim znajdowało: w tym dwu starszych synów Medei. Trzeciego syna, Tesalusa, uratował Jazon, bo z nim wyskoczył oknem i uszedł nietknięty.

(Ten właśnie Tesalus po śmierci Peleusa objął rządy nad Ftiotis). Wściekli Efiranie zemścili się na obu młodszych chłopcach, wychowywanych w świątyni Hery; i od tej pory musieli co roku odprawiać pokutę za to morderstwo.

Medea przypomniawszy sobie przekazaną przez Echiona obietnicę Herkulesa, że wspomógł ją w każdej chwili w ciągu najbliższych dwunastu lat, gdyby ją Jazon opuścił. Uciekła do Teb, gdzie wtedy mieszkał, i prosiła, aby odzyskał dla niej tron Efiry. Podjął się tego dokonać; ale gdy razem wędrowali przez Attykę, Egeus, król Aten, zakochał się w Medei i skłonił ją, by się wyrzekła Efiry i została jego żoną; tam też, w Atenach, wobec areopagu oczyściła się ze wszystkich zbrodni, jakie jej zarzucili korynccy posłowie. Wdzięczna Herkulesowi, który świadczył na jej korzyść, wyleczyła go z obłędu, czego nie potrafili zrobić kapłani Apollina w Delfach, mimo wszystkich swoich przechwałek.

Egeus wkrótce znudził się Medei, a ona jemu, więc pewnego dnia posłała po Arasa, kolchidzkiego admirała, który nadal pełnił służbę u jej ciotki Kirke, królowej Ajai, z wiadomością, że ojczyzna go wzywa. Aras, nie zwlekając, przybył

do Aten ze swoją flotą, a przynajmniej tym, co z niej jeszcze zostało, i Medea wyruszyła do Kolchidy, za którą tęskniła serdecznie od chwili wyjazdu. Bo nawet wówczas, gdy jej namiętność dla Jazona sięgała szczytu, nie chciała właściwie opuszczać Ai, zwłaszcza że była to prześliczna miejscowość, pięknie położona niż jakikolwiek gród w głębi Grecji i równie solidnej budowy jak Mykeny czy Teby.

Z płaczem żegnała komnatę sypialną, kosztowne meble, draperie i ozdoby, jakich nie mogła wziąć ze sobą na okręt. Całowała łożo i dwuskrzydłe drzwi, głaskała ściany i szafkę lekarską, i stół inkrustowany muszlami, aż wreszcie im przyrzekła:

– Jeszcze powrócę do was, moje kochane! – Z Arasem przybył także Peukon, obrany admirałem floty, którą Absyrtos powiódł niegdyś do ujścia Danuby.

Długi czas przebywał z towarzyszami na wyżynie Epiru, naprzeciw Korczy; nie śmiał bowiem jechać do Kolchidy bez kompletnego szkieletu Absyrtosa, a parę palców jego rąk i nóg przypadło gdzieś na amen. Tyle wszakże, ile znalazł, owinął

w białą końską skórę i za zgodą Kirke powiesił na drzewie na Ajai, zwanej odtąd Wyspą Absyrtosa.

Skoro Medea po udanej podróży zawinęła do Ai, odebrała rządy swemu tauryjskiemu wujowi Persesowi, wyszła za mąż za Idessasa, władcę Moschii, i aż do śmierci panowała nad połączonym

królestwem; zaś Ajetes, syn tych dwojga, odziedziczył połączony tron. Nejaira, córka Fryksosa, piastowała w owym czasie urząd królowej matki w Albanii i Kolchida prosperowała znakomicie dzięki przyjaźni łączącej domy królewskie, a ponadto dlatego, że Medea przejednała węża Prometeusza, wypędzając Taurów z przedsionka jego świątyni. Dynastia Ajetesa wciąż jeszcze dzierży kolchidzki tron.

W drodze powrotnej Medea, jak mówią, popasała w miejscu, gdzie Polideukes zabił Bebryka Amykosa, i znalazła tam laurowe drzewo, co wyrosło na jego grobie, jego liście zaś miały moc podjudzania do gwałtownych kłótni każdego, kto ich dotknął. Pęd tego szalonego wawrzynu, z grudą ziemi przylgniętą do korzenia, holowała aż do Kolchidy w małej szalupie za okrętem. Tam go zasadziła i ze znakomitym skutkiem używała liści do wzniecania niesnasek wśród swoich osobistych i politycznych wrogów.

Po śmierci czworga dzieci oraz Auge Jazonem owładnął smutek i małą dlań pociechę stanowił fakt, że został teraz bezspornym władcą podwójnego królestwa Koryntu. Raz wczesnym rankiem wybrał się na Międzymorze do świątyni Posejdonu i legł posępny w cieniu dziobu *Argo* otulony swoim haftowanym płaszczem, ani nie składając ofiar Posejdonowi, ani nie odzywając się bodaj słowem do kapłanów, choć wyszli go witać. Zauważyli, że go dręczy głęboki smutek, skąd wszakże mieli wiedzieć, co mu chodzi po głowie? Wreszcie jęknął

głośno parę razy i wymamrotał, jak im się zdawało, imię Ifias, starej kapłanki Artemidy, którą wyszydził ongiś na pagazyjskim gościńcu i której klątwa na koniec tu go przywiodła. Choć bowiem nadal w kwiecie wieku, jeśli idzie o lata, Jazon posunął się znacznie od czasu kłótni z Medeą. Dziaśła mu ropiały i kilka ostrych białych zębów wypadło; utykał wskutek reumatyzmu; zaś jego piękne włosy straciły już połysk i przyprószyła je siwizna.

Najwyższy kapłan zwrócił się do Jazona: – Dostojny panie, wysłuchaj życzliwej rady! Nie siedź w zwątpieniu pod spróchniałym pomnikiem minionej chwały. Taka postawa szczęścia ci nie przyniesie. Wstań teraz, dzierżąc berło, bez lęku wyjaw swe żale opiekunowi rumaków, temu co wstrząsa morzem, panu z trójzębem. On je ukoi, rękę, zwłaszcza jeżeli mu złożysz bogate ofiary z czerwonego bydła i nakarmisz jego kapłanów smaczną pieczenią, zostawiając dla niego wyśmienite kości udowe.

Jazon odwrócił się, ale nadal milczał. Jego oczy miały dziwnie osłupiały wyraz i otworzył usta jak dziecko, co się zaraz rozpłacze; ale nie zapłakał.

Najwyższy kapłan odprawił pozostałych i zasiadł na czatach u wejścia do świątyni, bo serce go ostrzegło, że się tu szykuje jakieś niezwykle zdarzenie, którego nie zdoła ani odwlec, ani ponaglić; siedział tak, aż przeszła pora obiadowa, choć lał ulewny deszcz i osiem wiatrów o wężowych ogonach zdawało się gonić dla zabawy, dmuchając ze wszystkich stron jednocześnie.

Głowa Jazona upadła na piersi. Usnął. I niebawem najwyższy kapłan dostrzegł

kątem oka coś, czego by nie zobaczył normalnie: blade cienie człowieka i psa, którzy spieszenie człapali traktem z Megary. Nie odwracał głowy w obawie, że zamąci jasność obrazu, a dwie zjawy zbliżały się ramię w ramię. Mężczyzna był



ubrany w niewyprawną owczą skórę, jaką nosili Etolowie i Flegowie, a z grzbietu wiernego rudego wilczura sterczał cień ułamanej dzidy z brązu.

Pies zmierzał prosto do Jazona, stanął nad nim za zjezoną sierścią, wyszczerzył kły i warknął; ale pasterz, niby jaszczurka po ścianie, wspiał się chyżo na dziób *Argo*.

Najwyższy kapłan patrzył z zapartym tchem, jak z całej mocy pcha ramieniem wygięty dziób; wyteżył siły, wparty stopami w słupek, i właśnie wtedy osiem wiatrów zaniechało zabawy, ruszając z rykiem wzdłuż okrężnicy po obu burtach okrętu.

Zaskrzypiało i rozległ się głośny trzask. Dumny dziób runął, pysk rzeźbionego barana grzmotnął Jazona w głowę i zgruchotał ją na żalną miazgę. Jednak ostrożny najwyższy kapłan nie drgnął nawet, dopóki i pasterz, i pies nie nasycili się krwią oraz mózgiem wroga; bo gdyby ich spłoszył, zjawy zaczęłyby niezdolnie nawiedzać przybytek. Tak zaś oddaliły się całkiem zadowolone.

Podwójny tron koryncki przypadł synowi Glauka nazwanemu Syzyfem na cześć pradziadka; aliści Efiranie, wytrąceni z równowagi śmiercią Jazona, postanowili, że od tej chwili rufę *Argo* należy utrzymywać w doskonałym stanie i każdą nadpróchniałą deszczułkę czy linę ma zaraz zastąpić nowa – tylko dziób, publicznie skazany za zabójstwo, skonfiskowano i złożono w świątyni Persefony.

Tak *Argo* zyskała nieśmiertelność i pozostała *Argo* Argonautów, aczkolwiek dziś już ani kawałeczek drewna nie jest oryginalny, od kilu do czubka masztu. Jak powiada przysłowie: „To siekiera mego dziadka: ojciec zrobił nowy trzonek, a ja dałem nowe ostrze”.

Orfeusz także zginął gwałtowną śmiercią. Pewnej nocy kobiety kikońskie rozszarpały go na sztuki podczas jesiennych orgii na cześć Trójbogini. Nie ma się czemu dziwić. Bogini zawsze tak wynagradza tych, co ją najbardziej kochają, rozpraszając krwawe szczątki po ziemi, by ją użyźniły, lecz łagodnie biorąc w opiekę strwożone dusze.

## POSŁOWIE AUTORA

Wygląda na to, że cykl pieśni epickich o Jazonowych Argonautach i ich wyprawie w celu odzyskania złotego runa z rąk króla Kolchidy, Ajetesa, krążył po Grecji już w bardzo zamierzchłych czasach, ale nie zachował się ani jeden wiersz, z wyjątkiem, być może, paru urywków, które wkradły się do „Odysei” Homera.

Homer i Hezjod, dwaj najwcześniejsi poeci greccy, których dzieła dotąd przetrwały, wiedzieli obaj o podróży, a Homer mówi o niej jako o „będącej na ustach wszystkich”. Następnie wzmianki pojawiają się we fragmentarycznych pracach Eumelosa (II w.p.n.e.) oraz Mimnermosa, Symonidesa, Hekatajosa, Herodora i Akuzylaosa (VII i VI w.). W V wieku Ateńczycy: Ajschylos, Sofokles i Eurypides kolejno obierają sobie poszczególne wypadki cyklu za osnovę do dramatów; Herodot w swojej historii powszechnej odwołuje się do niego kilkakrotnie; Ferekydes z Aten, w pracy na temat mitologii, z której ocalały tylko krótkie cytaty, był zapewne pierwszym pisarzem, który opowiedział to wszystko po kolei od początku do końca; zaś beocki poeta Pindar w Czwartej Odzie Pytyjskiej (462 p.n.e.) daje zwięzłe streszczenie całości, najwcześniejsze, jakie przetrwało nienaruszone.

Apolloniusz Rodyjczyk w III wieku p.n.e. napisał epos o Argonautach.

W Bibliotece Królewskiej w Aleksandrii miał dostęp do dzieł Pindara, Ferekydesa i paru nieznanych pisarzy traktujących o tym przedmiocie, których wymienia jego komentator. Apolloniusz był dla mnie nie tylko najbardziej pomocnym autorytetem, lecz także najprzyjemniejszym w lekturze. Współczesny mu aleksandryjski poeta Teokryt uzupełnia ten epos pewnymi szczegółami w swoich

„Idyllach” – o walce na pięści Amykosa z Polideukesem oraz o zaginięciu Hylasa.

Apollodoros, gramatyk ateński, w suchym, lecz wiarygodnym streszczeniu legend starożytnych, zatytułowanym „Biblioteka”, a napisanym około 140 r. p.n.e., dodaje ważne informacje, nikomu poza tym nie znane; tak samo bajkopis Hyginus, bibliotekarz cesarza Augusta, oraz współczesny mu poeta Owidiusz, autor

„Metamorfoz”. Diodor z Sycylii, historyk żyjący w czasach Juliusza Cezara, daje bystre komentarze krytyczne na temat tej sprawy o tyle, o ile ją znał; podobnie Strabon, Dionizjos i Pauzaniusz, rozsądni geografowie piszący za czasów pierwszych cesarów.

Pierwszy ocalały epos o Argonautach po łacinie ułożył około roku 93 Waleriusz Flakkus, kapłan rzymski należący do kolegium, które miało pieczę nad Księgami Sybillińskimi i odpowiadało wobec cesarza za czystość obrzędów religijnych. Pisze ciężko i wymuszenie, ale ma wiele wiadomości i doprawdy szkoda, że tej pracy nie ukończył. Najwidoczniej prastara tradycyjna opowieść o Argonautach i runie nadal wędruje przez stulecia, aż dociera do jedenastego wieku, kiedy to Jan Tzetzes, krewki Bizantyńczyk, pisze swoje chaotyczne „Chiliady” i z pomocą brata Izaaka komentarz do „Kasandrejczyków” Likofrona; kiedy równocześnie Suidas układa

„Leksykon autorów starożytnych”. Wszystkie te autorytety przeczą sobie w niezliczonych kwestiach. Widać nawet niezgodność pomiędzy kilkoma pracami tego samego pisarza. Na przykład Sofokles, opowiadając w swoich „Kolchidkach”, jak Jazon zamordował Absyrtosa, brata Medei, umiejscawia to zabójstwo w Kolchidzie; ale w innej sztuce, „Scytowie”, przenosi je gdzieś do Scytii.

Owidiusz lokuje ten sam wypadek w Tomi, miejscu swego wygnania, położonym nieco na południe od delty Dunaju; Apolloniusz na Wyspie Artemidy opodal północnego ujścia Dunaju; Hyginus na Wyspie Absyrtosa w północnym krańcu Zatoki Adriatyckiej. Niektórzy pisarze po prostu robią z Absyrtosa małe dziecko, które siostra Medea porywa jako zakładnika; inni uważają go za dorosłego mężczyznę wysłanego za nią w pogoń. Diodor i rzymski mówca Cynceron przemianowali go na Ajgialosa zamiast Absyrtosa; Apolloniusz wspomina, że niekiedy nosił imię Faetona; a jego matka nazywa się również rozmaicie: Ipsja, Idyja, Asterodeja, Hekate, Nejaira lub Eurylita.

Imienne listy załogi *Argo* u Apolloniusza, Hygina, Apollodora, Waleriusza Flakka i Tzetesa są nie do pogodzenia, a jeszcze więcej imion pojawia się u innych pisarzy. Ta obfitość sprzecznych szczegółów charakteryzuje całą legendę o Argonautach i usprawiedliwia mnie, gdy wybieram według własnego uznania taką wersję danego wypadku, jaka mi się wydaje najrozsądniejsza, a niekiedy nawet improwizuję, jeśli nie da się z istniejących materiałów sklecić kładki nad przepaścią. Na przykład odrzuciłem nieprawdopodobną informację Herodota, że Jazon, nim wyruszył w podróż z Jolkos, opłynął był Peloponez, aby zasięgnąć rady wyroczni w Delfach. Najoczywiściej jego celem

była wyrocznia w Dodonie, nie zaś w Delfach. Mógł pojechać do Delf drogą lądową znacznie bezpieczniej i prędej. A ta wycieczka, którą Herodot pokreślił z powrotną podróżą *Argo*, niewątpliwie dała okazję do przygody Jazona z morskim potworem, o czym literatura milczy, ale napomykają czerwone malowidła wazowe. William Morris wydał w 1867 r. „Życie i śmierć Jazona”, lecz angielskie poematy epickie wyszły z mody i dziś rzadko kto czyta Morrisa. Większość przeto ludzi mówiących po angielsku trafiła na tę opowieść jedynie w formie bajek dla dzieci Charlesa Kingsleya lub Nathaniela Hawthorne’a. Ci, co w szkole czytali klasyków, niewiele (jeśli mogę sądzić po sobie) górują nad resztą, ponieważ „Argonautika” Apolloniusza nie figuruje w zwykłym kanonie klasycznych lektur. Zapewne z „Medei” Eurypidesa wiedzą coś niecoś o życiu Jazona na Koryncie, gdy podróż już się skończyła, a ponadto zebrali parę dodatkowych informacji o niej samej z ozdobnej ody Pindara, ale cała wyprawa zachowała dla nich nadal ten sam beczasowy, nie umiejscowiony, alogiczny urok, jaki mają zapamiętane z dzieciennych wierszyków podróże Sowy, Kota, Pufcia, Dżamboli oraz Trzech Mędrców z Gofham. Przeczytanie „Życia i śmierci Jazona” raczej niewiele wpłynie na to, aby czar prysnął. Morris był romantykiem preraphaelitą; inaczej mówiąc, uznał legendę za tym bardziej poetyczną, im więcej znalazł w niej tajemniczości, a bodaj i nonsensu. Odrzucając niewątpliwą tradycję, że *Argo* wróciła do Grecji z podróży na Morze Czarne drogą, którą tam dotarła, to znaczy przez Bosfor, ochoczo podążył za twierdzeniem możliwie najfantastyczniejszym – znalezionym w anonimowych „Argonautika” pseudo-Orfeusza powstałych około 350 r.n.e. – co każe statkowi płynąć w górę niezidentyfikowanej rosyjskiej rzeki, miejscami toczyć się na rolkach do Zatoki Fińskiej, a stamtąd do domu trasą przez Bałtyk, kanał La Manche, Irlandię i Cieśninę Gibraltarską. Morris wykazuje także brak erudycji klasycznej, opuszczając jedyny ewenement wyprawy, na jaki zgadzają się wszyscy autorzy – wesołe zaludnianie Lemnos – przypuszczam, że w obawie, aby nie urazić wiktoriańskiego dobrego smaku.

Grecy, ludzie na ogół zrównoważeni, uważali tę podróż za fakt historyczny, który się wydarzył na jakieś dwa pokolenia przed upadkiem Troi – i który umiejscowili słusznie w roku 1184 p.n.e. Wyprawa była więc dla Homera i Hezjoda znacznie bliższa czasowo, niż jest dla nas odkrycie Ameryki przez Kolumba; i chociaż w piątym wieku p.n.e. Tukidydes uznał tę opowieść za zbyt zagmatwaną, by ją umieszczać w księdze pierwszej swojej historii, żaden Grek, o ile wiem, nie odważył się nigdy zaprzeczyć, że *Argo* była rzeczywistym okrętem, co pożeglował z tesalskiego Jolkos do Ai nad kolchidzką rzeką Fazis – czyli z Volo we wschodniej Grecji do Kuttaissi nad gruzińską rzeką Rion – i z powrotem.

Przyznać trzeba, że znawcy antyku nadal wątpią w historyczność wyprawy: rzadko pozwalają sobie na coś więcej niż stwierdzenie: „opowieść zrodziła się zapewne z dziejów wypraw handlowych na wybrzeża Morza Czarnego, podejmowanych przez bogatych Minijczyków”. Ale dopiero w ostatnich czasach świadectwo archeologii kazało im potraktować serio Minotaura i podania o Grocie Diktyjskiej oraz uznać historyczność oblężenia Troi. Ponieważ wielu bohaterów Homera wywodzi się od ojców związanych z dziejami *Argo* – na przykład syn królowej Hypsipyle i Jazona, król Euneos z Lemnos, zaopatrywał Greków w wino podczas oblężenia Troi, a Peleus, ojciec Achillesa, był wybitnym Argonautą – nie ma chyba rozsądnego powodu, by wątpić, że wyprawa się odbyła, choćby pozostały o niej najbardziej sprzeczne sprawozdania, i to mniej więcej w tym czasie, jaki dla niej oznaczyli Grecy. Eratostenes, uczyony aleksandryjski, który obliczył szerokość stopnia geograficznego i stąd wyprowadził, z godną podziwu ścisłością, obwód ziemi, ustala rok 1225 p.n.e. jako datę podróży Jazona; nie wiadomo wszakże dokładnie, jak doszedł do tego wniosku.

Jeśli podróż była autentyczna, jak można wytłumaczyć opowieści o zjawiskach nadprzyrodzonych włączone do tej legendy?

Jest na to parę wiążących się z sobą odpowiedzi:

A) Starożytni Grecy, podobnie jak czerwonoskórzy Indianie, utrwalili powszechnie znane wydarzenia za pomocą metody obrazkowej, zarówno w sztuce, jak w poezji, a gdy po upływie pewnego czasu pierwotne znaczenie układu tych symboli ulegało zapomnieniu, nadawano im nowy sens, który zaspokajał

ciekawość współczesnych. Taką poetycką piktografię Grecy zwali „mitem”, ale słowo to nie miało posmaku nieprawdy, jakie we współczesnej angielszczyźnie zawiera przymiotnik „mityczny”.

B) Pierwotny cykl pieśni epickich o Argonautach nigdy zapewne nie został

utrwalony na piśmie. Niektórzy śpiewacy wędrowni, obnosząc go po Grecji, zapomnieli jednych fragmentów, drudzy zapomnieli innych, a brakujące części zastąpili albo własnym zmyśleniem, albo przyłatanymi urywkami z zupełnie odmiennej historii.

C) Pierwotny cykl pieśni nabrał po części charakteru obraźliwego wobec uczuć religijnych i poglądów politycznych późniejszych pokoleń, przerobiono go zatem lub okrojono.

D) Zarówno fragmenty satyryczne lub żartobliwe, jak i opowieści o snach czy wizjach ocalałe z wersji oryginalnej mogły w późniejszych wersjach przeobrazić się w część normalnej fabuły.

E) Począwszy mniej więcej od V wieku p.n.e., entuzjaści orficy uznali tradycyjne podanie, że Orfeusz był Argonautą, za dostateczny powód, by traktować podróż jako alegorię misteriów orfickich.

Nim rozwinę te kolejne odpowiedzi, muszę podkreślić, że Grecy nie byli romantyczni w sensie wiktoriańskim: nieskorzy do wymyślania nieprawdopodobieństw, mogli wszakże zachować fantastyczną legendę ściśle w tej wersji, w jakiej do nich dotarła, w przekonaniu, że właściwie zrozumiana nabrałaby sensu. Na przykład, choć wielu poetów odrzuca rozsądną opinię Homera (powtórzoną przez Herodora, historiografa z VI wieku), że *Argo* wróciła przez Bosfor, a zamiast tego proponuje dziwnie rozbieżne trasy powrotne przez Dunaj, Rion, Dniestr albo Don, to wcale nie dlatego, że się tak lubują w tajemniczości.

Moim zdaniem, odrzucają ją, bo silna przedhomerowa tradycja utrzymuje, jakoby runo nie powróciło do Grecji przez Bosfor, tylko przez Dunaj, Sawę i Adriatyk.

Stwierdzili jednak, że Sawa nie wpada do Adriatyku, wpisali więc Pad zamiast Sawy; a gdy się później przekonali, że dolny bieg Dunaju był żeglowny co najwyżej na przestrzeni czterystu mil od delty z racji Żelaznych Wrót, zaś Pad nie łączy się z górnym Dunajem, ktoś wpadł na pomysł, że *Argo* popłynęła w górę Rion; następnie odkryto, że Rion nie wpada do Morza Kaspijskiego ani Morze Kaspijskie nie łączy się z Oceanem Indyjskim, ktoś inny więc podsunął, że chyba chodziło o Dniestr; skoro się i to okazało równie niemożliwe, ktoś jeszcze sugerował Don.

Poeci, moim zdaniem, byli głupi. Żadnemu nie wpadło do głowy, że Jazon i Medea mogli z runem podążać do domu inną drogą niż reszta Argonautów i *Argo*

– drogą, której okręt nie zdołałby przebyć; a istotnie musieli się rozstać, ponieważ zdradzieckie zamordowanie Absyrtosa nie pozwalało im wsiąść na pokład *Argo*, dopóki nie zostaną oczyszczeni. Skoro wiemy, że jedyną osobą, która mogła ich oczyścić, była jasnowłosa Kirke, ciotka zabitego, Dunaj stanowił dla nich najprostszą drogę; kupcy handlujący bursztynem wprowadzili tutaj pewne udogodnienia dla podróżnych, a droga owa wiodła ku wyspie Ajai opodal Istni, na północnym krańcu Adriatyku, gdzie mieszkała Kirke. Tą właśnie trasą przysyłane do południowej Rosji opłatane słomą dary „Hiperborejczyków” (ludów Brytanii?) przybywały do Apollina w Delos. Jakie to były dary, nie wiadomo, ale prawdopodobnie zawierały bursztyn używany podczas obrzędów ku czci Apollina (por. Apolloniusz Rodyjczyk, księga IV, 611) i zapewne opłacano je obsydianem z Melos. Umieszczam wyspę Kirke raczej opodal Istni niż w pobliżu zachodnich wybrzeży Italii (gdzie podobno w wiele lat później czarodziejka gościła Odyseusza) nie tylko dlatego, że istriańska Wyspa Absyrtosa znalazła się w podaniu o Argonautach, ale ze względu na tradycję, że Ajaja należała niegdyś do Chryzesa, ojca Jona Miniasa: prawdopodobnie Jonowie przybyli znad Dunaju do Grecji przez Istrię – nie wydaje się, aby mieli obierać drogę przez Italię. Dziś ta wyspa nazywa się Lussin. Obecnie metoda piktograficzna zachowała się w sztuce, rzadko jednak można ją znaleźć w literaturze. Nadal ma zastosowanie w klasycznych lub pseudoklasycznych malowidłach – na przykład freski w sali ratuszowej przedstawiające rolnictwo i przemysł, które podają sobie dłonie wobec pulchnej matrony w kapeluszu na kształt wieżyczki – ale język literacki, który odpowiada temu stylowi w sztuce, od dawna wyszedł z mody. Z większym rozmachem korzysta z metody obrazkowej karykatura prasowa; i jedyny wypadek, jaki sobie przypominam, gdy gazetowa karykatura przeobraziła się w wiersz –

poemat Nicholasa Vachela Lindsaya „Bryan, Bryan, Bryan” – zasługuje na uwagę wszystkich badaczy greckiej mitologii. Przypominając sobie młodzieńcze emocje podczas kampanii wyborczej Williama Jenningsa Bryana kandydującego na prezydenta USA w 1896r., Lindsay miesza rzeczowe uwagi o sobie i swojej dziewczynie ze swoistym „pismem obrazkowym” zapożyczonym od karykaturzystów-demokratów:

*W czarnym kapeluszu „Stetson”*

*Nad księżym surdudem*

*Chłostał plutokratów Słonia*

*Z Platte kolczastym drutem...*

*...plutokratów...*

*Ze znaczkiem dolara w klapie*

*I w getrach na nogach.*

To jest prosty mit do rozszyfrowania. Jasne, że Bryan tylko z pozoru nękał

McKinleya, Hannę i przywódców republikańskich; że słoń jest symbolem używanym przez karykaturzystów na oznaczenie Partii Republikanów; że drut kolczasty broni interesów wyborczych hodowców bydła z Południa i Zachodu –

Platte leży w stanie Bryana: Nebrascie. Jasne również, że plutokraci rzadko nosili getry (które symbolizowały przesadę kultury angielskiej), a dolara na klapie surduta wyhaftowała im bujna wyobraźnia przeciwników, aby urągliwie pokazać, że pieniądz jest bliższy ich sercu niż cokolwiek innego.

Greccy poeci posługiwali się dokładnie takim samym językiem i gdyby Lindsay był Grekiem z szóstego stulecia, jego poemat w mitologii utrwalonej przez Hyginusa i Apollodora przybrałby tę mniej więcej postać:

„Lindsajos z Ochiańskiej Partenii, dytyrambista, opowiada o baśniowej walce pomiędzy Bryanejem, czarno odzianym obrońcą pasterzy bydła z dobrze nawodnionych równin Plattos, jak niektórzy twierdzą, kapłanem półboga Stetosa, syna Zeusa, a pewnymi bogatymi tyranami ze Wschodu, co wyruszyli przeciw niemu na słońcach. On używając jedynie bicia z żelaznego drutu, odparł od granic zachodniej krainy tych złowrogich tyranów, obutych w kierzce, jakie noszą górale, i strojnych w białe tuniki, na których wyszyto godło w kształcie węża oplecionego wokół podwójnej pałeczki; w tym znaku bowiem wyznawali oni piekielnego węża Plutosa, dawcę bogactw. Niemniej jednak Bryanejos został na koniec pobity”.

Pierwotne znaczenie mitów i wszelkiego pisma obrazkowego wkrótce ulega zapomnieniu. Na przykład mówiący po angielsku rodzice wciąż powtarzają potomkom dziecinny wierszyk o tym, jak Lew i Jednorożec walczyli o koronę; i choć wielu z nich zdaje sobie sprawę, że Lew i Jednorożec to podpory królewskiego herbu Anglii oraz Szkocji, niewielu by się znalazło takich, co nie uważają tego wierszyka za błahą bajeczkę zrodzoną ze znaku heraldycznego. Jest to jednak prawie na pewno piktograficzny zapis wojny 1650 r., pomiędzy Anglią, heraldycznie reprezentowaną przez Lwa, a Szkocją, którą wyobraża Jednorożec.

Walczyli o koronę, ponieważ Szkoci ambitnie koronowali Karola II nie tylko na władcę Szkocji, lecz także Anglii, chociaż Anglia ogłosiła się wówczas Rzeczpospolitą. (Można tu znaleźć równorzędne wytłumaczenie: że wierszyk uwiecznia zapomniany spór jakiegoś Lwa, przewodniczącego Heraldii, z Jednorożcem, jego najniższym urzędnikiem Kolegium Heraldycznego w Edynburgu.)

Diodor wyklada znajomy, ale niepojęty obraz lecącego barana, na którego grzbiecie Helle i Fryksos jechali do Kolchidy, jako chyży okręt z figurą dziobową w kształcie barana i sugeruje, jakoby upadek Helle w nurty Hellespontu znaczył po prostu, że prąd przyprawił ją o chorobę morską i wychylona przez okrężnicę stoczyła się z pokładu. Dość prawdopodobne, że się nie omylił co do barana, acz jego interpretacje innych partii legendy bynajmniej nie budzą zaufania. Całkiem wyraźnie schodzi na manowce, twierdząc, że wężem strzegącym runa był oficer, który przypadkowo nazywał się kapitan Wąż. Tak samo Dionizos Skytobrachion, kiedy podsuwa, że złote runo było w rzeczywistości skórą młodego barana, giermka Fryksosa, którą Kolchowie wyprawili i pozłocili po zamordowaniu właściciela. Tak samo Strabon, gdy powiada, że Argonauci płynęli na poszukiwanie złota, a runo to było aluwialne złoto Kolchidy trzymane przez Kolchów w skórkach baranich celem płukania w wannach. Tak samo Suidas, gdy mówi, że była to księga spisana na owczej skórze, a dotycząca

tajników alchemii odziedziczonej przez Kolchów po ich egipskich przodkach. Tak samo Charaks z Pergamonu, który w I wieku n.e. dowodził, że był to zwój pergaminu, co zawierał

sekrety snycerskie. Jednakże wszyscy ci Grecy wierzyli, że podróż istotnie się odbyła, a jej najdzikszą symbolikę da się wytłumaczyć w zwykły, rzeczowy sposób: nie uciekali się – jak niemieccy humaniści ubiegłego stulecia – do zbycia tej całej historii jako mitu słonecznego.

Może mimo wszystko musielibyśmy poprzestać na nader wiarygodnej wersji Strabona – bowiem w Rion dotąd znajduje się aluwialne złoto i metoda płukania go w owczym runie jest do dziś praktykowana – gdyby tajemnicy tej historii nie zdradzili Herodot, Apollodoros, Pauzaniasz, a ponadto anonimowy pierwszy mitograf watykański. Ten mitograf, choć piszący w V w.n.e., najwidoczniej dotarł

do bardzo wczesnych materiałów źródłowych legendy: jest to jedyny autorytet, który wzmiankuje, że Trojanie zakazali *Argo* wjazdu na Morze Czarne, co stanowi ważny element fabuły. Utrzymuje on, że runo było tym, „w którym Zeus zwykł się unosić w Niebiosa”, i w ten sposób wiąże je, pewniej niż to czyni Pauzaniasz, z opowieścią o bogu-baranie, lafistiańskim Zeusie, oraz z zamiarem Atamasa Minijczyka, aby złożyć w ofierze syna Fryksosa i w ten sposób skłonić Zeusa do zesłania deszczu, gdy zawiodły urodzaje. Purpurowa barwa runa, o której wzmiankuje Symonides, podkreśla ten związek: białe obłoki nie przynoszą deszczu, purpurowe tak; a więc dotyczyło również magicznego pożytku z białego oraz purpurowego runa. Stąd wynika, że Fryksos, chcąc uniknąć losu ofiary na cześć boga-barana, ukradł purpurowe runo (ze złotą frędzlą), święte i niezbędne narzędzie rytualne do sprowadzania deszczu, i uciekł z nim do Kolchidy, która leżała poza zasięgiem pogoni. Utrata runa oczywiście wydała się Minijczykom złym omenem i w następnym pokoleniu Argonauci, sami Minijczycy, jeśli nie z urodzenia, to przez adopcję, wyruszyli, aby je przywieźć z powrotem.

Sądzi się obecnie, że ten czy ów z najbardziej nawet szczegółowo opisanych wypadków „Iliady” Homera stanowi wtręt: na przykład niektóre pojedynki na polach pod murami Troi mogą należeć do innego cyklu eposów. Najwyraźniej zarówno rzekomo Trojanina Hektora, jak i Opuntyczyka Patroklosa, którego tamten zabił, czczono w Beocji jako herosów, zanim wyprawa Agamemnona popłynęła pod Troję; ich starcie może zatem wyobrażać raczej konflikt szczepów, których byli założycielami, niż indywidualną walkę. Wydaje się tedy prawdopodobne, że cykl o Argonautach, nie ustalony w formie pisanej nawet już po powstaniu poematów Homera, zawiera jeszcze więcej wtrętów. Wiele z nich widać od razu, bo to anachronizmy. Na przykład Tezeusz, o którym Apollodoros i inni wspominają jako o Argonaucie, należy do znacznie wcześniejszej epoki; jest związany z opowieścią o Dedalu, Ikarze i podboju Knossos, co się zdarzyło około 1500 r. p.n.e. Poza tym Argonauci w 1225 r. p.n.e. nie mogli lać obiat z wina bogom olimpijskim, co powtarza wielu poetów. Bogowie byli konserwatywni i jeszcze w wiele wieków później odrzucali wszystko prócz „postnych ofiar”.

Pisząc na nowo tę historię, byłem więc stale gotów usuwać jako zbędne wszelkie wypadki i szczegóły, które nie pasowały do reszty opowiadania, musiałem jednak uważać, aby nie odrzucać niczego zbyt pochopnie. Nie byłem pewien z początku, czy zaliczyć do Argonautów Herkulesa. Niektóre najbardziej czcigodne legendy łączą go z Tezeuszem, a nawet z okresem wcześniejszym.

Jednakże żyło zapewne dwu, trzech czy bodaj więcej osiłków tego imienia –

a istotnie powiadają, że Pytia delficka oświadczyła Herkulesowi z Tyryntu, gdy przyszedł zasięgać rady, że nie po raz pierwszy odwiedza ją mąż tego imienia.

Herkulesa Tyryntczyka, powszechnie uznanego za ostatniego i najślawniejszego z tych mocarzy, można śmiało umieścić w epoce Argonautów i zdaje się, że akurat na czas pożeglował do Troi z sześcioma okrętami i paroma ludźmi (według Homera), aby *Argo* mogła bezpiecznie powrócić do domu. (Diodor i Waleriusz Flakkus najwyraźniej są w błędzie, umiejscawiając ten wyjazd w czasie podróży w tamtą stronę, a nie z powrotem, podobnie jak Pindar, który lokuje epizod lemnijski wśród przygód drogi powrotnej zamiast drogi do Kolchidy). Wiadomości o wypadzie, nie należy go zaś identyfikować ze spaleniem piątego miasta Troi dwa wieki wcześniej, są dosyć wiarygodne: w towarzystwie Telamona z Ajginy, brata Peleusa, a ojca Ajaksa, Herkules zabił króla Troi Laomedonta i posadził na tronie młodego Priama – tegoż Priama, który był już starcem podczas upadku szóstego (homeryckiego) z rządu miasta Troi. Ponadto Eurysteus z Myken, zleceniodawca Herkulesa, nie jest władcą zbyt zamierchłym, aby panować w tym okresie: następcą jego bowiem został zięć Atreus, którego synowie (albo przybrani synowie), Agamemnon i Menelaos, dowodzili wojskami greckimi podczas Homerowego oblężenia Troi.

Prace Herkulesa, jeśli je mamy pogodzić z przyjętą chronologią wydarzeń związanych z podróżą *Argo*, należy ułożyć w odmiennym porządku, niż to ustalili Rzymianie, począwszy od mitografów aleksandryjskich. Ptaki znad Stymfalos (6), klacze Diomedesa (8), pas Hipolity (4) logicznie powinny iść przed dzikiem z Erymantu (4) oraz stajniami Augiasza (5); jabłka Hesperyd zaś (11) muszą następować bezpośrednio po dwu ostatnich. Ale kolejność czasowa tak legendarnych wypadków to beznadziejna płatanina, niemal jak gdyby się wydarzyły, zanim wprowadzono czas historyczny: na przykład w dziejach *Argo* pojawiają się anachronizmy, jeśli ktoś przypisuje podróży datę późniejszą niż łowom kalidońskim, a w opowieści o łowach – jeśli je uznać za wcześniejsze.

Równą gmatwaninę przeciwieństw stanowią tradycyjne informacje na temat życia, rodowodu i pokrewieństw Eurysteusa, Syzyfa, Kreona i innych. Jednakże jeśli najazd Achajów na południową Grecję nastąpił w połowie XIII wieku p.n.e., jak utrzymują później Grecy, zapewne Stenelos, ojciec Eurysteusa, i Kreon z Azopii byli obaj w rzeczywistości Achajami, a ze względów politycznych zapewnili sobie adopcję do starych matriarchalnych rodów królewskich za pomocą zwykłego groteskowego obrzędu powtórnych narodzin: to by tłumaczyło mnóstwo oczywistych sprzeczności. Syzyf, choć Ajol, na pewno nie był bratem Minijczyków: Atamasa, Kreteusa, Perieresa i Salmoneusa – jego koneksje z Koryntem wiążą go raczej z domem Ajetesa i Aloeusa; uczyniłem go tedy synem Aleousa. Skoro syn Syzyfa miał na imię Glaukos, śmiało można przypuszczać, że Glauka, którą poślubił uzurpator Kreon, to jego córka.

Nie byłem z początku pewien, czy mam włączać do swego sprawozdania epizod z „ptakami Aresa”: o tym, jak u wybrzeży Armenii przeraziło Argonautów niebywałe stado ptactwa i jak je odegnali, krzycząc i dzwoniąc w tarcze. J. R.

Bacon w „Podróży Argonautów”, krótkiej, lecz nader cennej książce na temat zagadnień historycznych poruszanych w legendzie, pisze:

„Prawdopodobnie ten epizod nie należał pierwotnie do opowieści o Argonautach, tylko jest erudycznym wtrętem Apollodora, który świadom, że podczas swojej szóstej pracy Herkules wygnał



ptaki znad jeziora Stymfalos w Arkadii na odległą wyspę na Poncie Euksyńskim, uznał za potrzebne wprowadzić tę historię do dziejów podróży *Argo*.

Na podstawie tego autorytetu byłem gotów wyrzucić epizod, zwłaszcza że nie ma on żadnego wpływu na akcję. Jednak pierwsze pytanie, jakie mi zadał mój przyjaciel Francis Hemming, przyrodnik, spojrzawszy na mapę morską Morza Czarnego wiszącą na ścianie mego gabinetu, brzmiało: „W jakiej porze roku Argonauci płynęli przez Zatokę Wschodnią?” Ciekawiło go, czy mogli trafić na wielką wiosenną migrację ptaków ciągnących milionową rzeszą z Palestyny i Syrii przez Azję Mniejszą, nad Morzem Czarnym do ujścia Wołgi. Odrzekłem: „W

początkach maja, zdaje mi się”. Wtedy przypomniałem sobie o ptakach Aresa.

Wiedziałem, że ptaki przelotne nocują na wyspach, a ponieważ na całej Zatoce Wschodniej są tylko cztery wyspy, żadna nie dość duża, aby się znaleźć na jakiegokolwiek zwyczajnej mapie, uświadomiłem sobie, że wędrowne ptaki, które zastały „Wyspę Aresa” przepełnioną i zapewne nigdy przedtem nie widziały okrętu, mogły szukać miejsca do spoczynku na przepływającej obok *Argo*.

Oczywiste zmieszanie i przestrasz Argonautów – bo każdy z nich był swego rodzaju augurem – wzmogłyby się jeszcze, gdyby wśród ptaków było także ptactwo błotne tego gatunku, jaki Herkules wypędzał znad Stymfalos – sądzono, że te stworzenia przenoszą na piórach gorączkę bagienną. Hemming był łaskaw wtedy sprawdzić dla mnie fakty i szczęśliwie potwierdziły one moją teorię. Okazuje się z „Ptaków Egiptu” Nicolla (wydanie Meinertzhagena), że w początkach maja Argonauci mogli jeszcze spotkać wędrowców, wśród których znalazły się

„pustułki, skowronki, błotniaki, kaczki i brodzie”. Doszedłem do wniosku, że ptactwo błotne nocowało na mokradłach rzeki Kassab, a wróblowate i inne wolały wysepkę Puga.

Podobnie było z epizodem Fineusa i harpii. Na pierwszy rzut oka wydaje się bez sensu, ale Diodor przedstawia tło historyczne, z którego wynika, że złośliwa scytyjska połowica Fineusa, Idaja, skorzystała z jego ślepoty, aby go oszukać co do charakteru synów, grając rolę żony Putyfara. Do tego Diodor w ogóle nie wspomina o harpiach, co czyni jego opowieść tym bardziej autorytatywną: znaczy to bowiem, że nie wprowadził postaci Idai umyślnie, aby sugerować, że zwodziła tak, iż Fineus wyimaginował sobie nadprzyrodzone stwory, które go trapiły.

Sam zrobiłem parę wtretów, pozwalając każdemu z Argonautów popisać się szczególnymi uzdolnieniami, jakie im przypisuje legenda. Na przykład: szybkość Kalais i chyży Dzetes, bystrooki Linkeus, pływak Eufemos, czarownik Peryklimenos, siłacz Herkules, zmyślny złodziej Autolikos (o którym Hezjod pisze: „Czegokolwiek dotknął, stawało się niewidzialne”), Orfeusz, którego gra na lirze zdolna była poruszać drągi i kamienie, mistrz pięściarski Polideukes, łucznik Faleros, nigdy nie chybiający celu, pszczelarz Bootes, nawigator Nauplios.

Lecz w ocalałych wiadomościach o podróży wiele z tych talentów pozostało w ogóle nie wykorzystanych: Faleros, Peryklimenos, Bootes, Nauplios i Autoklios nie znaleźli dla siebie nic do roboty prócz wiosłowania. Przypuszczam, że w pierwszej wersji wyprawy wszyscy okazali się użyteczni i odpowiednio ich zatrudniono – podobnie jak zdolnych towarzyszy podróży wciąż tego samego, tylko o różnych imionach, młodszego syna w tylu przygodach z ludowych baśni.

Nietrudno zauważyć, dlaczego pierwotne znaczenie złotego runa było tajemnicą już dla Greków epoki klasycznej, przyjąwszy, że porwanie runa stanowiło epizod w sporze religijnym pomiędzy obrońcami matriarchalnej bogini księżycy Pelazgów a wyznawcami patriarchalnego Piorunowładcy Greków. Jeszcze przez sto czy dwieście lat po wyprawie *Argo* z pewnością można było mówić otwarcie o tym sporze, który wówczas nadal nie był zakończony zupełnym i oczywistym zwycięstwem Zeusa. Są tego ślady nawet w poematach Homera, mimo ich troskliwego zredagowania w szóstowiecznych Atenach czy trzeciowiecznej Aleksandrii: ponieważ utarczki Zeusa z Herą oznaczają dużo więcej niż tylko satyrę na niesnaski domowe w rodzinie greckiej – to konflikt pomiędzy przeciwstawnymi ustrojami społecznymi. Później Piorunowładny zyskał taką przewagę, a boginię Księżycy tak ograniczono, że królów i herosów w rodzaju Salmoneusa, Syzyfa i Tantalą, do tej pory wspominanych z respektem i cieszących się honorami należnymi bohaterom, uznano za zbrodniarzy cierpiących w Piekło wiekuiste męki. To jest przypadkowe lub umyślne niezrozumienie wszystkich piktograficznych historii na temat bogini księżycy. Na przykład jej rytualne zaślubiny pod postacią Pazyfae („Ta Co Przyświeca Wszelkiemu Stworzeniu”) z Minosem, bogiem słońca, któremu był poświęcony byk, pisarze klasycyści interpretują sprośnie jako niezdrową namiętność Pazyfae, siostry Ajetesa oraz Kirke, dla świętego byka – z którego to związku zrodził się potwór o głowie byka, Minotaur. Iksjona zaś, pelazgijskiego herosa, którego atrybut stanowiło koliste krzesiwo, mylnie przedstawiano łamanego tym kołem w Piekło za karę, bo usiłował

zgwałcić Herę, żonę Zeusa. Kapłani Zeusa zazdrościli wszystkim herosom związanym z rozniecaniem ognia – jednym z nich był Prometeusz – utrzymywali bowiem, że ogień pochodzi od błyskawicy, przywileju Zeusa. Tak samo otaczali nienawiścią pamięć Salmoneusa (brat króla Atamasa), ponieważ naśladownictwem grzmotów sprowadzał deszcz.

Pierwotne dzieje *Argo* zostały prawdopodobnie bardzo zniekształcone przez bardów, co pragnęli rozślawić te czy inne rody lub miasta, przedstawiając ich przodków albo założycieli jako Argonautów. Na przykład trzeba odrzucić argonautyczne pretensje Telamona z Ajginy: jeśli naprawdę pomógł Herkulesowi w napadzie na Troję, nie mógł równocześnie znajdować się na pokładzie *Argo* na Morzu Czarnym. Odrzucam także niepotrzebne zboczenie *Argo* z kursu pomiędzy Kretą i Jolkos, aby zawinąć na Ajginę. Apolloniusz twierdzi, że Argonauci stoczyli tam przyjacielskie zapasy o świeżą wodę dla okrętu, ale zdaje się, że ten epizod wprowadzono, by wytłumaczyć starodawne wyścigi na Ajginie, kiedy to młodzieńcy biegli z dzbanami wody na ramieniu. Przygoda na Anafe (rozdział 47) może być podobnym wtrętem dla wyjaśnienia szczególnych miejscowych obrzędów; ale przynajmniej jest wiarygodna i zabawna.

Historia Apolloniusza Rodyjczyka i napisanej przezeń pierwszej wersji eposu o złotym runie wydaje się podejrzana. Apolloniusz, zwany podówczas „z Naukratis” zamiast „z Rodos”, urodził się ok. 280 r. p.n.e. Studiował literaturę w Aleksandrii i mając lat osiemnaście, napisał swój epos. Gdy recytował go w całości czy w bodaj urywkami w Sali Muz, przyjęto go głośnym psykaniem, kocią muzyką i zarzucono tabliczkami do pisania. Uciekł bez poważniejszych obrażeń, ale w strachu przed rozprawą sądową, ponieważ jego rywal, nadworny poeta Kallimach, napiętnował go jako „nieczystego ibisa”, i zdecydował się na jakiś czas opuścić Aleksandrię. Zatrzymał się na Rodos i tam, konstatając, że aleksandryjczyków mniej interesuje prawda religijna oraz historyczna niż sztuka literacka, ujął opowieść w formę, która zdawała mu się bardziej dla nich odpowiednia. Po powrocie kilka lat później odczytał publicznie poprawioną wersję, która zjednała mu taki poklask, nawet ze

strony dawnych wrogów, że gdy wakowało stanowisko dyrektora Biblioteki Królewskiej, król Ptolemeusz oczywiście powierzył mu ten urząd. Apolloniusz przybrał miano Rodyjczyka dla upamiętnienia swego długiego pobytu na Rodos, gdzie go uczyniono honorowym obywatelem. Pierwotna wersja nie ocalała, ale jej niedostatkami nie był chyba brak melodyjności czy nuda. Człowiek, który w młodości pisze nieskładnie i nudno, nigdy potem nie zdoła tworzyć tak świeżo i ładnie jak tworzył Apolloniusz. Bardzo prawdopodobne, że autor, licząc na poparcie niewiast aleksandryjskich, zbyt otwarcie pokazał w eposie, jak bogini księżycy ukorzyła Zeusa, i w ten sposób oburzył ich mężów, czcicieli Zeusa. Nie mogę się zgodzić z dr. Gilliesem, najuczestniejszym wydawcą „Argonautika”, że aleksandryjczykom nie spodobało się przystosowanie formy epickiej do romansu, zwłaszcza jeśli dokonał tego nieznany młodzik. Przepadali za powieściami, o ile były uczone i zręczne; a tradycja wiecznie młodego Apollina zawsze nastrajała wykształconych słuchaczy przychylnie dla młodych poetów, zwłaszcza tam, gdzie – jak w Aleksandrii –

kobiety mogły wyrażać swoje zainteresowanie literaturą i sztuką. Jeśli mam rację, staje się zrozumiałe obelżywe słowo „ibis”: ten ptak nie tylko odznaczał się odrażającymi obyczajami, lecz ponadto był poświęcony egipskiej bogini księżycy, Izydzie. I zapewne przemówienie Fineusa (Księga II, w. 311-316) należy odczytać jako prośbę o wybaczenie Zeusa za niedyskrecje wygłaszane przez samego Apolloniusza.

W epoce aleksandryjskiej Grekom przestało się podobać publiczne wyznawanie praktyk czy wierzeń, z których wyrosli, oraz opowiadanie o starych skandalach, mogących posłużyć jako precedens do nowych. Zatuszowali pewne i sprawdzone opowiadki o ofiarach z ludzi. Ifigenia, powiadali, nie została w Aulidzie naprawdę złożona w ofierze przez swego ojca Agamemnona, tylko obłok uniósł ją na Krym, podczas gdy zamiast niej zabito na ołtarzu niedźwiedzicę czy inne jakiegoś zwierzę.

Helena, mówili, w rzeczywistości nie uciekła z Parysem do Troi – jego oblubienicą była fałszywa Helena lub zwodniczy sobowtór, a prawdziwa Helena pojechała do Egiptu i tam żyła cnotliwie, dopóki Menelaos nie przybył znowu po nią. Twierdzić co innego – znaczyłoby znieważać Kastora i Polideukesa, jej braci półbogów. Tym sposobem również Pindar – opowiadając dzieje porwania runa z Kolchidy – pod pretekstem, że czas nagli, krótko i bez okropnych szczegółów zbywa zamordowanie Absyrtosa przez Jazona: ponieważ przodkiem męża, któremu poświęcił ode, był Argonauta Eufemos z Tajnaron, uczestnik zbrodni.

Rzymianie nie byli tak pruderyjni i rzeźnicke opisy zabójstw i bitew, jakie pojawiają się w „Argonautica” Waleriusa Flakka, stanowiły dla mnie użyteczne przypomnienie prawdziwego okrucieństwa tej historii. Przeważnie jednak byli to ludzie o umyśle tępym i prozaicznym, a piktografy wprawiały ich w zakłopotanie, niekiedy nawet urażały. Horacy w jednym ze swych „Listów” zjadliwie krytykuje centaury. „Kto kiedy widział półczłowieka-półkonia?” – pyta. Nie zdaje sobie sprawy, że centaurowie, sylenowie, satyry i tak dalej byli po prostu Pelazgami, których w piśmie obrazkowym określano jako przynależnych do koni, kozłów i innych bractw totemistycznych.

Greccy kapłani bogów olimpijskich zawsze umieli znaleźć wytłumaczenie dla zamaskowania kłopotliwych zabytków historycznych: na przykład nazwę

„świątynia pępka”, jaką nadawano białemu grobowcowi w Delfach, jeszcze długo potem, gdy ludzie Apollina zabili wyrocznego pytona, w którego wcieliła się dusza zmarłego właściciela grobowca,

tłumaczyli w ten sposób, że przybytek leży w samym centrum Grecji, jak pępek pośrodku  
 człowieka brzucha lub guz ozdobny na środku tarczy. To znalazło aprobatę, choć Delfy nie leżały  
 wcale w centrum Grecji i choć znano poza tym parę świątyń pępka w innych częściach kraju.  
 Mykeńskie grobowce herosów były budowane z kamienia w kształcie pszczelego ula, który  
 przypomina o ich afrykańskim pochodzeniu, i zdaje się, że naprawdę zwano je świątyniami pępka, bo  
 zawierały nie tylko kość szczękową oraz genitalia danego bohatera, lecz także jego pępowinę, co w  
 widoczny sposób podkreśla, że został zrodzony z niewiasty, służy przeto bogini Księżycy.

Najbliższym legendarnym ogniwem pomiędzy Grecją epoki heroicznej a Afryką jest opowieść o  
 „synach Ajgiptosa”, którzy przemocą poślubili „córy Danaosa” lub, właściwie, „córy Danae”.  
 Oczywiście byli to ci „synowie Ajgiptosa”, czyli przybysze z nad Nilu, którzy przynieśli z sobą do  
 Grecji świątynię o ulowatym kształcie. Sir James Frazer w „Totemizmie i egzogamii” pisze o królach  
 Ugandy z plemienia Bantu:

„W świątyni-grobowcu króla Bagandy składano z zasady nie tyle jego zwłoki, co dolną szczękę i  
 pępowinę; na tronie ocienionym baldachimem i ogrodzonym od pospólstwa balustradą z  
 błyszczących włóczni te śmiertelne szczątki wystawiano uroczyście na widok publiczny, ilekroć  
 poddani przychodzili na audiencję do wygnanego monarchy. Porozumiewał się z nimi za  
 pośrednictwem natchnionego medium, swego kapłana; i tam, w towarzystwie żon i dostojników, co  
 zamieszkiwali albo w grobowcu, albo w pobliskich domostwach, utrzymywał

mglisty dwór, nikłe odbicie splendorów królewskich, co otaczały go za życia. Gdy jego wdowy  
 umierały, brano na ich miejsce kobiety z tych samych rodów i dzięki temu zmarły król z pokolenia na  
 pokolenie nadal rządził i ze swego grobowca udzielał porad jako wyrocznia.

Dziś te świątynie-grobowce władców Ugandy wydają się niczym więcej jak tylko wyolbrzymionymi  
 i rozslawionymi kopiami małych chat, które plemię Baganda z zasady wznosi nie opodal grobu  
 krewniaka dla wygody jego duszy.

W tych małych przybytkach, niekiedy wysokich na dwie lub trzy stopy, a na dwie stopy szerokich, ci,  
 co przeżyli, składają ofiary z jada, odzieży i drewna na opał, leją piwo na ziemię, aby zaspokoić  
 pragnienie biednej duszy w grobie. Ale skoro świątynie-grobowce królów Baganda są po prostu  
 powiększonymi wydaniem chat dla duchów pospólstwa, czyż nie jest możliwe, aby świątynie  
 niektórych narodowych bogów Baganda miały to samo pochodzenie? Innymi słowy, czyż niektóre z  
 tych narodowych bóstw nie mogłyby być tylko, jak czczone duchy zmarłych monarchów,  
 deifikowanymi nieboszczykami? Istotnie mamy niezbite dowody, że wielki bóg wojny Kibuka, jedno  
 z najważniejszych bóstw plemienia Baganda, był niegdyś człowiekiem z krwi i kości; bo jego  
 śmiertelne szczątki, w postaci szczęki, pępowiny i narządów płciowych, uzyskano parę lat temu od  
 kapłana, który je troskliwie pochował, gdy mahometanie spalili świątynię boga, i znajdują się teraz  
 w Muzeum Etnologicznym w Cambridge”.

W tym ustępie Frazer wspomina o bogu plemienia Baganda Pytonie. Jeśli mam rację, przypuszczając,  
 że dawniejszy przybytek w Delfach został urządzony w stylu Baganda, okaże się jasne, czemu kapłani  
 uzurpatora Apollina, który był pierwotnie pokornym sługą Bogini Matki, opowiadał łągarstwa na  
 temat świątyni pępka.

Ponieważ jego wyroczne medium nadal powszechnie zwano Pytią, a samą miejscowość Pyto, należało te kłopotliwe terminy tłumaczyć raczej jako pochodne greckiego czasownika pythein – gnić – wrogowie Apollina gnili rażeni jego mór niosącymi strzałami – niż pochodne rzeczownika python; podobnie pępowinę, pozostałość jego dawnej zależności od pierwotnej Potrójnej Muzy, trzeba było zamaskować fałszywą etymologią.

Jednym z ciekawych problemów związanych z Argonautami jest drugi cel podróży, wymieniony przez Pindara – zapewnienie spoczynku duchowi Fryksosa.

Zwykła opowieść według Apollodora mówi, że Fryksos zmarł w Kolchidzie śmiercią naturalną po wielu latach pogodnego żywota w roli zięcia Ajetesa. Nikt nie tłumaczy, czemu jego duszy należało koniecznie zapewnić spoczynek – prócz Hyginusa oraz Flakka, którzy utrzymują, że Fryksos został zamordowany przez Ajetesa i jego duch wołał do krewnych o pomstę. Sądzę jednak, że prawdziwe wytłumaczenie można znaleźć w ogólnym opisie Kolchidy Apolloniusza Rodyjczyka. Powiada on, niby mimochodem, że „do dziś dnia” Kolchowicze brzydzą się palenia zwłok i grzebania ich w katakumbach, chyba że chodzi o kobiety:

„Mężczyzn owijają w niewyprawne skóry bawole i przywiązują na wierzchołkach łożyn, wierzb i innych drzew z dala od miasta”. A zatem nie można mówić o wrogości Ajetesa wobec Fryksosa; Ajetes wyprawił mu przyzwoity pogrzeb wedle obyczaju Kolchidy, ale duch Fryksosa, niezdolny znaleźć spoczynku w bawolej skórze, mógł żądać spalenia kości i pochówku pod kurhanem na sposób grecki. Wydaje się przeto prawdopodobne, że w pierwotnej opowieści pod pretekstem, jakim posłużyli się Argonauci, by przyjechać do Kolchidy, była prośba o wydanie zwłok Fryksosa w celu pochowania ich gdzie indziej. Jeśli tak, udało im się, jak wiemy od Strabona: ciało na koniec zostało pogrzebane, tuż obok przybytku Białej Bogini Moschów, gdzie Fryksos za czasów Strabona był czczony jako heros i gdzie „nigdy się w ofierze nie składa barana”.

To nie do wiary, aby Jazon przybył do Ai i śmiało poprosił Ajetesa o runo, co sugeruje większość opisów. „Złowrogi” Ajetes, jak go nazywa Homer, zabiłby go na miejscu za tę bezczelność. A co więcej, zadanie pochowania Fryksosa w należyty sposób musiał, w pierwotnej wersji, nałożyć na Jazona nie Zeus (który nienawidził Fryksosa i prześladował jego potomstwo), a Biała Bogini – Izyda – na której prośbę Fryksos wywiózł runo. Śmiało można przypuszczać, że w Aleksandrii oficjalny zakaz dotyczący wszelkich publicznych wzmianek o tym, jak Biała Bogini upokorzyła lafistiańskiego Zeusa, uniemożliwił opowiedzenie Apolloniuszowi, co spotkało ducha Fryksosa. Zdaje się, że krótki wstęp o kolchidzkich obrzędach pogrzebowych to wszystko, co ocalało z jego uczciwej pierwotnej wersji. (Ta sama Biała Bogini, zwana również Samoteą, nadała Brytanii jej dawną nazwę.)

Misteria, które uzupełniały przyjęty obrządek grecki w okresie klasycznym, wydają się ściśle wiązać z odkrywaniem tajemnic religijnych ludziom, na których można polegać, że nie spowodują skandalu, zdradzając je; w misteriach Bogini Matka była najważniejszym z czczonych bóstw. Tych tajemnic nie było wolno zapisywać, chyba niezmiernie rzadko w formie zaszyfrowanej i to tylko fragmentarycznie. Dochodzę do wniosku, że podstawowym błędem Apolloniusza było to, iż recytował w publicznej sali odczytowej wersję dziejów złotego runa zaczerpniętą ze starożytnych źródeł, którą wtajemniczeni wzięli za profanację niektórych swoich najpilniej strzeżonych sekretów. Oficjalna wersja mówiła, że przy pomocy swej beockiej matki Nefele Fryksos umknął śmierci na grzbiecie zaczarowanego barana i po przybyciu do Kolchidy pobożnie złożył go w ofierze Zeusowi, bogu

ucieczek.

Naiwni bazarze często stosowali żartobliwą przesadę, by zabawić słuchaczy, zwłaszcza jeśli temat był nieco orgiastyczny. Seksualna krzepa Herkulesa, podobnie jak jego żarłoczność, zawsze się Grekom wydawała komiczna, a jego straszliwą kopulację z pięćdziesięcioma córkami Peneusa w ciągu nocy można porównać z wyczynami takich sprośnych bohaterów ludowych, jak francuski Marius, angielski John Stone-Cracker, amerykański Paul Bunyan czy wspomniany w „Życiu seksualnym dzikich” Malinowskiego Trobriander, którego członek był

tak długi, że zwykł pełzać po wsi, gdy zmrok zapadł, i uwodzić nieświadome niczego dziewczęta. Rozpustna przygoda lemnijka była pierwotnie na wskroś nieprzyzwoitą anegdotą; Apolloniusz zachowuje parę elementów komicznych, a to rumieńce Hypsipyle, gdy opowiada swoje łągarstwa, i wyrzuty Herkulesa pod adresem Jazona, że „cały dzień zmitrężył w objęciach Hypsipyle, dopóki znów nie zaludnił wyspy swoim męskim potomstwem”. Ale konwencja epicka pohamowała jego pióro. Absurdalna powiastka o tym, jak synowie Wichru Północnego ścigali harpie przez Morze Egejskie i Peloponez i wrócili po paru godzinach, najpierw zapewne także miała charakter komiczny: ich osławiona chyżość, jak bystry wzrok Linkeusa, czarodziejska moc Peryklimenosa i fatalna uroda Jazona – musiały stanowić ciągły przedmiot żartów dla Argonautów. Możliwe również, że epizod nakładania jarzma na byki i zabijania Zasianych Ludzi należał w rzeczywistości do snu Ajetesa, a potem uznano go za historię samą w sobie.

Wątpię, czy powinno się Orfeusza zaliczać do Argonautów. Jednakże Ferekydes umieszcza go na liście, a pominięcie Orfeusza – znaczyłoby wykreślić z planu podróży na Samotrakę; poza tym kłótlivi Argonauci potrzebowali muzyka, aby utrzymywał pokój pomiędzy nimi, w równym stopniu, co sternika, Jazon zaś niezbyt się nadaje do żadnej z tych ról. Orfickie wierzenia religijne mogły z powodzeniem dotrzeć do Grecji na wiele stuleci przedtem, nim w VI wieku p.n.e.

po raz pierwszy znalazły wyraz w literaturze: podobno Orfeusz odwiedzał Egipt, ale nie sądzę, aby przeniósł misteria stamtąd. Metempsychiczna doktryna hymnów orfickich, która zawiera sporo terminów celtyckich, wydaje się raczej pochodzić od hiperborejskich druidów. Jego wskazania dla zmarłych, jak się mają zachowywać w świecie podziemi (rozdział 18), zostały zaczerpnięte ze złotych tabliczek z Petelii, Compagno i Timpone Granda, odczytanych przez profesora Gilberta Murraya. Uzupełniłem na podstawie mitologii druidycznej, która wykazuje dziwnie ścisłe powiązania ze starożytnością grecką, brakujący ustęp o pouczeniach, jakie pozwolą duchowi odróżnić źródło pamięci od źródła zapomnienia.

Niektóre epizody w mojej opowieści mogą się na pozór wydać nieco zbyt nowoczesne, ale cywilizacja mykeńska późnego okresu minijskiego jest wyraźnie dużo bardziej rozwinięta niż cywilizacja epoki Homera. Po upadku Troi nastąpił

w Grecji stopniowy upadek kultury, pogorszony jeszcze przez najazd Dorów około 1020 r. p.n.e. Uważam na przykład za prawdopodobne, że regulamin pięściarski trzynastego stulecia p.n.e. był daleko bliższy regulaminowi Queensberry niż regulaminowi z siódmego wieku. Zdaje się, że Kreteńczycy z zapalem uprawiali boks w przeciwieństwie do zapasów. Z całą pewnością, jak stwierdził w Knossos Sir Arthur Evans, również urządzenia domowe były uderzająco lepsze technicznie.

Przyływy, prądy, stałe wiatry, punkty orientacyjne i porty wymienione w tej książce zostały sprawdzone ze starożytnymi i współczesnymi podręcznikami geografii oraz opisami podróży i z przewodnikami „Morze Czarne” i „Morze Śródziemne”. Podróż według mojego kursu dałoby się zakwestionować w wielu szczegółach, ale była na pewno jedynie możliwą dla galery wojennej o prostokątnym żaglu, obdarzonej łutem szczęścia i dobrym kierownictwem, w wymaganym okresie siedmiu miesięcy. Odrzucam tradycję podtrzymywaną przez Apollodora, że trwało to tylko cztery miesiące, chyba że ma on na myśli czas do momentu, gdy *Argo* po raz pierwszy wróciła na znajome sobie wody, i uważa przygodę afrykańską za odrębny wójaz; a także twierdzenie Teokryta, że *Argo* zwlekała z żegluga, dopóki nie wzeszły Plejady. Obalam również przypuszczenie, że miała pięćdziesiąt wiosł, choć okręty tej wielkości pojawiają się na wczesnych malowidłach kreteńskich; trzydzieści było aż nadto dla zadań, jakie wyznaczono Argonautom.

Sojusz, którego istnienie zakładam pomiędzy Kolchami i Trojanami, częściowo podsunęło mi podobieństwo geograficzne – Kolchida była bramą na Daleki Wschód, Troja wrotami dla wszystkich ludów Morza Czarnego – częściowo zaś pogląd Herodota, że porwanie Heleny do Troi stanowiło rodzaj odwetu za uwięzienie Medei do Grecji.

Nadałem dziejom Argonautów formę powieści historycznej, a w tym wypadku powieściopisarz zawsze powinien wyjaśnić, jaką epokę obiera sobie za punkt wyjścia. Byłoby nierozsądnie opowiadać tę historię jakoby z pozycji XIII wieku p.n.e.: to by zmuszało do pisania stylem poetyckich piktografów. Opisywać to z pozycji dnia dzisiejszego – znaczyłoby nie tylko nadawać dialogom kłopotliwie współczesny styl, lecz ponadto nie pozwoliłoby mi całym sercem uwierzyć w tę historię. Jedynym wyjściem było umiejscowić się w epoce, która nadal wierzyła, ale która osiągnęła niezbędną krytyczną niezależność sądu oraz prosty, lecz dostojny styl w prozie.

Pozwoliłem tedy zwrotom „dotychczas” i „dzisiaj” pojawić się tu i ówdzie w książce. Historycy wywnioskują z ostatniej stronicy, że „dziś” znaczy nie później niż 146 p.n.e., kiedy to Lucjusz Mummiusz zburzył Korynt: wówczas bowiem *Argo*, którą pozostawiono na widoku publicznym w świątyni Posejdona na Międzymorzu, odkąd Jazon ją tam ofiarował (wiek po wieku dokonywano koniecznych napraw), ostatecznie zniknęła – zapewne rozebrana na kawałki przez pijanych rzymskich żołnierzy. Jak wiadomo z epigramatu Marcjalisa, jej części przywędrowały do Rzymu jako pamiątki tej kampanii.

Ostatnio pojawiły się znaki niebieskie, o których nie wspomnieć w tym miejscu byłoby niewdzięcznością: w konstelacji *Argo* ukazała się nova, czyli nowa gwiazda o wyjątkowym blasku. *Argo*, niekiedy zwana po prostu Okrętem, leży na nieboskłonie pomiędzy Centaurem, to znaczy wychowawcą Jazona Chejronem, a Wielkim Psem, niegdyś poświęconym Białej Bogini. Należy dodać, że nie tylko sama *Argo*, lecz także podróż, którą odbyła, została uwieczniona wśród gwiazd, ponieważ, jak kiedyś podkreślił Sir Izaak Newton, dwanaście znaków zodiaku upamiętnia rozmaite epizody tej historii, od barana o złotym runie począwszy.

Księżyc to nadal Biała Bogini, której przypisujemy pieniądz, i w dalszym ciągu panuje powszechnie jako Rea, Artemida albo Mariana, zachowując większość pradawnych tytułów i atrybutów. Z tym tylko, że pierś bogini została teraz osłonięta, nie ma prawie różnicy w wyglądzie pomiędzy wdzięcznie wysypaną muszelkami kapliczką, o którą trzy tysiące lat temu dbała królowa Hypsipyle w lemijskiej Myrinie, a jej nowoczesnymi odpowiednikami: będąc bowiem królową niebios, bogini w

dalszym ciągu utrzymała jako atrybuty księżyc, węża, fetysz w kształcie krzyża, błękitną szatę, gwiazdy, lilie i boskie dzieciątko. Co więcej, mój przyjaciel, który niedawno był w Zatoce Pagazyjskiej, opowiada, że w pobliżu Afetaj, gdzie Argonauci składali pożegnalną ofiarę bogini jako królowej wszelkiego stworzenia, krew nadal płynie strugą z gardzieli owiec i kóz zarzynanych dla niej; i o tej samej porze kwitną szkarłatne zawilce. Na szczycie góry Pelion, w greckim kościele, jaki być może pobudowano na miejscu przybytku kobylogłowej bogini – przybytku, z którego Fryksos i Helle ukradli złote runo –

dzieci wciąż przechodzą przez jej spódnice w prastarym obrzędzie powtórnych narodzin. To jednak przybrało charakter obrzędu wielkopiątkowego i spódnice pochodzą z noszy pogrzebowych, na których jej zmarły syn spoczywa w majestacie; a jego ciało potem symbolicznie zostaje rozszarpane na kawałki, krew zaś przelana dla dobra kraju.

Trudno było zachować konsekwencję w zakresie imion. Gdzie tylko się dało, używałem form bardziej znanych: jak Herkules zamiast Herakles, Morze Czarne zamiast Morze Gościnne i Grecy zamiast Hellenowie – w istocie zresztą z tych dwóch „Grecy” to nazwa starożytniejsza.

R. G.

*Galimpton-Brixham, Devon*

## **NOTA OD TŁUMACZKI**

Wielowątkowa w gruncie rzeczy powieść Gravesa – bo choć z pozoru autor mówi wyłącznie o wyprawie po złote runo, jednak okrasza tę historię szczegółami z życia poszczególnych Argonautów, ci zaś (osobiście lub pośrednio) zdążyli już wziąć udział we wszystkich prawie większych ewenementach swojej epoki –

stanowi pewnego rodzaju antymitologię, prościej: próbę wytłumaczenia w kategoriach ziemskich, trzeźwych i politycznych tego, co znajdujemy w klasycznych mitologiach.

Graves – erudyta i zamiłowany badacz tych zagadnień – posługuje się olbrzymią ilością materiałów i tu się właśnie zaczynają kłopoty tłumacza.

Angielscy filolodzy imiona oraz nazwy geograficzne greckie czerpią z ich wersji zlatynizowanej, potem je nieco dostosowując do brzmienia swego języka.

My używamy tych samych nazw spolszczonych bezpośrednio z greki, co daje rezultaty często zgoła odmienne. Nie mogąc korzystać z dzieł starożytnych, na jakich opierał się Graves, w ich oryginalnym brzmieniu, musiałam sięgnąć do rodzimych źródeł, czyli polskich mitologii oraz tłumaczeń autorów starożytnych.

Nazewnictwo jednak, jakie tam znalazłam, obfituje w niezliczone sprzeczności: zdarza się, że jedno i to samo plemię lub miejscowość występują w paru rozmaitych wersjach. Wynika to stąd, że autorami byli zarówno Grecy, jak Rzymianie; po drugie pisownia w ogóle nie mogła się zmieniać, zależnie od tego, skąd pisarz czerpał informacje; wreszcie zaważyła inwencja słowotwórcza poszczególnych



tłumaczy. Przecież nawet imiona popularnych bohaterów























































































„Starożytności bajecznej” Tadeusza Zielińskiego różnią się nieraz od imion tych samych postaci w „Mitologii” Jana Parandowskiego. Cóż dopiero, gdy w grę wchodzi nikomu nie znana wioska lub rzeczulka, której od wieków nie ma na mapie. Niech mi czytelnik wybaczy ewentualne błędy i nieścisłości nieuniknione w tych warunkach.

Język samej książki także obfituje w niespodzianki i trudności. W potoczystej, lekko spatynowanej prozie trafiają się raptem takie anachronizmy, że tłumaczowi dech zapiera. Antyczni Grecy, w 1225 r. p.n.e., noszą szlafmyce, podkoszulki i gacie. Antyczni Grecy jedzą befsztyki. Antyczni Grecy – a któż wie naprawdę, jak to z nimi było – piastują funkcje admirałów, wiceadmirałów, podsędków itd.

i tłumacz nie ma na to rady, jeśli chce uszanować tekst oryginalny. Tylko w jednym wypadku pozwoliłam sobie na odstępstwo od woli autora. Mianowicie Graves podaje odległości w milach angielskich, ja zaś, zamiast je zamieniać na swojskie kilometry, wolałam przeliczyć wszystko na stadia wg Eratostenesa (1 mila ang. = ok. 9 stadiów; 1 stadion = 157,5 m), zaś tam, gdzie odległość jest mała i określona ogólnikowo, stosuję dość niewymierne, a polskie staje.

*Halina Sibera-Breitkopf*

# Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-   }
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  



# Table of Contents

